

Gene Wolfe

Nowojorskie odloty

(Free Live Free)

Przełożyła Olga Stanisławska

ROZDZIAŁ 1

Czworo współlokatorów czasu wojny

Noc jeszcze nie zapadła, choć ulice tonęły już w mroku. W kilku sklepach i restauracjach włączono światła. Neon sterczący jak erekcja z narożnego baru mrugał czerwienią do nieobecnych klientów. Wiatr przyniósł z sobą deszcz i wszystko wskazywało na to, że wkrótce sypnie śniegiem. Stubb zaklął, skręcając na rogu ulicy. Zdjął okulary i przetarł rękawem trencza szkła grube jak dno butelki, a potem zaklął jeszcze raz, kiedy deszcz ponownie je zalał. Przejechała taksówka, rozpryskując wodę na chodnik. Stubb zagłębił się w zaułek i z szaleńczą determinacją przemierzył go tam i z powrotem, zaglądając do bram i przystając od czasu do czasu, by zerknąć do pojemników na śmiecie, a potem wrócił na ulicę. Kilka domów dalej pomachała do niego ręką gruba jasnowłosa dziewczyna w białym płaszczu przeciwdeszczowym, a on w odpowiedzi prawie niedostrzegalnie skinął jej głową.

Czekała na niego w zatęchłym przedsiönku, a woda skapywała z jej płaszcza i białych plastikowych botków na zniszczone linoleum.

- Jak ci leci? - zapytała. Przewyższała go o głowę.

- A jak poszło tobie? - spytał Stubb.

- Jeszcze nie zaczęłam. Wysłałam tylko po gumę i inne takie rzeczy.

- Nie powinnaś palić - powiedział. - Niszczysz płuca.

- No - przyznała gruba dziewczyna. - To prawda. Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę Viceroyów. Dwóch papierosów brakowało. Wydłubała kolejne dwa.

Stubb wyciągnął rękę z ogniem, a dziewczyna uśmiechnęła się.

- To będzie obrzydliwa noc - zauważył. - Powinnaś zostać w domu.

- Może i zostanie. W każdym razie przynajmniej do jedenastej czy dwunastej. Będziesz oglądać telewizję? Lecą *Szatany z Marynarki*.

Stubb potrząsnął głową, zaciągając się papierosem.

- Lubisz te stare filmy prawie tak samo jak on.

- Widziałem już kawałek.

- Wiesz, chciałabym, żeby puścili jeszcze raz *Czarnoksiężnika z Oz* - wyznała gruba dziewczyna. - Lubię to. Ale i ten mogłabym obejrzeć.

- Mam coś do roboty.

- Dobra.

Poczekala, aż Stubb wejdzie na schody, a potem z wysiłkiem ruszyła za nim. Drzwi do salonu były na wpół otwarte, lecz jeśli trzy osoby w salonie słyszały rozmowę, nie pokazały tego po sobie.

Wszyscy troje siedzieli przed telewizorem jak przy ognisku. Na małym ekranie obrazy ułożyły się w twarde czarne linie, a potem znów rozpostarły w ludzkie cienie. Głosy w telewizorze szemrały niczym drobne fale i wydawało się, że umykają tak samo jak one.

Największe wrażenie wywierał łysy stary mężczyzna. Siedział w ogromnym fotelu i trzymał się jego poręczy, jakby znajdował się w nurkującym samolocie. Był niegdyś potężnym osobnikiem i może nawet się go obawiano. Teraz miał zapadniętą klatkę piersiową, a niebieskie oczy straciły barwę.

Mężczyzna siedzący po jego prawej stronie starał się wyglądać, jakby dobrze mu się powodziło, ale przeczył temu kraciasty garnitur. Skóra półbutów była wypastowana, lecz spękana, a starannie zawiązany rypсовy krawat świecił przy węźle miejscem wytartym przez gęsty zarost właściciela. Szerokie wąsy i bujne włosy błyszcząły oleistą czernią świeżej farby. Zmatowiały łańcuszek przebiegał przez całą szerokość kamizelki, by skończyć się w pustej kieszonce. W klapie tkwiła gumowa stokrotka.

Młoda kobieta w czarnym toczku usadowiła się po lewej stronie starego mężczyzny. Jej koronkowa sukienka z długimi rękawami przywodziła na myśl Włochy lub Hiszpanię, ale szczupła, wyrazista twarz i ciemne oczy miały w sobie coś wschodniego. Na łańcuszku wokół jej szyi wisiał srebrny krążek, z którego sterczały promieniście trzy ostre końce. Był nie większy od małej monety.

Mężczyzna z czarnymi wąsami spytał:

- Napije się pan czegoś, panie Free? Kieliszek sherry? A może mógłbym zrobić panu kawy?

Stary człowiek jakby nie słyszał.

- Może pan pójść do kuchni i wziąć sobie, co tylko uda się panu znaleźć - rzekła kobieta. - On nie będzie miał nic przeciw temu.

Drugi mężczyzna spojrział na nią, a potem (być może w obawie, że dotknęło ją to spojrzenie) rozejrzał się po pokoju, jakby robił inwentarz zakurzonych mebli. Jego oczy, lekko zezujące i bardzo czarne, mogłyby być guzikami z gagatu.

- No, śmiało, panie Barnes. Jest pan taki głodny.

- Czy mogę coś pani przynieść? - zapytał mężczyzna nazwany Barnesem.

- Poszczę od ośmiu dni - odparła kobieta.

- To może...

- Nic.

Barnes podniósł się.

- Zaparzę herbatę, jeśli w ogóle jest.

Nie otrzymawszy odpowiedzi poszedł do kuchni. Wypłukał imbryk i postawił na kuchence garnek z wodą. W pojemniku była ostatnia łyżka herbaty, a w cukiernicy, ku jego zdziwieniu, zostało trochę cukru. W lodówce odkrył nieduży kawałek żółtego sera, który zjadł. Kiedy wrócił z tacą do salonu, stary człowiek i kobieta ciągle siedzieli nieruchomo.

- Napije się pan, panie Free? - spytał Barnes. - Przyniosłem dla pana filiżankę.

- Jak smakował ser? - zapytała kobieta.

Barnes wbił w nią na moment wzrok. Z jego rumianej twarzy odpłynął kolor. Potem zaśmiał się.

- Poczują pani zapach - powiedział. - Poczują pani w moim oddechu. To niesamowite! Wie pani, Madame Serpentina, potrafię przyjąć żart nie gorzej niż kto inny. Właściwie nawet lepiej.

- Ja nie potrafię - rzekła kobieta.

- Och, powinna pani. Nic na świecie tak dobrze nie robi na zdrowie i na cały stosunek do życia, jak dobrze się pośmiać.

- Ja często się śmieję, ale nie z żartów.

Barnes uśmiechnął się. Miał duże, kwadratowe, lekko żółtawe końskie zęby.

- To dlatego, że nie zna pani moich. Ale proszę mi wybaczyć trochę osobistą uwagę, przyglądałem się pani, odkąd tu przyszedłszy i nie zauważyłem, żeby pani się śmiała.

- Właśnie teraz się śmieję - oświadczyła kobieta. - Śmieję się w duchu, bo wcale nie przyszedłem tutaj z panem.

- Obydwoje pojawiliśmy się tu w poniedziałek - zauważył Barnes. - Przeczytaliśmy to samo ogłoszenie. Tylko to miałem na myśli.

Kobieta nie odpowiedziała i kiedy kilka minut upłynęło w ciszy, w której słychać było jedynie szmery ze starego telewizora i bębnienie deszczu, Barnes odezwał się:

- Ładna pogoda.

Pierwszy raz odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.

- Lubi pan słotę?

- No pewnie. - Barnes uśmiechnął się znowu. - Nagrałem dzisiaj trzy sprzedaże, a pogoda, przy której idzie sprzedaż, to najlepsza pogoda, jakiej mógłby sobie życzyć Ozzie Barnes.

- Niczego pan nie sprzedał, inaczej wyszedłby pan na dwór i kupił sobie chleba. Jest pan bardzo głodny.

- Nie mówiłem, że zarobiłem pieniądze. Otrzymałem zamówienia. Jutro je przekażę, a gdy właściciele sklepów zapłacą, dostanę moją prowizję. Ale ja lubię taką pogodę. Zapewne mi pani nie wierzy.

- Wiara jest obrazą umysłu. Albo coś jest prawdą, albo nią nie jest.

- Dobrze. Muszę to zapamiętać. Ale lubię taką pogodę. W sklepach nie ma zbyt wielu klientów, co jest zawsze korzystne dla komiwojażera, a poza tym niektórzy sklepikarze trochę litują się nade mną. Dzięki temu chętniej słuchają. Cały sekret sprzedaży, to mogę pani zdradzić, leży w tym, aby klient wysłuchał, co ma się do powiedzenia. Dziewięć razy na dziesięć człowiek stoi i wpatruje się w ciebie, jakby słyszał każde twoje słowo, ale tak naprawdę to wsłuchuje się w coś, co sam powiedział do siebie dawno temu, albo choćby w utyskiwania własnej żony, która mu mówiła, żeby nie brał więcej towaru do magazynu. Nie słyszy cię bardziej niż ten tutaj pan Free.

- On słyszy - sprostowała kobieta.

- Zgoda, ale nie zwraca uwagi.

- Owszem. Jesteśmy dla niego tym samym, czym to jest dla nas. - Oczy kobiety powędrowały na chwilę w stronę telewizora. - Ja zresztą traktuję nas tak samo.

- Myśli pani, że on śledzi, co się tam dzieje? - Głos Barnesa przeszedł w szept. - Nie chciałbym mu przeszkadzać.

- Mniej niż pan. Nawet mniej niż ja.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stary mężczyzna podniósł się natychmiast i poszedł do wąskiego holu, gdzie wciąż stały kałuże wody z płaszcza grubej dziewczyny. Za jego plecami głosy Barnes'a i ciemnowłosej kobiety mieszały się z rykiem samolotu o tłokowym silniku.

Mężczyzna, który wszedł, był policjantem w mundurze. Ramiona miał białe od śniegu. Stary człowiek pokiwał głową i poprowadził go do salonu.

- Jestem sierżant Proudny - oznajmił policjant. - Komisariat Trzynasty. Szukam Bernarda Free.

Stary człowiek przytaknął.

- Samuel Benjamin Free, synu. To ja. Mów mi Ben. Podnosząc się, Barnes powiedział:

- Tu nie ma żadnego Bernarda, sierżancie. To jest pan Free.

Policjant skinął głową i wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Osgood M. Barnes. Jestem komiwojażerem. Proudny znów pokiwał głową.

- A pani?

- Jestem Serpentina.

- Do licha. Jest pani zaklinaczką węży?

- Czarownicą.

- Prawo nie zezwala na przepowiadanie przyszłości w tym mieście - rzekł policjant.

- Ja nie przepowiadam przyszłości. Proudny wzruszył ramionami.

- Nic mnie nie obchodzi, co pani robi poza moim obwodem, ale...

Głos grubej dziewczyny popłynął w dół klatki schodowej.

Faja bosmana jest jak kaszana,

Kapelana - że pożał się Boże...

- To Candy! - powiedział Proudny. - Candy Garth. Znacie ją?

- Siedziałam przy stole, kiedy coś jadła - odparła czarownica. - Ale nie dzisiaj.

- Madame Serpentina pości - włączył się Barnes.

- Candy powinna brać lekcje. Lepiej szedłby jej interes. Ona tu mieszka?

Barnes przytaknął.

- Tu są pokoje do wynajęcia. Dom należy do pana Free. Proudny odwrócił się do Free.

- Pozwala pan, żeby u pana mieszkała dziwka?

- Nie ma tu żadnego Dzidka. Jesteś z Komisji Budowlanej, synu? Nie możecie zburzyć mojego domu. Mieszka tu teraz pięcioro ludzi.

- On nie wie, panie oficerze - wyjaśnił Barnes. - Niech mu pan odpuści, co?

Proudy dotknął palcami koperty, którą trzymał, i przez moment wyglądał na zmęczonego.

- Ano - rzekł. - Założę się, że czasem zapomina odebrać swój czynsz.

- Mieszkają za darmo - oświadczył Free. - Nie pobieram opłat.

- A może nawet mógłby pan coś pożyczyć swoim lokatorom. Jeśli opowiedzą panu jakąś naprawdę dobrą historyjkę. Starzy ludzie już tacy są.

Nie patrzył na Free, ale na Barnes'a.

Barnes odwrócił wzrok. Czarownica zaś powiedziała:

- Nie wierzę, żeby on miał cokolwiek, co mógłby komuś pożyczyć.

- Już kto jak kto, ale pani powinna wiedzieć.

- Pytał pan o Candy Garth, czy tu mieszka. To na górze po lewej.

- Dziękuję. - Proudy wręczył Free kopertę. - Nikt tu już długo sobie nie pomieszka. Tak, Komisja Budowlana, stary. Musi się pan stąd wynieść do jutra, rozumie pan? Tylko tyle zostało panu czasu.

- Kiedyś miałem go więcej - obwieścił Free. - Cały czas. Ja nigdzie nie pójde. Tutaj umrę.

- Pomożemy panu - zaofiarował się Barnes.

- Założę się, że pomożecie - rzekł Proudy.

Chwilę później usłyszeli jego kroki na schodach, a potem spod drzwi grubej dziewczyny dobiegło głośne pukanie i słowo „policja”. Barnes usiadł znowu i spojrzał na migoczący telewizor, gdzie myśliwce z rotacyjnymi silnikami rozgrzewały się na pokładzie czarno-białego lotniskowca.

- Cały czas, jaki tylko jest. Wiem, co pan ma na myśli, panie Free. Gdy byłem młodszy, też tak się czułem. Dla pana to pewnie zupełnie nowa sprawa, nie?

Free potrząsnął głową. Nie otwierając koperty Proudy'ego, wepchnął ją do kieszeni koszuli.

- Wieki temu, panie Barnes. Całe wieki.

Z góry dobiegł cichy głos grubej dziewczyny, a potem odgłos uderzenia. Po chwili Proudy zbiegł ze schodów i wyszedł na zewnątrz na śnieg, trzaskając drzwiami.

- Jestem głodny - odezwał się nagle Free. - Czy coś zostało w kuchni?

Barnes potrząsnął głową.

- Mógłby się pan napić trochę herbaty. Stary człowiek przeszukał kieszenie.

- Nie mam złamanego grosza. Będę musiał jutro sprzedać parę skór. Ale jeśli kto ma dzisiaj pieniądze, to coś dla nas kupię.

- We wtorek będę miał coś dla pana, panie Free. Proszę mi wierzyć, na pewno. Dwadzieścia dolarów, przysięgam.

- Jest pan zbyt hojny w swoich przysięgach, przyjacielu - zauważyła czarownica.

Wydawało się, że Free jej nie słyszy.

- Nie chodzi mi o czynsz - powiedział do Barnes'a. - Niech pan tu sobie mieszka za darmo, tak jak mówiłem. Pomóżcie mi tylko ich powstrzymać. No, ale jestem trochę głodny, to też prawda.

Zaskrzypiały deski schodów. Usłyszeli ciężki oddech grubej dziewczyny i pociąganie nosem.

- Ona musi coś mieć - rzekł Barnes. - Porozmawiam z nią.

- Nie. - Czarownica dotknęła jego ramienia. - Nic nie ma. Dała mu wszystko, co miała, i jeszcze nie było dosyć. Proszę. - Podciągnęła spódnicę, jakby była zupełnie sama, i spod czarnej pończochy wyciągnęła zwinięty banknot. - Niech pan weźmie - poleciła. - Ale pan musi pójść, a nie pan Free. Niech pan kupi owoce i chleb, a jeśli zostaną pieniądze, to coś, co pan zechce. Oczekuję rachunku i reszty.

ROZDZIAŁ 2

Mężczyźni

Pokój Stubba był najmniejszy i najmniej atrakcyjny w całym domu, położony po lewej stronie budynku, w tylnej części. Ze ścian obłaziła tapeta, a jedyne okno wychodziło na opuszczony sąsiedni dom po przeciwnej stronie wąskiego przejścia zaśmieconego odpadkami. W pokoju ledwie starczało miejsca na komodę i wąskie łóżko. Trencz wisiał na drzwiach zatęchłej szafy w ścianie. Mokry kapelusz wylądował w środku na półce. Buty stały na kaloryferze, a obok nich leżały sflaczałe mokre skarpetki.

Sam Stubb wylegiwał się w majtkach na łóżku. Nie czytał ani nie spał. Kiedy zdjął okulary, wydawało się, że jego oczy nie pasują do twarzy, choć ogólnie rzecz biorąc nie była to twarz szeroka. Kilka godzin wcześniej zastał Free, Barnes a i czarownicę kończących posiłek. Niewiele zostało, ale zjadł to, co było - ostatnią kromkę chleba i sałatkę kartoflaną, która uchowała się w narożnikach kartonowego pojemnika.

Być może w mglistym zamiarze sprawienia przyjemności czarownicy Barnes kupił puszkę meksykańskiej potrawy *taniateś*. Gdy nikt nie widział, Stubb wysiorbał resztkę sosu i wepchnął do kieszeni przesiąknięte tłuszczem kawałki papieru, które imitowały liście wokół kaczana kukurydzy. Zamierzał wylizać je do czysta na osobności.

Teraz wymamrotał: „Cliff, jesteś zasyfiałym sukinsynem” i zwiesił nogi ze starego łóżka. Nie dotykały podłogi. Spojrzał na swój przegub, potem znów podniósł wzrok i przebiegł palcami po rzednących włosach.

- Mógł przecież... - mruknął. - Przez wzgląd na dawne czasy. Do diabła!

Ubrał się znowu, dokładając do ciągle mokrych skarpetek gazety, które miały kształt stóp rysowanych na schematach kroków tanecznych. Jedna zawierała ogłoszenie Free i Stubb przystanął, by przeczytać je jeszcze raz.

Mieszkaj darmo u FREE. Bez czynszu.

Pomóż ocalić dom. B. Free, 808, South 38th Street.

Na dworze śnieg przestał padać. Warstwa gruba na cal zamieniała się w błoto na chodniku. Stubb poszedł ulicą do jadłodajni, gdzie pulchny młody człowiek siedział za kontuarem, czytając jakieś pismo. Stubb rzucił okiem na zegar za jego plecami i wdrapał się na stołek.

- Kawa - powiedział. - Dużo śmietanki i cukru, Murray. Lubię dużo cukru.

- Wiem, że lubisz, Jim - odparł Murray, stawiając filiżankę na kontuarze. - Roztyjesz się.

- Nie ja.

- Tacy mali faceci jak ty jedzą najwięcej. Nigdy nie tyjecie. Nie wiem, jak to robicie. Ja nic nie jem, a jestem tłusty jak świnia.

Stubb podniósł filiżankę, trzymając ją w obu rękach. Kawa ostygła po wlewniu śmietanki i była słodka jak ulepek.

- Jak ty to robisz, do diabła? Wlewasz ją po prostu do gardła, ot tak?
- Pewnie chciało mi się pić - wyjaśnił Stubb.
- Pewnie tak. Co tam słychać w branży detektywistycznej?
- Raz lepiej, raz gorzej, jak w każdej branży.
- Kawa kosztuje trzydzieści pięć centów.
- Jezusie, nic dziwnego, że jesteś tusty.

Murray podniósł wzrok na wywieszkę, która mówiła: PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI ZARAZ PO ZREALIZOWANIU ZAMÓWIENIA, a potem spojrzął na Stubba, lecz zdawało się, że ten go nie widział. Chwilę później Murray oddalił się na drugi koniec kontuaru, by napełnić pojemnik z serwetkami, a Stubb uniósł się szybko na stołku, zaparł stopami o jego poprzeczki i przechylając się przez kontuar sięgnął po telefon.

- Kręci się tam u was taki klient, wysoki mężczyzna, około sześciu stóp i jednego cala, może jednego siedemdziesiąt czy jednego osiemdziesiąt, biały, gładko ogolony, siwiejące rudawe włosy... Tak, to on, chcę z nimi porozmawiać... Mike, tu Jim. Jak leci?... Ano, pewnie. Dobra... Ano, tak sobie pomyślałem, że tam będziesz w taki wieczór. Nie ma co sobie odmrażać dupy... Słuchaj no, Mike, co by było, gdybym wpadł i wziął to na godzinę? Miałbyś okazję zagrać sobie w kości i może przejrzeć gazetę. Ile dostajesz za godzinę? Siedem pięćdziesiąt?... Mike, nie mówiłem, że chciałbym tyle, zrobiłbym to za pięć, a ty zarobiłbyś na czysto dwa pięćdziesiąt. Wiesz, że robiłem to dla Cliffa, kiedy pracowało nad nim sześciu facetów... Mike, podzielimy się po połowie. Trzy siedemdziesiąt pięć to moja ostatnia oferta.

Rozległ się odgłos zamykanego pojemnika na serwetki. Stubb odłożył słuchawkę i zszedł ze stołka.

- Nie zapłaciłeś za kawę - rzekł Murray. - A to nie jest publiczny telefon.
- Oddam ci - odpowiedział Stubb.

Śnieg znów zaczął padać, płatki dryfowały wokół ulicznych latarni. Stubb ścisnął płaszcz pod szyją. Kiedy był już daleko od jadłodajni, odwrócił się i spojrzął w jej okno, świecące ciągle pomiędzy ciemnymi sklepami: KANAPKI. Wzruszył ramionami.

Dom Free pogrążony był w ciemności. Stubb przeszukał kuchnię, niczego nie znalazł i wrócił w końcu do swego pokoju. Z szuflady komody wyjął pęk kluczy. Włożył je do kieszeni i podszedł do drzwi pokoju naprzeciwko.

Zamek odskoczył ze zgrzytem. Jim wszedł do środka i ostrożnie zamknął drzwi, zanim zapalił światło.

Pokój, znacznie większy od jego pokoju, z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę, wypełniał zapach perfum i nie opróżnianych popielniczek. W kącie leżała brudna bielizna, morelowa, różowa i czarna. Komodę zagracaly słoiczki kremów i buteleczki wody kolońskiej. Na środku, idealnie równolegle do blatu komody, leżał batonik Baby Ruth, rozmiar za dolara. Stubb sięgnął po niego, a potem cofnął rękę.

Szybko przeszukał szuflady, zostawiając nie więcej bałaganu, niż w nich zastał. Zajrzał pod poduszkę i pod materac, a nawet pod wystrzępiony dywanik. Potem zgasił światło, wyszedł do holu i znowu zamknął drzwi na klucz.

Zdażył już przejść kilka kroków, gdy zobaczył czarownicę, która stała po drugiej stronie klatki schodowej i przyglądała mu się. Uśmiechnął się do niej, choć w słabym świetle nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Mam klucz, Madame S. Dała mi go. Chciałem na nią poczekać, ale robi się późno.

Czarownica nie odezwała się. Mógł dojrzeć tylko białka jej oczu i ciemniejszą ciemność, która była włosami.

- Lepiej, gdyby pani o tym nikomu nie wspominała. Sympatyczniej, wie pani, o co mi chodzi?

Powoli znikła. Bez migotania i nie tak nagle jak pękająca bańka mydlana, nie rozwiła się też jak dym i nie stopniała jak paprocie szronu na szybie. Była, a potem jej nie było - pomiędzy jednym i drugim upłynęła chwila, ostrze noża czasu, gdy równocześnie była i już zniknęła.

Stubb stał w holu sam. Obszedł klatkę schodową, aż dotarł do miejsca, gdzie czarownica się pojawiła, wygrzebał papierowe zapalniczki, którymi przypalił wcześniej papierosa Candy, zapalił zapalniczkę i trzymał ją tak długo, wpatrując się w podłogę, aż poparzyła mu palce. Potrząsając głową potarł skroń i wrócił do swego pokoju.

Znów rozebrawszy się do majtek, leżał w ciemności z rękami pod głową. Tkwił tak może z pół godziny, gdy nagle wymamrotał: „Ten Baby Ruth nie obchodzi jej bardziej niż mnie mój własny fiut.”

Pokój Barnes'a znajdował się naprzeciw pokoju Stubba. Był większy od pokoju Jima, ale mniejszy od pokoju dziewczyny, czystszy niż jeden i drugi. Jego ściany ozdabiały reklamy różnych zabawnych gadżetów i nowinek:

- szklanka do picia bez dna;
- pałeczka do mieszania drinków, która dymiła, kiedy zanurzyło się ją w napoju;
- zapalniczka w kształcie psa, która zapalała się, gdy podnosiło się psu tylną nogę;
- gumowa mucha;
- zapalniczka w kształcie sedesu, która zapalała się, gdy podnosiło się deskę klozetową;
- prawdziwa mucha zatopiona w plastikowej kostce lodu;
- talia kart, w której piki i trefle były czerwone, a kara i kiery czarne;
- talia, w której odwrotne strony kart można było rozpoznać w specjalnie zabarwionych okularach;
- talia, w której walety uśmiechały się, królowe mrugały okiem i nęciły gestem, a królowie łypali lubieżnie;
- imitacje spermy, wymiotów i ekskrementów z miękkiego plastiku;

- zegarek z nagą kobietą, której ramiona służyły za wskazówki, z wymalowaną względnie przyzwoitą godziną 6:30;
- i zegarek z cyframi rozmieszczonymi w stronę przeciwną do ruchu zegara.

Obok tego wszystkiego znajdował się obrazek w miarę konwencjonalny. Zawieszony na drążku jak wznoszący się penis, przedstawiał kształtną blondynkę, której sukienka, stanik i majtki znikwały, gdy pokój stawał się wilgotny.

Nie było jednak wilgotno i blondynka występowała w pełnym stroju. Barnes również przyodziął się w wystrzępioną nylonową piżamę i szlafrok. W jego pokoju prócz łóżka i komody umieszczono niewielki stolik i siedział teraz przy nim pisząc list na kwiecistej, opatrzonej złotym herbem papeterii sąsiedniego hotelu Consort. Pisał powoli i z wysiłkiem, a czubek języka wysuwał mu się chwilami z kącika ust. Od czasu do czasu całował stalówkę pamiątkowego pióra.

Droga Lois,

Cudownie mieć wieści od Ciebie. Wiedziałem, że nie będziesz długo żywić urazy. Ja też nie. Już po wszystkim, ale mogło być inaczej. Myślę o tym dużo i ty na pewno też.

Nie mogę zrozumieć, co się stało z alimentami na dziecko. Mógłbym kazać, żeby mój bank wstrzymał czek, ale co by się wtedy stało, jeśli po prostu gdzieś utknął na poczcie i dotrze do Ciebie w porządku. Daj mi znać, kiedy będziesz znowu pisać - jeśli nie, to każę im wstrzymać i wyślę Ci nowy, na serio.

Robię dużo interesów, ale pogoda jest zła i żałuję, że nie jestem na południu jak Ty. Deszcz i śnieg. Wiem, że mówiłaś, bym odwiedził Małego Ozzie'ego i oczywiście, Lois, sędzia też tak powiedział.

Ale nie jestem pewien, czy naprawdę tego chcesz. Powiem Ci coś. Jeśli naprawdę tego chcesz, to kup bilet na samolot i przyślij mi tutaj. (Zaadresuj do pana B. Free, który jest tu naczelnikiem dzielnicy.) Wtedy będę wiedział, że naprawdę tego chcesz, i oddam ci pieniądze, jak przyjadę.

Ucałuj ode mnie Małego Ozzie'ego.

Do zobaczenia.

Duży Ozzie

Gdy skończył list, nakreślił pod swoim podpisem esowaty zygzak. Ostrożnie przykrywszy stalówkę swego pamiątkowego pióra, podniósł list i przeczytał go z widocznym zadowoleniem.

Ponownie wziął pióro do ręki i zaadresował kopertę, skreślając adres hotelu i wpisując adres domu Free. Kiedy list był już złożony i zaklejony, Barnes wyjął ćwierć arkusza znaczków z płytkiej szuflady stolika, oddarł jeden, zwilżył jego odwrotną stronę końcem spracowanego języka i zwracając ogromną uwagę, by umieścić znaczek w odpowiednim miejscu koperty, przykleił go do góry nogami. Sprawdziwszy, że znaczek się trzyma, dołożył list do niewielkiej kupki podobnych listów po lewej stronie stolika, wstał i przeciągnął się. W

samych skarpetkach podreptał przez pokój do wyłącznika światła. Zaciągnięcie zasłon w jednym oknie pogrzyżyło pokój prawie w zupełnej ciemności. Znow zaszeleściły stopy na deskach podłogi, a potem rozległo się ledwo słyszalne skrobnięcie, gdy odchyłał obrazek z kształtną blondynką w znikającej sukience.

W dziurze w ścianie pokoju nie pojawiło się światło. Pogmerał w niej palcem, a w końcu wepchnął tam swoje pamiątkowe pióro. Kiedy upewnił się, że weszło luźno, ulokował obrazek na miejscu i znow włączył światło. Podniósł z łóżka pognieciony i poplamiony szmatławiec i zaczął czytać drobne ogłoszenia.

ROZDZIAŁ 3

Kobiety

Stubb zasnął, lecz obudził go hałas. Włączył światło i otworzył drzwi, żeby oświetlić ciemny hol. Candy leżała w połowie schodów, próbując się podnieść.

Odnalazł jej torebkę, zawiesił sobie na ręce i zapierając się stopami na zniszczonym drewnie, wsunął dłonie pod pachy dziewczyny.

- Trzymaj się poręczy - rzucił.

O mało nie przewróciła się do tyłu, pociągając go za sobą.

- Jezusie!

- Szysko w porządku - powiedziała. - Dopsze się czuję. Język zgrubiał jej tak, że słowa były ledwie zrozumiałe. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie wie, czy szła na górę, czy na dół.

- Chcesz do toalety? - zapytał. - To tędy na górę. Potrząsnęła głową.

- Idę łóżka.

- Dobra. Twój pokój też jest na górze. Jezusie, co ty piąłeś?

- Było maciupkie przyjonko.

- Jeszcze jakie.

Wsunął rękę pod jej kolano i podniósł je, aż stopa Candy znalazła się na stopniu, na którym Stubb stał.

- No dalej, dasz sobie radę. Trzymaj się poręczy. Szarpnął nią z całej siły, a ona się zakołysała.

Gdy już dociągnął ją na górę, było łatwiej. Na wpół nią sterując, na wpół ją niosąc, dowlókł się do drzwi pokoju. Klucz, przywiązany łańcuszkiem do zajęcej nóżki, był na wierzchu torebki.

Zdjął jej z ramion płaszcz i doprowadził ją do łóżka, a potem zamknął drzwi i przekręcił klucz. Candy zatoczyła się, grzebiąc gdzieś z boku swej spódnicy, i o mało się nie przewróciła.

- Już dobrze - powiedział. - Idź spać. I tak nie mam szmalu.

Ręce grubej dziewczyny opadły bezsilnie.

- Rozebrać.

- Do diabła, nic ci się nie stanie, jak prześpisz się w ubraniu.

Znów zaczęła grzebać przy zamku spódnicy.

- Dobrze, nie chcę, żebyś się zataczała po pokoju i zrobiła sobie krzywdę. A co się stało z twoimi butami? Niech to diabli, to się trzyma lepiej niż ty.

Zamek błyskawiczny był już otwarty, a może nigdy nie został zasunięty. Kiedy Stubb odpiął haftkę, pomiędzy dwoma końcami paska a spódnicy pojawił się otwór szeroki na dłoń.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Jej bluzka zapinała się z przodu. Przebiegł zręcznymi palcami po guzikach, ściągnął bluzkę i przerzucił przez wezgłowie łóżka. Brzuch Candy, biały, miękki jak żelatyna i tak nadęty, że przypominał balon, zwisał znad gumy od majtek i podpierał nabrzmiałe piersi w opadającym staniku. Zakołysała się i wzięła brzuch w dłonie, podnosząc go i głaszcząc, jakby chciała wynagrodzić mu niewygodę, które znosił.

- Candy, gdybyś liczyła im od kilograma, zrobiłabyś fortunę.

Beknęła.

- Pizza. Mnóstwo pizzy. Poszłam do niego do domu. Marty.

- Myślałem, że oni wszyscy mają na imię John. Znów beknęła.

- Sprzedają pizzę albo robią kotły. Stubb potrząsnął głową.

- Dał ci coś, czy wynagrodziłaś sobie w jedzeniu i picciu? Nieoczekiwanie gruba dziewczyna zrobiła dwa chwiejne kroki do tyłu i upadła na łóżko. Stubb podniósł jej stopy na materac i przekręcił ją na bok. Koło komody stał metalowy kosz na śmieci wypełniony do połowy pomiętymi chusteczkami higienicznymi. Postawił go na podłodze niedaleko głowy Candy. Oczy jej się otworzyły i zamknęły z powrotem.

- Jeśli ci się zrobi niedobrze, użyj tego - powiedział. - Nie kładź się na plecach. Mogłabyś się udusić. - Ułożył poduszkę pod ramionami dziewczyny i przykrył ją kocami. - Cóż, nie zamarniesz dziś w nocy, jak zakręcą gaz. Może tylko ty jedna.

Na dźwięk głosu jej usta wykrzywiły się w uśmiechu, a potem zaczęła chrapać. Kucnął na podłodze i rzucił torebkę na dywanik. W paczce Viceroyów były jeszcze cztery papierosy, wziął jednego, zapalił i zaciągnął się głęboko. Jeśli w ogóle miała portfel, już go tu nie było, znalazł jednak kilka luźnych banknotów pomiędzy brudnymi chusteczkami, opakowaniami gumy do żucia i zużytymi szminkami. Dwanaście banknotów jednodolarowych, dwie dwudziestki i kilka dolarów w drobnych monetach. Wziął pięć jedynek i jedną z dwudziestek i zrobiwszy z nich zwitek wepchnął go w krok swoich majtek.

- Zarobiłem je dzisiaj, Candy - powiedział cicho do śpiącej dziewczyny. - Przez chwilę myślałem, że razem zlecimy z tych schodów.

Resztę wsypał z powrotem do torebki.

Na dachu stary Ben Free rozmawiał z czarownicą.

- Zbliża się - oznajmił. - Mam wrażenie, że już to słyszę.

- Ja nie - odrzekła. - Ale ma pan rację. Nadciąga tak szybko. Niebawem będzie w Pannie.

Śnieg znów przestał padać, lecz dach zdążył się pokryć puszystą warstwą. Nogi starego człowieka, obute w boty, zostawiły rozczłapane ślady, jakie zostawiać mógłby niedźwiedź. Ślady czarownicy były tak drobne i ostre, że mogłaby je pozostawić łania. Miejscami w ogóle nie było ich widać. Niebo się przejaśniło. W świetle księżycy cienie wydawały się ciemnoniebieskie.

- Ja myślę o tej przeklętej kuli do burzenia - wymruczał starzec.

- Ja o Saturnie. To to samo.

- Bzdura.
- I pan to mówi, pan, który już słyszy, jak się kołyszecie? Wydawało się, że jej nie usłyszał.
- W każdym razie zastaną mnie tak, jak zawsze się tego spodziewałem. To była długa gonitwa...

- Lata, ma pan na myśli lata.
- Sama wie pani najlepiej, inaczej nie byłaby pani ze mną na dachu.
- To kogo ma pan na myśli, wobec tego?
- Nie pani sprawa.
- Chciałam dać panu wyjście godne dżentelmena, ale panu to nie odpowiadało. Woli pan niegrzeczność, panie Free? Ja nie.

Czarownica postawiła stopę na parapecie i unosząc czarną spódnicę w udawanym ukłonie, weszła na występ muru i zaczęła po nim iść.

- Spadnie pani - ostrzegł starzec. - Skręci pani swój głupi kark.
- Nie bardzo się tym przejmuję, panie Free, i właśnie dlatego nie spadnę. Tak czy owak, powiadają, że spadamy wolniej od innych. Utrzymujemy się na powierzchni wody, kiedy się nas zanurza, i jeśli tylko jest najcieńsza warstewka lodu, możemy biec ponad śniegiem jak wilki.

- I w dodatku pani kłamie.
- Nie ja. - Czarownica zaśmiała się. Jej śmiech był czysty, a mimo to nieprzyjemny. - Kłamałam, gdy byłam dzieckiem, przynajmniej. Ale wkrótce odkryłam, że prawda jest bardziej niepokojąca.

- Zaraz mi pani powie, że wiedziała gdzie jestem, i dlatego pani tu przyszła.
- Bynajmniej. Jestem tak samo bez środków do życia jak cała reszta albo prawie tak samo. Tak jak oni staram się utrzymać z mojego sprytu. I choć chciałabym sądzić, że mam go więcej od nich, żyję tak samo kiepsko jak oni.

Free spojrział na nią i potrząsnął głową.

- Ale jesteś z tego dumna, dziewczyno. Kimkolwiek jesteś, dumy na pewno ci nie brakuje.

- Kimkolwiek jestem, jestem tym, kim być najlepiej. Jestem jedyną znaną mi osobą, która nie jest głupia.

- Wyjąwszy mnie, jak przypuszczam.
- Mówi pan, że czeka na zniszczenie i własną śmierć. Na pana miejscu cieszyłabym się z tego. Pana to jednak nie cieszy, a mimo to pan nie ucieka.

- Tam, skąd pochodzę, mężczyźni niełatwo umierają. Kobiety też nie.
- Należała mi się połajanka. Dlaczego pan nie ucieknie? Nawet jeśli nie ma pan pieniędzy, są miejsca, gdzie przyjmą bezdomnego starego człowieka.

- Nie mogę. Nie zrobię tego. Myśli pani, że widzi trzydzieści stóp w głąb ziemi, co, dziewczyno? Niczego pani nie widzi.

- Czego nie widzę, panie Free?

- Myśli pani, że ja, tak jak tu z panią rozmawiam, to już cały ja. Czy nie wie pani, że po obu stronach kuli ziemskiej nie ma człowieka, który mieściłby się cały w swojej skórze?

- Jest coś w tym, co pan mówi.

- Uważa pani, że te mury są moje. Ja mówię, że te mury są mną. Tutaj zacząłem. Tutaj przychodziłem lizać moje rany przez - cóż, mnóstwo lat. Dłużej niż całe moje życie. Tutaj będę żył, póki one stoją, i tutaj umrę, gdy zostaną zburzone. Widzi pani ten komin? To tak samo ja, jak ten, z którym pani rozmawia.

- Wobec tego nasza czwórka mieszka wewnątrz pana. Uważam, że to zabawne. Jak robaki w ciele trupa. Bardzo dobrze, panie Free. To może przemówi pan do mnie przez komin? Czy też przewód dymny zachrypl panu od palenia?

Jedna z dachówek wysliznęła się spod stopy czarownicy, która również o mało nie spadła. Dachówka roztrzaskała się na chodniku dwa piętra niżej.

W miarę jak upływała noc, w starym domu robiło się zimno. Barnes zdjął koce z łóżka. Jeden owinał wokół ramion, drugi wokół nóg.

Droga Skrytko 188B, Nie wiem, jak inaczej do Ciebie mówić, więc tak Cię będę nazywał. Myślę, że to ładne imię. I to znaczy, że jesteś samotna, ja też. To chyba gra słów, ale pewnie tak jest naprawdę. 88 przypomina mi fortepian, który ma 88 klawiszy. Kiedyś grałem i założyłem się, że Ty też umiesz grać. Prawdę mówiąc, nigdy nie byłem w tym zbyt dobry, ale podziwiam ludzi, którzy to umieją. Teraz, ponieważ jestem komiwojażerem i mieszkam w hotelach, nigdy nie mogę ćwiczyć. Be to Bombowa. To dla mnie damska litera, zawsze taka była. A i Ha są męskie i Ja też. (Znów gra słów.) Ponieważ jestem komiwojażerem, założę się, że potraktujesz mnie jak jednego z tych facetów, którzy ruszają w drogę i zdradzają żonę. Ja jestem samotny (rozwiędziony), naprawdę. W Twoim ogłoszeniu przeczytałem, że jesteś Żydówką. Ja jestem gojem. Nie mam uprzedzeń i nie wiem, czemu Ty miałabyś je mieć. Mam 35 lat, 5 stóp 9 cali, czarne włosy i wąsy. Ale nie jestem Murzynem. Jestem biały, oczywiście.

Jeśli chciałabyś mieć moje zdjęcie, przyślij mi swoje, a ja od razu wyślę moje.

Być może Twój

Osgood Barnes

Kiedy już się przyjrzał listowi i zakleił kopertę, zrzucił koce, wstał i przeciągnął się. Przez moment spoglądał w zamyśleniu na obrazek kształtnej blondynki, która była teraz całkowicie ubrana. Potem przebiegł go dreszcz i zgasił światło.

Tym razem jego wysiłek nie pozostał bez nagrody. Przez dziurę sączyło się światło. Przyłożył oko do otworu, wydrążonego ledwie parę cali ponad blatem komody czarownicy, gdzie rzucał nań cień jakiś duży przedmiot (nigdy się nie dowiedział, co to było). Widział prawie całe łóżko, dużą część pokoju i fragment drzwi.

Czarownica siedziała na łóżku, zupełnie ubrana, nerwowo paląc długiego papierosa, który miał lawendowy papier ze szkarłatnym końcem. Przez moment Barnesowi wydawało się, że

patrzy wprost na niego. Wypuściła smugę dymu i wstała. Cofnął się instynktownie, jakby oczekiwał, że zapalony koniec papierosa pojawi się w dziurze.

Kiedy spojrzął ponownie, siedziała znów na łóżku trzymając szczotkę. Wyciągnęła szpilki z włosów, które opadły jak kaskada nocy. Wraz z nią cichutko liczył muśnięcia. Raz, dwa, trzy... Potem zdał sobie sprawę, że wcale nie liczyła, lecz szczotkowała włosy w rytm wierszy, które szeptała w obcym języku. Przestał liczyć, ale był pewien, że dawno przekroczyła sto, gdy wyrzuciła papierosa i opuściła szczotkę. Chwilę później usłyszał stuknięcie o blat komody. Znów pojawiła się w polu widzenia. Miała opuszczoną głowę, bo wyjmowała szkła kontaktowe.

Przewidywał, że się rozbierze, i nie zawiodła jego oczekiwań, najpierw zdejmując buty. Były małe, na ostrym obcasie, zrobione zapewne z czarnej kozłej skóry, teraz mokre i znoszone. Nim je odstawiła, krytycznym wzrokiem przyjrzała się obu podeszwow.

Jednym łatwym ruchem zdjęła przez głowę sukienkę, a potem cicho poszła w stronę szafy, zapewne po to, by powiesić ubranie. Pod spodem miała czarny gorset z podwiązkami i Barnes był w ekstazie. W tym miejscu jednak jakby straciła zainteresowanie dla całej sprawy. Chodziła tam i z powrotem po pokoju i wygadała zupełnie jak pantera przemieniona przez jakieś nie dokończone czary. Barnes zdjął obrazek ze ściany, wyprostował się na moment, by ulżyć plecom, i znów spojrzął.

Jej dłoń mignęła tuż obok dziury w ścianie. Chwilę później wyraźnie poczuł pachnący dym. Zapaliła kolejnego papierosa i dalej przemierzała pokój. Ostrożnie ujął oparcie krzesła stojącego za stolikiem i przyciągnął krzesło do siebie, a potem odkrył, że siedząc na nim, nie może patrzeć. Przypomnił sobie o skrzynkach na próbki towarów i już miał przynieść jedną z nich, by ją położyć na krzesło, kiedy czarownica podeszła do szafy. Gdy otworzyła drzwi, dostrzegł błysk szkarłatu, a potem usłyszał, jak puka do jego pokoju.

ROZDZIAŁ 4

Starzec

- Witam, panie Stubb - rzekł Free. - Nie myślałem, że spotkam pana w mojej kuchni o takiej porze, ale jest pan mile widziany. Mogę zapytać, co też no pana tu sprowadza?

- Głód, proszę pana - odparł Stubb. - Głód i ciekawość. Stary człowiek potarł czoło wielką, sękatą ręką.

- Chce pan, bym się zawstydził, żeśmy nie zostawili panu trochę tego, co pan Barnes przyniósł z wieczora. Ano, ma pan rację i ładnie się to panu udało, panie Stubb. Przepraszam z całego serca.

Stubb machnięciem ręki przerwał usprawiedliwienia.

- Z tego, co słyszałem, to były pieniądze tej całej Serpenty. Poza tym pewnie pan myślał, że jadłem gdzieś indziej.

- Nic nie myślałem, panie Stubb. Tak właśnie było. Moje myśli wędrowały gdzieś daleko, zajęte dawnymi czasami.

- Wszystkim nam się to zdarza - zauważył Stubb. - I nie chciałem pana zmartwić mówiąc, że jestem głodny. Widzi pan, zdobyłem dziś wieczór trochę pieniędzy, udało mi się komuś pomóc w potrzebie. Bar, gdzie zwykle jadam, był zamknięty, więc poszedłem do spożywczego, który jest otwarty całą noc, i kupiłem mrożonkę. Podgrzewa się właśnie w pana elektrycznym piecyku. Pieczony kurczak, puree z ziemniaków i fasolka szparagowa. Jeśli chce pan trochę, bardzo proszę.

- Nie, nie, jadłem kolację dzięki Madame Serpentine i panu Barnesowi. W każdym razie miło zjeść coś ciepłego i życzę panu smacznego, panie Stubb. Niech no się pan poczęstuje moją herbata, jeśli coś zostało.

Starzec zaczął się wycofywać, lecz Stubb powstrzymał go gestem.

- Jest jeszcze jedna rzecz, proszę pana. Ciekawość, powiedziałem. Pamięta pan?

- A o co się rozchodzi, panie Stubb?

- Kiedy się ubierałem, żeby wyjść na dwór, usłyszałem dziwne hałasy.

- Stare domy, takie jak ten, skrzypią sobie czasami - powiedział ogólnikowo Free. - Łatwo to zrozumieć.

- W wietrzne noce, owszem. Poza tym prawie każdy dom skrzypi i jęczy, gdy robi się w nim zimno. Ale wtedy gaz nie był jeszcze zakręcony. Wychodziłem też dzisiaj dwa razy na dwór i nie zauważyłem zbyt silnego wiatru, choć wcześniej po południu wiało. Nie, panie Free, wsłuchiwałem się w te hałasy przez chwilę i uznałem w końcu, że ktoś chodzi po dachu.

Stary człowiek kiwnął głową, podszedł do kuchennego stołu, przy którym siedział Stubb, odstawił krzesło i usiadł.

- Nie była to Candy Garth, bo akurat znajdowałem się u niej. Nie był to także Barnes. Jego pokój jest naprzeciw mojego i wystarczyło, że wystawiłem głowę i usłyszałem, jak

skrzypi jego krzesło i skrobie pióro. Siedział tam, coś pisząc, prawie cały czas, odkąd tylko zjedliście kolację. Mogła to być ta cała Serpentina - w jej pokoju światło się nie paliło - ale nie sądziłem, żeby była dość ciężka. Pozostał tylko pan, więc zanim wyszedłem, zajrzałem do pana pokoju na dole. Powinien się pan nauczyć zamykać drzwi, kiedy pan wychodzi.

- Czasem mnie nie ma - wyjaśnił łagodnie starzec. - Wszystko, co tylko warto było ukraść, już dawno ktoś zabrał.

- Słyszałem już przedtem ludzi, którzy tak mówili, ale zawsze zanim ich okradziono. Nigdy potem. W każdym razie właśnie kiedy miałem wyjść, o mało nie uderzyła mnie w łeb dachówka. Wiedziałem, że to dachówka, bo podniosłem kawałek i przyjrzałem mu się, gdy już dotarłem do sklepu. Nie sądzę, by ktoś się zasadzał na mnie, bo nie przeszedłem jeszcze przez próg, kiedy spadła. A jednak, do diabła, o mało mnie nie zabiła i chciałbym widzieć, co tam się działo.

- Miał pan rację co do mnie - przyznał stary człowiek. - To na pewno moje kroki pan słyszał. Ale mylił się pan, jeśli chodzi o Madame Serpentine. Była ze mną.

- Aha - rzekł Stubb.

Zdjął okulary, chuchnął na nie i włożył z powrotem, jakby czekając na dalszy ciąg.

- Przykro mi z powodu tej dachówki. Naprawdę mi przykro. Nie miałem pojęcia, że ktoś mógł być na dole o tej porze nocy.

- Więc to pan ją zrzucił?

- Ja za to odpowiadam - odparł starzec. - Dobrze pan zrozumiał. Próbowałem pokazać coś tej dziewczynie.

- Pokazać co?

- Nie chcę pana zirytować, panie Stubb, ale myślę sobie, że to nie pana interes. No i kolacja jest prawie gotowa. Szczęściarzem z pana, że nie odcięli jeszcze elektryki. Lepiej niech pan to teraz wyciągnie.

Stubb rzucił okiem na nagi przegub.

- Pewnie ma pan rację. Zostawiłem zegarek na górze.

- Mam nadzieję, że zamknął pan pokój. Tak czy siak, gotowe. Czuję, jak pachnie.

Stubb wyłączył piecyk i zaniósł na stół tackę przykrytą folią aluminiową.

- Jest pan pewien, że nie chce trochę? Starzec potrząsnął głową.

- Panie Free, to, co pan robi, to nie moja sprawa, przyznaję. Ale mogłaby być moja, gdyby tylko pan zechciał.

- Mają zamiar rozebrać ten dom. Mówiłem o tym panu.

- Mhm. - Stubb wyszukał nogę kurczaka i odgryzł kawałek mięsa.

- Zamknęli mi gaz z godzinę temu. Jutro odłączą prąd i przyjdą robotnicy. Chcę, żeby mi pan pomógł utrzymać się tu do końca. Mówiłem panu o tym.

- Pamiętam, że pan mówił - potwierdził Stubb. - Pomogę panu.

- Gdyby udało nam się coś zrobić, żeby te ściany dalej stały, to byłaby jedyna pomoc, jakiej mi trzeba. Jeśli nam się nie uda, nic już mi się nie zostanie. - Free urwał. - Pewnie tylko umrzeć, ale stary Ben Free nie umiera bez walki.

- Kocha pan ten dom.

- Pewnie kocham. Mam się tego wstydzić, panie Stubb?

- Każdy musi coś kochać.

Starzec kiwnął głową.

- Wierzę, że tak właśnie jest. Kocham ten kraj, jak myślę, a przynajmniej kiedyś kochałem. Kochałem kiedyś żonę i córkę. A pan co kocha, panie Stubb?

Stubb przeżuł i przełknął kęs jedzenia.

- Nie wiem. Moją pracę, być może, jak ją dostanę. Nie mam kobiety ani domu.

- Jest pan detektywem, tak pan powiedział?

- Jestem detektywem operacyjnym. Żeby być prawdziwym prywatnym detektywem, musiałbym mieć licencję. A tak, prywatni inspektorzy dochodzeniowi z licencjami wynajmują mnie, żebym robił robotę, za którą każą płacić swoim klientom. Jeśli pan weźmie lekarza i aptekarza sprzedającego panu aspirynę, którą tamten zapisał, to będzie pan niedaleko.

- Sądzę, że lepiej byłoby wziąć przykład farmera i wyrobnika. Farmer ma ziemię. Mówi: „Czas zaorać pod jare żyto”, a orze i sieje jego wyrobnik. On dostaje zapłatę, a farmer zbiera plony.

- Bardzo dobrze pan to zrozumiał, proszę pana.

- Tak też sobie myślałem. - Starzec cofnął krzesło. - Zrobię panu trochę herbaty do kolacji.

- Skończę, zanim zagrzeje pan wodę, panie Free. Nic mi nie trzeba.

- W każdym razie naleję panu szklankę wody. Sam kiedyś byłem wyrobnikiem - cicho zaśmiał się Free. - Najemnikiem za marne pieniądze.

Stubb uprzejmie kiwnął głową.

- To było w Podniebnej Bramie. - Starzec machnął ręką w stronę sufitu. - To stamtąd przybyłem na początku.

- Aha. A jak się pan tutaj dostał, panie Free?

- Och, własnymi siłami. Tu i do wielu innych miejsc. Nikt mi nie pomagał. Upuszczę jeszcze trochę, to będzie zimna.

- Świetnie.

- Mógłby pan rzec, że byłem głupcem. Ano cóż, nie myliłby się pan.

Stubb znów przełknął kęs.

- Sam zrobiłem kilka dość głupich rzeczy.

- Przygoda, oto czego chciałem. Zbawić świat. Przyjechałem tu w poszukiwaniu nowego świata, ale przez te wszystkie lata nie zobaczyłem nawet skraweczka, a teraz pewnie by mi

już nie zależało. Niebezpieczeństwo? Mnóstwo ich czyhało, tu i tam. Miłość? Było tego trochę, ale nie dość, by to się opłacało, jeśli wie pan, o co mi się rozchodzi. Ból, samotność. Mnóstwo jednego i drugiego. Chciałbym się cofnąć za siebie, ale już jest za późno. Jestem stary.

- Bilet na autobus nie kosztuje drogo, panie Free.

- Ja mam swój bilet, panie Stubb. Tam nie zabierze pana żaden autobus, ale ja mam bilet. Ocaliłem go i nadal będę chronił, choć nie może mi już nic pomóc. Jest ciągle tam, gdzie go zostawiłem, tam w ścianie.

- W ścianie? Free przytaknął.

- Widzi pan, bałem się, że go stracę i tam go schowałem. Niech no mnie pan posłucha, panie Stubb, a powiem panu, o czym wie niewielu ludzi. Większość z tych, co pojechali, straciła swoje. Niektórzy swoje wykorzystali i wrócili. O ile mi wiadomo, jestem jedyny, który nigdy nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Tyle że pewnie można by powiedzieć, że ja też swój straciłem, bo teraz nie mogę się nim posłużyć.

- Nie mam bladego pojęcia, o jaki może bilet chodzić, do diabła - oświadczył Stubb. - Ale jeśli pan chce, pomogę panu go znaleźć.

Stary człowiek westchnął i postawił na stole szklanę wody.

- Może by pan i potrafił. Jeśli nie zburzą domu, zobaczymy. - Odchylił się na krześle, opierając się całym ciężarem na poręczach.

- A jeśli ta cała Madame Serpentina sprawia panu jakieś kłopoty, zrobię, co mogę, żeby panu pomóc. Wystarczy, że mi pan powie.

- Ona jest bardziej podobna do pana, niż pan myśli, panie Stubb. Przypuszczam, że też by mi pomogła, na swój sposób.

- Serpentina to dla niej dobre nazwisko, jeśli by mnie kto pytał o zdanie. Jakby ukąsiła królika, toby zdechł. Znam takie.

Stubb napił się łyk wody i zaczął zbierać na widelec resztki puree z ziemniaków.

- Tam, skąd pochodzę, wszędzie były króliki - powiedział łagodnie starzec. - Niedźwiedzie także, i jelenie. Tu nigdy żadnego nie widziałem. Ani innych zwierząt, może oprócz gołębia czy szczura. Wy tu nie macie pojęcia, jacy jesteście ubodzy. - Wyprostował się, poruszając ramionami, które wciąż były szerokie. - Nie ma już tych wszystkich stworzeń, panie Stubb, tak samo jak i mnie już wkrótce nie będzie. Zniknęły na zawsze.

Stubb zerwał się na nogi. Nim dopadł drzwi, salon za nimi był pusty. Pokój Free również.

Wracając do kuchni zdjął okulary i wyciągnął prawie czystą chusteczkę. Kiedy już dokładnie przetań szklę, wyjął z kieszeni koszuli notes oraz automatyczny ołówek i wykrzywiając twarz w pracowitym grymasie zapisał coś niemal mikroskopijnym pismem. Gdy skończył, przejrzał poprzednie strony, wyrwał kilka z nich i zgniół w kulki, które rzucił na pustą tacę.

Uczyniwszy to wszystko, zaniósł tacę pełną papierów i kości kurczaka do pojemnika na śmiecie. Gdy ją tam wrzucił, zza pojemnika wybiegła mysz. Stubb zamarł. Mysz zatrzymała się, by mu się przyjrzeć, przysiadając na tylnych łapkach jak mały kangur. Stubb powoli otworzył scyzoryk i wyjął ostrza na obu końcach. Drugie z nich trzasnęło lekko wskakując na miejsce i mysz popędziła dalej w bezpieczne miejsce. Stubb rzucił, lecz chybił o stopę.

Na dworze świeży śnieg skrzył się pod gwiazdami. Stubb rozkopał go, by znaleźć odłamki dachówki, a potem postawił kołnierz i ruszył przed siebie, przystając od czasu do czasu, by spojrzeć w górę.

Kobieta za kontuarem podniosła wzrok i uśmiechnęła się, kiedy wszedł.

- Mój najlepszy klient.

- Tak, to ja. Jestem jedyny tej nocy?

- Nie było żywej duszy. W każdym razie odkąd był tu pan przedtem. Jeszcze czegoś panu potrzeba?

- Zapomniałem kupić gazetę - odparł Stubb.

- Te są już wczorajsze. Jeśli zechce pan poczekać ze dwadzieścia minut, przyjdą nowe.

- Może... - Stubb wziął do ręki gazetę.

- Napije się pan kawy? Na koszt firmy.

- Pewnie, zimno na dworze.

- Firma nam ją daje, żebyśmy mogli wydawać policjantom z wozu patrolowego. Jak oni tu po nią przychodzą, to nie okradają nas tak często. No i sami ją pijemy i częstujemy innych, tylko nie możemy wstawić pierwszego czajnika przed północą. Czego pan szuka?

- Artykułu o nowej autostradzie - odrzekł Stubb.

ROZDZIAŁ 5

Wizyta

- Chwileczkę - zawołał Barnes. - Jedną chwileczkę.

W ciemności nie mógł odnaleźć obrazka. Szukał go po omacku, bez rezultatu, więc zanurkował ku wyłącznikowi światła. W końcu spostrzegł go, zakrył dziurę w ścianie i otworzył szeroko drzwi.

- Przepraszam bardzo - rzekła czarownica. - Spał pan. Powinam się była domyślić.

- Nie spałem. Jestem zupełnie przytomny. Przysięgam. - Potknął się cofając. - Nie wejdzie pani?

Skinęła głową i weszła do środka. Bez kozaczków na wysokim obcasie jej głowa sięgała Barnesowi ledwie do ramienia. Szkarłatny peniuar, który ścisnęła pod szyją, był orientalny, haftowany w wijące się czarne smoki. Z długimi czarnymi włosami mogłaby uchodzić za Chinkę.

- Taki pan uprzejmy, panie Barnes. Ma pan powody, żeby być na mnie zły.

- Nigdy!

Krzeseł wciągnęło stało na wprost obrazka z blondynką w sukience. Złapał je w śmiertelnym pośpiechu i podsunął dziewczynie. Dopiero kiedy zgodziła się usiąść, sam przysiadł na łóżku.

- Widzę, że ponaklejał pan obrazki. Mogłam się domyślić, że będzie pan jedynym z nas, który pofatyguje się ozdobić swój pokój.

- To jest towar, który sprzedaję - wyjaśnił Barnes. Odchrząknął. - Kiedy mam tutaj obrazki, pamiętam o tych rzeczach i myślę nad tym, co mogę o nich opowiedzieć.

- System - powiedziała czarownica z podziwem. - Ma pan rację, panie Barnes. System jest wszystkim.

Jej oczy, dotychczas raczej władcze niż zachęcające, zaczęły tajać.

- Staram się - odparł Barnes.

- Często z dużym powodzeniem, jestem pewna. - Czarownica puściła kołnierz peniuaru i skromnie złożyła dłonie na kolanach, pozwalając Barnesowi dostrzec dekolt i trójkąt czarnego gorsetu. Wydawało się, że pierwszy raz zauważyła haczyk, na którym wisiał obrazek z blondynką. - I do tego jest pan religijny. Jakie to niespotykane u mężczyzny! Panie Barnes, przyszedłam do pana po pomoc.

Przełknął ślinę.

- Jeśli ma pani na myśli finansową, obawiam się...

- To ja dałam panu wieczorem pieniądze na nasze jedzenie. Zapomniał pan?

- Nie, proszę pani, bynajmniej, i obiecuję, że gdy dostanę moją prowizję...

- Nie trzeba. Chciałam tylko panu uświadomić, że nie chcę od pana pieniędzy. Inne kobiety, które pan znał, bez wątpienia żądały ich zawsze w taki czy inny sposób.

- Nie, nie - odparł Barnes. - Ależ bynajmniej.

- Naprawdę? To jest pan wyjątkiem. W każdym razie proszę pana o pomoc, panie Barnes. Chciałabym przyjąć pana pod mój sztandar, jeśli można się tak wyrazić.

- Co tylko w mojej mocy, proszę pani, byłbym zachwycony...

- Może najpierw powinien mnie pan wysłuchać. Wierzy pan w rzeczy nadprzyrodzone?

- Cóż, hm... - Przez moment Barnes wydawał się zakłopotany. - Nie mogę szczerze powiedzieć, czy wierzę, czy nie. Chyba należałoby stwierdzić, że zawsze sądziłem, iż są rzeczy, o których nikt do końca nic nie wie, ale szczerze mówiąc nie zastanawiałem się nad tym za wiele. Nigdy nie uważałem, że to mnie dotyczy. Może dowiemy się, kiedy umrzemy.

- Nie ma powodu, żeby tak sądzić, panie Barnes. Ludzie są skłonni wierzyć, że na tym świecie świat wyższy jest ukryty, a na tamtym świecie zostanie ujawniony. Ale czyż nie jest możliwe, że to właśnie tutaj świat wyższy jest przed nami odkryty i jeśli pomrzemy w niewiedzy o nim, pozostaniemy w tej niewiedzy również na tamtym świecie?

- Nie wiem - przyznał Barnes.

- Jest pan mężczyzną i na pewno większe wrażenie zrobiłaby na panu nauka niż symbolizm mistyków. Powiedziałabym zatem, że mówiąc o wyższym świecie, mówi się o wyższym stanie energii. Przecież przyzna pan, że prawie zawsze to właśnie mamy na myśli, kiedy mówimy o wysokości. Na przykład kamień na szczycie góry posiada większą energię potencjalną niż kamień na dnie stawu. Jeśli jeden koniec pogrzebacza jest czerwony, mówimy, że ma wyższą temperaturę, czyli jego energia termiczna jest wyższa. Kiedy umieramy, prawem entropii, które uznają wszyscy naukowcy, przechodzimy z wyższego stanu do niższego. A skoro będziemy wtedy dalej od wyższego świata, jakże mamy zobaczyć go wyraźniej?

- Obawiam się - odezwał się Barnes - że o nauce wiem tyle, ile o świecie nadprzyrodzonym. Prawdę mówiąc często wydaje mi się, że tu i tu chodzi o to samo.

Czarownica kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Idealne zęby zabłyśły w jej ciemnej twarzy.

- Zaiste, są sobie bliższe niż większość naukowców lub większość mistyków chciałaby przyznać, panie Barnes. Jeśli dałam panu pierwszą lekcję nauk ścisłych, niech dam także pierwszą lekcję mistycyzmu, żyjemy otoczeni znakami - znakami, których w naszej ślepotce często nie potrafimy odczytać. Ja jestem takim znakiem i pan jest takim znakiem, i łóżko, na którym pan siedzi, też jest takim znakiem. Gdybyśmy wiedzieli, co te wszystkie znaki wyrażają, byłibyśmy stworzeniami wyższego rzędu. Gdybyśmy wiedzieli, co znaczy choćby niewiele z nich, posiadlibyśmy władzę i wielkie bogactwa. Rozumie pan?

- Myślę, że tak - rzekł Barnes.

- Powietrze i światło są zatem znakami życia, a pył i kurz znakami śmierci. Jeśli my, widząc gwiazdy, nie widzimy, co jest ponad nimi, jakże mogą dostrzec to ci, którzy zamieszkują pod korzeniami drzew w krainie robaka, kamienia i wody? Mówię panu, panie Barnes, wiedza przychodzi do tych, którzy jej szukają, widzenie do tych, którzy mają oczy otwarte, a zrozumienie do tych, którzy mają umysł zaprzątnięty tajemnicami.

- Pięknie powiedziane - pochwalił Barnes. - Rozumiem, dlaczego pani w to wierzy, hm...
- Nazywam się Madame Serpentina. Może się pan tak do mnie zwracać.
- Wiem. Ale myślałem, że może... cóż, może byłoby bardziej po przyjacielsku, gdyby nazywała mnie pani Ozzie.

- Bardzo dobrze, będę mówić do ciebie Ozzie, ale ty będziesz do mnie mówić Madame Serpentina.

- Oczywiście, Madame Serpentina, jeśli tak sobie pani życzy. Chciałem powiedzieć, że teraz, gdy słyszałem, jak dobrze to pani ujęła, gdybym umiał sprzedawać mój towar tak, jak pani sprzedaje swoje idee, byłbym bogaty. Wierzę w to. Tylko nie wiem, czego pani chce ode mnie.

Czarownica znów się uśmiechnęła.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem, mój Ozzie. Masz zmysł praktyczny, zdolność przekonywania, odznaczasz się w nadzwyczajnym stopniu męską siłą charakteru. Czegóż mogłaby chcieć od ciebie kobieta?

Oczy Barnes'a powędrowały ku stosowi listów na stole.

- Cóż, jak pani sama mówiła, Madame Serpentina, większość z nich chce pieniędzy.

- Twojej ochrony, twojej odwagi, siły i sprytu u jej boku. Ale, Ozzie... - Pochyliła się do przodu i ujęła jego dłonie w swoje, które wydały mu się zimne jak lód. - Najpierw musisz zrozumieć, że jestem tym, kim mówię, że jestem. Nazywano mnie czarownicą i rzeczywiście sama tak o sobie mówiłam - *witch* to najlepsze angielskie słowo na to, kim jestem. Wiesz, co ono znaczy? *Wit* oznaczało niegdyś wiedzę. *Wicken* to „oczarować”, tylko że tysiąc lat temu. *Wikken* znaczyło prorokować. *Wih* to „święty”.

Wypowiedziała wszystkie te słowa pospiesznie, tak że *wikken* zabrzmiało bardzo podobnie do *wicken*, *wit* do *wih*. Barnes mógł tylko zaczerpnąć powietrza.

- Widzę, że jest pani czarująca.

- Jestem naprawdę, mój Ozzie. Jesteś bliżej prawdy, niż przypuszczasz. Często zauważam to, kiedy inni odzywają się do mnie - z pewnością chodzi o moją aurę. Ale musisz zrozumieć, że jestem tą, która uniosła zasłonę. Jestem oświecona. Rozmawialiśmy, ty i ja, o widzeniu wyższego świata. Zdarzało mi się go dostrzegać, sam ów świat lub jego odbicie. Całe życie poświęciłam na jego studiowanie.

Barnes skwapliwie skinął głową.

- Teraz jesteś tutaj, Ozzie, i ja tu jestem, w domu na krawędzi zniszczenia. Dlaczego tu jesteśmy?

- Cóż - odpowiedział powoli Barnes. - Nie mogę mówić w pani imieniu, Madame Serpentina. Ale co do mnie, zawsze czytam drobne ogłoszenia, szczególnie towarzyskie. I kilka dni temu zobaczyłem w niedzielnej gazecie to ogłoszenie o darmowych pokojach. Wyciąłem je i sądzę, że gdzieś tu je mam.

- Nie musisz szukać.

- W każdym razie było tam napisane, że pod tym adresem znajdują się wolne pokoje, dopóki nie zburzą domu. Prawdę mówiąc tam, gdzie mieszkałem dotąd, miałem kłopoty. Zalegałem z czynszem i kiedyś założyli kłódkę na drzwiach mojego pokoju, ale wytłumaczyłem właścicielce, że jeśli nie będę miał moich skrzynek z próbkami i nie będę przyzwoicie się prezentował, to nigdy nie zarobię na czynsz, więc mnie wpuściła z powrotem. No więc jak tylko zobaczyłem ogłoszenie, przyszedłem. Stary pan Free odprawiał ludzi, których sobie nie życzył, więc miałem wrażenie, że będą tu same przyzwoite osoby, i powiedziałbym, że tak jest, prócz jednej.

Czarownica gestem ręki przerwała te wywody.

- Niech ja ci teraz powiem, jak się tu dostałam. - Zamilkła i wydawało się przez moment, że widzi ponad lewym ramieniem Barnes'a coś, czego on sam nie dostrzegał. - Zaobserwowałam pewne znaki w gwiazdach i nie tylko. Byłam z ich powodu podniecona. Możesz pomyśleć, mój Ozzie, że należę do twardych kobiet, lecz to nieprawda - jestem zdolna do uczuć, od których niejednemu pękłoby serce. Tak jak i ty, miałam pewne kłopoty. Czasami czułam przez długi czas i o dziwnych godzinach. Lubię muzykę, do której, tak to nazwijmy, trzeba mieć wyrobiony smak, a moi goście bywają czasem niekonwencjonalni.

Barnes pokiwał głową poważnie, bo sam zaobserwował niektóre z tych rzeczy.

- Choć płaciłam wygórowany czynsz za marne mieszkanie, nie byłam tam mile widziana. Zobaczyłam to samo ogłoszenie, które i ty widziałeś, i choć rzecz wydawała mi się zbyt małym łutem szczęścia jak na to, co mi zostało przyobiecane, dzień jednak był pomyślny i przysłałam.

- Powiedzmy, że szczęście nam sprzyjało, Madame Serpentina.

Czarownica zignorowała komplement.

- Przez resztę dnia czekałam na obiecane łaski. Nic się nie wydarzyło. Wróciłam do mego dawnego mieszkania, mając nadzieję, że nadeszła jakaś wiadomość, ale daremnie. Tej nocy znów obserwowałam gwiazdy. Nie myliłam się. Możesz mi wierzyć, że długo się nad tym zastanawiałam.

Barnes znów pokiwał głową.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Dzisiaj, kiedy pożegnałeś się z nami wieczorem, rozmawiałam z naszym gospodarzem. Wyznał mi część swoich smutków, swoich obaw. Sądzę, że zdradził znacznie więcej, niż miał zamiar, bo nie spodziewał się, iż jestem oświecona. Zestarzał się, jego umysł przepiętny śmiercią nie pracuje już tak sprawnie, jak staruszkowi się zdaje. W końcu nie mógł się powstrzymać przed małym pokazem swoich możliwości.

- Chce pani powiedzieć, że pan Free jest kimś, cóż, kimś takim jak pani?

Rozbłysnął uśmiech czarownicy.

- Jesteś inteligentnym człowiekiem, Ozzie. Tak, pan Free jest kimś takim jak ja, a zarazem nie takim, bo ja nie mogłabym zrobić tego, co on zrobił. Sądzę, że jest jednym z

pomniejszych *acaryas*. Jeśli oni sami nie skontaktują się z adeptką, wówczas ma ona dużo szczęścia, jeśli w całym swoim życiu napotka i rozpozna choćby jednego z nich. Dziś w nocy wymknęło mu się coś o ogromnym znaczeniu. Mój Ozzie, czy nigdy nie marzyłeś o tym, żeby być bogatym? Potężnym? Nie mam na myśli tego, co się zwie dostatkiem. Nie mam też na myśli wpływów w sensie, w jakim mówi się, że burmistrz czy gubernator jest wpływowy. Mówię o nieskończonych bogactwach, o prawdziwym złocie, szmaragdach, szafirach, diamentach i o władzy nad życiem setek milionów.

- Bardziej niż o czymkolwiek na świecie. - Barnes wyglądał, jakby sam był zdziwiony własną gwałtownością.

- Pan Free, a raczej człowiek, którego tak nazywamy, ukrył talizman. *Acaryas* czynią tak czasami, odkładając swe ponadziemskie korony i berła, by przechadzać się pomiędzy śmiertelnikami. Teraz brak mu sił, by z powrotem je podjąć. Ale gdyby udało nam się je znaleźć...

- Naprawdę pani o tym myśli - rzekł Barnes. - Pani mówi poważnie.

- Nigdy nie mówiłam poważniej. Nie myśl, że uda ci się mnie oszukać, Ozzie. Nie potrafiłbyś posłużyć się takim talizmanem lepiej niż wezwać z morza zielonowłose dziwożony. Lecz jeśli mi pomożesz, będziesz moim wezyrem w imperium, które obejmie cały świat. - Ręce czarownicy igrały z jego rękami, głaszcząc ich grzbiety, łaskocząc wnętrza dłoni.

Choć pokój był lodowaty, Barnes twarz miał wilgotną od potu.

- Chciałbym wiedzieć, czy jest pani szalona. Czarownica przyjrzała mu się przez moment, a potem wybuchnęła śmiechem.

- W porównaniu ze mną wszyscy jesteście szaleńcami. Nie, idiotami. Prócz Free. Powiedziałeś, że tęsknisz do bogactwa i władzy, a nie posiadasz nic. Co masz do stracenia, mój Ozzie?

- Sądzę, że nie jest pani szalona - odparł Barnes. - Co mam zrobić?

ROZDZIAŁ 6

Śniadanie

Gruba dziewczyna chwiejnym krokiem weszła do kuchni. Żłoty snop słonecznego światła padając na wytarte linoleum sprawił, że Candy zmrużyła oczy i przycisnęła skronie pulchnymi, różowymi dłońmi.

Jej podomka także była różowa, różowa ową gwałtowną, niemal dziką, fluorescencyjną różowością, którą spotyka się tylko w sklepach z przecenioną odzieżą. Podobnie jak potargane żółte włosy, podomka nadawała dziewczynie wygląd ogromnej lalki, wciąż jeszcze jaskrawej, lecz porzuconej i zszarganej.

Stary człowiek wstał i zaciągnął zasłony.

- Ma pan kawę, panie Free? Free potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie zostało nic a nic.

- Nie mogłabym jeść - powiedziała Candy. - Chcę tylko trochę kawy.

- Ja też nic nie jadłem.

- Nie jadł pan śniadania?

- Ten facet, Barnes, wybrał się wczoraj z wieczora po jedzenie i kupił trochę, lecz nic już nie ma.

Candy ziewnęła, podciągnęła górę swej różowej podomki i spojrzała na siebie.

- Niech pan poczeka, aż się ubiorę.

- A bo to mam co innego do roboty? - rzekł starzec.

Kiedy odeszła, otworzył szafę, wyjął szczotkę i zaczął zmiatać. Kuchni nie sprzątano od dawna. Dziwne okruszki i skorupy mieszały się z ziarnistym brudem, wszędzie wałały się wygięte kapsle od piwa i małe kawałki potłuczonego szkła. Otworzył kuchenne drzwi i wypchnął wszystko na podwórko, wypełnione śmieciami i rozpromienione blaskiem poranka.

- Już jestem - odezwała się gruba dziewczyna. Pod plastikowym płaszczem miała różowy sweter (bliski krewny różowej podomki) i czarną wełnianą spódnicę. Na stopy wsunęła sandały na grubej drewnianej podeszwie. - Niech pan włoży płaszcz, Free. Zafunduję panu jajka.

- To byłoby nieźle - westchnął starzec. - Będzie już dawno, jak jadłem jajka.

Postawił miotłę w kącie.

Na dworze słońce tańczyło na śniegu.

- Zmarzną pani nogi - powiedział Free, gdy zeszli po frontowych schodach.

- Zgubiłam kozaki - odparła gruba dziewczyna. - Musiałam je zostawić u Marty'ego.

- I wróciła pani na bosaka?

- On mnie odwiózł - wyjaśniła. - Ktoś tam mnie odwiózł, w każdym razie. Może będę musiała kupić nowe. - Przecheszywała palcami włosy. Jej krótkie, sprężyste loki odzyskiwały

zwykły wygląd. - Jeśli wyglądam trochę niechlujnie, niech pan nie zwraca na to uwagi. Mam koszmarny ból głowy.

- Dla mnie tam wygląda pani naprawdę dobrze.

- Dziękuję. Czuję się, jakbym miała puścić pawia.

- Nigdy nie zdarzyła mi się żadna sprzeczką z jajkiem, przez całe moje życie.

Candy zachichotała.

- Mnie też nie.

Bar z kanapkami był już otwarty. Usiedli na ławie przy wejściu.

- Strasznie lubię te ławy. Na krześle nigdy nie jest mi wygodnie.

Stary człowiek poważnie pokiwał głową.

- Powinni brać pod uwagę, że niektórzy ludzie są więksi. Niech no pan spojrzysz na te stolki przy barze. Można na nich wykitować. Na łóżku to się fajnie siedzi, tyle że nie można oprzeć pleców.

Kelnerka w średnim wieku przyniosła jadłospisy.

- Ja chcę tylko kawę - powiedziała gruba dziewczyna. - Macie „kubek bez dna”, prawda?

Mogę go napełniać, ile zechcę?

- Pięćdziesiąt centów - oznajmiła kelnerka.

- Mhm.

- Nie mogę tego odczytać - poskarżył się Free. - Ale wiem, co chcę. Chcę dwa jajka na tłuszczu. Mogę dostać trochę szynki?

- Szynka - powtórzyła kelnerka.

- Ano, śmiało - odparła gruba dziewczyna.

- No, to chcę szynkę. Herbatę, jeśli to nie za duży kłopot.

- Herbata. - Kelnerka kiwnęła głową i powędrowała za kontuar. - Dwa tłuszczochy. I raz wiejską.

- Kawa postawi mnie na nogi - odezwała się Candy. - Ale jest lepsza, jak się do niej doleje odrobinę alkoholu.

- Tak to jest z większością rzeczy.

- Założę się, że lubił się pan zabawić. - Zachichotała. - Duży, przystojny facet.

Kelnerka wróciła z wodą z lodem, filiżankami i blaszanym imbrykiem.

- Podać śmietankę i cukier?

- Mnóstwo cukru - przytaknęła gruba dziewczyna. Wrzuciła do kubka trzy torebki, zamieszała niedbale i wypila, a potem usiadła na moment z rękami przyciśniętymi do skroni. - Jeszcze - zawołała do kelnerki. Free poruszał torebkę z herbatą w górę i w dół swego czajniczka. Candy pochyliła się ku niemu, ścisząc głos. - Jeszcze panu staje, panie Free?

Zachichotał.

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Jeśli chce pan spróbować, niech pan tylko powie. Kiedy nie będę taka wykończona, dobra? Jeżeli pan nie może, niech się pan nie martwi. Widziałam, jak to się zdarzało wielu młodszym facetom.

- Jest pani kobietą o dobrym sercu, pani Garth. Kelnerka napełniła kubek grubej dziewczyny i rzuciła na stół nową garść torebek z cukrem. Były na nich podobizny poetów: Byrona, Shelleya, Keatsa.

- Jestem chorą kobietą - rzekła Candy. - Nie uwierzyłby pan, jak mnie boli głowa.

Jej pulchne palce dziurawiły poetów.

- Szkoda, że nie wiem, co by pani pomogło.

- Ja wiem. Zanim pierwszy raz zesłam na dół, wzięłam cztery aspiryny i wypłam kwartę wody. Teraz jeszcze tylko z sześć czy osiem filiżanek kawy i będę się dobrze czuła.

- Znałem człowieka, który wdychał parę. On i ja mieliśmy garnek, w którym robiliśmy gulasz i inne takie, a on napełniał go wodą i trzymał na ogniu, póki się nie zagotowała. Potem zdejmował go, pochylał głowę i naciągał na siebie koc.

- To był inny ból głowy - powiedziała gruba dziewczyna do Free. - A może i nie. - Mówiąc to wypłała pół kubka kawy. - Widzi pan, może ja robię to samo, tylko od środka. Pana kumpel wlewa wodę do swojego garnka, a ja do mojego. - Poklepała się po brzuchu. - Teraz ją gotuję. Jak wrócimy do pańskiego domu, wejdem pod koc na trzy czy cztery godziny.

- Obawiam się, że może się pani nie udać drzemka - rzekł stary człowiek. - Przychodzą dzisiaj.

- Kto przychodzi?

- Ci, co mają zburzyć mój dom.

- Oni to panu powiedzieli? - spytała Candy. Free nie odpowiedział.

- Przeczucie, co? Panie Free, wie pan, że zrobię wszystko, co będę mogła. Ale przeczucia nie zawsze się sprawdzają.

- Moje tak, pani Garth.

Kelnerka przyniosła jajka i szynkę dla Free oraz więcej kawy dla grubej dziewczyny.

- Niech pan posłucha, miałam kiedyś chłopaka, który grał według swoich przeczuć. Spoglądał na przykład na swój kwit i widział konia o nazwie Try Me i to go uderzało. Stawiał na tego konia. Ja mu mówiłam, żeby postawił na Guilty, ale on dostałby szału, jakby nie postawił czegoś na Try Me. Albo zobaczył drozda, który rozbijał się o szklane drzwi, a potem trafiał na konia Gallant Portal. Czasami mu coś wypłacali, ale nigdy nie miał dość gotówki i zabierał moją.

Stary człowiek podniósł wzrok z zainteresowaniem.

- Gallant Portal wygrał?

Dziewczyna potrząsnęła głową, a potem zrobiła minę, jakby było jej przykro, że zaprzeczyła.

- Dobiegł do mety trzy czy cztery miejsca za daleko, żeby wypłacili. Andy - na imię miał Andy - zawsze chciał, żebym schudła. A ja zawsze chciałam, żeby skończył z wyścigami. W końcu bez przerwy tylko robiliśmy sobie nawzajem przykrości. - Zamieszła cukier. - Raz byłam w takim hotelu i spotkałam naprawdę miłego, starszego dentystę. Niektóre dziewczyny spotkają takiego kolesia i mówią sto dolców, a jak on mówi nie, to mówią siedemdziesiąt pięć i tak dalej, zależy, ile chcą spuścić i ja czasem też tak robię, tylko że to zależy od kolesia, od tego jaki mi się on wydaje. Tym razem powiedziałam: „Słuchaj, umieram z głodu, zabierz mnie na kolację, potem pójdziemy do twojego pokoju i będzie fajnie.” Więc poszliśmy trochę dalej na tej samej ulicy i jadłam homara i może z tuzin ostryg, i pieczonego kartofla, i takie rzeczy. Może z godzinę później wracałam z miasta i przechodziłam koło pizzerii. Dentysta dał mi pięćdziesiątkę i czułam się przy forsie. Niektórzy, zwykle ci starsi kolesie, jeśli pozwolisz, by cię zabrali na kolację, i sprawisz im frajdę, i zachowujesz się, jakbyś ich lubiła, oddaliby ci prawie wszystko, do diabła. W każdym razie weszłam do tej pizzerii i zamówiłam dużą pizzę ze wszystkimi dodatkami i siedziałam tam na ławce z butelką Diet Pepsi i zaświtało mi nagle, że Andy był taki sam jak ja, a ja byłam taka sama jak Andy. Mogłam przejść obok tej pizzerii, ale dalej byłaby następna i weszłabym do niej, bo ominęłam tę pierwszą. A gdybym nie mogła wejść, chybabym umarła.

- Nigdy pani nie marzyła, żeby nie chcieć tyle jeść? - zapytał starzec.

Gruba dziewczyna machała do kelnerki.

- Jeszcze kawy i placek pekanowy z kiełbaską.

- Nie żeby to był mój interes - dodał starzec.

- Rozumiem - odparła Candy. - Tylko czasem żałuję, że jestem taka, no wie pan, otyła. Raz mieszkałam w jednym pokoju z dziewczyną, która szła na kolację i najadała się, a potem wracała do domu i wsadzała palec do gardła. Puszczala pawia, żeby dobrze wyglądać dla kolesi. Kiedyś podcięła sobie żyły w wannie. Nie umarła od tego, ale potem zdarzyły się różne rzeczy i chyba już jej więcej nie widziałam.

- Pani Garth, niech pani tego nie robi.

- Spokojna głowa. O czym to rozmawialiśmy? Zapomniałam.

- Placek na orzechach. Wieprzowa - zawołała kelnerka do kucharza.

- Bóle głowy - rzekł Free.

- Ach, po co mi pan przypomniał. Mam rekordowy. - Wyrwała papierową serwetkę z pojemnika w głębi stołu, zamoczyła w szklance wody i przycisnęła do czoła. - Mózg mnie boli. Dlaczego nigdy nie ma zawodów w tym, co ja umiem? Gdyby dawali puchary za bóle głowy, tak jak dają za kręgle, mogłabym wziąć w moim pucharze kąpiel. Czy mamy gorącą wodę?

Starzec podniósł pokrywkę blaszanego czajniczka.

- Mam na myśli w domu. Przydałaby mi się miła kąpiel... po prostu położyć się w wannie i tak się moczyć. To by mi mogło najlepiej zrobić.

- Bojler zgasł, kiedy odłączyli gaz, ale mam małą butlę z gazem zamontowaną w środku pieca, żeby rury nie zamarzły. Tak czy siak będę musiał na nią uważać, żeby nie wybuchła, jak przyjdą burzyciele. Może mógłbym dla pani doprowadzić trochę gazu z butli do bojlera.

- Dzięki - odparła gruba dziewczyna. - Naprawdę. Rzeczywiście pan myśli, że przyjdą dzisiaj, co?

Nie zdejmując serwetki z czoła, opróżniła kubek i odstawiła na stół.

- A co do tych nagród - kontynuował starzec - to nie są warte funta kłaków. W takich kręglach, sama pani mówiła. Liczy się tylko, że jakiś facet potrafi zbić wszystkie kręgle prawie za każdym razem, jak tylko jest jego kolejka. Puchar tylko tyle znaczy. To nie szaty zdobią człowieka.

- Od alkoholu śpi się za głęboko - wymamrotała Candy. Zamknęła oczy i oparła głowę o miękkie oparcie. - Zeszłej nocy nie obudziłby mnie pan nawet strzałem z pistoletu.

- Ma pani rzeczy, za które wygrałaby pani nagrody, gdyby je dawali. Może nie dają, ale pani to ma i to jest najważniejsze.

- Dla pana.

- Dla mnie, ano tak. Najważniejsze i koniec.

- Jest pan dżentelmenem, panie Free. Wszyscy, do diabła, już prawie wymarli.

- Będę jeszcze dżentelmenem, kiedy już Ben Free umrze i o nim zapomną, pani Garth.

Gruba dziewczyna otworzyła oczy. Były duże, przekrwione i zaskakująco niebieskie.

- Myślę, że przechodzi. Czuję się trochę lepiej.

- Tak też sobie pomyślałem, jak poprosiła pani o ten placek.

- To tylko z przyzwyczajenia - odparła gruba dziewczyna. - Tacy jak ja, kiedy dobrze się czują, po prostu jedzą, bo się dobrze czują, a kiedy źle się czują, to jedzą, bo źle się czują. - Upuściła wilgotną serwetkę na podłogę i przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu papierosa. - Pali pan, prawda, panie Free?

- Czasami.

- Proszę, pan się poczęstuje.

Oparła przeguby rąk o brzeg stołu, żeby zapalić zapałkę, a kiedy kelnerka przyniosła jedzenie, poprosiła o paczkę Viceroyów.

- To jest dopiero dobry papieros - rzekł Free. - Zwykle, jak palę, to palę fajkę albo czasem doktor da mi cygaro.

- Myślałam, że ślepi nie palą - powiedziała gruba dziewczyna.

- Nie jestem ślepy! Widzę dym, na miłość boską.

- Nie chciałam pana rozzłościć.

- Wcale nie jestem zły!

- Zgoda. Chce pan trochę mojego placka?

- Najadłem się - odparł starzec. - Dzięki pani.

- Nie zapomni pan, żeby napuścić dla mnie ciepłej wody? Przekładając papierosa do lewej ręki, gruba dziewczyna podniosła do ust widelec z plackiem.

- Jasne, że nie. Pani myśli, że ja jestem wściekły. To nieprawda, tylko nie jestem ślepy. I nigdy nie będę. Nie dożyję tego.

- Naprawdę... - Dalszy ciąg utonął w syropie klonowym.

- Pewnikiem się pani lepiej poczuje, jak już się pani wykąpie?

Skinęła głową i przełknęła kęs.

- Może powinnam panu powiedzieć, jak wyjdę? Chodzi mi o to, żeby mógł pan wyłączyć grzejnik i tak dalej.

- Pani pokój jest równo nad moim - wyjaśnił starzec. - Usłyszę, jak skrzypią deski.

ROZDZIAŁ 7

W ścianie

- Ach, tu pan jest, panie Free - odezwał się Barnes. - Szukałem pana.

- Pewnie pan szukał nie tam, gdzie trzeba. Poszliśmy z panią Garth na śniadanie.

Gruba dziewczyna uśmiechnęła się do Free.

- Idę teraz na górę przyszykować się do kąpieli. Do zobaczenia.

Na drugim stopniu odwróciła się i posłała mu całusa.

- Muszę zamontować grzejnik - rzekł Free. - Obiecałem, a to trochę potrwa, zanim woda się zagrzeje.

- Oczywiście. - Barnes ciaśniej owinął się swoim wyświechtanym płaszczem. - Pójdę z panem i pomogę, jeśli będę potrafił.

- Nie trza mi pomocy, ale może pan pójść ze mną. Chciał mnie pan widzieć?

Barnes przytaknął.

- To dosyć... Nie powiedziałbym osobiste. Prywatne, rozumie pan? Może powinniśmy pójść...

- To niech no pan idzie za mną - przerwał mu Free. - Muszę podłączyć ten grzejnik, a tam na dole nie będzie nikogo do pomocy.

Wyminął Barnes ocierając się o niego ramieniem i pomaszerował w głąb domu. Nie obejrzał się za siebie, żeby zobaczyć, czy mężczyzna idzie za nim.

- Myślę, że powinienem wyjaśnić, że nie jestem tu tak naprawdę w swoim własnym imieniu - rozpoczął Barnes, spiesząc za nim. - Madame Serpentina prosiła, żebym z panem porozmawiał.

- Jeśli jej zimno, nic na to nie poradzę. Odciepli mi gaz. Powiedz jej pan, że jak ma jeszcze jakieś skargi, niech sama je złoży. Wysłucham i nie ugryzę. Nie mam tu wiele do powiedzenia, ale robię, co mogę.

- Jestem o tym przekonany, panie Free. I niech mi pan wierzy, wszyscy doceniamy to bardziej, niż pan sądzi.

Stary człowiek wyciągnął z kieszeni zardzewiały klucz i otworzył drzwi. Na zewnątrz wylało się ciepłe powietrze, pachnące pleśnią, zatęchłe od upływu czasu i dokonującego się rozkładu. Starzec zaczął schodzić w ciemność po skrzypiących drewnianych schodach.

- Nie zapali pan światła? - zawołał za nim Barnes.

- Tu nie ma światła. - Wydawało się, że głos Free unosi się w mroku jak duch. - Nigdy nie było. Niech pan zejdzie na dół, panie Barnes. Tylko niech się pan dobrze trzyma poręczy.

Barnes z wahaniem ruszył w dół.

- Kilka stopni jest złamanych. Trzeba tu uważać. - Rozległo się skrobnięcie i zabłyśła zapalka. - To głęboka piwnica, pewnie sam pan widzi. Niech pan schodzi dalej.

Schody naprawiano często i niestarannie. Albo może nie naprawiano ich nigdy, tylko już zbudowano z rozmaitych kawałków drewna, które nawinęły się pod rękę cieśli. Niektóre stopnie były tylko dwoma czy trzema nie heblowanymi drągami ułożonymi jeden obok drugiego. Na brzegu innych można było dostrzec ślady farby, fragmenty liter i malunków.

Zapałka zamigotała i zgasła.

- Nie ma się czym niepokoić, panie Barnes. Nigdy nie doprowadziłem światła, bo nie chciałem, żeby ktoś tu na dół zląził, ale wchodziłem i schodziłem po tych schodach setki razy. Dobrze się stało - w każdej chwili mogą odłączyć elektrykę. A jakby nas tutaj złapali? Mówi pan, że ta czarownica prosiła, żeby się pan ze mną rozmówił?

Rozbłysła druga zapałka. Przez moment wielkie, zgarbione ciało Free znalazło się pomiędzy Barnesem a światłem, a potem pojawił się złoty blask świecy.

- Była z panem na dachu - wykrztusił Barnes.

- Wiem. Weszła na ten murek, który biegnie dookoła. To było cholernie głupie.

- Powiedziała, że pan... hm, przekazał jej w zaufaniu pewne ważne fakty.

Stopa Barnes'a dotknęła brudnej powierzchni podłogi. Westchnął z ulgą.

- Tak powiedziała? Nie myślałem, że komuś to powtórzy.

- Madame Serpentina i ja jesteśmy przyjaciółmi. - Barnes odchrząknął. - Można by powiedzieć, że łączy nas pewien związek, jeśli wie pan, co mam na myśli. Jestem pewien, że nie powtórzyła mi niczego, o co pan prosił, żeby zostało tajemnicą.

- Ja wiem, ale nie jestem pewien, czy pan to wie. Niczego takiego nie było.

W rozedrganym świetle starodawny piec wyglądał jak potwór unoszący macki grube niczym ciało człowieka ku zwieszającym się nad nim ciemnościom. Potwór był martwy, z jego gnijącego ciała sączył się azbest, niszcząc staromodne biurko, które rozpierało się w jego cieniu.

- Nie miałem na myśli niczego niestosownego...

- Ja też nie. Tylko przyszło mi do głowy, że pan pomyślał, iż powiedziałem coś, co nie chciałbym, aby się rozniosło. Nie mówiłem nic takiego. Przed zachodem pewnie już będę w drodze, żeby się spotkać z moją córką, więc cóż mnie to obchodzi? Lubi pan kobiety, co, panie Barnes?

- Czy lubię? - Zbity z tropu, Barnes zastanawiał się przez moment. - Właściwie nie. Pragnę ich, a ponieważ nie mogę ich mieć, to zwykle ich nie lubię. Ale ich pragnę... myślę, że można by tak powiedzieć. Podziwiam Madame Serpentine.

- Podziwia ją pan? - rzekł Free.

Wąż biegł od małego zbiornika propanu do paszczy potwora. Free schylił się sztywno i sięgnął do wnętrza.

- Ma dumę, inteligencję, energię. Jej profil jest wspaniały i myślę, że nigdy nie widziałem kobiety z piękniejszymi oczami.

Free spojrział przez ramię.

- Ciekawe, że pan to mówi. Bo właśnie zastanawiałem się nad pana oczami. Żrenica zwykle powiększa się w ciemności, jak u kota. Kiedy zapaliłem świecę, zauważyłem, że tylko jedno pana oko tak się zachowało. A tamto drugie wygląda chyba prawie tak samo jak zawsze.

- Jest szklane - przyznał Barnes. - Nie uważa pan, że wygląda zbyt nienaturalnie, panie Free?

- Nigdy przedtem tego nie spostrzegłem.

- Cieszę się. Czasem wydaje mi się, że widzę, jak ludzie na nie patrzą, kiedy odbywam wizytę. Wygląd jest bardzo ważny przy sprzedaży i kiedyś, jak zarobię więcej, kupię sobie nowe. Najlepsze robi się w Niemczech, ale kosztują kupę forsy.

- Wygląda dobrze - odrzekł stary człowiek. - Jest tym, co w panu najbardziej naturalne.

- Byłoby lepiej, gdyby inni, szczególnie Madame Serpentina...

- Nie musi pan się mną przejmować. I tak już mnie nie będzie, jak panu mówiłem. Kiedy was tu ściągnąłem, miałem nadzieję, że zostawią starą chałupę w spokoju, bo ludzie mieszkają. To się jednak nie uda i wiem to dobrze. Patrzę na moje ściany i widzę, jak burzy je wielka czarna kula.

- Zrobię co w mojej mocy, panie Free - zapewnił go Barnes. - Wiem, że inni także to zrobią.

- Wierzę w to, panie Barnes.

- Wiem, że nikt z was, prócz Madame Serpenty, nie ma o mnie wysokiego mniemania. Taki, co potrafi tylko gadać, ścisnąć dłonie i klepać po plecach. Ale ja nie opuszczam przyjaciół w potrzebie, panie Free. Chyba że jestem do tego zmuszony.

Free kiwnął głową.

- Jest pan lepszym człowiekiem, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, panie Barnes. Zrozumiałem to, gdy zobaczyłem, że wczoraj wieczorem sam pan nic nie zjadł, dopóki nie przyniósł naszej wyzerki. Nie ma wielu takich jak pan.

Barnes uśmiechnął się i kucnął obok starego człowieka.

- Cieszę się, że pan tak uważa, panie Free, bo teraz łatwiej mi będzie z panem rozmawiać. Kiedy był pan tam wczoraj na górze, na dachu, z Madame Serpentina, powiedział jej pan, ona tak twierdzi, o czymś cennym, co pan ukrył i utracił kilka lat temu.

Free skinął głową.

- Parę ładnych lat. Dziwię się jednak, że panu to powtórzyła. Pewnie już mówiłem.

Podniósł śrubokręt i miał teraz zajęte ręce. Nie spojrzął na Barnesa.

- Niech mi pan wierzy, nigdy nie zawiódłbym zaufania Madame Serpenty i ona o tym wie. Prosiła mnie, żebym jej pomógł.

- Ano, słucham.

- Tak samo, jak i pan mnie prosił, żebym panu pomógł, panie Free. I postaram się zrobić dla was obojga wszystko co w mojej mocy.

- To ładnie z pana strony - mruknął Free. - Niech no pan teraz popatrzy na tę butlę z gazem. Widzi pan zawór? Niech pan go zamknie.

Barnes zrobił, co mu kazano.

- Madame Serpentina jest bardzo inteligentną kobietą, ale ma własny sposób patrzenia na życie. Własne spojrzenie na świat. Widzi rzeczy w... hm, w kategoriach duchowych.

Free wyprostował się, trzymając w jednej wielkiej dłoni - jak bukiet brudnych kwiatów - koniec przewodu, zacisk do przewodu i śrubokręt.

- Odkręciło się. Dziwnie pachnie, co?

- Powiem panu jak mężczyzna mężczyźnie - ciągnął niezrażony Barnes - to, co od niej usłyszałem, to jakiś nonsens. Chcę powiedzieć, że dla mnie to nonsens, rozumie pan? Nie patrzę na te rzeczy w taki sposób jak ona, ale pewnie, gdyby tak na to spojrzeć, to miałyby rację. W każdym razie dała mi do zrozumienia, że pan jej powiedział o jakiejś... hm, koronie albo czymś w tym rodzaju, i że pan ją ukrył. Mówiła, że zeszłej nocy zdradził jej pan mniej więcej w którym miejscu, i że to by panu nie przeszkadzało, gdyby ona ją znalazła. Kiedy już, hm, spotka się pan ze swoją córką i ta korona nie będzie więcej panu potrzebna.

Free zachichotał.

- Korona? Tak powiedziała?

- Coś w tym rodzaju. Użyła wielu słów, których nie znam, ale chyba do tego wszystko się sprowadzało. Regalia? Zawsze myślałem, że to znaczy wyścig jachtów, ale chyba właśnie tak mówiła.

- I mówiła, że jej powiedziałem, gdzie to jest? Panie Barnes, sądzi pan, że gdybym miał koronę i wiedział, gdzie ona jest, to nie poszedłbym tam jej zabrać?

- Nie mówiła, że pan powiedział dokładnie, gdzie jest ta korona. - Barnes był uparty. - Tylko że pan ją schował dawno temu.

Stary człowiek znowu zachichotał.

- Zdradziłem jej więcej niż tylko to. Wątpię, czy powiedziała panu wszystko.

Barnes uśmiechnął się:

- Zatem istnieje korona. To wspaniale, panie Free.

- Nie korona. - Głos Free zrobił się bardzo poważny. - Nigdy nie mówiłem, że to była korona.

- Tak też myślałem. To w końcu wydaje się nieprawdopodobne.

- Problem w tym, że chciałbym panu powiedzieć, co to było, panie Barnes. Ale nie mogę.

- Nie zawiódłbym pana zaufania, panie Free. Może mi pan wierzyć.

- E, to nie o to się rozchodzi. - Stary człowiek przestępował niezgrabnie z nogi na nogę, jak młody chłopak. - To jest skarb. Tyle tylko mogę powiedzieć. Skarb. Coś, co przywiozłem z Podniebnej Krainy, i nie ma takich słów, którymi mógłbym opisać panu, co to było, tak, żeby mi pan uwierzył. - Podniósł dłonie, jakby pokazywał rozmiary złowionej ryby albo odległość dzielącą gracza od golfowego dołka. - Nie jest zbyt duże. Ma nie więcej niż tyle.

- Ale byłoby bardzo dużo warte - nalegał Barnes - gdybyśmy to znaleźli?

- Och, pewnie mógłby pan to sprzedać za górę pieniędzy. Tylko że nigdy by pan tego nie zrobił. Jak raz by to pan miał, nie mógłby się pan z tym rozstać. Nie za pieniądze. Może za nic. Widzi pan, panie Barnes, ja nigdy nie miałem takiego zamiaru. Posługiwałem się tym i dużo się nauczyłem. Chciałem to tylko odłożyć na jakiś czas i zostać tam, gdzie akurat byłem. Potem zdarzyło się parę rzeczy. Czasem o tym myślałem, ale nigdy nie wydawało mi się, że to odpowiednia chwila, by odejść. Zawsze była jakaś kukurydza do posadzenia albo to czy tamto. Tak czy siak, zestarzałem się - co wszystkim nam się zdarza, panie Barnes, czy mamy skarb, czy też nie. I wiedziałem, że będzie trudniej. Myślałem sobie, że któregoś dnia poczuję się lepiej i nawet nieraz tak się zdarzało, tylko nigdy nie trwało długo. A potem zrobiło się dla mnie za późno. Zacząłem zadawać sobie pytanie, co bym teraz z tym począł, i mówiąc szczerze, nie ma na to dobrej odpowiedzi.

- Rozumiem.

- Nie rozumie pan, panie Barnes. Niczego pan nie pojmuje. Starzec począł w stronę grzejnika wody.

- Chciałem tylko powiedzieć, że współczuję panu. Mój dziadek miał farmę i stracił ją. Pamiętam, że był strasznie przygnębiony. Rozumiem, jak pan się czuje.

Świeca zgasła.

- Myli się pan, Barnes. - Głos należał do Free, lecz brzmiał obco, jakby jakiś nowy, inny Free zjawił się nagle wraz z ciemnością.

Barnes zaczerpnął powietrza.

- Gdzie pan jest, panie Free? - Bezsilnie pomacał się po kieszeniach. - Próbowałem rzucić palenie, a teraz świeca...

- Wiem, Barnes. Niech pan nie robi z siebie większego głupca, niż pan jest. Przed chwilą pan mówił, że ludzie pana nie szanują. Powiedziałem, że ja pana szanuję i tak właśnie jest. Ale wplątał się pan w coś, czego pan nie rozumie. Taka jest prawda.

- Czy nie ma pan...

- Próbuje się pan dowiedzieć - ode mnie, gdzie zostawiłem ten mój dynks i co to jest. W ten sposób chce pan, żebym powiedział panu coś, czego sam do końca nie wiem, a czego pan nie zrozumie. Cóż, włożyłem to tam, gdzie panu mówiłem. W ścianę. Mogłem włożyć to gdzieś indziej, ale wybrałem ścianę.

Barnes postąpił krok naprzód. Miał nadzieję, że w kierunku schodów, choć czuł, że otworzyła się przed nim przepaść.

- I oznaczyłem to znakiem. Nie jestem pewien, czy zobaczy pan kiedyś ten znak, lecz jeśli tak będzie, to myślę, że już pan będzie wiedział.

ROZDZIAŁ 8

Obrońcy

Sierżant Proudny wszedł po schodach domu numer 808 przy 38th South Street i zapukał do drzwi. Były to piękne stare drzwi, wysokie, szerokie i solidne. Proudnyowie mieli mieszkanie z kominkiem. Sierżantowi zamarzyło się przez chwilę, że mógłby dostać te drzwi. Paliby się tygodniami. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Proudny podciągnął połę płaszcza, sięgnął do spodni po pałkę i zastukał nią do drzwi.

Pukał jeszcze kilka razy, nim Barnes otworzył drzwi. Był o pół głowy niższy od policjanta, który wsunął jeden ze swych szerokich czarnych butów pomiędzy drzwi a framugę.

- Jeszcze tu jesteś, kolego? - prychnął sierżant Proudny. - Gdzie stary?

Barnes zawahał się.

- Obawiam się, że pan Free jest obecnie zajęty, panie władzo.

Proudny popchnął drzwi.

- Muszę go zobaczyć. Mam list dla B. Free. Gdzie on jest? Barnes cofnął się.

- Myślę, że jest, hm, na górze. Może byłoby lepiej, gdybym tam poszedł i poprosił, żeby zszedł zobaczyć się z panem.

- Pójdę na górę - powiedział twardo sierżant. Ruszył za Barnesem stromymi, wąskimi schodami. - Jeszcze pan tu mieszka?

- Tak - odparł Barnes.

Dom był lodowato zimny, ale na piętrze dudniło i gadało radio.

- Będzie pan musiał się stąd wynieść. I pan, i ten stary, i wszyscy inni, jeśli jeszcze ktoś tu jest.

Barnes przystanął, rękami trzymając się poręczy.

- Teraz nie, panie władzo. Jest nas tu pięcioro.

- Z dzisiejszą datą w południe. Barnes potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Dzisiaj odbyłem tylko kilka wizyt, byłem w paru miejscach w sąsiedztwie. Sam chciałem porozmawiać z panem Free, więc nie mogłem odchodzić za daleko. Zglądałem jedynie do sklepów na sąsiedniej ulicy, rozumie pan? A potem zaraz wracałem, żeby sprawdzić. Za pierwszym razem spał jeszcze, a potem wyszedł na śniadanie. Pewnie zwlekałem zbyt długo, bo dostałem dobre zamówienie w jednym miejscu i musiałem je podpisać, i obiecać tamtemu facetowi, że się zjawię najpóźniej w ciągu dziesięciu dni. Wie pan, jak to jest?

- Niech no pan idzie na górę, a ja po drodze wszystko panu wytłumaczę, żeby było jasne. To, co tu mam, to nakaz sądowy. - Sierżant Proudny miał duży nos. Potarł go. - Tu stoi napisane, że w południe już ma was tu nie być, bo zburzą ten dom. Jak nadejdzie południe,

wyniesiemy stąd was i wasze rzeczy, i wyrzucimy wszystko na ulicę. Jeśli pan tego nie chce, niech się pan wyprowadzi wcześniej.

- Naprawdę nie sądzę, żeby wasze plany były rozsądne, panie władzo - rzekł Barnes. - Ani sprawiedliwe. - Sierżant pchał się za nim, kłując go tuż ponad paskiem końcem pałki, żeby zmusić do wchodzenia po schodach. - Ludzie, a zwłaszcza starzy ludzie jak pan Free, powinni mieć jakieś prawa.

- Sąd mówi, że ma prawo dostać tyle, ile według państwa wart jest jego dom. Czy to niesprawiedliwe? Teraz niech pan idzie po niego.

- Myślę, że jest tutaj.

Barnes minął truchtem drzwi Stubba i zapukał do Candy.

Zaskrzypiały sprężyny łóżka. Drzwi się otworzyły, głośniejsz rozbrzmiały brzydkie dźwięki radia, a w progu stanęła gruba dziewczyna. Była mocno upudrowana i uróżowana, ale miała na sobie podomkę.

Barnes dostrzegł za jej plecami kawałek nie pościelonego łóżka. Było puste, ale leżało na nim coś płaskiego i futrzanego, i większego niż jakikolwiek kot.

- Nie chciałbym pani przeszkadzać - powiedział oficjalnie. - Ale czy wie pani, gdzie jest pan Free?

- Teraz to już nie wiem. Właśnie uciniałam sobie drzemkę. - Dziewczyna ziewnęła, a potem zerknęła na sierżanta Proudya'ego. - Jestem bez grosza, pamięta pan? Był pan tu wczoraj.

Barnes odchrząknął.

- Mówi, że wszystkich wyrzucą przed południem.

- Nie mnie. Ja będę jeszcze w łóżku.

Drzwi grubej dziewczyny trzasnęły, a potem szczęknęła zasuwka.

- Ozzie, rozbiórka. To będzie dzisiaj?

Po drugiej stronie schodów sierżant Proudya zobaczył szczupłą ciemnowłosą kobietę w czarnej sukni.

- W południe - odparł Barnes. - Musimy się wynieść do południa.

W jego głosie brzmiało milczące wezwanie.

- Postaram się - rzekła smagła kobieta. - To zależy, być może. Gdzie jest Stubb?

- Do diabła z tym - przerwał jej sierżant. - Muszę doręczyć ten papier. Gdzie jest Free?

- Stubb nie mógłby nic zrobić.

- Nigdy nie wiadomo, mój Ozzie. Mógłby ci pomóc.

- W czym mógłby mi pomóc?

- Jesteś inteligentny i pomysłowy. W tym, co uznasz za stosowne. - Smagła kobieta otworzyła drzwi za sobą i wślizgnęła się przez nie do środka.

Stubb był w barze z kanapkami. Przed nim stał telefon, popielniczka i na wpół opróżniony kubek kawy. Siedział z podniesioną głową, słuchając uważnie głosu w słuchawce, i zaciągał się CAMELEM.

- Tak - rzekł. - Tak, jasne. Kto mógłby to wiedzieć? Tęga kobieta w średnim wieku stała za kontuarem i wpatrywała się w Jima.

Przykrył słuchawkę dłonią.

- Coś panią gryzie?

Kobieta spojrzała na młodego człowieka za ladą, który obsługiwał Stubba poprzedniej nocy.

- Murray, znowu dałeś mu kredyt?

- Spłacił go, mamó.

- Dobrze, niech mnie pani przełączy - rzekł Stubb. - Porozmawiam z nim.

- Jak Boga kocham, jak żyję i oddycham, mamó, zapłacił. Zapłacił też za tę kawę.

- Halo, Charlie, tu Jim Stubb. Pamiętasz mnie? Jestem przyjacielem Tinkera... Charlie, potrzebna mi mała przysługa, ot, taki drobiazg. Tinker zrobiłby to dla mnie w jednej chwili, ale właśnie łowi ryby na Florydzie i nie chcę mu zawracać głowy... Tak, ja też nie byłem na rybach od roku. Ciągłe zbyt zajęty, wiesz, jak to jest... Charlie, chodzi o ten dom w południowej części miasta, tam, gdzie przepuszczają nową autostradę. Przeznaczili go do rozbiórki, ale ten stary facet, który jest jego właścicielem, to mój przyjaciel. Nie zdążył jeszcze pozabierać swoich kłopotów. Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś... Do diabła, Charlie, jest parę rzeczy, którymi mogliby się zająć, przynajmniej przez parę miesięcy. Samo planowanie tej cholerniej autostrady trwa już osiem lat... Jasne, rozumiem. Jaki jest do niego numer? Spróbuję tam zadzwonić.

- Chce pan jeszcze kawy?

- Dzięki, Murray.

- Zrobiłby pan coś dla mnie, co?

Stubb odłożył słuchawkę. Podniósł ją znowu i zaczął wykრęcać numer.

- Dlaczego tak szepczesz, Murray?

- Tak sobie. Niech pan zamówi donata.

- Poproszę biuro komisarza Carsona.

- Pan prosi ich o przysługę, a ja proszę pana. Niech pan zamówi donata. Założę się, że nie jadł pan śniadania. Co to może szkodzić?

- Nazywam się Jim Stubb i pracuję w południowej dzielnicy. Jestem bardzo dobrym przyjacielem Tinkera Bella. Czy powtórzy pan komisarzowi Carsonowi, że chciałbym z nim rozmawiać? Co, do diabła, Murray, oszalałeś?

- To taka mała przysługa, to o co proszę. Pan mnie ciągle prosi o przysługi.

- Halo, pan komisarz?... Sądzę, że spotkaliśmy się zeszłego lata na pikniku... Nie, nie, byłem po prostu wśród publiczności, pewnie pan mnie nie pamięta, ale słyssałem pańskie

przemówienie. Potem podaliśmy sobie ręce... Tak, dosolił im pan, wszyscy byli zachwyceni. Dlatego dzwonię, panie komisarzu. Wie pan, jak to jest, człowiek ma na sercu interes partii i może czasem wściubia nos nie tam, gdzie trzeba. Ale sobie mówi, partia była dla ciebie dobra, może powinieneś rozejrzeć się wkoło i czymś odplącić? Chodzi o to, panie komisarzu, że mają zburzyć ten stary dom na południu. Jest pełen ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać i cała okolica bardzo się gorączkuje... Jasne, śnieg i w ogóle... Ta sprawa nam zaszkodzi i, moim zdaniem, nawet krótki czas, żeby ochłodziły nastroje, choćby kilka tygodni, to już byłoby co innego... Nie, biali. Żadni Polacy ani nic... Zgoda, panie komisarzu, nie będę się spierał, nie ma białych głosów... ale biali głosują... Dobrze, zadzwonię do niego. A może pan też mógłby zadzwonić?

Stubb odłożył słuchawkę i przez moment wpatrywał się w przestrzeń. W nicość. Potem wyjął z kieszeni podartego dolara i położył go na kontuarze.

- Hej, Murray, daj mi jeszcze kawy i kilka donatów, co? Nie tych, tamtych dużych, tłustych.

Murray wyjął dwa z plastikowego pojemnika na kontuarze, położył je na spodku dla Stubba, potem wziął dolara i wybił w kasie dziewięćdziesiąt centów. Przynosząc Stubbowi dziesięciocentówkę wyszeptał:

- Teraz widziała, jak pan płaci. Potem mi pan odda długi.

- Jasne.

- Jeden by wystarczył. Te po dwadzieścia centów byłyby w porządku.

- Ty mi robisz przysługę, ja tobie robię przysługę. Nikt nie powie, że Jim Stubb go oszukał, chyba że sam wpierv oszukał Jima Stubba lub jego przyjaciół.

- Cóż, w każdym razie dzięki. Do kogo ten komisarz radził panu zadzwonić?

- Do Charlie'ego, tego faceta, do którego dzwoniłem najpierw. - Stubb podniósł donata i przełamał go na pół. - Wydawało mi się, że prosiłem o jeszcze jedną kawę. Chryste Panie, Murray, czy ja nigdy nie dostanę tej kawy?

W pokoju należącym do czarownicy, o stopę lub dwie od tej jego części, którą można było zobaczyć przez dziurę w ścianie Barnes'a, stała maszyna. Jej klawiatura wyglądała jak klawiatura maszyny do pisania, tylko że nie można było na niej pisać małych liter, a ekran przypominał ekran telewizyjny. Czarownica włączyła przycisk na klawiaturze i ekran rozbliłyś bladozielone Nacisnęła kilka klawiszy. U dołu ekranu pojawił się ciąg liter:

AZXDFGHBRTGHJM Cały wiersz przesunął się do góry, kiedy pojawił się pod nim następny:

OIJNUHBYGVTFRCR Czarownica rzuciła okiem na litery i nacisnęła kolejną serię klawiszy. W następnym wierszu można było przeczytać:

WAZXS CGHTVE NFAERTI

Kiwnęła głową sama do siebie i zaczęła się rozbierać, rzucając ubranie na łóżko. Naga, zdjęła szkła kontaktowe. Wyjęła z szuflady komody czarną szklaną butelkę, nalała kilka kropel balsamu do wnętrza lewej dłoni i wysmarowała nim ciało, zaczynając od stóp i zwracając szczególną uwagę na krocze, odbyt i piersi. Zapachniało tak, jak zioła miazdzone wiosną pod kołami ciężarówki.

Namaściwszy ciało, zgasila światło. Młde zimowe słońce przesączało się przez zasłony, lecz pokój pozostawał niemal w zupełnych ciemnościach. Ekran pulsował żółtozielone SACG HRCMLO LOBZYTGKK BSCNLP EANAL YNSSFINNO. Teraz i sama czarownica roztaczała słabe światło. Odłożyła butelkę na miejsce i z tej samej szuflady wyjęła żółty pastel. Kredka, jeśli w ogóle świeciła, to bardzo słabo, lecz gdy czarownica narysowała nią koło na podłodze, linia wydawała się rowkiem płomieni.

Pochyliła się, by sięgnąć do szuflady, nie wychodząc z koła, i wyjęła mały bębenek. Zrobiony był z poczerńiałego metalu. Na wierzchu widniał niewyraźny rysunek róży, namalowany błękitem i czerwienią. Czarownica umieściła ten instrument w środku koła, a potem wewnątrz wzdłuż linii napisała pastelem słowa: ADAM TE DAERAM, a na zewnątrz AMRTET, ALGAR ALGASTNA. Uczyniwszy to wrzuciła pastel z powrotem do otwartej szuflady.

Wtuliwszy bębenek pomiędzy skrzyżowane nogi, uderzyła weń palcami. Dźwięk przypominał bicie serca.

Gdy minęła godzina lub więcej, zaśpiewała czystym kontraltem:

*„Palas aron ozimonas,
Baske bano tudan donas,
Geheamel cla or lay,
Berec he pantaras tay.”*

Gdy skończyła piosenkę, umilkła na chwilę i wbiła wzrok w pulsujący ekran, ciągle uderzając w bębenek.

W końcu rozpoczęła nową piosenkę:

*„Bagabi laca bachabe,
Lamac cahi achababe, Karrelyos.
Lamac lamec Bachalyas,
Cabahagy sabalyos, Barylos.
Lagoz atha cayolas,
Samahac et famyolas, Harrahya!”*

Nie skończyła jeszcze, gdy na ekranie rozbłysło:

AMRTET ALGAR ALGASTNA ADAM ALCAR DAGERAM

Stary dom zadrżał lekko, jakby przejechał pod nim pociąg metra, o kilka ulic od tunelu, którym jeżdżą pociągi. Jakby jakiś stary motorniczy zasnął i śniąc posłał swój pociąg z łomotem poprzez ziemię.

Czarownica uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ 9

Napastnicy

Maszyna nadjechała ulicą na platformie ciężarówki. Nie, żeby nie mogła poruszać się sama - mogła, na dwóch krótkich i szerokich gładkich gąsienicach. Jej szyja, która spoczywała wyciągnięta na ciężarówce, nie była jaskrawożółta, choć pokryta cętkami.

Ciężarówka zaparkowała o pięć domów od budynku Free i wysiedli z niej operator i kierowca. Rzucając jedną belkę na drugą, zbudowali rampę z tyłu ciężarówki. Operator wspiął się na nią, a potem na maszynę. Silnik zawarczał. Z rury w kształcie kapelusza Lincoln wydobyl się z beknięciem czarny oleisty dym.

Druga ciężarówka przywiozła kulę. Kula była tak czarna, że mogłaby służyć jakiemś olbrzymowi za kulę bilardową.

Maszyna powoli, lecz łagodnie podniosła głowę i rozejrzała się wkoło po okolicy zasypanej śniegiem. Zczołgała się z ciężarówki i poderwała swoją kulę.

Zza przedniej szyby wozu patrolowego po drugiej stronie ulicy sierżant Proudny przyglądał się maszynie z ponurą satysfakcją. Polityką Wydziału było pokonywanie oporu manifestowaniem siły i sierżant przywiózł z sobą dwóch posterunkowych. Ich nazwiska brzmiały Evans i Williams.

- Czas na nas - rzekł Proudny. - Upewnijmy się, że nikogo już tam nie ma.

Wysiadłszy z wozu patrolowego, dwaj posterunkowi weszli przed sierżantem schodami. Obaj byli młodszy i wyższy od niego.

Williams zagrzechotał klamką.

- Zamknięte, panie sierżancie. - Podrapał palcami deskę w drzwiach. - Kilka ulic dalej jest straż pożarna. Mógłbym pożyczyć siekiere.

Wielki, bardzo schludnie ubrany mężczyzna w niebieskim płaszczu przyglądał im się z chodnika.

- Jesteście zajęci?

Żaden z nich nie odpowiedział.

- Nie przejmujcie się mną. Mogę poczekać, aż będziecie mieli chwilę czasu.

- Uderz jeszcze raz - powiedział Proudny do Williamsa. Williams wyciągnął swój rewolwer i walnął kolbą w drzwi.

- Mógłbym odstrzelić zamek - zaproponował z nadzieją.

- We trójkę wyważymy je jednym pchnięciem - odparł Proudny.

- Czy mamy nakaz, panie sierżancie? - zapytał Evans.

- Nie potrzebujemy nakazu. Ten budynek jest przeznaczony do rozbiórki, to własność miasta. Teraz na trzy wszyscy razem. Raz... dwa... TRZY!

Trzy ramiona uderzyły w drzwi, które ani drgnęły. Mężczyzna w niebieskim płaszczu wszedł po schodach.

- Pomogę wam - rzekł. - Kiedyś byłem w tym niezły.

- Teraz jest nas za dużo - odezwał się Evans. - Jeden drugiemu włązi w drogę.

Miał okrągłą, rumianą i piegowatą twarz. Za dziesięć lat będzie wyglądał na stale skwaszonego.

Williams, który był Murzynem, ale poza tym bardzo przypominał Evansa, zapytał:

- Jesteś policjantem w cywilu?

- Kiedyś byłem - odpowiedział mężczyzna w błękitnym płaszczu. - Przez siedem lat. Osiemnaście lat w służbie. Mick Malloy. - Wyciągnął rękę do Proudya, który ją uściśnął.

- Pamiętam cię - oświadczył Proudya. - Komisariat Jedenasty, no nie?

- Tak.

- Williams, zobacz no, czy możesz zdobyć tę siekierę. Zostaw samochód tutaj. Jak pójdziesz, jeszcze raz się zmierzmy z tymi drzwiami.

Williams kiwnął głową i zszedł po schodach. Chodnik był biały od śniegu. Stopy idącego ubijały go, lecz nie topiły. Evans odezwał się:

- Może ci faceci mogliby rozhuścić kulę do burzenia murów i uderzyć nią w drzwi, panie sierżancie?

- A jeśli ktoś właśnie za nimi stoi?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Evans.

- Gliniarz nie jest w stanie myśleć o wszystkim - rzucił Malloy - a wystarczy jeden fałszywy krok. Może oberwać ktoś inny, może też oberwać on sam. - Poruszył klamką. - Był taki facet u nas w Jedenastym, nazywaliśmy go Whitey Nelson. Którejś nocy znaleźli jego samochód zaparkowany przed pustym sklepem. Sam Whitey był w sklepie z kulą w pompce. Nikt nigdy się nie dowiedział, dlaczego tam wszedł i co tam zastał.

- Pewnie zobaczył światło albo co - rzekł Evans.

- Być może. Zostawił żonę i sześcioro dzieci. Chcecie spróbować jeszcze raz?

- Ty, Evans, spróbuj razem z Mickiem - zarządził Proudya. - Ja będę liczył. Nie chciałbym wam włązić w drogę. Przygotujcie się, chłopcy, i cała naprzód. Raz... dwa... TRZY!

Dwóch potężnych mężczyzn uderzyło w drzwi. Zadrżały, ale pozostały na swoim miejscu.

Rozległ się trzask i stuknięcie, kiedy otworzyło się okno na drugim piętrze. Dwaj policjanci i były policjant spojrzeli w górę.

Z okna wychyliła się kobieta z szeroką twarzą i kręconymi jasnymi włosami.

- Odchrzańcie się, sukinsyny! - wrzasnęła. - Nigdzie stąd nie pójdziemy!

Sierżant Proudya miał już coś powiedzieć, lecz kobieta cofnęła się. Po chwili wróciła, trzymając blaszany kosz na śmieci.

- Odchrzańcie się!

Wywróciła kosz do góry dnem. Trzej mężczyźni odskoczyli, by uniknąć strumienia wody, a okno zatrzasnęło się.

- Czynna napaść na policjanta w trakcie wykonywania obowiązków służbowych - wyrecytował Proudny. - Dostaniemy ją.

- Do diabła, ma pan rację, sierżancie - przytaknął Evans. Malloy wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- To była tylko woda, u diabła. Wyobraźcie sobie, że to był kwas albo coś w tym rodzaju. Moglibyśmy wszyscy nie żyć albo zostać kalekami na całe życie.

- Założę się, że w którejś z tych ciężarówek mają łom - podsunął Evans.

- Dobra myśl - odrzekł sierżant Proudny. - Idź zobacz, Fred. I tak mi tu włączysz w drogę.

Kiedy Evans odwrócił się i odszedł, Malloy spytał:

- Jesteś żonaty?

- A co, wyglądam na pedała?

- Do diabła, znałem niezonatych facetów, którzy tak samo lubili kobiety jak ty czy ja. Wiesz, czasami żona umiera pierwsza. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak często się to zdarza. Masz dzieciaki?

- Nie.

- To szkoda. Ja mam trójkę. Kiedy byłem jeszcze w służbie, myślałem sobie, że jak mi się coś stanie, to one się zajmą moją starą.

Sierżant Proudny pokiwał głową, jakby wysłuchał jakiegoś głębokiego wyznania.

- Nikt nie zostaje w służbie na zawsze. Zrobisz coś, na przykład, dla jakiegoś kumpla. A potem bach, okazuje się, że jakiś inny facet wpadł przez to w kłopoty, a ciebie wyrzucają na zbity pysk. Albo tego nie zrobisz i wtedy wylatujesz jeszcze szybciej. Każdemu czasem powinno się noga.

- Do diabła, to nie było nic w tym rodzaju. To moje serce. Mam niedokrwienie serca.

- Może nie powinieneś być walić w te drzwi.

- Nie martw się, sierżancie, wiem, co mogę robić. Panuję nad tym. Poza tym...

Mały tłumek, złożony głównie z dzieci, zgromadził się, żeby popatrzeć na maszynę. Niski mężczyzna o czerwonej twarzy z aktówką w ręku przepychał się teraz między ludźmi. Gdy napotkał wzrok policjanta, zawołał:

- To pan jest sierżant Proudny! - Nieco teatralnie przywitał się z Malloyem, tak, jakby dopiero w tym momencie go dostrzegł. - O, cześć, Mick.

- Cześć, Steve.

- Mick, jeśli jesteś właśnie w trakcie prezentacji, to ja poczekam. Znasz mnie, równy ze mnie chłopak.

- Jasne - rzekł Malloy. Zabrzmiało to, jakby był zmęczony.

- Mnóstwo facetów zaraz by się włączyło. Ja nie. Uważam, że to nieetyczne. - Steve z czerwoną twarzą odwrócił się do sierżanta Proudny'ego. - Jestem S.B. Marshal. - Wyciągnął wizytówkę. - W tej chwili chciałem tylko panu poradzić, żeby pan poczekał i wysłuchał nas obu. Nie proszę, żeby zrobił to pan przez wzgląd na mnie, lecz przez wzgląd na pana i pana

rodzinę. Jako inteligentny i oddany służbie człowiek, z pewnością pan rozumie, że będzie z korzyścią dla pana wysłuchać kilku ofert i wybrać najlepszą.

- Ja nie robiłem żadnej prezentacji, Steve - wtrącił Malley. - Sierżant i ja rozmawialiśmy sobie tylko o dawnych czasach. Nigdy nie byłeś gliniarzem, nie zrozumiałbyś.

- W takim razie, panie sierżancie, tu niedaleko jest mała jadłodajnia. Może moglibyśmy schronić się przed zimnem i napić kawy? Ja zapraszam, oczywiście.

- Nie mają łożu, sierżancie - doniósł Evans. - Powiedzieli, żeby spróbować tylnym wejściem. Może drzwi od kuchni nie są takie mocne.

Proudy potarł nos.

- To pierwsza rozsądna rzecz, jaką dzisiaj słyszę. Mick, będziesz tu jeszcze chwilę?

- Jasne. Jest coś, o czym chciałbym z tobą pogadać.

- Tak też myślałem. Zgoda, zostań tu, póki nie otworzymy od środka. Jeśli przyjdzie Williams z siekierą, powiedz mu, że jesteśmy na tyłach. Pan Marshal może poczekać i dotrzymać ci towarzystwa, jeśli ma ochotę. Jak to załatwimy, pogadam z tobą.

Po jednej stronie domu wąskie przejście zapchane odpadkami prowadziło na tyły. Sierżant Proudy wszedł pierwszy, a Evans poszedł za nim - było zbyt wąsko, aby mogli iść koło siebie. Spoczywały tutaj opuszczone pojemniki na śmiecie wraz z silnikami i zderzakami, lampami stołowymi bez światła i zepsutymi piecykami bez ciepła. Było ciemno jak o północy, a wszystko przykrywała warstwa śniegu.

Policjanci wyjęli zza pasków latarki i oświetlali sobie drogę, dopóki sierżant Proudy nie poślizgnął się na pochylonym boku starej lodówki i nie przewrócił się, tłukąc szkło i żarówkę w swojej latarce. Evans pomógł mu wstać. Skóra na jednej ręce sierżanta była starta. Proudy wyszał krew i owinął dłoń chusteczką.

- Niech pan mnie teraz puści przodem, - rzekł Evans.

- Jak masz mnie zamiar wyminąć? Mam się położyć, żebyś mógł przejść po moich plecach?

- To niech pan weźmie moją latarkę, sierżancie.

- Z moim szczęściem ją także bym potłukł. Świeć mi pod stopy. Tak jakoś przez moje nogi, żebyś widział, dokąd idę.

- Sierżancie...

- Tak, co?

- Słyszysz pan coś?

Przez chwilę obaj nasłuchiwali.

- Tylko samochody z autostrady.

- To nie brzmi jak samochody.

Sierżant Proudy wytarł nos chusteczką zawiązaną na dłoni.

- Więc jak?

- Nie wiem. Jakby pracował silnik, bardzo powoli. Tub-ub, tub-ub, tub-ub, jak jakieś serce.

- Słyszysz tylko swoje własne serce, to wszystko. Puls zaczyna ci tętnić w uchu i go słyszysz. To się zdarza bez przerwy.

- To nie jest moje serce.

- Nie? To wyłącz je i zobacz, czy hałas nie ucichnie. A teraz poświeć mi tym światłem pod nogi, jak ci mówiłem. - Sierżant Proudny próbował zdrową ręką przytrzymać się ściany, gramoląc się przez złom. - Trzeba tu uważać - powiedział. - Sprężyny od łóżka.

- Może tam jest alejka. Moglibyśmy dojść do końca ulicą i sprawdzić.

- Co z tobą, Fred? Jesteśmy już w pół drogi.

- To się ciągnie jeszcze daleko - zauważył Evans.

- Te domy nie są takie duże.

- Co to jest, to czarne tam na końcu?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Tam na samym końcu, panie sierżancie.

- Nic tam nie ma, do diabła.

- Teraz znikło - rzekł Evans.

Sierżant Proudny, szukając oparcia dla stopy na stercie zamrożonych śmieci, parsknął:

- Pewnie samochód albo ciężarówka w alejce.

Była tam wąska alejka, ale żadnego samochodu. Podwórko, na które Ben Free wymiół swoje okruchy szkła i pogięte kapsle, leżało w sąsiedztwie tuzina podobnych podwórek. Być może, leżąc tak, spało pod warstwą śniegu. A może wszystkie spały.

Śnieg padał teraz znacznie gęściej i zerwał się zimny wiatr, by zawirować opadającymi płatkami. Istnieje legenda, że śnieg padający poziomo może doprowadzić do szaleństwa - wierzą w nią ci, którzy wierzą w aspirynę dodawaną do coca-coli i w pobożność polityków. Jeżeli mają rację, to za oknami odrapanych domów kryło się mnóstwo szaleństwa. Ich cegły były siostrzycami cegieł ze szpitala Belmont dla psychicznie chorych. Ich oczy w pół otwarte, ślepe i wybałuszone, oczy tylko ćwierć otwarte i oczy jak żółto świecące szczeliny, wszystkie wyglądały z czaszek wariatów.

- To tutaj - oznajmił Evans i sam się poślizgnął. Jego latarka upadła z grzechotem na zwłoki szafy grającej, a zielone i czerwone światełka zabłyśły jeszcze raz widmem swego dawnego plastikowego przepychu.

Sierżant Proudny zaklął i odepchnął kolegę, sięgając po latarkę.

- Jeden: jeden - obwieścił Evans. - W każdym razie moja nie zgasła.

- Tak, ale ją upuściłeś.

- Właśnie to powiedziałem, sierżancie.

- To pożyczę ją na chwilę, dobra? Dziwię się, że moja się stukła. One są zwykle całkiem solidnie zrobione.

- W mojej kiedyś pękło szkło. Przyładowałem nią tamtemu karcierzowi. Znalazł pan?
- Tak... Nie, do diabła, to jest coś innego. Śnieg wirował wokół dwóch mężczyzn.

ROZDZIAŁ 10

Atak

Glasser nosił niebiesko barwione okulary i obszerny płaszcz z włochatego tweedu. Teraz płaszcz był uwalany śniegiem. W okularach Glasser wyglądał jak niewidomy, choć nim nie był. Podążał do przodu z wyciągniętą ręką, jak mógłby podążać prawdziwy ślepiec, gdyby mu powiedziano, że niedaleko jest Mesjasz.

- Jestem Nate Glasser - oświadczył. - Miło mi pana poznać, sierżancie.

- Nie jestem żadnym sierżantem - odparł policjant z siekierą w dłoni.

- Przepraszam. Myślałem, że jest pan niejakim sierżantem Proudym.

- Aha.

- Widzi pan, przechodziłem koło wozu patrolowego, tego tam z tyłu, i nic na to nie poradzę, że usłyszałem radio. Wołali sierżanta Proudymego.

- To nasz patrol - rzekł wielki policjant, przyspieszając kroku. - Chyba lepiej zobaczę, o co chodzi. - Zamaszystym gestem otworzył drzwi wozu i wyszarpnął mikrofon. - Patrol Dwadzieścia Trzy do centrali. Przechodzień mówi, że nas wzywaliście.

- *Ciągle jesteście przy tej rozbiórce, Dwadzieścia Trzy?*

- Zaparkowaliśmy po drugiej stronie ulicy.

- *Był telefon, tysiąc siedemset pięćdziesiąt.*

- Pod jakim adresem?

- *Ta, co dzwoniła, nie powiedziała. Tylko tyle że to u Bakerów i że samochód policyjny stoi przed drzwiami, ale nie widać żadnych funkcjonariuszy. Potem wrzasnęła i odwiesiła słuchawkę. Pomyśleliśmy, że to może wy.*

- Zajrzę tam - oznajmił policjant i rzucił mikrofon na siedzenie samochodu.

Glasser dotknął jego ramienia.

- Co to jest tysiąc siedemset pięćdziesiąt, panie władzo?

- Wtargnięcie do domu. Zna pan tu jakich Bakerów?

- Obawiam się, że jestem nietutejszy. Pracuję dla Pe eM Gie i De.

- Hej! - Policjant podniósł siekierę, którą miał w dłoni, i potruchtał w stronę grupy ludzi gawędzących na chodniku.

Cwałując obok niego, Glasser powiedział:

- Na nic się nie przydadzą. To też agenci. Znam ich wszystkich. Z wyjątkiem tego małego faceta.

Mały facet odwrócił się słysząc okrzyk policjanta. W przeciwieństwie do pozostałych wyglądał nieporządnie. Jego grube okulary ledwie sięgały drugiego guzika płaszcza policjanta.

- Wie pan, gdzie mieszkają Bakerowie?

- Jasne - przytaknął mały facet. Wskazał na dom tuż obok tego, przed którym stali. - Ich się nie wywłaszcza. Jeśli naprawdę wybudują wiadukt, dom będzie stał tuż obok słupów.

Policjant nie słuchał. Z siekierą w ręku wszedł schodami na ganek, po dwa stopnie naraz.

Drzwi się otworzyły i wyjrzał zza nich drugi policjant. Miał rumianą, piegowatą twarz.

- Tak myślałem, że to ty, Bill. Zdobyłeś ją, co? Williams rozluźnił się i opuścił siekierę.

- Ano tak. A co wy tu robicie?

- Bawimy się z kotkiem.

- Że co powiedziałeś?

- Pytałeś przecież. Chodź do środka.

Williams wszedł. Mały facet wślizgnął się za nim jak cień, nurkując pod jego ramieniem, gdy ten zamykał drzwi. W środku w fotelu na biegunach siedziała starsza pani i uśmiechała się wyrozumiale. Sierżant Proudny klęczał przed nią na wytartym wschodnim dywanie. Trzymał sznurek, na którym zawieszona była pognieciona kulka różowego papieru. Kotek z inteligentnymi żółtymi oczami przyglądał się papierkowi z fascynacją, co jakiś czas na próbę wyciągając łapkę.

- Coś tu nie pachnie za ładnie - szepnął Williams.

- To tylko skrzynka dla kota, Bill. Sierżant Proudny podniósł wzrok.

- Masz siekierę.

- Ano - powiedział wolno Williams. - Mam.

- Porąbałeś już drzwi?

- Jak to, czy porąbałem? Dopiero wróciłem. Z centrali mówili, że ktoś próbuje się tu włamać, no to jestem.

- To ja dzwoniłam - odezwała się staruszka w fotelu na biegunach. - Odłożyłam słuchawkę, jak zobaczyłam, że to policja. Już lepiej nie wywoływać wilka z lasu, jak wilk tu.

- Co się właściwie stało? - spytał Williams sierżanta.

- Fred upuścił latarkę i dostaliśmy się do złego domu. Wiedziałem, że coś jest nie tak, jak tylko drzwi ustąpiły. Dom Free ma drzwi niczym forteca.

- Byliśmy niezłe zmarznięci - dodał Evans - więc jak pani Baker nas zaprosiła, to skorzystaliśmy. Potem pan sierżant zaczął się bawić z jej kotem.

- To Bufka - wyjaśniła pani Baker.

- Tak się składa, że lubię koty - wyznał Proudny. - Niektórzy już to do siebie mają, może nie? To żadne przestępstwo.

Williams potrząsnął głową.

- Jasne, że nie. Ja tam raczej wolałbym psa, ale to już sprawa gustu. Myślę tylko, że oni tam na dworze są już prawie gotowi z tą swoją wielką maszyną.

Mały facet, który wślizgnął się do środka za Williamsem, dorzucił:

- Mieli jakąś awarię. Chyba mówili coś o głowicy cylindra. Zdjął trenz i podniszczony filcowy kapelusz. Być może wszyscy, prócz samej pani Baker, sądzili, że jest tu u siebie.

- Tak czy siak, musimy ich stamtąd wyrzucić - rzekł Williams. - I mieć to za sobą.

- Ano.

Bufka zmieniła taktykę. Teraz uderzała obiema łapkami.

- Jeśli pan nie idzie, to ja chyba pójde posiedzieć w naszym wozie. Może być jaka wiadomość przez radio.

Sierżant Proudny wstał.

- Nie próbujesz być za cwany, Bill?

- Ja? Skąd. Nie miałem nic szczególnego na myśli. Tylko to, co powiedziałem.

Mały facet spojrzał na panią Baker.

- Może chcielibyście trochę kawy, zanim wyjdziecie. Wiem, że ja bym chciał.

- Nie mam kawy - odparła pani Baker. - Tylko herbatę dla dwóch osób i kukało. Może trochę kukało? Tego zawsze miło się napić w zimny dzień.

- Tak, proszę pani, bardzo poproszę - powiedział Williams. - Strasznie zmarłem, idąc całą drogę do straży pożarnej.

- My byliśmy na dworze tak samo długo jak ty. Może myślisz, że nie?

- Nigdy tego nie mówiłem, sierżancie. Nie powiedziałem, że siedział pan w samochodzie ani nic takiego. Wiem, że musieliście zmarznąć. Pewnie dlatego Fred upuścił latarkę. Palce człowiekowi zziębna i wszystko mu leci z rąk. Ja sam o mało nie upuściłem kilka razy tej siekiery, jak wracałem.

Sierżant Proudny spojrzał na Williamsa niebezpiecznym wzrokiem.

- To ja już lepiej pójde wstawić wodę - wymamrotała pani Baker i odeszła.

Mały facet ofiarował się z pomocą.

- Jeśli naprawdę martwicie się o to radio, to pójde posłuchać przez chwilę. Nie jest mi zimno. Przyjde i powiem, jeśli będzie jakaś wiadomość.

- Kręci się tam taki facet w niebieskich okularach i pewnie słucha - zauważył Williams.

Zabrzczał dzwonek i mały facet otworzył drzwi, by zobaczyć kto to. Śnieg znów prawie przestał padać, ale nasypało go dosyć, by pod drzwiami powstał mały lodowiec. Mężczyzna stojący na progu pani Baker miał słoneczne okulary, kapelusz z włókna kokosowego, kolorową sportową koszulę i szorty. Jego twarz wyglądała, jakby spiekł ją na słońcu.

- Mógłby mnie pan wpuścić? - zapytał małego faceta.

- Mógłbym. Pan także jest agentem ubezpieczeniowym?

- Nie. - Mężczyzna w sportowej koszuli solennie podniósł rękę do góry. - Przysięgam panu na grób mojej matki, na mój honor i na to wszystko, co najdroższe, że nie sprzedaję ubezpieczeń.

- Wpuściłbym i agenta ubezpieczeniowego - oświadczył mały facet. - Zastanawiałem się tylko, czy jest pan jednym z nich. Jest ich tam sporo na dworze.

Odstąpił na bok i przepuścił mężczyznę w sportowej koszuli przez próg.

- Dzięki Bogu. Zmarzłem na sopel lodu.
- Tak też pan wygląda.
- Zawsze wypijam kilka dżinów, zanim wyjdę na wizyty. Dostajemy je w biurze za darmo, ale na Boga, nie sędzę, by to cokolwiek pomagało.
- Może kiedyś wpadnę do pańskiego biura.
- Chętnie pana ugościmy. Mówię serio. - Mężczyzna w sportowej koszuli sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę. - Kiedy panu wygodnie. Niech mi pan da znać.

Na wizytówce było napisane:

SIM SHEPPARD „OSIEDLE SŁOŃCA”

- Domyślam się - powiedział mały facet - że szuka pan sierżanta Proudym'ego, może nie mam racji? To nie ja, ja jestem Jim Stubb. Proudym to ten z kotkiem. Niech pan wejdzie, przedstawię pana.

Barnes poklepał Stubba po ramieniu.

- Co to jest? - zapytał.

Podobnie jak Stubb, stał w śniegu z kołnierzem płaszcza podniesionym przeciw wiatrowi.

- Może nie wiesz, co? Barnes zasznurował usta.

- Agenci?

- Tak. Będzie pewnie koło setki tych sukinsynów. Ubezpieczenia. Akcje i obligacje. Posiadłości ziemskie na Florydzie.

- To ja ich wezwałem. Powiedziałem, że jestem Proudym i kazałem im się tu ze mną spotkać.

- Domyślałem się, że to coś w tym guście. Sprytnie z ciebie diablisko, Ozzie.

- Madame Serpentina chciała, żebym coś poradził i musiałem nieźle się nagłówkować, nim na to wpadłem. Nie sędzę, żeby to im przeszkodziło. Nie naprawdę.

- Do diabła, na pewno ich opóźni.

Trzej policjanci przedzierali się przez tłum. Mogłyby to być uliczne zamieszki.

- Myślę, że powinniśmy wejść na schody i stanąć przed drzwiami - rzekł Barnes. - To pewnie ostatnia rzecz, jaką możemy zrobić.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi. Candy wylała wcześniej trochę wody z okna i wszystko zamarzło.

- Powiniennem był o tym pomyśleć - rzucił Barnes. Przy schodach nie było poręczy i dwaj lokatorzy podtrzymywali się nawzajem, żeby nie fiknąć kozła.

- W każdym razie ona to zrobiła - odparł Stubb. - Candy się nie cacka. Hej, spójrz na to!

Na ulicy w dali zamajaczył w padającym śniegu samochód ze skomplikowaną anteną na dachu.

- Wiadomości Programu Drugiego - powiedział Stubb. Zdjął okulary i przetarł rękawem.

Barnes spojrział na niego z podziwem.

- To ty ich wezwałeś?

- Gdybym ja ich wezwał, toby nie przyjechali. Ale zadzwoniłem do piekielnej masy polityków licząc na to, że któryś odpali im wiadomość. W polityce zawsze znajdzie się ktoś, kto chce być w dobrych stosunkach ze środkami przekazu.

Williams wywijał nad głową siekierą strażacką. Obok niej wzniosła się i opadła pałka Evansa. Jeden ze sprzedawców wrzasnął. W dali zawyła syrena.

- Więcej policji - zauważył Barnes. Stubb pokiwał głową.

- Tego się obawiałem.

- Myślisz, że powinniśmy utworzyć żywy łańcuch?

- Nie jesteśmy tacy młodzi, ale jasne, że tak.

Precz z energią jądrową! Ratujmy wieloryby! Free to zagrożony gatunek!

Wzięli się pod rękę. Wolną ręką Stubb zdjął okulary i wsunął je do kieszeni płaszcza.

Evans przeciskał się teraz ze swoją pałką, posługując się jej tępym końcem, by odpychać brzuchy agentów i komiwojażerów. Williams i Proudny wyrwali się i weszli na schody. Williams nadal wymachiwał siekierą.

- Zejdźcie z drogi - rozkazali dwóm lokatorom. Operator żółtej maszyny zapuścił motor.

- Nie my - powiedział Stubb do Williamsa. Spomiędzy cegieł sterczała zardzewiała lampa bez żarówki.

Stubb zdołał chwycić się jej ramienia, żeby utrzymać równowagę. Sprzedawcy napłynęli falą za sierżantem Proudym. Za nimi grupka różnokolorowych dzieci i stadko starych ludzi przyglądało się z zainteresowaniem, wycierając nosy w rękawy. Ekipa filmowa ogarnęła sytuację jednym spojrzeniem i zaczęła kręcić, podczas gdy reporter posuwał się do przodu z mikrofonem. U wylotu ulicy czarno-biały samochód policyjny wpadł w lekki poślizg zakręcając wokół narożnika.

- To ty - sierżant Proudny rzucił do Barnes. - Gdzie Free?

- Tak, to ja - odparł Barnes.

- Właściwie dlaczego wam się chce to robić? - zapytał Williams. - Co ten stary dom dla was znaczy?

- Zastanawiałem się nad tym - rzekł Stubb. - Prawdę mówiąc, niech mnie szlag trafi jeśli wiem.

- Dobra, posuńcie się. Będę musiał was wynieść. Stubb potrząsnął głową.

Sierżant Proudny zarzucił ramiona na Barnes, przyciskając mu ręce do boków. Jakby znikąd wybuchła nagle chmura białego kurzu. Sierżant Proudny zaczął gwałtownie kichać, a przy trzecim kichnięciu puścił Barnes.

- Złaźcie z drogi! - wrzasnął Williams i odepchnął Stubba na bok. Siekiera błyskawicznie zabłysła w górze, a potem spadła. Zajęczało drewno, gdy Williams wyszarpnął ostrze.

Za jego plecami Mick Malloy stracił równowagę na oblodzonych schodach i ciężko przewrócił się na Nate'a Glassera i Ozzie'ego Barnes. Obaj upadli na Williamsa. Długa,

zaostrzona, niszcząca ostroga strażackiej siekiery odskoczyła dziko do tyłu, właśnie wtedy, gdy sierżant Proudny wyprostowywał się po kolejnym kichnięciu.

Przez padający śnieg i mgłę słabego wzroku Stubb dostrzegł niewyraźnie biel kości i strumień krwi.

ROZDZIAŁ 11

Ofiara

Kiedy kapitan Davidson wysiadł z samochodu, na ulicy znów się uspokoiło. Ekipa telewizyjna odjechała w poszukiwaniu bardziej widowiskowej katastrofy, a spośród kolorowych dzieci i starych ludzi pozostali tylko najwytrwalsi. Czterech policjantów, zdradzających większe lub mniejsze poczucie własnej ważności, nadzorowało rozmowę agentów. Piąty podrzemywał w pewnej odległości.

- No, dobra - rzucił kapitan Davidson. - Co się tu dzieje?

Wielki policjant z czerwoną twarzą wystąpił naprzód.

- Trzymają go tam, panie kapitanie.

- Cholera.

- Tak, proszę pana.

- Byłeś tu, kiedy to się wydarzyło?

- Tak, panie kapitanie. Byłem tu cały czas. Przyjechałem z nim. Jestem Evans, panie kapitanie.

- I pozwoliłeś, żeby go zabrali do środka?

- Nic nie mogłem poradzić, panie kapitanie. To ten doktor. Sierżant trzepotał się leżąc na chodniku, a ci agenci przechodzili nad nim...

- Powiedziałeś „agenci”?

- Tak, panie kapitanie. To ci tam, panie kapitanie. Wtedy ten doktor przyleciał skądś biegiem. Tak sobie myślę, że pewnie gdzieś tu mieszka, panie kapitanie. Wrzeszczał, że trzeba zatrzymać krwotok. Potem drzwi się otworzyły. Otworzyła je ta wielka gruba dziewczucha w różowej podomce, która wylała na nas wodę, i doktor krzyknął, żeby pomóc go podnieść. Więc pomogłem, a potem okazało się, że doktor trzyma go za jedno ramię, a ten facet z wąsami za drugie i we dwójkę zanieśli go do domu, i zamknęli drzwi, panie kapitanie.

- A ty nie poszedłeś z nim. Evans potrząsnął głową.

- Próbowałem, proszę pana, ale wszyscy agenci też starali się dostać do środka, a gruba dziewczucha ich odpychała. Dobrze jej to szło.

- Nad tą całą cholerną operacją wisi jakieś przekleństwo - rzekł gorzko kapitan Davidson.

- Już i tak trwa dziesięć razy dłużej, niż powinna, i zajmuje dziesięć razy za dużo ludzi. A teraz to.

- Tak, panie kapitanie.

- Wyglądałeś, jakbyś chciał coś powiedzieć, Evans. Wykrztuś to.

- Nie, panie kapitanie. Nie miałem zamiaru nic mówić. Kapitan kiwnął głową w stronę maszyn budowlanych zaparkowanych przy krawężniku.

- Gdzie operatorzy?

- Niedaleko, piją kawę.

- Nie dziwię im się.

- Nie, panie kapitanie.

Kapitan Davidson podszedł do schodów i pochylił się, by rzucić okiem na drzwi.

- Niech pan uważa, panie kapitanie. Oblodzone.

- Widzę.

- Myśli pan, że spadnie więcej śniegu?

Kapitan Davidson odwrócił się, by spojrzeć na Evansa.

- Tak, ale przedtem ich stamtąd wyciągniemy. Jeszcze przedtem całą tę waszą cholerną zgraję nieudaczników zagnam z powrotem do roboty. Kto ma siekiere?

Żaden z policjantów się nie odezwał.

- Słyszeliście, co powiedziałem. Ktoś uderzył w te drzwi siekiere. Williams, przyładowałeś nią Proudzy'emu. Gdzie ona teraz jest?

Williams coś wymamrotał.

- Mów głośniej! Jeśli boisz się uderzyć nią jeszcze raz, sam to zrobię. Gdzie ona jest?

- Ktoś ją zabrał.

Lekko potargany mężczyzna w niebieskich okularach odłączył się od stadka agentów.

- Zabrał ją taki mały facet w okularach, panie kapitanie.

- Co?

- Ten pan władza był trochę otumaniony, pewnie wszyscy byliśmy, a ten mały facet podszedł do pana władzy i powiedział: „ja to wezmę” i wyjął mu siekiere z dłoni. Wtedy widziałem ją ostatni raz.

- Kim pan jest?

Zostało to powiedziane szorstko, a nawet opryskliwie, ale mężczyzna w niebieskich okularach wystąpił do przodu z uśmiechem.

- Nathaniel Glasser, panie kapitanie. - Jak magik cyrkowy wyczarowujący cudowny bukiet, wyciągnął swoją wizytówkę. - Jestem doradcą inwestycyjnym. Być może słyszał pan o nas: Papke, Mittleman, Glasser & Dornberg. Od samego początku umieściliśmy naszych klientów w perfumowanych damskich biustonoszach. Zrobili miliony, więc poradziłem im, jak ominąć podatki wyjeżdżając na Bahamy. Nasz własny procent jest bardzo niewielki, oczywiście.

Wizytówka była w dłoni kapitana Davidsona. Glasser cofnął się, nie przestając się uśmiechać.

- Słońce szkodzi panu na oczy, panie Glasser?

- Hm? To ma pan na myśli? - Glasser zdjął swoje niebieskie okulary. - Tak, szkodzi. To znaczy wtedy, kiedy świeci. Odbija się od śniegu. Nie jestem poszukiwany przez policję, jeśli o to panu chodzi, panie kapitanie.

- Nie, przypuszczam, że nie. Ale teraz słońce nie świeci, panie Glasser.

- To okulary optyczne - odparł Glasser i nałożył je z powrotem.

Kapitan Davidson odwrócił się.

- Evans, ty jesteś dość duży. Chcę, żebyście stanęli tu na schodach z Williamsem. Wy dwaj - kiwnął w stronę dwóch policjantów, którzy pilnowali agentów - pójdziecie na tyły. Ty, Peters. - Wskazał palcem swojego kierowcę. - Chodź...

W tej chwili drzwi domu Free się otworzyły. Mick Malloy wyszedł i zamknął je za sobą.

- Na co czekacie, tępe sukinsyny! Evans! Otwórz te drzwi!

Evans rzucił się ku nim, poślizgnął na lodzie i złapał równowagę chwytając za klamkę. Po chwili wyprostował kolana i spróbował przekręcić gałkę.

- Znowu zamknięte, panie kapitanie.

- Założyłbym się o to.

Kapitan Davidson wielkimi krokami podszedł do Malloya.

- Kim pan jest?

- Osiemnaście lat w służbie - odparł Malloy - w tym siedem po cywilnemu. Jestem Mick Malloy. Byłem w Komisaracie Jedenastym, panie kapitanie.

- Mieszkasz tu?

- Niestety nie, panie kapitanie. Byłem tam tylko, żeby porozmawiać z sierżantem Proudym. Jestem jego doradcą ubezpieczeniowym. - Dłoń Malloya wślizgnęła się do wewnętrznej kieszeni i wydobyła urzędowo wyglądający dokument. Mężczyzna wzrokiem odszukał w tłumie osobnika o czerwonej twarzy. - Właśnie podpisałem z sierżantem Proudym umowę o całe życie na dwadzieścia pięć tysięcy.

Facet o czerwonej twarzy dał krok naprzód, machając aktówką.

- Daleś mu do podpisania, kiedy tam leżał i krwawił? Ty parszywy sukinsynu!

- Zależało mu, żeby podpisać - rzekł uszczęśliwiony Malloy. - On chciał podpisać, Steve. Szkoda, że nie słyszałeś, jak mi potem dziękował. Mogłem dociągnąć do pięćdziesięciu. Trochę żałuję, że tego nie zrobiłem.

- A jeśli umrze? - zapytał zagniewany Marshal. Kapitan Davidson przyglądał się im obu w milczeniu.

- Nie umrze.

- Skąd, cholera, wiesz? Nie jesteś żadnym doktorem.

- Tamten doktor jest doktorem. Właśnie zszywa mu głowę. Nie wrzeszczy, że potrzebny tlen i transfuzja, no nie?

- A skąd ja mam, do diabła, to wiedzieć?

- Mówił pan, że tu nie mieszka, Malloy - odezwał się kapitan.

- Nie mieszkam, panie kapitanie.

- To nie miałyby pan nic przeciwko temu, żebyśmy spojrzeli na pana klucze? Tak po przyjacielsku. Mówił pan, że jest pan byłym gliniarzem. Powinien pan wiedzieć, jak to jest.

- Chciałbym dostać te klucze z powrotem, panie kapitanie. Ale mam nadzieję, że zatrzyma pan wizytówkę. Wie pan, jak to jest.

- Nie wiem. Nigdy nie sprzedawałem ubezpieczeń. Dygoczący mężczyzna w szortach i koszuli z krótkim rękawkiem pojawił się o boku Malloya.

- Mówił pan dwadzieścia pięć tysięcy na całe życie? Kapitan Davidson rzucił Evansowi klucze na stopnie domu.

- Podwójne odszkodowanie. Na rzecz żony.

- Tak właśnie słyszałem - rzekł dygoczący mężczyzna. Troskliwie obejmował styropianowy termos z kawą. - Jeden z koleśi właśnie o tym mówił, jak podszedłem. Prosiłem go... - Umilkł na chwilę, by wytrzeć nos.

Glasser odepchnął go na bok.

- Idziesz już, prawda? Jesteś Malloy, prawda? - Wyciągnął rękę i Malloy ją przyjął. - Nat Glasser. Już ci nie zależy, więc powiedz mi. Na jaką poszedł prezentację? Światowego bywalca? Poważnego człowieka? Mamy coś, co otwiera...

- Skąd pan wie, że nie mam wstrząsu mózgu? - zapytał zrzędlawie sierżant Proudny.

- Czy wyglądam na Pana Boga? - powiedział stary doktor. - Nie wiem.

Jeśli chodzi o ścisłość, faktycznie wyglądał jak Pan Bóg. Był niskim, starszym człowiekiem z małą siwą bródką i jeszcze bardziej siwymi wąsami. Kołnierzyk kraciastej koszuli - niemal nieomylny znak niedalekiej boskości - wystawał spod kołnierza płaszcza.

- A gdybym tak miał wstrząs mózgu?

- Robi się panu ciemno przed oczami? Widzi pan plamy?

- Nie.

- Jest pan zamroczony?

- Nie bardzo.

- Traci pan czucie w palcach? Rzeczy lecą panu z rąk?

- Odkąd upuściłem latarkę, to nie, a to się stało, zanim dostałem w głowę.

- No to założywszy, że ma pan wstrząs mózgu, nakazuję panu wrócić do domu i iść do łóżka. Rano niech pan odwiedzi swojego lekarza i powie mu, co się zdarzyło.

- To samo pan mówił przedtem.

- Wiem o tym. - Doktor spojrział na swoją zakrzywioną igłę i odłożył ją. - Wstrząs to jakby siniak na mózgu. Może być tak lekki, że niemal wcale nie ma objawów. Najważniejsze to zostawić mózg w spokoju, póki nie wydobrzeje. Niech pan nie gra w piłkę nożną. Jeśli zobaczy pan, że ktoś chce pana uderzyć kijem do baseballa, niech pan schowa głowę. (Siostró, poproszę plaster.) Jeśli chce pan wiedzieć na pewno, czy ma pan wstrząs mózgu, dokonamy autopsji. Jeśli pan myśli, że mógłby pan mieć złamanie czaszki, niech pan pójdzie do izby przyjęć w najbliższym szpitalu i im to powie. Prześwietlą panu głowę wiązką promieni Roentgena, a tylko bardzo nieudolny technik rentgenowski nie znajdzie jakiegoś pęknięcia, jeśli dobrze poszuka. Powie panu, żeby pan odstawił piłkę nożną, póki kość się nie zrośnie. Dobra, skończone, niech pan włoży kapelusz i może pan iść do domu.

- Skończył pan bandażować? - Palce sierżanta Proudny'ego sięgnęły ku gazie.

- A jak pan myśli, dlaczego łąziłem dookoła pana, kiedy do pana mówiłem? Ostrzegam, jeśli pan będzie dotykał, będzie bolało.

- Proszę - powiedziała Candy Garth i wyciągnęła różowe plastikowe lustro kieszonkowe.

Proudy przyjął je i przyjrzał się opatrunkowi.

- Zrobiłem tak, żeby wyglądało gorzej, niż jest naprawdę. Jeśli opatrunek nie wygląda źle, nikt nie wierzy, że pacjentowi coś się stało.

- Strasznie bym nie chciał tak się czuć, jak to wygląda.

- Nie żyłby pan.

- Czy zostanie ślad? - zapytała Candy.

- Obawiam się, że tak. On łysieje w tym miejscu. Oczywiście chirurg plastyczny mógłby usunąć prawie całą bliznę.

- Zatrzymam ją. - Sierżant Proudy potarł ręce. - Jeśli jakiś żółtodziób zapyta, co mi się stało, odpowiem, że dostałem w głowę siekierą strażacką. Ma pan aspirynę?

- Nigdy jej nie noszę. Mam teorię, że każdy pacjent zbyt tępy, żeby sam ją sobie kupić, jest i tak zbyt tępy, żeby przeżyć.

- Przyniosę trochę - rzekła Candy.

Wyszła i usłyszeli, jak schody jęczą pod jej ciężarem.

- Ta dziewczyna po prostu lubi się kimś opiekować - odezwał się Barnes. - Powinien pan ją przyjąć do pracy, panie Makee.

Stał zwrócony plecami do kominka, gdzie płonął wrak stołu.

Lekarz potrząsnął głową i zamknął torbę.

- Były czasy, kiedy poszedłbym za pana radą. Teraz nauczyłem się umiaru.

Sierżant Proudy wstał, zachwiał się i chwycił oparcie krzesła, by odzyskać równowagę.

- Ile jestem panu winny, doktoru? Doktor Makee mrugnął do Barnesesa.

- Zawsze mogę poznać, kiedy się lepiej czują. Nazywają mnie doktorkiem.

- Ile? Jeśli to nie więcej, niż mam przy sobie, zaraz panu zapłacę.

- Dziesięć dolarów. Parę ładnych lat temu przysięgałem, że nigdy nie wezmę więcej niż dziesięć dolarów za wizytę domową.

- Nikt już nawet nie składa wizyt domowych - rzucił Stubb.

Na jego kolanach leżała zakrwawiona siekiera strażacka.

- Ja też nie. Jestem na emeryturze, a przynajmniej zawsze to wszystkim powtarzam.

- Tu jest aspiryna - oznajmiła Candy. - Należę panu coś do popicia, jeśli rury jeszcze nie zamarzły. - Do Barnesesa powiedziała: - Madame Serpentina pakuje się. Podśledzałam pod jej drzwiami.

Stubb spojrzął na ciemny i cichy telewizor.

- Gdzie jest Free? - szepnął, ale Barnes tylko wzruszył ramionami.

Sierżant Proudny połknął dwie tabletki aspiryny i przeszedł przez pokój, żeby wyjrzeć przez okno.

- Tutaj jest! - wykrzyknął Sim Sheppard.

Wszystko zamarło. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć. Na jakieś dwadzieścia sekund wystający nos i małe oczka sierżanta Proudny'ego pojawiły się w oknie salonu, wciąż rozpoznawalne pod filuterną czapką z gazy opatrunkowej.

Kawa Sima została wdeptana w śnieg. Aktówka Steve'a Marshalla wypadła mu z rąk. Żaden fizyk nie umiałby powiedzieć, jak ci, co znaleźli się z przodu, uderzyli w drzwi. Większość z nich to byli ciężcy mężczyźni, zarówno policjanci, jak i sprzedawcy. Biegli i nie zdołali wyhamować na lodzie. Za nimi znajdował się drugi tuzin jeszcze cięższych, którzy także nie mogli - lub nie chcieli - zatrzymać się. Osłabione drzwi wydały odgłos bardzo podobny do modelu samolotu, na który skoczył obiema nogami mały chłopiec.

ROZDZIAŁ 12

Odwrót

- Ty też, co? - spytał Barnes.

Stubb obejrzał się w jego kierunku.

- Tak, ja też.

Zapadła noc i nad miastem wisiały śnieżne chmury. Nie było żadnych świateł prócz tych, które zapalili ludzie. Mogło to być miasto wzniesione w chmurach, z których wзираłyby kilka gwiazd. Mogli znajdować się w jakiejś rozległej, ciemnej, górzystej okolicy, w krainie wzgórz i czarnych świerków.

- Myślałem, że zburzą więcej.

- Było już prawie po godzinach, kiedy wywlekli Candy na ulicę - zachichotał Stubb.

- Co za świństwo miała pod podomką?

- Olejek dla niemowląt, jak sądzę.

- I to ja mam wiedzieć wszystko o nowinkach. Gdybym nasmarował podłogę w holu...

- Pewnie by ją upuścili i złamali jej kark.

- Albo przeleciałaby do piwnicy. Ile ona waży?

- Skąd mam wiedzieć, u diabła? Może ze dwieście funtów?

- Przynajmniej dwieście pięćdziesiąt. Może trzysta.

- Może i trzysta - zgodził się Stubb. - Co to zresztą za różnica? - Rzucił papierosa w śnieg. - Cholernie tu zimno, Ozzie. Masz nowe mieszkanie?

- Tak, mam.

- Ja nie. Pozwolili mi zostawić torbę za kontuarem w barze z kanapkami niedaleko stąd i ciągle się za czymś rozglądam.

- Tak - rzekł znowu Barnes.

- Nieźle współpracowaliśmy po południu, no nie? Nie poszło najgorzej. Do diabła, z Candy prawie się udało.

Barnes skinął głową.

- Ozzie, zastanawiałem się, czy nie mógłbym przekimać u ciebie. Tylko jedną noc. Rano coś sobie znajdę.

Na chwilę zapadła cisza, a potem rozległ się łagodny głos czarownicy:

- Ozzie nie ma gdzie spać, panie Stubb. Obaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie.

- Skąd pani się tu wzięła? - zapytał Stubb.

- Obawiam się, że okłamał pana. Stoi tutaj, wpatrując się w ten zburzony dom z tego samego powodu co pan. Zastanawia się, czy nie mógłby przenocować jeszcze tej nocy w swoim pokoju. Nie róbcie tego, panowie. Dziś w nocy jest bardzo zimno. Zamarzlibyście.

- A co z panią, Madame S.? - dopytywał się Stubb.

- Przyszłam, bo byłam zmuszona zostawić tu pewne rzeczy. Wróciłam, żeby je zabrać.

- Pomożemy pani je zanieść - zaproponował Stubb. - Dokąd pani idzie?

- Gdzie jest najbliższy dobry hotel?

- Consort. To tylko ze cztery ulice stąd.

- W takiej dzielnicy jak ta? Bardzo mnie to dziwi. Wobec tego pójdę do hotelu Consort. Owszem, możecie ponieść moje rzeczy. Zaoszczędzicie mi wydatku na taksówkę. Ozzie, ty jesteś mężczyzną i znasz się na takich rzeczach. Jak mam przedostać się przez ten parkan?

Ogrodzenie, które postawiła ekipa budowlana, nie było właściwie parkanem, ale karawaną żółtych kozłów objuczonych mizernymi pomarańczowymi światełkami i zaprzężonych w pomarańczowy sznur.

Stubb przeciął linkę scyzorykiem, a Barnes odrzucił ją na bok.

Nawet frontowa ściana domu, który niegdyś należał do Free, nie została jeszcze całkowicie zburzona. Pozostały jej fragmenty, w zaprawie murarskiej zaś wisały cegły, tworząc zwariowany łuk, który obramowywał wnętrza frontowych pokoi, odsłonięte jak w domku dla lalek. Choć nawiało śniegu, hol nadal wyglądał jak hol, a wychodzące zeń schody znikwały na górze w ciemności. Po prawej stronie salon odmieniło głównie wygaśnięcie ognia i brak wypchanego ptaka, szklanego klosza i stołu, który spalili. Po lewej sypialnia Free obnażała wszystkie swe ubogie sekrety. Zmierzwione prześcieradła skuliły się na łóżku pod cienkim kocem śniegu. Powyżej pokoje Candy i czarownicy były tylko częściowo odsłonięte.

- Patrzcie! - Barnes pokazał palcem. - Widziałem coś.

- Gdzie? - Stubb wyciągnął szyję i wznosił swoje małe ciało na palcach.

- Tam na górze. Coś się poruszyło.

- To pewnie tylko światło.

- Albo Free. To mógł być Free. Nie widziałem go od rana. A ty? Czy ktoś go widział?

Czarownica spojrzała do tyłu, z twarzą na wpół zakopaną w futrzanym kołnierzu płaszcza.

- Free nie żyje

- Widziała pani ciało? - wymruczał Stubb.

- Właśnie do niego wchodzę.

- Bez latarki. Ozzie, masz zapalniczkę?

Barnes wyjął coś, co wyglądało jak mały chromowany pistolet, i pociągnął za spust. Długi na cal błękitny płomień zapłonął u wylotu lufy.

- Butan - powiedział. - Podoba ci się?

- Cholernie. - W mglistym, błękitnym świetle Stubb przyjrzał się zadeptanemu śniegowi.

- Były tu dzieci. Widzisz tę małą dziurawą podeszwę? Jakiś dzieciak z sąsiedztwa. Madame S., mam nadzieję, że schowała pani to, co tam zostawiła, bo inaczej pewnie już tego nie ma.

- Moje rzeczy wciąż są. Czuję je.

Barnes przyspieszył, by dotrzymać jej kroku.

- Proszę, niech się pani trzyma poręczy, Madame Serpentina, bo pani spadnie.

- Nie spadnę. Nawet i bez twojego światła, Ozzie. Nie potrzebuję go, nie potrzebowałabym go nawet, gdyby było tu zupełnie ciemno.

Coś zaskrzypiało.

Nikt się nie odezwał, ale w powietrzu dawała się wyczuć niemal dotykalna zgoda na to, żeby się nie odzywać, żeby pominąć milczeniem wszystko, cokolwiek to było. Wydawało się, że dom wzdycha. Być może nie było wiatru - śnieg nawet nie zawirował. Być może nie było żadnego dźwięku.

- Lepiej się pospieszmy, Madame Serpentina. Butanu na długo nie wystarczy.

- Mówiłam ci, że nie potrzebuję światła.

- Ale my potrzebujemy - bąknął Stubb.

Drzwi do pokoju czarownicy były zamknięte. Wyjęła klucz z torebki i otworzyła je, ukazując jedną ze ścian na wpół rozpuszczoną w przestrzeni i światłach ulicznych.

- Dziwię się, że nie włamały się tu dzieciaki z ulicy.

- Ogarnął je strach, mój Ozzie. Myślę, że nie odważyły się zapuścić do szczytu schodów.

- Ślady?

- Nie muszę patrzeć na ślady.

- Ktoś jednak był tu na górze - odezwał się Stubb. - Duże stopy. Pewnie ekipa od rozbiórki.

- W moim pokoju nikogo nie było. Tylko to mnie obchodzi. Ozzie, moje torby są pod łóżkiem. Wyjmiesz je dla mnie?

Jedna z nich była starą walizką, druga zaś faktycznie torbą, workiem z włochatej koziej skóry, wielkim jak tłumok brudnej bielizny. Zawiązane na węzeł rzemienie zalakowano bryłką wosku, która w słabym świetle wydawała się czarna.

- Dzieło skończone, jak mówi poeta. Zaniesiecie je, panowie? Panie Stubb, może byłoby lepiej, gdyby wziął pan walizkę. Ozzie, ty możesz mieć zaszczyt poniesienia torby. Jest nieco cięższa, jak sędzę.

Stubb już manewrował walizką w wąskich drzwiach. Obrzuciwszy pokój ostatnim, powolnym spojrzeniem, czarownica poszła za Jimem, pozwalając, by Barnes zamykał tyły.

- Ależ to był dzień i cóż za moment w moim życiu! Niech pan powie, panie Stubb, nie za daleko do tego hotelu?

- Czy ktoś powiedział hotel? - W ciemności rozbrzmiał czyjś głos.

Po drugiej stronie schodów zamigotało światelko.

- Candy, to ty?

- Jim?

Twarz grubej dziewczyny wychynęła z ciemności jak księżyc zza odpływającej chmury.

Candy zapaliła zapalniczkę i przytrzymała ją w górze.

- Co ty tu robisz, u diabła?

- Zabieram rzeczy. Świątuję. - Uśmiechnęła się i choć jej uśmiech był trochę niewyraźny, sprawił, że wyładniała. - To było tutaj, prawda? Pomyślałam sobie - beknęła cicho - że zanim zburzą stadion, jeszcze raz spojrzę na podium, na którym stałam.

- No - rzekł Stubb. - Dałaś im popalić.

- Musimy już iść - rzuciła czarownica.

- Do hotelu, powiedziała pani. - Gruba dziewczyna miała ciągle na sobie biały plastikowy płaszcz, ale ogromne czarne kalosze zastąpiły teraz jej zagubione białe botki. Dźwigała torbę i roztaczała słodowy zapach piwa. - Spotkałam tego znajomego i on powiedział, że mu przykro, chciałby, ale nie ma szmalu, no nie? A ja odparłam, że dziś może się bez niego obejść, niech tylko pozwoli mi się przespać do rana. Więc pojechaliśmy do niego do domu, a potem on powiedział: Chodź, wiem, gdzie dzisiaj jest balanga.

Czarownica przepchnęła się koło Stubba, który stał i słuchał. Barnes poszedł za nią.

- Więc wsiedliśmy do jego gabloty i pojechaliśmy piekielnie daleko. „Cienista Murawa”. To brzmi jak nazwa cmentarza, prawda?

- Ano - przytaknął Stubb.

- A potem on powiedział: daj mi papierosa, a ja odpowiedziałam, że nie mam. Jak jechaliśmy tam, to paliłam jego. Więc podjechaliśmy do kiosku i on się zatrzymał, i wyciągnął dolca, i powiedział: Idź i kup dla nas paczkę.

Na dłoń Stubba upadła łąza.

- I spłynął, jak byłaś w środku.

- Mhm...

- Jezu Chryste. Nic dziwnego, że jesteś przygnębiona. Jak wróciłaś?

- Autostopem.

- Jezu Chryste - powtórzył Stubb.

- Nie było tak źle, tylko się bałam, żeby nie zatrzymały się jakieś czarnuchy. - Przełknęła łązy i pociągnęła nosem. - Jim, lepiej chodźmy, bo ich nie dogonimy.

- Jasne, że dogonimy. Mam tu jej walizkę. Dasz radę zejść po schodach?

- Dałam radę tu wejść. Nie masz przy sobie nic do picia?

- Mam dwa papierosy i to wszystko.

- Tam u Harry'ego wypiałam ze sześć czy osiem piw i właśnie czuję, jak we mnie umierają. Wiesz, o co mi chodzi?

- Jasne.

Schodziła po schodach obok niego. Było akurat dość miejsca na ich dwoje i na walizkę pomiędzy nimi. Na dole zapytała:

- Dałbyś mi jeden z tych papierosów?

- Jasne - rzekł Stubb.

Barnes i czarownica oddalali się już ulicą. Stubb odstawił walizkę, wyciągnął dwa ostatnie Camele, zgniótł paczkę i rzucił do rynsztoka. Tak jak przedtem papierową zapalką zapalił oba papierosy.

- Zabrała mnie taka pani. Miała pewnie koło czterdziestki. Jej mąż wyjechał gdzieś z miasta, a ona jechała do centrum na kolację z inną panią, z którą chodziła do szkoły. Hej, pozwól mi nieść część walizki, patrz, mogę wsunąć kilka palców pod rączkę.

- Dobrze.

- Teraz idziemy prawie jednym krokiem. Powiedziałam jej, że byłam na randce i że on chciał, bym poszła do niego, a jak się nie zgodziłam, to wyrzucił mnie z samochodu.

- To pewnie często się zdarza.

- Nie mnie. W każdym razie kupiła to. Na początku myślałam, że tylko udaje, aby było nam obu łatwiej, ale ona naprawdę to kupiła. Byłam trochę w nieładzie.

- Tak jak teraz - przyznał Stubb.

- Pewnie tak. Nie odstawiałam przed nią żadnego kina. Tylko to, co ci mówiłam. Pytałam ją o szkołę, do której chodziła z tą drugą panią. Brzmiało świetnie. Kiedy wysiadłam, zapytała, jak mam daleko, a ja powiedziałam, och, może z osiem przecznic, ale pani nie chciała tam jechać, więc dała mi dwa dolce na taksówkę.

- Za dwa dolce nie możesz nawet otworzyć drzwi taksówki.

- Nie przypuszczam, żeby często jeździła do miasta.

- Powiedz mi, jak dostałaś się z powrotem do Free. Gruba dziewczyna beknęła znowu, wypuszczając powietrze w chmurze dymu.

- Jim, idę dobrym krokiem?

- Może być.

- Wiedziała, że jestem trochę... rozumiesz. Wystawiona.

- Wstawiona.

- Nie śmiałam się i nie robiłam nic zwariowanego, ale musiała poczuć ode mnie ten zapach. Myślę, że trochę płakałam.

- Spodziewała się pewnie, że będziesz płakać.

- Mhm. Czy chcemy ich dogonić?

- Nie. Miejmy ich tylko na oku.

- Więc powinniśmy trochę zwolnić. To i tak jest dosyć ciężkie.

- Jasne.

- Cała byłam w nieładzie, rozumiesz? Straciłam cholerny wieczór i dostałam tylko trzy dolce. Nie miałam gdzie spać.

- Ano tak.

- I przypomniało mi się... wiesz? Pierwszy raz w życiu komuś dopieklam. Pamiętasz, jak weszli, a ja siedziałam cała natłuszczona Johnsonem & Johnsonem? O mało szlag ich nie trafił. Pamiętasz, Jim?

- Jasne, że pamiętam.

- W pewnej chwili ośmiu z nich próbowało mnie podnieść i nie dali rady. Potem ten kapitan, sprytny sukinsyn, powiedział, żeby położyli mnie na narzucie. A narzuta się rozdarła.

- Gruba dziewczyna zaczęła chichotać i przez chwilę wydawało się, że nigdy nie przestanie. Jej podbródki huśtały się, jakby każdy znał jakiś własny dowcip, a brzuch, do którego przycisnęła torbę i dłoń jak pulchną różową rozgwiazdę, podskakiwał niekontrolowanie w górę i w dół. - W końcu mnie wynieśli, widziałeś to? Założyli mi kajdanki na ręce i nogi, tak że mogli wsunąć pod nie ramiona, by się nie wyslizgiwały. Bolało jak cholera. Ilu ich było?

- Tych, co cię niosło? Sześciu.

- A ten kapitan przykrył mnie narzutą. Dobrze, że to zrobił. Ławki w tych sukach są z metalu, więc rozłożyłam narzutę i na niej siedziałam.

- Musieli zabrać twoje ubrania.

- Mhm. Oprócz moich botków, bo zgubiłam je zeszłej nocy.

- Nie miałeś ich, jak wróciłeś do Free.

- Nie pamiętam, żebym cię widziała, Jim. Nie pamiętam nawet, jak wróciłam do domu. - Jej wesołość przygasła.

- Słyszałem cię na schodach. Wyszedłem, żeby zobaczyć, czy nie masz papierosów.

- A miałam?

- Tak, dałaś mi jednego.

- Jak wyglądałam?

- W porządku. Nieźle zalana, jasne, ale w porządku, poza tym, że nie miałeś butów. - Stubb spróbował wrzucić ramionami. - Hej, może byśmy się zamienili stronami? Ramię mi wysiada.

Postawili walizkę czarownicy na ziemi, obeszli ją z namaszczeniem dookoła i podnieśli jeszcze raz.

Barnes obejrzał się w ich stronę, pomachał i pospieszył dalej.

- Dziś rano miałam te różowe słonkowe buty, otwarte na palcach. Przemokły. Wsadziłam je do szafy.

- Powinnaś je była zabrać przed chwilą.

- Do diabła z nimi. Rozlatywały się.

- „To nie jest zbyt ciężkie dla pana, prawda?” Powiedzieli to równocześnie, a potem spojrzeli na siebie i roześmiali się.

ROZDZIAŁ 13

Hotel Consort

Hotel Consort miał niegdyś za zadanie rozprawić się z biedą i zrobił to znakomicie. Cynik mógłby powiedzieć, że to jedyna rzecz, która mu się udała. Wyburzono starą włoską dzielnicę. Zniknęły sklepy, które sprzedawały salami i krucyfiksy. Zniknęły pralnie, które oferowały cerowanie artystyczne. Brzydka drogeria Walgreena pozbiierała swoje wąskie przejścia jak spódnice, zawinęła się w perfumy wyrafinowanych zapachów i pospiesznie odeszła w zapomnienie. Śmierć zabrała zakład pogrzebowy, który pewnego razu o mało nie udusił się pod goździkami ku pamięci pewnego magnata nielegalnej loterii liczbowej. Ludzie, którzy tak często bywali dozorcami, pielęgniarkami i gliniarzami, też zniknęli. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, co się z nimi stało.

Z pewnością nie zatrzymywali się w Consortcie. Jego goście byli biznesmenami, niemal co do jednego. Pokojówki były Murzynkami, jeśli nie Portorykankami, asystenci kierownika - hotelarzami wykształconymi w college'ach, gdzie przerabiali po łebkach Melville'a i Marka Twaina, ucząc się jednocześnie gnębić kucharzy i rozdymać rachunki, a kierownik był komputerem, którego żaden gość nigdy nie widział. Bieda skończyła się, zniknąwszy z pola widzenia.

Liczne eleganckie salony Consorta są zbyt dobrze znane, aby je opisywać, ponieważ można je odnaleźć we wszystkich większych i wielu mniejszych miastach. „Salon Smakosza”, z podrabianymi europejskimi meblami i orzechową boazerią z plastiku, jest otwarty w porze lunchu i kolacji. „Consort Panorama”, z programem rozrywkowym, roślinami w doniczkach i widokiem z okna, który zmienia się co godzinę, jest otwarta w porze kolacyjnej. Sala „Malownicza”, na piętrze, do którego nie dociera większość wind, jest otwarta w porze śniadaniowej i podczas lunchu. Sale „Apacz”, „Szpicbródka” i „Vermont”, które mogą być podzielone na mniejsze i wyposażone w składane krzesła, są zawsze otwarte, chyba że są zamknięte. Są także te sale, o których często się zapomina - wąskie, długie sale z wejściami do setek i tysięcy „prywatnych” pokoi, z których część ma też wejścia jedne do drugich. Być może tak często zapomina się o korytarzach, bo są najlepszymi salami hotelu i nie wymagają uwagi. Nie jada się w nich niedobrego jedzenia, a ci, którzy opowiadają tam niedobre dowcipy, nie dostają za to pieniędzy. Mają prostotę i godność, nadawaną przez dywany, które już zaczynają się wycierać. Większość z nich jest litościwie cicha.

Coś z tej ciszy zachowało się pomimo obecności czarownicy i jej bagażowych. Ona, krocząc na obcasach wysokich na cztery cale, tylko podkreślała spokój miękkim szelestem ud obleczonych w nylon. Bagażowi sapali, postękiwali i chrząkali tak, że tuzin takich brzmiałby jak stado świń prowadzonych na targ. Było ich jednak tylko trzech i wzdychania, postękiwania oraz chrząkania, ledwo słyszalne, nie zakłócały ciszy. Gdy dotarli do 777,

pierwszy z nich z głuchym stuknięciem postawił torby, które dźwigał, ale rozległo się jedynie ciche szurnięcie, zaledwie drgnięcie w konstrukcji Consorta.

- Ten pokój przynosi szczęście, proszę pani - powiedział.

- Nie przyjechałam tu po to, by uprawiać hazard. Próbowałam wynająć numer 1313, ale okazało się to niemożliwe.

- Nie ma trzynastego piętra, proszę pani - odezwał się trzeci bagażowy.

Pierwszy bagażowy zachrobotał w zamku kluczem czarownicy.

- Proszę bardzo. Weź to, dobra, Cisco? - Wślizgnął się do środka, zostawiając na korytarzu torby, które przyniósł. - Tu jest szafa, tam łazienka, tam telewizor. Tutaj ma pani pilota do telewizora. - Włączył go, ścisząc dźwięk. - Świetny obraz.

- Nie potrzebuję dwóch łóżek - oświadczyła czarownica.

- Należą do wyposażenia pokoju, proszę pani.

- Być może, jeżeli tu zostanę, można by jedno z nich zabrać. Chyba wolałabym szezlong.

- Powiem asystentowi kierownika, że chciałaby pani o tym porozmawiać, proszę pani.

Zapewne może też pani dostać taryfę tygodniową.

- Dziękuję, był pan bardzo miły.

Zaczęła szukać czegoś w torebce. Pozostali bagażowi układali walizki w stos w szafie wbudowanej w ścianę.

- To pani pierwsza wizyta w Ameryce, proszę pani? Czarownica uśmiechnęła się.

- Tak źle mówię tym waszym angielskim? Drugi bagażowy przetarł czoło czerwoną bandaną.

- Och, nie, señora. Pani angielski jest bardzo piękny. Był Portorykańczykiem i jego „y” zabrzmiało jak „iii”.

- Skąd pani jest? - zapytał pierwszy bagażowy. Wyciągnęła sztywny banknot chwytając go palcami, jakby to była chusteczka do nosa.

- A jak myślicie?

- Z Grecji? - zasugerował pierwszy bagażowy.

- Z Argentyny - powiedział drugi, dbając o honor narodów latynoskich.

- Z Belgii - zaryzykował trzeci, wierny czytelnik lady Agathy Christie.

- Ach, jesteście wszyscy bardzo, bardzo inteligentni. Być może wszyscy macie rację. Być może żaden z was nie ma racji. Powinam wam coś dać, prawda? Tak to się tutaj robi. - Rozpościerała banknot dość długo, by mogli rzucić okiem, a potem znów przewijała go w jedną i w drugą stronę pomiędzy palcami. - W moim kraju jest odwrotnie, daje się coś przy wyjeździe.

- Może nam pani dać napiwek, kiedy będzie pani wyjeżdżała, jeśli tak pani woli - powiedział cnotliwie pierwszy bagażowy. - Ale ma pani rację. Tutaj zwykle dostajemy napiwek, kiedy odprowadzamy gościa do pokoju.

- Mam tylko ten banknot studolarowy - rzekła czarownica. - To chyba za dużo, nawet na trzech.

- Nic nie szkodzi, proszę pani. Zobaczymy panią później.

- Mam też kilka banknotów jednodolarowych. To za mało, jak sędzę. Czyż nie? - Pomiędzy palcami czarownicy mignęła setka. Żaden z bagażowych się nie odezwał. - A zatem zrobię tak. Dam tobie mój banknot studolarowy - spojrzała w oczy pierwszego bagażowego - a ty zaniesiesz go gdzieś, gdzie - jak to się mówi? Zrobią małe.

- Rozmienią go. Tak, proszę pani.

- Potem weźmiesz sobie dziesięć dolarów i dasz po dziesięć tym dwóm, którzy pomagali. Resztę mi oddasz. Zrobisz to?

Bagażowy uśmiechnął się i o mało nie dygnał.

- Oczywiście, proszę pani. Bardzo dziękuję. Pozostali przyłączyli się do chóru.

- *Gracias, senora.* Dziękuję pani.

- Nie zajmie ci to za długo? Pół godziny, być może?

- Mniej, proszę pani.

- Dobrze. - Nieoczekiwanie, pod wpływem nagłego impulsu, czarownica ścisnęła jego dłoń. - Wierzę ci. Przyniesiesz mi z powrotem siedemdziesiąt dolarów.

Bagażowy skinął głową, spojrzał na banknot i wcisnął go do kieszeni.

- Niech pani da nam znać, jeśli będzie czegoś potrzebować.

- Tak też zrobię. Tak zrobię! - Drzwi niemal się zamknęły. Przecisnęła się, żeby je otworzyć.

Dziękuję wam jeszcze raz.

- To my dziękujemy, proszę pani.

Kiedy wyszli, zamknęła zasuwę i powiesiła płaszcz.

- Podobasz mi się, pokoju - powiedziała cicho. - Zamierzam zostać z tobą przynajmniej miesiąc. Przynajmniej miesiąc tu zostanę. Tak.

W telewizji mężczyzna w pięknych barwach dusił kobietę w pięknych barwach. Czarownica podniosła torebkę z biurka i otworzyła zamek.

Stubb wyszedł z za kotary.

- Naprawdę dała im pani tę setkę?

Odrzuciła się gwałtownie w jego stronę, z rozplamionymi oczami.

- Co pan tu robi?

- Zaraz pani powiem. Naprawdę pani im dała stówę? Ciekawość zawodowa.

- Zadzwoń do recepcji. Zaraz pana stąd wyrzucą!

- Jasne. Ale podetnie pani gałąź, na której siedzi. Taki subtelny zawodowiec, jak pani?

Nie przypuszczam, by pani to zrobiła.

- A dlaczego by nie?

- Widzi pani? Nie jest pani wcale taka pewna siebie. Gdyby tak było, już by pani stała przy telefonie. Dobrze, na początek prowadzę w pani sprawie dochodzenie. W każdym razie powiem, że to robię. Mogę nie mieć pracy, mogę nie mieć dużo pieniędzy, ale ciągle jestem czymś w rodzaju prywatnego detektywa. Jeśli sprowadzi tu pani hotelowych ochroniarzy, powiem im, że jest pani szachrajką.

- Jestem w stanie zapłacić za ten pokój, panie Stubb.

- Jasne, ale nie chce pani tego robić. A czeokolwiek by pani spróbowała, nie uda się, jeśli im powiem. Będą mieli na oku każdy pani ruch. Chce pani zadzwonić?

Czarownica wzruszyła ramionami.

- Jest pan starym przyjacielem. Poza tym jestem ciekawa.

- Tak, oboje jesteśmy ciekawi.

- Jak pan się tu dostał, panie Stubb? Nie zna się pan na czarach, ale to wyglądało na czary.

- To żadna sztuka. - Stubb usiadł na łóżku. - Kiedy zostawiliśmy pani bagaże przed hotelem, nie dała nam pani żadnych stu dolarów, ale to może na nasze szczęście, spodziewała się pani, że spłyniemy. Nie zrobiłem tego. Poczekalem i wszedłem za panią. Była pani przy kontuarze, a ja znalazłem się po drugiej stronie potężnego faceta, który stał koło pani. Recepcjonista powiedział numer pokoju, kiedy popchnął klucz w stronę bagażowego. Wsiadłem do windy w czasie, gdy on i jego koledzy zabierali pani komputer oraz torby, które przyniosła tu pani przedtem. To był pic na wodę, kiedy pytała nas pani o najbliższy hotel. Już wcześniej się pani na niego zdecydowała i przeniosła tu większość kłopotów, tylko nie chciała pani, byśmy wiedzieli, że pani sama je przydzwigala.

W każdym razie przyjechałem windą może ze dwie minuty przed wami. Otwarcie zamka kawałkiem plastiku zajęło mi z piętnaście sekund. Okno jest w głębi za kotarą, więc stanąłem tam, przyciskając tyłek do szyby. Jestem małym facetem, jak pewnie pani zauważyła, i czasem to się przydaje. A co z panią?

- Co pan ma na myśli?

- Niech mi pani opowie o tej setce.

- Już panu mówiłam, a skoro chował się pan za kotarą, to musiał pan też słyszeć. Dałam im banknot studolarowy. Każdy miał wziąć sobie po dziesięć dolarów, a siedemdziesiąt mieli mi odnieść. To był mój zapas na czarną godzinę.

- I powierzyła go pani bagażowemu, a trzydzieści dolców rozdała na napiwki. No jasne. Cóż w tym dziwnego?

- Chcę, by w tym hotelu uważano, że mam mnóstwo pieniędzy. Dzięki temu mogę tu długo zostać.

- Jasne. - Stubb poklepał się po kieszeni. - Skończyły mi się fajki. Ma pani jakieś?

- Nie palę.

- Pali pani. Widziałem. Chce pani powiedzieć, że nie pali pani często przy ludziach. Niech mi pani da papierosa, proszę.

Czarownica nie odzywała się, spoglądając na Stubba.

- Dobra, niech pani sobie daruje. I tak pewnie byłby zatruty. Kiedy wyszedłem z za kotary, trzymała pani rękę w torebce. Zechce mi pani powiedzieć, co ona tam robiła?

- Naturalnie. Ma pan słuszość. Sięgałam po papierosa. - Podniosła torebkę i wyjęła z niej pudełko o dziwnym kształcie, pokryte arabskimi napisami. - To tureckie.

Wyciągnęła paczkę w stronę Stubba. Wybrał jednego i zapalił papierową zapalką.

- Troszkę wyschnięty - powiedział wydechając obłok dymu. - Może zbyt długo leżały na statku.

- Ogromnie mi przykro. Może mi pan go oddać z powrotem, jeśli panu nie smakuje.

Zachichotał.

- Teraz lepiej. Bałem się przez chwilę, że będzie pani odstawiać przede mną wielką damę. Spryciara z pani, może nie? Jest pani papierosowym psychologiem.

- Obawiam się, że nie wiem, co pan ma na myśli.

- Kiedy prosiłem o papierosa, powiedziała pani, że pani ich nie ma, bo sądziła, że prędzej czy później wyjdę po nie i wtedy będzie pani mogła zamknąć drzwi. Potem, kiedy zacząłem mówić o torebce, pojawiły się nagle papierosy, żeby odwrócić moją uwagę. Nic z tego. Madame S. Gdybym kiedyś aż tak bardzo chciał zapalić, rzuciłbym palenie.

- A więc najpierw potępia mnie pan za to, że nie dałam panu papierosa, a teraz za to, że go dałam. Bardzo łatwo jest tak potępiać. Dobrze, życzył pan sobie papierosa i dostał go pan, choć panu nie smakuje. Czego jeszcze pan pragnie?

- Już pani mówiłem. Chcę zrozumieć pani sztuczkę z setką dolarów.

- Wyjaśniłam panu. Dałam boyowi sto dolarów - w studolarowym banknocie, bynajmniej nie podrabianym, jak pan, zdaje się, uważa. Ma mi oddać siedemdziesiąt.

- Dobra, będę zgadywał. Pozwoli mi pani obejrzeć torebkę?

- Pod żadnym pozorem!

- Jak pani sobie życzy. Lepiej byłoby mieć dowody, ale będę zgadywał. Kiedy wystawiłem głowę z za kotary, sięgała pani do torebki. Mogła pani szukać szminki, ale gdyby tak było, nie byłaby pani tak zażenowana. Mówię zatem, że chowała pani stówkę na następny raz. Ma pani coś do powiedzenia?

- Mam zamiar sprawić, żeby pana wyprowadzono z tego pokoju.

- Albo wcale pani nie dała bagażowemu tej stówki - tylko pokazała mu ją i podmieniła w ostatniej chwili - albo w jakiś sposób odebrała ją pani z powrotem. Gdybym miał się założyć, to wybrałbym tę wersję, bo w kółko pani powtarza, że mu ją pani dała. Chce mi pani powiedzieć, co z nią zrobił? Nie? Kiedy jestem przy forsie, zwykle daję bagażowemu dolara i nigdy jeszcze nie widziałem, żeby któryś wyjął portfel i włożył do niego mojego dolca - nie

chęcią, żebyś widział, ile ich mają. Większość z nich wsadza je do przedniej kieszeni spodni. Dla kogoś z palcami magika wyciągnąć je stamtąd to nie jest trudna sztuczka.

Czarownica prychnęła jak kot.

- Ja nie robię żadnych sztuczek!

- Jasne, że pani robi. Wszyscy je robimy. Chce pani powiedzieć, że nie robi ich pani na scenie ani na przyjęciach, żeby zaimponować przyjaciołom, jeśli ma pani jakichś przyjaciół.

- Nie tyłu, ilu pan. Pan, jestem pewna, ma wielu, wielu przyjaciół.

Stubb podniósł palec.

- Niech pani sobie ze mnie nie kpi. Ostrzegam panią, to jedyna rzecz, której nie znoszę. Jeśli będzie pani sobie ze mnie kpiła, prędzej czy później panią dopadnę.

- Tak, tak, wielu dobrych przyjaciół, mały człowieczku! Podniósł pięść, a potem pozwolił jej opaść.

- Wie pani co, cieszę się, że pani to powiedziała. Coś mi się przypomniało. Zechce mi pani podać telefon?

- Raczej nie.

- Lepiej niech pani...

Telefon zadzwonił. Stubb wyciągnął rękę, ale czarownica stała bliżej i była szybsza.

- Tak, to ja... Jak się pani dowiedziała... Nie, niech pani nie przychodzi, nie zostanie pani wpuszczona.

Stubb nachylił się w kierunku słuchawki i powiedział głośno:

- Chodź na górę. Ja cię wpuszczę.

- Ty głupcze! Ty przeklęty głupcze!

- Nie sądzi pani, że powinna odłożyć słuchawkę, zanim zaczniesz mnie wyzywać?

Słuchawka opadła z trzaskiem.

- Jest pan nie do zniesienia!

- Jasne. To część mojego fachu, żeby być nie do zniesienia, kiedy zechcę. Odbieram nie zapłacone długi, kiedy nie mogę zdobyć żadnych innych zaleceń. A jednak potrafię być miłutki jak mały kotek, jeśli jestem po czyjejś stronie. Czy nie byłem miły, kiedy o mało nie zламаłem sobie ręki dźwigając pani cholerną walizkę? Candy też pomogła. A co pani niosła?

Czarownica znów była spokojna, ale z jej śniadej twarzy odpłynęła krew.

- Czy jest pan aż takim głupcem, który myśli, że nie potrafię rzucać uroków? Potrafię i choć przy zwykłym biegu rzeczy nie trwoniałabym wysiłków na tak drobną ofiarę, dla pana uczynię wyjątek. Zobacz pan, co zrobię!

Stubb zachichotał.

- Zwarzy mi pani mleko? Madame S., nie mam grosza przy duszy. Jestem krótkowidzem, buty mam wypchane gazetami i podejrzewam, że dostaję wrzodów żołądka. Cokolwiek pani teraz zrobi, wyładuję tylko w więzieniu lub w szpitalu, a jedno i drugie sprawiłoby mi cholerną ulgę. Niech pani sobie rzuci uroki, jakie pani chce, a ja tymczasem będę rzucał urok

na panią w mój własny niepowtarzalny sposób. Czy raczej wolałaby pani, żebym dla pani pracował?

ROZDZIAŁ 14

W holu

- Zgubiłem je - oświadczył Majewski.

Fuentes spoglądał na niego morderczym wzrokiem, gdy zadzwonił wewnętrzny telefon.

- Nie mówię, że kłamiesz - odezwał się miłośnik powieści detektywistycznych. - Nie ma na to dowodów. Czy mówiłem, że kłamiesz?

Majewski potrząsnął głową, podczas gdy telefon znowu zadzwonił.

- Mówię tylko, że siedemdziesiąt dolarów z tych pieniędzy należy do kobiety z 777. Zgubiłeś jej siedemdziesiąt dolarów. Będziesz musiał je oddać. Dziesięć należy do Cisco i dziesięć do mnie. To także będziesz musiał oddać.

Telefon zadzwonił jeszcze raz, dość niegrzecznie.

- Cholerna racja - rzekł Fuentes.

- Joe, czy odbierzesz, proszę, ten telefon? - zawołał asystent kierownika.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Majewski z niezwykłą gotowością, szczęśliwy, że może uciec choćby na chwilę.

- Czy to szef zmiany boyów?

- Tak, proszę pana - odparł Majewski, który nim nie był.

- Chciałbym, żeby mi pan oddał przysługę. Gdzieś tam znajduje się młoda dama w białym płaszczu przeciwdeszczowym. Garth. Gie, a, er, te, ha. Garth. Tęga. Blondynka. Niech się pan rozejrzy. Widzi ją pan?

Majewski obrzucił wzrokiem zbytnio wypchane plastikowe meble i gości.

- Nie, proszę pana.

- Jest pewnie w holu, ale może być też w którymś z barów albo nawet na chodniku przed hotelem. Sprawdziłbym najpierw bar na parterze. Czy nie mógłby pan wysłać jednego z boyów, żeby ją odszukał i powtórzył jej, by przyszła do pokoju siedem siedem siedem?

- Tak, proszę pana, tak zrobię, proszę pana. Jeśli jej tu nie ma, zadzwonię do pana, proszę pana.

- Jest tutaj. Macie publiczne telefony. Tam też sprawdźcie. Może właśnie dokądś dzwoni. Młoda, tęga, blondynka, biały płaszcz przeciwdeszczowy, Garth. Zrozumiał pan?

- Zrozumiałem, proszę pana - potwierdził Majewski i odkładając słuchawkę odwrócił się do kolegów. - Słuchajcie no, każdemu jestem winny dychę, tak?

- Tak - rzucił zdecydowanie miłośnik powieści detektywistycznych.

Fuentes skinął głową.

- Dobra. - Majewski wyciągnął portfel. - Jeśli zapłacę wam, będziemy kwita, no nie? Tamte siedemdziesiąt to sprawa między mną a kobietą.

- Tak - powtórzył miłośnik powieści detektywistycznych tym razem z nadzieją w głosie.

- Dobrze. - Majewski wręczył mu dwie piątki, a Fuentesowi piątkę i pięć jedynek, wyzbywając się wszystkich banknotów. - Teraz chcę, żebyście z Ciskiem coś dla mnie zrobili. - Opisał Candy. - Nazywa się pani Garth. Znajdźcie ją, a jak znajdziecie, przyjdźcie mi powiedzieć.

- A po co? - zapytał miłośnik kryminałów.

- Bo chcę z nią porozmawiać, to wszystko. Ten facet, który dzwonił, zostawił mi dla niej wiadomość, kapujesz? No, to rozejrzyjcie się.

Fuentes wszedł do „Salonu Smakosza”, ciemnego, zadymionego i wypełnionego późnymi gośćmi. Trzech barmanów w czerwonych marynarkach pociło się za barem. Pianista w niebieskim smokingu uśmiechał się i grał. Na instrumencie stał kieliszek do brandy, dobrze wypchany banknotami. Pod niebieskim reflektorem piersiasta kobieta w wydekoltowanej niebieskiej sukience śpiewała:

Och, nigdy nie rzekła nic matce, bo pękałoby serce matczyne, nigdy nie rzekła nic ojcu, bo znała swą ciężką winę. Siostrzyczki tak strasznie plotkują, więc nigdy nic siostrze nie rzekła, nigdy nie rzekła Monsignorowi i poszła prosto do...

- Piekła! - wrzasnął tuzin rozentuzjasmowanych pijaków.

Szkoły pomaturalnej w New Jersey gdzie praca zawsze była ciężka...

- Miiis Garth - zaśpiewał Fuentes. - Wzywa się miiis Garth!

Pneumatyczna blondynka posłała mu spojrzenie pełne obrzydzenia.

Od baru odszedł mężczyzna w kraciastym garniturze.

- Czego pan chce od pani Garth?

- Mam dla niej wiadomość.

- Niech pan mnie ją przekaże. Dopilnuję, by ją dostała.

- Jest w toalecie?

Kobieta obok pianina przesłała pocałunki publiczności.

Jej los ma zostać nauką dla wszystkich Bo moral zeń wielki wyziera: Powstrzymaj rączki, gdy nie masz obrączki A ja się pożegnaj teraz.

Podciągnęła niebieską sukienkę, a ta zamieniła się w płaszcz, który skrył większość jej zdumiewającego dekoltu. Gdy wyszła spod błękitnego reflektora, płaszcz nie był już nawet niebieski. Publiczność biła brawo i gwizdała, a ktoś zawołał:

- Hej, dokończ to!

- Niestety, muszę zobaczyć się z pewnym mężczyzną w kwestii łóżka - odkrzyknęła w ich stronę.

Inny mężczyzna odszedł od baru.

- A może przedtem wypije pani ze mną drinka?

- Jeszcze pana pociągnę za słowo i to szybciej, niż pan myśli. Ozzie, co się dzieje?

- To pani jest miiis Garth? - zapytał Fuentes. - Niech pani pójdzie ze mną do biura szefa zmiany. Poszukamy tam Joe'ego.

- Dobrze. Lepiej chodź ze mną, Ozzie.

- Nie masz zamiaru powiedzieć paniście, że ma się z tobą podzielić? - szepnął Barnes.

Przyglądałem się, tam jest pełno.

Candy potrząsnęła głową.

- Przeważnie jedyńki i piątki. Nie dostajesz dużo pieniędzy w takiej knajpie jak ta, bo jak oni mają to umieścić w rachunku wydatków, do diabła? Muszą to zakamuflować, nazwać taksówką czy czymś tam, a ich firma nie pokryje więcej.

- Powinnaś była wziąć połowę, tak czy inaczej. Należała ci się więcej niż połowa.

- To piętro niżej, señor, señorita - powiedział Fuentes. - W holu.

Przytrzymał dla nich drzwi windy.

- Ozzie, prosić to nie znaczy jeszcze dostawać. Piekliłby się jak cholera i w końcu dałby mi dwadzieścia dolców, a następnym razem nie byłabym mile widziana. A tak, dostałam za darmo kilka drinków i będą mnie traktować jak gwiazdę, ile razy tam wrócę. Dobre stare przeboje, zauważyłeś? Nic naprawdę świńskiego. Uwielbiają je. Gdybym nie musiała wyjść, mogłabym sobie wybrać spośród czterech czy pięciu facetów i przy odrobinie szczęścia dostałabym pięćdziesiąt czy sto.

Drzwi otworzyły się i przeszli przez hol do biura szefa zmiany bagażowych.

- Joe pani szuka - rzekł Fuentes. - Sprowadzę go.

- Zastanawiam się, czego ona chce? - odezwał się Barnes.

- Kto?

- Tamta lala przy kontuarze. Beret. Tweedowa spódnica.

- A co ci do tego?

- Jak się dowiesz, o co chodzi temu Joe'emu, gwizdnij. Barnes wyrównał krawat i obciągnął marynarkę.

- Wiem, że tu jest - mówiła młoda kobieta w tweedowej spódnicy. - Dzwoniłam, a pan mnie połączył.

- Ona nie życzy sobie pani widzieć - wyjaśnił recepcjonista. Powiedział to tonem kogoś zmęczonego światem, kto porzuca pozory grzeczności. - Zadzwoń i powiedz, że mamy nie dawać nikomu jej numeru pokoju i że nie przyjmuje telefonów. Gdyby pani poszła na górę, założymy, że nawet by się pani dowiedziała, który to numer pokoju, mogłaby pani zrobić jej scenę, ale ona by pani nie wpuściła.

- Ależ to jest Serpentina! Musi się z kimś widywać! Barnes odchrząknął.

- Szuka pani Madame Serpenty? Tak się składa, że jestem jej przyjacielem.

Młoda kobieta obejrzała się w jego stronę. Twarz miała ożywioną raczej niż ładną, lecz było to bardzo pociągające ożywienie, na którego widok przypominała się gra w ciuciubabkę na piętnastych urodzinach.

- Może mnie pan do niej zaprowadzić? Zrobi to pan? Asystent kierownika skorzystał z okazji, żeby się oddalić.

- Nie tak prędko - rzekł Barnes. - Nie chcę jej niepokoić, chyba że są po temu powody. Ale może byłbym w stanie nakłonić ją, żeby się z panią zobaczyła. Przejdźmy tam - wskazał gestem jedną z plastikowych sof - i porozmawiajmy o tym. Kim pani jest?

- Mam wizytówkę - powiedziała młoda kobieta. Otworzyła torebkę prawie tak wielką jak torebka Candy i wyciągnęła z niej puderniczkę, etui na okulary i paczkę niskokalorycznej gumy do żucia. - Tu są!

Na wizytówce było napisane:

ALEXANDRA DUCK

Zastępca Redaktora Naczelnego

Nauki Tajemne/Przyrodzone Nadprzyrodzone

wraz ze zwykłym adresem, numerem telefonu i tak dalej.

- Miss Duck czy mrs Duck? - niepewnie wymamrotał Barnes odwracając wizytówkę.

- To nie ma nic do rzeczy - odrzekła młoda kobieta - i żadnego kwakania. Sandy Duck. Jeśli naprawdę jest pan przyjacielem Madame Serpentina, niech pan do mnie mówi Sandy.

Duck to po angielsku „kaczka”.

- Mów mi Ozzie - zaproponował Barnes. - Tak mówi Madame Serpentina.

- Świetnie.

Sandy Duck wyciągnęła dłoń w rękawiczce wydzierganej z akrylowej włóczki.

Barnes uściskał ją z namaszczeniem.

- Czy to jakieś czasopismo albo gazeta? *Nauki Tajemne i Przyrodzone...* jak tam było dalej?

- Czasopismo. A raczej powinnam powiedzieć: czasopisma. Wydajemy je co drugi miesiąc. *Nauki Tajemne* w styczniu, marcu, maju i tak dalej, a *Przyrodzone Nadprzyrodzone* w lutym, kwietniu, czerwcu i kolejnych miesiącach. To ze względu na życie na półce. Dzieciaki w supermarketach stawiają styczniowo-lutowe wydanie *NT* na półce tuż obok marcowo-kwietniowego wydania *PN*. W każdym razie mamy taką nadzieję i czasem to działa.

- Dzieciaki w supermarketach?

- Te, które ustawiają towary na półkach. Tam się sprzedajemy, przede wszystkim. Kobietom w supermarketach. Jaka ona jest?

Przez chwilę Barnesowi przebiegło w panice przez głowę, że pytają go o byłą żonę.

- Madame Serpentina - wyjaśniła Sandy. - Zaczyna być dosyć sławna, wie pan. Spotkałam z pół tuzina osób, które ją spotkały, ale pan jest pierwszy, który mówi, że zna ją dobrze.

- Cóż, jest bardzo piękna...

- To słyszałam.

- Czarne włosy, śniada cera, ciemne oczy i wspaniała figura. Sprawia wrażenie, jakby była wysoka, ale w rzeczywistości nie jest. Tylko średniego wzrostu, może dwa albo trzy cale

wyższa od pani - przerwał, by się zastanowić. - Nie ma właściwie obcego akcentu, ale nie przypuszczam, żeby angielski był jej ojczystym językiem.

- To pan nie wie? Barnes potrząsnął głową.

- To nie jest coś, o co można kogoś zapytać tak od razu, czyż nie? Nie opowiada o sobie - tylko czasami. Nieraz w ogóle się nie odzywa. Jest władczą jak jakaś królowa.

- Czy pan... - Sandy umilkła, patrząc na grubą dziewczynę, która stanęła obok niej.

- Siódme piętro, pokój siedemdziesiąt siedem, Ozzie. Idziemy na spotkanie z naszą czarownicą.

- Kim jest Joe i czego chciał?

- To Jim, tak jak myślałam. Jest na górze. Dzwonił tu i mamy pójść na górę. Powiedz „pa, pa” swojej przyjaciółeczce.

Sandy podskoczyła.

- Tam właśnie jest? Madame Serpentina? Siedemset siedemdziesiąt siedem?

- Ozzie, kto to jest?

- Jestem z *Nauk Tajemnych*. Jeden z naszych czytelników poinformował mnie, że jest tu Madame Serpentina. Zadzwoiłam i męski głos powiedział, żebym przyszła, to mnie wpuści, i będę mogła się z nią zobaczyć.

Candy zacisnęła usta.

- To musiał być Jim.

- Kto to jest Jim?

- Nasz znajomy. Może powinna pani pójść z nami.

ROZDZIAŁ 15

Pani Baker

- Proszę wejść - powiedział Stubb i wszyscy troje spróbowali wejść jednocześnie. Candy i Barnes ścisnęli Sandy Duck, która znalazła się pomiędzy nimi.

- Boże, ależ się cieszę, że cię widzę - rzekła Candy. Usiadła na łóżku, zrzuciła jeden z kaloszy, które dali jej policjanci, i zaczęła masować pulchną różową stopę.

- Co ty tu robisz? - zapytał Stubb Barnes.

Candy burknęła coś, powstrzymywana przez własny brzuch w zmaganiach z drugim kaloszem.

- To ja mu powiedziałam, żeby przyszedł, Jim. Rozmawiałam z nim, kiedy ty byłeś na górze, i on nie ma dziś gdzie przemocować. Zostawił tylko swoje skrzynki z próbkami towarów i inne rzeczy na stacji autobusowej.

Gospodyni parsknęła jak mały, pełnokrwisty konik.

- Czy cały ten motłoch ma mieszkać u mnie?

- Ja nie, Madame Serpentina - oświadczyła spokojnie Sandy Duck. - Chcę tylko przeprowadzić z panią wywiad. Mówiłam pani przez telefon.

- A ja odpowiedziałam, że nie udzielam podobnych wywiadów. Jestem czarownicą, a nie politykiem!

Rozbłysła lampa błyskowa i rozległ się trzask migawki. Sandy opuściła swój mały staromodny aparacik i spojrzała nań z zadowoleniem.

- To świetne, jak myślę. Z głową odchyłoną do tyłu. Wyglądało tak, jakby pani dokonywała egzorcyzmów.

- Chętnie zadzwoniłabym moim dzwonkiem i zapaliła świecę, jeśli to by pomogło panią przepędzić. Ozzie, z pewnością nie zapraszałam cię do mojego pokoju, lecz skoro już tu przyszedłeś, proszę, wyproś stąd to stworzenie. Barnes uśmiechnął się.

- Zrobię to z przyjemnością, Madame Serpentina. Ale oczywiście byłoby lepiej nie robić zamieszania. Myślę, że najlepszym wyjściem byłoby znaleźć kompromis, pozostawiający wszystkim dobre wspomnienie, a ponieważ całą sprawę złożyła pani na moje barki, jeśli wybaczy mi pani to wyrażenie - oto co proponuję. Niech Sandy zada trzy pytania. Dopilnuję tego, by ich nie upakowywała, nie zadawała dwóch pytań tak, jakby chodziło o jedno. Pani udzieli na nie pełnej i uczciwej odpowiedzi, a kiedy odpowie pani na trzecie, Sandy wyjdzie bez ponaglenia. Czy obie panie zgodzą się, że to rozsądne?

Stubb zachichotał.

- Powinieneś być zostać dyplomata, Ozzie.

- Musi mi też obiecać, że nie będzie mnie napastować w przyszłości.

Dalej ściskając aparat, Sandy podniosła rękę.

- Nie będę pani napastować. Mogę prosić o spotkanie, lecz jeśli pani odmówi, nie będę nalegała.

- Dobrze, więc umowa stoi, z tym zastrzeżeniem, że moje odpowiedzi mają zaspokajać tylko moje osobiste poczucie wartości. Nie mogę obiecać, że usatysfakcjonują panią.

- Świetnie. - Barnes promieniał. - Jakie jest pierwsze pytanie, Sandy?

- Proszę poczekać. - Palce pani współredaktor zadrżały, gdy wciskała aparat z powrotem do torebki. - Muszę pomyśleć...

- Nie mam na to całej nocy.

- O nie, do diabła - dodał Stubb. - Jest coś, co muszę z wami omówić, jak ta dziewczyna sobie pójdzie.

- Cóż, muszę się zastanowić. Przyszłam tutaj z listą około setki pytań. Teraz mogę zadać tylko trzy. Możecie przynajmniej dać mi czas do namysłu, które to mają być.

- Powiedziałam, że nie mam dla pani całej nocy!

- Hej - włączył się Stubb. - Jestem cholernie głodny. Nie jadłem chyba od śniadania. Może w czasie, kiedy ona się zastanawia, złapie pani za telefon i poprosi obsługę, żeby przynieśli sandacza i filiżankę kawy?

Candy położyła różową dłoń na telefonie.

- Poczekał no, jeśli ktoś tu ma coś jeść, ja też chcę. W tej szufladzie jest pewnie menu.

- I na co to wszystko. - Czarownica wykonała teatralny gest rozpacz. - Może powinniśmy poprosić o nadziewane prosię, gdybyśmy go tu jeszcze nie mieli.

- Jeśli mnie masz na myśli, możesz to sobie darować. Prosię, być może. Ale nadziewane? Odpuść sobie. Jestem taka pusta w środku, że czuję, jak mi się składa żołądek. Teraz posłuchajcie no tego. - Candy podniosła karty menu. - *Pompano Amandine*, smakowite filety ze świeżej ryby dostarczane codziennie samolotem z Miami, przyrządzone w mieszaninie wiejskiego masła, świeżo wyciśniętego soku z cytryny i tartych migdałów. To dla mnie.

- Dobrze - rzekł Stubb. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął mały notes i automatyczny ołówek. - Co do picia?

- Piwo. A potem ciasto. Brzoskwińowe, jeśli mają. Albo szarlotkę. Zawsze mają szarlotkę.

- Dobrze. A dla pani? - Spojrzał w stronę czarownicy. - W końcu to pani pokój.

- Jestem szczęśliwa, że pan o tym przypomniał. Sądziłam, że nikt już nie pamięta, że ja będę musiała za to zapłacić.

- Jasne. Przy okazji, chyba już czas, żeby zadzwoniła pani do recepcji i poprosiła o swoje siedemdziesiąt dolarów. Ale niech pani poczeka, aż zamówię. Co pani zje?

- Nie jem mięsa ani nabiału. Jest tam coś dla mnie? Candy uważnie przebiegła wzrokiem menu.

- Duża sałatka ze świeżych owoców, zawiera ananasy i mango, inne owoce w sezonie.

- To wystarczy. Wypiję też kieliszek białego wina. Stubb spojrział na komiwojażera.

- Ozzie?
- Filet mignon z grzybami. Szkocką z lodem.
- Zanotowałem. Sandy?
- Nic. Niczego nie chcę.
- Nie możemy tak jeść przy pani. Może coś do picia?
- Będziecie pili kawę, prawda? Ja też się napiję. Filiżankę kawy.
- Zapisalem. - Stubb wziął telefon, zadzwonił do room service'u i zaczął odczytywać zamówienie.

- Nie mogę zdecydować, które pytania. - Sandy wlepiła wzrok w zabazgrany notes, jakby nagryzłone w nim słowa stanowiły szyfr nie do odgadnięcia.

- Musi pani - powiedziała czarownica. - Albo niech mi je pani da. Ja zdecyduję.
Sięgnęła po notes.

- Minutę. Może mi pani dać choćby minutę? Rozległo się pukanie do drzwi.

Stubb położył rękę na słuchawce i spojrzał znacząco na czarownicę.

- W drzwiach jest judasz. Niech go pani wykorzysta.

- Nie potrzebuję - powiedziała podnosząc się. - Nasz gość nie ma złych zamiarów.

Otworzyła drzwi, ale stanęła w przejściu. Za progiem czekała mała, siwa kobieta w podniszczonym płaszczu.

- Ja panią znam - powiedziała, gdy otworzyły się drzwi. - Pani jest miss Garth. - Westchnęła jak podróżnik u kresu długiej drogi. - Ach, kogo to moje oka widzą! Pani mieszkała w domu pana Free i w ogóle. Czy mogę wejść?

- Mam gości i chociaż pani twierdzi, że mnie pani zna, ja pani nie znam. Czego pani sobie życzy?

- Ja znam wszystkich państwa - oświadczyła mała kobieta, spoglądając ponad ramieniem czarownicy. - W każdym razie większość z państwa, większe państwa. Różność w jednorodności, tak to nazywają? Chcę tylko państwa zapytać o pana Free.

- Niech ją pani wpuści - rzekł Stubb. - Niech pani wejdzie, pani Baker.

Czarownica cofnęła się o krok, a pani Baker prześlizgnęła się koło niej.

- Znam pana - rzekła. - Był pan w moim salonie, kiedy ten policjant bawił się z kiciusiem. Widziałam też pana u pana Free. Pan jest pan Barnes. - Skierowała swój nieokreślony, słodki uśmiech w stronę Candy. - A pani jest pani Confetti, jasnowidząca. Och, uwielbiam, kiedy ktoś mi przepowiada przyszłość! Prawda jak oliwa, w kartach wypływa, a kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w przyszłości, zawsze tak mówię.

Candy uśmiechnęła się do niej.

- Obawiam się, że trochę się pani wszystko pokisusiało, pani Baker.

Wydawało się, że stara kobieta jej nie słyszy.

- Ale nie wiem... Cóż, gdzież ona nasiąkła? Gdzie ta druga dziewczyna? Jestem pewna, że widziałam trzy, kiedy drzwi się otworzyły.

Nikt nie odpowiedział. Stubb podszedł do kotary i rozsunął ją, lecz nie było tam nikogo.

- Na pewno nie wyszła - odezwała się czarownica.

- Sandy? - zawołał Barnes. - Panno Duck, gdzie pani jest?

Stłumiony głos odpowiedział:

- Tutaj.

- Och, Boże. - Mogło się wydawać, że Barnesowi ulżyło. - Poszła do łazienki. Chyba się robię trochę roztrzęsiony.

- Wyjdę, jak będę miała moje pytania!

- Właśnie sama miałam tam pójść. - Candy westchnęła. - Ozzie, tyją tu sprowadziłeś, powiedz jej, żeby się pospieszyła.

- To tylko bardziej ją zdenerwuje - rzekł Barnes. - Zostaw ją w spokoju. Za chwilę wyjdzie.

Pani Baker uśmiechnęła się do nich.

- Co nagle, to po kowadle, zawsze tak mówię.

- Nie wątpię - powiedziała gruba dziewczyna.

- Skoro Sandy zesła nam z drogi, mamy okazję porozmawiać z panią Baker. Wykorzystajmy ją. Mówiła pani, że chciała się czegoś dowiedzieć o panu Free. O co chodzi, pani Baker?

- Gdzie on jest, to pierwsza rzecz. Lepszy rubel w garści niż gołąb na grochu.

Czarownicy, która wyczekująco patrzyła na starą kobietę, opadły lekko ramiona.

- To nie wie pani więcej niż my. Miałam nadzieję, że czegoś się dowiemy.

- Bo jakieś panie rozpytywały o niego wszystkich w okolicy. Pracują dla rządu, jak sądzę. I sama chciałabym wiedzieć. Od tego myślenia aż mi głowa cuchnie.

- Te panie, co pracują dla rządu, to były policjantki? - zapytał Stubb. - Jak sierżant Proudny, który bawił się z pani kotem?

- Nie przypuszczam. Nie miały na sobie unireformów. Poza tym piły moją herbatę. Odniosłam rażenie, kiedy ci dwaj mili policjanci wyważyli mi drzwi, że policjanci, jak dłudzy i szerocy, nie piją herbaty, tylko kukało. „Smutne róże herbaciane”, jak mówi wiosenka, a policjanci, jak dłudzy i szerocy, nie mają wiele czasu na wiosenki, i to smutne.

- Może nam pani powtórzyć, co one pani powiedziały? Niech się pani skupi. To może być ważne.

- Tylko tyle, że widziały pana Free w telewizorze i że chciały z nim porozmawiać...

- Widziały go w telewizji?

- Tak, i ja też, w programie telewizyjnym, tak wyraźnie, jak w świetle dziennym. To było zaraz po tym, jak pokazywali, jak ten miły sierżant dostał w głowę siekierą. Powiadają, że krowa, która dużo krzyczy, mało mleka daje, a z mlekiem nigdy nie wiadomo, zsiądzie się, czy się nie zsiądzie. Ale myślę, że to, co mówił pan Free, wcale nie brzmiało, jakby to mówił jakiś prawnik w zsiądzie, to brzmiało, jakby to była prawda.

- To musiało być wtedy - wtrącił Barnes - kiedy wszyscy byliśmy w środku i zajmowaliśmy się tym gliniarzem.

Stara kobieta potrząsnęła głową.

- To były *Wiadomości Poranne* o szóstej trzydzięci po południu.

- Nagrali to na taśmę, pani Baker - mruknął Stubb. Może nawet, zanim się tam wprowadziliśmy, kiedy wielu ludzi protestowało przeciw nowemu wiaduktowi. Co jeszcze mówiły te panie?

- Nic szczególnego. Tylko to, że szukały biednego pana Free, bo czeka na niego spora suma w głodówce, ale jak przyjechały, już nikogo nie było. Faktentycznie, nie było już zwawej duszy. Ale lepiej późno niż po diable, jak to powiadają, a gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Tylko nie wiem, czy były mężatkami, bo nie zdjęły rękawiczek, ani jedna, ani mruga.

- Musiały powiedzieć, jak się nazywają.

Pani Baker zawahała się, wciągnawszy podbródek. Siedziała na krześle przy toalecie, a plecy miała tak proste, jak jego oparcie.

- Imiona? Nazwiska? Cokolwiek?

- Wiem, że się przedstawiły, ale byłam zbyt zaafierowana. Potem ta mniejsza zobaczyła Bufkę i zapytała, jak Bufka ma na imię, a ja powiedziałam: Bufka, a ona pobiegła i schowała się pod kanapą, jak to zwykle robi, a ja nie pomyślałam, żeby jeszcze raz spytać. Myśli pan, że to dużo głodówki?

Stubb potrząsnął głową.

- Cóż, dla niego to mogło być dużo grosza. Wdowi grosz, tak to nazywają. Pan Free był wdowcem, mam nadzieję.

- Ale nie wie pani tego na pewno?

- Zawsze wydawał się wesoły, jak przystało na wdówka. Nie tak jak starzy kawalarzowie. Oni są zawsze tacy kwaśni. Najgorsze kobiety to te, co jak mówią, trzymają swojego węża pod pantoflem. Ale ja myślę, że starzy kawalarzowie są jeszcze gorsi, a pan Free jest taki miły. Rzuca na wszystkich tajemniczy urok.

Czarownica zapytała szybko:

- Co dokładnie ma pani na myśli?

Pani Baker uśmiechnęła się nieokreślonym uśmiechem.

- Cóż, gdybym wiedziała, nie powiedziałabym „tajemniczy”. Ale pan Free przychodził czasem uciąć sobie z nami przyjacielską wędkę. Stary pan Baker był w czasie wojny pilotem bombonierkowca, a pan Free lubił o tym słuchać i rozmawiać o swojej starej firmie, w której niegdyś pracował, nazywała się chyba Luiza Clerk. - Westchnęła. - Chyba najlepiej to ujmę, jeśli powiem, że kiedy on tu był, zapominało się o wszystkich codziennych kapotach. Naprawdę czuło się tak, jak mówi Biblia: gość w dom, Bóg w dom.

Barnes kiwnął głową i odchrząknął.

- Wie pani, ja też tak to odczuwałem. Czułem się tak, jakby to nie miało aż takiego znaczenia, czy sprzedałem coś, czy nie. I udało mi się parę bardzo dobrych transakcji, tuż przed tym, jak musieliśmy się wyprowadzić.

- Wczoraj widziałam, jak wychodziliście, z mojego okna - powiedziała stara kobieta. - Nie żebym wyglądała przez jakieś świbstwo, ale to, co widać na ulicy, jest czasem nawet bardziej z życia wzięte niż pogromy na żywo w telewizji. Wiedziałam, że jest pan domiwojażerem, przez te wielkie skrzynki, które pan dźwigał, i pomyślałam, że pewnego dnia przyjdzie pan do moich drzwi, sprzedając patelnie albo bryklopedie. Pomyślałby pan, że chyba zadziałał na mnie pana mrok osobisty, bo wpuściłabym pana do domu i obejrzałabym wszystko. A jakby mi pan opowiedział o panu Free, mogłabym nawet kupić opiekacz do toastów. Przydałby mi się nowy.

Stubb wodził palcem po książce telefonicznej.

- Nie ma tu żadnej „Louise Clerk i Spółki” - rzekł w końcu. - Ani Clerk Louise w spisie prywatnych abonentów.

- Myślę, że zamknęli interes. Splajdowali, jak sądzę. On mówił, że to było ciele lat temu.

- Pewnie poszedł na emeryturę - wtrąciła Candy - kiedy miał sześćdziesiąt pięć lat, Jim, a ja myślę, że on przekroczył już siedemdziesiątkę.

Stubb pokiwał głową.

- Obawiam się, że nie wiemy wcale lepiej od pani, gdzie jest pan Free, pani Baker. - Zamknął gwałtownie książkę telefoniczną. - Ale chcielibyśmy go znaleźć. Zapiszę pani telefon hotelu i numer tego pokoju. Jeśli go pani znajdzie lub dowie się, gdzie on jest, chcę, żeby pani do mnie zadzwoniła. Niech pani nic nie mówi tym kobietom, dopóki się pani ze mną nie porozumie. Wątpię, czy są jakieś pieniądze. Tak mówią wszyscy prowadzący śledztwo, kiedy kogoś szukają.

- Myślałam sobie - pani Baker wyjęła chusteczkę z torebki - że gdyby zainkasował trochę głodówki, to mógłby ocalić swój dom. Mógłby kogoś przepłacić. Myślałam też sobie, jakie macie szczęście, że możecie u niego wyjmować pokoje. - Wydmuchała nos, co zabrzmiało jak kichnięcie Bufki. - Powiedział mi, jak się wszyscy z państwa nazywają, ale chyba mi się teraz wszystko pomieściło i nie są państwo tym, kim sądzę. A jednak czuję się tak, jakbym znała państwa od dawna. Ta ciemna pani to miiiis Garth, bo on mówił, że miiiis Garth to poszukiwaczka przygód, a ona jest taka ładna. To ta druga pani...

Drzwi łazienki otwarły się na oścież.

- Mam moje pytania!

Sandy Duck triumfalnie machnęła notesem.

ROZDZIAŁ 16

Katopromancja

- Kim właściwie była ta kobieta? - zapytała Sandy, zasiadłszy w obitym plastikiem hotelowym fotelu, który odstąpił jej Barnes.

- Czy to pierwsze z pani pytań? - Czarownica uniosła brew.

- Och, nie, byłam tylko ciekawa.

- Ale nie jest pani ciekawa rzeczy, do których odnoszą się pani pozostałe pytania.

- Jestem, oczywiście. Bardzo ciekawa. - Okrągła twarzyczka Sandy była przejęta i zakłopotana.

- A zatem to pytanie jest tej samej natury co inne i liczy się jako pierwsze. Nazywa się pani Baker i...

- Niech pani poczeka! - Notes znowu uniósł się w powietrze, zmieniony tym razem w transparent z protestem. - To jest brak dobrej woli. Pani się tylko mną bawi.

- A pani wykazuje dobrą wolę? Poświęcam całe moje życie, niemal każdą godzinę, kiedy tylko nie śpię, na poszukiwanie wiecznej prawdy i transcendentального prawa, a pani przychodzi tu z trzema pytaniami do idiotycznego artykułu, który wylądował w koszu na śmieci, gdy tylko ktoś go przeczyta. Czy to jest dobra wola?

- Tak - powiedziała Sandy. - Owszem. Czarownica wbiła w nią wzrok. - Po pierwsze, nie przyszedłam tutaj tylko z trzema pytaniami. Przyszedłam z całym mnóstwem pytań, i to pani powiedziała, że mogę zadać tylko trzy. Po drugie, z pewnością pewne egzemplarze, które sprzedamy, zostaną wyrzucone po przeczytaniu, ale wiele z nich pozostanie. Tak na początek, dwa komplety przechowujemy w biurze. Sięgają 1927 roku, kiedy powstało *Kto wie?*, bo taki był nasz pierwotny tytuł. Również i Biblioteka Okultystyczna imienia Mary-Sue Jordan Smith w Belhaven w Północnej Karolinie posiada kompletny zbiór...

- To była idiotka - przerwała czarownica.

Sandy zrobiła minę, jakby się zgubiła, a Stubb powiedział:

- Ta cała Smith?

- Tak, znałam ją. Może i miała trochę talentu, ale brakowało jej zdrowego rozsądku. Była też przerażającą ignorantką.

Sandy spojrzała na Candy Garth, jakby szukała oparcia.

- Ona chyba umarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym...

- Ba! W czterdziestym piątym. Niech pani mówi dalej.

- To wszystko. - Sandy podniosła dłonie, jakby ważyła w nich dwa kokosy. - Chciałam tylko powiedzieć, że mnóstwo naszych czytelników całymi latami przechowuje wszystkie nasze numery. Piszą do nas, żeby nam o tym oznajmić albo też powiadomić nas, że mają je wszystkie z wyjątkiem określonego numeru, i zapytać, czy nie możemy im go sprzedać. Robimy to za pięć dolarów, jeśli tylko taki mamy.

- Jak mogłabym nie współpracować z tak wspaniałomyślnym magazynem? Bardzo dobrze. Moim ulubionym muzykiem jest pewien człowiek w Senegal, o którym nigdy pani nie słyszała. Śpię nago. Gdybym była rozbitkiem na bezludnej wyspie...

- Och, niech się pani zamknie! - wykrzyknęła Candy. - Na miłość boską, niech ona już zada te przekłete pytania i wynosi się stąd. Jestem zmęczona, piekielnie głodna i tak trzeźwa, że mogę zemdleć. Ej, ty - spojrzała na Sandy - zadawaj pierwsze pytanie. Odpowie ci na nie albo ja na niej usiądę.

Młoda kobieta z *Nauk Tajemnych/Przyrodzonego Nadprzyrodzonego* odchrząknęła.

- Madame Serpentina, jest dziś pani jedną z osób najgłębiej zaangażowanych w praktykę okultyzmu. Czy mogłaby pani wymienić jedną rzecz, którą pani zdaniem może uczynić przeciętny człowiek, aby poprawić swoją pozycję względem niewidzialnego świata?

- Widzieć.

- Słucham?

- Postrzegać, jeśli życzy sobie pani dłuższej odpowiedzi.

- To nie jest żadne pytanie, ale byłabym wdzięczna, gdyby trochę to pani rozbudowała. W końcu obiecała pani odpowiadać „w pełni i uczciwie”.

- Większość ludzi nie oświeconych wierzy, że widzi to, co wierzy, iż zobaczy - rzekła czarownica. - Nie powinni tego robić. Aby widzieć niewidzialny świat, trzeba patrzeć, dlatego mądrość tak często bywała odmalowywana jako trzecie oko.

Sandy zawahała się, a potem pokiwała głową.

- Rozumiem.

- Bardzo wątpię.

- Czas na drugie pytanie, jak sądzę - wtrącił Stubb.

- W porządku, drugie pytanie. - Sandy odetchnęła głęboko. - Madame Serpentina, jaki prosty test, jeśli taki istnieje, pozwoli naszym czytelnikom przekonać się, czy oni sami albo też inne osoby, które w ich mniemaniu mogą posiadać tajemne zdolności okultystyczne, rzeczywiście je posiadają?

- Oczywiście, że taki test istnieje. - Czarownica wyprostowała ramiona i obiema rękami wygładziła czarną koronkę swej spódnicy. - Musi pani zrozumieć, że mówimy o uzdolnieniach, to dokładnie tak samo, jak ktoś, kto chciałby z grupy studentów wybrać przyszłego członka orkiestry symfonicznej, koncentrowałby się na ich uzdolnieniach. Talent okultystyczny różni się w pewien sposób od talentu muzycznego czy matematycznego, czy sportowego, niemniej jednak pozostaje talentem. Ci, którzy go posiadają, zdradzają jego oznaki. Mam tu na myśli opanowanie podstaw bez większego wysiłku oraz pewien „własny znak” - coś charakterystycznego, co nauczyciele mogą doceniać albo nie, ale co odróżnia ich pracę od pracy innych.

- Ale...

- Na przykład kobieta, która wierzy, że ma dar jasnowidzenia, powinna spróbować wróżenia z kart, i to nie raz i nie dwa razy. Jeśli nadchodzące wydarzenia często potwierdzają jej najbardziej zaskakujące przepowiednie, może ona przejść do trudniejszych rzeczy. Mężczyzna, który podaje się za medium, niech spróbuje wywołać duchy, a zobaczymy, czy przyjdą.

Sandy milczała przez chwilę, a potem westchnęła.

- Teraz umieram z pragnienia, żeby zapytać panią o oszustów, ale nie odpowie mi pani, prawda? Jeśli nie policzymy tego jako trzecie pytanie?

Czarownica potrząsnęła głową. Stubb powiedział:

- Ja odpowiem. Sprawdziłem kilku takich facetów na polecenie zaniepokojonych krewnych. Do diabła, nie przeprowadza pani ze mną wywiadu, więc wszystko, co powiem, jest za darmo. No więc mówię, że nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który miałby psa przychodzącego za każdym razem, kiedy się go zawoła. Ale spotkałem wielu artystów występujących na scenie, którzy pokazywali swoje numery przy każdej okazji i to czasem bez żadnej przyczyny. Jeśli jakimś magikowi duch ukazuje się za każdym razem, kiedy facet spróbuje go wywołać, może pani założyć się o swoje komorne, że to tylko sztukmistrz. Facet, którego pies przestaje przychodzić, kiedy ktoś zaczyna się w niego zawzięcie wpatrywać, chcąc przekonać się, czy to prawdziwy pies, czy tylko dzieciak przebrany za psa, to także sztukmistrz.

Czarownica leciutko odęła usta.

- Jako że pan Stubb uznał za stosowne wystąpić w roli człowieka oświeconego, nie mam innego wyjścia, jak tylko sama udzielić odpowiedzi albo prawie odpowiedzi.

Sandy zaczęła coś mówić, ale czarownica podniosła dłoń, żeby jej przerwać.

- Niech mi pani nie dziękuje. Jeśli może pani odczuwać jakąś wdzięczność, to tylko do niego, nie do mnie. Moja połowa odpowiedzi jest taka: prawdziwy problem, przed którym staje człowiek chcący osądzić jakieś medium, nie polega na rozróżnieniu prawdziwych i fałszywych duchów, jak zdaje się sądzić pan Stubb. Wielki problem, przed którym staje taka osoba, to odróżnienie duchów uczciwych i dobroczynnych od duchów nieuczciwych i złośliwych. Ten, kto potrafi tego dokonać, nie będzie miał kłopotów z demaskowaniem oszustw. Ale ten, kto nie potrafi ich rozróżnić, i to w sposób nie pozostawiający wątpliwości, niech lepiej wcale nie zadaje się z duchami, chyba że może zapewnić sobie asystę eksperta godnego zaufania. Teraz Przejdźmy, proszę, do pani trzeciego i ostatniego pytania.

- W porządku. - Sandy szybko przełknęła ślinę. - Oto moje trzecie i ostatnie pytanie, ale zanim je przeczytam, chciałam powiedzieć, że jestem pani wdzięczna, cokolwiek by pani mówiła. Trzecie pytanie. Madame Serpentina, jakie wydarzenie o wielkim znaczeniu dla Ameryki przewiduje pani w ciągu najbliższych dziesięciu lat?

Czarownica zaśmiała się. Jej śmiech mógł być uroczy, gdy tylko tego chciała, i teraz był właśnie taki - Barnes miał wrażenie, że nigdy nie wyglądała równie pociągająco.

- Nie układam codziennie horoskopu narodowi. Tak naprawdę w ogóle nie popieram układania horoskopów tak, jak zwykle pojmuje się tę sztukę. Jedna drużyna baseballowa pokona drugą, niski polityk przegra z wysokim, doliny zostaną zatopione, a ziemia zadrży. Samolot spadnie z nieba. Mogę to wszystko pani powiedzieć, ale nie ma w tym nic z niewidzialnego świata - wszystko to świat, który widać aż za dobrze, a właściwie świat, którego w ogóle nie trzeba widzieć, bo każdy może przeczytać o nim w gazecie. Wyłożę to wszystko odpowiednio tajemniczym wierszem, jeśli pani sobie życzy.

- Ale nie takie było moje pytanie, w ogóle nie chodziło mi o nic takiego. Chcę tylko poznać jedno wydarzenie o wielkim znaczeniu tak dokładnie, jak tylko jest pani w stanie mi je opisać. Wydrukujemy pani przepowiednię i niech pani nie zapomina, że pani reputacja będzie częściowo zależać od tego, co pani powie. Jeśli w tym celu musi pani ułożyć horoskop, niechże to pani zrobi.

Czarownica potrząsnęła głową.

- Ułożenie horoskopu dla całego narodu - tak, jak ja robię takie rzeczy - wymagałoby całych tygodni. Jeśli mi się to uda, uczynię przepowiednię, bo obiecałam. Jeśli mi się nie uda, będzie pani musiała odejść z kwitkiem. Czy zna się pani na katoptromancji?

- Nawet nie wiem, co to znaczy.

- Może będzie pani jej świadkiem. Ozzie, czy możesz, proszę, odsłonić kotarę?

Barnes grzebał chwilę, nim odnalazł sznurki wiszące z boków okna. Większość sklepów i biur po drugiej stronie ulicy mieściła się w trzy - i czteropiętrowych budynkach, tak że okno wychodziło na ciemną panoramę brzydkich dachów.

- Pochmurno - rzekła czarownica. - Bardzo pochmurno. Niemniej możemy spróbować. Ozzie, panie Stubb, chcę, żebyście przenieśli lustro z tego mebla, o tam. Z komody czy jak to się nazywa. Możecie to dla mnie zrobić?

- Wątpię - odparł Stubb. Odsunął od ściany mebel, o którym była mowa i przyjrzał się jego tylnej stronie. - Duże śruby, odporne na wszelkie manipulacje. Mógłbym odkręcić je w pół godziny, gdybym tylko miał zestaw narzędzi, ale go nie mam.

- To musicie przesunąć cały mebel, żeby znalazł się przodem do okna. Niekoniecznie przy samej szybie, ale jednak dość blisko. Ozzie, pomóż mu.

Sandy odsunęła do tyłu swój fotel, by zrobić im miejsce.

- Dobrze. Tak będzie w porządku. Teraz otwórzcie okno.

- Na dworze jest zimno - zaprotestował Barnes.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Panno Garth, czy może wolałaby pani, żebym panią nazywała Candy?

- Nie - odrzekła Candy.

- Nie winię pani za to. Panno Garth, czy byłaby pani tak dobra, żeby zgasić światła? Jest pani chyba najbliżej wyłącznika.

Pokój pogrążył się w nocy. Sandy poruszyła się w fotelu i wydała jedno z tych cichych jęknięć, na które nie ma dobrej nazwy. Barnes zmagał się w ciemności z klamką od okna. Zwyciężył i pchnął szybę na zewnątrz.

- Co teraz? - zapytał Stubb.

- Teraz będziecie czekać, póki wam nie powiem. Candy, obmacując podłogę wokół miejsca, gdzie siedziała, odnalazła swój biały płaszcz i zarzuciła go na ramiona. Nikt inny się nie poruszył.

Z ulicy dobiegły ciche odgłosy ruchu ulicznego. Nie było wiatru, ale w pokoju szybko zrobiło się zimno.

Gdzieś niedaleko otworzyły się i zamknęły drzwi innego pokoju.

- Jeśli pani nie... - zaczęła Sandy.

Czarownica, pochylając się naprzód ze swojego miejsca na łóżku, dotknęła jej kolana, by ją uciszyć.

Wysoko w górze zabrzączał samolot. Na wysokości trzech tysięcy pięciuset stóp rozstały się ciemne zwały śniegowych chmur. Światło księżyca spłynęło ku iglicy hotelu Consort, zaświeciło przez otwarte okno pokoju numer 777, dotknęło lustro, odbiło się od niego i znów zagubiło w mrocznym niebie.

- Zamknijcie okno - powiedziała czarownica. - Zasuńcie kotary. Teraz musicie mnie wszyscy posłuchać i zrobić to, co powiem. Nie wolno wam patrzeć w to lustro. Kiedy panna Garth zapali światło, możecie rozmawiać między sobą albo chodzić po pokoju, albo robić to, na co tylko macie ochotę, ale musicie omijać wzrokiem lustro. Nie odzywajcie się do mnie, nie będę w stanie nic wam odpowiedzieć...

Mówiła dalej, szybko, ale z namaszczeniem, lecz słowa były w języku, którego nikt z nich nie rozumiał.

- Do diabła, i tak nie mamy jak na nie popatrzeć - powiedział Stubb.

- Myślę, że ona chce, żebyśmy je odstawili na miejsce - odparł Barnes.

Candy nacisnęła wyłącznik światła i zawołała do Sandy Duck:

- Wstań i pomóż im. To musi ważyć tonę.

Z jedną kobietą przy każdym z przednich rogów i jednym mężczyzną przy każdym z tylnych toaletka powróciła na swoje dawne miejsce.

- Co teraz? - zapytała Sandy.

Była najmniejsza z nich wszystkich, niższa nawet od Stubba (jeśli nie liczyć obcasów jej butów) i sapała lekko.

- Teraz nie patrzemy w lustro - odpowiedział Barnes. - Słyszała pani, co powiedziała Madame Serpentina.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Och, Boże - wymruczała Candy. - Co robimy? Głos zza drzwi oznajmił: „Room service.”

Candy otworzyła drzwi i trzeci boy wprowadził załadowany wózek. Z paniką w oczach spojrzała na Stubba, który uspokajająco pomachał ręką.

- Cztery kolacje - zaanonsował boy. - Postawię je państwu na stole. Rybka. Ciasto. Kanapka. Stek. Owoce. Dwie kawy. Piwo. Szkocka. Kieliszek wina. To wszystko.

- Tak sędzę - rzekł Stubb.

- Ta pani musi to podpisać - oświadczył bagażowy. - Chyba że państwo zapłacą. Niech pan powie, czy nic jej nie jest? Czarownica rozluźniła się i skinęła głową.

- Nic mi nie jest. Podpiszę. Czy mogę dołączyć napiwek dla pana do rachunku, kiedy go podpiszę?

- Tak, proszę pani. Tak będzie dobrze, proszę pani. Dziękuję pani bardzo.

Wzięła od niego rachunek i pióro.

- Pana przyjacieli, wie pan, o kogo mi chodzi? Nie wrócił z moimi siedemdziesięcioma dolarami. Jeśli pan go spotka, czy może go pan o to poprosić? Stawia mnie to w nieprzyjemnym położeniu.

- Z pewnością tak zrobię, proszę pani. Joe powinien był przyjść z tym do pani już jakiś czas temu. Powtórzę mu.

- Może już wyszedł - odezwał się Stubb.

Boy potrząsnął głową, podczas gdy czarownica oddawała rachunek.

- Całą noc będzie na dyżurze. Zmieniają nas dopiero o siódmej. - Uśmiechnął się. - To bardzo łaskawie z pani strony. Dziękuję.

- Niech pan nie dziękuje, to nic wielkiego.

- Ja tak nie uważam, proszę pani, i jestem wdzięczny za to, co nam pani dała, kiedy przynieśliśmy na górę pani bagaże. Proszę pani, może nie powinienem tego mówić, ale wiem coś bardzo poufnego, o czym być może powinna się pani dowiedzieć.

- To niech mi pan powie - rzekła czarownica. Nadziała na widelec cząstkę mandarynki i przedzieliła swoje słowa wkładając ją do ust.

- To poufna sprawa. - Trzeci boy spojrzał wkoło na Stubba, Sandy, Candy i Barnes. - Może mogłaby pani na chwilę wyjść ze mną na korytarz?

- Nie musi pani tego robić, Madame Serpentina - rzucił Barnes. - Wszyscy wyjdziemy, jeśli pani zechce.

Uśmiech Stubba był szeroki i niemal szczery.

- O co chodzi? Czyż nie jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi? Niech no pan posłucha, jeśli ta pani jest w jakiejś lekko kłopotliwej sytuacji, chciałbym o tym wiedzieć, żebyśmy mogli jej pomóc.

- Nie jestem zupełnie pewien, czy to chodzi o nią - przyznał boy. - Myślałem tylko, że ktoś powinien jej o tym powiedzieć.

- Dość tych tajemnic - rzekła czarownica. - Chcę zjeść moje owoce i wypić wino w spokoju, w każdym razie we względnym spokoju. Jeśli nawet nie jest pan pewien, czy chodzi o mnie, zapomnijmy o tym. Albo niech mi pan powie i zapomnijmy już o panu.

- Może chodzić o kogoś innego z państwa - wyznał bagażowy. - Albo też o wszystkich razem. W każdym razie obstawiła was policja.

ROZDZIAŁ 17

Proroctwo... i głosowanie

- Co takiego, do diabła? - powiedział Stubb. - Co, do diabła?

Nikt inny się nie odezwał.

- Posłuchaj no, kolego - zwrócił się do boya. - Masz na myśli hotelowego ochroniarza? Sam widzisz, że nic takiego się tutaj nie dzieje. Ta pani - wskazał gestem Sandy Duck - pragnie przeprowadzić wywiad z waszym gościem dla swego czasopisma, a my przyszliśmy porozmawiać o interesach przy spóźnionej kolacji. Cóż w tym złego, do diabła?

- To nie pan Kramer - odrzekł boy. - To prawdziwe władze. - Nie dodał, że żałuje, iż nie może powiedzieć Scotland Yard, lecz faktycznie żałował. - Powiedziałem mu, że chcę zobaczyć jego legitymację, a on pokazał mi odznakę. To była prawdziwa odznaka.

Candy spojrzała w stronę Stubba.

- Jim...?

- Tak. To brzmi jak moja działka. Gdzie on jest?

- Trzy pokoje dalej. Siedemset siedemdziesiąt jeden. To pusty pokój.

- Nie wynajął go? Bagażowy potrząsnął głową.

- Kiedy otworzył drzwi, by porozmawiać, zobaczyłem zasuwkę oklejoną taśmą. Mógłby więc wyjść, a drzwi by się za nim nie zamknęły. Gdyby zapłacił w recepcji, miałby klucz.

- Słusznie. Zatrzymał cię, kiedy siedłeś tutaj z wózkiem? Boy przytaknął.

- I co powiedział?

- Zapytał, dokąd zmierzam, a ja mu powiedziałem. Potem polecił, żebym przyszedł z powrotem, jak skończę, i przekazał mu, co tu widziałem. Powiedział, żebym trzymał oczy otwarte. To było wtedy, jak powiedziałem mu, że chcę zobaczyć jego legitymację, a on pokazał mi odznakę.

- Będziesz potrzebował jakiejś wymówki, dlaczego tak długo tu zostałeś. Co masz zamiar mu powiedzieć?

Boy zastanowił się przez moment.

- Mógłbym powiedzieć, że ta pani jest cudzoziemką i że zadała mi mnóstwo pytań, jak trafić w różne miejsca na mieście, gdzie znajdują się różne rzeczy.

- Na to on by spytał, a co z tamtymi ludźmi, na pewno widział te wszystkie dania na wózku, i dlaczego ich nie zapytała? I dałbym sobie rękę uciąć, że chciałby wiedzieć, dokąd chciała się wybrać. Nie, powiedz, że mieliśmy rozłożony na stole stos papierów. Nie wiedziałeś, czego dotyczyły. Kazaliśmy ci poczekać, póki ich nie poskładamy i nie odłożymy na bok, tak żebyś mógł podać jedzenie. Nie mówiliśmy przy tym niczego specjalnego. Tylko „Ty to zabierz” i „Czy to jest ułożone po kolei?”, takie rzeczy. Rozumiesz?

Boy pokiwał głową.

- Czy to będzie w porządku, jeśli mu powiem, jak wyglądacie?

- Będziesz musiał to zrobić, ale jeśli on pilnuje tego pokoju, to już nas pewnie namierzył. Posłuchaj, o wszystko będzie pytał po trzy albo cztery razy, jeśli to dobry gliniarz. Za dużo nie komplikuj i pamiętaj, żeby zapomnieć o wszystkim, o czym byś normalnie zapomniał. Nie powiedział ci, jak się nazywa, co?

- Nie.

- Nie powiedział: jestem inspektor taki a taki?

- Nie. Zapamiętałbym.

- Mówiłeś, że pokazał ci odznakę. Jaki miała numer? Boy zawahał się, a potem powiedział:

- Chyba nie zauważyłem.

- Dobra, kiedy będziesz wracał, nie pukaj, tak jak ci kazał. Idź prosto, omijając drzwi. Znów cię zatrzyma. Powiedz mu, że nie jesteś pewien co do niego i że chcesz jeszcze raz zobaczyć jego odznakę. Przyjrzyj się dobrze, niech ci ją pokaże w jasnym świetle, i zapamiętaj numer. Kiedy będziesz z powrotem na dole, zadzwoń tu do pokoju i powtórz mi go. Jak on wyglądał?

Boy zastanawiał się chwilę.

- Nie taki wysoki, jak większość z nich. Powiedziałbym, że może tylko trochę więcej niż średniego wzrostu. Duży nos. Miał bandaż na głowie.

- Nie przejmuj się już numerem odznaki - powiedział Stubb. - Wiem, kto to jest.

- I my też - dodała Candy, gdy boy wyszedł.

- Tylko ona nie wie. - Stubb kiwnął głową w stronę Sandy Duck.

- Ma pan rację - rzekła Sandy. - Oczywiście, że nie wiem. I nie wiem, dlaczego policja miałyby obserwować Madame Serpentine. Naturalnie oni zawsze patrzą nieufnie na znaczniejsze osoby ze zdolnościami parapsychologicznymi, chyba że akurat błagają je, żeby rozwiązały dla nich jakąś sprawę bez żadnego honorarium.

Czarownica uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że pani sama chciała otrzymać ode mnie pewną przepowiednię. Nie słyszałam, żeby wspominała pani coś o honorarium, ale być może nie dość uważnie słuchałam.

- Żałuję bardzo - powiedziała szczerze Sandy. - Nie mogę. Nasze pisma nie mają tyle pieniędzy. Ale powiem pani, co zrobimy. Gdy tylko pani zechce, zamieścimy pani za darmo ogłoszenie na całą stronę.

Czarownica roześmiała się.

- Niech pani tego nie odrzuca - odezwał się Stubb. - Sandy, jutro przyślę pani ogłoszenie pani Serpentine. Ma się ukazać jak najszybciej, obojętnie w którym piśmie. Jak to ma wyglądać?

- Jeśli mają tam być obrazki, potrzebujemy projektu prosto pod kamerę. Jeśli to tylko tekst, może nam pani powiedzieć, czego sobie życzy, a my już to rozplanujemy i ustalimy czcionkę.

- Ale teraz - rzekła czarownica - muszę zarobić na to ogłoszenie moją przepowiednią. Najpierw jednak odpowiem na kilka innych pytań, które by pani zadała, gdybym na to zezwoliła. Tak, widziałam coś w lustrze. Nie, wy byście tego nie zobaczyli, gdybyście spojrzeli, tylko udaremnilibyście całe przedsięwzięcie. I w końcu to, co zrobiłam, było przeciwieństwem nekromancji. Wezwałam duchy jeszcze nie narodzonych, by odkryły mi przyszłość.

Chciała pani poznać wielkie wydarzenie, takie, które wpłynie na losy całego narodu, które ma nastąpić w najbliższej dekadzie. Czy mam rację?

Z ołówkiem w ręku Sandy przytaknęła.

- Bardzo dobrze. Największym wydarzeniem najbliższej dekady będzie kwadrumwirat. Czworo przywódców, dziś nieznanych, połączy się, by objąć władzę polityczną, finansową, artystyczną i sądowniczą. Dokonają rewolucji myśli. Wielu spośród tych, którzy dziś rządzą, znajdzie się w więzieniu lub na wygnaniu. Wielu spośród tych, którzy dziś nie mają żadnej władzy, osiągnie pozycje o wielkim znaczeniu. Bogaci zostaną biednymi, a biedni bogatymi. Dawne zbrodnie, długo ukrywane, zostaną publicznie ujawnione, a ich sprawcy wydani ludowi jak stado lwów. Czworo przywódców będzie nienawidzonych i uwielbianych, ale ich rządy nie zakończą się w okresie objętym w tej przepowiedni. To wszystko, co mi powiedziano.

Ołówek przelatywał po papierze.

- Nie zna pani nazwisk tych ludzi?

- Nie. Taką informację byłoby trudno zdobyć. Duchy, jak powinna pani wiedzieć, mają ogromne trudności w dostarczaniu odpowiedzi, kiedy chodzi o konkretne słowa. To jest tak, jakby pani, powiedzmy, że mówi pani po chińsku, zapytała Chinę, która nie zna żadnego innego języka, o nazwisko Amerykanina spotkanego przed rokiem. Gdyby miała pani wiele szczęścia, usłyszałaby pani: „Ukochany Uczeń Kującego Żelazo”, jeśli nazwisko brzmiało John Smith.

- Dojdą do władzy za dziesięć lat?

- Znacznie szybciej, jak sądzę. Sandy wstała.

- Zdaję sobie sprawę, że zadałam znacznie więcej pytań niż te trzy, na które się zgodziliśmy, i nie chcę siedzieć tu dłużej, niż powinnam. Panie Barnes, pani Garth, chciałabym podziękować za to, że państwo mnie tu przyprowadzili. Wiem równie dobrze jak i wy, że bez was nie trafiłabym do tego pokoju. Panie Stubb, niejedną raz wybawił mnie pan z opresji i jestem panu bardzo wdzięczna. Madame Serpentina, wiem, że nigdy nie udziela pani wywiadów, dziś jednak mi go pani udzieliła i pozwoliła mi pani zrobić zdjęcie i tak dalej i jestem pani bardziej wdzięczna, niż potrafię wyrazić słowami.

Czarownica z wdziękiem skłoniła głowę. Candy wyglądała na zakłopotaną, Barnes uśmiechnął się, a Stubb coś bąknął pod nosem.

- Teraz już pójde, ale chcę, aby państwo wiedzieli, że nic, co tutaj usłyszałam, mam na myśli to, czego mi państwo sami nie powiedzieli, nie znajdzie się w moim artykule.

- Znacznie bardziej martwię się o to, co pani powie gliniarzowi - rzucił Stubb. - Chce pani z nim rozmawiać?

Sandy potrząsnęła głową.

- Nie, jeśli mogę tego uniknąć.

- Świetnie. Według tego, co mówił boy, on jest między nami a windą. Ale ten hotel ma kształt czworokąta z pustym środkiem, jeśli wie pani, o co mi chodzi. Kiedy pani wyjdzie, niech pani skręci w prawo zamiast w lewo. Wtedy powinna pani pójść dłuższą drogą i trafić do windy, nie przechodząc koło jego pokoju. Zrobi to pani?

- Oczywiście. Lecz jeśli mnie zatrzyma, nie będę kłamać, po prostu powiem. Sądy mogą twierdzić, że policja ma dzisiaj prawo czytać notatki dziennikarzy, ale nie znajdą w nich nic, czego nie zamierzam umieścić w moim artykule.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Stubb. Otworzył przed nią drzwi.

Candy westchnęła, gdy tylko się zamknęły.

- Uff, nareszcie po wszystkim. Ozzie, dlaczego musiałeś ją tu przyprowadzić? - Spróbowała skrzyżować nogi, lecz jej się to nie udało, i poprzestała na skrzyżowaniu kostek.

Barnes wzruszył ramionami.

- Wyglądała, jakby potrzebowała pomocy.

- Nasz przyjaciel Ozzie ma miękkie serce - zauważył Stubb. - Jak smakowała ryba?

- Pyszna, tylko nie było jej dosyć piwa. Zjesz resztę swojego sandwicza? A ten ogórek marynowany?

- Możesz je wziąć. - Stubb popchnął talerz w jej stronę.

- To ten gliniarz, który oberwał siekierą, prawda? - zapytał Barnes. - Sierżant Proudny, tak się nazywał. Wpuściłem go dziś rano. Boże, wydaje się, że to rok temu.

- Mieliśmy ciężki dzień.

Z pełnymi ustami Candy wymamrotała:

- Jeszcze się nie skończył. - Przełknęła kęs. - Dlaczego on nas obserwuje?

Stubb pokiwał głową.

- Masz rację, to pierwsza rzecz, o której musimy porozmawiać. Ktoś ma jakieś wytłumaczenie?

- Może odkryli, że to Ozzie wezwał tych wszystkich agentów. Usłyszałam przez rozwaloną ścianę, jak rozmawiasz z Ozzie'em przed domem. Może ktoś jeszcze was słyszał.

- I co z tego? To tylko utrudnianie pracy policji i jakby chcieli, mogliby go zgarnąć. Poza tym Proudny nie jest na służbie.

- Brałeś lekcje od naszej baby jagi, Jim? Nie możesz tego wiedzieć.

- Bzdura. - Stubb odchylił się w krzesło, zdjął okulary i potarł nasadę nosa. - Nie wiem, jak ona to robi i czy to robi naprawdę. Ale wiem, jak ja to robię i każdy, kto zechciałby minutę pomyśleć, też mógłby to zrobić. Proudny oberwał drugim końcem siekiery strażackiej. Widziałem to. Zaszyto go i zabandażowano i tak dalej. Też to widziałaś, nawet sama pomagałaś. Może nie być w szpitalu. Może nawet nie leżeć w łóżku, chociaż powinien. Ale nie ma mowy, do diabła, żeby wydział wysłał go po czymś takim na służbę. Nie dzisiaj. I jutro też nie. Dopóki dobrze się nie zagoi.

Czarownica odsunęła swoje owoce i zapaliła papierosa.

- Ma pan rację. Ale nie w tym rzecz. Stubb pokiwał głową.

- Niech ja spróbuję - rzekł Barnes. - Co z nim zrobimy?

- To też nie to, w czym rzecz - odparł Stubb. - A zresztą kto powiedział, że musimy coś z nim w ogóle zrobić?

- Dlaczego - powiedziała czarownica. - To jest to, co musimy wiedzieć, Ozzie.

Candy wpatrywała się w czarownicę i w Stubba.

- Coś nagle wygląda, jakbyście byli bardzo zaprzyjaźnieni.

- Ano tak. Zaraz ci o tym opowiem. Na razie wróćmy do Proudny'ego. Czy ktoś ma jeszcze jakieś sugestie, co też on może knuć?

- Pamiętacie o tych kobietach, które przyszły do pani Baker? - przypomniał Barnes. - Czy on mógłby dla nich pracować? A tak w ogóle to o co im chodzi?

- Nie wiem - przyznał Stubb. - Kiedy opowiedziała nam o tym wszystkim, przyszło mi do głowy, czy czasem sama tego nie wymyśliła albo czy też nie rozdyma wścibstwa paru sąsiadek w jakieś szpiegowskie historie. Teraz sam już nie wiem.

- Myślisz, że on mógłby dla nich pracować? - spytała Candy.

- Nie. Nie pracuje dla nich. Ale mógł się o nich dowiedzieć i wcale nie wiem, czy nie rozmawiał z tą całą Baker i nie próbuje upiec własnej pieczeni. Jest sam, to pewne, a jeśli gliniarz zabiera się do czegoś na własną rękę, kiedy powinien być w domu i leżeć w łóżku, to znaczy, że zwietrzył awans lub pieniądze. Czy ktoś z was jest seryjnym mordercą?

- Nie próbuj być zabawny, Jim.

- Dobra, no więc chodzi o pieniądze. O tym też później porozmawiamy. Czy powinniśmy do niego zadzwonić i zapytać, czego, do diabła, chce? Mówię poważnie. Jest w 771 i wystarczy, żebyśmy podnieśli słuchawkę i wykręcili numer jego pokoju.

- Jestem za tym - rzekł Barnes. - W końcu zabraliśmy go do środka i pomogliśmy go zacerować, kiedy jeden z jego własnych ludzi mu przyłożył. Jeśli teraz jest przeciwko nam, myślę, że mamy prawo do jakiegoś wyjaśnienia.

- Jedno „za” - oznajmił Stubb. - A co z tobą, Candy?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że wszystko skończy się na tym, że to mnie wsadzą.

- Jedno „przeciw”. - Stubb spojrział na czarownicę.

- Wydaje mi się, że powinniśmy wiedzieć więcej.

- Jedno „później”. Niech będą dwa „później” - kiedy rozmawiam z gliniarzem, lubię mieć coś, na czym mogę się oprzeć. Staęło na „później”.

Zadzwoił telefon.

ROZDZIAŁ 18

Z Podniebnej Krainy

Stubb sięgnął po słuchawkę.

- To mój pokój - rzuciła czarownica. - Może mi pan ją podać?

Stubb kiwnął głową.

Candy trąciła łokciem Barnesę.

- Myślisz, że to on do nas dzwoni?

- Tak - powiedziała czarownica do słuchawki. - To ja. A potem: - Oczywiście. Od razu poznałam panią po głosie. Czego pani chce? - Zaległa długa cisza, kiedy czarownica słuchała.

- Nie, nie zrobiłam tego. Nie powiem, że nigdy nie wzywałam niewidzialnych mocy, ale jemu nic nie zrobiłam... Wszystko co dotyczy ludzkiego życia, ma jakiś związek z duchami. To jeszcze nic nie znaczy. Jest wiele innych wyjaśnień... Proponowałabym, żeby poszła pani do domu. Jest bardzo późno. Gdyby to było lato, byłoby już widać, jak świta za oknem.

Odłożyła słuchawkę Stubb siedział głęboko oparty w fotelu. W świetle słabej hotelowej żarówki widać było, jak woskową miał skórę pod ciemnym zarostem.

- Powie nam pani? - spytał jakby mimochodem.

Nie zwracając uwagi na papierosa, który tlił się na jej talerzu, czarownica wyciągnęła drugiego i złotą zapalniczkę. Płomień leciuteńko zadrżał.

- Może później? - powiedział Stubb.

- Powiem wam teraz, jeśli sobie życycie. To dziewczyna, która przed chwilą wyszła. Zaciekawiał ją nasz policjant i przeszła jednak koło jego pokoju. Mówiła, że wyszedł i próbował ją wypytywać, ale niczego mu nie powiedziała. Kiedy zagroziła, że będzie krzyczeć, zostawił ją. Pytała, czy rzuciłam na niego urok.

- A pani powiedziała, że nie. Dlaczego o to pytała?

- Przypuszczam, że wyglądał albo zachowywał się jak ktoś, na kogo rzucono urok. Rozgadała się, ale tak naprawdę powiedziała mi bardzo niewiele. Zrozumiałam z tego, że uważa jego zachowanie za irracjonalne.

- Powtórzyła, o co ją pytał?

- Tylko to, że chciał wiedzieć, czy jesteśmy tu wszyscy, i że spodziewał się, iż będzie wiedziała, co to znaczy „wszyscy”. Opisała nas, a on zapytał, kto jeszcze tu jest.

- Fajnie. - Głos Stubba zabrzmiał gorzko.

- O co chodzi, Jim? - zapytała Candy.

- Cóż, po pierwsze, nie chciałem, żeby z nim rozmawiała. Zrobiła to i na pewno coś mu powiedziała, do diabła. Nie można opisać czworga ludzi śledczemu, który umie słuchać, i przy okazji czegoś mu nie powiedzieć, a poza tym kto wie, co ona jeszcze mu mówiła? A po drugie, domyślam się, czego on szuka.

- Czego? - dopytywał się Barnes. - Czy może to wielka tajemnica? - Rozluźnił krawat i odpiął guziki koszuli.

- To żadna tajemnica i tylko moje domysły. Ale myślę, że nie mijam się za bardzo z prawdą. Kogo tu nie ma, Ozzie? Kogo z nas tutaj nie ma?

Oczy Barnes'a poruszyły się, kiedy rozejrzał się po pokoju, lecz jego szklane oko nie przesunęło się dokładnie w ślad za prawdziwym.

- Hm, jesteście wszyscy - powiedział. - Wszyscy. Stubb potrząsnął głową.

- Nie masz na myśli pani Baker? - zgadywała Candy.

- Już bliżej, ale ciągle pudło. Kogo ona szukała? Kogo szukały te kobiety, które przyszły do niej i z nią rozmawiały? Zeszłej nocy, kochani, nie dalej jak zeszłej nocy, w jednym domu mieszkało nas pięcioro. Kogo brakuje?

Barnes pokiwał głową.

- Free, oczywiście. Pewnie nie pomyślałem o staruszku, bo już o nim rozmawialiśmy, kiedy była tu pani Baker.

- Porozmawiamy o nim jeszcze trochę. Nie chciałem wtedy o nim mówić, bo ta cała panna Duck była w łazience i tak dalej. Ale właśnie dlatego tu jesteśmy. - Stubb przeszedł przez pokój do telewizora i włączył go. - Nie lubię rozmawiać w takim hałasie podobnie jak wy, może nawet mniej. Jeśli ktokolwiek mi zaręczy, że nikt nie podsłuchuje, zgaszę go. Są jacyś ochotnicy?

Zaległa cisza.

- No to zostanie włączony. Z tego, co ostatnio słyszeliśmy, Proudny był kilka pokoi dalej, ale od tamtej pory mógł podejść bliżej. Jest z pół tuzina sposobów, by podsłuchiwać przez ścianę hotelu i wszystkie dają niezłe rezultaty.

- W porządku - wybuchnęła Candy - pana Free tu nie ma, a mnie guzik obchodzi ta przeklęta telewizja. Gdybyś wiedział, ile się nagadałam przy kasetach z muzyką rockową, przy radiu i innych rzeczach. Chcę wiedzieć tylko, dlaczego tu jesteśmy. Jeśli ta wróżka od kryształowej kuli chce mnie przenocować, świetnie. Znalazłabym inne miejsce, ale tu jest równie dobrze jak gdzie indziej. Tylko jeżeli masz zamiar mi powiedzieć, że ona to robi z dobroci serca, daruj sobie. Po pierwsze, nie sądzę, żeby je miała. Po drugie, jeśli je ma, to nie ma w nim dobroci.

- Dziękuję - powiedziała czarownica. - Jestem zachwycona, że łaskawie zgodziła się pani skorzystać z mojej gościnności.

- Daj sobie spokój - zwrócił się Stubb do Candy. - Co ty, do diabła, myślisz, że reszta z nas to jakiś chórek? To jest zebranie w interesach. Nic się nie stanie, jeśli od razu się dowiecie, ty i Ozzie, że nim przyszlście tu na górę, Madame Serpentina i ja zawarliśmy małą spółkę. Mamy zamiar sobie pomagać, zamiast ze sobą walczyć, a wszystkim, co zarobimy, podzielimy się równo po połowie. To nie ona was tu sprowadziła - ja to zrobiłem. Po prostu pokój jest na jej nazwisko, to wszystko. I ja też nie sprowadziłem was tutaj z dobroci serca.

Zrobiłem to, bo chcę, żebyście się do nas przyłączyli. Wysłuchacie naszej propozycji, a jeśli wam się nie spodoba, możecie spłynąć.

Barnes nagle zrobił się uważny.

- W porządku - rzekł. - Co to za propozycja?

- Pozwól, że najpierw o coś zapytam. Czy Free powiedział kiedyś coś, co kazało ci przypuszczać, że ukrył coś cennego?

Barnes zamknął oczy, sięgnął pamięcią w przeszłość.

- Powiedzmy, że tak. A bo co?

- Tak właśnie myśleliśmy. Powiem ci coś, żeby udowodnić, że gramy uczciwie. Kiedyś Free powiedział mi, że pochodzi z miejsca, które nazywał „Podniebną Krainą”. Powiedział, że ukrył gdzieś bilet, który pozwoliłby mu tam wrócić, gdyby zechciał, ale jest już za późno, by mógł się nim posłużyć. Co o tym sądzisz?

Barnes wzruszył ramionami.

- A co ty o tym sądzisz? To wydaje mi się ważniejsze. To ty tam byłeś i słyszałeś, co mówił, a teraz twierdzisz, że złożysz mi propozycję. No więc co ty o tym sądzisz?

- Nie mam nic prócz różnych domysłów - przyznał Stubb. - Ale podzielę się nimi z tobą. Już podzieliłem się z Madame Serpentina. - Zdjął okulary, przyjrzał się szkłom i założył je z powrotem. - Odkąd z nim rozmawiałem, zastanawiam się, co może oznaczać „Podniebna Kraina”, bo gdybym to wiedział, wiedziałbym mniej więcej, jaki trzeba mieć bilet, żeby tam wrócić. Madame S. ma własne zdanie, ale pominę je na razie. Może powiedziec wam sama, jeśli zechce. Po pierwsze, Podniebna Kraina rzeczywiście może być jakimś innym krajem, na przykład Szwajcarią, albo też rejonem, gdzie jest wiele wysoko położonych terenów, takim, jak pogórze szkockie. W tym wypadku biletem jest zapewne paszport. Czy ktoś to kupuje?

Spojrzał na Barnesa i Candy, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

- Ja też nie. Oto inny domysł. Free mógłby być górale, mówił jak góral. Może pochodził skądś w górach Adirondacks. Komuś to pasuje?

- Jim - odezwała się Candy - ja myślę, że on mówił raz tak, a raz inaczej, zależy, z kim rozmawiał.

- Jesteś tego pewna?

- Nie. Głowy bym nie dała. Może tylko miałam takie wrażenie. Ale tak mi się właśnie wydawało. Ja nie mam jakoś piekielnie dużo wykształcenia, Jim. Wyleciałam ze szkoły średniej. I ty pewnie też nie masz. No więc myślę, że kiedy on był z nami, mówił tak trochę prosto, żebyśmy czuli się dobrze.

- Świetnie. To cenne spostrzeżenie i chcę za chwilę do tego wrócić. Na razie poczekajmy z tym i oczyścimy trochę teren. Ktoś jest za wersją górala?

- Nikt - rzekł Barnes. - Mów dalej.

- To, co nam zostało? - Stubb urwał i spojrzał po kolei na wszystkich. Wojna w telewizji dobiegła końca i spiker z powagą zaczął mówić o napojach bezalkoholowych. - Jeśli nie

pochodzi z jakiejś okolicy, która jest rzeczywiście wysoko w górach, tu albo za granicą, to co nam pozostaje?

- Wariactwo - powiedziała Candy. Barnes odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Rozmawiasz czasem z tymi starszankami z torbami na ulicy? Mnie to się zdarzało, jak byłam po numerku za pięćdziesiąt czy sto dolarów, a potem po trzech czy czterech kielonkach. Czasami wałęsałam się tak po prostu i siadałam gdzieś koło takiej albo ona przysiadła się do mnie. Jedna, którą spotkałam, była księżniczką. Inna była nieślubnym dzieckiem któregoś prezydenta. Wszystkie mają jakąś wariacką historię, a jeśli kiedyś usłyszę taką, w której babcia w łachmanach okaże się mniej ważną osobą, niż wygląda, a nie odwrotnie, to dam jej piątaka, jeśli będę go miała. Ale nie sądzę, bym kiedykolwiek musiała to zrobić.

- Naprawdę myślisz, że Free był wariatem?

Candy zastanawiając się wypchnęła swoje podbródki do przodu.

- Będę musiała to przemyśleć. Ale w tej chwili tak, myślę, że mógł być. Wpuścił nas do domu, prawda?

- I opisał nas swojej sąsiadce na długo, nim się pojawiliśmy, a przynajmniej tak się wydawało, gdy o tym mówiła - sprzeciwiła się czarownica. - Czy tylko ja ją słyszałam? Cokolwiek by mówić, Free nie był wariatem.

Stubb pokiwał głową.

- Ja też się z tym nie zgadzam. Oczywiście, Candy, co ty o tym sądzisz, to tylko twoja sprawa. Dla mnie, na ile ja to rozumiem, jeśli facet nie urodził się rzeczywiście w jakichś górach i nie był szurnięty, to pozostała tylko jedna możliwość. Powiedział mi, że pochodził z Podniebnej Krainy i że przyszedł po przygodę, i że inni robili tak samo, i że jego bilet - tak właśnie go nazwał - był gdzieś schowany, ale że było już za późno, by móc go wykorzystać.

- To poszukajmy go - zaproponował Barnes. - Pewnie jest gdzieś w domu.

- Zrobimy to. A raczej ja to zrobię, jutro, kiedy będzie jasno, i jeśli jest w domu, zapewne go znajdzie. Ale przypuśćmy, że nie. Założmy, że w ogóle nie ma go w domu. Powiedział mi kiedyś, że pewnego razu, kiedy nie było go w domu, z sypialni skradziono wszystkie cenne rzeczy. Znacznie łatwiej byłoby odnaleźć bilet, gdybyśmy odnaleźli Free.

- Powiedziałeś - włączyła się Candy - że została tylko jedna możliwość, Jim. Zdradz ją nam.

Stubb uśmiechnął się i odchylił do tyłu.

- Nazywał to „Podniebną Krainą”. My byśmy to może nazwali wysokimi sferami albo wysokim stanowiskiem. Myślę, że Free, a w życiu nie słyszałem bardziej fałszywie brzmiącego nazwiska, pochodził ze starej zamożnej rodziny, z tych, które bawią się w ambasadorów i gubernatorów i może nawet w prezydenta od tak dawna, że zapomnieli już, komu to na początku pradziadunio ukradł pieniądze. Myślę, że kiedy skończył Harvard, albo może nawet zanim go skończył, poszedł do sklepu z używaną odzieżą, kupił trochę ubrań i

ruszył na włóczęgę. Wielu z nich tak robi. Po prostu dla przygody, tak jak mówił. I myślę, że z jakiejś przyczyny został znacznie dłużej niż większość z nich. Być może związał się z jakąś kobietą. Być może chciał się wykręcić od czegoś, co czekało na niego tam, skąd pochodził, może nie chciał spędzić życia zarządzając Zjednoczeniem Miedziowym albo co to tam było. Potem uznali, że nie żyje, a on wstydził się wrócić do domu. - Zdjął okulary i potarł je o rękaw. Kiedy na moment podniósł wzrok, jego oczy wydawały się groteskowo małe. - Ale zanim zaczął swoją małą przygodę, myślę, że zostawił sobie otwartą furtkę, coś, co wprowadziłoby go z powrotem do Harvardu czy Newport i do całej reszty, gdyby kiedyś zechciał tam wrócić. Coś, co uczyniłoby go bogatym, naprawdę bogatym, niezależnym od tego, co rodzina zrobiłaby pod jego nieobecność. Nawet gdyby na przykład prawnie uznano, że nie żyje.

Nie zapytam, czy ktoś kupuje tę wersję. Ja ją kupuję. Rozmawiałem o tym trochę z Madame S., ale choć ona widzi to inaczej niż ja, zgadza się, że Free nie był wariatem i że zamarynował gdzieś coś bardzo cennego. - Gdy grube szkła wróciły na miejsce, Stubb popatrzył w stronę czarownicy. - Tak?

Skinęła głową ostrożnie, lecz było to niewątpliwie przytakujące skinienie.

- Zatem porozmawiałem z nią. Powiedziałem, niech pani posłucha, cokolwiek by to było, ja tego szukam i pani tego szuka. Pani ma swoje sposoby działania, a ja mam swoje, mamy równe szanse i będziemy tylko sobie nawzajem włożyć w drogę tak, że wszystko dostanie się komuś innemu albo w ogóle nikomu. Nigdy nie wywiódłem w pole klienta i nigdy tego nie zrobię. Połączmy siły i podzielmy się po połowie. To sprytna osóbką, zgodziła się. Teraz wam składamy tę samą propozycję. Mieszkaliście z nim tak samo jak i my. Bardzo możliwe, że któreś z was - może oboje - słyszeliście o czymś, o czym my nie słyszeliśmy, a co mogło być ważne. Dołóżycie swój wkład, a każde z was dostanie dziesięć procent tego, co znajdziemy. Ale to musi być zaraz i musicie chcieć nie tylko mówić, ale i pracować dla naszej spółki. Chcecie się do nas przyłączyć?

- Dostajemy dziesięć procent - zawahał się Barnes.

- Tak.

- Powiedziałeś, że proponujesz nam to samo, co Madame Serpentine, ale mówiłeś, że wy dwoje podzielicie się po równo.

- Podzielimy się czym? - prychnął Stubb. - Nawet nie wiemy, czy tam naprawdę coś jest. Jeśli jest, dziesięć procent powinno być fortuna.

Candy ziewnęła.

- Jim, gdyby chodziło tylko o ciebie, zgodziłabym się. Wiesz o tym. Ale tak...

- A ja z przyjemnością służyłbym pomocą Madame Serpentine, ale to byłoby, hm, kwestią galanterii - dodał Barnes. - A tu chodzi o interesy i to nie najlepsze interesy, nie najkorzystniejsze interesy...

- Candy powiedziała, że myśli, iż Free był szalony. Ty też tak myślisz, Ozzie?

Barnes powoli potrząsnął głową.

- A co myślisz?

- Zachowam to na razie dla siebie - odparł Barnes. - Powiem wam rano. Być może.

- Rano?

Barnes wzruszył ramionami.

- Będziesz musiał pozwolić, żebyśmy z Candy tu przenocowali. Jak Madame Serpentina powiedziała kilka minut temu, jest tak późno, że gdyby to było lato, już by było widno.

- To prawda - przytaknęła Candy. - Pierwsza zamawiam łazienkę.

- Jeśli tu zostanieie, będziecie spali na podłodze - wyjaśnił Stubb. - Powinienem był powiedzieć „będziemy”. Cała nasza trójka. Wyjaśnijmy to sobie od razu.

- Jak to, do diabła? - Gruba dziewczyna wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. - Są dwa podwójne łóżka.

- Tak. Ale jeśli prześpi się w nich więcej niż jedna osoba, pokojówka o tym doniesie i w hotelu będą wiedzieli, że więcej osób mieszka w pokoju. Nie możemy sobie na to pozwolić. To pokój Madame S., więc ona dostanie łóżko. Reszta kima na podłodze lub w fotelach - albo wcale.

ROZDZIAŁ 19

Ego vendo

Candy była w łazience, w wannie. Barnes, leżąc na plecach prawie dokładnie w tym miejscu, gdzie wcześniej stał stół, na którym jedli, słyszał jej śpiew i od czasu do czasu plusk wody.

*Kapitana w górę sterczy cieśla chce o każdej porze,
Kucharza świeci od tłuszczu a drugi oficer nie może.
Pożeglowali do Rio pożeglowali z powrotem,
Lecz o przygodach w podróży nic nie mówiła potem.*

Wstanę, pomyślał Barnes, i wezmę prysznic, kiedy ona skończy. Żałował, że nie ma czystej bielizny. Być może Madame Serpentina nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wyprał to w co był ubrany - podkoszulkę, gatki - i zostawił do wyschnięcia na wieszaku do ręczników. Na drążku do zasłony przy prysznicu. Spałby w koszuli i w spodniach. Czy Stubb miałby coś przeciwko temu, żeby przyprasował sobie spodnie pod materacem wolnego łóżka? Nie, nie mógł tego zrobić. Jutro - dziś - będzie musiał odebrać swoje skrzynki z próbkami towarów ze skrytek na dworcu autobusowym. Można było zostawić tam rzeczy tylko na dwadzieścia cztery godziny. Wydał na nie prawie wszystko, co mu zostało. Czy Madame Serpentina pozwoliłaby mu zostawić je tutaj? Na pewno, nawet jeśli nie mógłby już tu spać. Może w lobby, na jakiś czas. Gdyby tylko poszła do łóżka nago. Zobaczyłby ją, choćby w pokoju było nie wiadomo jak ciemno. Widział już więcej, znacznie więcej przez dziurę w ścianie. Teraz to nie miało znaczenia - dom tak czy owak już nie istniał - rozkołysała się czarna kula. Będzie musiał coś sprzedać, żeby mieć więcej monet od skrytek. Zegarek, być może. Nie, zegarek poszedł, już poszedł. Kwitek był w portfelu. Bilet Free? Czy stary Free mógł to mieć na myśli? Czyżby zastawił w lombardzie to, co kiedyś posiadał, rzecz, o której mówił tak wykrętnie? Czy rzeczywiście jego wyjaśnienia były wykrętne jak skoczek poruszający się haczykiem w lewo, w prawo, goniec biegnący po skosie? Być może tak mu się tylko teraz wydawało. Skarb Free. Pieniądze albo obligacje, myślał Stubb. Madame Serpentina podejrzewała, że chodzi o koronę, choć tego nie powiedziała. Skarb w ścianie, w ścianie ze znakiem, zdradził Free. Nieomylnym znakiem. Obrazek był teraz w jednej ze skrzynek, ale nie zakrywał już żadnej dziury. Już nigdy, nigdy nie będzie. Odchylił obrazek na bok i sięgnął w głąb, wyciągnął skarb... Co? Kufer pełen złota i szmaragdów. Wślizgnąwszy się tu z jakiegoś wspomnienia z dzieciństwa stara kobra, biała i ślepa, oplatała się wokół nich. Z pewnością nie tak. To wcale nie pasowało do Free, który nie nosił turbanu i który miał w dodatku jaśniejszą cerę niż on sam. A poza tym takie skarby znajduje się pod podłogą. A ten był w ścianie. Czy inni wiedzieli? Candy, Madame Serpentina? Free był z Candy na śniadaniu, tak mówiła. Albo Stubb był o wiele za sprytny, by można było czuć się z nim bezpiecznie, albo nie potrafił sprzedawać. Nie sprzedał im tego pomysłu, choć tak bardzo

mu na tym zależało. Może właśnie dlatego, że był za sprytny i że zbyt dobrze było widać, jaki jest niebezpieczny, nawet dla Candy, która go kochała.

Nikt, pomyślał Barnes, nikt mnie nigdy nie kochał. Być może kochałby mnie Mały Ozzie, gdyby sprawy potoczyły się trochę inaczej. Umiem sprzedawać, pomyślał, ale one w końcu odkrywają, że sprzedałem im tylko obiecanki, cacanki. Nigdy nie byłem aż tak dobry, jak kazałem im wierzyć, nigdy nie zarabiałem tak dużo, jak myślały, że zarobię. A jednak będę to miał na nagrobku, pomyślał, jeśli tylko będę mógł. „Umiął Sprzedawać.” Gdybym był bogaty, miałbym bramę wjazdową, tak, żebym mógł umieścić nad nią kamienną tarczę: *Meus vendo*. Coś w tym duchu - ci, którzy rzeźbią tablice, wiedzieliby. Musieliby wiedzieć.

*Faja Bosmana jest jak kaszana,
Kapelana - że pożał się Boże,
małego majtka - dziecinna zabawka,
a drugi oficer nie może.*

Rozległo się chrząkanie i plusk, jakby coś się wynurzyło - zapewne Candy wychodziła z wanny. Ciekawe, czy zostawiła mi gorącą wodę, pomyślał Barnes, a potem przypomniał sobie, że jest w hotelu, gdzie było dość gorącej wody dla tysiąca kąpiących się. Zastanawiał się, czy zostawiła jakieś suche ręczniki. *Meus vendo, ego salum*. Lois chciała mieć duży dom. Pokazałby jej go kiedyś. „To domek stróża, oczywiście. Moglibyśmy pojechać aleją prowadzącą do głównego wyjścia, Lo, ale ścieżka topolowa jest znacznie przyjemniejsza i może zobaczymy jelenie. To? To tylko paw, mamy spore stadko. Na Boże Narodzenie będziemy mieli pawia na kolację, tylko po to, żeby je troszkę przetrzebić.”

Otworzyły się drzwi łazienki, wypuszczając strumień pary i oślepiające światło. Ręczniki hotelu Consort były rzeczywiście ogromne i Candy zdołała, choć z trudem, owinać się jednym z nich. Jej wiecznie rozczochrane włosy były mokre i wisały jak kudły jakiegoś oberwańca. Jej wielkie nogi, grube w udach jak kolumny, błyszczały różowo ponad stopami w kolorze gotowanych krewetek. Barnes usiadł na podłodze.

- Skończyłaś?

Candy potrząsnęła głową.

- Chcę tylko pożyczyc pęsetę, jeśli można. Muszę wyskubać brwi.

- Nie mam pęsety - odparła czarownica z łóżka.

- Owszem, owszem. Proszę, niech pani nie żartuje. Oddam ją - Jeśli tylko mogę, unikam dotyku żelaza.

- Niech no pani posłucha... Nie chciałabym tego mówić, ale przecież widziałam pani brwi. Wyglądają bardzo ładnie.

- Mam pani pokazać, czego używam? - zapytała czarownica. Odrzuciła pościel i zerwała się na nogi, a wszystko to jednym miękkim ruchem. Jej nocna koszula, jeśli rzeczywiście była to nocna koszula, była głęboko czarna, nie jedwabna ani nylonowa, jak uznał Barnes, ale z

czegoś sztywniejszego i mniej błyszczącego. - Proszę. To muszle małża. Nazywa się je małżami brzytwowymi.

- Muszle małża?

- Tak się je trzyma. Widzi pani, małż hermetycznie zamykał dwie połówki muszli. Jeśli najcieńszy włoszek dostanie się do środka, już się nie wydostanie. Chodźmy, pokażę pani.

Drzwi łazienki zatrzasnęły się za dwiema kobietami, na nowo pograżając pokój w ciemności. Barnes podłożył ręce pod głowę. Podbity miękkim poliuretanem dywan był tak miękki jak materac. Zza drzwi dobiegł cichy głos Candy: „Auu!” Stubb odezwał się spod drzwi, gdzie leżał nasłuchując kroków na korytarzu.

- Cóż, kto by przypuścił. Jakby pod skórą były siostrami. Kto to powiedział?

- Kipling.

- Miał rację. Wiesz co, na pierwszy rzut oka nie wydajesz się bardzo sprytny, Ozzie, ale myślę, że tak naprawdę jesteś cwany. Ten pomysł z agentami był iście genialny. I proszek wywołujący kichanie też.

- Ja jestem jak Candy - rzekł Barnes. - Chcę się z tym przespać.

- Jasne.

Otworzyły się drzwi łazienki i wyszła czarownica. Jej nocna koszula, czy co to było, miała z boku rozcięcie - Barnes zobaczył błysk skóry na tle czarnej tkaniny. Czarownica wślizgnęła się z powrotem do łóżka.

- Stubb - zapytał Barnes - jak się pisze twoje nazwisko?

- Es te u be be. Dlaczego pytasz?

- Tak się tylko zastanawiałem. Nigdy przedtem z nim się nie spotkałem, a zapisuję dużo nazwisk, kiedy zbieram zamówienia i tak dalej.

- Kiedyś na końcu było „e”. Gdzieś się zgubiło.

- Stubbe - powiedział Barnes, wymawiając je „stu - bi”. To chyba znaczy „izba”. Coś w tym rodzaju.

- Stubb - odrzekł Stubb. - Teraz oznacza mnie.

- Idę spać - oznajmiła czarownica. - Ten, kto mnie zbudzi, bardzo tego pożałuje.

- Łatwo pani mówić. Pani ma łóżko - odciął się Stubb.

- Mam też nóż. Kto wejdzie do tego łóżka, przekona się, gdzie on jest.

- Jasne.

Nikt inny się nie odezwał. Imponująca brama majaczyła w dali na końcu drogi wijącej się pomiędzy górami. *Ego vendo*. Czerwony samochód miał kierownicę z prawej strony i był długi jak autobus. Mały Ozzie wyjrzał z okna, kiedy ciemne lasy za murem zastąpił trawnik.

- Czy na górze jest tłuczone szkło? Jego ojciec pokiwał głową.

- Nie lubię, jak budzą mnie niespodziewani goście.

- O rany...

Wielki samochód sunął aleją, przejeżdżając po jakiejś błyszczącej substancji, której Barnes nie potrafił dokładnie określić. Inne aleje odchodziły w prawo i w lewo i w końcu skręcił w jedną z nich. Lwy ryczały, zamknięte w wielkich klatkach, złożonych jak klatki dla ptaków.

- W nocy wypuszczamy je, żeby chodziły wolno - powiedział Małemu Ozzie'emu. - Masz. - Wyjął coś z kieszeni i zawiesił na szyi Małego Ozzie'ego srebrny łańcuszek. - To cię ochroni, jeśli wyjdiesz na dwór po zmroku. Ale nie biegnij. Pozwól, żeby cię obwąchały.

- O rany...

- Kiedy się do ciebie przyzwyczają, możesz nawet na nich jeździć. Miałbyś na to ochotę?

Milion piętér niżej rozległ się cichy gwizdek odźwiernego. Kto mógłby potrzebować taksówki o tej porze nocy? Barnes podniósł przegub, lecz nie płonęły na nim żadne szkarłatne cyfry. Ostatni goście wychodzili z baru, w którym śpiewała Candy, z baru na parterze, ze wszystkich innych barów w całym mieście. W łazience zabrzączało szkło. Stoją tam przybory toaletowe Madame Serpenty i gruba dziewczyna pewnie ich używa. Ciekawe, czy ona nie ma nic przeciwko temu.

- Tu jest główna łazienka twojego apartamentu. Mosiężne drzwi prowadzą do basenu z ciepłą wodą, marmurowy łuk do basenu z zimną. Kiedy budowaliśmy dom, próbowaliśmy po prostu zainstalować regulatory temperatury, ale ochładzanie albo podgrzewanie wody zabierało za dużo czasu. Chcesz najpierw zobaczyć zimny? Foki, niedźwiedzie polarne i takie tam. Wszystkie oswojone.

- Hej, to brzmi super.

- To jest super.

Mały Ozzie zastanowił się, a jego mała twarzyczka zmarszczyła się z wysiłku. (To bardzo dobrze. Będzie musiał myśleć, kiedy stanie u steru Barnes Industries, Inc.)

- Ciepły. Chcę zachować zimny na później. Co jest w ciepłym?

- Syreny.

Drzwi łazienki otworzyły się z kolejnym błyskiem światła.

- Zrobione, Ozzie. Chcesz jeszcze wziąć ten prysznic? Hej, śpisz?

Barnes usiadł przecierając oczy.

- Prawie.

- Będę spała tutaj. Nikomu to nie przeszkadza? Jim, mówiłeś, że jest zapasowy koc.

- Tam w dolnej szufladzie - odparł Stubb. Barnes podniósł się na nogi.

- O rany, mój garnitur będzie jutro koszmarnie wyglądał.

- Pokażę ci, gdzie go wyprasują na poczekaniu za pięćdziesiąt centów - powiedział Stubb.

- Chce pani poduszkę? - zapytała czarownica Candy. - Jeśli obie poduszki będą wymiętoszone, nie pomyślą, że był tu ktoś więcej - wiele osób śpi na dwóch poduszkach. Mnie wystarczy jedna.

- Świetnie. Niech ją pani po prostu rzuci. Wydawało się, że kropla mglistej bieli sunie poprzez pokój.

Candy złapała ją, kiedy Barnes zamknął drzwi łazienki.

Łazienka była tak jasno oświetlona, że aż zaboląły go oczy, choć lustro pokryła para. Posługując się mokrą myjką jak rękawiczką, odkręcił wszystkie żarówki, zostawiając tylko jedną. Spodnie powiesił na wieszaku do ręczników. Para zniszczy to, co pozostało jeszcze z kantów, ale zlikwiduje także zagniecenia. Powiesił koszulę i krawat, wrzucił podkoszulkę, szorty i skarpetki do wanny, wszedł do środka, wyprał je mydłem do rąk i tak długo deptał pod stopami, aż przestały z nich wychodzić bańki powietrza, a potem powiesił na drążku za drzwiami prysznic.

Resztką małej kostki żółtego, pachnącego mydła natarł całe ciało. Był silnie owłosionym mężczyzną, a włosy miał czarne i kręcone. Za każdym razem, kiedy na nie patrzył, był zadowolony, że nie ma córki. Odziedziczyłaby je po nim i nigdy by mu tego nie wybaczyła - słusznie, jak sądził. Włosy Małego Ozzie'ego były jednak brązowe, a nie czarne. Nie kręciły się też za bardzo, chyba że zamoczył je, nurkując z pingwinami i morświnami. Ale Mały Ozzie był naprawdę jego synem. Pamiętał, jak sam wyglądał, kiedy był małym chłopcem i coś z tego było w twarzy Małego Ozzie'ego. Nie żeby to było niemożliwe, by Lois zabawiła się z kimś innym. Bóg świadkiem, miałyby do tego prawo.

Kiedy skończyło się mydło, zaczął puszczać coraz zimniejszą wodę, aż w końcu stał trzęsąc się i patrząc, jak pod jej strumieniem spływają mydliny. Rozłożył ramiona tak szeroko, jak tylko się dało pod prysznicem, poklepał się po plecach, a potem wykonał mały taniec pod żądlami kropel wody. Nim zakręcił wodę i wyszedł z wanny, większość pary znikła już z luster. Oko zostawił na półce nad umywalką i w odbiciu jego twarzy było teraz coś z Popeye'a. Jestem, kim jestem. Wycierając się, przerwał na chwilę, by pogłaskać zarost na podbródku.

Oko podrażniało mu oczodół, gdy założył je na całą noc, ale czuł, że nie może zostawić go w łazience. Powiesił mokry ręcznik i zanim otworzył drzwi, owinał się suchym ręcznikiem, przedostatnim, jak zauważył.

Candy stała za drzwiami owinięta kocem.

- Przyjemny był prysznic, Ozzie? Skończyłeś już?

- Tak, oczywiście. Przesunął się koło niej.

- Muszę wejść. To nie potrwa nawet minuty. Jezu, tu wygląda jak w pralni.

Tak jak się spodziewał, po zimnym prysznicu pokój wydawał mu się ciepły. Złożył marynarkę, by zrobić z niej poduszkę, przykrył się od pasa w dół płaszczem i podciągnął gruby, suchy ręcznik na pierś. Było mu bardzo wygodnie.

ROZDZIAŁ 20

Dzwonek i gwizdek

Zadzwoił telefon. Spojrzał przez kryształową szybę, która oddzielała go od dziewczyny. Nie było jej. Pewnie wyszła do klopa, albo poszła po kawę.

Telefon dzwonił.

Wyciągnął rękę do swojego aparatu błyszczącego czernią. Przez szybę z kryształu widział złote litery po drugiej stronie szklanych drzwi, które wychodziły na korytarz: a, ka, eł, ó z kreską, pe, es, potem i, potem es, e, en, er... Telefon dzwonił. Barnes usiadł w szarym mroku. Roztarł zmarznięte i zeszywniałe ramiona. Tak, jakby dalej śnił (i przez chwilę wierzył, że tak jest), otworzyły się na oścież drzwi łazienki, wypuszczając powódź światła. Pstryknął wyłącznik i światło zgasło. Telefon znów zadzwonił.

- Halo - powiedziała Candy. Nastąpiła chwila ciszy. - Tak, to ja... Nocuję u niej... Dobrze. To bardzo miły telefon, naprawdę. Myśleliśmy, że coś się mogło stać.

Odłożyła słuchawkę.

Z drugiego końca pokoju Stubb zapytał:

- Kto to był?

- Nieważne.

- Nie powiedziałaś czasami komuś o hotelu, że nocujesz u Madame S.?

- Mhmm. To nie był nikt z hotelu.

- Kto to był? - Głos Stubba był teraz ostrzejszy.

- Powiedziałam, że to nieważne. To było do mnie, rozumiesz? Ja odebrałam telefon. Przekazano mi wiadomość. To była moja sprawa.

- Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że można panią zastać w moim pokoju? - zapytała czarownica.

- Nie wiem. Nie zapytałam, a on mi nie powiedział.

- Zatem to był jakiś facet.

- Jim, zamknij się, do diabła. - Ciągnąc za sobą róg koca, gruba dziewczyna przeszła nad Barnesem. Rozległo się stęknięcie i głuchy odgłos, gdy się położyła. - Niech to szlag, nie jestem stworzona do spania na podłodze. Nie wydaje mi się, że bym kiedyś nawet zemdląca na podłodze. Zwykle znajduję sobie sofę albo coś w tym rodzaju.

Nikt inny się nie odezwał. Barnes przez chwilę wpatrywał się w ciemny sufit, a potem pozwolił opaść powiekom. Gruba dziewczyna była dość blisko niego, by dobiegły go ciche westchnienia jej oddechu. Mógł sobie nawet wyobrazić, że czuje ciepło jej ciała na nagiej skórze lewego ramienia. Było mu zimno i miał wrażenie, że ona promieniuje ciepłem jak piec.

Spróbował przywołać z powrotem wielki dom w górach, ale ten gdzieś mu się zagubił, oddalał się od pędzącego samochodu, znikając wciąż za następnym zakrętem drogi, aż w

ogóle stracili go z oczu i nie byli już pewni, czy znajdują się na dobrej drodze. Potem coś się stało, z jakiejś przyczyny samochód nie chciał jechać dalej i Mały Ozzie wędrował na piechotę po przewianych wiatrem górskich drogach, sam w ciemnościach, szukając ojca.

Coś dotknęło jego ręki. Cofnął ją odruchowo. Znów poczuł dotyk i po chwili zdał sobie sprawę, że była to inna ręka, bardzo miękka, mała i ciepła.

- Ozzie. - To był najcichszy z szeptów.

- Tak - powiedział zadowolony, że zabrano go ze spowitych nocą górskich dróg, gdzie jego syn nie mógł go znaleźć, gdzie on nie mógł nawet znaleźć sam siebie.

- Nie śpisz?

Na dworze rozległ się gwizdek portiera.

- Tak - powiedział znowu.

- Jim śpi. Słyszę go i myślę, że ona też śpi.

Barnes nie odpowiedział. Otworzył oczy, lecz znów się zamknęły. Leżał w ciemności, słuchając jej, jak mógłby słuchać wołania jakiegoś nocnego ptaka, nie odczuwając potrzeby odpowiadania.

- Czuję się jak świnia, sama pod tym całym kocem. Zimno ci, Ozzie?

- Trochę.

- Wystarczy dla nas obojga. To koc na podwójne łóżko. Rozległ się jakby furkot szerokich skrzydeł i koc ułożył się na nim. Jej piersi wtuliły się w jego ramiona, a miękka, ciepła wypukłość brzucha spoczęła przy jego boku. Objęły go ramiona, które były jak dwie poduszki. Odwrócił się na bok i pocałował ją.

Jej usta były wilgotne, miękkie i ciepłe. Każdy jej kawałek wydawał się miękki i ciepły. Nie ugryzła go, choć z jakiejś przyczyny obawiał się, że to zrobi. Jej język dotknął jego języka, a potem cofnął się na moment, nim się rozdzieliły. Delikatnie skubała zębami jego dolną wargę, tak że miał wrażenie (zapożyczone może z jakiejś zapomnianej książki, którą czytano mu w dzieciństwie, jak to często bywa, a może zasugerowane po prostu przez blondynkę, która niegdyś, w lepszych czasach, przyniosła mu drinka w klubie Playboya w Kansas City), że Candy była bardzo dużym białym królikiem, który w jakiś sposób zamienił się w kobietę. Gdyby ktoś zapalił światło, nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że ma ona różowe oczy i ruchliwy różowy nos. Nie jak jakiś wiecznie żujący marchewkę, sypiący dowcipami królik Bugs, ale jak jedna z sióstr Piotrusia Królika, którą zamknięto w klatce i karmiono wykwintną sałatką, aż wyrosła do ogromnych rozmiarów.

- Nic fikuśnego - powiedziała. - Nie dzisiaj.

- W porządku - rzekł.

- Nie żebym zwykle miała coś przeciw temu, ale jest późno i jestem zmęczona. Poza tym to tak, jak... Wiesz.

- W porządku - wyszeptał znowu. Nie wiedział. Pocałował ją jeszcze raz.

Zaśmiała się cicho.

- Masz miłe wąsy. Wyglądają, jakby miały kłuć, ale są takie jakieś jedwabiste. Ktoś ci już to kiedyś powiedział?

- Nie - odparł.

Spróbował pocałować ją tak samo, jak przedtem, ale odwróciła głowę na bok i pocałował jej ucho. Całował dalej, schodząc aż do szyi, grubej, miękkiej i cieplej jak reszta jej ciała.

- Przestań - poprosiła. - Zacznę się śmiać, a to ich na pewno obudzi.

Nie przestał.

Odepchnęła go łagodnie i sięgnęła w dół, wzięła go do ręki.

- Lubisz to?

- Tak - przyznał. - Bardzo to lubię.

Chciał pocałować jej piersi, ale nie mógł do nich sięgnąć. Zamiast tego je pogłaskał.

- Mam duże, ale nikt nigdy nie zwraca na to uwagi - rzekła.

- Ja zwróciłem uwagę.

- Czterdzieści sześć D. A to? To też lubisz?

- Tak - powiedział. - Strasznie to lubię.

- Tylko że kiedy chudnę, kiedy mi się to jeszcze czasem zdarza, to właśnie stąd zawsze schodziło najpierw. Nigdy nie chciało zejść z bioder. Tylko chirurg albo bomba wodorowa mogłaby zdjąć choćby uncję z moich bioder.

- Twoje biodra też lubię.

- Ja nie. Już mnie nie wpuszczają do kina. - Pocałowała jego pierś i ramiona.

Przed oczami stanął mu opryskliwy bileter, który płonącym mieczem zagroził jej drogę do jakiegoś pałacu marzeń.

- Te cholerne wąskie fotele. Nie szczyt za mocno. Pocałował ją jeszcze raz, przesuwał się bliżej, a ona opatulila kocem ich oboje.

- Kiedyś uwielbiałam tam chodzić. Przypominasz mi takiego z wąsami, nie pamiętam jego nazwiska.

- Peter Sellers. Richard Pryor.

- Nie - zachichotała. - Nie mogę sobie przypomnieć. On jest przystojniejszy, ale ty też jesteś przystojny.

- To prawda.

- Sięgniesz? Przykro mi, ale nie możesz leżeć na wierzchu. Przestałam to lubić.

- W porządku.

Przesunął się, aż ich twarze oddaliły się od siebie, a ciała utworzyły X. Potem wstał pierwszy i poszedł do łazienki, aby się umyć. Candy weszła po nim, kiedy wyszedł i leżał na podłodze słuchając jej, słysząc, jak spływa woda w klozecie, a potem znów drugi raz.

Miał nadzieję, że położy się przy nim, zamiast poprosić znowu o koc, i tak też zrobiła.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Zadowolony? Zastanawiał się, czy nie złapał jakiejś choroby, syfu albo może opryszczki. Ona pewnie właśnie myśli, czy nie jest w ciąży, pomyślał. Nie, nie jest.

- Nie, kiedy ciebie nie było - odparł. - Stęskniłem się za tobą.

- Mhm. Było ci zimno.

- Masz rację - zaśmiał się.

- Mnie też. Zziębły mi stopy od tej przeklętej podłogi w łazience. Czy mogę oprzeć je o twoje nogi?

- Zgoda.

Leżała odwrócona do niego plecami, a podeszwy jej stóp dotykały jego tydek. Upewnił się, czy przykrywał ich jego płaszcz i poprawił go, a potem naciągnął koc. Stary pan Free stał w ciemnościach, gotowy, by uruchomić grzejnik wody na kąpiel dla Candy. Barnes pomyślał: To on dzwonił. Na pewno mu powiedziała, żeby przyszedł.

- Odejdę stąd przed zachodem, więc cóż to ma dla mnie za znaczenie? - rzekł Free. - Lubi pan kobiety, prawda, panie Barnes?

- Tak - przyznał Barnes. - Lubię.

- Jest pan lepszym człowiekiem, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

- Dziękuję - odparł Barnes. - Ale chciałbym być lepszy również na pierwszy rzut oka.

- Niech pan nie robi z siebie większego głupca, niż pan jest, panie Barnes. Powiedział pan, że nie jest ogólnie szanowany. A ja powiedziałem, że pana szanuję i tak jest. Tylko że wplątał się pan w kilka spraw, które pan ledwie w ogóle rozumie. Teraz usiłuje pan znaleźć jakiś sposób, żeby zapytać mnie o ten skarb - coś, co sprawiłoby, że powiedziałbym panu to, czego sam nie wiem, a od zrozumienia czego jest pan bardzo daleki.

Stary pan Free wskazał na ścianę. Były na niej pomalowane na biało deski z czarnymi literami, które układały się w jakiś napis.

Barnes podszedł bliżej, odchylił na bok deski i spojrzał przez dziurę w ścianie. Był to pokój Madame Serpenty, ale w środku na łóżku siedziała naga Candy Garth i paliła jednego z papierosów Madame Serpenty. Po chwili Barnes dostrzegł, że skotłowane prześcieradła na łóżku to wcale nie były żadne prześcieradła, ale sterty pierścieni i brylantowych bransolet. Klucz do pokoju leżał na komodzie koło dziury w ścianie, obok szczotki do włosów Madame Serpenty i wiedział, że gdyby zdołał go dosięgnąć, mógłby otworzyć drzwi i wejść do środka - choć nie musiałby wtedy przechodzić korytarzem i przekręcać klucza w zamku, ponieważ sama ściana rozpląnęłaby się, cały dom by się przeistoczył. Wsunął ramię do dziury w ścianie i poczuł głęboką rozkosz.

Na zewnątrz rozległ się cienki, przenikliwy dźwięk gwizdka portiera. Ozzie otworzył oczy, przez chwilę nie był pewien, gdzie jest. Szare światło świeciło przez kotary. Znów rozległ się gwizdek. Ktoś spieszył się na wczesny lot, pomyślał Barnes. Przypomniał sobie pewien rok, kiedy objechał całe wschodnie wybrzeże dla Continental Compactors, Inc. Całe

przekłete wschodnie wybrzeże. Po parę razy z Bostonu do Miami samolotem. Pociągiem z Filadelfii do Nowego Jorku, promem z Long Island do Connecticut.

Candy przetoczyła się nieco dalej, zabierając z sobą koc. Z pewnością tak było lepiej. Jedno ramię wystawało mu spod płaszcza i marzły mu stopy. Ręcznik leżał obok. Barnes wstał i owinął się nim. Leżąc w swoim brązowym kocu, odwrócona do niego plecami Candy wyglądała jak niedźwiedź. Łóżko, którego nie wolno było zmiętosić, pozostawało nie zmiętoszone, jak na początku. Czarownica spała jak aktorka na filmie, profil niemal zbyt wyrazisty, lecz wciąż jednak piękny, rysował się na tle białego prześcieradła, ogromne oczy zamknięte we śnie. Stubb leżał na plecach, usta miał otwarte, a jego twarz wyglądała dziwnie bez okularów.

Barnes wszedł do łazienki i włączył światło. Jego policzki były niebieskie od zarostu. Potarł je obiema rękami, żałując, że ani on, ani nikt inny nie ma maszynki do golenia. Nie znalazł jej wśród porzucanych kosmetyków, które obie kobiety rozłożyły na stoliku przy umywalce. Znów przeanalizował swój wygląd, zaczesując włosy do tyłu palcami, na ile się dało. „Silny muskuł, tęga mina, bo zajadam w kółko szpinak...” Oko było w kieszeni płaszcza. Zastanawiał się, czy Candy zauważyła jego brak. Ona pewnie zastanawia się, czy ja zauważyłem, jaka jest gruba, pomyślał, jeśli jeszcze nie śpi.

Cicho zaśmiał się sam do siebie.

Jego bielizna wyschła. Włożył ją. Koszula była wciąż lekko wilgotna przy kołnierzyku, lecz ją także włożył. Ze spodni zniknął cały kant, ale poza tym nie wyglądały najgorzej. Być może wieczorem on jeszcze tu wróci, ale możliwe, że Stubba i Candy już nie będzie. Wtedy przyprasowałby je pod materacem. Upewnił się, że jego pusty portfel wciąż jest w kieszeni, włożył spodnie, zgasił światło i wyszedł. Pozostała trójka spała. Włożył krawat, lekko pognieciony płaszcz i oko. Przez chwilę obawiał się, że Stubb się obudzi, kiedy wychodził na korytarz, ale ten nawet nie drgnął.

Troje drzwi dalej, tak powiedział boy. Zasuwa była zaklejona taśmą. Ktoś mógł od tamtej pory wynająć pokój, lecz wtedy byłby zamknięty na klucz. Gdyby ktoś podszedł do drzwi, tamten mógłby udać, że pomylił pokoje. Albo spróbowałby im coś sprzedać - pozbyliby się go wystarczająco szybko. Łagodnie pchnął drzwi. Ustąpiły.

ROZDZIAŁ 21

Zasadzka

W pokoju było cicho i ciemno. Barnes wszedł do środka i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi, a potem stanął nasłuchując. Ponad westchnieniem wentylatora umieszczonego w ścianie dobiegł go ciężki oddech snu.

Wystający mur, za którym znajdowały się szafa i łazienka, skrywał większą część łóżka, ale gdy oczy Barnes'a przyzwyczały się do ciemności, zobaczył wystającą stopę - czarny but, białą skarpetkę, a wyżej ciemny mankiet spodni. Cicho podszedł bliżej.

Sierżant Proud'y leżał na łóżku zupełnie ubrany, z głową wciąż spowitą w bandaż. Notes i ołówek, mały aparat fotograficzny i rewolwer były porządnie ułożone przy telefonie na nocnym stoliku. Przez moment Barnes zastanawiał się, czy nie powinien opróżnić rewolweru - wydawało mu się, że takie właśnie rzeczy robią w telewizji - a potem postanowił tego nie robić. Było to zapewne sprzeczne z prawem, a zresztą nie wiedział, jak otworzyć mechanizm.

Czarna aktówka stała otwarta na biurku, a w niej pośród sterty innych przedmiotów leżała maszynka do golenia. Barnes sięgnął po nią, cofnął rękę, a potem wyobraził sobie, jak chodzi od sklepu do sklepu z jednodniowym zarostem. Pokusa była zbyt silna. Zabrał maszynkę do łazienki i zamknął drzwi.

Pięść Proud'y'ego uderzyła w niego, kiedy golił prawy policzek.

- Chwileczkę - zawołał Barnes. - Prawie skończyłem.

Zaskoczyła go salwa gwałtownego pukania.

- Proszę, sierżancie. Jest wcześnie. Pobudzi pan gości i będą się skarżyć. Za chwilę wyjdę.

- Już ja ci radzę. Kto tam? Co to za hałas, do diabła?

- Tylko chwila.

- Będę strzelał przez drzwi.

Nic w głosie policjanta nie wskazywało, że żartuje.

- To tylko pańska elektryczna maszynka do golenia - rzucił Barnes. - Pomyślałem, że się ogolę, kiedy pan śpi. Za chwilę wyjdę.

- Masz broń?

- Nie jestem uzbrojony - zapewnił Barnes. - Nie można nawet wyciąć nagniotków elektryczną maszynką do golenia.

- Lepiej by było, żebyś nie był. Obszukam cię, jak wyjdiesz. Odupść też sobie owijanie go w plastik i chowanie w rezerwuarze klozetu. Wiem, jakie masz zamiary.

Barnes zerknął:

- Ten klozet nie ma rezerwuaru.

- Nie zgrywaj przede mną cwaniaka.

W łazience był natuszczony pasek papieru do pastowania butów. Barnes oparł na umywalce jedną stopę, a potem drugą.

- Wyłaź!

Po tonie policjanta Barnes wywnioskował, że rewolwer, który widział wcześniej, jest teraz wycelowany w drzwi łazienki. Cicho powiedział: „Jakoś wszystko ostatnio wiąże się z drzwiami od łazienki” i mamrocząc jeszcze pod nosem otworzył drzwi. Przeżył szok, gdy zobaczył, że miał rację.

- Co mówiłeś?

- „Niech mnie kule biją.” To tylko takie wyrażenie.

- Ja ci tu zaraz właduję kulkę, jak dalej będziesz taki cwany. Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście - rzekł Barnes. - Otworzyłem panu wczoraj drzwi.

- To prawda. Właśnie tak było. Wiesz, kim jestem i gdzie jestem, i czemu tu jestem.

Może nie?

Barnes potrząsnął głową.

- A może by pan odłożył broń, sierżancie? Nie mam zamiaru nic robić.

- Założyłbym się, że nie. Odwróć się i oprzyj ręce o ścianę. Oprzyj się na nich. Obmacam cię, a jeśli choć zakręcisz dupą, przestrzelę cię na dwa kawałki.

Barnes zrobił, co mu kazano, i poczuł szybkie klepięcia rąk policjanta - wewnętrzna i zewnętrzna strona ud, pod pachami. Książka zamówień została z ręcznie wydobyta z kieszeni na piersi jego marynarki. Usłyszał dźwięk przerzucanych kartek, a potem odgłos uderzenia, gdy książka wylądowała na łóżku.

- Dobra, odwróć się. Odwrócił się, jak mu powiedziano.

- Chciałem tylko z panem chwilę porozmawiać. Niech pan odłoży broń i usiądźmy.

- Mówiłeś, że masz golarzkę elektryczną. Gdzie ona jest?

- Zostawiłem ją w łazience.

- Włącz znowu światło i pokaż palcem. W porządku, idź powoli w jej stronę.

Sierżant Proudny wszedł za Barnesem do łazienki, przyciskając mu lufę rewolweru do kręgosłupa.

- Odłącz ją od prądu i wrzuc do kibla.

Barnes zaczął protestować i rewolwer wydał z siebie złowieszczy trzask odwodzonego zamka.

- Rób, co ci każę. I to natychmiast.

Golarzka utonęła z cichym pluskiem, ciągnąc za sobą kolumnę malutkich baniek powietrza. Barnes pozwolił, by kabel zwisał z muszli.

- Tak jest w porządku? Jeśli tak, to może by pan odłożył rewolwer? Widział pan, że nie mam broni. Chciałbym usiąść i porozmawiać.

Rewolwer nie wbijał się już w jego kręgosłup i dobiegło go szuranie stóp policjanta, gdy ten wycofywał się z łazienki.

- Chciałbyś się na mnie rzucić. To właśnie chciałbyś zrobić.
- Mogłem się rzucić na pana, kiedy pan spał - zaprotestował Barnes.
- Tak, ale nie zrobiłeś tego. Strach cię obleciał. Siadaj na łóżku.

Barnes usiadł ostrożnie, zastanawiając się, co też powie pokojówka, co takiego zamelduje kierownictwu, kiedy znajdzie łóżko nie zajętego pokoju tak pogniecione i wymiętoszone.

- Wkładam rewolwer do kabury pod pachą - oznajmił Proudny. - Widzisz? Mogę go wyciągnąć trzy razy szybciej, niż ty wyciągasz chusteczkę do nosa, i mam nadzieję, tak, mam nadzieję, że spróbujesz jakiejś sztuczki. Bo zanim zdążysz podnieść dupę z tego materaca, będziesz martwy.

- Niczego nie będę próbował - zapewnił Barnes.
- Niech cię diabli, lepiej nie próbuj.
- Przyszedłem tu tylko po to, żeby z panem porozmawiać. Śledzi pan Madame Serpentine i Stubba, i - ach - resztę z nas? To prawda?

- Wszystko ci się pomyliło, koleś. Ja nie odpowiadam na pytania, ja je zadaję.

- Chcę tylko - rzekł ostrożnie Barnes - małej rady. Widzi pan, sierżancie, zaproponowano mi pewien interes, a dokładniej mówiąc zaproponowali mi go Stubb i Madame Serpentina - i przyszło mi do głowy, że jeśli są o coś podejrzeni, być może powinienem o tym wiedzieć, zanim powiem im, co postanowiłem.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie pracowałeś z nimi do tej pory?
- Nie. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

Sierżant Proudny zaczął chodzić po pokoju. Barnes przyglądał mu się, próbując sobie przypomnieć, jak policjant wyglądał dzień wcześniej, kiedy zastukał do ich drzwi. Ostry pas światła przesywał kotarę. Gdy Proudny weń wkroczył, wydał się Barnesowi wynędzniały, jakby był jakimś nocnym stworzeniem, które w świetle straciło całe życie i kolor, jak tracą je morskie zwierzęta, kiedy wyją je z wody.

- Wiem o was - oznajmił Proudny, gdy już przemierzył pokój ze dwadzieścia razy. - Myślisz, że ja nie wiem, ale ja wiem. Nie przypuszczacie, że ktokolwiek coś wie, no nie? Ale ja wiem. Jestem jedynym sukinsynem, który coś wie, ale ja wiem o was więcej, niż sami wiecie o sobie.

- To może coś mi pan poradzi.

- Ja mam coś radzić? Och, nie, nie ja. - Proudny zwrócił w jego stronę uśmiech, w którym nie było humoru. - Co mógłbym powiedzieć? Zrezygnuj? Twój szef nie pozwoli ci zrezygnować. Przyznaj się i spróbuj zdobyć w zamian ochronę policyjną z Biura Prokuratora? Nie uwierzą ci bardziej niż mnie. Zabij się? To też by nic nie dało, prawda?

- Chyba nie - odparł Barnes.

- No, więc widzisz, nie ma nic, co mógłbym ci poradzić. Proudny znów wyciągnął rewolwer, przekręcił bębenek tak, że rozległ się ostry trzask, i ponownie wcisnął go do kabury.

- Będziemy walczyć, wy i ja. Ja mam związane ręce, muszę działać w ramach prawa, przynajmniej z grubsza. Wy możecie robić, co wam się żywnie podoba. Was jest czworo i macie za sobą Bóg wie ile milionów czy miliardów, a ja jestem jeden. - Uderzył się w pierś. - To też mi nie szkodzi.

- Wydaje mi się, że powinien pan usiąść, sierzancie - powiedział Barnes. - Wygląda pan na zmęczonego. - Uderzyła go nagła myśl. - Może moglibyśmy zejść do kawiarni i zjeść śniadanie. Obgadać wszystko.

- Niech was piekło pochłonie! - Proudny przystanął nagle, uśmiechając się. - Przyznaj, że to niezłe, no nie? „Niech was piekło pochłonie.”

- Przyznaję. Rzeczywiście jest niezłe.

Pogrzebał w kieszeni koszuli i znalazł pomietą paczkę Winstonów. Było w niej tylko kilka okruchów tytoniu. Zgniół ją w kulkę i wrzucił do kosza na śmieci.

- Skończyły ci się? Masz, weź mojego. Oni tak robią, no nie? Chcesz też, żebym ci zawiązał oczy?

- Dzięki - odparł Barnes. - Próbowałem rzucić, ale dzięki.

- Drobiazg.

Barnes sięgnął do kieszeni płaszcza i ujrzał, jak Proudny zamarł. Przez moment zamarł i on. Kiedy Proudny odezwał się, brzmiało to, jakby się dławił.

- Co to jest? Beretta dwadzieścia dwa?

- Ręce do góry i tak trzymać - polecił Barnes, sam siebie zaskakując. - I zamknij się. - Niezręcznie złapał lewą ręką kolbę rewolweru Proudny'ego i wyszarpnął broń z kabury pod pachą policjanta, o mało jej przy tym nie upuszczając. - Włóż do łazienki. Możesz zamknąć drzwi i zasunąć zamek, to obaj pocujemy się bezpieczniej.

Drzwi się zamknęły i trzasnął zamek. Barnes z głośnym świstem wypuścił powietrze i pociągnął za spust małego srebrnego pistoletu. Niewielki błękitny płomień pojawił się na końcu lufy. Zapalił papierosa, którego dał mu Proudny, i wciągnął dym.

- Ha, teraz ja też mam broń - zawołał przez drzwi Proudny. - Miałem drugiego, derringera, przypiętego do kostki. Nie pomyślałeś o tym, co, ty cwany sukinsynu?

- Zastrzelę cię jak kaczkę, jeśli stamtąd wyleziesz - odkrzyknął mu Barnes.

Wrzucił zapalniczkę z powrotem do kieszeni i przełożył gnata Proudny'ego do prawej ręki. Czy wystrzeliłby, gdyby tak po prostu pociągnął za spust? Nie mógł być tego pewny.

- Nie wychodzę. Tylko ty tutaj nie włącz.

- Wleżę, jak będę miał ochotę, ty gamoniu - uprzedził Barnes.

Usłyszał stłumione kroki i wyobraził sobie, jak Proudny wchodzi do wanny i chowa się za drzwiami prysznic. Był ciekawy, czy sierżant naprawdę ma drugi rewolwer.

Kartka ukryta pod telefonem obok numerów do hotelowego sklepu z pamiątkami, pralni i tak dalej, podawała numery awaryjne. Lekarz, szpital, policja, straż pożarna. Po chwili zastanowienia Barnes wybrał numer szpitala.

- Swinte Janioły - powiedziała tajemniczo telefonistka.

- Niech pani posłucha... - Barnes odkrył, że nie wie, od czego zacząć. - Mój przyjaciel oberwał w głowę. Teraz zachowuje się dziwacznie. Rozumie pani, o co mi chodzi?

- Ano, to potrzebny Belmont - odparła telefonistka Szpitala Świętych Aniołów. - Psychiatryk Belmont. Mogiem pana połączyć.

W słuchawce rozległ się cichy trzask i sygnał.

- Szpital Belmont.

Tak szybko, jak tylko potrafił, Barnes powiedział:

- Niech pan słucha, w pokoju 771 w hotelu Consort jest maniak, ma broń i jak czegoś z nim nie zrobicie, to kogoś zabije.

Trzasnął słuchawką i zaczerpnął powietrza. Czy przyjadą? Kiedy się po kogoś dzwoni, nie przyjeżdżają, nie za każdym razem. Słyszał, że czasami nawet straż pożarna nie przyjeżdża. Jeden z jego klientów powiedział mu kiedyś, że niejednokrotnie nie był w stanie sprowadzić agentów, a sam wiedział, że nie wszyscy agenci, do których zadzwonił, przyszli. Igrał przez chwilę z myślą, czy jeszcze raz nie powiedzieć Proudymu, że go zastrzeli, jeżeli ten wyjdzie, ale to mogłoby tylko skłonić glinarza do wcześniejszego wyjścia.

W notesie przy telefonie widniała strona pełna nabazgranych notatek: „...po wejściu. Porwany? Nie żyje? Jak pozb. się ciała? Wózek? Może później. 2.50, ciągle są. Słuch, pod drzwiami. Śpią i rozmawiają. Wróc. do pok. i zadzw. telef. dziewcz. Aut. sekr. Powiedz.: gdzie p. jest? Niech p. zadzw. jak wróci.”

Barnes zamknął notes, podniósł książkę zamówień i wrzucił jedno oraz drugie do kieszeni. Kiedy wychodził z pokoju, przyszło mu do głowy, żeby zdjąć z drzwi taśmę, ale to oczywiście nie zatrzymałoby w środku Proudymu, a tylko opóźniło ekipę ze szpitala. Przez moment stanęły mu przed oczyma zielone stworzenia z ciemnymi skrzydłami w czerwonych sukniach, z których jedno niosło siatkę, a drugie kaftan bezpieczeństwa. Nie, to miał być Belmont. A więc wariaci. Belmont to był psychiatryk. Lepiej zniknąć stąd, nim przyjadą.

Na dworze zawyła syrena i ze zdumieniem Barnes zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma w ręku rewolwer Proudymu. Spojrzał w jedną i w drugą stronę korytarza, by się upewnić, że nikt go nie widział, i wepchnął broń za pasek spodni. Kiedy zapinał guziki płaszcza, z najbliższej windy wyłonił się boy popychający wózek.

„Jak pozb. się ciała? Wózek?” o to właśnie martwił się Proudymu, o kelnera zeszłej nocy. Stubb powiedział kelnerowi, żeby poszedł do windy inną drogą, a ten tak zrobił. Proudymu sądził, że leżał martwy w 777. „Dziewcz.” to musi być Sandy Duck, która rozmawiała z nim wychodząc. Nie wróciła zatem do domu albo wróciła późno, albo po prostu, idąc spać, nie wyłączyła automatycznej sekretarki.

Na wózku był zestaw dań, przykrytych, aby nie wystygły, dwa dzbanki kawy i stos filiżanek oraz spodków. Barnes przyglądał się, jak boy popycha wózek do pokoju czarownicy, i zaczął czekać, aż chłopak wyjdzie, a potem sam wszedł do środka.

- Ahoj! - rzucił.

ROZDZIAŁ 22

Spółka

- Gdzieś ty był, do diabła? - Stubb niemal poderwał się z fotela.

- Niedaleko stąd rozmawiałem z sierżantem Proudym - odparł Barnes. - Jesteś detektywem, na pewno znasz się trochę na broni.

Na wspomnienie broni szkarłatne usta Candy utworzyły małe „o”. Czarownica, która uśmiechnęła się lekko, kiedy Barnes wszedł do pokoju, uśmiechała się dalej.

- Tak - rzekł Stubb. - Tak, trochę się znam. Nie jestem strzelcem wyborowym, nie mam aż takich dobrych oczu. Ale wiem, gdzie jest przód, a gdzie tył.

- To świetnie. - Barnes wyciągnął zza paska rewolwer Proudymego i położył go na stole. - Ty to weź. Ja go nie chcę i mógłbym się jeszcze postrzelić.

Stubb przez chwilę wbijał wzrok w rewolwer, a potem podniósł go przez serwetkę. Bębenek otworzył się, a kiedy Stubb go nacisnął, sześć błyszczących mosiężnych naboji grzechocząc wypadło na stół. Zrobił szybki gest dłonią, ale bębenek nie chciał wskoczyć na miejsce i musiał popchnąć go lewą ręką. Przetarłszy i zawinąwszy cały rewolwer, podniósł materac nie używanego łóżka i wepchnął rewolwer głęboko pod spód. Zaniósł naboje do łazienki i spuścił wodę w toalecie.

- Spłynęły? - zawołał Barnes. Nie przypuszczał, że się uda.

- Tak, ale pewnie nie dalej niż do zgięcia rury.

- Teraz się zatka - odezwała się Candy. W jej głosie brzmiała gorycz.

Stubb wszedł z powrotem do pokoju.

- Wątpię. Takie rury kanalizacyjne są całkiem spore.

- On wszystko wie, ten Jim. Nie spotkałam się jeszcze z jedną, jedyną przeklętą rzeczą, o której on by nie wiedział więcej niż każdy inny dupek na świecie.

- W porządku. Zapcha się. Madame S. może poprosić o inny pokój.

- Prowadziliśmy negocjacje, Ozzie - oświadczyła czarownica. - Chcemy ukuć alians. - Zabrzmiało to, jakby była rozbawiona.

- Jak mu go zabrałeś? - zainteresował się Stubb. - Wziąłeś go, kiedy facet spał?

Candy podała Barnesowi filiżankę kawy.

- Nie mów temu sukinsynowi, Ozzie. Chyba że nie jesteśmy partnerami.

- Sądziłem, że zostaniemy partnerami - rzekł Barnes.

- Partnerzy to znaczy, że mamy się dzielić i to po równo. Jim chce nam dać nędzne dziesięć procent. Czy to dla nas obojga, Jim? Pięć procent na głowę?

- Nasza ostatnia oferta była równo piętnaście - sprostował Stubb. - Piętnaście dla każdego z was.

- Bzdura! - Candy dźwignęła się na nogi. - Ja splywam. Dzięki za kawę, proszę pani. Przepraszam, że rozgrzebałam tak te jajka, ale ktoś jeszcze może je zjeść, nie jestem trująca. Dziękuję pani bardzo, że pozwoliła mi pani spać na podłodze. Było mi wygodnie.

- Na miłość boską, siadaj - rzucił Stubb. - Nikt nie chce twoich jajek. Równie dobrze możesz je skończyć.

- Nie, to mnie nikt nie chce.

Candy rozejrzała się za swoim białym płaszczem i odnalazła go w kącie. Pochyliła się na sztywnych nogach i stękając, gdy zgniatała swój brzuch, podniosła go.

- Ja ciebie chcę - rzekł Barnes. - Jeśli ty odejdziesz, ja też odchodzę.

Candy wyprostowała się, z zaróżowioną twarzą.

- Dzięki, Ozzie. Przywoity facet z ciebie. Odchodzę. Chodź.

- Cholera - zaklął Stubb. - My też ciebie chcemy. Dwadzieścia pięć procent.

- Nie przekonsultował pan tego ze mną, panie Stubb - odezwała się czarownica.

- Nie muszę. Zgodziła się pani, żeby dać im po piętnaście. To było trzydzieści dla nich i po trzydzieści pięć dla nas. Ja im daję jeszcze po dziesięć z mojej części. Pani ma trzydzieści pięć, oni mają po dwadzieścia pięć, ja mam piętnaście.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Candy. Rozległo się pukanie do drzwi.

Przez moment siedzieli cicho, spoglądając po sobie.

- Proudny? - zapytał Stubb. Barnes wzruszył ramionami.

- Może.

- Kto tam? - zawołała czarownica.

- Pokojówka.

Barnes otworzył drzwi. Czekala za nimi kobieta w średnim wieku ze ściereczką do kurzu w dłoni. Za nią stał wózek z pościelą, pełen zmiętych prześcieradeł.

- Jeszcze państwo jedzą? - zapytała. - Mogę przyjść później.

Stubb podniósł się.

- Prawie skończyliśmy, oprócz Ozzie'ego. Nie wiedzieliśmy, że wrócisz, Ozzie, więc nie zamawialiśmy nic dla ciebie.

- Ja nie skończyłam moich jajek - przypomniała Candy.

- To ci zabierze tylko chwilę. Proponuję, byśmy przenieśli się do kawiarni. Ozzie może tam coś przekąsić, a ta pani będzie mogła posprzątać.

- To nie potrwa długo - wyjaśniła pokojówka. - Tylko zaściła łóżko, przejechać odkurzaczem i trochę uporządkować.

- Obawiam się, że w łazience jest mały nieporządek - rzuciła czarownica. - Sprawiałam sobie prawdziwą orgię ręczników.

- Może lepiej, jeśli pójdziemy drugą stroną - zaproponował Barnes.

Stubb przytaknął i gromadą ruszyli za nim.

- Czego on chce? - zapytał Stubb, kiedy dotarli do windy.

- Nie wiem.

- Myśli, że coś knujemy, co?

Barnes usiłował przypomnieć sobie wszystko, o czym była mowa w pustym pokoju. Kawa i papieros pobudziły jego apetyt tak, że gdy przekraczał drzwi, jego myśli oscylowały pomiędzy Proudym a racuchami.

- On chyba myśli, że stanowimy część jakiegoś wielkiego, złowrogiego spisku - powiedział w końcu. - Tylko jedną komórkę, ale za to ważną.

- Nabierasz nas - powiedziała Candy.

- Nie. - Kiedy zjeżdżali windą, mijając szóste, piąte i czwarte piętro, pokazał im, jak zabrał rewolwer Proudymego.

- Ty byś się na to nie nabrał - zwrócił się do Stubba. - I nie sądzę, żeby Proudym wziął się na to jeszcze wczoraj. Prawdę mówiąc, nie chciałem wcale go nabrać. Wyciągnąłem to tylko po to, żeby przypalić sobie papierosa. To próbka nowego towaru. Zbieram na nie zamówienia.

- No. Pokaż mi to. - Gdy winda zatrzymała się powoli, Stubb pociągnął za spust i przyjrzał się błękitnemu płomieniowi.

- Nie przypomina za bardzo prawdziwej broni. Szczególnie przy końcu lufy.

- Chodźcie! - zawołała Candy. Stała już w drzwiach „Malowniczej”. - Dopiero otwierają, ale przecież nas obsłużą.

- Ach, jak to cudownie - odparła czarownica. Rozglądała się wokół i choć jej smagła, przystojna twarz była równie nieprzenikniona jak zwykle, wyglądała tak, jakby zwiedzała właśnie tunel wygrzebany przez jakiegoś monstrualnego chrapaszczą.

„Malownicza” była umeblowana w stylu określanym jako „Średniokolonialny Niderlandzki” w katalogu firmy, która wykonała wystrój wnętrza. Stoły skonstruowano z imitacji grubych, nieregularnych desek wykonanych z formiki. Fałszywe okna, oświetlone od tyłu żarówkami, opatrzone bezużytecznymi okiennicami z otworami w kształcie serc i tulipanów. Na ścianach pyszniły się czarodziejskie talizmany i imitacje długich fajek z polistyrenu.

- Chcemy usiąść na ławie - nalegała Candy. - Dużej, spodziewamy się jeszcze dwóch osób. - Kiedy kelnerka, ubrana w holenderski czepek, holenderską sukienkę i plastikowe drewniane chodaki, zaprowadziła ich do jednej z ław, Candy dorzuciła: - Ty wejdź pierwszy, Ozzie. Wolałabym nie być zmuszona tam się przeciskać.

- Wciąż jesteś wściekła? - zainteresował się Stubb.

- Nie, ani trochę. Ale wy dwoje jesteście po jednej stronie, a my po drugiej.

- Kogo jeszcze się spodziewamy? - zapytał Barnes. Gruba dziewczyna zachichotała.

- Tak tylko powiedziałam. Zawsze tak mówię.

Pojawiła się kelnerka. Czarownica zamówiła sok pomarańczowy, Stubb kawę, a Candy mielonkę wołową i jajko sadzone. Barnes poprosił o placek z kiełbasą.

- To bardzo ładnie z pani strony - powiedziała do czarownicy - że płaci pani za moje śniadanie. Gdyby nie pani, nic bym nie jadła.

Wzruszyła ramionami.

- Płaci za to ten podły hotel. Wszystko wezmę na konto pokoju.

- Ale jeśli znajdziemy skarb pana Free...

- Tak, jeśli. Nikt z was, nawet pan Stubb, nie poświęci się temu w takim stopniu jak ja. Będę szukała niestrudzenie przez resztę mojego życia, jeśli będzie trzeba. A jednak wiem, jak mało prawdopodobne jest to, że go znajdę.

- Ja jestem większym optymistą - odparł Stubb.

- Wiem, że pan jest. Większość ludzi jest optymistami i dlatego wolą różowe mrzonki od wielkich, ukrytych prawd.

- Zobaczymy, kto wytrzyma najdłużej. - Stubb spojrział ponad stołem na Barnesę i Candy.

- Czy ustaliliśmy już sprawę partnerstwa?

- Nic nie jest ustalone, panie Stubb - oświadczyła czarownica.

- Co to ma znaczyć, do diabła? To była moja część. Czy nie mogę im jej oddać, jeśli mam ochotę?

- Nie. Wszystko zrobiło się zbyt nedorzeczne. Nie rozumiem, czemu pan chce ich w to włączyć, i nie wierzę, żeby do czegoś się przydali. Ale jeśli już tak ma być, to koniecznie zrobimy w taki sposób, jak od początku proponowała ta gruba kobieta, po równo.

- Bez obrazy, mam jakieś imię - oburzyła się Candy. - Byłabym wdzięczna, gdyby go pani używała.

- Jak pani sobie życzy.

- Po równo, stoi. - Stubb się uśmiechnął. - To ładnie z pani strony, Madame S.

- Mam jednak dwa warunki. Nie przyjmujemy więcej żadnych partnerów. I nie można już inaczej rozdzielać naszych części. Każdemu będzie się należeć jedna ćwiartka.

- Ja się zgadzam - odparł Stubb.

- Bardzo dobrze. Teraz trzeba się zatroszczyć, żeby było czym się dzielić. Panno Garth, wiem, że pan Stubb chciałby wypytać was o wszystko, co zaszło między wami a panem Free. Lecz jeszcze zanim zacznie, mam jedno czy dwa pytania. Wczoraj w nocy zadzwonił telefon, a pani go odebrała. Rozmawiała pani tak, żeby zasugerować nam, że dzwonił pan Free. Powiedziała pani dokładnie: „Halo. Tak to ja. Nocuję u niej. Dobrze. To bardzo miły telefon. Baliśmy się, czy nie przytrafiło się jakieś nieszczęście.” Zakładam, że ta „ona”, u której pani nocowała, to ja. Kto dzwonił?

- Ma pani naprawdę wspaniałą pamięć - rzekła Candy.

- Potrafię też udać pani głos, jeśli będzie okazja. Ale tu nie miejsce po temu. Odmówiła pani odpowiedzi, gdy pytałam, kto dzwonił, twierdząc, że skoro nie zawarliśmy jeszcze umowy, czuje się pani upoważniona do zatrzymania dla siebie wszelkich informacji, które pani posiada i to pomimo faktu, że aparat stał w moim pokoju i że zapewne telefon był do

mnie. Teraz doszliśmy do porozumienia i to dokładnie na takich warunkach, jakich pani się domagała. Nie ma już pani żadnych podstaw, by nadal tak postępować, a jeśli wymyśli pani nowy powód, uznam nasze porozumienie za unieważnione - nie przeze mnie, ale przez panią samą. Kto dzwonił?

- Jeśli ma pani aż taką dobrą pamięć, to powinna pani pamiętać, że powiedziałam, iż dzwoniło do mnie.

- Pamiętam. Nie wierzyłam pani wtedy i dalej nie wierzę. Kto dzwonił?

Candy uśmiechnęła się.

- Facet, który pracuje tu, w hotelu. Na imię mu Joe. Wczoraj w nocy boy próbował nas do niego zaprowadzić, ale Ozzie uczeplił się tej dziewczyny z czasopisma i wcale nie spotkaliśmy się z Joe'em. Dlatego powiedziałam, że baliśmy się, iż coś się stało - Ozzie i ja czekaliśmy, a on się wcale nie pokazał. Jak zadzwonił, to najpierw chciał prosić panią do telefonu, a potem rozpoznał mój głos i zapytał, czy to ja śpiewałam w klubie. Dlatego powiedziałam: „Tak, to ja.” Czarownica zacisnęła usta.

- Niech pani mówi dalej.

- Chciał wiedzieć, co ja robię w pani pokoju, no to mi powiedziałam, że nocuję u pani. - Candy spojrzała przepaszająco na Stubba. - Tak mi się wyrwało, Jim. Nie sądzę, żeby nas zakablował, bo miał taki głos, jakby był cholernie szczęśliwy, że nie musi z nią rozmawiać. Poprosił mnie, żebym coś jej powtórzyła, dlatego powiedziałam, że telefon był do mnie.

- Co mi pani miała powtórzyć?

- Że były jakieś kłopoty z pieniędzmi, które on jest pani winny, ale próbuje je zdobyć i zapłaci jutro wieczorem, to znaczy dziś wieczorem, na pewno.

- A pani powiedziała, że mi powtórzy?

- Tak. To właśnie wtedy powiedziałam „dobrze”. I niech pani nie mówi, że tego nie zrobiłam, bo zrobiłam to przed chwilą.

- Bardzo dobrze. Drugie pytanie i na tym koniec. Koc ledwie wystarcza, żeby pani mogła się nim przykryć, i w nocy widziałam, jak pani wstaje i bierze futro z torby. Kiedy pani spała, ja też wstałam i przyjrzałam się mu. Jest bardzo miękkie i gęste, i znacznie, znacznie większe niż skóra z jednej norki.

- Widziałem je na jej łóżku w domu Free! - przerwał Barnes.

- A więc mam potwierdzenie, choć nie prosiłam o nie. Właśnie chciałam powiedzieć, że choć futro jest takie duże, to skóra pochodzi z jednego zwierzęcia. Ogon obcięto, ale widać, gdzie były nogi. Jak się domyślam, dał je pani pan Free, a zatem wiemy, po co wracała pani do jego domu, kiedy policja panią wypuściła. Czy mam rację?

Candy przytaknęła.

- Wypełniło mi prawie całą torbę, ale nie chciałam go zostawić.

- Ja też bym nie zostawiła. Czy pan Free powiedział pani, z jakiego ono jest zwierzęcia?

Candy potrząsnęła głową.

- Zszedł tylko na dół i przyniósł je. Powiedział: „Proszę, niech pani to zatrzyma, chcę, żeby pani je miała”, a ja na to, że jest ładne, i jeszcze dodał, że jest również cenne i że bym go pilnowała. To wszystko, z ręką na sercu.

- Wydaje mi się, że wiem, co to jest - powiedziała czarownica. - To skóra bobra. A jednak nie wiem, co ma znaczyć ani skąd wziął coś podobnego. Czy ktoś wie?

Nikt się nie odezwał. Kiedy kelnerka przyniosła zamówione danie, Stubb zastukał w swoją szklankę łyżeczką.

- Może się dowiemy. Chcę usłyszeć od was o Free. Nie tylko o tej skórze, ale o wszystkim, co tylko widzieliście lub słyszeliście. Potem dla każdego będę miał zadanie.

ROZDZIAŁ 23

Vendo

Na dworze poranne słońce świeciło tak, jakby zima wcale nie nadeszła. Śnieg, wydeptany już wcześniej na szare błoto na środku chodnika, zamarzył w nocy, lecz na brzegach tego przetartego szlaku pozostał biały margines, czysty jak plastikowe płatki zalegające w kątach wystaw domów towarowych, jasny pas, który odbijał słońce i barwił błękitem cień każdego przechodnia.

Idąc pospiesznie ulicą, potykając się i ślizgając co jakiś czas na zamarzniętych strumykach wody, tracąc równowagę i wpadając w poślizg na oblodzonych nierównościach, Barnes marzył o dobrych butach i grubych skarpetach, o swetrze i rękawiczkach. Trząśnięty z zimna - przemarzył prawie na kość, jak sam powiedział do siebie - pomimo wyświeconego płaszcza i kapelusza. Nie mógł zostawić płaszcza, póki nie poprawi się pogoda. Po obfitym śniadaniu i niezliczonych filiżankach kawy nie był głodny, ale potrzeba pieniędzy odzywała się w nim niczym głód. Tęsknił do nich, jak więzień w jakimś syberyjskim łagrze mógłby tęsknić do chleba.

Idąc obserwował chodnik i rynsztok. Oczyma duszy widział wyraźnie banknot leżący na śniegu tam, gdzie ktoś go upuścił płacąc za taksówkę, monetę zdeptaną pod stopami jak kostka brukowa. Przyglądał się również ludziom, którzy spieszyli obok niego. Wydawało mu się całkiem możliwe - właściwie nawet prawdopodobne - że któryś z nich będzie potrzebował jakiejś nagłej przysługi. Widział już, jak za górę pieniędzy wyciąga dziecko spod kół ciężarówki, jak za dolara nakłada obrożę psu, który uciekł. Jego palce bawiły się w kieszeni trzema kluczami do skrytki, ale nie poszedł prosto na dworzec autobusowy. Oddział poczty, do której rejonu należał dom Free, kiedy jeszcze stał, znajdował się tylko o jedną ulicę dalej. Barnes czekał cierpliwie w kolejce, by dojść do okienka.

- Mielicie przechować dla mnie pocztę - powiedział młodemu brodatemu urzędnikowi. - Dom został zburzony.

Podał adres.

Urzędnik zniknął gdzieś na zapleczu. Barnes czuł na karku oskarżycielski wzrok ludzi stojących za nim. *Przyszłam tylko kupić znaczki, skomlały oczy chudej kobiety, to by zajęło tylko chwilkę. Oczy tęgiego mężczyzny w garniturze za pięćset dolarów mówiły: Moje sprawy są pilne. Bardzo pilne.* Barnes potarł kark i udawał, że nie słyszy tych oczu.

- Nic nie ma - rzekł brodaty urzędnik, gdy wrócił. - Kiedy ostatnio otrzymał pan pocztę?

- Przedwczoraj.

- Cóż, no to wczoraj nic nie przyszło. Ma pan nowy adres?

- Jeszcze nie - odparł Barnes. - Przechowajcie po prostu wszystko, co do mnie przyjdzie.

W holu poczty stały automaty do znaczków. Pomacał w każdym z nich skrytkę na zwracane monety, mając nadzieję na dziesięć centów czy ćwierć dolara, które ktoś mógł przeoczyć.

To poddało mu pewną myśl. Zatrzymywał się na ulicy przy każdej budce telefonicznej, którą mijał. Czasami, kiedy myślał, że ludzie na niego patrzą, udawał, że telefonuje, wrzucał do otworu wymagowane monety i sięgał do zimnego metalowego zbiornika tak, jakby się nie dodzwonił, jakby nie udało mu się uzyskać połączenia, co faktycznie było prawdą.

* * *

Stacja autobusów Greyhound była klejnotem osadzonym w diademie tanich restauracji. Błyszczała od świateł i wydawało się, że została stworzona dla tysięcy pełnych życia i wesoło ubranych ludzi, którzy przez nią przepływali, nie zaś dla chudej, wyczerpanej kobiety, która spała tu ze swoim równie wyczerpanym dzieckiem na kolanach (zmęczonym, jak ona sama, od płaczu) ani też dla rudego marynarza, który z pijacką pomysłowością zdołał rozwalić się na częściach kilku ławek, ani też dla Osgooda M. Barnes'a z jego spodniami bez kantów i butami na cienkiej podeszwie.

Miał dwie skrzynki z próbkami, które włożył poprzednio do dwóch skrytek, bo w jednej się nie mieściły. Wolno mu było korzystać ze skrytki aż do wieczora, choć mógłby ewentualnie przenieść wszystko do Consorta i przeszmuglować na górę do 777. Zastanawiał się nad tym przez moment, ale nie był pewny, czy znalazłby się ktoś, kto by go z tym wszystkim wpuścił. Candy na pewno już sobie poszła. Stubb pewnie też. Madame Serpentina mogła być w pokoju, ale mogło też jej nie być. Próbował sobie przypomnieć, którą skrzynkę włożył do której skrytki, a potem zdał sobie sprawę, że nie jest już nawet pewien, w której z trzech skrytek są jego własne rzeczy. W końcu wybrał jeden z kluczy na chybił trafił, a kiedy otworzył drzwiczki skrytki, z przyjemnością ujrzał czarną kanciastą bryłę skrzynki z próbkami. Dzięki śniadaniu, które zjadł rano, wydawała mu się odrobinę lżejsza niż poprzedniej nocy.

Nigdy jeszcze nie odwiedził restauracji przy stacji autobusowej. Nie było mowy o barach szybkiej obsługi, które należały do jakichś dużych firm, ale niektóre jadłodajnie mogłyby sprzedać kilka nowinek, umieścić arkusz za kontuarem, może na skrzynce z cygarami. Pozostawało tylko pytanie, gdzie zacząć. Spojrzał w kierunku wyjść ze stacji i zauważył zasuszonego mężczyznę, który podnosił kraty chroniące kiosk z czasopismami. W pół minuty później Barnes był już przy nim z otwartą skrzynką z próbkami przy kasie.

- Tutaj mamy ładny towar, obroże dla psów, które świecą w ciemności. Powiedzmy, że ma pan czarnego psa, na przykład któregoś z tych miniaturowych pudełków. Kiedy go pan wyprowadza w nocy, nie widzi pan łapserdaka. Ale niech no mu pan tylko włoży którąś z tych obroży, to od razu go pan zauważy. Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt za cały arkusz. Kiedy

sprzeda pan ostatnią obrożę, po cenie wydrukowanej tutaj na arkuszu, zarobi pan czterdzieści pięć dolarów.

- Nie - rzekł zasuszony mężczyzna.

- W porządku, tutaj mamy coś innego. To nie może się nie udać - sprzedają się jak ciepłe bułeczki wszędzie, gdzie je wstawimy. Byli klienci, którzy dzwoniли do mnie, błagając o więcej. To róża, widzi pan? Zwykła plastikowa róża, jaką mógłby pan nosić w butonierce, gdyby był pan wyjściowo ubrany. Niech no pan tylko przekręci łodyżkę, płatki rozchylą się, a w środku jest rozkładówka z nagą pięknoscia. Oczywiście, jeśli klient chce, może ją wyjąć i włożyć każde zdjęcie, jakie sobie życzy. Może włożyć do środka zdjęcie swojej dziewczyny i podarować jej. Arkusz z sześcioma kosztuje pana pięć dziewięćdziesiąt dziewięć, a sprzedaje je pan po dolarze dziewięćdziesiąt osiem sztuka - to towar, który daje naprawdę wysoki zysk.

- Nie.

- W porządku, niech tylko pan spojrzy na to. Przy pańskiej lokalizacji to nie może się nie sprzedawać. Przechodzi tędy mnóstwo matek z dziećmi, prawda? Czasami mają dwójkę czy trójkę, prawda? Będą siedzieć w autobusie przez trzy czy cztery godziny i matka dostanie szmergla. Ona może kupić od pana jakieś kobiece pismo, ale co mają robić dzieciaki, czytać *Newsweeka*? Na tym arkuszu ma pan aż dwadzieścia pięć łąmigłówek, dla dzieci, dla dorosłych, dla każdego. Ma pan tu łąmigłówkę „Świnie w koniczynie”, pięć złączonych kółek, które nazywamy łąmigłówką olimpijską, i jeszcze trójwymiarową układankę.

Zasuszony mężczyzna pochylił się do przodu.

- Miałem kiedyś taką z zakrzywionymi gwoździami, kiedy byłem mały.

- No, więc czemu nie zamówi pan takiego arkusza? Może pan zatrzymać sobie gwoździe na pamiątkę dawnych czasów i jeszcze zarobi pan ponad sześć dolarów na czysto, jak tylko sprzeda pan ostatnią łąmigłówkę.

Twarzy Barnes'a dotknął oddech pachnący whisky przemieszana z pizzą.

- Powiedz no, mogę im się przyjrzeć? Barnes odwrócił się. To był marynarz.

- Oczywiście, proszę pana. Każda z nich dostarcza wielu godzin zabawy.

Łamigłówki wisiały na paskach umocowanych na kartonie. Rzuciwszy na nie okiem i popchnąwszy kilka z nich długim palcem, marynarz wybrał ołówek ze sznurkiem przewleczonym przez dziurkę przy gumce.

- Jak to działa?

Żaden guzik kurtki marynarza nie był zapięty. Barnes pociągnął za najwyższą dziurkę i przełożył przez nią ołówek, a potem zacisnął sznurek.

Marynarz wypchnął ołówek z powrotem przez dziurkę, ale sznurek był za krótki, by mógł go wyciągnąć do końca.

- Hej - powiedział. - To jest super. Ile?

- Tak jak jest napisane na arkuszu, tylko siedemdziesiąt dziewięć centów.

Marynarz wyciągnął portfel.

- To jest mój arkusz z próbkami i zwykle nic z niego nie sprzedaję, ale w pana wypadku zrobię wyjątek. Mogę dostać drugi arkusz z fabryki. Życzy pan sobie?

- Nie, do diabła. - Marynarz przykrył łamiętkówkę dłonią. - Sam to zrobię. - Wyciągnął pogniecionego dolara. - Masz wydać?

Barnes wyjął mu go z dłoni.

- Nie, ale jestem pewien, że ten pan ma. - Podał dolara zasuszonemu mężczyźnie. - Może pan to rozmiąć, proszę pana? Siedemdziesiąt dziewięć centów dla mnie, dwadzieścia jeden dla tego tutaj marynarza.

- Jestem Phil Reeder - rzekł marynarz wyciągając rękę.

- Ozzie Barnes - rzekł Barnes potrząsając dłonią mężczyzny.

- Jestem z *Johna Bozemana* - powiedział marynarz. - To niszczyciel. Teraz cumujemy w Norfolk. Mam dwa tygodnie przepustki na ląd.

- Gratulacje - odparł Barnes.

Zasuszony mężczyzna podał mu pieniądze. Barnes dał marynarzowi dwie dziesiątki i centa i wrzucił resztę do kieszeni. Wydawało mu się, że coś, co wcześniej zwinęło się w nim w ciasny kłębek, teraz trochę się rozluźniło.

- Powiedz no, a to, co to takiego?

- To? - Trudno było dokładnie stwierdzić, na co patrzył Reeder.

- Nie. Tam.

- Och, to? Nazywamy to łamiętkówką Houdini. - Barnes uwolnił ją z kartonowego paska. - Widzisz, ten ludzik to Houdini i on jest zamknięty w celi. Cała sztuka polega na tym, żeby go wyciągnąć. Złapał jedną rękę figurki i pociągnął. Figurka zaklinowała się za kratami. - Poczekaj no, to da się zrobić. - Poluźnił figurkę i obrócił ją. Malutka krata utkwiała jej między nogami.

- Auu! - zawołał Reeder. Zaśmiał się.

- Po prostu wyjąłeś mi to z ust. Cóż, to da się zrobić. Pewnie wyszedłem z wprawy.

- To też chcę. - Reeder znów wyjął swój portfel. Zasuszony mężczyzna spojrział na arkusz.

- Osiemdziesiąt osiem centów.

- Hej, poprzednia kosztowała tylko siedemdziesiąt dziewięć.

- Każda rzecz ma inną cenę - wyjaśnił zasuszony mężczyzna. - Tamto to był tylko ołówek z przewleczonym sznurkiem. - Spojrział na Barnesa, szukając potwierdzenia.

- Jeszcze pan ich nie kupił - przypomniał mu Barnes. Reeder pomyślał, że Barnes mówi do niego.

- Wiem. Masz rozmiąć piąta? -

- Jasne - rzekł zasuszony mężczyzna. Wybił na kasie osiemdziesiąt dziewięć i podał Reederowi cztery dolary i pięć centów. - Sześć centów podatku - wyjaśnił.

Barnes liczył w pamięci.

- Ten arkusz kosztuje zwykle jedenaście dolców czterdzieści pięć - powiedział.

- Więc niech pan odejmie siedemdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt dziewięć za te, które są już sprzedane. To powinno być jakieś dziewięć pięćdziesiąt.

Zasuszony mężczyzna odwrócił się, żeby obsłużyć kobietę kupującą *Cosmopolitan*.

- Już pan wziął osiemdziesiąt dziewięć. Niech pan odejmie siedemdziesiąt dziewięć, to będzie jedenaście trzydzieści.

- Jak cholera.

- Z podatkiem.

- O co panu chodzi, do diabła, z jakim podatkiem? To nie jest sprzedaż detaliczna, kupuję je, żeby je odprzedać.

- Nie składa pan u mnie zamówienia, kupuje pan moją próbkę - wyjaśnił łagodnie Barnes.

- I tak nie płacę żadnego podatku. Pan nie zbiera podatku od sprzedaży.

Nie podnosząc wzroku znad łamigłówek Houdini, Reeder rzucił:

- Dostał pan podatek ode mnie.

- Zgoda - rzekł Barnes do zasuszonego mężczyzny. - Opuść panu ten podatek, żeby tylko szybko sprzedać. Dziesięć sześćdziesiąt pięć, w gotówce.

- Stoi. - Zasuszony mężczyzna wybił w kasie „anulowano” i dał pieniądze Barnesowi.

Barnes położył arkusz z łamigłóvkami na jakichś czasopismach.

- Mam tu inną świetną rzecz dla człowieka z pana branży. To sto zabawnych zakładek do książek, każda inna.

- Nic innego - oświadczył zasuszony mężczyzna. - Nie mam więcej miejsca na takie rzeczy.

- Nawet nie pokazałem panu jeszcze moich najlepszych...

- Nic więcej.

- Zgoda. Kiedy pan zobaczy, jak idą łamigłówki, sam pan będzie chciał coś innego. Porozmawiam z panem za kilka tygodni.

- To się jeszcze okaże - rzucił zasuszony mężczyzna, ale była to rutynowa wojowniczość, pozbawiona złośliwości.

- Wiesz, gdzie się tutaj możemy czegoś napić, koleżko? - zapytał Reeder. - Chcę ci postawić drinka.

- Nie o tej porze. - Barnes spojrzął na przegub, zanim sobie przypomniał, że nie ma już zegarka. - Jeśli już chcesz mi coś postawić, to może kanapkę? Tu jest takie miejsce, które wygląda przyzwoicie, zaraz za stacją.

Gdy wychodzili na zewnątrz, dwie przecznicę dalej skręcił autobus, manewrując niezgrabnie w kierunku stacji jak okręt wojenny.

ROZDZIAŁ 24

Candy i Sweet

Candy nie od razu wyszła z ciepłego hotelu. Na dworze panował chłód, a ona zdawała sobie sprawę, że jej biały płaszcz przeciwdeszczowy nie ma podpinki i że nogi w czarnych kaloszach, które dali jej policjanci, są bez pończoch. Aresztowano ją wcześniej już wiele razy i nie miała specjalnie nic przeciw więzieniu. Igrała chwilę z myślą, by zacząć nagabywać mężczyzn tutaj, w części miasta, gdzie wolno było szukać klientów dopiero po północy i to bardzo dyskretnie. Ponieważ nie miała pieniędzy, żeby zapłacić grzywnę, prawdopodobnie przesiedziałyby najgorszy okres zimy. W końcu postanowiła tego nie robić wyłącznie z lojalności wobec Stubba. Ale gdy już podjęła decyzję, przyłapała się na tym, że poważnie zastanawia się nad skarbem Free i nad Podniebną Krainą.

Sklep z kosztowną damską odzieżą w holu hotelu otworzył już swe podwoje. Candy przez trzy kwadranse przeglądała ubrania, choć kobieta, która prowadziła sklep, była cała w nerwach. Candy podejrzewała, że chodzi o pierścionki. Kiedy tylko nadarzyła się okazja do nawiązania rozmowy, wyjaśniła właścicielce, że pierścionek zaręczynowy i obrączka zrobiły się za ciasne, odkąd tyle przytyła, i że zostawiła je na górze w pokoju.

Kobieta i tak ciągle była w nerwach. Candy przymierzała kilka sukienek i spodniom, które bardzo jej się podobało. Mogłaby powiedzieć, że pójdzie w nim na górę po swoje karty kredytowe, ale nie sądziła, by udał jej się ten numer.

Kiedy znów weszła do holu, był pełen ludzi, a przy kasie stała długa kolejka biznesmenów. Kilku z nich podróżowało razem i rozmawiało o restauracjach oraz połączeniach lotniczych. Większość milczała. Candy znalazła wygodny fotel i usiadła, by poobserwować.

Przez hol przeszedł detektyw hotelowy. Był ubrany jak biznesmen, ale po wyrazie jego twarzy i sposobie, w jaki się poruszał, dziewczyna odgadła, czym się zajmuje. Miała wrażenie, że jej nie zauważył. Dziwki nie wstają zwykle tak wcześnie, a zresztą o tej porze nie ma ruchu w interesie. Nie pamiętała, czy nie spotkała go już wcześniej. Była zwykle nieźle wstawiona, kiedy spotykała hotelowych detektywów.

Z jednej z wind wyszedł boy, holując wózek bagażowy wyładowany walizkami. Jedne były ciemnobrązowe, inne jasnobłękitne. Za wózkiem podążał biznesmen z żoną. Biznesmen stanął w kolejce do kasy, a jego żona powędrowała w stronę hotelowych sklepów. Boy popchnął wózek przez drzwi wyjściowe. Kiedy się otworzyły, widać było taksówki ruszające w stronę lotniska.

Candy wyszła na dwór, przepuszczając w drzwiach boya popychającego pusty wózek z powrotem do środka. Było zimno i słonecznie. Ośmiu czy dziesięciu biznesmenów z kołnierzami podniesionymi dla ochrony przed wiatrem stało przy krawężniku. Portier, wspaniały w swoim szkarłacie ze złotymi sznurami, wy dobył ostry ton z gwizdka. Taksówki

nadjeżdżały po dwie lub trzy, zawsze puste. Z tej strony chodnika, która była najdalej od krawężnika, tuż koło kamiennej skrzynki na kwiaty i plastikowe rośliny Consorta stały rzędem walizki - beżowe, brązowe, niebieskie, czerwone, żółte i czarne.

Candy podniosła kołnierz naśladowując mężczyzn.

- Kto powiedział, że grubi ludzie nie marzną? Kilku biznesmenów uśmiechnęło się do niej.

Stojąc prawie na ulicy, biznesmen w kapeluszu pomagał portierowi machać na taksówkę. Następny w kolejce wyglądał na pięćdziesiąt lat, był gładko ogolony i zapewne zamożny. Trzej mężczyźni za nim podróżowali razem.

Candy uśmiechnęła się do samotnego pięćdziesięciolatka.

- Mam bardzo wczesny lot. Czy nie miałby pan nic przeciw temu, żebym zabrała się z panem taksówką?

- Byłbym szczęśliwy.

- Och, to cudownie! Dziękuję bardzo!

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Niech pan patrzy, nadjeżdża!

Boy nie ustawił bagażu według koloru. Druga co do wielkości niebieska walizka stała pomiędzy dwiema brązowymi. Candy podniosła ją i podała taksówkarzowi, żeby włożył do bagażnika.

- Jadę do Salt Lake City odwiedzić moją siostrę - powiedziała do biznesmana, kiedy oboje znaleźli się w taksówce.

- To pani tutaj mieszka? Myślałam, że nocowała pani w hotelu.

- Owszem. Zatrzymałam się tu, żeby odwiedzić przyjaciółkę, ale ona nie miała mnie gdzie przenocować. Mieszka razem z inną dziewczyną. Teraz jadę do Salt Lake City spędzić tydzień z Klarą i z jej mężem. Był pan tu na kongresie przemysłu ciężkiego? - Candy miała niejasne wrażenie, że zawsze trwał tutaj gdzieś jakiś kongres przemysłu ciężkiego.

Biznesman zaśmiał się.

- Ciężkich słodczy, chciała pani powiedzieć. Tak, jestem z branży słodczy i ciężkich, i lekkich. „Mordoklejki Myszki Miki”; jesteśmy częścią Krajowego Zjednoczenia Przemysłu Woskowego.

- Musiałam źle przeczytać tablicę.

Taksówka skręciła wjeżdżając pod górę na autostradę i rzuciła ich jedno na drugie.

- Uuu! Przepraszam - powiedział mężczyzna.

- Niech się pan nie przejmuj. Ja też mam ciężką słabość do cukierków. Pewnie to widać.

- Ma pani przeziły uśmiech. Czy ktoś to już pani mówił? Z pewnym wysiłkiem wsadził rękę pod płaszcz do kieszeni marynarki.

- Naprawdę pan tak uważa? Nie, nikt mi nigdy tego nie powiedział.

- Oczywiście, że tak uważam. To prawda. Proszę. Oto co robimy.

- Och, jakie śliczne!
- Chce pani jednego? Niech się pani poczęstuje, to próbki, które przywiozłem z sobą na wystawę.

- Ach, jak to miło! Prawie zasnęłam i już myślałam, że mnie ominie śniadanie.
- Ten nazywamy Różowa Księżniczka, należy do rzeczy, które najlepiej się sprzedają. Wygląda jak klejnot, widzi pani? Ale smakuje lepiej.

Jego dłoń dotknęła jej dłoni.

Pulchne palce Candy zaszeleściły celofanem.

- Pachnie też ładniej.
- Boże Narodzenie to najlepszy okres na cukierki. Ten wymyśliliśmy, żeby poszedł na dzień świętego Walentego - Na Walentego zawsze myślę o czekoladkach. Wielkie pudełka w kształcie serca z dwiema warstwami...

- Założę się, że dostaje ich pani mnóstwo, taka ładna dziewczyna jak pani.

Potrząsnęła głową.

- Bardzo rzadko, chyba że sama sobie kupię.
- Już wiele czasu nie zostało do świętego Walentego.
- Chyba nie.
- Coś pani powiem. Niech mi pani da swój adres, a dopilnuję, żeby dostała pani nasz walentynkowy asortyment.

Candy wyglądała, jakby otrzymała cios.

- Nie mogę.
- Rozumiem. - Złożył dłonie na kolanach.
- Nie to mam na myśli. Przeprowadzam się i jeszcze nie wiem dokąd. Większość moich rzeczy jest w przechowalni.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Przypuszczam, że po tej podróży będzie pani musiała znaleźć nowe mieszkanie? Mieszka pani sama?

- Mieszkałam, tak... Zastanawiałam się, czy się nie przenieść tutaj, jeśli mam być szczerą. Często pan tu przyjeżdża?

- Dostę często. W interesach.

- To może, wie pan, mógłby mi je pan przywieźć. Gdzieś się ze mną spotkać? To nie musiałby być dzień świętego Walentego?

- Bardzo bym chciał. Chciałbym, żeby spróbowała pani naszych cukierków, panno...

- Garth. Catherine Garth.

- Czy nazywają panią Cathy? Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Czasami.

- Oto moja wizytówka. Jestem John B. Sweet.

- Naprawdę nazywa się pan Sweet? - Candy zachichotała. - I robi pan cukierki? Uuu, jest pan wiceprezesem.

- Może pani mówić do mnie John.

- Będę mówić do pana po prostu John B. Znam już za dużo Johnów. - Trzymając wizytówkę Candy rozejrzała się wokół. - Mój Boże! Moja torebka! Gdzie jest moja torebka?

- Zgubiła ją pani?

Jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Musiałam ją zostawić w hotelu. Całe moje pieniądze... Mój bilet...

- Gdzie pani była?

- W kawiarni. Jestem pewna, że ją tam miałam, wie pan, płaciłam kelnerce. Musiałam zostawić ją na ławie.

Wziął ją za rękę.

- Niech się pani nie martwi, Cathy, ona ją znajdzie i odda. Kierowca, melancholijny Pakistańczyk, spojrział na nich przez ramię.

- Jaki linia?

- Słucham?

- Jaki linia, proszę państwo? Gdzie chce stop?

- Och, United.

- John B., co ja zrobić?

- Cóż, na początek powinna pani zadzwonić do hotelu i sprawdzić, czy ktoś jej nie znalazł. Potem powinna pani sprawdzić w swojej linii lotniczej... co to była za linia?

- En wu. Czy to jest Northwestern?

- Tak. Zgłosić się do nich. Powiedzieć im, że musi pani zmienić lot na późniejszy.

- Ach, a ja nie mam nawet pieniędzy, żeby zapłacić za tę taksówkę - jęknęła Candy.

- Niech się pani nie martwi, ja się tym zajmę. Pożyczę też pani dwadzieścia dolarów, żeby mogła pani wrócić do Consorta.

Minęli tablicę: ZWROT WYNAJĘTYCH SAMOCHODÓW.

Tak jak się obawiała, niebieska walizka była zamknięta. Miała zamek szyfrowy z czterema kółkami, z tych, które właściciel może sam sobie ustawić w dowolny sposób.

Sweet to po angielsku „słodki”. *Candy* znaczy „cukierek”.

Coś, co łatwo zapamiętać, szepnęła do siebie Candy.

Jedyna kobieta, która oprócz niej była w damskiej toalecie, spojrziała na nią, a potem znów w lustro.

Najpierw spróbowała poczwórne numery: 0000, 1111, 2222, 3333... Żaden z nich nie zadziałał. Potem 1234, 0123, a także pod wpływem nagłego impulsu, 8910. Znów żaden nie poskutkował. Nie działał także aktualny rok. Wiedziała, że na lotnisku jest sklep, w którym może kupić scyzoryk. Mogła kupić taki scyzoryk i kilka małych plastikowych toreb, żeby włożyć to, co chciała sobie zatrzymać. Zobaczmy, druga wojna światowa? Przekreśliła małe

tarcze do 1940, 1941, potem szybko przez lata wojny do 1946, wszystko bez skutku. Jakaś rocznica? Kiedy ta kobieta mogła wyjść za mąż? Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty, 1961, 1962. Zamek gładko odskoczył.

W środku były dwie pary butów i obie doskonale pasowały. Wybrała te ze skóry jaszczurki, bo były zamknięte z przodu i ukryła swoje gumiaki w kącie koło sofy pokrytej plastikiem. Wystarczył jej moment, by naciągnąć rajstopy i czystą wełnianą sukienkę. W walizce była nawet torebka, a w torebce trochę kosmetyków wraz z pięćdziesięcioma siedmioma centami w drobnych monetach i otwartą paczką gumy do żucia. Candy włożyła do ust dwa listki gumy i wyszła z powrotem do lobby lotniska, nadal niosąc niebieską walizkę. Rząd taksówek czekał tam, dokąd przejechała kilka minut wcześniej z Johnem B. Sweetem, wiceprezesem „Mordoklejek Myszki Miki”. Kierowca wrzucił niebieską walizkę do bagażnika, podczas gdy Candy usadowiła się na tylnym siedzeniu.

- Dokąd, psze pani?
- Stacja Greyhound. Ta duża w centrum.
- Będzie pani gdzieś jechać tymi autobusami? Słyszałem, że bywają bardzo niewygodne.
- Nie - rzekła Candy. - Chcę tam tylko zostawić walizkę. Będę musiała biegać dziś po mieście, a to jedyne miejsce, gdzie mogę ją przechować.
- Jak pani sobie życzy, psze pani - powiedział kierowca. - Miała pani przyjemny lot?
- Tak - odparła Candy. - Bardzo.

ROZDZIAŁ 25

W okolicy

- No, a teraz, co z nami, panie Stubb? - odezwała się czarownica, kiedy Candy wyszła z „Malowniczej”. - Ma pan jeszcze jakieś śledztwo dla siebie? I dla mnie?

- Jak tylko skończę kawę. - Stubb pokiwał głową.

- To będę zmuszona podziękować panu za towarzystwo. Mam własne sprawy, którymi muszę się zająć.

- Dobrze, ale musi pani pożyczyć klucz do pokoju.

- Tego nie mogę zrobić.

- Proszę pani! Hej! - zawołał głośno Stubb. - Którą ma pani godzinę?

Kelnerka spojrzała na niego, a potem na rękę.

- Ósma trzydzieści siedem, proszę pana. Jesteśmy tu w strefie czasu wschodniego.

- Dzięki, kotuś.

- Co się stało? - spytała czarownica.

- Pod nasze drzwi przyszła pokojówka, pamięta pani? Musiało być przed ósmą, a ona już tam była. Naprawdę pani sądzi, że pokojówki przychodzą tutaj walić ludziom w drzwi o ósmej?

Czarownica popatrzyła na niego. W końcu rzekła:

- Nie wydawało mi się, żeby miała złe zamiary. Czuję takie rzeczy.

- Ja też czuję, ale aż tak się tym nie chwale. Wyglądała, jakby była szczęśliwa.

- Ja to poczułam, zanim drzwi się otworzyły. Ale zgadzam się, ma pan rację. A więc?

- Będę zgadywał, dobrze? Pokojówki przychodzą tu do pracy pewnie koło szóstej trzydzieści i zaczynają od sprzątanania wszystkich pomieszczeń, z których korzystano wieczorem, a które rano są puste. Potem zapewne dostają listę pokoi, skąd goście już się wyprowadzili. Zawsze jest kilku facetów, którzy mają bardzo wcześnie samoloty. A potem może sprząta się korytarze.

- Do czego pan zmierza, panie Stubb?

- Przypuścmy, że ktoś zatrzymał jedną z pokojówek w drodze do pracy. Przypuścmy, że ten ktoś powiedział: „Popatrz no, kochanie, tu masz pięćdziesiąt dolców i popielniczkę.” Albo może to była jedna z tych Biblii, które leżą w pokojach. Cokolwiek. „Zostawisz to w pokoju 777, gdy go będziesz sprzątać, a jeśli zejdiesz potem zobaczyć się ze mną w holu i powiesz mi, że to już zrobiłaś, odpalę ci jeszcze pięćdziesiąt.”

- Rozumiem. Chciałaby dostać pieniądze natychmiast. Mogłaby się bać, że on sobie pójdzie, jeśli to potrwa za długo. Ma pan rację, to zadanie dla nas obojga. Musimy pójść do mojego pokoju i go przeszukać.

Zanim Stubb zapukał do drzwi pani Baker, przystanął na chwilę na chodniku, żeby przyjrzeć się ruinie domu Free. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy wychodzili

stąd poprzedniej nocy. Dostrzegł nawet ślady na śniegu biegnące tam i z powrotem po krótkiej alejce i odciski stóp na schodach.

W jasnym zimowym słońcu zrujnowany dom bardziej rzucał się w oczy. Większość ściany frontowej została obrócona w gruzy. To, co pozostało, wyglądało tak, jakby miało zawalić się w jednej chwili. Stubb przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak to jest, że ludzie, którzy nie posiadają domów, z nim samym włącznie, nie wzniesają zamieszek, kiedy burzy się takie domy jak ten, solidne ceglane domy, które mogłyby stać jeszcze pięćset lat, gdyby tylko rząd i banki zostawiły je w spokoju. Rozejrzał się wokoło, szukając burzycieli. Żółta maszyna z długą szyją czekała spokojnie przy krawężniku, a mordercza kula leżała przed jej gaśnicami jak porzucona zabawka obok łap jakiejś wielkiej, sennej bestii. Zarówno maszynę, jak i kulę przysypał roziskrzony śnieg. Robotników nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Domy po lewej stronie domu Free miały na oknach czerwony napis DO ROZBIÓRKI, a niektóre szyby były rozbite.

Ruszył dalej ścieżką, a potem wszedł po schodach na ganek domu pani Baker. Z drewna, które dawno spróchniało, wystawały druty, tam, gdzie powinien być dzwonek. Zapukał głośno. To był nawyk z czasów, kiedy egzekwował długi.

W środku panowała cisza.

Odczekawszy chwilę, zapukał ponownie. Tym razem usłyszał kroki, powolne i pełne wahania. W drzwi wstawiono nowy zamek Yale, ale pozostała dawna staromodna dziurka od klucza. Pochylając się, przyłożył do niej usta i zawołał:

- To tylko ja, pani Baker. Jim Stubb, pamięta mnie pani? W hotelu, wczoraj wieczorem. Muszę z panią porozmawiać.

Drzwi się otworzyły. Pani Baker była ubrana w szarą podomkę i pantofle. Na rzadkich włosach miała papiloty.

- Przepraszam, jeśli wyciągnąłem panią z łóżka - rzekł Stubb.

- I tak już pora, żebym wstała. „Kto rano wstaje, temu Pan nóg daje”, właśnie tak mawiał stary pan Baker. To z Szekspira.

- Sam zawsze tak myślałem - powiedział Stubb do starej kobiety.

- Tak czy owak, niech pan wejdzie. Chciałby pan trochę kukała? A może herbaty? „Kukałeczko kuka, chłopiec panny szuka.” To znaczy, że przy filiżance kukała najłatwiej zawierać znajomości. Czyż to nie tak powiadają?

- „Herbata jest jak Wschód, kraina, gdzie rośnie.” - Stubb zacytował z pamięci. - „Jak dworski żółty mandaryn, co grzeszy radośnie.”

- Ma pan rację, tacy właśnie są ludzie na tym naszym wybrzeżu. Choć nie uważam, żeby tamci w Kalifornii byli wiele lepsi. Gdzie pan się tego wszystkiego nauczył? Woli pan herbatę od kukała?

- Kakao będzie w sam raz - odparł Stubb, kiedy weszli do środka. - Jako dzieciak chodziłem do szkoły parafialnej, a tam kazali się uczyć wierszy. Ten nie był obowiązkowy, ale znajdował się w tej samej książce i tylko on naprawdę mi się podobał.

- De gustibus non dyskotckandum - stwierdziły ogólnikowo szare plecy pani Baker.

W domu panował większy porządek niż u Free, ale powietrze było bardziej zateęchłe, jakby okien nigdy nie otwierano, a gdzieś (może na górze w jakiejś nie używanej sypialni) leżała ogromna góra derek, zakurzonych derek wypełniających pokój i wylewających się, jak wyobraził sobie Stubb, z otwartych drzwi do holu.

Przeszli przez salon, w którym kiedyś Proudys bawił się z Bufką. Teraz było tu cicho i ciemno. W jadalni tłoczyły się ciemne, ciężkie dębowe meble. Kuchnia była jaśniejsza od innych pomieszczeń, lecz wyglądała jakoś pusto - zlew z kilkoma naczyniami, biała emaliowana lodówka, także kuchenka, stół i dwa krzesła. Pani Baker napełniła czajniczek do herbaty i postawiła go nad silnymi błękitnymi płomieniami.

- Zwykle nie jadłam dużego śniadania - oświadczyła. - Tylko zimne płatki kukurydziane z mlekiem. To bardzo dobre na cerę. Właśnie dlatego mówi się o kimś, że jest śniadaniowy. To znaczy smagły.

- Ja jadłem śniadanie już jakiś czas temu - rzucił Stubb sadowiąc się przy stole. - Kakao to jedyne, czego mi trzeba. Pani Baker, przyszedłem, żeby zapytać panią o te dwie kobiety, o których mówiła nam pani wczoraj wieczorem. - Kotek wyszedł z jadalni, przeszedł przez pół kuchni, a potem zdecydował, że Stubb jest niebezpieczny i śmignął pod kuchenkę. - Mówiła pani, że te kobiety nie podały swoich nazwisk, pamięta pani? Że nie wie pani nawet, czy były zamężne, bo miały rękawiczki. Pomyślała pani, że mogły być z rządu federalnego, ale nie była pani pewna.

- A pan powiedział, żeby niczego im nie mówić, dopóki nie porozmawiam z panem - dokończyła za niego pani Baker. - „Cisza na morzu, wicher dmie...” chociaż dzisiaj nie ma wiatru.

- No właśnie. Chciałem porozmawiać z panią dłużej, ale była tam wtedy ta cała Duck.

Pani Baker wydobyla dwie ozdobne porcelanowe filiżanki z rodzaju tych, które można było kupić w sklepach „Pięć i dziesięć centów”, kiedy jeszcze podobne sklepy istniały.

- Możemy porozmawiać pijąc nasze kukało, panie Barnes. Ja będę jadła moje płatki, jeśli nie ma pan nic naprzeciwno. - Wsypała łyżkę kakao w proszku do filiżanki. - Chociaż nie należy mówić z pełnymi ustami, jak to było w tej operetce. „Usta milczą, dusza śpiewa.” To znaczy, że kiedy się coś je, to wtedy lepiej jest śpiewać, a kiedy się milczy, to wtedy lepiej coś jeść.

- Ja jestem Stubb, pani Baker. Pani Baker, czy ogląda pani czasem w telewizji kryminały?

- Od czasu do lasu - rzekła stara kobieta, zdziwiona. - Nie bardzo. Jak tylko się je włączy, szast prast i zaraz zaczynają strzelać, jak w tym powiedzeniu. A strzały zawsze napawają mnie przedpokojem. - Postawiła przed Stubbem filiżankę.

- Pytałem dlatego, że wielu ludzi wyobraża sobie pracę detektywa właśnie tak, jak przedstawia się ją w kryminałach, a na pewno pani zauważyła, jeśli pani je w ogóle ogląda, że nawet gdy detektywi odnajdą tam kogoś bardzo ważnego, to zadają mu tylko ze dwa czy trzy pytania i zaraz sobie idą. Prawdziwa praca detektywa tak nie wygląda, pani Baker. Za trudno znaleźć ludzi, którzy wiedzą coś ważnego. Chciałbym zadać pani mnóstwo pytań o te kobiety, które z panią rozmawiały. To nie będzie bardzo ekscytujące, ale mimo to chciałbym to zrobić, bo mógłbym odkryć coś ważnego, zarówno dla starego pana Free, jak i dla mnie. Rozumie pani?

Stara kobieta skinęła głową.

- W końcu nigdy nie wiadomo, gdzie może być pies podgrzewany.

- Tak. Bardzo dobrze to pani ujęła, pani Baker. A zatem, te dwie kobiety, które przyszły do pani z wizytą, czy najpierw zadzwoniły, czy też jakoś inaczej dały pani znać, że przyjdą?

- Nie. Przyszły i zapukały do drzwi, tak ni swąd, nie zowąd.

- O której godzinie, mniej więcej?

- Pamięta pan, kiedy zburzyli front pana Free? Trochę po tym. Już nie w czasie pracy, ale też nie tak zupełnie w porze kolacji, bo też rzadko jadam teraz zupę na kolację, odkąd zabrakło pana Bakera.

- Nie spojrzała pani czasem na zegar? Stara kobieta potrząsnęła głową.

- Pomiędzy piątą a szóstą, czy to by się zgadzało, pani Baker?

- Gdybym wiedziała, że to takie ważne, spojrzałabym. Ale czasem zachowuję się, jakbym nie miała piątej kleпки.

- Nie później niż o szóstej?

Odstawiła swój talerz płatków na stół i ułożyła przy nim łyżeczkę, która niegdyś była posrebrzana. Potem chciała usiąść na krześle, lecz zamarła w pół drogi.

- Mogła być nawet szósta trzydzieści... Stubb potarł podbródek.

Stara kobieta opadła na krzesło.

- Nie, odwołuję. O piątej zawsze oglądam świadomości. Tego miłego pana z siwymi włosami.

- Bryana O'Flynna? Program lokalny?

- Tak. Ale najważniejsza świadomość była o prezydencie, który gdzieś tam jechał. Dawniej głosowałam, ale nie ma z tego nic dobrego. Ci wszyscy osłowie tylko chcą się dopchać do żłobu. „Osiołkowi w żłobie dano, w jednym owies, w drugim siano”, tak powiedział papież. Tylko że siano też już im nie wystarcza. - Wypiła łyk kakao. - Gorące. Niech pan sobie weźmie cukier, panie Barnes.

- Już posłodziłem - odparł Stubb.

- W każdym razie było dużo o nim. A potem strajk. Myślę, że skoro tak strajkują, to powinni im jednak podnieść miesięczne podchody. A potem pogoda. Jeszcze więcej śniegu, tak powiedzieli. I koszykówka. Czy grał pan kiedyś, panie Barnes?

- Nie - odrzekł Stubb. - Nie grałem.

- Ja też nie. Bez przerwy tylko się podskakuje, jeśli interesuje pana moje zdanie. A potem o biednym panu Free. Mówiłam panu o tym wczoraj wieczorem w hotelu.

Stubb kiwnął głową.

- I to był koniec świadomości, praktycznie rzecz biorąc. Słońce myli się ku zachodowi, tak mój ojciec mawiał o tej porze dnia, kiedy wszyscy szykowaliśmy się na spoczynek i było z tym strasznie dużo zachodu. Wtedy wcześniej niż dzisiaj chodziliśmy do łóżka z kurami.

- I właśnie wtedy przyszły te dwie kobiety?

- Nie, nie tak od razu.

- A kiedy mniej więcej?

- Zostawiłam telewizor włączony jak zwykle, ale teraz nie pamiętam, co to był za program. I poszłam przygotować sobie kolację. Miałam autentyczną duszoną baraninę po irlandzku, tę z mrożonki. Zapaliłam gaz i wstawiłam ją do piecyka, i nakryłam do stołu, i tak dalej, nalałam sobie mleko, i akurat kiedy kończyłam, one przyszły i zapukały do drzwi...

- Kończyła pani nakrywać do stołu, czy kończyła pani jeść, pani Baker?

- Kończyłam jeść, ale Boże, to nie trwało dłużej niż kilka minut. Potem wstałam i podeszłam do drzwi, i one weszły do środka, i wyłączyłam telewizor, i dałam im herbaty.

- Jak długo pani zdaniem gotowała się ta mrożona baranina?

- Niech no pan poczeka, to potrwa tylko krótką chwilę. - Stara kobieta wstała i poczłapała przez kuchnię do drzwi wyjściowych. - To te, które wyłamali ci mili policjanci - powiedziała.

- Muszę kazać je naprawić. - Wyszła na zasypany śniegiem ganek i po chwili wróciła z małym błyszczącym kartonem. - Zawsze trzymam tam moje śmieci, póki nie przyjedzie śmietniczka. Dawniej przychodzili po nie aż tutaj alejką, ale teraz przestali. Nie rozumiem dlaczego. W każdym razie tu ma pan pudełko od baraniny, panie Barnes. Pomyliłam się z tą duszoną baraniną po irlandzku - to był hulasz po węgiersku, tak to tu nazywają. Nie mam okularów, więc musi sam pan przeczytać, co jest z tyłu napisane. Zakładam je tylko wtedy, kiedy chcę coś zobaczyć. Piszą, jak długo to trzeba gotować?

„Podgrzać piecyk do 350 stopni Fahrenheita”, przeczytał Stubb. „Gotować 20 min.”

- Dwadzieścia minut - odpowiedział starej kobiecie.

- No, to musiało być koło szóstej, jak przyszły. - Włożyła do ust płatki i mleko.

- Tak. A to znaczy w pół godziny po tym, jak twarz Free pojawiła się w wiadomościach. Ale pewnie nie przyszły od razu tutaj. Pewnie wcześniej wstąpiły do Free i rozejrzały się trochę wokoło, żeby zobaczyć, czy go tam czasem nie ma, czy nie zostawił kartki mleczarzowi albo coś w tym rodzaju. Powiedzmy, że to zajęło z dziesięć minut. Dojechały tutaj w dwadzieścia minut. Czy miały samochód?

Pani Baker pokiwała głową i przełknęła jedzenie.

- Czy to one tak pani powiedziały, czy też sama pani zobaczyła, że faktycznie go mają?

- Kiedy podeszłam do drzwi, przed domem stał samochód, a gdy wyszły, usłyszałam hałas silnika. Widziałam też światła na firankach, jak o tym pomyśle. „O, jakież to blask z tego okna bije...” choć nie bił nikogo tak naprawdę, oczywiście.

- Kiedy wybrała się pani do Consorta, jak tam się pani dostała, pani Baker?

- Taksówką. - Usta miała pełne płatków kukurydzianych. - Niech pan pije swoje kukało. Zaraz będzie zimne jak miód.

Stubb wypił łyk.

- Zadzwoiła pani po nią? Czy też wyszła pani na ruchliwą ulicę i zamachała?

- Zadzwoiłam.

- Kiedy taksówka przyjechała po panią, czy kierowca zatrzymał się przed domem, tam, gdzie stał przedtem samochód tych dwóch kobiet?

- Tak sądzę, ale nie rozumiem, cóż to może mieć za zmęczenie.

- To ma takie znaczenie, że pewnie nie mam po co szukać śladów samochodu tych kobiet na śniegu. Co to był za rodzaj samochodu?

- Jak na przykład Generał Motors, o to panu chodzi? Nie widziałam.

- Osobowy? Furgonetka?

- Taki zwykły.

- To osobowy. Stary czy nowy?

- Nowy, jak sądzę. Był jakiś takiś błyszczący. Ale niech no pan posłucha, panie Barnes - stara kobieta nabrała łyżką płatków - przepuścimy, że wiedziałabym dokładnie, jak wygląda, nie wiem, ale przepuścimy, że wiem, w czym to mogłoby pomóc biednemu panu Free?

- Nie wiem - przyznał Stubb. - Może wcale nie mogłoby mu pomóc. Ale gdybym natknął się na ten samochód gdzie indziej, byłbym w stanie połączyć te dwie rzeczy.

- Jeśli znowu przyjdą, przyjrzę się lepiej.

- Dziękuję. Niech pani zapisze numer rejestracyjny, jeżeli będzie pani w stanie. Wracając do zeszłego razu, powiedziała pani, że był błyszczący. Jakiego był koloru?

- Czarny, jak sądzę, albo ciemnoniemiecki.

- Mógł być szary? Wzruszyła ramionami.

- Wie pan, jak mówią, w nocy wszystkie koty są stare. Czy to też jest ważne?

- Taki kolor mają zwykle samochody państwowe. Dwudrzwiowy czy czterodrzwiowy?

- Cztero, jak sądzę. Dwoje drzwi po tej stronie, którą ja widziałam.

- Nie widziała pani, jak te kobiety wysiadały z samochodu? Albo wsiadały do niego z powrotem?

Potrząsnęła głową.

- Kiedy patrzyła pani na ten samochód, nie dostrzegła pani, czy w środku nie było jeszcze kogoś?

- Nie dałabym sobie od ręki uciąć, ale chyba nie.

- Czy to te kobiety powiedziały pani, dokąd poszliśmy? Znow potrząsnęła głową.

- Jeszcze was tam nie było, kiedy one przyszły.
- To skąd pani wiedziała, gdzie jesteśmy? Minęły najwyżej ze dwie godziny od czasu, jak Madame Serpentina zameldowała się w hotelu, kiedy pani zapukała do drzwi.
Pani Baker siedziała w milczeniu, unikając jego wzroku.
- Jeśli zgadnę, powie mi pani, czy mam rację? Siedziała pani sobie w salonie oglądając telewizję i przypadkiem pani usłyszała...
- Prawdziwy z pana czarnodziej! Tak mawiała moja matka. Trudne rzeczy zmienia pan w łatwe.
- A więc nas pani usłyszała.
- Niezupełnie, panie Barnes. - Przełknęła, choć jej płatki już się skończyły. - Panie Barnes, domyślam się, że jest pan dżentelmenem i za bardzo nie baszta pan starszych pań.
- Nigdy nikogo nie besztam. To nie jest moja rola.
- To, co pan mówił o usłyszeniu przypadkiem... Wie pan, na pewno siedziałam tutaj, gdybym tylko mogła stąd przypadkiem coś usłyszeć. Ale nie mogłam, więc otworzyłam okno tak ociupinkę i kucyknełam sobie na podłodze i podśluchałam. Przyglądałam się też, wie pan, i widziałam, jak wchodzi Miss Confetti i bardzo się martwiłam o biednego pana Free.
- Cieszę się, że zrobiła pani to, co pani zrobiła, pani Baker i jeśli starała się pani pomóc panu Free, nikt nie może pani o to winić.
- A potem usłyszałam, jak pani Garth pyta o hotel i ktoś powiedział: „Consort”. Ale nie byłam pewna, czy tam naprawdę jesteście, póki nie dałam napiwku jednemu z tych wojów hotelowych.
Stubb kiwnął głową do siebie.
- Czy skończył pan, panie Barnes? Wypił ostatni łyk kakao.
- Nie, jeszcze nie zacząłem, pani Baker. Chcę, żeby powiedziała mi pani wszystko o tych dwóch kobietach. Możemy zacząć od tego, w co były ubrane.
- Hm, jeśli to nie przechodzi wszelkiego pojęcia... - Pani Baker potrząsnęła głową w zdumieniu. - A jeśli już o pojęciu mowa, to nie wie pan czasem, czemu właściwie się mówi: „nie mam dzielonego pojęcia”?

ROZDZIAŁ 26

W elegantszej okolicy

Gwizdek portiera rozlegał się teraz rzadziej. Większość biznesmenów znajdowała się na lotnisku, a tłum zabieganych urzędników zastąpili przechadzający się wolnym krokiem ludzie na zakupach. Słońce stało wyżej na niebie i znikły niebieskie cienie, ale wciąż było bardzo zimno.

Czarownica miała na sobie futro z hodowlanych norek, odpowiednie do hotelu Consort. Kaptur nasunęła tak, że jej egzotyczna twarz oprawiona była w miękkie futro. Poszła kawałek ulicą mijając portiera i rząd taksówek, a potem zeszła z chodnika i stanęła na drodze luksusowego Cadillaca. Kierowca zahamował. Chociaż ulicę dość dobrze oczyszczono ze śniegu i lodu, wielki samochód wpadł w poślizg, a tylne koła zawirowały, nim pojazd stanął dotykając zderzakiem norek czarownicy.

Otworzyła przednie drzwi i wsiadła.

- Dziewczyno - powiedział kierowca - o mała pani nie zginęła.

- Być może.

- Żadne być może - rzucił. Był mężczyzną w wieku pięćdziesięciu pięciu czy sześćdziesięciu lat, z przystrzyżonym siwym wąsem. - Mały włos, a byłbym się nie zatrzymał. Gdybym zareagował odrobinę wolniej, w tej chwili już by pani nie żyła.

- Jakie to szczęście dla pana, że tak się nie stało. To byłoby szalenie kłopotliwe.

Zdjął nogę z hamulca i pozwolił, by samochód podryfował w kierunku tuzina innych, czekających na światłach.

- Nie wygląda pani na bardzo poruszoną.

- Już taką mam naturę - rzekła czarownica. - W środku często aż kipię. Na zewnątrz nic nie widać.

- Nie trzęsą się pani nogi?

- Nie.

- Mogę gdzieś panią podrzucić?

- Tak. Adres 1623 Killdeer Lane. To jest w Bellewood, przedmieście na północy.

- Obawiam się, że nie dam rady. To przynajmniej godzina jazdy.

- Tym samochodem o tej porze dnia nie zajmie to więcej niż czterdzieści minut.

- Niestety, nie mogę poświęcić tyle czasu. Jadę tą ulicą do Broad, potem z Broad skręcam w lewo w Dziewiętnastą. Z przyjemnością gdzieś panią zostawię po drodze.

- Zawiezie mnie pan pod adres, który panu podałam - odparła czarownica. - Ale jeśli bardzo się panu spieszy, może pan pojechać tam, dokąd ma pan pojechać i oddać mi klucze. Załatwię moją sprawę i odstawię panu samochód z powrotem, na pewno przed piątą. Włożę kluczyki pod siedzenie.

Kiedy samochody cal po calu zaczęły posuwać się naprzód, kierowca wbił w nią oczy.

- Pani jest szalona.

- Nie. Jestem zdeterminowaną kobietą pilnie potrzebującą transportu. Jakie ma pan wyjście? Jest pan bogatym i znanym człowiekiem, żonatym, z kilkorgiem dzieci i rozległymi kontaktami zawodowymi. Jeśli pan zechce, może pan pojechać na komisariat albo po prostu zatrzymać się, kiedy zobaczy pan policję. Będę przytulać się do pana i wrzeszczeć. Płakać. Może pan pojechać tam, dokąd tak pan się spieszy. Zrobię to samo i to będzie jeszcze gorsze.

- Nawet pani nie wie, jak się nazywam.

- To nie będzie miało znaczenia. Powiem im jakieś nazwisko, pierwsze lepsze, a policja i dziennikarze uwierzą, że podał mi pan fałszywe. Bez wątpienia taka plotka ożywi niejednego lunch w interesach. - Otworzyła torebkę, wyjęła puderniczkę i przyjrzała się krytycznie swojej twarzy w lusterku. - Jestem piękną kobietą, ale nie proszę pana o sto tysięcy dolarów ani nawet o miłą małą posiadłość po najmodniejszej stronie parku. Jedynie o godzinę lub dwie pańskiego czasu. Zawiezie mnie pan tam, dokąd chcę pojechać, wysiądę i więcej mnie pan nie zobaczy. Wywinie się pan z tego tanim kosztem, jeśli zrobi pan to teraz.

- Jest pani bardzo sprytną młodą kobietą - powiedział kierowca. - Ale to nigdzie pani nie doprowadzi. - Przyspieszył, żeby zdążyć na następne światła.

- Nie. Jestem młodą kobietą o głębokim wnętrzu, jeśli tak pan woli, panie McAlister. Zdesperowaną młodą kobietą. Ale nie sprytną. Prawdę mówiąc, jestem zbyt zajęta, żeby być sprytną.

Pokręcił kierownicą, a wielki samochód okrążył narożnik ulicy.

- Sprytną i pozbawioną skrupułów młodą kobietą, gotową wykorzystać moją pozycję przeciwko mnie.

- To nie jest Broad Street.

- Nie - przyznał. - Ale tędy dojedziemy do autostrady. Zechce mi pani powtórzyć ten adres?

- 1623 Killdeer Lane. Panie McAlister, ludzie mojego pokroju od wieków powtarzają ludziom pańskiego pokroju, że jesteście niewolnikami tego, co posiadacie. Niesłusznie się pan oburza, że co jakiś czas pański pan i władca postanowi zaciąć batem.

Na tablicy rozdzielczej samochodu znajdował się telefon. McAlister podniósł słuchawkę. Kiedy skręcili na wjazd na autostradę, odezwał się:

- To ja, Bill. Powiedz im, że mam drobny problem. Spóźnię się kilka godzin. Przepróś ich, dobrze?

Zapalniczką wmontowaną w tablicę rozdzielczą cadillaka czarownica zapaliła jednego ze swych tureckich papierosów i odwróciła głowę, jakby chciała przyjrzeć się ponurym, zamożnym budynkom, które mijali.

Kiedy Cadillac mruczał cicho, jadąc bulwarem wysadzonym dębami obnażonymi przez zimę, McAlister oznajmił:

- Ja sam tu mieszkam. Właśnie stąd przyjechałem, kiedy mnie pani zatrzymała.

Odezwał się pierwszy raz, odkąd skręcili na autostradę międzystanową.

Jego pasażerka pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Nie obawia się pan, że wykorzystam tę informację przeciw panu?

- Owszem, ale i tak mogłaby ją pani zdobyć z książki telefonicznej. A jeśli tylko spróbuje pani jakiejś innej karkołomnej sztuczki w tym rodzaju, przekona się pani, że niełatwy ze mnie orzech do zgryzienia.

- Żałuje pan, że nie zawiadził policji? Niech pan to zrobi teraz. W Bellewood muszą być policjanci.

Potrząsnął głową.

- Powiedziałem, że panią zawiozę, i zrobię to. Tylko niech pani więcej tego nie próbuje.

Killdeer Lane była szeroką, biegnącą łukami ulicą rezydencji, gdzie na terenach wielkości trzech akrów stały duże, dobrze utrzymane domy. McAlister zatrzymał się przy podjeździe do domu numer 1623 i zapytał:

- Jak pani wróci do siebie?

- Już pan odgadł, że to nie jest mój dom. Bardzo sprytnie z pana strony.

- Powiedziałem pani, że tu mieszkam. To mała społeczność, około trzech tysięcy mieszkańców, gdyby pani tu mieszkała, zauważyłbym panią.

- Chyba żebym się niedawno wprowadziła.

- Nie dyskutujmy po próżnicy. Jak się pani z powrotem dostanie tam, skąd pani przyjechała?

- Nie umiem panu powiedzieć.

- Czy ktoś panią odwiezie?

- Być może. Wątpię. McAlister kiwnął głową.

- I nie przypuszczam, żeby miała pani pieniądze na taksówkę. Za miastem liczą podwójnie, więc to kurs za jakieś trzydzieści dolarów. Panno... Pani... Kimkolwiek pani jest, zapłacę pani od ręki pięćdziesiąt dolarów, gotówką, jeśli mi pani powie, skąd pani zna moje nazwisko.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza portfel z cielecej skóry i wyjął dwie dwudziestki i dziesiątkę. Uśmiechnęła się do niego.

- A jeśli wezmę pieniądze i powiem panu, że to czary?

- Nie sądzę, żeby pani to zrobiła. Myślę, że jest pani młodą kobietą, która dotrzymuje umów.

- Stanowczy, ale uczciwy. Czy to nie tak mówią o panu w biurach zarządów?

McAlister skinął głową.

- Czasami.

- Mają rację. W porządku - powiedziała. Wyciągnęła banknoty z jego palców, zanim wysiadła z samochodu. - Jak się nazywa to, co trzyma kierownicę? Nie chodzi mi o pana, ale o to na drugim końcu.

- To? Kolumna kierownicy?

- Byłam pewna, że pan będzie wiedział. Pańska rejestracja, panie McAlister. Jest wypisana w małym okienku na tej kolumnie. Kiedy wyjęłam puderniczkę, przeczytałam pańskie nazwisko w lusterku. Czy to było warte pięćdziesięciu dolarów? Proszę. - Wyciągnęła rękę. - Chce pan z powrotem pieniądze?

- Nie - rzekł McAlister. - To było warte pięćdziesiątkę. Począł, aż zamknie drzwi.

- Więc zdradzę panu za darmo informację, która jest warta o wiele więcej. Jestem czarownicą, panie McAlister. Odkrycie pana nazwiska to nie były żadne czary, ale ja jestem czarownicą. Często potrafię odczytać przyszłość... robię też pewne inne rzeczy. Niebawem może się okazać, że przydałby się panu ktoś taki. Mieszkam w Consorcie pod nazwiskiem Serpentina.

Nie czekając na odpowiedź zamknęła drzwi Cadillaca i odwróciła się. Numer 1623, pod który kazała się zawieść McAlisterowi, nie był miejscem, dokąd się wybierała. Kiedy samochód zniknął jej z oczu, zeszła podjazdem na ulicę, ostrożnie stawiając kroki, by botki na wysokim obcasie ominęły najgorsze kawałki lodu.

Nawet teraz, w środku zimy, okolica wyglądała przyjemnie. Wszystkie domy były duże, a większość z nich pomalowana na biało. Były oddalone od siebie na tyle, że style architektoniczne nie gryzły się. Wydawało się, że każdy jest osadzony we własnym zestawie drzew i trawników, jakby został zbudowany na odludziu, a jego dzisiejsi sąsiedzi znaleźli się tu tylko przypadkiem. Kępy brzoź wyciągały blade ramiona poprzez śnieg, ostrokrzewy i srebrne świerki mówiły o Bożym Narodzeniu, które minęło już prawie przed miesiącem, Bożym Narodzeniu, do którego było teraz nieskończenie daleko, niemal cały rok.

Wędrując tak w swoim ciemnym futrze, czarnej sukience z falbanką i czarnych botkach, czarownica wydawała się tutaj nie na miejscu, jak jakieś tropikalne zwierzę z wielkimi oczami i szczupłymi nogami, jak fragment miasta, który zimowe wiatry przywiały daleko od szarych ulic i błyszczących okien. Mogła być siostrą jakiegoś sławnego gangstera (nie jego żoną czy kochanką, gdyż tacy mężczyźni preferują rumiane blondynki). Mogła być siostrą jakiejś zakonnicy. Raz minął ją zielony Mercedes, z chrzęstem rozbijając lód, rozgniatając śnieg. Pomachała do mężczyzny i kobiety, którzy siedzieli w środku, jakby ich znała, a oni uznając, że być może, że z całą pewnością musieli ją skądś znać, pomachali do niej.

Kiedy pokonała około trzech czwartych mili, po jednej stronie ulicy nie ogrodzone trawniki zastąpił kamienny mur wysoki na osiem stóp. Przeszła wzdłuż niego jeszcze sto jardów, aż w końcu dotarła do żelaznej bramy. Obok niej był dzwonek, ale minęło sporo czasu, przynajmniej dziesięć minut, nim smagły mężczyzna w bawolej kurtce otworzył bramę.

- Cześć, Pete - powiedziała.

- Cześć, Marie - odrzekł Pete, gdy weszła do środka. - Jak się miewasz?

- Dobrze.

- Ładne futro. Przyszłaś na piechotę?
- Podwiózł mnie znajomy.
- Ach, masz narzeczonego *gadjo*. Nie mów Królowi.
- Nie mam żadnego narzeczonego, Pete. Oszalałeś?
- Tak mi tylko przyszło do głowy - wyjaśnił Pete. - Nie mów nikomu. Stłucze cię na kwaśne jabłko.

Gdy dotarli do białego ceglanego domu, otworzył przed nią drzwi, ale nie weszła do środka. Hol był ciemny i zatechły. Zasłony zaciągnięto i rozchodził się zapach gotowania, mnóstwa kawy i szynki. Po chwili przystojna kobieta o bladożółtej cerze rozsunała zasłony. Na głowie miała zawiązaną czerwoną chustkę, nosiła złote kolczyki i trzy złote łańcuchy.

- Wiedziałam, że przyjdiesz. Widziałam to. Czarownica skinęła głową.
- Nie wierzysz mi, co? Widziałam. Wszystkim powtarzałam od tygodnia. Zapytaj Króla.
- Wierzę ci, Rose.
- Tak, wierzysz.
- Czy on jest na górze?
- Nie, zaprowadzę cię. Pewnego dnia ty i ja będziemy przyjaciółkami, Marie. Jeśli Król zapyta, powiedz mu, że byłam dla ciebie bardzo miła, dobrze? On cię lubi. Mówi o tobie. Tędy... - Odsunęła inną kotarę w końcu korytarza. - Może raz w tygodniu. Jak na niego, to dużo.

Drzwi były zamknięte. Gdy kobieta w czerwonej chuście otworzyła je, rozszedł się nowy zapach - dym z płonącego drewna i cygar.

Pokój, jasny i zimny, miał siedem dużych okien - cztery w jednej ścianie i trzy w drugiej. Story były podniesione, a firanki odsłonięte. W ogromnym kamiennym kominku buzował ogień. W jego płomienie wpatrywał się wielki stary mężczyzna w ciemnoniebieskim ubraniu.

- Witam - rzekła czarownica. - Jak się masz? Jego oczy nie oderwały się od ognia.
- To tak się do mnie zwracasz? Jestem Królem.
- Czy mam mówić tak, jak mówią *gadje*? Mam mówić: „Witam, Wasza Wysokość”?
- Nasi ludzie mówią „Królu”. Tutaj jesteś jedną z nas. Jej głos zadrżał.
- Zawsze jestem jedną z nas, Królu.

Być może nie usłyszał. Pogrzebacz z okrutnym hakiem stał przy kominku. Podniósł go i poprawił ogień.

- Mam coś dla ciebie, Królu. Prezent.
Wyciągnęła pięćdziesiąt dolarów, które dał jej McAlister. Potem, gdy ciągle się nie odwracał, przeszła przez pokój i łagodnie położyła mu pieniądze na kolanach.

Spojrzał w dół.
- Ech! Dziesiątki, dwudziestki. Dzisiaj to nic nie warte! Papier, tylko papier.
Zbił banknoty w kulkę, ugniatając je swoimi wielkimi dłońmi tam i z powrotem, i wrzucił zgniecione zielone papierki w ogień.

- Masz rację, Królu.

Pierwszy raz odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Zimno ci tutaj, Marie?

- W sam raz, Królu. Mam na sobie płaszcz.

- Kiedy byłem chłopcem, więcej wędrowaliśmy. Z czasów, gdy byłem bardzo mały, pamiętam kilka wozów. Co noc rozbijaliśmy obóz. Pod gołym niebem. Ognisko.

- Tak, Królu.

- Wiesz, jak zostaliśmy stworzeni? Z pyłu, tak jak inni ludzie, ale z pyłu, który wiatr rozwiewał po drodze. Stare zwyczaje są najlepsze.

- Tak, Królu.

- Chciałbym ci opowiedzieć historię z dawnych czasów, kiedy byłem małym chłopcem, ale wiem, że już je wszystkie słyszałaś, wiele razy. Śmiałaś się tylko, kiedy opuszczałaś mój dom. Oglądałaś mnie w telewizji?

Czarownica potrząsnęła głową.

- Nie, Królu. Nie wiedziałam, że masz wystąpić.

- Gdybyś odwiedziła mnie wcześniej, wiedziałabyś o tych rzeczach. Mężczyzna, który występował przede mną, skonstruował śmieszny samochód. Kobieta po mnie wytresowała ptaka. Ja mówiłem, a Feliks grał na skrzypcach. Kazałem sobie zapłacić, chociaż nie chcieli. Nie sądzę, żeby mężczyźni z samochodem albo kobiecie z ptakiem coś zapłacili.

- Wiatr jest za darmo, idź i mów na wiatr.

Zaśmiał się, a jego śmiech był wciąż głęboki, jakby drewniane koła turkotały po kocich łbach gdzieś w okolicy jego serca.

- Nie zapomniałaś. Nie ty! Ty jesteś najlepsza i najmądrzejsza, i najpiękniejsza. - Jego śmiech zgasł. - Ale nie jesteś najbardziej hojna, Marie, nie najbardziej wierna. Przyszłaś mnie odwiedzić, ale nic mi nie przyniosłaś.

- Masz pieniądze, które przyniosłam, Królu. Jak możesz mówić, że niczego nie przyniosłam?

- Nie były nic warte. Spaliłem je. Rzuciła się na niego łkając.

- Jak możesz mówić, że to, co ci dałam, nie było nic warte? Jestem bez grosza! To było wszystko, co miałam.

Odepchnął ją.

- Nie, nie w kieszonkach kamizelki. Między guzikami też nie. - Podniósł trzy pogniecione banknoty.

- Poczujesz mój dotyk?

- Oczywiście, ale przecież wiedziałem, gdzie mam się spodziewać małych paluszków. Kiedy byłem młodszy, potrafiłem odsuwać pieniądze od nich tak, że czuły ich zapach wszędzie, gdzie przeszły, ale nigdy ich nie znajdowały. Teraz zeszywniały mi palce.

- Nie zauważyłam, kiedy zamieniłeś je na zielony papier. Ale ponieważ ja to ja, wiedziałam, że tak zrobisz, Królu.

- Co to znowu za „Królu”? - zapytał stary człowiek.

ROZDZIAŁ 27

Samotne serca

Kolejki na pocztę zrobiły się krótsze niż przedtem. Barnes czekał, żeby kupić kopertę ze znaczkiem, a potem odsunął się na bok, aby ją zaadresować. Włożył do środka trzy wypełnione formularze zamówień, polizał kopertę, zakleił ją i wrzucił do skrzynki na listy.

Kiedy się z tym uporał, kolejka przed okienkiem ODBIÓR LISTÓW I PRZESYŁEK zniknęła. Młodego brodatego urzędnika zastąpił porządnie ogolony grubas. Kiedy Barnes poprosił o swoją pocztę, grubas zniknął, a po chwili wrócił z fioletową kopertą. Barnes podziękował mu i schronił się w holu, gdzie (choć nie stały tu żadne sprzęty) było znacznie cieplej niż na ulicy.

Z pewną ciekawością obejrzał list. Był zaadresowany do niego, do domu Free precyzyjną kobiecą ręką i zapieczętowany czerwonym woskiem. Nie przypominał sobie, by widział kiedyś list zapieczętowany woskiem, chociaż o tym słyszał. Wosk miał pieczęć w kształcie serca. Wsunął palec pod skrzydełko koperty i ku jego zdziwieniu wosk odpadł. W środku był list i zdjęcie młodej kobiety o owalnej twarzy z ciemnymi oczami i ciemnymi włosami obciętymi tuż ponad ramionami. Silna twarz, jak na kobietę, uznał Barnes. Spokojna i może sprytna.

Drogi Osgoodzie Barnes, nie przypomni Pan sobie, kiedy Pan do mnie pisał - dlatego, że wcale Pan do mnie nie pisał. Moja przyjaciółka zamieściła ogłoszenie w pewnej gazecie (myślę, że wie Pan w jakiej) i spotkała cudownego mężczyznę. Odwiedziłam ją dzisiaj i opowiedziała mi o tym. A potem pokazała mi wszystkie listy, które dostała, a ponieważ ona już ich nie potrzebuje, to ja je wzięłam. Większość z nich robi bardzo złe wrażenie, więc odpowiadam tylko na Pański.

Teraz powinnam opowiedzieć Panu o sobie. Tak, to moje zdjęcie w zeszłym roku. Mam teraz dwadzieścia dziewięć lat. Liczę na to, że powie Pan, iż nie wyglądam na tyle. Nigdy nie wyszłam za mąż. To dlatego, że opiekowałam się Mamą, dopóki w zeszłym roku nie umarła, i nie chciałam się wiązać z mężczyznami. Jestem urzędniczką w Biurze do Spraw Indian Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przedtem byłam sekretarką, ale teraz moje stanowisko to asystentka inspektora, więc to tak, jakbym należała do młodszej kadry menedżerskiej. Mam Trzecią Klasę, jeśli to Panu coś mówi.

To tłumaczy bezbłędne maszynopisanie, pomyślał Barnes.

Mój numer do pracy to 636-7100. W domu 896-7357. Niech pan zadzwoni, jeśli jest pan rzeczywiście zainteresowany, to umówimy się gdzieś na drinka.

Zgoda?

Robin

Barnes włożył zdjęcie z powrotem do koperty, a kopertę do kieszeni na piersi marynarki. Przy drzwiach stała stara kobieta i przyglądała się jaskrawym plakatom reklamującym najnowsze znaczki Służby Pocztowej: ranny żołnierz z wojny o niepodległość, generał Wood i Aaron Burr. Barnes wyminął ją.

- Uważam, że nie powinni drukować na nich portretów autentycznych ludzi. A pan? - odezwała się. - Przez to reszta z nas czuje się tak, jakby niewiele znaczyła.

- Cóż, nie znaczymy wiele - odparł Barnes. Gdy zamknęły się za nim wielkie szklane drzwi i chłód uderzył go w policzki, dodał sam do siebie: - A kogóż to my obchodzimy?

Wiatr zaszeleścił w fioletowym papierze. Na rogu stała budka telefoniczna. Przypomniał sobie, że był tu już wcześniej, kiedy poprzednio wychodził z poczty. Znów wszedł do środka, szukając w kieszeni dziesięciocentówek, ale w zagłębieniu na zwracane monety leżało kilka, więc je wykorzystał.

- Biuro do Spraw Indian. Dzień dobry.

To była telefonistka w centrali, oczywiście. Barnes zawahał się, a potem postarał, by zabrzmiało to tak, jakby dzwonił stary przyjaciel.

- Niech no mnie pani połączy z Robin. W telefonie rozległ się sygnał i trzask.

- Dzień dobry, przy telefonie Robin Valor.

- Robin, mówi Osgood, Ozzie Barnes. Wspomniała pani, że mogę zadzwonić do pani do pracy. Może zjemy razem lunch?

Zaczerpnęła powietrza.

- Pan Barnes! Nie przypuszczałam, że pan zadzwoni.

- Proszę mówić do mnie Ozzie, dobrze? Przed chwilą powiedziałem do pani „Robin”. Nie chcę przechodzić na „pani Valor”. To jakby krok do tyłu.

- Naprawdę pan zadzwonił! Nie mogę w to uwierzyć.

- Po tym, jak zobaczyłem ten list i zdjęcie? Niech pani posłucha, Robin, każdy mężczyzna na ziemi by to zrobił.

- Niech mi pan powie... Nie, nie będę pytać. Napisał pan to w swoim liście. Jeśli skłamał pan w liście, skłamałby pan i teraz.

- Wszystko, co było w moim liście, to prawda.

- Nie jest pan żonaty?

- Jestem rozwiedziony. Taka była prawda, kiedy pisałem ten list, i taka jest teraz, w porządku? Jestem rozwiedziony od dwóch, do diabła, teraz to już prawie trzech lat.

- W porządku. - Przez chwilę milczała, ale wyczuła, że nie była to odpowiednia chwila, by się odezwać. - Panie Barnes, Ozzie, bardzo bym chciała zjeść z panem lunch, ale jest kilka spraw, które muszę absolutnie załatwić, a i tak na lunch dostaję tylko czterdzieści pięć minut.

Zaśmiała się.

- Uwierzyłaby pani, że już jestem po lunchu? Pewien mój zwariowany znajomy wyjeżdżał z miasta i chciał coś przekąsić przed wyjazdem. Miałem zamiar tylko wypić kawę i popatrzeć na panią.

- To prawda? Już pan jadł lunch?

- Przysięgam.

- Jest pan komiwojażerem, prawda? Tak pan napisał mojej przyjaciółce.

- To prawda.

- Ciągłe pan mieszka pod tym adresem? Przypuszczam, że tak, bo dostał pan mój list.

- Prawdę mówiąc, przeprowadziłem się. Chwilowo jestem w Consorcie. Na poczcie przechowali dla mnie korespondencję. Jest pani wolna dziś wieczorem?

- Tak... Panie Barnes, Ozzie, nie chcę, by pan pomyślał, że pana naciągam. Ale mieszkam daleko na przedmieściach. Czy ma pan samochód?

- Dostanę się tam, niech się pani nie martwi. Musi mi pani tylko podać adres.

- Nie ma pan samochodu. Tego się obawiałam.

- Akurat nie mam. Pracuję nad nim. Skrzynia biegów. Ale mogę jakiś wynająć.

- Nie. Nie ma powodu, żeby pan tutaj przyjeżdżał. Wychodzę o piątej, ale potrzebuję trochę czasu, żeby się zrobić na bóstwo. Zabiorę pana spod hotelu o ósmej. Zjemy gdzieś kolację, a potem pana podrzucę z powrotem i wrócę do domu. Nie ma pan nic przeciw temu?

- Przeciw? To brzmi fantastycznie!

- To wspaniale, Ozzie. Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy się poznamy. Ale jak ja pana rozpoznam? Jest pan średniego wzrostu i ma wąsy, czy tak?

- Tak. Brązowy płaszcz, garnitur w kratkę.

- Przyjadę szarym Buickiem, Ozzie, poza tym widział pan moje zdjęcie. Chyba będę miała czerwoną sukienkę z dzianiny. Do zobaczenia o ósmej.

Odłożyła słuchawkę. Po chwili zrobił to samo, pocierając szczękę. Podniósł ponownie słuchawkę i wrzucił dwie dziesięciocentówki, a potem wybrał numer Consortu. Telefon w pokoju 777 zadzwonił osiem razy, lecz nikt go nie odebrał.

Wydawało się, że w zrujnowanym domu Free nic się nie zmieniło. Tak jak poprzedniej nocy część fasady stała nadal, choć reszta wyglądała jak ogromny dom dla lalek, bo przez ziejącą wyrwę było widać oba piętra. Trochę świeżego śniegu zakryło ślady, które zostawiła ich czwórka. Barnes przyglądał im się przez chwilę, a potem wszedł do zburzonego domu, zostawiając skrzynkę z próbkami tam, gdzie niegdyś był hol. Niemal przez godzinę chodził po pokojach oraz w górę i w dół schodami, często przebiegając dłońmi po zimnych ścianach.

Gdy w końcu podniósł skrzynkę z próbkami i wyszedł, udał się na skos przez ulicę w stronę starego ponurego domu z kamienia, który stał tam, wydawałoby się, z przygarbionymi plecami, jeszcze węższy i jeszcze bardziej zniszczony od domu Free. Na zaśniedziałej tabliczce na drzwiach można było przeczytać: DR MAKEE. Barnes zapukał.

Ze środka nie dobiegł żaden odgłos i Barnes rozejrzał się w poszukiwaniu dzwonka, ale guzik był pogrzebany pod warstwami farby. Dwaj mali czarni chłopcy jakby wyrosli spod ziemi, by wdrapać się na żółtą maszynę z długą szyją. Barnes zapukał znowu.

Tym razem rozległ się odgłos kroków i drgnęła klamka u drzwi. Po chwili drzwi uchyliły się trochę i ukazała się w nich okrągła twarz zwieńczona kapeluszem panama.

- Jest pan pacjentem? - Mówiący te słowa miał silny katar. Barnes skinął głową.

Na moment zapadła cisza.

- Ja też. Chce pan wejść? Barnes znów skinął głową.

- Ma pan umówioną wizytę?

Barnes starał się wsunąć przód buta między drzwi.

- Nie - powiedział. - Ale muszę się zobaczyć z doktorem. To ważna sprawa.

Mężczyzna o czerwonej twarzy kiwnął głową.

- Cóż, jeśli nie jest pan umówiony, to chyba może pan wejść.

Otworzył drzwi. Barnes wszedł do środka i znalazł się w dziwacznej małej poczekalni. Wzdłuż jej ścian stało dziewięć podniszczonych krzeseł z ciężkiego drewna, upstrzonych czasopismami w podeszłym wieku. Ściany pokrywała ciemna tapeta i jeszcze ciemniejsze obrazy. Mała dziewczynka, która z niepokojem stała obok starego mężczyzny, wsłuchanego w bicie serca jej lalki, psy grające w bilard. Mężczyzna o czerwonej twarzy kichnął i spojrzał z powątpiewaniem na skrzynkę z próbkami Barnes'a.

- Jest pan pacjentem? Barnes przytaknął.

- Nie jest pan komiwojazerem?

- Jestem komiwojazerem - rzekł Barnes. - Ale nie jestem tu po to, żeby coś sprzedawać doktorowi. Odwiedzałem moich klientów i wstąpiłem, żeby się z nim zobaczyć.

Mężczyzna o czerwonej twarzy wahał się przez chwilę, a potem usiadł na jednym z krzeseł. Oprócz panamy miał na sobie hawajską koszulę, bermudy i sandały.

- A pan? - zapytał dociekliwie Barnes.

- Psychiczny, to pan miał na myśli, co? Nie, nie jestem wariatem. Przeziębłem się.

Barnes zachował się dyplomatycznie.

- Pomyślałem po prostu, że może pan tu mieszkać. Chodzi mi o to, że nie wyszedłby pan na dwór tak ubrany.

- Jasne, że wyszedłbym, cholera - rzekł mężczyzna o czerwonej twarzy. - Chce pan wiedzieć, gdzie zaparkowałem samochód? Prawie dwie ulice stąd. - Wsunął dwa palce do kieszeni koszuli i wydobyl etui na wizytówki, z którego wyciągnął jedną. - Sim Sheppard to moje nazwisko. Jestem przedstawicielem „Osiedla Słońca” na Florydzie. Wybrał już pan sobie dom, w którym zamieszka pan na emeryturze?

- Oczywiście - odparł Barnes. - Moja małżonka i ja jedziemy do Arizony. Jesteśmy już właścicielami domu. Ona ma dokuczliwą astmę. Zabrałem ją raz na Florydę i do diabła, o mało nie umarła. Każą panu tak się ubierać?

Przez moment wydawało się, że Sim Sheppard zastanawia się nad tym pytaniem.

- Nie powiedziałbym, że mi każą. Zawsze mógłbym odejść albo co, poza tym tak naprawdę nie ma takiego obowiązku. Tylko że wszyscy tak robią i w ten sposób sprzedaje się znacznie więcej. Ludzie patrzą, jak idziesz ulicą tak ubrany i zamarzasz na śmierć, i mówią sobie, hej, przecież on mógłby właśnie tam być i czułby się świetnie w takim stroju. Hej, ja sam mógłbym tam być i łązić cały czas tak ubrany. - Sheppard urwał, by wytrzeć nos o nagie przedramię. - Albo może oni wcale nie wypełnili naszego kuponu ani nic, a ty właśnie wchodzisz, taki zmarznięty. Niemal każdy cię wpuści do domu, kiedy stoisz przed frontowymi drzwiami w szortach i butach plażowych na śniegu.

- Pewnie nie powinienem patrzeć na pana z góry - odparł Barnes. - Pewnie wyciąga pan dwa razy tyle co ja. Nie nosi pan czasem kalesonów i cieplej koszuli z obciętymi nogawkami i rękawami, czy coś w tym rodzaju?

- Absolutnie nie. - Sheppard odpiął guziki koszuli i rozchylił ją, by odsłonić pomarańczową podkoszulkę z napisem: MAM W BUTACH PIASEK, PRZYJEDŹ DO SŁOŃCA. - Nie ma tu żadnej sztuczki, a to nie jest wcale wyjątkowo ciepła podkoszulka. Czasami ludzie tak myślą. Żadnych drucików czy baterii. - Znów wytarł nos i pociągnął nim. - To tylko zwykła bawełna, taka sama, jaką pan miałby właśnie na sobie, gdyby pan przyjął naszą ofertę, żeby za darmo odwiedzić Florydę, poza kosztami przelotu. Dwie darmowe noce w Dworku Słońca - pływanie, łowienie ryb, tenis i badminton, wszystkie posiłki wliczone.

- Jeśli moja żona wyleczy się z astmy, wezmę pana za słowo.

- Kapelusze to mój największy problem. Zawsze ma się ochotę je włożyć, bo trochę chronią przed wiatrem i pomagają ogrzać głowę, ale nie wytrzymują śniegu. Jeszcze do wczoraj miałem taki z włókien kokosowych, który cholernie lubiłem, ale kiedy wkładałem go dziś rano, pół runda zostało mi w ręce. Musiałem wygrzebać z szafy tę panamę. Wie pan, trzeba kupować kapelusze i wszystko inne na zapas. Nie można tego dostać w zimie, w każdym razie nie przed świętym Walentym.

Sheppard zakaszłał.

- Wielu ludzi pracuje w pana agencji?

- Teraz to tylko trzech. Na początku było siedmiu, zanim nastaly mrozy. Zima to najlepsza pora do sprzedawania, bo wtedy wszyscy tylko marzą, żeby się stąd wynieść w cholerę. Tak mówi nasz kierownik i to jest szczerą prawdą. „Kiedy się robi zimno, prawdziwy zuch rusza do akcji, a pieniądze płyną strumieniem.” Ale jak tylko zaczynają się chłody, zaraz ktoś odpada, to pewne jak w banku, a jak temperatura spada poniżej zera, zawsze odpada jeszcze jeden czy dwóch.

Wyciągnął z kieszeni szortów brudną chusteczkę i wydmuchał nos.

- Nie zna pan przypadkiem pani nazwiskiem Baker?

- Owszem, tak mi się wydaje. Starsza pani z kotem, mieszka po drugiej stronie ulicy. Byłem u niej wczoraj. Dlaczego pan pyta?

- Tak się zastanawiałem. - Barnes spojrział jeszcze raz na wizytówkę, którą dostał. -
Pensja i procent?

Sheppard potrząsnął głową.

- Sam procent.

- Och! - Barnes wsadził wizytówkę do kieszeni.

- A pan?

- Zjednoczone Hurtownie Nowinek - rzekł Barnes. - Sam procent.

- W ciężkich czasach żyjemy, kolego.

Barnes pokiwał głową i przez chwilę siedzieli w milczeniu, każdy zamknięty w swoim prywatnym piekle. Potem z gabinetu lekarskiego dobiegło ciche mruczenie doktora, podnoszące się i opadające, jakby udzielał wykładu jednoosobowej klasie.

Barnes znalazł wystrzępiony egzemplarz *National Geographic*. Nie miał ochoty na lekturę (już nigdy nie miał na to ochoty), ale otworzył magazyn i przekartkował obrazki. Pokazywały Afrykę bez zgiełku miast i koszmaru zbrodni. Szerokie, nie zamieszkane równiny schodziły ku gładkim brązowym jeziorom. Były tam słonie i nosorożce.

Skurczona siwa kobieta wyszła z gabinetu przyjąć i Sheppard pochylił się, żeby wyszeptać:

- Powiniennem powiedzieć jej o naszych Domkach Wieczności: trwały dom na całe życie i miejsce wiecznego spoczynku, kiedy życie dobiegnie końca. Łóżka można dowolnie zmieniać, więc jeśli dzieciaki zechcą, mogą dołączyć do ciebie, kiedy nadejdzie ich czas.

Stary doktor wyjrzał, przerzucając wzrok z Barnes'a na Shepparda. Ubrany był w fartuch lekarski, a na głowie miał przywiązany reflektor w kształcie pączka. Sheppard wstał i wszedł do środka. Po chwili Barnes usłyszał, jak kaszle.

ROZDZIAŁ 28

Ach! Westchnął autobus

Autobus, który właśnie skręcał, kiedy Barnes wyszedł z dworca z marynarzem, stał teraz cichy i opuszczony za szerokimi szklanymi drzwiami. Pasażerowie, którzy wysypali się z niego, już się prawie rozeszli. Większość z nich poniosła swój bagaż do taksówek, do samochodów krewnych, do miejskich autobusów albo też wprost przed siebie oblodzonymi ulicami miasta. Chłopiec w wieku około siedmiu lat, w czarnych butach, granatowych spodniach, białej koszuli i granatowej marynarce z naszytym herbem stał opuszczony obok swej małej walizki. Na ławce, na której wcześniej rozwalał się Reeder, spał stary mężczyzna w brudnym szarym swetrze.

Candy po wielkopańsku zapłaciła taksówkarzowi banknotami. Teraz odkryła, że nie ma monet, za które mogłaby wynająć skrytki do bagażu. Przeszła przez dworzec do stoiska z czasopismami i poprosiła sprzedawcę, żeby rozmienił jej banknot.

- Jasne - powiedział. Potem, wygrzebując monety z kasy, dorzucił: - Nigdy nie widziałem cię tutaj tak wcześnie.

Candy zastanawiała się przez moment.

- Tak, musiałam tu być kilka razy, późno wieczorem. Szukałam kogoś.

- Zwykle udawało ci się go znaleźć - rzekł sprzedawca. Był to mały, łysy, zasuszony mężczyzna z haczykowatym nosem i pod wpływem nagłego impulsu Candy pocałowała jego łysą głowę, kiedy wręczył jej drobne. Całus pozostawił wyraźny szkarłatny ślad na jego czaszce. - Hej! Co cię napadło?

- Dziś rano też go znalazłam - odparła Candy. Oparła się o kiosk i spróbowała wypiąć biodra w jedną stronę, jak modelka z *Cosmopolitan*. - To ty nim jesteś, kotku. Zabierzesz mnie gdzieś i postawisz mi homara i szampana, a potem pójdziemy do ciebie i będziemy słuchać płyt z twojej kolekcji. Całą noc.

- Jak cholera - rzekł agent. - Tak czy owak, laluniu, za wcześnie na kolację. Ledwie trochę po dziesiątej.

- Niech ci będzie. Lunch z szampanem. Lunch od teraz do północy.

- Nie wyglądasz, jakby był ci potrzebny.

- Ja nie, ale ty tak. - Candy podniosła migdałowy batonik. - Dajesz je za darmo? Mnie, oczywiście?

- Jak cholera. Pięćdziesiąt centów.

Kiedy oddała sprzedawcy dwie monety ćwierćdolarowe, ktoś pociągnął ją za spódnicę.

- Psze pani, nie widziała pani mojego tatusia? Candy spojrzała w dół na chłopca.

- Nie, obawiam się, że nie. Ale na twoim miejscu, brzdącu... - Zawahała się na moment, wbijając w niego wzrok. - Może widziałam. Jak się nazywasz?

- Osgood M. Barnes.

- Och, Chryste - rzekła Candy. A potem jeszcze raz. - Och, Chryste.

Ajent odwrócił się plecami, dając ostentacyjnie do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z dziećmi zagubionymi na stacji autobusowej. Candy wzruszyła ramionami, wzięła jeszcze dwa batoniki migdałowe i wrzuciła je do torebki.

- Widziała pani mojego tatusia? - zapytał znowu chłopiec.

- Mhm. Jak twoja matka mówi do ciebie?

- Ozzie albo Mały Ozzie.

- Dobra. Wiesz co, Mały Ozzie, do twojego taty mówię Ozzie, więc do ciebie będę mówić Mały Ozzie. W ten sposób was odróżnię. Chcesz połówkę mojego batonika?

Mały Ozzie pokiwał głową.

- Chodźmy tam i usiądźmy na tych ławkach. Jadłeś dziś jakieś śniadanie?

Chłopiec przytaknął.

- Bardzo wcześnie. Nawet na dworze jeszcze nie było jasno.

- A co było? Na śniadanie, oczywiście.

- Płatki kukurydziane.

- Mhm. A potem twoja matka zabrała cię i wsadziła do autobusu, tak? I powiedziała ci, że twój tata będzie tutaj czekał?

Chłopiec skinął głową.

- Ja znam twojego tatę, Mały Ozzie.

- Zna go pani? - Jego usta były pełne słodkiego kokosa.

- Jasne, że znam. Nazywam się Candy Garth i jestem jedną z najlepszych przyjaciółek twojego ojca.

- On pani powiedział, żeby pani tu przyszła i mnie zabrała?

- Mhm. Przyszłam tutaj przypadkiem, bo chciałam wsadzić tę wielką starą walizkę do jednej z tych skrytek. Zaraz to zrobimy i twoją też tam możemy włożyć, żebyś nie musiał nosić jej ze sobą, póki się gdzieś nie urządzą. Czy twój tata wie, że miałeś przyjechać?

- Chyba tak.

- Cóż, trochę mnie to dziwi, bo ani razu mi o tym nie wspomniał, a myślę, że by to zrobił. Rano rozmawialiśmy o tym, co mamy zamiar dzisiaj robić. Czy twoja mama napisała do niego list?

- Powiedziała, że zadzwoni do niego, kiedy już będę w autobusie - wyjaśnił chłopiec. - Nie chciała go budzić, bo było bardzo wcześnie.

- Mhm. Tylko założę się, że myślała, iż on ciągle mieszka u pana Free. Zabrali stamtąd telefon. Wygląda na to, że miała coś bardzo ważnego do załatwienia, skoro wsadziła cię samego do autobusu, nie upewniwszy się najpierw, że ktoś cię odbierze.

- Miała gdzieś jechać z wujkiem Mike'iem.

- Mhm. Czy mówiła, kiedy wróci?

- Niebawem.

- Mhm.

Candy siedziała w milczeniu, patrząc na chłopca nie widzącymi oczyma błękitnymi jak filiżanki, gruba, różowa dziewczyna w białym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym i porządnej czerwonej wełnianej sukience, która wyglądała odrobinę za staro jak dla niej.

Chłopiec odpowiedział na jej spojrzenie oczyma ciemnymi jak oczy ojca. W jego wysokim, kwadratowym czole i niewinnym, a zarazem sprytnym wyrazie twarzy, też było wiele z ojca.

- Chyba obiecałam ci jakieś słodczyce, prawda?

Zapominając o poprzedniej połówce batonika, Candy przeszukała torebkę i wyjęła jeden z ukradzionych batoników migdałowych.

- Proszę. Weź batonik od słodkiej Candy. W ten sposób nie zapomnisz, kim jestem. Candy Garth.

Chłopiec powiedział „dziękuję”.

- Będę miała dzisiaj dość pracowity dzień, Mały Ozzie. Chcę powiedzieć, że wolałabym nie ciągnąć cię za sobą, kiedy będę to wszystko załatwiać, ale przysięgam na Boga, że nic innego nie przychodzi mi do głowy, a przynajmniej nikt taki, u kogo mogłabym cię zostawić. Wieczorem mam się spotkać z twoim tatą i...

- Spotkać się z tatą?

- Tak, mamy się wszyscy spotkać w Consorcie, to taki hotel. Potem nie wiem, co też, do diabła, mamy ze sobą zrobić. I przedtem chcę znaleźć jakiś nocleg. Zobaczymy. W każdym razie chciałam powiedzieć, że możemy nawet wpaść na niego wcześniej. Nigdy nic nie wiadomo. Tymczasem będziesz musiał po prostu powłóczyć się za mną. Mam teraz pojechać do szpitala, żeby porozmawiać z kimś, kogo kiedyś pomogłam leczyć. Jest trochę chory. Chcesz pójść ze mną?

- Zgoda.

- Świetnie. Chodź, pomożesz swojej drogiej Candy wsadzić bagaż do skrytki. Możesz mi nawet pomóc dostać się do tego kogoś, wytłumaczę ci to po drodze.

Szpital Belmont był wielką stertą szarego kamienia, pomnikiem zapałów konstrukcyjnych minionego wieku (tak jak na swój sposób był nim dom Bena Free). Stalowe i szklane drapacze chmur tego wieku rzuciły cień na jego osiem pięter, ale on mówił każdym ze swoich wykuszy okiennych z grubego kamienia: *Pozostanę, kiedy ich już nie będzie. Kiedy łopaty uczonych oczyszczą moje ściany z próchna, w które w końcu zmieni się to miasto, ja jeszcze będę cały. Będę trwał na wieki.* Belmont był psychiczny, oczywiście, ale możliwe, że miał rację, jak to często się w końcu okazuje w wypadku wielu szaleńców. Żółta maszyna z długą szyją mogła walić w granatowe bloki całymi tygodniami i tylko je oszpecić. A kto ośmieliłby się użyć dynamitu, skoro tak blisko stały stalowe i szklane wieżowce? I tak przy każdym silnym wietrze wypadały z ich okien szyby wysokie na osiem stóp.

Candy i chłopiec weszli po szerokich stopniach Belmonta, jakby mieli tam ważną sprawę do załatwienia. Chłopiec podskakiwał przodem, może dlatego, że czekolada, migdały i kokos odbudowały jego energię, a może tylko dlatego, że zasiliło ją trochę uczucia, przytulenie w autobusie. Candy mozolnie wspinała się za nim z policzkami wydętymi jak u Boreasa i czerwonymi jak dwa jabłuszka.

- Jestem jego siostrą - powiedziała pielęgniarka w środku. A potem, przypominając sobie, że nie wygląda ani trochę jak sierżant Proudny: - Nie jestem prawdziwą siostrą, ale tak zawsze mówiliśmy. Oboje byliśmy adoptowani.

- Nie wiem zatem, czy jest pani jego krewną, czy nie - zauważyła pielęgniarka z powątpiewaniem.

Była bladą kobietą o ostrym podbródku i nieporządnym czarnym włosach.

- W świetle prawa, owszem - oznajmiła zdecydowanie Candy. - W świetle prawa jestem jego siostrą. Mamy wspólnego ojca i matkę, pana i panią Johnową Proudny. - Żałowała już, że cokolwiek dodała po swoim pierwszym oświadczeniu.

- Chodzi mi o więzy emocjonalne. W końcu to właśnie powinniśmy brać pod uwagę, prawda? Jeśli mamy wpuszczać odwiedzających i niepokoić pacjentów i zakłócać pracę szpitala, to tylko dlatego, żeby to dobrze zrobiło pacjentom. A uważamy, że dobrze im robi wizyta kogoś, z kim są związani emocjonalnie. - Odwróciła się w stronę końcówki komputera, a jej palce zatańczyły na klawiszach.

- Musi być znacznie starszy od pani. Ma czterdzieści dwa lata.

- Ja mam dwadzieścia jeden - rzekła odruchowo Candy.

- To ponad dwadzieścia lat.

- On zawsze był dla mnie kimś w rodzaju kochanego starszego brata - fantazjowała desperacko Candy. - Zabierał mnie na ryby. W ciepłe dni chodziliśmy na mecze.

- Baseballowe? - Pielęgniarka wyglądała na zainteresowaną. - Pani to lubi?

- Mecz nigdy mnie za bardzo nie obchodził, ale lubiłam hot dogi i napoje. Był tam taki sprzedawca, który dodawał do parówki kiszony kapusty, jeśli się poprosiło.

- Kiszona kapusta zwykle symbolizuje owłosienie łonowe - zauważyła w zamyśleniu pielęgniarka. - A symbolizm falliczny jest aż nadto oczywisty.

- Niech się pani zamknie - wyrwało się Candy. - Nie mówiłam nic nieprzyzwoitego. Jestem tutaj z dzieckiem. - Podniosła Małego Ozzie'ego i posadziła na kontuarze. - To synek sierżanta Proudny'ego, mój bratanek Oswald.

- To niezwykle ważne, żeby dzieci nauczyły się rozpoznawać własne potrzeby psychoseksualne.

- Niech no pani słucha. - Candy przechyliła się przez kontuar z twarzą czerwiejszą niż przedtem na schodach. - Mam pani potąd. Czy wpuści mnie pani, żebym się zobaczyła z bratem?

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Nieuzasadniona złość prawdopodobnie oznacza u pani niedosyt orgazmu. Powinna pani odwiedzić psychoterapeutę. Ile czasu upłynęło, odkąd miała pani satysfakcjonujący związek seksualny? Chodzi mi o mężczyznę, który nie przypominał pani ojca?

- Ty głupia suko, myślisz, że powinnaś tak mówić przy małym dziecku? Ty nędzna flądrowo!

Candy sięgnęła przez kontuar i złapała pielęgniarkę za wykrochmalone poły fartucha. Jak wielu grubych ludzi, Candy była silniejsza, niż wyglądała, i potrzasała pielęgniarką tak długo, aż ktoś nie wygiął jej ramion do tyłu.

- Dziękuję, Parker - rzekła pielęgniarka.

- Nie ma za co - zaciągnął głos za plecami Candy. A potem nagle dodał: - Au! Kopie mnie! Ten mały chłopiec mnie kopie!

Mały Ozzie kopnął go jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, w powietrzu śmigły czarne buty z kwadratowym czubkiem, po małych policzkach płynęły strumieniem łzy. Candy szamotała się w ramionach porządkowego, rzucając słowa, których żadne dziecko nie powinno usłyszeć.

ROZDZIAŁ 29

Obywatele ulicy

„W ścianie”, mruknął do siebie Stubb. Szybko, ale systematycznie zbadał wszystkie mury, zapalając zapalki, by móc rzucić okiem na ściany, do których nie docierało światło słońca. Znalazł świecę Free i zapalił ją, uśmiechając się z goryczą na widok śladów stóp, zostawionych na śniegu przez Barnesa i czarownicę. Co jakiś czas rozbijał tynk młotkiem, który odkrył w schowku na miotłę. Nie znalazł żadnego biletu, żadnego skarbu, żadnego sejfów czy skrytki w ścianie.

Znużony, podszedł do domu po drugiej stronie posesji pani Baker i zapukał. Chuda młoda kobieta w poplamionej podomce podeszła do drzwi, niosąc na rękach niemowlę, które piszczało wściekle jak klozet z zepsutą uszczelką.

- Przepraszam - rzekł Stubb. - Mam nadzieję, że go nie zbudziłem.

- Jeszcze nie spała. Niech się pan nie przejmuj.

- Och, to dziewczynka. - Stubb połaskotał podbródek niemowlęcia. - Czyż nie jest śliczna!

- Ma na imię Melissa.

- Coś takiego! Posłuchaj, Melisso, jestem detektywem i muszę zadać twojej mamie kilka pytań na temat pewnego samochodu. Czy mogę wejść?

Młoda kobieta szeroko otworzyła usta.

- Niech no pan poczeka. Naprawdę jest pan detektywem?

Stubb wyjął odznakę z kieszeni, otworzył ją na moment i znów zamknął.

- Nie chodzi ani o panią, ani też o pani rodzinę - wyjaśnił. - Chcę tylko zapytać o kilku ludzi, którzy wczoraj wieczorem odwiedzili sąsiedni dom.

- Dobrze. - Młoda kobieta cofnęła się. - Czy ja nie widziałam tu przedtem pana w okolicy?

- Jasne - odparł Stubb. - Z dziesięć razy byłem o dwie posesje stąd, zanim zburzyli ten dom.

Młoda kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem. Jej dom był mniej czysty niż domy pani Baker oraz Free i pachniał ekskrementami.

Stubb usiadł na zielonym plastikowym krześle przy stole w kuchni.

- Chcę, żeby skupiła się pani na sąsiednim domu. Po tej stronie. Wie pani, o który mi chodzi? Mieszka tam taka starsza pani.

- Chyba wiem. Czasem widzę, jak robi zakupy. Nie wiem, jak ma na nazwisko. Czy coś jej się stało?

- Nie, miewa się świetnie, właśnie z nią rozmawiałem. Wczoraj wieczorem parkował przed jej domem czterodrzwiowy samochód ciemnego koloru. Musiał stać tam mniej więcej od szóstej do ósmej. Niech się pani cofnie pamięcią. Widziała go pani?

Młoda kobieta potrząsnęła głową.

- Wychodziła pani na dwór wczoraj wieczorem?

- W tym cały problem. Poszliśmy do mojej mamy i zostawiliśmy u niej Melissę, a potem wybraliśmy się do kina. Ed wrócił z pracy o piątej i zaraz potem wyszliśmy z domu.

- Pani nie pracuje?

- Nie, odkąd pojawiła się Melissa. Postanowiliśmy, że wezmę przynajmniej z rok urlopu.

- O której państwo wrócili z kina?

- Może o dziesiątej. Widzi pan, musieliśmy dojść do mamy, potem z nią zjedliśmy, potem poszliśmy do kina, a potem siedzieliśmy u niej jeszcze jakiś czas i opowiadaliśmy jej o filmie. To było *Coś dziwnego*. Tak się nazywał ten film.

- Dobrze się rozerwać raz na jakiś czas. Wiem jak to jest siedzieć cały czas w domu i zajmować się małym dzieckiem. Podobał się pani film?

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Wystraszyłam się jak nie wiem co. Całą noc przytulałam się do Eda.

- Niech pani uważa, bo nigdy pani nie wróci z urlopu. To jeden z tych filmów o duchach, nie?

Przytaknęła z entuzjazmem.

- Właśnie, stary dom na skale w Nowej Anglii. Barbara Delacourt odpowiada na ogłoszenie, że szukają kogoś, kto zajmie się domem. Rozumie pan, ona ma go pilnować, kiedy właściciele są w Europie. Ale ona nie wie, że ten dom zjada ludzi i że oni tak robią co jakiś czas, aby go nakarmić. Raz chciała zajrzeć do szafy, a ubrania, które tam wisiały, i wszystkie pudełka z butami, zamieniły się w zęby. Wczołgałam się pod fotel.

- Niepotrzebnie się pani przejmowała, głównej gwiazdce nigdy nic się nie może stać przed końcem filmu. Ale, jak już mówimy o domach, w których straszy, nie zauważyła pani nic dziwnego o dwa domy stąd?

- Nic poza tym, że go rozbierają. Ten też mają zamiar rozebrać i ten obok także. Powiedzieli, że poinformują nas, kiedy to będzie. Ed i ja wynajmujemy go tylko, ale szukamy już czegoś innego, może jakiegoś mieszkania, jeśli właściciel zgodzi się na Melissę.

- Posuwają się bardzo wolno, skoro zaczęli pracę u Free, a państwu jeszcze nawet nie powiedzieli, kiedy dom zostanie zburzony.

- To oni nazywają się Free? Dom naprzeciwko tych Free też jest do rozbiórki.

- Dom doktora?

- Nie, jego jest naprzeciwko nas. Chodzi mi o tamten naprzeciw domu Free. Tylko że przy tym strajku to może długo potrwać.

- Nie wiedziałem, że jest jakiś strajk.

- To ci faceci od rozbiórek. Poszli sobie wczoraj wieczorem. Dlatego dzisiaj nikt nie pracuje. Jakiś facet został ranny, kiedy zaczęli robotę. Jakiś gliniarz. Mam na myśli policjanta.

- Tak, rozumiem.

- Była o to wielka afera. Przyjechała telewizja. Potem coś się stało jeszcze dwóm facetom od rozbiórki, a reszta sobie poszła. Niebezpieczne warunki pracy, tak przypuszczam.

- Rozumiem. - Stubb wstał z uśmiechem. - Niech pani słucha, widzę, że jest pani zajęta przy dziecku i nie chcę zajmować więcej czasu. Bardzo mi pani pomogła. Gdyby siły prawa i porządku częściej mogły liczyć na współpracę dobrych obywateli takich jak pani, cóż, nie byłoby w tym mieście tak źle, jak jest teraz.

Młoda kobieta skinęła skromnie głową.

- Panie władzo, był pan po prostu kimś miłym, z kim można porozmawiać. Taka mała przerwa w codziennych zajęciach.

- Dzięki. Niech pani posłucha... Ten samochód, o którym pani mówiłem. Nie wiem, kiedy tu wrócę, ale wrócę. Jeśli go pani zobaczy, niech mu się pani dobrze przyjrzy i zapisze numer rejestracyjny, dobrze? Niech pani spróbuje zobaczyć, kto w nim siedzi.

Mężczyzna, który otworzył następne drzwi, był potężnym Murzynem i ziewał. Miał na sobie podkoszulkę i białe gatki-bokserki. Kiedy Stubb pokazał odznakę, złapał go za przegub.

- Hej, kolego, niech się temu przyjrzę. Tu jest napisane PRYWATNY DETEKTYW. Nie jesteś prawdziwym policjantem.

- Czy mówiłem, że jestem policjantem?

- Jasne, że tak. - Murzyn wyciągnął odznakę z dłoni Stubba. - Zabieraj tę nogę z moich drzwi.

- Nie, nie mówiłem. Powiedziałem, że jestem detektywem. I jestem. Jestem prywatnym detektywem, właśnie tak, jak jest napisane na blaszce. Chciałbym porozmawiać z tobą przez chwilę.

- Znalazłeś ją w jakimś katalogu sprzedaży wysyłkowej?

- No jasne. Gdzież bym indziej dostał taką odznakę? Jest taka firma w Kalifornii.

- Zostaw moje drzwi w spokoju. - Murzyn pociągnął drzwi do siebie, chcąc nimi mocno trzasnąć, ale Stubb wślizgnął się natychmiast do środka. Murzyn powiedział: - Koleś, co ty sobie myślisz?

- Powiedziałeś, żebym zostawił twoje drzwi w spokoju, więc to zrobiłem. Muszę z tobą pogadać i pomyślałem sobie, że pewnie umieras z zimna, stojąc tam w bieliźnie.

- Obudziłeś mnie, koleś. Spałem. Pracuję na trzecią zmianę w tym tygodniu.

- Tak? A co robisz?

- Twój interes? Mały człowieczku, wiesz, że jakbym chciał, mógłbym cię przezuć i wypluć.

- Jasne, ale tego nie zrobisz. - Stubb rozejrzał się po pokoju, a potem usiadł na krześle o prostym oparciu tuż koło jedyne fotela, który wyglądał na wygodny.

- Powiedz no, a czemu nie? Jezu, zimno tutaj.

- Bo wiesz, że jestem prywatnym gliną i mogę mieć przy sobie broń.

- A masz?

Stubb wyciągnął wymiętoszoną paczkę papierosów i poczęstował Murzyna.

- Gdybym ci powiedział, i tak nie byłbyś pewien, czy możesz mi wierzyć.

- Pewnie masz rację. - Murzyn przyjął papierosa i pochylił się nad zapalką Stubba. - Proszę. - Rzucił odznakę na kolana małego mężczyzny. - Zabierz to sobie. Idę wziąć sobie jakiś koc. - Po minucie wyłonił się z głębi domu z gładkim, ciemnozielonym kocem narzuconym na ramiona. - Jak ci się to podoba? Zobacz no, jaki ze mnie supermen. Kupiłem sobie ładny, ciepły szlafrok, już jakiś czas temu, ale coś mi się na niego wylało. Moja stara go namoczyła. No więc po co tu przylałeś, zbudziłeś mnie i zawracasz mi głowę?

Stubb opowiedział o samochodzie.

- Nie widziałem go. Tak czy inaczej, nigdy nie zwracam za dużo uwagi, co też tam porabiają sąsiedzi. Jeśli im się przyglądasz, a oni robią coś nie tak, to cię dopadną. A jeśli nie robią nic złego, to po co im się przyglądać?

- Będziesz trzymał dla mnie oczy otwarte, tak czy owak? Zajrzę do ciebie w weekend, kiedy nie musisz spać.

- Koleś, w weekendy to ja śpię do południa.

- To zajrzę po południu. - Stubb podniósł się.

- Nawet nie wiesz, jak się nazywam. Jestem Buster Johnson.

- Jim Stubb. Ktoś mi kiedyś o tobie wspominał, chyba sprzedawczyni ze spożywczego, który jest otwarty całą noc. Powiedziała, że twarżel z ciebie.

- Dobrze ci powiedziała. To święte słowa.

- Na takiego wyglądasz.

- Widzisz tę bliznę? - Johnson dotknął twarzy jednym palcem. - To rozbita butelka od piwa. Jakbyś ty miał taką bliznę, koleś, małe dzieci uciekałyby przed tobą na ulicy. Na czarnym tak nie widać.

Stubb pokiwał głową.

- Przykra sprawa.

- Och, nie wiem. Zależy, czy wolisz odstraszać mężczyzn, czy przytulać kobiety. Myślę, że ja wolałbym przytulać.

- W tym samochodzie, o którym ci mówiłem, były dwie kobiety. Jeśli masz oko na fajne babki, mógłbyś to wykorzystać, żeby im się trochę przyjrzeć.

- Ano mógłbym. Szczególnie, gdyby znalazło się coś dla Bustera...

- Nie mam pieniędzy, żeby je rozrzucić na prawo i lewo w tym śledztwie - rzekł Stubb. - Ale może później coś się znajdzie. Jeśli coś zobaczysz, daj mi znać, to zobaczymy, co się da zrobić.

Gdy schodził po oblodzonych schodach na chodnik, Johnson krzyknął za nim:

- Koleś, ty naprawdę masz gnata?

Następne drzwi otworzył kłown. Jego nosem była czerwona gumowa piłeczka. Reszta długiej, gładkiej, owalnej twarzy była tak biała, że niemal promieniowała światłem. Szkarłatne łyzy w kształcie odwróconych serc kapały mu z oczu. Zamiast kołnierzyka miał szeroką kryzę, która przyniosłaby zaszczyt elżbietańskiemu dżentelmenowi, a za guziki jego białej bluzy służyły pompony.

- Tak? - powiedział.

- Jestem detektywem. Chciałbym z panem porozmawiać. Kłown kiwnął głową. Stubbowi było trudno powiedzieć, jaki wyraz twarzy, jeśli w ogóle miał jakiś wyraz twarzy, krył pod smutnym tłustym makijażem.

- Domyślam się, że sąsiedzi się skarżyli - rzekł kłown.

- A na co, pana zdaniem, mieliby się skarżyć? - zapytał Stubb wchodząc do środka.

Pokój nie był salonem, bawialnią, jadalnią ani nawet sypialnią. Sprawiał raczej wrażenie, że jest na pół składem towarów, a na pół sklepem. Wszędzie sterty dziwnych ubrań, maski wiszące u sufitu, malowane balie, kufry i skrzynie.

Ze zdumiewającą zwinnością kłown wskoczył na wierzch trumny wyglądającej zbyt teatralnie, by mogła być prawdziwa.

- Przykro mi, że nie ma pan gdzie usiąść - powiedział. - Może uda się panu znaleźć jakieś miejsce.

- Postoję - odparł Stubb. - Dużo ostatnio siedziałem.

- Co oni mówią?

- Pana sąsiedzi? Myślę, że sam pan wie.

- Oczywiście. „Wyrzucić stąd tego kłowna!” „Rozwiać go w powietrzu jak marzenie!” „Jest zagrożeniem dla społeczeństwa.”

Wyciągnął czerwoną chusteczkę i udał, że wyciera swój gumowy nos. Z chusteczki wyleciał papierowy motyl na gumce i okrążył pokój, uderzając w wełniane kielbasy i gigantyczne buty pomalowane tak, by przypominały bose stopy.

- Jak pan się nazywa?

- Nimo. Kłown Nimo.

- Świetnie, Nimo. A jak ludzie na ciebie mówią, kiedy nie nosisz makijażu?

- Pan rozumie, prawda? Przynajmniej trochę. Nazywają mnie Richard A. Chester. Tak się nazywam, kiedy śpię.

- Jasne, rozumiem, Nimo. Z czego żyje Richard A. Chester? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby mi powiedzieć.

- Z niczego - rzekł kłown. Z kciuków i palców wskazujących zrobił kółko.

- On tylko tak się kręci, to tu, to tam?

- No właśnie! - Kłown uśmiechnął się szeroko i zaklaskał w dłonie, zachwycony. - I robi dla mnie zakupy i czasem za mnie je. I śpi za mnie.

- Nie przypuszczam, żeby tak się kręcił wczoraj wieczorem po ulicy, co? Powiedzmy, gdzieś pomiędzy szóstą a dziewiątą?

- Wątpię. Było za zimno. Ale musiałby go pan zapytać.

- Zapytać Dicka?

- Richarda. Nie lubi, jak się na niego mówi Dick.

- Rozumiem go. Też bym nie lubił. Domyślam się, że gdybym wrócił tutaj trochę później, to pewnie mógłbym z nim porozmawiać?

- Mógłby pan.

- Może tak zrobię, ale skoro już cię tu mam, Nimo, jest coś, o co chciałbym cię spytać.

Znasz ten dom, cztery posesje stąd, ten, który burzą?

Kłown kiwnął głową.

- Czy mógłbyś mi coś o nim opowiedzieć? Kłown znowu kiwnął głową.

- Oni nie mają dzieci.

ROZDZIAŁ 30

A teraz wiadomości

Stoisko z prasą było tak wąskie, że w ogóle nie przypominało sklepu. Wcisnęło się pomiędzy bar z zakąskami i pralnią chemiczną, jakby ktoś, kto miał niewielki skrawek wolnej przestrzeni i odrobinę pieniędzy, ale nieświadomy praw handlu, założył je, by udawało prawdziwy sklep. Czuło się, że mogły tu być na sprzedaż tylko bardzo cienkie pisma wypełnione zdjęciami bardzo szczupłych brunetek w ramionach owłosionych mężczyzn, tylko cienkie gazety sprzed dwóch miesięcy z mieścin zabitych deskami i cienkie obcojęzyczne tygodniki tajemniczych mniejszości z krajów wschodniej Europy na druczanych stojakach obok fioletowych i różowych arkuszy z prognozami wyników wyścigów konnych albo upstrzonych przez muchy sennikach cygańskich, które mają pomóc w grach liczbowych. Pachniało dymem, farbą drukarską i pleśnią.

Majewski wsunął się do środka bokiem, tak żeby nie zawadzić o czasopisma wiszące na ścianach i nie przewrócić grubych stert *New York Daily News* i *Chicago Sun-Times*.

- Jest tam? - zapytał starego człowieka, który siedział w głębi sklepu.

- Niby kto?

- Wiesz, do cholery, kogo mam na myśli, Barney. Chcę się z nim zobaczyć.

Stary człowiek potrząsnął głową.

- Ktoś u niego jest.

Im dalej było od ulicy, tym ciemniejsze stawało się stoisko z gazetami. Z przodu oświetlały je nieco gołe żarówki wiszące na obnażonych drutach, lecz dalej już nic, tak że tylna ściana, pod którą siedział przechylając się na krześle stary człowiek, wydawała się czarna jak węgiel. Z ciemności dobiegł teraz głos, donośny, lecz przytłumiony.

- Wpuść go. W porządku.

Stary człowiek z rezygnacją przesunął fotel na bok. Majewski nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pokój nie był szerszy niż kiosk z gazetami, ale jasno oświetlony. Stało w nim stare drewniane biurko, a za nim stare drewniane obrotowe krzesło, było też drugie krzesło z prostym oparciem, które sprawiało wrażenie, że jest bardzo twarde, mały sejf i dwóch mężczyzn.

Ten, który był potężniej zbudowany, opierał się o ścianę. Miał okrągłą, piegowatą twarz i mundur policjanta. Mniejszy siedział za biurkiem. Miał smagłą twarz i ciemne szpakowate wąsy.

- Nie ma się czym przejmować - powiedział policjant. - Załatwiliśmy już nasze interesy i właśnie się zbierałem. Jak się nazywasz, synu? - Nie był starszy od Majewskiego.

Majewski spojrział na mężczyznę zza biurka, który skinął głową.

- Joe Majewski - oświadczył.

- I już jesteś boyem w Consorcie. - Policjant spojrział na czerwoną czapkę od liberii, którą Majewski nosił do płaszcza, i pokiwał głową z aprobatą. - Mieszkasz tu w okolicy, Joe?

Majewski potrząsnął głową. Smagły mężczyzna zza biura powiedział:

- Ja wiem, gdzie on mieszka.

- Założę się, że wiesz. Na co ci pieniądze, Joe? Musisz spłacić długi z wyścigów?

- Zapłacić ratę za telewizor. Jeśli im szybko czegoś nie dam, zabiorą mi odbiornik.

- Coś takiego. Cóż, przynajmniej nie jesteś na ulicy, prawda? - Policjant wyprostował się i sięgnął do klamki.

- Do zobaczenia, Barney.

- Tymczasem, Evans.

- O co chodziło? - zapytał Majewski, kiedy drzwi się zamknęły.

- A jak myślisz, o co mogło chodzić? Muszę jakoś funkcjonować, no nie? Jak myślisz, do cholery, co ja robię z procentem, który mi płacicie? Posyłam psa do college'u? Muszę spłacić komisariat, muszę spłacić mafię, muszę spłacić radnych. To był komisariat. Nie pytaj, ile.

- Ile?

- Nie pytaj. Cholernie dużo. Gdybym nie miał od frontu czasopism, nie mógłbym tyle zapłacić. A ten sukinsyn jeszcze zwędzi *Penthouse'a*, to pewne jak w banku. Ile chcesz?

- Siedemdziesiąt.

- To wszystko? Majewski kiwnął głową.

- Jutro dostaję wypłatę, Barney, ale muszę je mieć, zanim dzisiaj pojawię się w pracy. Wiesz, że ci oddam.

- Zgoda. Pięć za cztery do końca przyszłego tygodnia. To będzie osiemdziesiąt osiem. Jeśli się nie wyrobisz, pięć za cztery w końcu następnego tygodnia. To już będzie sto dziesięć. Bardziej już nie przedłużaj.

Majewski znowu kiwnął głową.

Smagły mężczyzna wyjął z marynarki gruby portfel i podał mu pięćdziesiątkę i dwudziestkę, z których żadna nie była nowa.

- Ufam ci, Joe - powiedział. - Nie zawieź mnie. Mam tyle nie odebranych długów, że mnie to po prostu wykańcza.

- Do zobaczenia w przyszłą sobotę.

- Tak trzymaj.

Majewski nacisnął klamkę i wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Stary człowiek nadal siedział przechylając się na krześle, z bezkształtnym, poplamionym potem szarym kapeluszem - kapeluszem starego człowieka - naciągniętym na oczy. Niska, energiczna dziewczyna myszkowała i przebierała w czasopismach. Spojrzała raz na Majewskiego, a potem jeszcze raz, w sposób jaki aktorzy nazywają podwójnym spojrzeniem.

- Znam pana! - zawołała.

- No, proszę pani, to ma pani nade mną przewagę.

- Wczoraj wieczorem, kiedy przyszedłam do Consorta, zapytał mnie pan, czy to nie ja jestem miss Garth i czy przypadkiem nie wiem kto to taki. Pamiętam to nazwisko, bo potem poznałam Candy Garth i miałam wrażenie, że zna Madame Serpentine. Dlaczego pan jej szukał? Chodzi mi o panią Garth.

- Nie pamiętam - rzekł Majewski. Nie próbował jej wyminąć.

Dziewczyna wpatrywała się w niego przez moment, potem pogrzebała w torebce i wyjęła dolara.

Majewski pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Tak - oznajmił. - Coś mi się przypomina.

- Czy to Madame Serpentina kazała panu poszukać panny Garth?

- Hmm. Jakiś facet.

- Niski mężczyzna w okularach? Majewski potrząsnął głową.

- Nie widziałem go. Zadzwoił na dół do holu. Miałem nadzieję, że dostanę za to napiwek, bo dzwonił z jej pokoju, a ona daje dobre napiwki, ale nie widziałem jej od tamtej pory. Mówiąc szczerze, trochę jej unikałem, bo jestem jej winny pieniądze, ale teraz mogę je oddać i przypomnę jej, że znalazłem tę dziewczynę w białym płaszczu dla tego faceta, który był w jej pokoju.

- Powiedział pan, że Madame Serpentina daje wysokie napiwki. Powie mi pan o tym coś więcej?

- Boże, strasznie dużo pani by chciała za swojego dolca, może nie? Dycha na głowę dla trzech facetów, którzy zanieśli jej torby na górę.

- Czy był z nią mężczyzna w grubych okularach? - zapytała dziewczyna.

- Nie. - Majewski spróbował precyzyjnie się koło niej. - Nikogo z nią nie było. Nigdy nie widziałem tego faceta. Posłuchaj no, paniusiu, dałem już pani znacznie więcej niż wart ten jeden cholerny dolar. Muszę iść.

- Proszę. - Znowu pogrzebała w torebce. - To jest jeszcze jeden dolar, dobrze? Była sama, kiedy się zameldowała? Przyjechała taksówką, wie pan?

- No... - Majewski urwał i strzelił palcami. - Jak o tym pomyśle... Mogłem widzieć tego małego faceta w okularach. Widzi pani, kiedy nie jesteśmy zbyt zajęci, musimy pomagać gościom wnosić bagaże do środka. Potem ustawiamy je w holu, kiedy oni się meldują.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- W każdym razie wydaje mi się, że widziałem kogoś takiego - mały facet, grube okulary, kapelusz nasunięty na czoło - rozmawiał z nią. Potem widziałem go w holu przy recepcji. Nie wiem, czy to właśnie on rozmawiał ze mną przez telefon.

- Widział go pan później w hotelu? Majewski potrząsnął głową.

- Inna rzecz, że nie byłem cały czas w pracy. Pracuję po południu i wieczorem. Mój dyżur wypada za kilka godzin.

- A ta kobieta w białym płaszczu? Albo mężczyzna z czarnymi wąsami? Rozmawiałam z nim później w holu. Musiał pan nas widzieć.

- Nie zauważyłem go - rzekł Majewski. - I tej grubej pani też już więcej nie widziałem.

- To moja wizytówka. - Niska dziewczyna wcisnęła mu ją do ręki. - Niech pan porozmawia z ludźmi, z którymi pan pracuje. Jeśli dowie się pan, gdzie mieszkają mężczyzna w okularach i ta kobieta w białym płaszczu, niech pan do mnie zadzwoni i da mi znać. Zapłacę dziesięć dolarów. - Zawahała się. - Od łebka. Dziesięć dolarów za każde z nich.

Majewski spojrzął na wizytówkę.

- W porządku, panno Duck. Ale wie pani, powinienem się pani czymś odpłacić. Pamięta pani, jak przed chwilą mnie pani pytała o tego małego faceta w okularach? A ja sobie nagle przypomniałem, że widziałem go na chodniku.

Sandy Duck pokiwała głową.

- Cóż, przypomniałem to sobie, bo właśnie zobaczyłem, jak idzie ulicą. - Pokazał w stronę szklanych drzwi u wejścia do kiosku.

Wybiegła w pośpiechu, a potem nagle stanęła, rozglądając się w lewo i w prawo. Majewski wyszedł na nią bardziej dostojnym krokiem.

ROZDZIAŁ 31

Zakaszleć!

- Niech pan zdejmie koszulę - burknął doktor Makee.

Sam był ubrany w kraciastą koszulę, spodnie w jodełkę i wąski krawat. Szara marynarka w jodełkę wisiała na oparciu krzesła w kącie gabinetu.

- Ja nie jestem wcale chory - wyjaśnił Barnes. - Chcę tylko porozmawiać.

- Niech pan ją zdejmie - rzekł stanowczo doktor. - Nic mnie nie obchodzi, po kiego diabła pan tu przyszedł, mam zamiar wysłuchać pańskiego serca. Inaczej nie będę z panem rozmawiał.

- Nie mogę panu zapłacić.

- Zdejmuj ją pan! - Podszedł do Barnes'a i sam zaczął rozpinać mu guziki.

- Zgoda - przystał Barnes. - Zgoda.

Rozluźnił krawat i powiesił na wieszaku obok zakurzonego szkieletu, a potem wyslizgnął się ze swej marynarki i rozpiął resztę guzików koszuli.

- Tak lepiej. - Stary lekarz napił się kawy z kubka stojącego na biurku i otarł siwe wąsy wierzchem dłoni. - Wiem, że nie może pan zapłacić. Gdyby pan mógł, to by pan poszedł do prawdziwego doktora w ośrodku zdrowia, a nie do takiego stukniętego starego konowała-emeryta jak ja. Tu nie przychodzi nikt, kto może zapłacić, choć mimo to niektórzy płacą. Wiem też, że pan nie jest chory. W każdym razie sądzi pan, że nie jest chory. Zobaczyłem to zaraz, kiedy pan wszedł do środka. Chory człowiek chodzi inaczej, a zdrowy inaczej. Ale człowiek, który jest chory, ale o tym nie wie, może chodzić jak John Wayne. Do diabła, sam John Wayne chodził jak John Wayne, kiedy miał raka. Gdy tylko przychodzi do mnie człowiek w pana wieku, zawsze słucham jego serca. Załóżmy, że powie mi pan, że nie jest chory, ja panu przyznam rację, a potem kiedy pan stąd wyjdzie, padnie trupem na moim chodniku. Nigdy bym sobie nie wybaczył. - Wstał i poprawił stetoskop, a potem przytknął wolny koniec do brzucha Barnes'a. - Zakaszleć! Barnes zakaszłał.

- To nie pana serce, to pana płuca. - Stary doktor dotknął swym instrumentem z pół tuzina innych miejsc, pocierając od czasu do czasu palcami o żebra Barnes'a. - Jak dawno robił pan porządne badania?

- Może pięć lat temu. Sześć.

- Tak też myślałem. Teraz chcę, żeby pan podskakiwał w miejscu. Niech pan się przyjrzy, jak ja to robię. - Zaczął przeskakiwać z nogi na nogę. Barnes spróbował go naśladować. - Wystarczy. Chce pan zobaczyć, jak chodzi chory człowiek? - Stary doktor przygarbił plecy i pochylił się do przodu, powłócząc nogą. - To jest chory człowiek! - Zachichotał złowrogo i plamistą dłonią starego człowieka schwytał nagie ramię Barnes'a. - Tak, mój panie i władco! Igor będzie posłuszny!

Barnes postąpił krok do tyłu, a doktor wyprostował się i znów przytknął stetoskop do klatki piersiowej pacjenta.

- Nic nie przyspiesza tętna tak skutecznie jak lekki niepokój.

- Ja chciałem pana tylko zapytać o pana Free - rzekł Barnes.

- Bena Free? - Doktor Makee wyjął słuchawki z uszu, obszedł biurko i usiadł. - Pańskie serce wydaje mi się całkiem niezłe. Co pan powiedział, jak pan się nazywa?

- Osgood M. Barnes.

- Cóż, nie przypuszczam, żeby były z panem jakieś problemy, panie Barnes. Mimo to sprawdzę pana ciśnienie. Niech pan włoży z powrotem koszulę, podejdzie tutaj i usiądzie. Ojciec nie żyje?

Zdejmując koszulę z wieszaka Barnes kiwnął głową.

- Na co umarł?

- Wypadek.

Stary doktor napił się kawy.

- Wolałby pan o tym nie mówić. W porządku, mnie to nie przeszkadza. Niech pan tu siądzie i pozwoli mi zmierzyć ciśnienie. Może pan teraz włożyć krawat, ale jeszcze nie marynarkę. Chciał mnie pan zapytać o Bena Free?

Barnes znów kiwnął głową.

- Myślałem, że pan u niego mieszkał. Widziałem tam pana, więc powinien pan wiedzieć więcej niż ja. Niech pan położy tu ramię, równo, na moim biurku. Odetchnął pan? Serce nie bije już tak szybko?

- Tak, w porządku - rzekł Barnes. - Mieszkałem z nim. Nie myli się pan, doktorze Makee.

- Był pan tam, kiedy zszywałem tego faceta, który oberwał siekierą.

- Tak, byłem. Ale pana Free już wtedy nie było - nie wiedzieliśmy, gdzie jest. Nadal nie wiemy. Mieliśmy nadzieję, że pan będzie mógł nam powiedzieć.

Stary doktor owinał gumowy rękaw wokół ramienia Barnes'a.

- Nie powiem, bo nie wiem. Jest pan zadowolony? Nie wiem, dokąd poszedł, kiedy zaczęli rozwalać jego dom. Nie wiem, dokąd ja sam pójde, kiedy zabiorą się do mojego.

- Nie chodzi o to, żebym ja był zadowolony, panie doktorze. Martwimy się o niego. Stracił dom. Chcielibyśmy mu pomóc, jeśli potrafimy.

- Z dobroci serca? Nie wierzę panu, panie Barnes. Ludzie nie robią takich rzeczy. Myślą, że tak robią, ale to nieprawda. Kiedy stanie się coś takiego, myślą sobie: „Gdyby nie to i to, zrobiłbym to czy owo...” Ale zawsze znajdzie się jakieś „to i to”, chyba że „to czy owo” mogłoby wypchać im kieszenie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie ma na świecie altruistów? Musiałbym panu odpowiedzieć, że pan sam jest jednym z nich, panie doktorze. Powiedział mi pan, że jest pan na emeryturze. Dlaczego troszczy się pan o swoich pacjentów?

- Do pioruna, ktoś musi. Poza tym - zachichotał stary doktor - dzięki temu prawie wszystko w tej dzielnicy uchodzi mi na sucho. Zauważył pan, że zaraz jak pan wszedł, kazałem panu zdjąć koszulę?

- Oczywiście.

- Cóż, wszystkim każę to robić. Każę im się rozbierać, żebym mógł sprawdzić serce i płuca. Dla przyzwoitości, jeśli jakaś pani albo też któraś z tych młodych dziewczyn ma stanik, nie każę go zdejmować. Ale dzisiaj mnóstwo z tych młodych dziewczyn wcale ich nie nosi, wie pan?

- Tak - odparł Barnes. - Sam to zauważyłem.

- A jak już noszą, to często takie wymyślne, koronkowe, pełne falbanek. Do diabła, prawie tak samo je lubię. Jest pan zbyt młody, żeby pamiętać, jak to było w moich czasach, panie Barnes. Ale kiedy ja byłem chłopakiem, to jak zajrzałem za dekolt ładnej dziewczynie, to była duża rzecz. Potem przez miesiąc myślałem o czymś takim. Kiedy przychodził katalog firmy wysyłkowej, moja mama wrywała strony z damskimi desusami, żebyśmy z bratem ich nie przeglądali.

Barnes uśmiechnął się.

- Nie jest pan wcale taki stary, doktorze. Wie pan, przypomina mi pan pana Free.

- Cóż, nic dziwnego. - Stary lekarz zaczął pompować aparat do mierzenia ciśnienia. - On był moim synem, wie pan.

Barnes wbił w niego wzrok, a staruszek znowu zachichotał.

- Nie takim prawdziwym synem, Tommy zmarł już dawno i myślę, że tak naprawdę Ben był parę lat starszy ode mnie. Ale tak udawaliśmy i mieliśmy świetną zabawę. Ja byłem jego tatą, bo miałem wąsy, Ben wtedy golił całą twarz. Teraz ma więcej włosów na twarzy niż ja.

Barnes skinął głową.

- To prawda, widział go pan nie raz. - Stary doktor przycisnął stetoskop w okolicy łokcia Barnes'a i pochylił głowę. Powietrze wydobywające się z rękawa zasyczało cicho, jakby westchnął senny wąż. - To się zaczęło kiedyś, jak wracaliśmy do domu autobusem. Trochę skręciłem sobie kolano i Ben pomógł mi wejść po schodkach. Pańskie ciśnienie jest w porządku, panie Barnes. Właściwie jest nawet dobre, jak na takiego człowieka jak pan, bo jest pan szczupły. Niech pan się dużo rusza i trzyma się z daleka od tuczających potraw, słodkich albo tłustych. Niech pan nigdy niczego nie soli.

- Nie będę - obiecał Barnes. - Dzięki za dobrą radę. Mam nadzieję, że pańskie kolano już wydobrzało.

- Kolano? Ach, no jasne, moja opowieść. Cóż, proszę pana, Ben pomógł mi wejść, ale nie było dwóch wolnych siedzeń obok siebie, więc ja zająłem miejsce z przodu, a Ben usiadł ze trzy dalej koło pani mniej więcej w moim wieku. A kiedy już obaj się usadowiliśmy, pani powiedziała coś w rodzaju: „Czy pana przyjaciel dobrze się czuje?” a Ben powiedział: „Nic doktorowi nie będzie.” Tylko że ta pani była ciutkę głucha i pomyślała, że on powiedział:

„Nic tatkowi nie będzie.” No więc dodała: „Och, to on jest pana ojcem? Wygląda na wybitnego człowieka!” Cóż, Ben był zawsze zapalonym żartownisiem - można mu było podsunąć prawie każdy pomysł, a on by na to przystał. No to powiedział jej, że on ma sześćdziesiąt dziewięć lat, a ja dziewięćdziesiąt jeden i że całe życie mieszkaliśmy razem i tak dalej. Od tamtej pory to się zamieniło w taki żart, do którego wracaliśmy co jakiś czas.

- Ale tak naprawdę, nie znał pan pana Free przez całe życie? - zapytał Barnes.

- Nie, oczywiście że nie. Tylko odkąd wprowadził się tu naprzeciwno.

- Jak dawno to było, doktorze Makee?

- Ledwie kilka lat temu.

- Doktorze Makee, wiem, że wypytuję o coś, co tak naprawdę nie jest moją sprawą, ale pan Free - pana przyjaciel Ben - zaginął, a my wszyscy, którzy z nim mieszkaliśmy, martwimy się o niego. Boimy się, że coś mu się mogło stać i dopóki nie przekonamy się, że nic takiego nie zaszło, będziemy szukać go dalej.

Stary doktor pokiwał głową, a jego twarz stała się bez wyrazu.

- Dzwoniliście na policję?

- Nie - powiedział Barnes. - Jeszcze nie.

- Tak zrobiłaby większość ludzi, panie Barnes.

- My nie jesteśmy... - Barnes zawahał się.

- Nie jesteśmy czym?

- Tym rodzajem ludzi, na który policja zwraca uwagę. To nie to, co człowiek, który ma pana pozycję - jest pan lekarzem, właścicielem tego domu, ma pan pewien status społeczny.

- Nie mogę powiedzieć, że bym to kiedykolwiek zauważył.

- Myślę... Doktorze Makee, byłem niegdyś regionalnym dyrektorem sprzedaży w Dziale Maszyn Górniczych Zjednoczenia Yevco. Miałem dom i żonę, i dziecko. Dwa samochody, złotą kartę kredytową American Express i tak dalej.

Stary doktor pokiwał głową.

- I co się stało?

- Wiele rzeczy. Chodzi mi o to, że kiedy straciłem to wszystko, traciłem to tak powoli, że prawie nie zauważyłem, co się dzieje. Najpierw żonę i dziecko, dom i jeden samochód. A potem wszystko inne razem.

- Rozumiem.

- A potem pracę. Później przez niewiele ponad rok przeszedłem przez pięć posad. Każda z nich wydawała mi się prawie taka dobra, jak ta poprzednia - rozumie pan, o co mi chodzi? Wiem, że pan myśli, iż to była moja własna wina, ale to nie wszystko. Raz byłem na przykład dyrektorem sprzedaży w małej firmie. Kupiła ją duża firma, a ja wyleciałem. Powiedzieli mi, że mógłbym zostać i szkolić sprzedawców, ale ja odparłem, żeby się wypchali. Dzisiaj rzuciłbym się na to.

Stary doktor znowu pokiwał głową.

- Ale odbiegam od tematu. Chciałem powiedzieć, że pewnego dnia wszedłem do sklepu z alkoholem. Mężczyzna, który był jego właścicielem, stał akurat przy kasie i nic ode mnie nie chciał. Wie pan, jak oni to robią: „Nie mam czasu, niech pan przyjdzie w przyszłym miesiącu” i takie tam bzdury.

- Wyobrażam sobie.

- Kiedy tam stałem i próbowałem mu coś powiedzieć o towarach, które rozprawdzam, wszedł gliniarz. Właściciel spojrzął na niego i powiedział: „Wyrzuć tego faceta.” Przypuszczam, że gliniarz dostał od niego butelczynę taniej szkockiej na Gwiazdkę. Zwykle takie dostają. W każdym razie policjant rzucił się do mnie.

Doktor Makee zachichotał:

- „Wyrzucić włóczęgę na zbity pysk”, tak to nazywaliśmy.

- Ciągle tak to nazywają. To śmieszne, dopóki nie zdasz sobie sprawy, że to ty jesteś tym włóczęgą. W każdym razie gliniarz to zrobił. Wyrzucił mnie w taki sposób, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Wylądowałem na rękach i na kolanach na chodniku. Kiedy cisnął za mną skrzynkę z próbkami, uderzyła o ziemię tak, że otworzył się zamek. Wszystkie moje próbki leżały rozrzucone na chodniku. Niektóre z nich podeptano, inne zginęły. Pewnie ludzie je podnieśli i sobie zabrali.

- Rozumiem, jak musiało to pana zranić, panie Barnes - rzekł cicho pan Makee.

- W pewnym sensie była to dla mnie przysługa, bo odtąd wiedziałem, gdzie moje miejsce. Wszyscy, którzy mieszkaliśmy u pana Free, byliśmy mniej więcej w tym punkcie. Chciał pan wiedzieć, dlaczego nie zadzwoniliśmy na policję.

- Musi pan wybaczyć staremu człowiekowi, panie Barnes. Utrwaliśmy sobie stare przyzwyczajenia i chyba ciągle miałem na myśli taką policję, jaka bywała kiedyś, a nie taką, jaka jest teraz. Pomyślałem sobie, że Ben by do nich zadzwonił, ale on był stary, tak jak ja. Ben i ja, chyba obaj na swój sposób mieszkaliśmy w przeszłości. Trudno nam było pamiętać, jak bardzo świat się zmienił. Pan pewnie jest za młody, żeby to zrozumieć. Krysztaly w mózgu - niektórzy sądzą, że to właśnie to. Wiedział pan o tym, panie Barnes? Ciałka Hirano. Mózg zamienia się w szkło czy coś w tym rodzaju. Cóż, ludzie powiadali, że obaj już dawno mieliśmy nasze lekko okopcone...

Barnes zaśmiał się z powątpiewaniem.

- Dla was, młodych ludzi, to wszystko jedno. Ale ludzie w moim wieku albo też w wieku Bena zastanawiają się, co to jest za szkło. U niektórych to kieliszek do whisky, jak sądzę. U Bena to pewnie jedno z tych śmiesznych lusterek, a gdyby Trudie była ciągle przy mnie, jej mózg mógłby być pięknym kryształowym wazonem. Nie wiem.

- Mówiąc o mózgu, doktorze, powiedział pan kiedyś, że wstrząs mózgu to rodzaj siniaka. Pamięta pan?

Stary doktor wzruszył ramionami.

- Mówiłem to pewnie tysiące razy, panie Barnes.

- To było wczoraj, kiedy pan bandażował sierżanta Proudya'ego w domu pana Free.

- Ach, jego... - przytaknął.

- Dobrze. Chcę zadać panu jeszcze kilka pytań o pana Free, jeśli nie ma pan nic przeciw temu. Ale najpierw zapytam o sierżanta Proudya'ego. Skąd pan wiedział, żeby tam przyjść?

- Jak dostał siekierą strażacką? Bo to widziałem. Przyglądałem się całemu rejdachowi z frontowego okna. Przypuszczam, że wszyscy sąsiedzi robili to samo. Kiedy oberwał, wyglądało mi to na dobrą okazję, żeby powściubiać trochę nosa i zobaczyć, o co było to całe zamieszanie, no więc z niej skorzystałem.

- Zatem pan Free pana nie wzywał.

- Nikt mnie nie wzywał. Po prostu przyszedłem.

- Doktorze, nie jestem najlepszy w zadawaniu pytań, ale Stubb powiedział mi, żebym zapytał właśnie o to. Kiedy ostatni raz widział pan pana Free?

- Ja natomiast nie jestem najlepszy w odpowiadaniu na pytania. Nie wiem.

- Chce pan powiedzieć, że to nie mój interes?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nie wiem.

- Był pan jego przyjacielem.

Wydawało się, że stary doktor zawahał się na moment, przesuając wzrok z żółkniętego, poskręcane drutami szkieletu obok wieszaka aż do okna i z powrotem. W końcu powiedział: „Chciałbym tak sądzić” i pozwolił słowom zawisnąć w próżni, jakby nie było nic więcej do dodania. Barnes czuł ciepło panujące w pokoju i przesycający wszystko zapach karbolu.

- Chciałbym tak sądzić, panie Barnes. Wiem na pewno, że gdyby pan zapytał Bena, on powiedziałby, że jest moim przyjacielem. Ja się starzeję.

- Nie pana umysł, doktorze.

- Starzeję się cały. Mam stary umysł w starym ciele. Mam starą duszę. Ten chiński mędrzec...

- Konfucjusz?

- Tak. Robiliśmy sobie z tego żarty. Konfucjusz powiada to i Konfucjusz powiada tamto. Co naprawdę powiadał Konfucjusz, to to, że w pogoni za mądrością zapomniał, że się starzeje. Moja praktyka robi to dla mnie, panie Barnes, moja praktyka i dotrzymywanie kroku rozwojowi medycyny. Ale to wcale nie powstrzymuje od starzenia się, tylko od myślenia o tym.

Barnes odczekał.

- Pyta mnie pan, kiedy ostatni raz widziałem Bena i mam wrażenie, że to było przed chwilą. Ale nie mogę określić, kiedy. Może dziś. Może to było w zeszłym tygodniu, a może w zeszłym roku.

- Chyba rozumiem.

- Może mi się przypomni. Ale może i nie. Mógłbym opowiedzieć panu o tysiącach rzeczy, które razem robiliśmy, i o tysiącach rzeczy, o których rozmawialiśmy, bo rozmawialiśmy o wszystkim. Ale nie mógłbym powiedzieć panu, kiedy to było, czasem było to lato, czasem zima albo coś takiego, bo pamiętam, jak byłem ubrany lub że Ben kupił sobie lody. Poza tym nie zawsze łatwo sobie przypomnieć, że się widziało Bena, jeśli się nie widziało jego twarzy. Czasem wygląda jak ktoś inny, a czasem jak wszyscy inni razem wzięci. Czasem jest prosty jak pogrzbacz. Czasem pochyla się tak, jakby plecy sprawiały mu ciężkie kłopoty. On...

- A tak jest? - zapytał Barnes.

- Czy go bołą plecy? Tak sądzę, ale nigdy nie przyszedł do mnie na badanie. Próbowałem go namawiać, ale już na początku zrobiłem błąd i powiedziałem mu, że nie wezmę od niego pieniędzy. Potem już nie chciał przyjść. Wie pan, panie Barnes, ja interesuję się wszystkimi moimi pacjentami tak jak własnymi przyjaciółmi. Mówił pan coś o tym policjancie, którego wczoraj zaszyłem. Dlaczego nie przestanie pan wściubiać nosa w sprawę Bena Free i raczej mi o nim nie opowie?

Barnes pokiwał głową, nie wiedząc z początku, jak ująć swoje myśli w słowa.

- Wczoraj pan powiedział, że on może mieć lekki wstrząs mózgu, prawda?

- Wydaje mi się, że dziś również o tym wspominaliśmy.

- Ma pan rację. Czy to możliwe, żeby lekki wstrząs mózgu sprawił, że komuś wszystko się lekko pomieszało i stał się bardzo podejrzliwy w stosunku do... do grupy innych ludzi?

- Paranoja? Nie.

- To niemożliwe?

- Lekki wstrząs mózgu może wywołać pewne problemy z kojarzeniem. Jeśli widział pan kiedyś, jak jakiś bokser albo piłkarz chodzi i czasem nawet robi to, co powinien, walczy albo biegnie za piłką, ale zachowuje się tak, jakby był lekko zamroczony i może nawet lekko się zatacza, to widział pan rezultaty lekkiego wstrząsu mózgu. Ale z doświadczenia wiem, że taki wstrząs mózgu nie powoduje paranoi ani żadnych innych zaburzeń umysłowych. Lecz prawie każdy rodzaj wstrząsu może wywołać otwartą paranoję u osoby, która cierpiała na nią od lat i ukrywała to. Jak się zachowuje... Nie pamiętam jego nazwiska.

- Sierżant Proudny.

- Jak zachowuje się sierżant Proudny? Barnes powiedział mu.

ROZDZIAŁ 32

Jak było w Filadelfii?

Mały Ozzie płakał tak długo, aż nie mógł już płakać. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego właściwie płakał, a płakał, gdyż w głębi duszy wiedział, i wiedzę tę miał zachować aż do śmierci, że świat był okropniejszy, niż chłopiec kiedykolwiek był w stanie sobie wyobrazić. Mógł wyobrazić sobie potwory i wściekłe psy, ale świat i tak miał przerosnąć to wszystko. Miał zamienić ludzi, których kochał i którym ufał, w potwory. Miało się okazać, że wcale nie chcieli mu pomóc bardziej niż wściekłe psy. Płakał nad sobą i płakał, bo wiedział, że nigdy nie znajdzie się ktoś, kto by płakał nad nim. Powoli płacz ustał. Od pierwszego wybuchu łez do ostatniego zduszonego chlipnięcia minęło może pół godziny. To pozwoliło mu rozejrzeć się dookoła, nie zmuszając go jednocześnie, by zastanawiał się nad tym, co widzi. Nic tam takiego nie było, tak czy owak - wąski pokój i wąskie okno, wysokie i staromodne, z kratami po tej stronie szyby. Wytarta sofa, na której leżał, pachniała lekko łzami i kurzem i cicho skrzypnęła, gdy z niej zszedł.

Otworzyły się drzwi i Murzynka w białej sukience, takiej, jaką nosiła szkolna pielęgniarka, wzięła go za ramię i powiedziała: „Chodź ze mną, chłopczyku.” Wyszli na szeroki korytarz z podłogą pokrytą terakotą, który sobie mgliście przypomniał. Tynk był ciemnobrązowy aż do pewnej wysokości ponad jego głową. Dalej był waniliowy. Czekolada dla dzieci, pomyślał, wanilia dla dorosłych. Dobrze im tak. Razem przeszli przez pierwsze drzwi, a potem pielęgniarka popchnęła go przez drugie. Przy biurku siedział mężczyzna w białym fartuchu. Miał wełnistą brodę, która nie była ani całkiem żółta, ani całkiem czerwona, coś jak ketchup zmieszany z musztardą.

- Cześć - powiedział.

Mały Ozzie kiwnął głową, nie odzywając się.

- Zechcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz? Jestem doktor Bob.

- Osgood M. Barnes.

- Czy tak mówią do ciebie w szkole? Mały Ozzie znów kiwnął głową.

- Założę się, że nie. Założę się, że mówią na ciebie... Skippy? Mały Ozzie potrząsnął głową.

- Skeeter?

- Nie.

- Duke?

- Nie.

- W porządku, Osgoodzie. Teraz doktor Bob chce ci zadać kilka prostych pytań, zanim odeślemy cię do domu do mamusi i tatusia. Chciałbyś wrócić do mamusi i tatusia, prawda?

Mały Ozzie wzruszył ramionami.

- Chyba tak.
- Gdzie mieszkasz?
- Nie wiem.
- Śmiało, Osgoodzie. Doktor Bob nie będzie mógł cię odesłać do domu, jeśli mu nie powiesz, gdzie jest dom.
- Nie wiem, po co doktor ma kogoś odsyłać do domu, skoro nie wie, gdzie on mieszka, jeśli on sam mu tego nie powie.
- Zdziorny jesteś, co, Osgoodzie?
- Nie!
- Czy możesz wytłumaczyć doktorowi Bobowi, dlaczego nie chcesz mu powiedzieć, gdzie mieszkasz?
- Ja chcę panu powiedzieć, tylko że akurat nie ma takiego miejsca.
- Może powinniśmy porozmawiać przez chwilę o czymś innym, Osgoodzie. Czy powiesz mi, gdzie jest twoja mamusia?
- Nie wiem.
- Mhmm. - Doktor Bob odwrócił się na moment i wyjrzał przez okno, bawiąc się swoją brodą. - Znam pewien automat do coca-coli i automat do batoników. Chciałbyś coca-colę i batonik?
- Nie - odparł uczciwie mały Ozzie. - Chciałbym kanapkę i szklankę mleka.
- Jaką kanapkę, Osgoodzie?
- Z dżemem i serkiem homogenizowanym.
- A może z masłem orzechowym?
- Nie za bardzo lubię masło orzechowe.
- Doktor Bob nie przypuszcza, żeby mieli w stołówce serek homogenizowany, Osgoodzie. Powiem ci, co zrobię. Jeśli powiesz doktorowi Bobowi, gdzie pracuje twój ojciec, doktor Bob każe przynieść ci szklankę mleka i kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.
- W hotelu Consort.
- No to już coś, Osgoodzie. Wiesz, co tam robi?
- Jest komiwojażerem.
- Rozumiem. - Doktor Bob pogładził podbródek.
- Czy mogę teraz dostać kanapkę?
- Czemu nie. - Doktor Bob przycisnął guzik wewnętrznego telefonu na swoim biurku. - Shirley, zbiegnij do stołówki i przynieś nam serek homogenizowany i galaretkę, i szklankę mleka. Masło orzechowe, jeśli nie mają serka. Potem zadzwoń do Consorta, tam w centrum. Zapytaj, czy pracuje u nich albo mieszka ktoś, kto się nazywa Barnes. - Przykrył dłonią słuchawkę. - Jak tatuś ma na imię, Osgoodzie?
- Ozzie.
- Może mieć na imię Osgood, ale nie licz na to, Shirley. Jakikolwiek Barnes.

Telefon zaskrzeczał do niego.

- Z winogron, z truskawek, co tam mają - powiedział. - Biały chleb. - Z parsknięciem pełnym obrzydzenia puścił guzik i odwrócił się znowu w stronę Małego Ozzie'ego. - Teraz chcę, żebyś mi opowiedział o tej tłustej pani, która cię tu przyprowadziła. Wiesz, kogo mam na myśli?

Mały Ozzie potrząsnął głową.

- Jasne, że wiesz. Ma kręcone jasne włosy i niebieskie oczy. Weszła razem z tobą do budynku, a potem napadła terapeutkę w rejestracji.

- Ona nie jest tłusta - powiedział mały Ozzie. - Tłusty to znaczy brzydki.

Doktor Bob przyjrzał mu się przez chwilę, a potem pokiwał głową do siebie i coś zanotował.

- Interesujące. Ale wiesz, kogo mam na myśli. Jak ona się nazywa?

- Candy.

- Candy? Chcesz powiedzieć, że tak się nazywa, czy że dała ci cukierka?

- Mhm.

- Dała ci cukierka?

- Mhm.

- Wiesz, jak ma na imię?

Widząc, że „Candy” nie było wystarczającą odpowiedzią, Mały Ozzie wzruszył ramionami.

- Czy ona jest twoją siostrą albo kuzynką, kimś w tym rodzaju?

Mały Ozzie zawahał się.

- Chyba nie.

- Byłeś kiedyś w Filadelfii, Osgoodzie?

- Tak.

- Byłeś? Dobrze. Kiedy to było?

- W zeszłym roku.

- Po co tam pojechałeś?

- Wszyscy pojechali.

- Mamusia i tatuś?

- Nie, oni nie mogli pojechać.

- Ta pani, która cię tu przyprowadziła?

- Nie - powtórzył Mały Ozzie. - Ze szkoły. Wszyscy ze szkoły. Widzieliśmy, gdzie podpisali Deklarację Niepodległości.

- Rozumiem, to była wycieczka klasowa.

- Mhm.

Doktor Bob podniósł ołówek i balansował nim pomiędzy czubkami palców.

- Pytam cię o Filadelfię, Osgoodzie, bo naszywka na sukience, którą miała na sobie ta pani, która cię tu przyprowadziła, wskazuje na to, że tam ją kupiła. Wiesz coś o tym?

- Nie - powiedział trzeci raz Mały Ozzie. - Czy mogę z nią porozmawiać?

Z korytarza dobiegł gwar zagniewanych głosów.

- Nie zwracaj na to uwagi, Osgoodzie. Czasami mamy małe kłopoty z naszymi chorymi. Wszystko będzie dobrze, zaraz ich uspokoimy.

Gniewna wymiana zdań stała się głośniejsza. Kobieta, która miała podobny głos do tej, która po niego przyszła, zawołała: „Wezwiemy policję” i usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Drzwi otworzyły się na oścież i mężczyzna o brązowej twarzy i potarganych czarnych włosach spojrział na doktora Boba.

- Nie - powiedział. - To nie on.

Nim znów zamknął drzwi, Mały Ozzie zauważył, że miał kolczyk. Mały Ozzie nie widział nigdy przedtem mężczyzny z kolczykami w uszach.

- Co tu się dzieje, do diabła!

Doktor Bob podniósł się. Mały Ozzie też wstał, zaczynając czuć się trochę lepiej. Doktor Bob wyszedł z gabinetu. Mały Ozzie deptał mu po piętach.

Brzęk tłuczonego szkła to była butelka od mleka. Mleko rozlało się na brązowej terakocie gwiazdą pełną szklanych błysków. Przy jednym z ramion gwiazdy leżała kanapka, na którą ktoś nadepnął.

Doktor Bob przeskoczył ponad gwiazdą i pobiegł korytarzem.

Dokoła tłoczyli się ludzie w białych piżamach, przemieszani z pielęgniarkami, lekarzami i mężczyznami w białych fartuchach. W środku stał mężczyzna, który zajrzał do gabinetu doktora Boba. Przy nim stał mniejszy, młodszy mężczyzna w miękkim filcowym kapeluszu i kobieta z włosami owiniętymi czerwoną chustką. Mówili więcej niż wszyscy inni. Wymachiwali dużo rękami, a ludzie w białych piżamach patrzyli na to i też machali.

Ozzie zanurkował pomiędzy ich nogami, coraz bardziej zbliżając się do mężczyzny w kolczykach, aż złapała go kobieta i przytrzymała na odległość wyciągniętych ramion, a potem kucnęła naprzeciw niego.

- Co tu robisz, mały chłopczyku?

Ozzie uznał, że pachniała jak smażenie hamburgerów na dworze. Był to ładny zapach, ale zaczęli go męczyć ludzie, którzy zadawali pytania.

- A co ty tu robisz?

- Szukam starego człowieka, który nazywa się Ben Free. Znasz go?

Ozzie potrząsnął głową.

- Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że Rosie go szuka. Powiedz mu, że Rose jest Królową i dobrą przyjaciółką Mar... Madame Serpantiny. On zna Serpentine.

- W porządku - powiedział Ozzie.

Uważał, że to pasjonująca rozmowa, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego.

- Idź go teraz poszukać - powiedziała mu kobieta, gdy krzepki sanitariusz złapał ją od tyłu.

Mały Ozzie ruszył przed siebie jak strzała.

ROZDZIAŁ 33

Telefon z Waszyngtonu

- W porządku, Cliff. Mam w toku coś małego, więc nie próżnuję, ale gdybyś potrzebował kogoś jeszcze, pewnie znalazłbym trochę czasu.

Stubb odłożył słuchawkę.

- Wyglądasz, jakbyś był zmęczony - rzekł ze współczuciem Murray.

- Nic dziwnego. Cały ranek tylko łąziłem, mało mi nogi nie odpadły.

- Na tym mrozie?

Stubb wzruszył ramionami i przesunął kapelusz na tył głowy.

- To jeszcze nie było najgorsze. Większość czasu spędzałem u ludzi w domach. Cholera, siedziałem wtedy na tyłku, więc o co ja się właściwie wściekam?

- Dostałeś już pieniądze?

- Jeszcze nie. Za kilka dni. Dzięki za kawę.

- Hej, nie miałem tego na myśli. Jesteś tu mile widziany. Cholera, Jim, zebrał ci się wysoki rachunek i spłaciłeś wszystko. Kiedy to było? Przedwczoraj?

- Chyba tak - rzekł Stubb. - Jezu, ale jestem zmęczony. To pewnie ta zimnica. Daj mi kanapkę z bekonem, pomidorem i sałatą, Murray.

- I frytki?

Stubb potrząsnął głową.

- Zjadłem duże śniadanie.

Drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając kilka płatków śniegu i podmuch mroźnego powietrza.

- Panie Stubb! Panie Stubb! - A potem: - O Boże! Przesycone parą powietrze jadłodajni okryło mgłą okulary Sandy. Zdjęła je i potarła o rękaw.

- Zima to piekło, może nie? - rzekł Stubb. - To samo mi się zdarzyło. To samo zdarza mi się za każdym razem, kiedy wchodzę do jakiegoś wnętrza. Jestem tutaj.

- Panie Stubb, muszę z panem porozmawiać. To ważne, strasznie ważne. Naprawdę.

- Jasne. Ważne dla pani czy dla mnie?

- Dla nas obojga. Coś się stało.

- W takim razie lepiej usiądźmy tam w głębi na ławie. Przynies mi tam moją kanapkę, Murray, dobra?

Murray kiwnął głową i zapytał Sandy:

- A pani? Chce pani coś?

- Tylko kawę. Boże, już pora na lunch? Hamburgera i herbatę.

- Zwykłego czy łakomczucha?

- Zwykłego. Zje pan ze mną lunch, panie Stubb? Nie powinno to obrażać pana rycerskich uczuć. Wezmę rachunek i zapiszę to na konto moich wydatków. Zwykle mam z tym mnóstwo kłopotów, ale nie sądzę, żebym miała je tym razem.

Stubb szedł ze swoją filiżanką w głąb sklepu z kanapkami. Rzucił przez ramię:

- Ja nie mam rycerskich uczuć. Jasne, zjem coś za pani szmalec.

- Naprawdę, to bardzo miło z pana strony, panie Stubb. Wie pan, że bardzo trudno pana znaleźć? Nie ma pana w książce telefonicznej, a recepcja w Consorcie nic o panu nie wie. Posłałam do redakcji *Journal* i przejrzałam ich archiwum - nazywają to kostnicą. Znam kogoś, kto tam pracuje. Było kilka wycinków o panu, ale z żadnego nie wynikało, gdzie można pana znaleźć. I pan jest detektywem! Nie prowadzi pan czasem dochodzenia w sprawie Madame Serpenty, co? Jeśli tak, wówczas to, co pan powiedział wczoraj o fałszywych jasnowidzach, ma bardzo nieprzyjemny wydźwięk.

- Niech panią głowa nie boli - rzekł Stubb. Wyjął ołówek i podniszczony notes i zaczął pisać, ciągle mówiąc dalej: - Ja pracuję dla Madame Serpenty. Ona jest moją klientką.

- Ach, to wspaniale! - Sandy trwała, a jej pulchne palce zaczęły grzebać w torebce w poszukiwaniu notesu. - Ale do czego jasnowidzowi jest potrzebny detektyw? Sandy przytaknęła.

- To święta prawda. Tak robią. Ale słyszała pani kiedyś, żeby jasnowidz powiedział gliniarzom, że ciało jest w piwnicy domu numer 412 na 48 Zachodniej? Nie, jasnowidz może zobaczyć stary kufer i rozbity zegar.

Sandy znowu przytaknęła.

- Świetnie. Załóżmy więc, że tym razem to jasnowidz chce kogoś znaleźć. Widzi kufer i zegar, prawda? Czy co tam innego...

- Rozumiem.

- Jak powiedziałaaby Madame Serpentina, bardzo wątpię. Ale tak właśnie jest. Szukam kogoś z polecenia Madame S. Tamci ludzie, których pani spotkała, Candy i Ozzie Barnes, pracują dla mnie.

- Czy oni też są detektywami? Stubb uśmiechnął się.

- No jasne. Ale nie wiedzą o tym.

- Co pan pisze?

- To. - Stubb wyrwał kartkę z notesu i podał ją Sandy. - Może pani zapomniała, ale wczoraj wieczorem obiecała pani Madame Serpentine całostronicowe ogłoszenie w obu czasopismach...

- W jednym!

- W obu. Wie pani bardzo dobrze, że rozdzieli pani ten materiał przynajmniej na dwa numery, co w pani wypadku oznacza dwa czasopisma. W każdym razie obiecała pani ogłoszenia i powiedziałem pani, że wezmę panią za słowo. Oto tekst. Niech pani to da jak najszybciej.

Sandy spojrzała na papier.

Każdy, kto zna miejsce pobytu Benjamin Free z Podniebnej Krainy, proszony jest o kontakt. Nagroda. Pisać pod adresem czasopisma, skrytka XXX.

- To ma być to?

- Przydzielili pani Madame S. jakiś numer skrytki, tak, żeby mogła pani razem trzymać odpowiedzi, jeśli jakieś przyjdą. Co jakiś czas będę kogoś po nie przysyłał.

Stubb wypił łyk kawy.

- Murray! Kawa wystygła. Może być coś z tym zrobić!

- Kim jest Benjamin Free?

- Człowiekiem, którego chce znaleźć Madame Serpentina.

- Nie twierdzą, że jestem Sherlockiem Holmesem, panie Stubb, ale nawet ja to wydedukowałam. Co to jest Podniebna Kraina?

Stubb wzruszył ramionami.

- Będzie pani musiała sama zapytać Madame S.

- I ten cały Free tam mieszkał?

- Tak mówił.

Murray przyniósł Sandy Duck herbatę i dodał parującej kawy do filiżanki Stubba.

- Ale cholerny dzień, nie? - powiedział Stubb. - Na takim mrozie odpadłyby cycki dzikowi.

- Czy będziemy dyskutować o pogodzie, panie Stubb? Wolałabym mówić o Benjaminie Free.

- Jeśli mamy się kłócić, możemy równie dobrze mówić do siebie po imieniu. Ja jestem Jim.

- Ja jestem Sandy. To zdrobnienie od Alexandry. Jak pewnie zauważyłeś, ja sama jestem rodzajem zdrobnienia. Każda Alexandra powinna mieć prawie sześć stóp wzrostu i posługiwać się lorgnon. Ale znam trochę karate.

- Nie, nie chcę się bić, Sandy. Chciałem tylko zabić czas tym dowcipem o pogodzie. Murray był blisko i mógł nas słyszeć. Mogę ci powiedzieć wszystko, co wiem o Benie Free, w dwie minuty, i czemu nie miałbym tego zrobić? Sama byś do wszystkiego doszła w dziesięć minut. Ale wolałbym dowiedzieć się paru rzeczy od ciebie. Wczoraj mówiłaś, że zamieścisz Madame S. to ogłoszenie. Jeśli naprawdę ci pomogłem, może i ty byś mi pomogła? Powiedz mi, o co chodzi. Szukałaś mnie?

- Skąd wiesz, że cię szukałam? Może wpadłam tu tylko na filiżankę herbaty.

- Zobaczyłaś mnie przy kontuarze i zawołałaś moje nazwisko, zanim zdążyły ci zaparować okulary. Okna też są dość zaparowane, ale myślę, że zobaczyłaś mnie z ulicy, zanim weszłaś do środka. Bo kiedy weszłaś, nie byłaś głodna. I zmieniłaś zamówienie z kawy na herbatę. Nie myślałaś o jedzeniu, kiedy byłaś na chodniku. Myślałaś o mnie.

- Wiesz co, naprawdę niezły z ciebie detektyw.
- Tak, tylko że nikt na świecie o tym nie wie, oprócz ciebie i mnie.
- Musi też wiedzieć Madame Serpentina, skoro cię wynajęła. W każdym razie masz rację. Szukałam cię. Kilka minut temu wpadłam na jednego z boyów z hotelu i powiedział mi, że widział, jak przechodziłeś. Uznałam, że nikt nie chciałby chodzić bardzo daleko w taki mróz, więc zaczęłam szukać cię po barach.

- Dlaczego? Sandy ściszyła głos.

- Coś niebywałego, coś naprawdę niebywałego, wydarzyło się dziś rano w redakcji.

Stubb kiwnął głową, popijając kawę.

- Pan Illingworth - on jest właścicielem i redaktorem obu czasopism - stary pan Illingworth miał telefon z rządu. Od kogoś bardzo wysoko postawionego w rządzie federalnym. - Jej głos był napięty z podniecenia. - Słyszeli o moim tekście. Chcieli zobaczyć próbny egzemplarz.

Stubb odchylił się do tyłu, z oczami zamkniętymi za grubymi szklami okularów.

- Pan Illingworth był... Zupełnie wyszedł z siebie, jeśli mogę się tak wyrazić. Sam rozumiesz, problemy z rządem, po tylu latach! On ma przyjaciela w *New York Timesie*, którego nie widział od nie wiem jak dawna. Pisują do siebie tylko kartki z życzeniami na Gwiazdkę, ale pan Illingworth zadzwonił do niego. Gadali chyba z pół godziny. Pan Illingworth wyglądał, jakby był dziesięć lat młodszy.

- Świetnie. Pozwolisz tym ludziom z rządu przeczytać swój tekst?

- Oczywiście. Będziemy z nimi współpracować, przynajmniej przez jakiś czas, i zapisywać wszystko. A potem może opublikujemy dokumentację całej sprawy. Przy odrobinie szczęścia napiszą o nas w dużych gazetach i kilku pismach z wyborem artykułów z prasy. *Times* obiecał panu Illingworthowi, że wstrzymają się z tym, póki nie damy im znać. Zaczęliśmy już przygotowywać odpowiedni materiał do najbliższego numeru *Nauk Tajemnych*. Skończyliśmy go właśnie przed minutą. Piszemy, że nasze czasopismo jest w rozpaczliwej sytuacji - nie chodzi o sprawy finansowe - i prosimy wszystkich naszych czytelników, którzy mają dar patrzenia w przyszłość, by zastanowili się nad tym razem z nami i poradzili nam, co zrobić, i napisali do nas, jak to się udało.

- Sprytnie.

- Koniecznie chcemy wiedzieć, jak się dowiedzieli. Mam na myśli tych ludzi pracujących dla rządu. Jeżeli w tej sprawie istnieje jakieś porozumienie pomiędzy różnymi jasnowidzami, cóż, będziemy szukać go bardzo uważnie.

- Ja też jestem jasnowidzem - rzekł Stubb. Podniósł prawą pięść i przycisnął do czoła. - Mogę ci od razu powiedzieć.

- Możesz mi powiedzieć?

- Jasne. Kiedy robotnicy rozbierali dom Bena, sfilmowała go telewizja. Opowiem ci o tym kiedy indziej. Taśmę puścili w wiadomościach o piątej. Ktoś musiał to zobaczyć i zaczął

go szukać. Pamiętasz panią Baker, tę zwariowaną staruszkę, która przyszła do pokoju Madame S. mniej więcej w tym samym czasie, co ty? Pojawiła się tam, bo oni się z nią skontaktowali i znała nasze nazwiska - zapamiętała je mylnie, myślała, że ja jestem Ozzie Barnes i tak dalej, ale same nazwiska były prawidłowe. Śledzili kogoś z nas. To tylko domysły, ale powiedziałbym, że obstawili Candy, gdy wypuszczali ją z posterunku. Ale to nie ma znaczenia, bo cała nasza czwórka poszła do pokoju Madame S. w Consorcie. Cholera, dzięki temu stukniętemu gliniarzowi to musiało być piekielnie łatwe...

- Panie Stubb? Jim?

- Coś mi tylko przyszło do głowy, to wszystko. Takie rzeczy zdarzają mi się mniej więcej raz w miesiącu. Słuchaj no, Sandy, chcesz się w to wkupić?

- Tak, oczywiście, jeśli tylko mogę. O tym właśnie chciałam z tobą mówić. Nie wiem, dlaczego bardzo ważna agencja rządowa interesuje się Madame Serpentina, ale jeśli tak jest, to mam wielki temat. Może mi się uda sprzedać go *Timesowi* albo któremuś z ogólnokrajowych pism z wiadomościami. Jeśli będzie naprawdę dobry, może mogłabym dzięki niemu dostać pracę w którymś z tych pism. Chciałam cię poprosić, żebyś mi pomógł się za tym zakreć.

- Jasne. I sądziłaś, że uczynię to tak po prostu, z czystej dobroci serca?

- Owszem, przypuszczałam, że mi pomożesz. Miałam nadzieję, że trafimy na jakiś obszar, który zainteresuje nas oboje.

- Świetnie. Pieniądze - uśmiechnął się do niej Stubb.

- Nie mam dużo.

- W porównaniu ze mną jesteś pewnie bogata. Posłuchaj, wiem, że masz wysoką opinię o Madame S., ale ona nie była zbyt hojna, jeśli chodzi o forszę na bieżące wydatki. Zrobimy tak. Zaproponowałaś już, że zapłacisz za mój lunch.

Sandy kiwnęła głową.

- Świetnie, zawsze to jakiś początek. Chcę, żebyś mi dała teraz sto doliczów, przy czym rozumiemy oboje, że one nie są moje. To pożyczka, którą ci spłacę, kiedy - jeżeli w ogóle - dostanę wypłatę od Madame S., a tymczasem mogę ich używać na różne wydatki w sprawie.

- Nie mam w torebce stu dolarów ani nic podobnego.

- Możesz wypisać czek. Zamienię go nam na gotówkę w kantorze kilka domów stąd. To dobrze się składa, bo zaraz będziemy potrzebować trochę na taksówkę.

- A co ja z tego będę miała poza tym, że się przejadę taksówką?

- Informacje. Powiem ci, co wiem o Free, i pozwolę ci włączyć się za mną i robić zdjęcia, dopóki nie skończy się ta setka. Wtedy pogadamy. Będiesz mogła znowu się wkupić za kolejną setkę albo zerwać umowę. Co ty na to?

Siedziała wbijając w niego wzrok i gryząc swoją szminkę. Minęło pół minuty i Murray przyniósł im kanapki i zatłuszczony rachunek na zielonkawym papierze. W końcu odezwała się:

- To nie będą pieniądze moich pism. Będą moje. Moje własne.

- Mówisz o sprzedawaniu tego artykułu, a może nawet o zdobyciu nowej posady. Czy twoje pisma miałyby za to płacić? - Stubb podniósł ćwiartkę swojej kanapki i posmarował ją sosem od sałatki. - Masz przy sobie aparacik?

- Tak, zawsze go noszę. Nie powiedziałaś, że zadzwonisz do pana Illingwortha, jeśli nie dam ci tych pieniędzy.

- Bo tego nie zrobię. Nie jestem szantażystą. Proponuję ci, żebyś wkupiła się w tę historię. Jeśli chcesz to zrobić, świetnie. Jeśli nie chcesz, to też dobrze. Ale jeśli tego nie zrobisz, nie przychodź do mnie zebrać o pomoc.

- Powiesz mi, co to za myśl przyszła ci właśnie do głowy?

- Jasne. To pierwsze co ci powiem. Potem pójdziesz ze mną i będziesz się przyglądać, jak staram się obrócić ją w czyn. Jeśli się czegoś dowiem, usłyszysz o tym. Tylko musisz trzymać język za zębami, póki nie powiem ci, że możesz o tym napisać, co pewnie nie potrwa za długo.

- W porządku, sto dolarów. Masz nadzieję, że zdobędziesz jakąś wskazówkę, gdzie może być ten pan Free?

- W pewnym sensie tak. Konkretnie mam nadzieję, że zdobędę informacje o tych ludziach pracujących dla rządu, którzy interesują się jego sprawą. No, więc teraz współpraca ma być dwustronna. Co oni powiedzieli twojemu szefowi?

- Nie wiem zbyt wiele. Nie chciał mi powiedzieć.

- Tak też myślałem. Czy powiedział, co to była za agencja? Sandy potrząsnęła głową.

- Wydział Sprawiedliwości? FBI? CIA? Skarb Państwa? Urząd Podatkowy?

- Nie powiedział.

- Tylko tyle że to była agencja rządowa?

- Coś w tym rodzaju.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Nie wiem.

- Ale mogła to być kobieta?

- Powiedziałaś ci, że nie wiem. - Wzdrygnęła się lekko, u kresu sił. - Skoro mi nie powiedział, skąd mam wiedzieć? Nie podsłuchiwałam.

- Nawet kiedy kończył rozmowę?

- Nie. Był w swoim biurze i miał zamknięte drzwi.

- I nie zadałaś mu żadnych pytań, kiedy ci powiedział, że twój artykuł ma zostać przejrany?

- Oczywiście, że zadałam. Tylko że on nie odpowiedział na nie. Był przejęty myślą, żeby pozwolić im działać, a potem przedstawić tę całą historię czytelnikom i zrobić wokół tego wielkie halo. Nie chciał rozmawiać o tym telefonie. Panie Stubb...

- Jim.

- Rozumiem, że masz dobre intencje, ale nie znasz pana Illingwortha. To stary człowiek - ma ponad siedemdziesiątkę - i dziwak. On wydawał te pisma, zanim ja się urodziłam, i doskonale wie, że dalej będzie je wydawał, kiedy ja odejdę na jakąś lepszą posadę. On wszystko trzyma dla siebie.

- Musieli mu powiedzieć, gdzie ma przesłać twój artykuł o Madame S. Czy nie zrobił jakichś notatek? Nazwisko i adres? Może telefon.

- Przypuszczam, że tak.

- W kieszonkowym notesie albo w czymś, co zostawia na biurku?

Sandy zacisnęła usta.

- Pewnie w swoim notatniku. Naprawdę ważne rzeczy, terminy z drukarni i spotkania z naszym dystrybutorem, zapisuje zwykle w swoim notatniku. Taki już ma zwyczaj.

- A czemu nie mielibyśmy tam pójść i zajrzeć do tego notatnika?

- Kiedy on pójdzie do domu, o to ci chodzi? Nie wiem, czemu nie mielibyśmy tego zrobić. Mam klucz. Ale, Jim...

- Tak?

- To byłoby nie fair, gdybyś skoncentrował się na tym. To mogłam zrobić sama. Przyszłam do ciebie i dałam ci sto dolarów dlatego, że potrzebuję twojej pomocy w tym, co dotyczy Madame Serpenty. To w końcu ona ich interesuje. Nie pan Illingworth. I nie ja.

- Ona też nie - rzekł Stubb. - Właśnie ci o tym mówiłem i jeśli masz zamiar o tym pisać, lepiej naucz się słuchać. To Ben Free. I nie myśl, że się koncentruję na jednej części tej sprawy, a nie na drugiej; ja myślę o wszystkim. A teraz skończ swojego hamburgera, to weźmiemy gotówkę na twój czek i pojedziemy do szpitala Belmont.

- Belmont?

- Jasne. To właśnie był mój pomysł miesiąca. Powiedziałem ci już: ci ludzie z rządu musieli obserwować pokój Madame S. w Consorcie. Widzieli, jak wchodziłaś i może jak wychodziłaś i tak wpadli na twój trop. Świetnie. Ale ktoś jeszcze nas obserwował. Cholera, on cię zatrzymał, kiedy wychodziłaś, nie pamiętasz?

- Ten policjant z zabandażowaną głową?

- No właśnie. Sierżant Proudly. Obserwował nas i jest cholernie duża szansa, że widział, kto jeszcze nas obserwował. Dziś rano, kiedy rozdzielałem zlecenia całej naszej paczce, powiedziałem Candy, żeby poszła tam i porozmawiała z nim, ale tylko dlatego, że to ona pomogła starym doktorowi zacerować go i wydawało się, że on ją bardziej lubi niż resztę z nas. Chciałem, żeby dowiedziała się, co on takiego wiedział, lub sądził, że wiedział, i dlaczego uznał, że powinien nas obstawić. Pewnie już tam była i wyszła - mam nadzieję, że go dla nas troszeczkę zmiękczyła.

ROZDZIAŁ 34

Odwiedziny w Belmoncie

- Dzień dobry - rzekł kapitan Davidson. - W czym mogę pani służyć?

Smagła kobieta rzuciła na niego okiem.

- W niczym.

Ubrana była w przyprószone śniegiem futro z norek, botki na obcasie i kapelusz z woalką, staromodny, ale elegancki. Nie była wysoka, ale sprawiała takie wrażenie, częściowo z powodu wysokich obcasów.

- Pani jest Cyganką - rzekł Davidson. Wydawało się, że go nie słyszała.

- Pierwszy raz widzę Cygankę, która odrzuca okazję wykorzystania kogoś, kto zaofiarował się z pomocą.

- To wspianiały świat, większy niż pan przypuszcza. Kapitan podniósł wzrok na ciemną fasadę kamiennego budynku.

- Ktoś z pani współplemieńców jest w Belmoncie?

- Kilkoro, o ile wiem. Ma pan tu jakieś wpływy?

- Mam nadzieję. Jest tu jeden z moich ludzi.

- To łączy nas wspólna sprawa.

- Poniekąd.

- Jestem Madame Serpentina - rzekła czarownica. Wyciągnęła dłoń w czarnej rękawiczce.

- Chce pani powiedzieć, że mogę tak panią nazywać.

- Oczywiście. Jest pan bardzo inteligentnym policjantem, więc pan to wie. A jak ja mogę pana nazywać?

Powiedział jej.

- Teraz mam Komisariat Trzynasty, ale kiedyś byłem w Wydziale Wyłudzeń. Znałem Cygankę, która naciągnęła dwie staruszki na czterdzieści tysięcy dolarów.

- Jakie to straszne, że takie zło szerzy się wśród mojego ludu. I jaki musi być pan szczęśliwy, że to się nigdy nie zdarza wśród pana własnego narodu, kapitanie Davidson. Wejdziemy do środka?

Kiedy ruszyli w górę po schodach, od przejeżdżających samochodów odłączyła się taksówka i zahamowała przy chodniku. Ze środka zwinnie jak pulchny brązowy ptaszek wyskoczyła pulchna kobieta, uczyniła krok czy dwa w ich kierunku, zawołała przenikliwym głosem: „Madame Serpentina!” i wyciągnęła mały aparat fotograficzny gestem tak bardzo przypominającym sięganie po rewolwer, że dłoń kapitana Davidsona drgnęła w kierunku jego własnej broni. Nastąpił nagły błysk. Był bardzo silny, a jednak zagubił się w przestrzeni ulicy i nieba, zniknął w świetle słońca i roziskrzonego śniegu.

- To pani - rzekła czarownica.

- I ja. - Stubb obszedł tylny zderzak taksówki, która odjeżdżała.

- Znam cię - warknął Davidson. - Prywatny. Jak ty się nazywasz, do diabła?
- Jim Stubb. - Stubb wyciągnął rękę. Została zignorowana.
- Ja jestem Davidson. Kapitan, Komisariat Trzynasty. Nie próbujesz czasem odzyskać łupu z jakiejś machlojki?
- Ma pan na myśli tę panią? - Stubb rzucił okiem na czarownicę. - Pracuję dla niej.
- Rozumiem. Nie sądziłem, że masz licencję, Stubb.
- Nie mam, jeszcze nie mam. Ale prawo nie mówi, że trzeba mieć licencję po to, żeby pracować, tylko po to, żeby ogłaszać swoje usługi. Jestem tylko człowiekiem pracującym, a teraz akurat pracuję dla tej pani.

Davidson odwrócił się do Sandy Duck.

- Pani też? Przed chwilą zrobiła nam pani zdjęcie.
- To jej zrobiłam zdjęcie - rzekła Sandy. Wręczyła mu wizytówkę.
- A co wy oboje tu robicie?
- Nie sądzę, byśmy musieli odpowiadać na to pytanie.
- Musicie, chyba że wolicie, żebym was przymknął. Mógłbym wsadzić Stubba za działalność bez licencji i zapomnieć o tym kicie, który tak lubi wciskać. Mógłbym wsadzić was oboje na podstawie podejrzenia o oszustwo.

Usta Sandy otworzyły się, a oczy rozszerzyły.

- Och! Zrobiłby to pan? Pan Illingworth byłby taki szczęśliwy! Mam prawo zatelefonować, prawda? Mogłabym zadzwonić do redakcji. Wynająłby mi prawnika i w ogóle, to byłoby wspaniałe!

- Tak pani uważa, co? Odwróciła się i paplała do Stubba.

- Widzisz, należę do takiego małego klubu, nazywamy go Związek Pomniejszych Pism. I jest taka jedna osoba w ZPP, która była aresztowana podczas jakiejś akcji protestacyjnej, wzięli jej odciski palców i tak dalej i gadała o tym potem tak długo, aż wszystkim nam już się robiło niedobrze.

- Już dość się nasłuchałam tych bzdur - powiedziała czarownica. - Kapitanie, radzę panu zaaresztować tę głupią kobietę. Uszczęśliwi to was oboje. Panie Stubb, jeśli nadal uważa pan, że pan dla mnie pracuje, niech pan wejdzie ze mną do środka i pomoże mi, jeśli tylko będzie pan w stanie.

Weszła po oblodzonych kamiennych stopniach nie oglądając się wcale, by sprawdzić, czy Stubb lub ktoś inny za nią pójdzie. Poszli wszyscy. Sandy pospieszyła za detektywem, a Davidson zamykał tyły. W środku kapitan pokazał odznakę pielęgniarce o nie uczesanych włosach.

- Och, tak się cieszymy, że pan przyszedł, panie władzo. To tak długo trwało. Są na górze, w sali dwieście siedemnaście.

- Wzywaliście policję?

- Ci okropni ludzie tu wtargnęli, jest ich troje, panie władzo, kobieta i dwóch mężczyzn. Szukali kogoś, a kiedy im powiedziałam, że go tu nie ma, domagali się, żeby przeszukać cały szpital. Próbowałam ich powstrzymać, ale pobiegli na górę i wszczęli burdę.

- Rozumiem - rzekł Davidson. - Jak wyglądają?

- Po co to panu? Może pan pójść na górę i sam się przekonać, panie władzo.

- W tej chwili chciałbym, żeby mi pani ich opisała. Pielęgniarka zastanowiła się.

- To jacyś cudzoziemcy, jestem pewna. Jeden z mężczyzn ma wielkie wąsy - oczywiście niektórzy Amerykanie też takie miewają - i kolczyki w uszach. Ukryty masochizm, a może nawet jawny. Kobieta ma długą spódnicę, a jej włosy są związane czerwoną chustką. Są bardzo smagli. Myśli pan, że jest możliwe, by przyjechali z Indii?

Davidson pokiwał głową.

- Jakies pięćset lat temu. A wy ich trzymajcie, póki komisariat kogoś nie przyśle. O której mniej więcej dzwoniście?

- Boże, to się wydaje tak długo... Tyle się wydarzyło. - Pielęgniarka przeniosła wzrok z Davidsona na Sandy oraz Stubba i z powrotem. - Tak naprawdę chyba niecałą godzinę temu.

- Dzwoniła pani na komisariat?

- Nie wiem, co to znaczy. Doktor Roberts kazał mi wezwać policję, więc to zrobiłam.

- Jaki to był numer?

- Numer telefonu? Nie pamiętam. Ten, który jest na początku książki telefonicznej.

- To siedziba główna, w centrum. Jeszcze nie ma wozu, ale Cyganie już wiedzą, że ich ziomkowie są w kłopotach. Zdążyli już nawet kogoś przysłać. Niedługo pewnie skontaktuje się z wami ich prawnik. Podadzą was do sądu. - Davidson spojrzał na Stubba. - Dokąd ona poszła?

Stubb uśmiechnął się.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem. W jednej minucie tu jest, w drugiej jej nie ma. Pewnie na górę do sali dwieście siedemnaście. Czy to nie tam ich trzymają, jak ta pani mówiła?

Pielęgniarka stuknęła o biurko szklanym przyciskiem do papierów.

- Chce pan powiedzieć, że poszła na górę bez zezwolenia? Nie możemy dopuszczać do takich rzeczy! - Złapała telefon.

- Pan też ma zamiar ich odwiedzić? - spytał Stubb Davidsona.

- Przyszedłem tu, żeby zobaczyć mojego sierżanta - rzekł Davidson. - Jeśli nie są niczego winni, a założyłbym się o własną dupę, że czegoś na pewno są winni, i jeśli nie możemy im tego udowodnić, a założyłbym się, że nie możemy, to guzik mnie obchodzą.

Pielęgniarka z traskiem odłożyła słuchawkę na widełki.

- Dostaniemy ją. Ostrzegłam Marcie, na drugim piętrze.

- Dobrze - rzekł Davidson. - Teraz chciałbym zapytać o sierżanta Charlesa Proudya. Jeśli dobrze słyszałem, zabraliście go dziś rano z hotelu Consort.

- Chce pan go odwiedzić?
- Nie przyszedłem tylko porozmawiać z jego lekarzem. Kto to jest?

Pielęgniarka odwróciła się w stronę komputera i zaczęła naciskać klawisze, jakby miała wysadzić w powietrze całe kontynenty.

- Mam. Złudzenie wielkości i mania prześladowcza. Agresywny. Doktor Roberts.
- Czy Roberts jest tu teraz? Kiwnęła głową.
- Dowiem się, czy pana przyjmie.

- Idę na górę, by się z nim zobaczyć. Niech mi tylko pani nie mówi, że poszczuje na mnie swoje zbiry. To będzie przeszkadzanie policjantowi w wykonywaniu obowiązków służbowych i wylądują w pierdlu, zanim zdąży pani powiedzieć „biały fartuch”. I powybijam im cholerne zęby.

- Jestem pewna, że doktor Roberts pana przyjmie, panie władzo. Niech mi pan tylko pozwoli zadzwonić...

Stubb ujął łokieć Sandy.

- Chodź!
- O co chodzi? Dlaczego szepczemy?

We wnęce za nimi czekała winda z otwartymi drzwiami. Stubb wepchnął Sandy do środka, kiedy szklany przycisk do papierów uderzył o ścianę.

- Ciekawe, za którym razem jej się stłucze. Drzwi zasunęły się.
- Dokąd jedziemy?

- Mówiłem ci, zobaczyć się z Proudym. Jak myślisz, jakie mamy szanse, żeby z nim porozmawiać, kiedy kręci się tu ten gliniarz?

- Nawet nie wiesz, gdzie on jest!

- Jasne, że wiem. Siedemset siedemnaście. Powinien czuć się jak w domu, bo w Consorcie był w pokoju siedemset siedemdziesiąt jeden. Kiedy ta stuknięta baba w recepcji znalazła jego kartę, przeczytałem numer. To żadna sztuka przeczytać trzycyfrową liczbę do góry nogami. Mówiąc o sztukach, widziałaś może, dokąd poszła Madame S., gdy zniknęła?

Kiedy winda zatrzymała się z lekkim podskokiem, Sandy potrząsnęła głową.

- Ja też nie. I nie pojechała windą, bo stała na dole, a nikt jej nie sprowadzał z powrotem. Cholera, pewnie nigdy się nie dowiemy. Chodź.

Wyszli na szeroki korytarz, którego koniec oświetlało słońce, tam, gdzie okno wychodziło na zachód. Sufit i ściany pomalowano na żółto od wysokości czterech stóp nad podłogą. Ciemne linoleum było gdzieniegdzie tak wytarte, że prześwitywały deski. Wzdłuż ścian stały ławki, a na nich siedzieli mężczyźni w nie krochmalonych biało-szarych bawełnianych piżamach i pantoflach. Kilku podniosło wzrok, ale bez śladu zainteresowania i zrozumienia.

- Sądzisz, że ten sierżant Proudny tu będzie?
- Nie na korytarzu - rzekł Stubb. - Z tego, co słyszałem na dole, za bardzo się rzucał.

Jeden z milczących mężczyzn wstał, spuścił spodnie od piżamy i zaczął się onanizować.

- Jim, ja się boję.

- Nie bój się. Ten biedny gość cholernie dawno nie widział kobiety, która by nie wyglądała jak jakiś szef. Teraz chce mieć z życia ostatnią odrobinę przyjemności, a jest tak nafaszerowany lekami, że jak sobie pójdziesz, za pięć minut o tobie zapomni.

- A jeśli wszyscy razem się na nas rzuca?

- A jeśli nie?

Drzwi jednego z pokoi na korytarzu otworzyły się i wyszedł krzepki młody mężczyzna w wykrochmalonej bieli.

- Przykro mi, moi drodzy - rzekł. - Ale na to piętro nie wolno wchodzić odwiedzającym.

Stubb mignął odznaką.

- Mam się zobaczyć z sierżantem Proudym. Komisariat Trzynasty.

Młody człowiek zawahał się.

- To on naprawdę jest policjantem?

- Jasne, to gliniarz. I zanim tak się rozchorował, całkiem niezły gliniarz. Gdzie on jest?

Młody człowiek spojrzał na Sandy.

- Pani też jest z policji?

- Nie, to jego bratowa - rzekł Stubb. - Ta dziewczyna na dole w recepcji powiedziała, że skoro ja idę się z nim zobaczyć, to ona może pójść ze mną.

- Mieliśmy tu dzisiaj dużo kłopotów... Ale pan jest policjantem?

- Dostyc tego - rzekł Stubb. - Niech mi pan zejdzie z drogi.

- Nie rób tego, synu - zawołał Davidson. - Niech ci pokaże odznakę.

Sandy wywinęła się na pięcie, a Stubb zmęczonym ruchem odwrócił się by spojrzeć na policjanta.

- Cześć, Stubb. Cześć, panno Duck. Czy mogę zapytać, co wy właściwie tutaj robicie?

- Przyszli zobaczyć się z policjantem w pokoju siedemset siedemnaście - wyjaśnił sanitariusz.

- Coś takiego. Ja także. Właściwie - Davidson uśmiechnął się do nich tylko odrobinę ponuro - chciałem najpierw zobaczyć się z doktorem. Ale kiedy zadzwonili po niego, nie było go w gabinecie, więc pomyślałem sobie, że przyjdę tutaj i zobaczę się z Chickiem. Czy ten facet powiedział ci, że jest policjantem, synu?

- Nie powiedziałem - oświadczył Stubb. - Pokazałem mu tylko odznakę. Ta dziewczyna jest moim świadkiem.

- Powiedział, że jest z Komisariatu Trzynastego - rzekł sanitariusz. - Czy pan jest prawdziwym policjantem?

Stubb zachichotał.

- Niech mu pan pokaże odznakę, kapitanie.

- Tak zrobię. - Davidson wyjął odznakę z kieszeni płaszcza i pokazał ją. - Tym razem dobrze się przyjrzyj, synu.

- I nie mówiłem wcale, że to ja jestem z Komisariatu Trzynastego. Mówiłem o Proudym. Powiedziałem: „Chcę się zobaczyć z sierżantem Proudym, Komisariat Trzynasty.”

- To prawda, kapitanie - wtrąciła Sandy.

- Co masz napisane na odznace? Młodszy Federalny Urzędnik Śledczy?

- Tak naprawdę to „Międzynarodowy Detektyw Prywatny” - powiedział Stubb. - Chce pan ją zobaczyć?

- Poczekam sobie. Prawdę mówiąc, wcale nie będę musiał jej oglądać, jeśli mi powiesz, dlaczego ta młoda Cyganka interesuje się Proudym.

Stubb wzruszył ramionami.

- O ile wiadomo, ona wcale się nim nie interesuje. Sandy pociągnęła go za rękaw.

- Chce pan powiedzieć, że Madame Serpentina to prawdziwa Cyganka?

- Tak jest, proszę pani - rzekł Davidson. - Tam na ulicy ten facet powiedział, że pracuje dla niej i ona potwierdziła to, mówiąc mu, żeby wszedł do środka i pomógł jej. A teraz trafiam na niego tutaj, jak wypytuje o Chicka. - Spojrzał na sanitariusza. - Tak było, synu?

Sanitariusz kiwnął głową.

Ściskając ramię Stubba, co miało oznaczać: „proszę, nic nie mów”, Sandy podniosła się na palcach, podnosząc też odpowiednio głos.

- Panie kapitanie, jestem pewna, że pan Stubb nie miał złych zamiarów. Pan Stubb jest jednym z najmiłszych, najlepszych...

Zza zamkniętych drzwi pobliskiego pokoju dobiegł głos:

- Panie Stubb, to pan? Proszę, proszę, niech pan mi pomoże! To Nimo!

ROZDZIAŁ 35

Pierwsze badanie

Doktor Bob jednym pchnięciem otworzył drzwi pokoju Candy, spojrzął na nią, rozglądał się przez chwilę po korytarzu, a potem wszedł do środka i zamknął drzwi.

- Jak się dziś miewamy?

- Jestem wykończona. Co oni mi wstrzyknęli? Czuję się jak owinięta w jakąś watę, a teraz ta wata się rozpląwa.

- Chciałaby się pani napić wody?

- Do diabła tak. Chciałabym się napić czegokolwiek. Zdjął nakrętkę z plastikowego pojemnika, nalał doń wody z niewielkiego naczynia w rogu pokoju i zakręcił go znowu. Z jego szczytu sterczała plastikowa giętka rurka.

- Musi się pani przyzwyczaić do picia w pozycji leżącej. To na początku może być trudne. Jeśli odwróci pani głowę na bok, zobaczy pani, że tak jest łatwiej.

Candy włożyła rurkę do ust issała wodę, aż pojemnik zaczął wydawać dźwięki jak pusta szklanka po wodzie mineralnej.

- Dobrze. Mam nadzieję, że teraz pani czuje się lepiej.

- Boli mnie głowa. Po co pan to zapisuje?

- To mój raport. Muszę zanotować, co pani mówi, a przede wszystkim, jak się pani czuje.

To pani pierwsze badanie.

- Głowa mnie boli przez te środki, które mi pan wstrzyknął. Nie bolała mnie, zanim tu przyszedłem.

Doktor Bob kiwnął głową.

- Czy zażywała pani kiedyś narkotyki?

- Jasne. Spojrzął na nią.

- Czy zażywała je pani dzisiaj - w dniu, kiedy tu pani przyszła?

- Nie.

- Wczoraj?

- Nie. To już dawno temu. Od paru tygodni chyba nawet nie wypaliłam skręta.

- Marihuana. Co jeszcze?

- Och, wie pan. Amfa, próbowałam schudnąć. Kilka razy hera. Koks.

- Brała pani heroinę?

- Tak, miałam takiego przyjaciela, który mi trochę dawał. Tylko wdychałam. Miałam nadzieję, że wyrobię sobie mały nawyk i zrzucę kilka kilogramów, a potem pójdę do kliniki i odzwyczaję się. Ale nigdy za bardzo tego nie lubiłam. Znajomy doktor powiedział mi, że nie mam osobowości do uzależnień. Ale jeśli tak jest, to chciałabym wiedzieć, dlaczego jem tak dużo i zalewam się za każdym razem, kiedy ktoś otwiera butelkę? Czy to coś innego?

- Zwykle tak bywa. Jak się nazywa pani lekarz?

- Nie mogę panu tego powiedzieć. - Candy miała urażony głos. - Wie pan, etyka zawodowa.

- Chyba pani tego nie rozumie. Kiedy odwiedza pani swojego lekarza, etyka zawodowa zabrania mu ujawniać, co miało miejsce między wami. Pani jednak ma zupełną wolność, żeby opowiadać komuś innemu, a już na pewno innemu lekarzowi, co tylko pani sobie życzy.

- Wydaje mi się, że pan nie rozumie. To on mnie odwiedzał.

- Jest pani terapeutką?

- Mhm. Terapeutką seksualną. To znaczy zwykle mówię, że jestem dziwką, bo to kończy dyskusje. Ale tak naprawdę jestem terapeutką seksualną.

- Chce pani powiedzieć, że jest pani prostytutką.

- Właśnie. Terapeutką seksualną. Pan jest lekarzem, tak? Więc niech pan zgadnie, ile ważę. Jeśli pan chce, może mnie pan nawet obmacać, jak to robią w czasie zabaw karnawałowych.

Doktor Bob obejrzał się głaszcząc się po brodzie, a potem zanotował coś w swoim notesie.

- Podpowiem panu. Mam pięć stóp osiem cali wzrostu, bez butów.

- Dwieście funtów, jak sądzę.

- Dwieście czterdzieści. No więc, jest pan naprawdę przystojnym facetem, chociaż jest pan trochę za szeroki w biodrach. Przypuśćmy, że podchodzę do pana na ulicy. Jest bardzo blisko do północy i może oboje wypiliśmy już po kilka. Ja mówię: „Słuchaj, jestem cholernie dobra w łóżku. Zabierz mnie do siebie, to zafunduję ci świetną zabawę. Co tylko zechcesz. Muszę za to dostać pięćdziesiąt dolarów.” Zabrałby mnie pan do siebie?

- Pewnie tak.

- Sądzę, że nie, doktoru. Facet taki jak pan może pójść do każdego baru dla samotnych w tym mieście i po godzinie wyjść stamtąd, z kimś, kto waży połowę mniej ode mnie i nawet nie będzie pan musiał za to płacić. Ci, którzy mówią tak...

- Tak?

- Cóż, mają jakieś kłopoty. Czasami, mówiąc szczerze, ten kłopot to właśnie to, że po prostu nie potrafią powiedzieć nie. Czasami czują się winni - zdradzają żony czy narzeczone, a nawet, na miłość boską, własne matki. I nie chcą dziewczyny, która wygląda ładnie. Chcą się upodlić. Rozpoznają ich po tym, jak na mnie patrzą, kiedy się rozbieram. Hej, dlaczego ja to wszystko panu opowiadam?

- Pewnie dlatego, że jestem lekarzem - rzekł doktor Bob. - I gdzieś tam w środku ma pani nadzieję, że mogę pani pomóc.

- Myślę, że to te środki, które mi dali.

- Nie. - Znów coś zapisał w notesie.

- Niech pan zdejmie ze mnie te pasy, dobrze?

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Agresywni pacjenci muszą być skrupowani przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny. To reguła szpitala.

- Ja nie jestem pacjentką.

- Owszem, jest pani.

- Czy możecie to zrobić tak po prostu? Zabrać kogoś i zamknąć?

- Jeśli ma pani na myśli odosobnienie kogoś na stałe, to nie. Musi być orzeczenie o chorobie psychicznej, a tutaj nawet nie jest miejsce stałego odosobnienia. Pod żadnym pozorem nie trzymamy nikogo dłużej niż sześć tygodni. Ale czasowo możemy przyjąć każdego, kogo zachowanie jest niebezpieczne dla społeczeństwa albo dla niego samego.

- To właśnie zrobiliście z tym gliniarzem, co?

- Z gliniarzem?

- Sierżantem Proudym. Był w Consorcie i ktoś, nie pamiętam już kto, wezwał was do niego. Pewnie Jim.

- To pani go zna. Tego policjanta.

- Nie znam go tak naprawdę. Pomogłam go bandażować.

- Widziałem opatrunek. Przeprowadziłem pierwsze badanie, tak jak to właśnie robię z panią. To była bardzo profesjonalna robota.

- Dziękuję.

- Pani to zrobiła?

- Owszem, częściowo. Pomagałam.

- Powiedziałbym, że szwy na jego głowie zostały zrobione przez chirurga.

- Zdjął pan bandaż, co? Tak, zaszywał go lekarz.

- Pracowała pani dla tego lekarza?

- Pewnie można by tak to nazwać.

- Jest pani pielęgniarką?

- Nie.

- Niekoniecznie zarejestrowaną pielęgniarką. Można być pielęgniarką praktycznie bez dyplomów.

Candy parsknęła śmiechem.

- Ja to bym była raczej niepraktyczną pielęgniarką.

- Jestem ciekaw, co mogłaby mi pani powiedzieć, kim jest ten lekarz. Być może go znam.

- Zapomniałam, jak ma na nazwisko. Powiedział mi, albo ktoś inny mi powiedział, ale zapomniałam. To mój problem, prawdziwy problem.

- Rozumiem.

- Inny problem to pamiętanie. Można by pomyśleć, że jedno z drugim będzie się znosić nawzajem, co? Ale tak nie jest. Zawsze pamiętam rzeczy, o których chcę zapomnieć - wie pan, na przykład to, co robiłam poprzedniej nocy. I zapominam rzeczy, o których powinnam pamiętać, jak na przykład to, że ktoś mi jest winien dwie dychy.

- To może powinniśmy zacząć od początku. Przypuszczam, że trzeba było od razu to sobie wyjaśnić. Jak się pani nazywa?

- Candy Garth. Niech no pan słucha, tak naprawdę nie zrobiłam niczego bardzo złego, no nie? Potrząsnęłam tylko trochę tą dziewczynę. Kiedy zdejmie pan ze mnie te pasy i pozwoli mi odejść?

- Candy to pani oficjalne imię?

- Catherine. Catherine M. Garth, w porządku? M. to skrót od Margaret.

- Wie pani, jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia?

- Ma pan na myśli poniedziałek albo wtorek? Chyba nie. Zwykle zwracam na to uwagę, ale czasami zapominam. Widzi pan, że nie mam regularnej pracy i nie chodzę do kościoła, więc to dla mnie niewielka różnica. Sklepy i tak są otwarte cały czas i bary też.

- Niech pani zgadnie, proszę.

- Chce pan, żebym strzelała?

- No właśnie.

- Środa. Co pan na to?

- A który dzień miesiąca, proszę?

- Cóż, styczeń. Miałam cholernego kaca po Nowym Roku, ale to było ze dwa tygodnie temu. Powiedziałabym koło piętnastego.

- Mamy dziś piątek, dwudziesty pierwszy, Candy. Gdzie pani mieszka?

- Chce pan wiedzieć teraz?

- Tak.

- Nie mam teraz czegoś, co można by nazwać stałym adresem. Mieszkałam u przyjaciół.

- Chciałbym być szczery wobec pani, Candy. Kiedy została pani tu przyjęta, przejrzelismy pani torebkę. Nie myszkowaliśmy, ale...

- Och, Boże! Dzieciak!

- Tak?

- Miałam ze sobą dzieciaka, Małego Ozzie'ego. Czy nic mu nie jest? Mój Boże, zupełnie o nim zapomniałam.

Candy spróbowała usiąść, pasy wbiły się w jej miękkie ciało, a okrągła twarz zaczerwieniła z wysiłku.

- Niech się pani nie martwi o tego zucha. Sam z nim przed chwilą rozmawiałem i miewał się bardzo dobrze.

- Macie go tutaj?

- Próbujemy odszukać jego ojca.

Candy coś wymamrotała i doktor Bob pochylił się do przodu.

- Co pani powiedziała?

- Niech pan się zamknie. Muszę pomyśleć. Jim wysłał go, żeby zobaczył się z lekarzem, ale nie pamiętam jego nazwiska.

- Jestem pewien, że się pani przypomni, kiedy będziemy rozmawiać.

- Nie wiem też, gdzie jest Jim. Która godzina? Doktor Bob spojrzął na zegarek.

- Za piętnaście trzecia.

- Będzie pan tu jeszcze o szóstej?

- Mogę być, jeśli jest po temu jakiś powód.

- Niech pan zadzwoni o szóstej do Consorta. Niech pan poprosi pokój Madame Serpenty. Ozzie powinien być tam o tej porze. Mieliśmy się tam spotkać.

- Madame Serpentina to dość dziwne nazwisko.

- Rzeczywiście. Ona sama jest dość niesamowitą kobietą, więc to pewnie do niej pasuje.

- Czy ona jest Amerykanką?

- A czemu miałyby nie być? Każdy gamoń, któremu uda się postawić jedną nogę na plaży, jest teraz Amerykaninem. Mówi po angielsku, jeśli o to panu chodzi. Połowa z nich tego nie potrafi. Nie sądzę, żeby tu się urodziła.

- Nie lubi jej pani, co?

- A co to, do diabła, pana obchodzi? - Candy zawahała się. - Chyba lubię, troszeczkę. Czasami. Kiedy zdejmie pan te rzemienie?

- Jutro. Wydaje mi się, że już o tym wspominałem.

- Muszę iść do toalety.

- Kiedy będę wychodził, przyślę pielęgniarkę i sanitariusza. Obawiam się, że będzie pani musiała poczekać do tego czasu. Czy wspominałem, że przejrzelśmy pani torebkę? Tak zrobiliśmy. Nie miała pani przy sobie żadnych dokumentów.

- Jest tam kilka moich wizytówek.

- Czy pani jest John B. Sweet, wiceprzewodniczący „Mordoklejki Myszki Miki Incorporated”?

- Ach, on. O Jezu, zapomniałam o nim. Nie dzwońcie do niego. Nie, miałam na myśli słodycze. Ludzie mówią na mnie Candy, rozumie pan? Więc zawsze mówię, że to moje wizytówki. W każdym razie wszędzie zostawiam papierki.

- Ale nie miała pani prawdziwych dokumentów.

- Miałam jedną z tych małych kart, które są zawsze w portfelu, ale zgubiłam ją.

- Czy umie pani prowadzić samochód, Candy?

- Mhm.

- Nie miała pani w torebce prawa jazdy.

- Okradli mnie kiedyś. Wziął wszystko - moje pieniądze, prawo jazdy, całe to cholerstwo. Nigdy nie odebrałam nowego. Po co? Nie mam samochodu.

- Miałem w szkole przyjaciela, który pojechał do Włoch. Mieszkał w bardzo miłym hotelu w Sorrento i tamtejszy boy powiedział mu, że mógłby mu przyprowadzić dziewczynę. Wie pani, co mam na myśli, Candy? Za ileś tam setek lirów czy tysięcy lirów, czy ile to tam było.

- Wiem, co pan chce powiedzieć, nie ma problemu. Pewnie lepiej niż pan sam.

- Więc mój przyjaciel powiedział zgoda, i bagażowy wrócił z bardzo piękną włoską dziewczyną...

- A kiedy obudził się rano, nie miał portfela.

- Tak. I paszportu też nie. Skąd pani wiedziała?

- A skąd mogłabym wiedzieć? Ta kobieta potrzebowała trochę więcej pieniędzy albo nie podobało jej się to, co zdarzyło się poprzedniej nocy, albo coś w tym rodzaju. O co panu chodzi, o radę na przyszły raz? Nie trzeba było zasypiać, póki ona była w pokoju. W ogóle nie powinien był pan tego robić.

- To nie byłem ja.

- I nigdy nie pukałam do niczyich drzwi w hotelu późno w nocy. Opowiadała mi o tym jedna przyjaciółka. W każdym razie od tamtej pory myśli pan, że to tylko klienta się okrada. Bzdura. Nie ma ani jednej cholernej rzeczy, którą noszą przy sobie kobiety, której by mi nie skradziono przy jakiejś okazji - torebki, butów, ubrania, co tylko panu przyjdzie do głowy. Bito mnie nie raz. Grożono mi tyłoma nożami i rewolwerami, że wystarczyłoby tego, żeby rozpętać wojnę.

Drzwi otworzyły się i kobiecy głos powiedział:

- Doktorze Roberts, chce się z panem widzieć niejaki doktor Makee.

ROZDZIAŁ 36

Zwykła napaść

Pokój, w którym czekali Barnes i doktor Makee, bardzo przypominał ten, w którym doktor Bob rozmawiał z Candy, choć nie był to ten sam pokój. Stół do badań z pasami do unieruchomienia pacjentów odsunięto na bok. Stało tam kilka bardzo lekkich składanych krzeseł. Barnes siedział skromnie, ze złączonymi kolanami, z dłońmi złożonymi na kolanach i skrzynką na próbki schowaną częściowo za krzesłem. Doktor Makee niemal się rozpieął, stary brązowy tweedowy płaszcz leżał za nim, a stara marynarka w jodełkę była rozpięta tak, że ukazywała koszulę i wąską czarną krawatę.

Pielęgniarka z bloczkiem do notowania zajrzała do środka.

- Doktor Makee?

- Makee. Wymawia się jak „maki”, tylko z akcentem na ostatniej sylabie.

Pielęgniarka skinęła głową i zapisała coś w swoim bloczku.

- Jest pan osobistym lekarzem tego pacjenta?

- Sądzę, że ja zajmowałem się nim ostatni, zanim go tu przysłano. Nie jestem pewien, czy ma osobistego lekarza.

- A kiedy to było?

- Wczoraj. Powiedziałem to wszystko doktorowi Robertsowi.

- Wiem, ale potrzebuję tego do raportu. Czy okazywał oznaki niepokoju albo problemy z kojarzeniem, kiedy pan go badał?

Doktor Makee wzruszył ramionami.

- Niepokoił się swoim stanem. Był ranny w głowę i obawiał się, że to coś poważnego. Ja uważałem inaczej i powiedziałem mu to. Wydawało mi się, że się uspokoił. Nie powiedziałbym, żeby miał problemy z kojarzeniem. Kiedy pielęgniarka odeszła, Barnes rzekł:

- No i cóż, doktorze?

- Co: no i cóż? Jeszcze go nie widziałem.

Drzwi znów się otworzyły i do środka zajrzał wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy i długim nosie.

- Hej, kolega z okrętu! - syknął. Barnes podniósł wzrok.

- Pamiętasz mnie? Marynarz Reeder. Barnes kiwnął głową.

- Co ty tu robisz, do diabła?

Marynarz wszedł do środka i zamknął drzwi. Miał na sobie brudną piżamę pacjenta.

- Zabrali mnie. Byłem w barze i widocznym zachowywałem się dość głupio.

- I przywieźli cię tutaj?

- Spędziłem dużo czasu na brygu. To nie byłoby zbyt zabawne znowu tam wylądować.

No więc zachowywałem się trochę głupio i mnie tu przywieźli. Jedzenie tu jest lepsze, odrobinę.

- Niech pan wyciągnie rękę, młody człowieku - poprosił doktor Makee.

Reeder uczynił to.

- Wyraźne drżenie. Kiedy pan pił ostatni raz?

- Nie wiem. Przed Gwiazdką.

- Zatem około miesiąca. Widziałem już znacznie gorsze przypadki, ale pan też jest niezły.

Zdarzają się delirki?

- Chyba nie. W każdym razie, jak mógłbym wiedzieć na pewno?

- Kiedy miałeś być z powrotem na statku? - zapytał Barnes.

- Piątego stycznia. To była przepustka na Gwiazdkę.

- Dziwnie, że nie złapał pana Patrol Nabrzeżny - zauważył doktor Makee. - W moich czasach tak by się to skończyło.

- Ja tylko ciągle spóźniam się na autobus - odparł Reeder. - Słowo. Do Norfolk jest stąd tylko jeden i wyjeżdża dwadzieścia po jedenastej rano. Czasem się nie wyrabiam. Czasem trafiam tam za wcześnie, ale nudzi mi się czekanie i idę gdzieś na drinka. - Odwrócił się do Barnes. - Musisz mnie stąd wyciągnąć, koleżko. Po to tutaj przyszedłem. Widziałem, jak cię przyprowadzili na górę. Wiesz, jakie były ostatnie słowa mojej mamy, zanim umarła?

Barnes potrząsnął głową.

- Powiedziała: „Boże, musisz zatroszczyć się o małego Phila, bo on nigdy nie zatroszczy się o siebie.” Nie było mnie przy tym, ale brat był i mi powtórzył. Bóg musi mnie stąd wyciągnąć, a ty jesteś instrumentem wybranym przez Niego.

- Instrumentem, do diabła. Nawet Go nigdy nie spotkałem!

Doktor Makee zachichotał i szturchnął Barnes. łokciem.

- Niech pan nie będzie taki pewny.

- Poza tym, dlaczego musisz się stąd wydostać? Odeślą cię z powrotem do Marynarki, a w końcu tam się wybierasz.

- Cholera, koleś, ale nie w taki sposób! Wiesz, co oni tu robią? Zbierają mi kartotekę, z której wynika, że jestem stuknięty jak jakiś czubek. Ja chcę wrócić na mój okręt.

- Rzekłbym - oświadczył doktor Makee - że już odpłynął, jeżeli tak bardzo się pan spóźnił, jak pan mówi.

- Każą mi zaczekać, dopóki nie przyplynie z powrotem, albo może samolotem...

Drzwi otworzyły się szeroko i krzepki młody człowiek z ostrzyżonymi jak u poborowego włosami wprowadził Proudya z ramionami skrepowanymi kaftanem bezpieczeństwa.

- Nie sądziłem, że naprawdę ich używacie - rzekł Barnes, nim zdołał się ugryźć w język.

- Są znacznie bardziej humanitarne, niż wyglądają - odparł sanitariusz. - Jest mu wygodnie, ale nie może zrobić krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu. - Spojrzał na Reedera.

- Chcecie się pozbyć tego tutaj?

- Niech zostanie, jeśli to nie jest sprzeczne z regulaminem.

- Mnie tam nie szkodzi. Panie doktorze? Doktor Makee kiwnął głową.

- Przynajmniej będziecie mieli z kim porozmawiać. Marynarz zagadałby was na śmierć. Gliniarz nie powie słowa.

- Chcę tylko jeszcze raz zbadać ranę głowy. - Doktor Makee podniósł się. - Widzę, że ktoś zmienił opatrunek.

- Tak, my to zrobiliśmy. - Sanitariusz zamknął za sobą drzwi.

- Niech pan tu podejdzie, panie władzo - rzekł doktor Makee. - Niech pan siada.

Proudy nie poruszył się. Jego twarz wydawała się bledsza, niż Barnes ją zapamiętał, a koniuszek wielkiego nosa był niemal biały. Przyglądał im się bez wyrazu.

- Niektórzy z nich nie mówią - rzekł Reeder. - Poza tym na pewno dawali mu jakieś środki. Wszystkim dają te środki, nawet mnie.

Doktor Makee pokiwał głową.

- Cóż, jeśli on nie chce podejść do mnie, ja będę musiał podejść do niego. Mam szczęście, że nie jest wysokim mężczyzną.

- Wyciągniesz mnie stąd, koleżko? - zapytał Reeder Barnes.

- Nie bardzo widzę jak - odparł Barnes. - Zrobię to, jeśli będę mógł.

- Posłuchaj, możesz to zrobić. - Reeder ściszył głos. - Nie chcemy w to mieszać starego doktora, co? Wyjdź ze mną na chwilę na zewnątrz. Znam miejsce, gdzie możemy porozmawiać. Hej, pamiętasz tę łamigłówkę, którą od ciebie kupiłem? Facecik w klatce. Myślę, że właśnie wpadłem na to, jak go wyciągnąć. O tym też ci opowiem. - Reeder otworzył drzwi i Barnes poszedł za nim. Na ławkach siedzieli ci sami przygnębieni mężczyźni. Jaskrawe kwadraty światła, które okna rzucały na zniszczone linoleum, były teraz dłuższe. Krótki zimowy dzień dobiegał końca. - Tam w głębi jest sala, do której już nikt nie wchodzi - rzekł Reeder. - Nie działają światła. To bardzo stary budynek.

- Myślałbym, że będzie zamknięta na klucz.

- Bo jest, ale zamek odskakuje, jeżeli popchniesz framugę drzwi. Właśnie tak wyciągasz małego facecika, rozumiesz? Leciuchno rozchylasz kraty, właśnie tak, jak ty to zrobisz dla mnie. Już jesteśmy.

Dla Barnes'a drzwi wyglądały tak samo jak inne, poza tym, że miały stosunkowo nowy zamek z błyszczącego mosiądzu.

- Tym razem nie musimy tego robić - rzekł Reeder. - Kiedy tu byłem ostatnio, zostawiłem zasuwę otwartą.

Popchnął drzwi, ale nie ustąpiły.

- Ktoś to odkrył - odparł Barnes. Poczul ulgę.

- Tak, pewnie któraś z pielęgniarek zobaczyła szczelinę i pociągnęła za klamkę.

Reeder zaparł się plecami o jedną stronę wypaczoną framugę, stopę oparł o drugą, stęknął i popchnął drzwi ręką. Otworzyły się do środka.

- Ciemno tutaj - rzekł Barnes.

- Tak. Jest okno, ale założono na nim stalową okiennicę. Nie ma tu nic nadzwyczajnego, tylko stare łóżka i takie tam. Włóż do środka, zanim ktoś nas zobaczy.

Barnes wszedł do środka, a Reeder zamknął drzwi.

- Posłuchaj, koleś, przykro mi, ale zapomniałem, jak się nazywasz.

- Osgood M. Barnes.

- Posłuchaj, Barnes, tak jak mówiłem, już za długo jestem na tej przepustce. Nawet jakbym wrócił teraz do Norfolk, tylko by mną pomiatali na łajbie. Tak naprawdę to jedyne, co teraz mogę zrobić, to zgłosić się samemu. Mogę pójść do któregoś z biur Marynarki - rekrutacji czy co tam - i opowiedzieć im jakąś historyjkę, no nie? Jak tylko wydostanę się na ulicę, to tak zrobię. Zabrali mi pieniądze, jak mnie tu wzięli, ale nie proszę cię nawet o szmal na autobus. Gdybym go miał, pewnie poszedłbym gdzieś napić się piwa, a potem i tak już by go nie było.

- Zgoda, nie dam ci pieniędzy na autobus. I tak nic nie mam. Ale jak mogę cię stąd wyciągnąć?

- Zamień się ze mną ubraniami - wyszeptał ochryple.

- Oszalałeś?

- Cholera, nie. Szaleńcy wcale nie chcą się stąd wydostać, tak naprawdę. Mam elegancki pokój w hotelu, gdzie chciałem podskoczyć i jest tam kilka brudnych mundurów. Powiem im, że zgubiłem klucz, dadzą mi drugi, pójdę na górę, przebiorę się i zgłoszę się w Marynarce. Ty poczekaasz, żeby mi dać trochę czasu, żebym mógł się oddalić, a potem powiesz im, kim jesteś i wypuszczą cię.

- Reeder, ty musisz być ze cztery cale wyższy ode mnie.

- To niewiele. Ja...

Skrzypienie wózka zaopatrzeniowego w korytarzu uciszyło na chwilę Reedera. Instynktownie Barnes również wstrzymał oddech i spróbował odejść o krok od drzwi, uderzając w łóżko przykryte stosem materaców.

- Zamknij się - syknął Reeder.

Barnes kiwnął głową, choć wiedział, że i tak nie można było tego dostrzec. Wentylator, który nawiewał ciepłe powietrze, był zamknięty, i zaczęło mu być zimno.

- Uda się - rzekł Reeder. - Przysięgam, że się uda. Moglibyśmy to zrobić. Ten garnitur i tak jest na ciebie jakby za duży.

- Schudłem trochę.

- Włożę spodnie na biodra, rozumiesz? Jak dzinsy. I trochę się pochylę, jak będę szedł. Słuchaj, kolezko, spróbujmy. Zamieńmy się. Jeśli ubranie będzie leżało zbyt fatalnie, to nie pójdę. Zostawię ci całe twoje pieniądze i wszystko.

- Reeder, ja potrzebuję tego garnituru. Mam dziś wieczorem randkę.

- To włóż coś innego. I tak na randce nikt nie nosi garnituru. Włóż sportową marynarkę i spodnie. Zostawię ci płaszcz.

- Jezusie, to ładnie z twojej strony.

- Słuchaj no, koleś, to z twojej strony ładnie, że pozwalasz mi to zrobić. Nie myśl, że tego nie doceniam. Oddajesz mi z powrotem moje życie, całe lata życia.

Pomimo zimna Barnes poczuł pot we wnętrzach dłoni.

- Reeder, nie usiądziesz na chwilę, żebyśmy o tym rozsądnie porozmawiali?

- Nie, nie usiądę, koleś. Zdejmuj marynarkę i spodnie. Chyba będę potrzebował koszuli i właściwie mogę wziąć też krawat. Daj mi przymierzyć twoje buty. Nie sądzę, żeby pasowały, ale spróbuję.

Oczy Barnes'a przywykły do ciemności już na tyle, że zobaczył, jak Reeder rozwiązał sznurek od swojej szpitalnej piżamy i zdjął spodnie.

- To wariactwo - rzekł. - Reeder, w Marynarce przebadają cię tylko i odeślą z powrotem na twój statek. To wszystko.

Nie było odpowiedzi. Reeder ściągnął przez głowę górę od piżamy i rzucił ją na podłogę.

- Reeder, na tym się skończy. Przysięgam ci.

- Nie mogę tego zrobić, koleś. Widziałem ich, po prostu siedzą w koło i gapią się w podłogę. Ja taki nie będę. Rozbieraj się.

Barnes sięgnął w stronę klamki, ale Reeder plecami oparł się o drzwi.

- Nie wyjdiesz stąd tak prędko, koleś. Dopóki nie zdążę się oddalić.

Barnes westchnął i cofnął się.

- Reeder, niech to szlag, wystarczy, że krzyknę.

- Ale nie krzyczysz. Doceniam to, koleś. Jesteś w porządku. Wiedziałem to, kiedy zobaczyłem cię na tej stacji.

- Tobie też wystarczy krzyknąć. To właśnie staram ci się wytłumaczyć. Jesteś z Marynarki Wojennej i byłeś w mundurze, kiedy cię zabrali. Do tej pory już na pewno zawiadomili Marynarkę. Za dzień lub dwa ktoś przyjdzie cię odebrać. Krzycz. Powiedz im, że jesteś zdrowy, że to wszystko pomyłka. Zbadają cię, zamkną cię na jakiś tydzień za to, że przedłużyłeś sobie przepustkę, i na tym się skończy.

- Lubię cię, koleś. Od dawna nikogo tak nie lubiłem. Teraz zdejmuj te spodnie.

- Reeder...

- Zdejmuj je!

- Reeder, co ty robiłeś w tym barze?

- Słyszałeś, co mówiłem, koleżko!

- Powiedziałeś, że głupio się zachowywałeś. Dedukcja to zdaje się działka mojego przyjaciela Stubba. Ale nawet doktor Watson w końcu łapie bakcyła. Rozumiesz, co mam na myśli?

Reeder nie odpowiedział. Oddychał głęboko i szybko, a każdy oddech brzmiał jak wytężona praca miechów.

- Co to było, Phil? Jestem twoim kolegą, twoim koleżką z okrętu, już nie pamiętasz?

- Tylko to - rzekł Reeder.

- Tylko co?

- Właśnie to - rzekł Reeder. - Zdjąłem ubranie, tak jak teraz.

Barnes wlepił w niego oczy, a kiedy tak patrzył, Reeder uderzył go, jego prawa pięść nadeszła gdzieś spod podbródka Barnesesa i odrzuciła mu głowę do tyłu. Ramiona Barnesesa uderzyły o materace, kiedy upadł, a jego szklane oko potoczyło się po ciemnej podłodze jak nierówna kulka do gry.

ROZDZIAŁ 37

Dwoje czubków

- Czekajcie - rzekł Stubb. - Słyszeliście to?

- Czy to słyszeliśmy? - zapytała Sandy.

- Ja też niczego nie słyszałem - powiedział Davidson - ale na pewno coś widziałem, do diabła. Widziałem, jak mały chłopiec przebiegł tam dalej korytarzem.

Sanitariusz spojrział na niego i potrząsnął głową.

- Nie spieraj się z gliniarzem, synu. Widziałem małego chłopca, może sześć- czy siedmioletniego. Jak się nazywasz?

- Ron.

- Ron i co dalej?

- Ron Brown, proszę pana.

- Cóż, Ron, po twoim oddziale biega chłopiec. - Davidson odwrócił się do Stubba i Sandy. - Wy dwoje złaźcie na dół i znikajcie stąd. Macie szczęście, że was nie przymknąłem. Potem ty, Ronny, znajdziesz tego dzieciaka, którego tu widziałem, i przyprowadzisz do mnie. A jeśli tego nie zrobisz, wrócę tu z nakazem rewizji i kilkoma sprawnymi ludźmi. Rozumiesz?

- Chcę się zobaczyć z facetem, który zawołał mnie po nazwisku - powiedział mu Stubb.

- Chciałaby dusza do raju. Wynoś się stąd i to szybko. I zabieraj ją ze sobą.

Sandy spojrzała na Stubba.

- Sądzę, że nie mamy wielkiego wyboru.

Wzruszył ramionami i poszedł za nią do windy. Kilku milczących mężczyzn na ławkach podniosło oczy, żeby na nich spojrzeć, ale żaden się nie odezwał.

- Zawsze myślałam - szepnęła Sandy - że wariaci dużo się śmieją i skaczą w kółko.

Stubb znowu wzruszył ramionami. Rozstąpiły się drzwi windy i weszli do środka.

- Kto to był, ten, kto cię wołał?

- Nie jestem pewien. Nie jestem nawet pewien, czy słyszałem moje nazwisko.

Drzwi zamknęły się z lekkim dreszczem.

- Czy my naprawdę stąd wychodzimy?

- Oczywiście, że nie - odparł Stubb. Uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś jakiś taki fajny, Jim. Wiesz o tym?

- Wykonuję tylko moją pracę. Pamiętasz nazwisko tego doktora? Tego, który zajmuje się Proudym?

- Czy ktoś nam je powiedział? Nie, chyba nie.

- Ta kobieta w recepcji na dole powiedziała Davidsonowi. Doktor Roberts. No więc skoro Davidson rozmawia z Proudym, może uda nam się odnaleźć doktora Roberta i namówić go,

żeby zgodził się nas później przyjąć. Davidson nie wyciągnie stąd Proudym, kiedy usłyszy, co on mówi.

- Jestem Bud Bensen - powiedział im wysoki, szczupły lekarz. - Miło mi państwa poznać, pani Duck, panie Stubb. Czym mogę państwu służyć?

- Nie ma doktora Roberta? - zapytał Stubb.

- Obawiam się, że nie. Powinien być, ale zdaje się, że gdzieś sobie poszedł. Bob to błyskotliwy młody człowiek - koścista twarz Bensa ułożyła się w najbardziej przelotny z uśmiechów - ale trochę zbyt uczciwy. Nerwowy, rozumie pan. Kilku nie upoważnionych ludzi chodziło nam tu po południu po oddziałach i obawiam się, że to przygnębiło Boba.

- Cyganie - włączyła się Sandy.

- Tak. Właśnie tak, o ile dobrze rozumiem, mówią o sobie. Nie rozmawiałem z nimi osobiście, ale powiedziano mi, że ich król - to było słowo, którego użyli - król rozkazał im przeczesać miasto w poszukiwaniu jakiegoś człowieka, i że to jest jedno z miejsc, gdzie on mógł się znaleźć.

- Nie przypuszczam, żeby pamiętał pan nazwisko człowieka, którego szukali? - zapytał Stubb.

Doktor Bensen potrząsnął głową.

- Chyba w ogóle nie padło. Czy to ważne?

- Możliwe. W każdym razie wydaje mi się, że ten król Cyganów ma duże zdolności. Nie macie tu niejakiego Bena Free, co?

- Niestety nie wiem. Niech pan sprawdzi w Izbie Przyjęć.

- Cyganie na pewno to zrobili. Coś mi się zdaje, że nie uwierzyli Izbie Przyjęć.

- Brak zaufania pomiędzy odmiennymi kulturami. - Doktor Bensen pokijał głową. - Ale nie o Cyganach chciał pan ze mną mówić, prawda?

- Nie. Jesteśmy tu w sprawie policjanta, który nazywa się sierżant Proudym. - Stubb urwał.

- Być może powinienem wyjaśnić, że jestem detektywem. Sandy jest reporterką.

Doktor Bensen znów kiwnął głową.

- Niestety sierżant Proudym nie jest moim pacjentem.

- To pacjent doktora Roberta, o ile mi wiadomo. Ale nie możemy znaleźć doktora Roberta, a musimy porozmawiać z Proudym. Sytuacja wygląda następująco, panie doktorze. Proudym myśli, że knujemy coś przeciw niemu...

Doktor Bensen pokazał gestem Stubbowi, żeby poczekał, przycisnął kilka klawiszy i na ekranie komputera na jego biurku pojawiła się nowa strona.

- Tak, widzę, że doktor Roberts diagnozował paranoję.

- No więc on nas śledził zeszłej nocy. Starał się mieć na oku wszystko, co jak sądził, mamy zamiar zrobić. Rozumie pan?

- Naturalnie. Ten typ zachowania często zdarza się w takich wypadkach. Ponieważ chory jest policjantem, zdziwiłbym się, gdyby u niego nie wystąpił.

- Ale chodzi o to, że to nie tylko on nas wczoraj śledził. Prawda, Sandy?

Niska dziewczyna kiwnęła głową.

- Jesteśmy tego prawie pewni. Doktor Bensen uśmiechnął się do niej.

- To kto to był?

- Kto nas śledził, o to pan pyta? - odwróciła się po pomoc do Stubba.

- Nie wiemy, panie doktorze. Tego właśnie staramy się dowiedzieć. Widzi pan, myśleliśmy, że jeśli Proudym nas obserwował, mógł zauważyć innych, którzy robili to samo.

- Rozumiem. Jak pan myśli, dlaczego tamci „inni” mieliby odczuwać potrzebę śledzenia państwa?

- Nie wiemy - rzekł Stubb. Sandy wychyliła się do przodu.

- Sądzimy, że wplątaliśmy się w jakąś wielką aferę. Gdybyśmy wiedzieli, kto miał nas na oku - poza sierżantem Proudym, oczywiście - moglibyśmy dowiedzieć się, co to za afery. W każdym razie łatwiej moglibyśmy się domyślić.

- A co takiego państwo robili w pokoju wczoraj wieczorem, kiedy ci wszyscy ludzie państwa obserwowali?

- Nic. Tylko rozmawialiśmy. - Sandy znów spojrzała na Stubba.

- Czy przyszło państwu do głowy, że ktoś może państwa podsłuchiwać? Że może nawet posługiwać się jakimś elektronicznym urządzeniem?

- Nie. - Stubb potrząsnął ponuro głową. - Ale wtedy nie mieliśmy żadnych powodów, by sądzić, że ktoś może nas śledzić. Ma pan jednak rację, doktorze. Mogło tak być. Albo ktoś mógł zainstalować podsłuch dziś rano. Dopiero później na to wpadłem, w każdym razie pokojówka przyszła strasznie wcześnie.

- Nie mają państwo pojęcia, czego ci ludzie od państwa chcą?

- Nie - rzekł Stubb.

- Nie - powtórzyła Sandy.

- Czy rozmawiali państwo z sierżantem Proudym, zanim go tu przywieziono?

- Tak, trochę.

- Czy powiedział państwu, dlaczego państwa obserwował?

- Nie. Sądzę, że wtedy jeszcze tego nie robił. Dopiero później opowiedział jednemu z moich przyjaciół jakąś wariacką historię, coś o tym, że chcemy rządzić światem.

- A chcą państwo?

- Czy chcemy rządzić światem? - Stubb wyglądał, jakby był zdumiony. - Cholera, nie.

- Dlaczego nie? Z pewnością to byłoby szalenie satysfakcjonujące doświadczenie. Niech państwo pomyślą, ile dobra mogliby państwo zrobić. Poza tym mogliby państwo mieć wszystko, czego tylko dusza zapagnie - pałace na całym świecie, gwardię królewską, która

egzekwowałyby państwa wolę, setki kobiet. Są państwo pewni, że nie chcieliby tego wszystkiego?

- Zgoda niech będzie. Ale coś panu powiem: odstąpię panu mój udział w tym wszystkim za rozmowę z Proudym.

- Rozumiem - powiedział doktor Bensen. Zapisał coś w notatniku. - Panie Stubb, czy pana niechęć wobec rządzenia światem wynika z poczucia, że nie stanąłby pan na wysokości zadania? W końcu to jest bardzo poważne zadanie.

- Pewnie można by tak powiedzieć.

- Być może uważa pan, że jest zbyt niski. Napoleon był również niskim mężczyzną, sędzę, że nawet niższym od pana, a jednak w ciągu ostatniego tysiąca lat to on był najbliższy władania światem.

- Panie doktorze, nie lubię dowcipów o wzroście.

- To nie był dowcip.

- Cóż, to było bardzo niegrzeczne - oznajmiła Sandy.

- Czy mogą państwo wstać, oboje?

- Niech pana szlag trafi - prychnął Stubb.

- Chciałem tylko pokazać panu, że chociaż panna Duck nosi dość małe obcasy jak na niską kobietę, powiedziałbym nie wyższe niż dwa cale, jest w nich wyższa niż pan.

- Pan jest łysy, doktorze Bensen. Jest pan łysy i brzydko panu pachnie z ust. Pana oddech cuchnie, a oczy ma pan za blisko osadzone.

- Obawiam się, że to wszystko prawda - rzekł doktor. Zapisał coś jeszcze.

Sandy przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Nie przyszedłem tu po to, żeby wysłuchiwać, jak obrzucacie się nawzajem wyzwiskami. Przyszedłem porozmawiać z sierżantem Proudym. Jeśli mam szansę się z nim zobaczyć, chciałabym to wiedzieć. Jeśli nie, wychodzę. Czy może mnie też chcecie zacząć wyzywać?

- Okay, Alexandra - mruknął Stubb. - Ty też jesteś niska.

- Ma pani rację, oczywiście - rzekł doktor Bensen. - Tak, zobaczą się państwo z waszym policjantem. Dotknął jakiegoś guzika w swoim interfonie. - Proszę mi tu przysłać Charlesa Proudymego.

- Dziękuję panu - rzekła Sandy.

- Chciałem się tylko przekonać, jaki stopień paranoi wykaże pani przyjaciel, pan Stubb. Z pewnością jest tego trochę... wierzy, że zarówno on sam, jak i pani, jesteście obserwowani przez jakichś tajemniczych „ich”. Nawet udało mu się panią przekonać, przynajmniej częściowo. Na szczęście fantazje paranoidalne nie są bardzo rozwinięte, jak się obawiałem, chociaż doradzałbym mu poddanie się terapii.

- Nie zapomina pan o czymś, doktorku? - Stubb uśmiechnął się do niego. - Proudym naprawdę nas obserwował. Sam pan to powiedział.

Doktor Bensen przytaknął.

- Jedną z najciekawszych cech chorób umysłowych jest to, że można je przekazywać, chociaż nie wywołują ich wirusy ani bakterie. Ten facet, Proudny, który sądząc z raportu doktora Roberta jest zdecydowanym paranoikiem, obserwował państwa. Pan z nim rozmawiał i choroba przeniosła się na pana. Teraz sam pan wierzy, że depta panu po piętach jakaś tajemnicza grupa ludzi i przynajmniej częściowo przekonał pan tę kobietę, że pana obawy nie są bezzasadne.

Sandy wydała z siebie cichy, uprzejmy dźwięk, jakby chrząknięcie.

- Nie miałam zamiaru tego mówić, ale jedną z przyczyn, dla których tu jesteśmy, jest to, że ci ludzie zadzwonili do mojego szefa. Oni istnieją naprawdę, doktorze.

- Czy myślą, że chcą państwo zawładnąć światem?

- Nie wiemy, co oni myślą - odparł Stubb. - To jedna z tych rzeczy, których staramy się dowiedzieć.

- W każdym razie tak myśli Proudny, według doktora Roberta. Znalaziono go w Consorcie w pokoju, którego nie wynajął. Jak wytłumaczył doktorowi Robertowi, obserwował właśnie grupę czterech osób, które planowały zorganizowanie rządu światowego mającego zastąpić wszystkie rządy narodowe. Miał swoją odznakę i inne dokumenty policyjne, a także kajdanki i pałkę, ale jego rewolwer zniknął. Powiedział, że zabrali mu go tamci ludzie.

Doktor Bansen spojrzał na Stubba, który wzruszył ramionami.

- Doktorze, nie powiedziałbym, żeby jego oświadczenie było wiele warte.

- Ale chętnie pan z nim porozmawia. Panno Duck, czy nie przyszło pani do głowy, że telefon, który odebrał pani pracodawca, mógł wykonać tu obecny pan Stubb?

Jakby dzięki jakiejś magii zadzwonił telefon doktora Bensa. Posłuchawszy przez chwilę, Bansen rzekł:

- Cóż, poszukajcie jeszcze raz... Oczywiście, że nie. Nie, dopóki go nie złapią. Żadne z nich nie może się stąd wydostać. - I odłożył słuchawkę.

- Problemy? Doktor przytaknął.

- Mieliśmy dziś więcej zamieszania, niż zwykle mamy przez cały tydzień. Tuż przed obiadem jakaś kobieta i mały chłopiec napastowali recepcjonistkę - w każdym razie napastowała ją ta kobieta. Było oczywiste, że ma problemy psychiczne, więc zatrzymaliśmy ją pod obserwacją, dopóki nie powiadomimy rodziny. Z tego co zrozumiałem, doktor Roberts akurat wypytywał tego chłopca, kiedy weszli Cyganie. Chłopiec zniknął gdzieś w tym całym zamieszaniu. Właśnie mi powiedziano, że jakiś kapitan policji szuka tego chłopca na siódmym piętrze, a kobietę, która go tu przyprowadziła, ktoś odwiązał z pasów bezpieczeństwa.

- Innymi słowy to on ją wypuścił? - zapytała Sandy.

- W każdym razie na to wygląda. Ostatnio widziano go na siódmym piętrze, a to jest męskie piętro. Ale szóste to piętro kobiece, a tam są schody i kilka wind. Musiałby przekraść

się obok stanowisk pielęgniarek na obu piętrach, ale mamy takie braki w personelu, że pielęgniarki, które powinny siedzieć tam na dyżurze, często są gdzieś indziej.

- My nie mieliśmy żadnych problemów, żeby przejść koło nich - zauważył Stubb. Kiedy doktor Bensen spojrział na niego ostro, dodał: - Wchodząc tu na górę, mam na myśli. Nikt nas nawet nie zatrzymał.

- Czy Cyganie już poszli? - zapytała Sandy.

- Niektórzy jeszcze tu są, jak sądzę. - Doktor Bensen spojrział na swój zegarek. - Nie rozumiem, co też zajmuje im tyle czasu z Proudym.

- Pan się tylko z nami bawił, prawda? - Sandy spojrzała na Stubba, a potem znów na doktora. - Całe to gadanie o tym, że mogliśmy zarazić się od niego paranoją. Chciał pan tylko zabić czas.

Uśmiechnął się.

- Chyba tak, częściowo. Ująłbym to inaczej: niemal wszyscy normalni ludzie objawiają jakieś tendencje patologiczne. Jeżeli może się pani nauczyć...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- To powinien być Proudny - rzekł doktor Bensen.

ROZDZIAŁ 38

Troje spiskowców

Wzrok czarownicy mógłby wypalić dziurę w stali. Całą siłą napierała na swój kaftan bezpieczeństwa jak atleta i odsłaniała błyszczące zęby jak dzika bestia.

- Mam dać jej jeden zastrzyk? - zapytała pielęgniarka. - Zdaje się, że ten pierwszy na nią nie podziałał.

Doktor Roberts potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby podejmować takiego ryzyka.

- Myśli pan, że skłoni ją pan do mówienia, kiedy jest w takim stanie?

- Będę mówić - odezwała się czarownica. - Powiem wam obojgu, co się z wami stanie. Wasze dzieci będą kulawe, a oczy będą im wyłazić z głów. Będą was nienawidzić i w końcu was pozabijają, w okrutny i obrzydliwy sposób, w nieczystym miejscu - zaczęła wymawiać słowa, których ani lekarz, ani pielęgniarka nie rozumieli. *Marear enkranken tober malade ammalarsi...*

- Wszystko będzie dobrze - rzekł doktor Roberts. - Może pani teraz odejść, siostró.

- Mhm. - Pielęgniarka wciąż przyglądała się czarownicy. - Doktorze, myśli pan, że ona jest biała?

Doktor Roberts wzruszył ramionami.

- Rasa to w dużej mierze kwestia samookreślenia. Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Tak pan myśli, co?

- Gdyby ona pani powiedziała, że jest biała, i mówiła, jakby była biała, pewnie uznałaby ją pani za białą. Gdyby powiedziała pani, że jest czarna, i mówiła, jakby była czarna, uznałaby ją pani za czarną.

- Niech pan spojrzysz. - Pielęgniarka przyłożyła przedramię do twarzy czarownicy. - Jest prawie tak ciemna jak ja.

- Wolałabym umrzeć niż należeć do tej samej rasy, co któreś z was - prychnęła czarownica.

- Nie żartuję, doktorze Bob. Niech no pan spojrzysz.

W jednej chwili, w jakimś minimalnym ułamku sekundy, doktor Roberts zobaczył - lub wydawało mu się, że zobaczył - przemianę tak niezwykłą jak majak psychicznie chorego. Czarownica uderzyła niczym wąż i w tym momencie wydawała się wężem. Błysnęły łuski, gdy zadała cios płynny i potężny jak strzał z bata.

Pielęgniarka krzyknęła i upadła na kolana, a zęby czarownicy dalej zagłębiały się w jej przedramieniu. Z ust czarownicy płynęła krew, plamiąc jej lniany kaftan i biały fartuch pielęgniarki.

Doktor Roberts krzyknął:

- Porządkowy! Porządkowy! - I obiema rękami złapał czarownicę za szyję.

Rzecz nie do pomyślenia, w otworze kaftana zaczął się więc brązowy bark, a za nim brązowe ramię. Gruba pielęgniarka z jasnymi włosami i tyczkowaty rudy porządkowy nadbiegli niemal jednocześnie, tak, że zderzyli się w wejściu. Brzuch pielęgniarki zaparł się o framugę, a porządkowy utknął pomiędzy jej falującymi biodrami a drugą stroną drzwi.

- Ja się tym zajmę - rzekła gruba pielęgniarka.

W tym momencie czarownica złapała za gardło doktora Roberta i można było odnieść wrażenie, że gruba pielęgniarka spogląda z satysfakcją na taki obrót sprawy.

- Hm, czy nie powinniśmy czegoś zrobić? - zapytał porządkowy. Kucnął, żeby spojrzeć na czarownicę, której szczęki wciąż zaciskały się na ramieniu czarnej pielęgniarki. - No, już dobrze - powiedział. - Niech ją pani puści.

Czarownica zignorowała go. Jej skupiona twarz sprawiała wrażenie, jakby całą uwagę koncentrowała na duszeniu doktora Roberta i że jeśli nadal gryzła czarną pielęgniarkę, to robiła to przez nieuwagę.

- Ściągnij ją z niego - rzekła gruba pielęgniarka.

- Może byś jej wsadziła palce do oczu - zasugerował tyczkowaty porządkowy. Obejrzał się w stronę grubej pielęgniarki, jakby chciał zobaczyć, co ona sądzi o tym pomysle. - Hej, dlaczego to rozpinasz?

Gruba pielęgniarka z czerwoną twarzą nachylała się nad czarownicą.

- Już i tak wy dostała się do połowy. Nie możemy jej tam wsadzić z powrotem, jeśli przedtem jej całej nie wyciągniemy, no nie?

Kiedy ostatnia klamra puściła, pielęgniarka wyciągnęła drugie ramię czarownicy z kaftana bezpieczeństwa i przyjrzała się tkaninie.

- Będzie trzeba go wyprać - rzekła.

Inny porządkowy otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku?

Gruba pielęgniarka znajdowała się pomiędzy nim a doktorem Robertsem.

- Dajemy sobie radę - rzekł tyczkowaty porządkowy. - Hej, zamknij zasuwę, dobra, koleżko?

- Dobra.

Drzwi zamknęły się cicho. Doktor Roberts opadł nieprzytomny na podłogę. Czarownica puściła go i złapała z kolei czarną pielęgniarkę.

- Niech pani jej nie zabija - rzekła gruba pielęgniarka. Wydawało się, że czarownica nie zwraca na nią żadnej uwagi poza tym, że puściła zakrwawione ramię czarnej pielęgniarki.

- Jezu - wymamrotał tyczkowaty porządkowy. - Zawsze myślałem, że oni coś pod to wkładają, bieliznę czy co tam. - Gapił się na czarownicę.

Gruba pielęgniarka przyjrzała mu się.

- Jesteś pewien, że ty tu pracujesz?

- Przyznam ci się. To mój pierwszy dzień w pracy.

- Coś takiego. Gdzie byłeś na szkoleniu?

- W Marynarce. Dopiero wyszedłem. Byłem sanitariuszem w Marynarce, ale w naszym szpitalu byli tylko faceci. Hm, może kilka dziewczyn - kobiet, chciałem powiedzieć - ale zawsze zajmowały się nimi pielęgniarki.

- Rozumiem - rzekła gruba pielęgniarka. - A gdzie był ten szpital?

- Norfolk. To szpital tamtejszej bazy.

- Nie jesteś prawdziwym sanitariuszem. - Wycelowała w niego tłusty palec wskazujący. - Nie ruszaj się na krok, bo będę wrzeszczeć, aż mi odpadnie głowa. Chcę z tobą porozmawiać.

Czarownica puściła czarną dziewczynę.

- O co teraz chodzi? Siostró, żałuję, że straciłam cierpliwość wobec tych dwojga. To się więcej nie powtórzy.

- Może pani sobie darować, Madame Serpentina. On nie jest prawdziwym sanitariuszem. Powiedział mi, że był przedtem w Marynarce, ale że w szpitalu bazy w Norfolkku nie mieli wielu dziewczyn. Spędziłam kiedyś trzy dni z kimś, kto tam pracuje, i mówił mi, że tam jest więcej kobiet niż mężczyzn. Przyjmują rodziny, więc mają całe mnóstwo porodów.

Tyczkowaty mężczyzna patrzył baranym wzrokiem.

- Zamieniłem się z kumplem ubraniami i włożyłem na wierzch ten fartuch. Nie pasowały najlepiej.

Czarownica zaśmiała się.

- Ale pomyślałeś, że nasza Candy jest prawdziwą pielęgniarką! Przepraszam, ale to jest śmieszne!

- Ona też jest udawana! Do diabła, aż wylewa się z uniformu.

- Tak. - Czarownica wskazała palcem. - Niech pani wciągnie brzuch albo odpadnie pani guzik.

- Zgoda, jestem bardzo zabawna. Ale musimy szybko coś zrobić, bo zaraz się do nas dobiorą. Czy ci dwoje nie żyją?

Czarownica potrząsnęła głową.

- To zajrzyjcie do tych szafek. Gdzieś tam powinien być plaster. Może pani włożyć rzeczy tej pielęgniarki.

- Fuj! Są całe zakrwawione.

- Będziemy musieli zaryzykować. - Candy zatrasnęła szafkę i otworzyła inną. - Mój Boże, zobaczcie, ile tu lekarstw!

- Masz - rzekł tyczkowaty mężczyzna. Szturchnął ją i podał jej rolkę plastra.

- Świetnie, ale ty to możesz zrobić równie dobrze jak ja. Pewnie nawet lepiej, bo jesteś silniejszy. Zajmij się doktorkiem. Najpierw zaklej mu usta, a potem ręce za plecami i kostki nóg jedna przy drugiej. Ja pomogę Madame Serpentinie rozebrać dziewczynę, a potem się nią zajmiemy.

Tyczkowaty mężczyzna spojrzał na nieprzytomną pielęgniarkę.

- Lepiej zabandażujmy jej ramię, jak już tu jesteśmy. Wygląda, jakby mogła się wykrwawić na śmierć.

Madame Serpentina cmoknęła językiem.

- To teraz oboje jesteście aniołami miłosierdzia. - Ściągała białe buty pielęgniarki.

- Jak się nazywasz, tak czy owak? - spytała Candy tyczkowatego mężczyznę.

- Phil Reeder. Ja naprawdę jestem marynarzem, ale na niszczycielu. Tam nie ma kobiet. Nie widziałaś tutaj czegoś, czym można by to przeciąć? Straciłem scyzoryk, kiedy mnie zabrali.

- W tamtej szufladzie. - Madame Serpentina pokazała palcem.

- Skąd pani wie? - spytała Candy.

- Wiem. Niech pani poszuka.

Candy poszukała i podała Reederowi nożyczki chirurgiczne.

- To jest Madame Serpentina. Pewnie już słyszałeś, że tak się do niej zwracam.

- Ano.

Przewrócił doktora Roberta na plecy i czule rozpostarł na jego ustach kawałek szerokiego plastra.

- Ona jest czarownicą. Rzeczywiście ma w sobie coś magicznego. To jest przerażające i trudno się do tego przyzwyczaić, ale to prawda.

- A to - rzekła Madame Serpentina podnosząc się z białymi rajstopami pielęgniarki w rękę - jest moja dobra przyjaciółka Candy Garth, która mnie uratowała. A ja z kolei chciałabym wiedzieć, dlaczego oboje weszliście tutaj, kiedy usłyszeliście, jak ta głupia kobieta krzyczy, chociaż próbowaliście stąd uciec.

- Ja pani nie uratowałam - rzekła Candy. - Sama się pani uratowała. Już pani miała ramię na zewnątrz i cała by się pani wydostała z tego kaftana.

Czarownica machnęła tylko ręką na słowa Candy.

- Ale dlaczego tu przyszliście?

- Chyba wystraszyliśmy się nawzajem - odpowiedział Reeder. - Ona szła korytarzem w jedną stronę, a ja szedłem w drugą i usłyszeliśmy ten wrzask, i spojrzeliśmy na siebie. Ja pomyślałem, że ona chce, żebym poszedł zobaczyć, co się tam dzieje, a ona pewnie to samo pomyślała o mnie. Bałem się, że jeśli ucieknie słysząc krzyk, zamiast tam pobiec, to poznała, że ja tu nie pracuję naprawdę.

Candy przytaknęła ruchem głowy.

- Mam jeszcze inne pytania. Ale najpierw, panie Reeder, musi pan się odwrócić, żebym mogła włożyć na siebie to ubranie. Dobrze. Candy, czy możesz, proszę, zakleić taśmą tę kobietę? Wzięłam już wszystko, czego mi trzeba. - Czarownica zawahała się i usłyszeli szelest materiału. - Teraz rozumiem, jedno z was szło w jedną stronę, a drugie w drugą. Z której strony jest wyjście z tego domu wariatów?

Reeder wskazał palcem.

- Tam, dokąd właśnie szedłem. Tam w każdym razie są windy.
- Schody też tam są, już to sprawdziłam - rzekła Candy.
- Ale nie szła pani w tamtą stronę. Zbliżała się pani do tego pokoju i miała pani schody za plecami. Zatem nie próbowała pani wyjść z tego szpitala.
- Dobra - rzekła Candy. - Chyba muszę wszystko opowiedzieć. - Oparła pulchne biodra o brzeg stołu do badań. - Tam jest to dziecko. Dziecko Ozzie'ego i...

Reeder pochylił się do przodu.

- Czyje dziecko?

- Ozzie'ego Barnes'a. Nie znasz go. Znalazłam to dziecko na dworcu autobusowym. Szukałam Ozzie'ego, ale nie sądzę, żeby Ozzie w ogóle dostał wiadomość, że miał go stamtąd odebrać. No, więc pomyślałam, że go popilnuję, rozumie pani, zabiorę go ze sobą, dopóki nie natknę się na Ozzie'ego albo nie spotkamy się w hotelu. - Spojrzała na czarownicę. - Pamięta pani, kiedy Stubb rozmawiał z nami przy śniadaniu, powiedział mi, że bym tu przyszła i spotkała się z Proudym, jeśli tylko mi się to uda i że bym się dowiedziała, co on miał przeciwko nam. Ale co pani tu właściwie robi? Miała pani pozyskać kilku przyjaciół dla naszej sprawy.

- To chyba niemądre za dużo teraz mówić o tych rzeczach - powiedziała czarownica. - Powiem tylko, że zrobiłam to, na co przystałam. Kilku przyjaciół, o których mówiłam, przyszło tutaj szukając osoby, którą obie znamy. Zatrzymano ich. Przyszłam ich uwolnić i jak pani widziała, sama zostałam zatrzymana. Nieważne. Niech mi pani szybko opowie o tym dziecku.

Candy kiwnęła głową.

- Przyprowadziłam go tutaj, a potem wściekłam się na tę lafiryndę na dole w recepcji i próbowałam zrobić z niej surowy befszytk, więc mnie dopadli. Pewnie mniej więcej tak samo jak panią. Nafaszerowali mnie jakimiś środkami i przywiązali, a potem ten doktor - hej, obudził się! Hop, hop, doktoru - przyszedł tam i rozmawiał ze mną. Potem rozmawiał z małym Ozziem, tylko że Mały Ozzie dał dyla, kiedy mieli tam jakąś rozróbę i zaczął mnie szukać, a kiedy mnie znalazł, rozwiązał mi pasy. To było tylko trzy pokoje stąd. Potem zaczęłam chodzić w tej piżamie, którą na mnie włożyli. Właściwie szukałam moich własnych ciuchów, sukienki i torebki. Ale w pewnym momencie, kiedy nikogo nie było przy stanowisku pielęgniarek, zajrzałam pod biurko i znalazłam taką dużą paczkę zawiniętą w papier pakowy. Pomyślałam sobie, że może to coś użytecznego i zabrałam ją ze sobą do pokoju, gdzie był Mały Ozzie. Okazało się, że to były rzeczy odebrane z pralni, rzeczy tej pielęgniarki, wie pani. Ale największe szczęście, jakie miałam, polegało na tym, że była z niej całkiem spora dziewczucha, więc udało mi się wejść w jej rzeczy. Potem pomyślałam: Hej, gdyby tylko udało mi się znaleźć jakiś kosz albo duże pudło, albo coś w tym rodzaju, mogłabym włożyć Małego Ozzie'ego do środka i wynieść go stąd. Myślałam sobie, że on nie może wyjść ze mną jak gdyby nigdy nic, bo wiedziałam, że go szukają. No więc wyjrzałam

na korytarz, a ta gruba pielęgniarka znowu sobie gdzieś poszła albo jeszcze nie wróciła, więc postanowiłam zaryzykować. Tylko że nic takiego nigdzie nie było i właśnie szłam z powrotem, kiedy usłyszałam, jak wrzeszczy ta dziewczyna, którą pani ugryzła.

- Nigdy się pani nie dowie - rzekła czarownica - jak się cieszę, że poprosiłam, by mówiła pani szybko. Inaczej siedzielibyśmy tutaj do dnia Sądu Ostatecznego. To dziecko jest ciągle w tym pokoju, gdzie pani była przywiązana?

Candy kiwnęła głową.

- No to pan, panie Reeder, musi go do nas przyprowadzić. Gdyby ktoś zobaczył z nim moją przyjaciółkę Candy, łatwo mogłoby mu się przypomnieć, że to ona go tutaj przyprowadziła. Ale jeśli zobaczą z nim pana, pomyślą tylko, że ktoś go złapał. Mam plan naszej ucieczki. Zakłada przymus, a może nawet tortury, ale często tak to właśnie jest z najlepszymi planami.

ROZDZIAŁ 39

Czworo w ciemności

- Doktorze - rzekła pielęgniarka, która otworzyła drzwi. - Przykro mi, że panu przeszkadzam, ale mamy tu kogoś, kogo zdaje się nie ma w kartotece.

Otworzyła drzwi szerzej i Barnes wszedł do środka.

- Tak naprawdę nie jestem pacjentem - powiedział żałośnie. Przez moment jego dłonie przesuwały się po surowej bawełnie piżamy. - Tylko tak się złożyło, że to jedyne ubranie, jakie mam. Cześć, Stubb. Co ty tu robisz?

- Do diabła ze mną, ale co ty tu robisz? Przysłałem tu Candy, nie ciebie.

Doktor Bensen wstał, żeby mu się przyjrzeć.

- Ktoś uderzył pana w szczękę - powiedział.

- Tak, proszę pana - rzekł Barnes. - Jeden z pańskich pacjentów, doktorze. Znokautował mnie i ukradł mi ubranie, portfel i wszystko. Nawet moje szklane oko.

- Regulamin jest nieustannie łamany w tym szpitalu.

- Wie pan co - zawołała Sandy - wygląda pan bardzo interesująco bez tego oka. Nie wiedziałam, że było szklane.

- Założę się, że wyglądam okropnie. Ma pani lusterko? Wyjęła z torebki puderniczkę, otworzyła ją i podała Barnesowi. Przyjrzał się swojej twarzy z uwagą.

- Niech mnie kule biją. Wyglądam strasznie.

- Ja myślę, że pan jest śliczny.

- Możesz kupić sobie inne oko.

- Za co? To kosztowało mnie dwie stówki.

- Jak się pan nazywa - zapytał doktor Bensen. - Proszę pełne nazwisko.

- Osgood, Myles Barnes. Słuchaj no, Stubb, znasz ten kawał o facecie z drewnianym okiem?

- Już czuję, że zaraz go usłyszę.

- Był sobie parobek na farmie, no nie? Gdzieś w Nowej Anglii i ktoś go uderzył w twarz widłami do siana i wybił mu oko.

- Wiek?

- Trzydzieści cztery lata. No więc pojechał do Bostonu, żeby kupić sobie szklane. Były te niemieckie, naprawdę świetne, ale kosztowały kupę szmalu, a on miał tylko dwadzieścia dolców.

- Miejsce urodzenia?

- Pottstown, Pensylwania. No więc jak już miał wracać na farmę - miał bilet - podchodzi do niego uliczny sprzedawca ze szklanymi oczyma z drewna.

- Zawód?

- Sprzedawca. Tak naprawdę to były sęki sosnowe z namalowaną na środku niebieską kropką albo brązową kropką. No więc ten facet kupił takie jedno za dwadzieścia dolców, włożył je i pojechał do domu.

- Studia?

- Nie. Dwa lata na zarządzaniu na Pitt University. Ale wszyscy w pociągu śmiali się z niego i z jego drewnianego oka, i tak się wstydził, że jak wrócił na farmę, przestał w ogóle wychodzić z domu.

- Kiedy ostatnio był pan w szpitalu?

- Po co pan mu zadaje te wszystkie pytania? - zainteresowała się Sandy.

- Moja pielęgniarka będzie musiała wypełnić kartę.

- Niech no pan poczeka. - Stubb pochylił się nad doktorem, żeby zobaczyć, co on robi. - Ozzie nie jest tu pacjentem.

Doktor Bensen zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

- Jeśli mam być szczery, panie Stubb, nie wyciągałbym zbyt pochopnych wniosków. Moja pielęgniarka powiedziała, że nie może znaleźć jego kartoteki, ale jest ubrany jak pacjent i ma tendencje do powrotów do czasów dzieciństwa, którą uważam za bardzo ciekawą.

- Sam pan jest wariatem - powiedział mu Barnes.

- Nie ma potrzeby zachowywać się wrogo. Jeśli badanie wykaże, że jest pan dość odpowiedzialny, by móc funkcjonować w społeczeństwie, wypuścimy pana i zwrócimy panu ubranie, nawet sztuczne oko.

- Chce pan powiedzieć, że ma pan moje rzeczy? Myślałem, że wziął je Reeder.

- Ubranie i szkła korekcyjne albo inne przedmioty, które mają ostre brzegi po złamaniu, są przechowywane aż do wyjścia pacjenta. Był pan wcześniej hospitalizowany?

- Czy liczy się porodówki? Trzy lata temu miałem bliźniaki.

- Nie robiłbym sobie takich dowcipów, Ozzie - rzekł Stubb. - Nie sądzę, żeby to tutaj przeszło.

- A jakie dowcipy byś sobie robił? - zapytał Barnes. Zadzwoił telefon.

- Sandy, chcę, żebyś zabrała Ozzie'ego i wyciągnęła go stąd - powiedział Stubb. - Zaraz. Ja pogadam z Proudym, jeśli mi się uda, i powiem ci, czego się dowiedziałem.

Doktor Bensen rozmawiał przez telefon.

- Co takiego? - spytał. - To nie ma żadnego sensu.

- Dokąd mam go zabrać? - Niska dziewczyna popatrzyła z powątpiewaniem na Barnes'a.

- Masz mieszkanie? Mieszkasz sama?

- Jak dotąd, niech to diabli.

- Cóż, właśnie zdobyłaś sobie współlokatora. Jaki masz numer telefonu?

- Panie Stubb, na dworze jest mróz. On musi mieć coś więcej niż tylko to ubranie.

- Też bym tak powiedział - dodał Barnes. - Mam dziś wieczorem randkę w ciemno.

- No, to przynajmniej nie zobaczy, jak jesteś ubrany. Spadaj, ty głupi durniu. Wynos się, bo możesz już nigdy stąd nie wyjść.

Doktor Bensen z trzaskiem odłożył słuchawkę, wyciągnął ze swojego białego fartucha chusteczkę i poklepał swoje błyszczące czoło.

- Ten cholerny głupek Roberts kazał mi wypuścić Cyganów. Przepraszam. Muszę zobaczyć, o co mu chodzi. Spróbuję też zobaczyć, co zabiera tyle czasu z tym Proudym.

Wyszedł i usłyszeli, jak szepcze coś w pośpiechu do pielęgniarki w sąsiednim pokoju.

- Myślę, że masz rację - rzekła Sandy. - Myślę, że lepiej będzie, jak sobie stąd pójdziemy.

Wszyscy.

- Za chwilę - rzekł Stubb.

Patrzył przez zakratowane okno na miasto pod kołdrą śniegu. Było prawie ciemno.

- Potrzebuję ubrania - powtórzył Barnes. - Chciałbym też odzyskać oko, ale nie sądzę, żeby były wielkie szanse.

- Na co czekasz? - zapytała Sandy. Zapinała płaszcz.

- Czekam, bo on tam ciągle jest - odparł Stubb. - Możemy wyprowadzić Ozzie'ego, zagadując jakoś pielęgniarkę, ale chcę najpierw dać Barnesowi czas, żeby się stąd oddalił.

Zza drzwi dobiegł głos pielęgniarki, jak pełen niepokoju pisk mewy. Mówiła komuś, że nie może skorzystać z telefonu.

- To nasza szansa - rzekł Stubb. - Chodźcie.

W sąsiednim pokoju mężczyzna z czarnymi kręconymi włosami i przekłutymi uszami przyciskał jedną ręką guziki telefonu, który wyglądał, jakby był bardzo skomplikowany, a drugą ręką trzymał pielęgniarkę na odległość.

- Niech się pani nie martwi! - zawołał Stubb. - Zabierzemy go stąd. Ozzie, złap go za drugie ramię! Sandy, odłóż słuchawkę! - Mężczyzna był chudy, ale żyłasty i lubił kopać. Kiedy tylko wypchnęli go na korytarz, Stubb szepnął do Barnesa. - Dobra, puść go.

Mężczyzna rzucił się z powrotem w stronę gabinetu, dopadając drzwi akurat na czas, by zderzyć się czołowo z Sandy Duck i zwalić ją z nóg. Przeskoczył nad nią jak ścigany jeleni (za białą plamę na zadzie posłużyła duża chusteczka wystająca mu z kieszeni spodni) i znowu znikł w gabinecie doktora Bensa. Pielęgniarka wrzasnęła.

Jeden z pacjentów podniósł się z ławki, która stała pod ścianą, i pomógł wstać Sandy. Reszta patrzyła nieruchomymi oczami.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Stubb.

- Tylko mnie wymiętosił. - Spróbowała wsadzić rękę za dekolt swej wełnianej bluzki. - Chyba coś się stało z moją bielizną.

- Proszę - powiedział pacjent, który pomógł jej wstać. - Pozwoli pani, że ja to zrobię. - Wydawało się, że mówi zupełnie poważnie i szczerze.

- Nic nie szkodzi. - Sandy sięgnęła za ramiączko. - Już je złapałam.

- Chodź - rzekł Stubb. - Spływajmy stąd.

- Nie pomożesz Cyganom?

- Nie teraz. Najważniejsze, żeby wyciągnąć stąd Barnesesa. Potem wrócę i zajmę się nimi. Spróbuję też porozmawiać z Proudym.

- Nie sądzę, żeby Cyganie bardzo potrzebowali pomocy, panie Stubb - wtrącił pacjent. - Jest tam jakiś lekarz i gruba pielęgniarka, i pielęgniarka Cyganka, i jeden z sanitariuszy, i jeszcze mały chłopiec, a wszyscy biegają w kółko.

Stubb odwrócił się, żeby spojrzeć na niego.

- Skąd pan zna moje nazwisko? Pan jest...

- Nie, nie jestem, panie Stubb. Jestem Richard Albright Chester.

- Klown Nimo! Wie pan co, chyba nie rozpoznałbym pana, gdyby nie krzyknął pan do nas, kiedy rozmawiałem z kapitanem Davidsonem. Chciałem coś dla pana zrobić przy pierwszej okazji, ale mieliśmy wpierw co innego do roboty, a potem wszedł Ozzie.

- Jest pan kłownem? - zapytała Sandy.

Biegli korytarzem, a teraz dziewczyna przycisnęła guzik, żeby wezwać windę.

- Akurat teraz nie. Ale mam tę dziwną zdolność, że staję się kłownem od czasu do czasu.

Barnes spojrział na niego z ciekawością.

- Kiedy jest pełnia albo coś w tym rodzaju?

- Nie, to się po prostu zdarza. Dość często, prawdę mówiąc.

Zgasły światła. Wszędzie, po obu stronach korytarza, za ciężkimi szklanymi kloszami i ochronnymi drutami zgasły lampy na suficie. Długa świetlówka ponad pustym stanowiskiem pielęgniarki przy windzie zamigotała i zgasła. Czerwone światełko pomiędzy guzikami windy, tuż ponad palcem Sandy, mrugnęło i znikło. Ustały westchnienia ciepłego wiatru w stalowych kratkach tuż nad podłogą, a ponad wejściem na schody ściemniał napis WYJŚCIE AWARYJNE.

Sandy zamarła. Wydawało jej się, że to, co się stało, było znacznie bardziej zasadnicze, znacznie poważniejsze niż zwykłe wyłączenie światła. W jakiś sposób, dzięki swoim uszom, nosowi, tym zmysłom, o których pisała, ale właściwie nie sądziła, że sama je posiada, wiedziała, że wszystko się zmieniło, choć nie mogłaby powiedzieć w jaki sposób. Nie stąpała już po twardych plastikowych płytkach, czuła po stopami coś bardziej niechętnego i nieomal żywego, jak skóra zwierzęca. Miała wrażenie, że wszystkie ściany, prócz tej, naprzeciw której stała, odleciały od niej w dalekie ciemności. Kiedy zdjęła palec z guzika windy, ta ściana również znikła. Chwilę później wyciągnęła dłoń w jej stronę i nie znalazła nic.

- Awaria prądu - powiedział ktoś koło niej. Pomyślała, że to może być Stubb. - To nie potrwa długo.

Zupełnie nowy głos zauważył.

- Robię fikołki. Czekoladowe fikołki.

Wydawało jej się, że właściciel tego głosu - jeśli był to mężczyzna - minął ją, poruszając się w jakiś skomplikowany sposób, a potem zniknął.

Inny głos (a może znowu był to głos Stubba) rzekł:

- Myślisz, że to tylko szpital? Usłyszała, jak sama mówi:

- Zapewne.

- Kto to jest? - (Być może drugi głos lub głos Stubba.)

- Sandy - odparła mu.

- To nie brzmi jak głos Sandy. - Wyciągnięta dłoń dotknęła jej twarzy i Sandy odskoczyła. Gdzieś ludzka istota wyła jak wilk.

Gdzie indziej - na dworze - samochód też wył, jęcząc z ulicy na całe miasto.

Nastąpiło zderzenie i choć było stłumione, nie można było się pomylić.

- Myślisz, że tak jest wszędzie? W całym mieście?

- Nie wiem.

- Na pewno. Nie widzę żadnych świateł za oknami.

- Ale tu nie ma żadnych okien, tu w korytarzu. Nie możesz po tym poznać.

- Ktoś chce kupić nietoperza?

- W gabinecie tego doktora jest okno.

- Do diabła z tym. Gdzie są schody?

- Proszę! Proszę! Mamy awaryjny system zasilania. Za chwilę zapalą się światła.

- Mój Boże, mam nadzieję, że on ma rację - powiedziała Sandy.

Straciła kontakt ze Stubbem i z Barnesem, i ze ścianą również. Z każdym stawianym na próbę krokiem była już pewna, że jej dłonie zaraz na nią natrafią, ale ciągle wyczuwała pustą przestrzeń. Wydawało jej się, że już zrobiło się zimniej.

- Kto jest w swoim pokoju, proszę, niech w nim zostanie.

- Harris, to ty?

- Staram się tylko utrzymać porządek, ty gnojku, Auuuu!

- Przestań Harris, wracaj do swojego pokoju!

Ktoś wpadł na nią. Już drugi raz ktoś wpadał na nią w ciągu pięciu minut, ale była zbyt wystraszona, żeby się zezłościć. Ten, kto na nią wpadł, podtrzymał ją, zanim zdążyła upaść.

- Paniusiu, powiedz, gdzie tu są schody?

- Nie wiem - powiedziała. - Sama próbuję je znaleźć.

- Jesteś pielęgniarką?

Wtedy światła zapaliły się znowu. Stała na środku korytarza, a dookoła niej tłoczyli się pacjenci. Mężczyzna stojący przed nią był człowiekiem z przekłutymi uszami.

Światła znowu zgasły.

ROZDZIAŁ 40

Tłum szaleńców

- Siadać! - rozkazał doktor Bensen. Szuranie i głucho stuknięcie.
- O co się potknęłam? - zapytała Sandy.
- O mnie - rzekł ktoś. - Siadaj!
- Próbowałam odnaleźć wyjście.
- Wszyscy próbowaliśmy. Ale póki światła są zgaszone, nie ma wyjścia.
- Ciężki dowcip - rzekł ktoś inny. - Kto to?
- To nie dowcip, tylko prawda, jasne? - To jest ósme piętro...
- Chyba szóste.
- Kto to?
- ...windy nie działają, a drzwi na schody są zamknięte na klucz. Póki nie ma światła, nie możemy się wydostać.
- A więc równie dobrze możesz usiąść i zostać na podłodze. My to właśnie robimy. Przynajmniej nie rozkwasisz sobie nosa.
- Skowyt, głośnie szuranie i głuchy łomot.
- Nie na mnie! Nikt ci nie kazał siadać na mnie!
- Na pewno będę mieć siniaka na łokciu. To ta przeklęta podłoga. Nikogo z was to nie obchodzi, co? Nie przejęlibyście się nawet moją złamaną ręką.
- Czy to mężczyzna, czy kobieta?
- Kobieta. To można poznać po głosie.
- Mężczyzna. Za gruby jak na kobietę.
- To pewnie Emma Cork. Jest wielka jak dom.
- Albo Corky Davis. On jest wielki jak dwa domy, ale cały czas udaje, że jest kobietą.
- Albo Candy. To ty, Candy?
- Tak, to ja - rzekła Candy.
- Nie, to nie ona. Ja jestem tutaj. Chcesz mnie pomacać?
- Hej! Ręce przy sobie.
- Przesuń się, żebym mógł usiąść.
- Myślę, że wszyscy powinniśmy utworzyć koło. Czy jesteśmy w kole? I przedstawić się.
- Ja jestem Walet Karo.
- Masz głos raczej jak kobieta, a nie jak młody mężczyzna.
- Idźmy dalej w koło. Nie wszyscy z nas są szaleni. Powinno nam się udać szybko wypieścić czubków.
- To pan, panie Stubb? - zapytała Sandy.
- Ja jestem Candy, tutaj.
- Nie, ja się nazywam doktor Roberts R. Roberts.

- Och, nic na to nie poradzisz, wszyscy tutaj jesteśmy stuknięci. Ja jestem stuknięty. Ty jesteś stuknięty.

- Ja nie jestem stuknięta! - zaprotestowała Sandy. - Dlaczego myślisz, że jestem?

- Musisz być stuknięta, inaczej byś tu nie przyszła. Miauu!

- Dalej, obejdźmy w kółko - rzekł Stubb. - Ja jestem Stubb.

- Wallace J. Willis.

- Joan Giraud.

- Walet Karo.

- Candy Garth.

- Gazela.

- Nimo.

- Maude Gonne.

- Carlton C. Katz.

- Hej, Stubb, to jeszcze do ciebie nie wróciło?

- Nie.

- Nie!

- NIE!

- Zorza Polarna.

- Osgood M. Barnes - powiedział zdecydowanie Barnes.

- Jake Barnes.

- Candy Garth.

- Hej, ty nie jesteś mną!

- Ona też nie jest mną.

- Candy, czy to byłaś ty?

- Nie!

- Tak!

- Stubb, to nic nie da.

- Kto to? Ozzie?

- Tak.

- Tutaj! - zawołał Mały Ozzie.

- Hej, jakiś dzieciak!

- Jestem Ozzie Barnes.

- Mały Ozzie, chodź tutaj - rzekł Barnes. - To tatuś.

- Tutaj! Ozzie!

- O tu, Ozzie!

- Ozzie, masz go? - zapytała Candy.

- Nie!

- Nie!

- Tak - odparł jej Barnes. - Wszystko w porządku.
- Chłopczyku, czy to twój tata?
- Myślę, że tak.
- To mądre dziecko, skoro wie, kto jest jego ojcem.
- Kto to był?
- Walet karo, jak sądzę - rzekła Sandy. - Panie Stubb, to nic nie da. Mamy tu za dużo kłamczuchów.
- To prawda.
- Też tak sądzę.
- Poza tym, panie Stubb, zakładając nawet, że każdy z nas zostałby rozpoznany przez innych pod etykietą, jaką przypiął mu świat, to cóż byłby z tego za pożytek?
- Madame Serpentina?
- Nie - rzekła czarownica.
- Jasne, że tak. Pani głos poznałabym wszędzie.
- Jestem osobą, którą przyzwyczaił się pan nazywać Madame Serpentina, choć nie jest to moje nazwisko. Są tu inni, którzy nazywają mnie inaczej - choć i to imię nie jest moje. W ciemnościach? Kto może wiedzieć na pewno?
- Jak mamy panią nazywać?
- Dlaczego musicie mnie jakoś nazywać?
- Cóż, tak czy inaczej, jest tu pani. Wypuściła pani Cyganów?
- (Chwila ciszy.)
- Poszła sobie.
- Jesteśmy wolni, jeśli być wolnym, to znaczy być tak wolnym, jak wy jesteście. Ale Cygan nie może być wolny pod dachem.
- Hej, to było głębokie! Na Boga, wiedziałem, że ktoś wreszcie powie coś głębokiego, jeśli będziemy próbować dosyć długo.
- Żona to kobieta, która w całym swoim życiu tylko raz się pomyliła.
- To też jest głębokie.
- Śmierć jest wobec życia tym, czym ziemniaki wobec śniadania.
- Stracić fortunę to byłoby zupełnie tak, jak stracić rozum, gdyby dało się przepchnąć portfel przez ucho wielbłąda.
- Dajcie sobie spokój, ludzie! - rozkazał Stubb.
- Dlaczego? Masz lepszy pomysł?
- Filozofia to ostatnia deska ratunku, kiedy wszystkie inne umysły są zamknięte.
- Nigdy nie skłonisz tych czubków, żeby mówili z sensem, Stubb. A tak w ogóle, to co byś z nimi zrobił, gdyby ci się to udało?
- My już to mówiliśmy. To było z sensem, nie?
- Chryste, zastanawiam się, jak długo to potrwa. Tych światel nie ma już z pół godziny.

- Nad biurkiem pielęgniarki jest zegar. Jeśli ktoś ma zegarek, mógłby go z nim porównać.
Gdyby tylko mógł go zobaczyć.

- Jak jest na dworze, jak myślicie?

- Zimno.

- Chodzi mi o to, czy rozwalają wystawy sklepów z telewizorami? I tak dalej?

- Ja nasłuchuję i bez przerwy słyszę syreny.

- Włóż sobie wosku do uszu.

- Ja już mam wosk w uszach.

- I nic nie pomaga, co?

- Niech mu ktoś pomoże, bo wylądujemy na mieliźnie! Doktor! Doktor! Gdzie, do diabła, są wszyscy lekarze?

- A jak myślisz? Są tu razem z nami.

- Są nami.

- Spotkała raz lewatywa...

- Ktoś powiedział, że jest doktorem Bobem.

- To nie był on. Znam jego głos.

- Czy ktoś go czasem nie ugryzł w ramię?

- To była Alma-Mae Jackson.

- Nie przypuszczałem, że ona może kogoś ugryźć.

- Mogła najwyżej trochę komuś przyłożyć.

- To co innego.

- Posłuchajcie tych syren...

- Chcę stąd wyjść.

- Żartujesz? Tam jest dom wariatów.

- Ja też. To mówi Stubb - Jim Stubb, prywatny detektyw. Kim ty jesteś?

- Cygan Pete.

- Hej, ja chcę wstąpić do Cyganów.

- Nie wstępuje się do Cyganów. Cyganie są jak rodzina. Musisz się urodzić Cyganem.

- Słyszałem o ludziach, którzy wstąpili do Cyganów. Cyganie ich lubią, rozumiesz, więc mówią im, no dalej, zostań Cyganem. I oni zostają.

- To co innego. Jasne, w ten sposób możesz wstąpić do Cyganów.

- Hej, Pete, lubisz tego faceta?

- Skądże, cholera!

- Nie ma mowy!

- Spadaj!

- Żaden z nich to nie był Pete - rzekł Stubb. - Pete, jesteś tu jeszcze?

- Tak!

- Nie!

- Słyszałem kiedyś o tym, jak Cyganie kradną dzieci.
- To wróżki kradną!
- Nie kradniemy!
- Mój Boże, posłuchajcie tych syren...
- Ano.
- Myślałem, że to się zdarza tylko latem. Przez klimatyzację.
- To potrwa całą noc?
- Może potrwać.
- Pewnie nie.
- Mogłoby potrwać i dwie noce, bez problemu. Skąd my, do diabła, mamy wiedzieć, co jest nie tak?
- Ano, więc czemu nie wrócimy wszyscy do naszych pokoi i nie pójdziemy spać?
- To był lekarz! Albo może porządkowy. Złapałem go!
- Hej, puszczaj!
- No to co? Musieli się z nami przemieszać.
- On będzie miał klucz? Muszą mieć klucze do schodów w razie pożaru. Niech mi ktoś pomoże!
- Mam go!
- To ja, puszczaj!
- Dokąd poszedł? Tupanie i tętent stóp.
- Gdzie się wszyscy podziali?
- Znowu się rozpierzchliśmy.
- Uciekł? - zapytał Barnes.
- Ano.
- Posłuchaj, Stubb... czy to ty, Stubb?
- Ano.
- Moglibyśmy wyważyć drzwi - powiedział Barnes.
- To metal.
- Co to szkodzi, założę się, że moglibyśmy je wyważyć. Chodź, Mały Ozzie, tata ma zamiar wyważyć drzwi.
- Pomogę ci.
- Candy? To ty, Candy?
- Jasne, że to ja - rzekła Candy. - Pewnie myślisz, że nie potrafię, ale do tego potrzeba ciężaru, a właśnie ja mam ciężar.
- A gdzie są te drzwi, tak czy owak?
- Koło wind.
- Gdzie jest Madame Serpentina? Ja byłam z nią. I tym wysokim facetem, Reederem.
- Reeder! Był tu Reeder?

- Pomógł nam. Znasz go?
- Mam u niego dług. Muszę mu powybić zęby.
- On jest dość duży, Ozzie.
- Czekaj go niespodzianka. Już ja przyłożę temu niedojdzie.
- Mocno powiedziane - rzekł Stubb. - Chcesz pożyczyć moją pałkę?
- Jim, czy ty i Ozzie nie zamknęlibyście się na chwilę? Posłuchajcie. Posłuchajcie, co się dzieje na zewnątrz.
- W porządku, słucham. Syreny.
- Mnóstwo syren. Cały czas. Tam muszą być wszyscy gliniarze i strażacy, i wszystkie karetki w całym cholernym mieście.
- Chcesz tu zostać, Candy?
- Nie. Nie, nie chcę. Ale jak bym umierała z głodu, powiedziałabym tak. Pomyśleliście o tych ludziach na zewnątrz? Chodzi mi o taką awarię prądu w środku zimy. Ogrzewanie wysiadzie we wszystkich budynkach. Tutaj też wysiadło, ale to duży, solidny stary dom, więc trochę potrwa, zanim to da się zauważyć. Gdzie indziej ludzie zmarzną w trymiga. Na pewno wyszli na dwór, żeby rozpalić ogniska na ulicy. Najpierw pójda śmieci i takie rzeczy.
- Do diabła z tym, gdzie są drzwi?
- To coś dla pana, panie Stubb. Jaka jest różnica...
- Kto to jest, Jim?
- Chyba Nimo. Gdzie jesteś, Nimo?
- ...pomiędzy tymi drzwiami, których pan szuka, a paszczą ryczącego lwa?
- Zgoda, to solidne drzwi. Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Mów dalej, żebyśmy cię mogli znaleźć.
- Żadna! Jedno i drugie jest otwarte!

ROZDZIAŁ 41

Prawo morza

Ciemna bryła Belmontu szybko zagubiła im się za plecami pośród innych brył, równie ciemnych. Księżyc i gwiazdy schowały się za chmurami ciężkimi od śniegu, ale skaczące płomienie rzuciły dalekie, spazmatyczne światło i od czasu do czasu jakiś dziko ślizgający się samochód przejechał obok, przesywając reflektorami ulicę. Powietrze było nieruchome i przejmująco zimne.

- To wygląda niemal jak piekło, co? - rzekła Candy. - Tak czy owak, chętnie podeszłabym bliżej do któregoś z tych ognisk.

Nie miała płaszcza na ledwie dopiętym stroju pielęgniarki.

Barnes, w kapciach i cienkiej piżamie szpitalnej, był w jeszcze gorszym położeniu. Wydawało się, że nie zdaje sobie z tego sprawy, gdy dzielnie dreptał do przodu, a Mały Ozzie biegł truchtem obok niego. Nimo był zbyt aktywny, by cierpieć, wywijając fikołki i robiąc gwiazdy na lodzie.

- Sandy się chyba nie udało - rzekł Stubb. - Zgubiliśmy ją - Była z tobą? - zapytała Candy. - Wydostanie się bez problemu. W końcu nie była pacjentką.

- Doktorowi Makee pewnie też się uda - rzekł Barnes. - Na co obieramy kurs?

- Z powrotem do Consorta.

- Niech mnie kule biją! Właśnie mi się przypomniało, że mam dziś randkę z Olive. Która jest godzina?

Stubb zerknął na rękę.

- Szósta czterdzieści pięć.

- Coś takiego! - Candy rozejrzała się wokoło po ciemnych budynkach. - Wygląda raczej, jakby była północ. Dziś wieczorem wyjątkowo wcześnie zrobiło się późno.

Nimo, hałasujący daleko z przodu, zatrzymał się i rozłożył szeroko ramiona.

- Szminka!

- Posłuchaj no - rzekł Barnes do Stubba. - Muszę się ubrać. Ona ma mnie zgarnąć sprzed Consorta o ósmej.

- Zgarnąć cię? W porządku, nie jesteś ciężki. Założę się, że Candy mogłaby to zrobić.

Nimo upadł przed nią na kolana.

- Gdybym tylko miał szminkę, mógłbym zrobić paski na tej piżamie. Mógłbym też zafundować sobie czerwony nos.

- Jim, zabierz go ode mnie! On chyba ma zamiar zaśpiewać tę piosenkę z *Czarnoksiężnika z Oz*.

- Lubię ją - oznajmił Mały Ozzie. - Idziemy do Czarnoksiężni-i-i-ka, Wielkiego CzarnoksiężnikaZoz!

- Nie, nie - powiedział mu Nimo. - Gdy-y-y-bym tylko miał szminkę do ust, nie pociągnęliby już za spust. Nie pomyśleliby, że jestem wariatem! Z taką szminką mógłbym się rozebrać, mógłbym się nawet rozerwać i nikt nie podejrzewałby, że jestem niespełna rozumu!

- Niech mnie kule biją - mruknął Barnes. - Strasznie mi zimno. - Spojrzał w boczną ulicę, gdzie ogień migotał jak gwiazda, kiedy przesuwały się przed nim ciemne sylwetki. - Ci faceci mogliby akurat obrabiać sklep z odzieżą.

Mały Ozzie podniósł na niego wzrok.

- Nie ukradłbyś ubrań, prawda, tato?

- Oczywiście że nie, słoneczko - odparł Barnes. - Ale jest coś, co nazywa się prawo morza, czyli jeśli znajdzie się coś porzuconego, wówczas ten, kto owo coś znalazł, może to zatrzymać. Jeśli na przykład ktoś już się włamał do jakiegoś sklepu i nie ma nikogo, kto może się zaopiekować rzeczami, to sklep jest uważany za wrak i dopóki nie przyjdzie jego właściciel albo policja, każdy może zabrać sobie to, co zechce. Candy, popilnujesz mi przez chwilę Małego Ozzie'ego?

- Jeśli spróbujesz znaleźć mi płaszcz.

- Dobra - rzekł Barnes.

Odwrócił się i pognął ulicą. Raz jeszcze szpitalne kapcie poślizgnęły się na lodzie, ale udało mu się nie upaść.

- Nie wiedziałem, że Ozzie potrafi tak biegać - rzekła gruba dziewczyna.

Stubb potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że go nie złapią. W każdej chwili mogą włączyć prąd.

Chłopiec, który nie musiał wysoko podnieść wzroku, spojrzał na niego.

- Skoro ten sklep jest wrakiem, więc wszystko w porządku, prawda?

- Widzisz, Mały Ozzie, światła to tak, jakby pilnował tego jakiś gliniarz - wyjaśniła Candy.

- Albo słońce mogłoby wstać. - Nimo spojrzał na ciemne niebo i rozpostarł ramiona.

- Hej, ty naprawdę jesteś stuknięty, co?

- To by się mogło zdarzyć - odparł poważnie. - Wszystko mogłoby się zdarzyć, a coś w końcu musi. Założę się o masaż, przeciw buziakowi, że wstanie w ciągu minuty.

- Dobry z ciebie masażysta? Założę się, że tak. Zgoda, stoi.

- Chodź tutaj - powiedział Nimo do Małego Ozzie'ego. - Wejdz na mnie. Poniosę cię chwilę. - Kucnął i chłopiec wdrapał mu się na plecy, a potem stanął mu na ramionach. - Widzisz, tamten Ozzie mówi do tego Ozzie'ego „słoneczko”, a teraz słoneczko wstało!

- Zgoda, masz u mnie... - Candy przerwała zdanie i wskazała palcem. - Jim! Widziałeś to?

- Widziałem co?

- Ten znak, tam dalej. Jim, to delikatesy Dilly. Mają najlepsze kanapki z mielonką, wino, piwo, wszystkie te rzeczy. Nie jesteś głodny? Boże, ja umieram z głodu.

- Ja jestem głodny - oznajmił Mały Ozzie z ramion Nimo.

- Pewnie, że jesteś! I znajdziemy ci coś do jedzenia. Zaufaj Candy. Nimo, chodź!

Kilka domów dalej w delikatesach było cicho i ciemno, a okna wystawowe zapełniały bochenki chleba, butelki i ręcznie zapisane kartonowe tabliczki.

- Dziwne, że ich tu nie ma, co? - rzekł Candy. - Dawniej było otwarte do dziewiątej.

- Gdyby tu byli - trzeźwo zauważył Stubb - i tak nie mogłabyś wejść do środka i kupić sobie kanapki. Nie masz pieniędzy.

- O czym ty mówisz, do diabła? Jakiej kanapki? Sandwicza Super Dilly, z suszonym mięsem, mieloną, wołowiną, wątrobową i rosyjskim sosem, i talerza zupy z knedlikami i ciemnym piwem. Jim, czy mógłbyś coś zrobić, żebyśmy dostali się do środka?

Stubb łypnął na drzwi.

- Może i mógłbym, ale nie zrobię tego.

- Chryste Panie, Jim! Chcesz, żebym rozbiła szybę cegłą?

- Nie, chcę, żebyś przeszła jeszcze ze cztery przecznice. Potem zafunduję ci to, co tylko zechcesz zjeść. Chodź.

Mały mężczyzna ruszył oblodzonym chodnikiem. Po chwili Nimo podążył za nim, niosąc chłopca. Sapiąc, Candy poczłapała za nimi.

- Jim, lepiej, żeby to się udało. Bola mnie stopy i bola mnie nogi, i jest mi zimno. I jestem tak cholernie głodna, że mogłabym zjeść własne ramię.

Nimo drapał się w potylicę, wysoko wyciągając ramię i zginając rękę w przesadzonym geście zafrasowanego chłopka.

- Jesteśmy blisko mojego klowndomu - rzekł. - Mogę pokazać wam, gdzie jest nie zamknięte okno, ale w mojej zapaspiżarni nie ma za wiele.

- Nie - powiedział Stubb. - Nie o to chodzi. Idziemy do jadłodajni. Candy właśnie mi przypomniała, że jest piątek wieczór.

Na środku ulicy płonęło ognisko. Ludzie włamali się do sklepów po obu stronach ulicy, ale plądrowanie już się prawie zakończyło. Kilko dzieci grubo ubranych w nowe ubrania grzebało w tym, co pozostało. Kilku dorosłych stało grzejąc dłonie przy ognisku i od czasu do czasu wrzucało do niego śmieci - kawałki połamanej lady, papiery, fragmenty dywanu, głowy i kończyny manekinów.

- Coś się komuś stało? - zapytali na widok stroju Candy. Kiwnęła głową i pospieszyła za Stubbem oraz Nimo. Sklep monopolowy porzucili już nawet rabusie - zimną, cuchnącą jaskinię ciemności i potłuczonego szkła. Zawahała się, wiedząc, że nic już tam nie zostało, lecz trudno jej było porzucić jego zapach, nie dotrzymaną obietnicę ciepła i radości. Pomyślała sobie, że mogli zostawić jedną skrzynkę, nawet jeśli to miałyby być tylko ćwierćlitrowki, ćwierćlitrowki rumu albo jakiegoś innego paskudnego trunku dla takich jak ona, którzy przechodzili ulicą. Zaczęła cicho przeklinać, spiesząc dalej z ciężkim sapaniem. Znała bardzo wiele brzydkich słów i kłęła jeszcze, kiedy dotarli do wejścia jadłodajni.

- Tak oto przeszliśmy od drzwi do drzwi - rzekł Nimo - w ogóle nie wchodząc do środka. Szkoda, że żadna ciemnowłosa treserka nie kazała temu lwu ryknąć, żeby on także otworzył paszczę.

- Jesteś stuknięty - powiedziała Candy, kiedy sapiąc dotarła do niego.

- On ma myśli Madame S. - rzekł Stubb przyglądając się zamkowi. - Myśli, że to ona albo ktoś z jej ludzi rozpracował zamek wyjścia awaryjnego. Pewnie ma rację.

- Jim, ona była koło nas i rozmawiała z nami.

- Jasne, ale gdzie my byliśmy? Jak blisko drzwi? Mogła pracować nad zamkiem, rozmawiając. Albo może po prostu miała narzędzia i dała je komuś innemu.

- Nie sądzę, żebyś ty miał takie narzędzia?

- Kiedyś miałem, ale je zastawiłem.

- Widziałam kiedyś film, na którym prywatny detektyw miał taki mały kawałek plastiku w portfelu i wsadził go w drzwi, i je otworzył.

- Jasne. Ja też używam karty kredytowej. Wszyscy tak robią. Ale to działa tylko przy zamkach ze sprężyną i to nie wszystkich. To jest zasuwa. Poczekajcie tutaj? Ja idę w ten zaułek.

- Ja tam nie chodzę nawet wtedy, kiedy działają światła.

- Ja pójdę! - rzucił Nimo.

- Nie z Małym Ozziem, z nim nie pójdziesz. On zostaje tu ze mną. - Candy wzięła chłopca z ramion Nimo, przytuliła go chwilę i postawiła na ziemi. - Cieszę się, że masz swój płaszcz, Mały Ozzie. Zimno ci?

- Dosyć. Kiedy zobaczę znowu moją tatę?

- Pewnie kiedy wrócimy do hotelu. Ja...

Kobieta musiała nadbiec ciemną ulicą. Ale ponieważ nie widzieli jej ani nie słyszeli, wydawało się, że nie przyszła, ale nagle się zmaterializowała, wyłaniając się jak duch z ciemności.

- Pielęgniarka! Och, dzięki Bogu, pielęgniarka! Proszę, niech pan pójdzie ze mną, proszę!

- Dokąd? - zdołała wykrztusić zaskoczona Candy.

- Kilka domów stąd. Tylko kilka domów. Proszę! Nie mogłam jej sama przenieść, więc chciałam przyjść tutaj... tu jest taki mały wózek... ale mogłaby się wykrwawić na śmierć...

- Już idę - rzekła Candy. - Już idę. - Przygryzła wargi. - Och, Chryste, moje nogi. Gdyby tylko pani wiedziała, ile się dzisiaj nachodziłam.

- Proszę - rzekła kobieta. - Może ona umiera. Candy ruszyła kulawym truchtem.

- Co. Jej. Się. Stało?

- To moja teściowa. Oni są właścicielami tego sklepu tam dalej. Sam i ja mieszkamy z nimi. Ja nie jestem Żydówką. Czy ja wyglądam na Żydówkę? Tam. Położyłam ją w sieni.

W ciemności kobieta leżąca w sieni mogła być kłębkim starych ubrań. Sapiąc, Candy upadła na kolana koło niej.

- Niech pani posłucha, ja wiem, że panią bolą nogi. Wy, pielęgniarki, chodźcie cały dzień, a przy tej awarii prądu i braku transportu...

- Zapomnijmy. O. Moich nogach. Potrzebujemy światła. Jakiegokolwiek.

- Mam zapalniczkę. - Rozległo się grzechotanie, kiedy kobieta, która nie była Żydówką, gmerała w torebce. - No więc jak wysiadł prąd i zaczęły się pożary, ona wyszła. Oni mają nie wychodzić, ale jednak wyszła. Sam jeszcze nie wrócił do domu. Ani jej drugi syn. Powiedziałam jej, że ja pójdę...

- Czym ją uderzyli? Butelką?

- Chyba kawałkiem rury. Myślałam, że mnie zgwałcą, ale pewnie dlatego, że jest tak zimno... Pani musiała zmarznąć na kość.

- Zmarzłam. Niech mi pani da papierosa.

- Co, co pani mówiła?

- Powiedziałam, żeby mi pani dała papierosa. Ma pani zapalniczkę, musi pani mieć i papierosy. Chcę go zapalić, zanim zgaśnie pani zapalniczka.

Kobieta, która nie była Żydówką, znowu przeszukała torebkę.

- Zabrali mi pieniądze, kartę kredytową, wszystko. Sam się wścieknie. Czy z nią wszystko w porządku?

- Niech pani chwilę potrzyma tę zapalniczkę nieruchomo, dobrze? - Candy głęboko zaciągnęła się papierosem, aż jego koniec zaświecił prawie tak samo jasno jak kurczący się niebieski płomień. - Nie, nie jest w porządku. Ma paskudny wstrząs mózgu i może pękniętą czaszkę, nie mogę powiedzieć na pewno. Powinno się zrobić prześwietlenie. Do tego czasu musi być w ciepłe. Leżenie tutaj na zimnie to dla niej najgorsza rzecz. Co to jest? Ten papieros?

- Virginia Slim. Mogłaby umrzeć?

- Nigdy ich nie próbowałam. Nie znoszę reklam. No, mogłaby umrzeć. Jak pracowałam przy ostatnim wstrząsie mózgu, lekarz myślał, że facetowi nic nie będzie. Pomagałam go zabandażować. Tylko że coś mu było. Zaczął trochę wariować. To było zaledwie kilka dni temu. Niech to diabli, chciałabym, żeby te światła znowu się zapaliły.

- Nie może jej pani tu zabandażować? Candy potrząsnęła głową.

- Nie krwawi mocno, a kombinując tak przy niej po ciemku mogłabym zrobić więcej szkody niż pożytku. Nie mówiła pani, że ona ma tutaj sklep? Nie możemy jej tam zanieść? Może by nam się udało znaleźć coś, czym można by ją przykryć.

- Jest jadłodajnia, tam dalej. Myśli pani, że możemy ją tam przenieść?

- Jasne, tylko musimy być ostrożne, żeby nie uderzyć jej głową. Jeśli czaszka jest pęknięta, jeden wybój mógłby ją załatwić.

- Pomogę - rzekł Mały Ozzie.

- Dobry z ciebie dzieciak. Zgoda, weź jedną stopę, a ta pani może wziąć drugą. Ja złapię ją pod pachami.

ROZDZIAŁ 42

Na zdrowie - w pickwickowskim znaczeniu

„Światła rozbłysły”, jak miał to później opisać pewien dziennik, „i wszyscy wrócili do domu, oprócz strażaków.”

Zegary elektryczne wskazywały za pięć szóstą, zegarki siódmą trzydzieści pięć. Doktor Makee, który przeczekał wszystko w poczekalni lekarskiej, wrócił do domu i poszedł do łóżka. Aleksandra Duck, która po ciemku odnalazła sierżanta Proudya i resztę czasu spędziła na rozmowie z nim, weszła do redakcji *Nauk Tajemnych/Przyrodzonego Nadprzyrodzonego* i sprawdziła w książce telefonicznej adres nocnego klubu „Latający Dywan”, a potem włączyła swój komputer i zaczęła pracować nad artykułem o opętaniu. Francisco Fuentes, który przez cały czas awarii prowadził gości z latarką po awaryjnych schodach Consorta, usiadł na stopniu i przetaił czoło, słuchając wiwatów. W ciągu ostatniej godziny i czterdziestu minut temperatura na klatce schodowej opadła do 38 stopni Fahrenheita, ale Francesco pocił się i tak. Na trzynastym piętrze Monstro, komputer, który był prawdziwym kierownikiem Consorta („Wasz Gospodarz”), z elektronicznym westchnieniem odłączył się od awaryjnego zasilania. Pani Baker, która od lat ogarnięta była nałogiem zbierania pachnących świeczek w kształcie świętych figur albo zwierząt, przeżyła awarię bez żadnego kłopotu, a za to z dużą dozą przyjemności, biegając po domu (podczas gdy Bufka wciąż od nowa polowała na jej pięty), zapalając różne okazy swej kolekcji, doglądając ich i myśląc sobie z rozkoszą, jaka była przewidująca. Teraz dość nieoczekiwanie światła włączyły się znowu i małe, posrebrzane nożyczki do knotów, które od dwudziestu lat pokrywał kurz, przeżywały swój wielki dzień. Na ekranie telewizora rozkwitł obraz. Pani Baker postanowiła zostawić jedną świeczkę, świętego Mikołaja, do którego zapalenia nigdy nie potrafiła się zmusić na Gwiazdkę, w razie gdyby światła znowu zgasty.

- Teraz państwo mnie widzą - oznajmił szybko spiker - a przecież wiedzą państwo, że przed ponad godzinę państwo nie widzieli. Wiadomo też państwu, że doświadczyliśmy najgorszej awarii prądu, jaka kiedykolwiek wystąpiła w dużym mieście Stanów Zjednoczonych w środku zimy. Gdziekolwiek nastąpiły zamieszki i plądrowanie, wybuchało też kilka pożarów, a najpoważniejszy z nich na rogu Czterdziestej Czwartej i Dennis. Łączymy się z Renne Falcone i jego ekipą...

Płomienie ryczały na ekranie. Pani Baker, pomyślawszy, że róg Czterdziestej Czwartej i Dennis to nie jest strasznie daleko, zawiązała szlafrok i wyszła przed drzwi frontowe. Rzeczywiście, z tej strony na niebie można było dostrzec czerwone światło. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny...” wymamrotała pani Baker.

Kiedy znów weszła do środka, ucziwie wyglądający czarny mężczyzna stał przed małą restauracyjką z wybitą szybą. Powiedział:

- Phil, jak wiesz, dziś wieczór w rezultacie awarii w mieście wydarzyły się tysiące dziwnych historii, ta jest jednak jedną z najbardziej pokrzepiających opowieści, jakie słyszałem. Przed chwilą karetka zabrała stąd panią Potash. Pani Potash jest wdową po panu Benjaminie Potashu i właścicielką tego sklepu. Kiedy zgasły światła, wraz z córką opuściła swoje mieszkanie położone o sześć przecznic dalej, w nadziei, że uda jej się ochronić tę małą jadłodajnię. Po drodze zostały jednak napadnięte, a pani Potash otrzymała cios w głowę, lecz jej córka odnalazła pielęgniarkę po dyżurze, która pomogła jej przenieść matkę do środka. Kiedy tutaj dotarły, zastały dwóch mężczyzn, z których jeden był starym klientem pani Potash, gotowych bronić jadłodajni, w razie gdyby zjawili się rabusie. Cóż, wkrótce rabusie zjawili się rzeczywiście i klienci starali się ich odstraszyć, mówiąc, że posiadają karabin maszynowy. To jednak nic nie pomogło i rabusie stłukli okno, aby dostać się do środka. Klienci nie mieli naprawdę karabinu maszynowego, mieli za to wąż ogrodowy, którego pani Potash używa do mycia podłogi w kuchni. Skierowali go na rabusiów i przy temperaturze poniżej zera Fahrenheita nie mogło to być bardzo przyjemne. Jest teraz przy mnie pan Murray Potash, który właśnie tu przybył. Czarny mężczyzna o szczerym wyglądzie wyciągnął mikrofon w stronę pulchnego i pryszczatego białego młodzieńca.

- Panie Potash, czy udało się panu porozmawiać z matką, zanim ją zabrano?

- Nie. - Młodzieniec potrząsnął głową. - Dotarłem tutaj akurat, kiedy odjeżdżali.

- Czy jest tutaj pana siostra?

- Szwagierka. Myślę, że pojechała z mamą karetką. Pani Baker zmieniła program.

Na dworze trzasnęły drzwiczki samochodu. Pani Baker nie zwróciła na nie uwagi, ale kilka sekund później rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy wyszła, żeby popatrzeć na pożar, nie zatroszczyła się, by założyć z powrotem łańcuch na drzwi. Zrobiła to teraz, potem uchyliła drzwi, tak, że powstała szczelina, a następnie zamknęła je zdjęta z nich łańcuch. Kiedy otworzyła drzwi po raz drugi, do środka weszła posągowa brunetka.

- Boże - rzekła pani Baker. - Jak ładnie pani wygląda! To prawdziwy lampart, prawda?

Brunetka okręciła się na palcach. W botkach obrzeżonych futrem miała ponad sześć stóp wzrostu.

- Mam dziś wieczór randkę, a ten strój to moja prawdziwa duma. Podoba się pani?

- Jest pani piękna jak balowanie, tak uważam. Ale jeśli ma pani obie wiązki towarzyskie, czy nie powinna pani być w domu i czekać na swojego młodego człowieka?

- Mam wpaść po niego, pani Baker. To tylko kilka ulic stąd i tak czy inaczej jeszcze jest za wcześnie, więc pomyślałam sobie, że zatrzymam się tutaj i wpadnę do pani. Przypomniało się pani coś jeszcze, odkąd panią odwiedziłyśmy?

- Cóż, to cudownie. Czy nie napije się pani filiżanki herbaty? Herbata to jak miód na serce walecznego męża, tak mówi Biblia, ale ja myślę, że lepiej robi kobietom. Teraz w telewizji cały czas mówią o Liptonozomach dla kobiet. Czy pani używa tych wszystkich kremów i pudrów? Pani, pani...

- Valor, pani Baker. Jestem Robin Valor. Proszę, niech się pani nie czuje zakłopotana. Jest pani już w takim wieku, że na pewno poznała pani w życiu mnóstwo ludzi. Nic dziwnego, że nie zawsze może ich pani zapamiętać. Pani Baker potrząsnęła głową.

- Może nie powinnam się przyznawać, ms Valor, ale prawdę mówiąc, nie mogłam ich zapamiętać, zanim jeszcze ich poznałam.

Brunetka uśmiechnęła się.

- Miss Valor. Jestem panną, pani Baker, nie panią. Staroświecka ze mnie dziewczyna, zupełnie tak jak i z pani, a powiadają, że „ms” to rozwódka, która pracuje w biurze.

- Ja też jestem staroświecką dziewczyną - rzekła stara kobieta stawiając tackę z czajnikiem w kwiaty i filiżankami od kompletu na małym stoliku. - Dlatego wolę mówić „miss”. Przecież zawsze mówiliśmy miss, kiedy byłam małą dziewczynką, miss Ledbetter, miss Carpenter. Przecież pamiętam, jak Mama mówiła o nich milion razy. Wybacz mi pani na moment, kiedy pójdę po wodę. Czajnik jest włączony. - Poczłapała do kuchni, a brunetka wyjęła z torebki okulary w drucianej oprawce, a potem wstała i przeszła przez pokój, by przyrzeć się telewizorowi. Był nadal włączony (choć pani Baker ściszyła go zupełnie) i pokazywał stadko poważnych i dość niemądrze wyglądających mężczyzn w żółtych kaskach, którzy przeprowadzali inspekcję jakiegoś urządzenia elektrycznego. Ale brunetka zwracała więcej uwagi na guziki z tyłu telewizora niż na obraz na ekranie. - Proszę bardzo - oznajmiła pani Baker wracając z czajnikiem do herbaty. - Dobrze, że mam kuchenkę gazową. Cały czas była włączona. W domu nawet nie zrobiło się zimno, chociaż nie dmuchał wentylator od grzejnika. Mam tu kominek, ale w dzisiejszych czasach nie ma czym palić, jest tylko papier, a ja potrzebuję papieru do skrzynki Bufki.

- Założę się, że wychowała się pani w małym miasteczku - rzekła brunetka. Nie mam racji?

- Och, tak. - Pani Baker przytaknęła, nalewając parującą wodę z czajnika, który dawno stracił połysk.

- Gdzie to było, pani Baker?

- Miasteczko? Och, tutaj. Dokładnie tutaj, tylko że wtedy to było małe miasteczko. Pan Baker i ja kupiliśmy ten dom dziesięć lat po ślubie. Przedtem mieszkaliśmy w wynajętych.

Wtedy to wydawało się tak długo, dziesięć lat. Prawie sześćdziesiąt lat mieszkam w tym domu, chodząc między tym salonem a kuchnią.

- Rozumiem.

- Wszystko się zmieniło, oczywiście. To było naprawdę przyjemne miasteczko. Chłopcy, którzy się wtedy bawili na ulicach, to byli piekielnicy, gotowi na wszystko, nie byli źli. Nie chcieli nikomu zrobić krzywdy, nie tak naprawdę. Tylko robić psoty i bawić się. A mężczyźni przychodzili i sprzedawali towary z wozów zaprzęgniętych w konie. Nie tylko mleko. Lód i warzywa, i ryby, kiedy nie było za gorąco. Już tego nie robią.

- Nie sądzę, by w ogóle ktoś to jeszcze robił.

- Widziałam ich w telewizji, w jakimś innym kraju. Ale wie pani, że te wszystkie amerykańskie firmy tam też docierają? Te wszystkie, przez które tutaj wszystko się skończyło. Sama to widziałam, a telewizja powiedziała, że ludzie to lubią i chyba mówili prawdę, rzeczywiście ludzie to lubią, bo inaczej nie kupowaliby tych rzeczy. Chciałam krzyknąć do nich, żeby tego nie robili, nie róbcie tego, tylko że oczywiście by mnie nie usłyszeli. Napisałabym do nich list, ale oczywiście nie mogliby go przeczytać. Wiele razy, kiedy oglądam telewizję, czuję się jak jakiś duch.

Wycofała się do kuchni z czajnikiem, pozostawiając kłębek pary zawieszony w powietrzu. Brunetka rozejrzała się z namysłem po pokoju, a potem wzruszyła ramionami. Tym razem nie wstała i nie wyjęła okularów z torebki.

- Oni są tacy sami jak my, tylko powolniejsi - ciągnęła pani Baker, wchodząc z powrotem. - Czasem myślę, że gdyby tylko zwykli ludzie stąd mogli usiąść i porozmawiać ze zwykłymi ludźmi stamtąd, tamci ludzie nigdy by nie pozwolili, żeby rzeczy szły tak, jak teraz idą. Ale niech no się pani tylko przyjrzy, jak my tu postępujemy. Jeśli któryś z tych chłopców z ulicy ukradnie samochód, to idzie do więzienia na całe lata. Ale jeśli jakiś bogaty człowiek, który przez całe życie miał wszystko, czego tylko dusza zapagnie, ukradnie milion dolarów, to najwyżej nie zostanie ponownie wybrany, chyba że ma dużo szczęścia. W komiksach w gazetach są ci wszyscy ludzie, którzy walczą z przestępcami. Gdyby żyli naprawdę, poszliby i znaleźli tego człowieka, i by go zastrzelili. Może my, gdybyśmy żyli naprawdę, zrobilibyśmy to samo.

- Zastanawiałam się właśnie... - rzekła brunetka. - Mieszka tu pani tyle lat, pani Baker. Czy pan Free był pani sąsiadem, kiedy się pani tutaj wprowadziła?

- Niech pomyślę - rzekła pani Baker siadając. - Boże, jak ten czas wycieka, po prostu przecieka między palcami, kiedy chce się go nabrać. - Potarła oko skrajem podomki. - Musi mi pani wybaczyć, pani Valor. Zawsze płaczę, kiedy za dużo myślę o tamtych czasach.

- To mi wcale nie przeszkadza, że pani płacze.

- Była taka pani - rzekła pani Baker wciąż wycierając oczy - i dawała mi ciastka. W każdym razie raz dała. Wie pani, jak to powiedziała biedakom ta francuska królowa: „Niech jedzą ciastka.” Cóż, zrobili to. Może to było tylko raz. To było wielkie słodkie ciastko z wielkim rodzynkiem w środku. Tylko że to wcale nie było tutaj. To była pani Carpenter tam na Oak Street, kiedy byłam małą dziewczynką.

Brunetka spojrzała na zegarek.

- Muszę niedługo iść, pani Baker, ale zanim wyjdę, chciałabym, żeby mi pani opowiedziała wszystko, co tylko pani pamięta o tym czworgu ludzi, którzy mieszkali niegdyś z panem Free. Może to nie będzie dla pani takie stresujące.

- Nie ma w tym nic stresującego, tylko że tak mi się robi smutno, jak pomyślę o tych wszystkich dawnych czasach. Niedługo umrę i wtedy już nie będę mogła być smutna, więc tak sobie myślę, że lepiej tego nie odkładać. Ludzie zawsze się skarżą, kiedy dziecko się

śmieje albo starsza osoba płacze, ale i jedno, i drugie zawsze szybko się uspokaja, i to na bardzo długo. Znów wiele dzieci umiera w młodym wieku, zauważyła pani?

Brunetka niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Cóż, niebawem ludzie zaczną mówić: „Żegnaj, ty Podole łez”, tak jak niegdyś. Nie przypuszczam, by czytała pani kiedyś Dickensa, pani Valor?

- Nie. To jakiś dziennikarz? Jakiś znajomy pana Free? Pani Baker kiwnęła głową.

- Jakie to dziwne, że pani o tym wspomniała! Tak, myślę, że pan Free znał Dickensa na wrywki. My też go czytywaliśmy, póki nie kupiliśmy telewizora i kiedyś powiedziałam do pana Free - pomógł mi zanieść jakieś sprawunki do domu - „Cóż, dziękuję panu, panie Free. Był mi pan wielką pomocą”, a on mi na to odpowiedział: „Musimy podtrzymywać się wzajem na duchu i wspomagać po sąsiedzku. Niech się pani nie boi, w końcu to wszystko nam wyjdzie na zdrowie!” To nie było za bardzo aproposito, bo miałam w torbie ziemniaki i puszki z jedzeniem, i inne takie rzeczy, a nie jakieś trunki, żeby mówić „na zdrowie”. Ale to był Dickens i zaraz go poznałam. Powiedziałam od razu: „To Dickens, panie Free, prawda?” a potem wyjaśniłam mu, że nie mam w torbie żadnych zakupów, ale może wejść na małe sherry, jeśli ma ochotę. Zawsze trzymam w domu butelczynę, bo tak mi to dobrze robi, kiedy jestem zaziębiona. A on powiedział, że użył tego wyrażenia - „wyjść na zdrowie”, o to mu chodziło - w bardziej pickwickowskim znaczeniu.

- Rozumiem, że pan Free jest raczej nie wykształconym człowiekiem.

- Ale cóż to ja mam w głowie... Niech mnie licho, pani Valor, siedzę tu i paplam tylko, i w ogóle nie nalewam pani herbaty.

Podniosła czajniczek w kwiaty i naląła brunetce brązowego płynu do filiżanki.

- Czy powiedziała pani na przykład, że pan Barnes jest wykształcony? Bardziej niż pan Free?

- Cóż, nie mogło być inaczej, prawda? - zapytała pani Baker. - Oni znacznie dłużej chodzili do szkoły niż my. My uczyliśmy się tylko czytać, pisać i rachować. Tak to się wtedy mówiło. Teraz wy, młodzi ludzie, nawet sobie tym nie zawracacie głowy.

- Czy pani się ze mną przekomarza, pani Baker? - zapytała brunetka.

- Ja? - Pani Baker potrząsnęła głową. - Ależ skąd! Jestem niewinna jak bałwanek. Przypuszczam, że pan Barnes jest bardzo wykształcony, na dzisiejszą modłę.

ROZDZIAŁ 43

Przyjaciel Crowley'a

- Marie - zagrzmiął Król. - Chcę, byś poznała naszego bardzo wyjątkowego przyjaciela.

Bardzo wyjątkowy przyjaciel był wysokim i bardzo szczupłym starym człowiekiem z siwymi szpeciniastymi wąsami. Nosił luźny szary garnitur z tweedu, który albo był angielski, albo też stanowił wyjątkowo dobrą imitację. Kiedy czarownica wyciągnęła dłoń, złożył nad nią ukłon, muskając jej palce suchymi wargami.

- Bardzo mi przyjemnie pana poznać - powiedziała. - Nie mogę powitać pana w tym domu - on należy do naszego Króla, nie do mnie - ale dołączam się do powitania w obozowisku Ostatnich Wolnych Ludzi.

- Dziękuję pani - rzekł starszy mężczyzna. - Zaiste, ogromnie pani dziękuję, mademoiselle.

- Kiedy przerwaliśmy prąd, żeby wyciągnąć ciebie i Rosie, i resztę naszych ludzi z Belmonta, pan... hm...

Król strzelił palcami.

- Illingworth, mademoiselle - rzekł stary człowiek. - Cassius Illingworth, do usług.

- Pan Illingworth bardzo nam pomógł. Okazało się, że zna w centrum miasta tunele, którymi biegną kable. Narysował mapę, a Bella i kilku innych chłopaków zeszło na dół i załatwiło sprawę.

- Jestem dziennikarzem, mademoiselle, a dziennikarz przez całe życie zbiera wiele najdziwniejszych wiadomości. Podczas drugiej wojny światowej przerobiono te tunele, żeby mogły służyć za schrony podczas nalotów bombowych. Dzisiaj to się wydaje niedorzeczne, ale w 1942 obawiano się, że niemieckie bombowce mogą dolecieć do tego miasta! Wtedy wcale to się nie wydawało takie niedorzeczne. Wierzyło w to wielu poważnych ludzi. Później, kiedy już wszyscy prócz kilku robotników zatrudnionych w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej zapomnieli o tych tunelach, były wykorzystywane jako miejsce spotkań pewnych, hm, poszukiwaczy.

Czarownica przyglądała mu się z zastanowieniem.

- On o tym też wie, Marie. - W uśmiechu Króla była skrywana przyjemność. - Widzisz, kiedy przyszedł tutaj i poprosił mnie, żebym pomógł ci znaleźć tego Bena Free, pan Illingworth był jedynym z pierwszych *gadje*, na których się natknąłem. Mówi, że nigdy nie spotkał Free, ale zna ludzi, którzy go znają.

Illingworth kiwnął głową. Stał odwrócony tyłem do ognia, wielki mężczyzna ze starczymi plamami na dłoniach splecionych za plecami.

- Mam zaszczyt i przyjemność redagować i wydawać pewne pisma poświęcone okultyzmowi, mademoiselle. Spotkała już pani, jak sądzę, jedną z moich współpracownic, pannę Duck.

- Ach! Czarownica przytaknęła.

- Zatem pan jest jej pracodawcą.

- Tak, mademoiselle. Mam ten zaszczyt.

- Pan Illingworth był niegdyś w Złotym Brzasku - rzekł Król. - Jest w tym zawodzie od dawna.

- Znał pan Aleistera Crowleya?

- Znałem, mademoiselle. Był niezwykle czarującym człowiekiem, mimo tego wszystkiego, co o nim pisano, a do tego znakomitym alpinistą. Wielokrotnie wspinaliśmy się razem w Himalajach i wciąż jeszcze jesteśmy ostatecznie rozłączeni, choć nasze podstawowe energie znalazły się teraz na innych płaszczyznach. Miałem szczęście porozumiewać się z nim kilkakrotnie.

- Mówiono, że był najbardziej niegodziwym człowiekiem na ziemi - rzekła czarownica.

- Był nim, mademoiselle. Prawdę mówiąc wierzę, że to ja miałem zaszczyt dać początek tej opinii, choć zrobiłem to tylko po to, by sprawić mu przyjemność. Mimo całej swej przenikliwości Aleister pod pewnym względem był jak mały chłopiec - uwielbiał szokować. Wiele lat później w Smyrnie - przynajmniej dziś wydaje mi się, że minęły lata, choć może był to tylko rok - siedziałem z nim w kawiarni, kiedy usłyszeliśmy, jak majordomus mówił do pary turystów, z owym lekkim ruchem głowy, którym ci diasporyczni Grecy (jeśli wolno mi użyć takiego określenia) posługują się tak znakomicie, że Aleister był najbardziej niegodziwym człowiekiem, jakiego Bóg pozwalał stąpać po ziemi. Turyści byli rzeczywiście pod mocnym wrażeniem i chyba nigdy nie widziałem, by Aleister był równie szczęśliwy. Ja na pewno już nigdy więcej nie miałem zobaczyć go tak szczęśliwym.

- Marie nie ma pańskiego doświadczenia - rzekł tubalnie Król. - Ale ona ma dar.

Illingworth grzecznie skłonił głowę.

- Pana naród jest znany z niego na całym świecie.

- Większość z nas go udaje. Ja sam tak robię. - Król nagle się uśmiechnął. - Marie czasami też tak robi. Ale u niej czasami to się zdarza naprawdę.

- Fascynujące. - Illingworth przez moment przyglądał się czarownicy. - Ale co takiego zdarza się naprawdę, moja droga? Telekineza? Przewidywanie?

Najpierw potrząsnęła głową, a potem nią pokiwała.

- Wydaje mi się, że w ogóle nie mam zdolności telekinezy. Mam silne przeczucia. Chyba trochę telepatii, choć spotkałam ludzi, którzy są znacznie lepsi ode mnie. Jestem też dosyć dobrym medium szczególnie w kontaktach z duchami, które nie są ludzkiego pochodzenia, elementalami i tak dalej.

- Demony, mademoiselle?

Czarownica zawahała się, a potem ostrożnie przytaknęła.

- Mają inne, lepsze nazwy... Lecz owszem, czasami. Illingworth uśmiechnął się, pokazując rząd zębów tak równych i białych jak filiżanki na półce.

- Wie pani, byłem koło domu Free. Wydawało mi się, że dobiegł mnie zapach siarki.

- A więc pan sam się nim interesuje.

- Tylko w imieniu waszego Króla, moja droga. Rozmawialiśmy wcześniej...

Król pokiwał głową potwierdzająco.

- ...i oczywiście podał mi adres. Tak się składa, że pan Free i ja mieliśmy, hm, pewnych wspólnych przyjaciół i poczułem się osobiście zainteresowany, kiedy usłyszałem, że zaginął i że być może nie żyje. Pomyślałem, że w jego domu może znaleźć się jakaś wskazówka, gdzie on przebywa. - Westchnął. - Niczego nie znalazłem. To znaczy niczego, co wskazywałoby, gdzie też dzisiaj ma swoje pielesze. Strzelbę, która może swego czasu zabijała czerwonoskórych i zegarek z portretem ślicznej damy, która zmarła, jak przypuszczam, ponad sto lat temu. Piękne stare rzeczy porzucone w opuszczonym domu, choć teraz ja wziąłem je pod swoją egidę. My, których zainteresowania wybiegają poza rubieży widzialnego świata, poza znane padoły, jak to niegdyś pięknie ujął lord Dunsany zadumawszy się głęboko u White'a, często nam się zdarza odczuwać niezadowolenie z miejsca, gdzie akurat jesteśmy...

- Jak prawdziwi Cyganie - dodał pomocnie Król.

- Dokładnie tak, sir. Dokładnie tak. Przypuszczam, że ja sam, w ciągu mojego życia (przynaję wyjątkowo długiego) spałem w stu łózkach i to wcale nie licząc hoteli i podobnych czasowych miejsc noclegu. Po kolei obierałem sobie za siedlisko wszystkie kontynenty, wyjąwszy jedynie Australię i Antarktydę. I choć nie przenosiłem się już od jakichś trzydziestu lat i pewnie już jestem trochę zgrzybiały jak na Antarktydę, możliwe, że jeszcze spróbuję Australii. Zaiste, ciepły, słoneczny suchy klimat, który cechuje „Kraję Południowego Wiatru”, byłby zapewne bardziej odpowiedni dla mojego podeszłego wieku niż nasze wściekle zimy. Przebywałem też na wielu wyspach, z których Wielka Brytania była największą, a Capri być może najprzyjemniejszą. Słyszałem, że ostatnio bardzo zniszczyli ją turyści. Cesarz Tyberiusz powiadał mniej więcej to samo.

- Mówił pan o Benjaminie Free - przypomniała czarownica.

- Tak, tak moja droga. Chciałem tylko powiedzieć, że po przeanalizowaniu jego pamiątek jestem skłonny sądzić, że nie był... Nie powiem, że w ogóle nie był wtajemniczony, ale w każdym razie nie w takim znaczeniu, w jakim przyzwyczałem się używać tego słowa. Wątpię, by kiedykolwiek pozwolono mu poznać zakryte tajemnice, a także ceremonie i dzieło Tajemnych White's - znany klub w Londynie.

Mistrzów. Choć mógł z łatwością być jedną z tych osób - liczniejszych, niż bylibyśmy skłonni przypuszczać, jeśli mogę tak się wyrazić - które zdobyły tajemną moc, a nawet tajemną władzę rozwijając swoje zdolności parapsychiczne.

- Jestem przekonana, że ma pan rację - powiedziała czarownica, zadowolona, że ten dziwny stary człowiek wierzy, że Free nie jest nikim ważnym. - Lecz byłabym szczęśliwa, gdybym go odnalazła, i będę wdzięczna za każdą pomoc, jaką może mi pan okazać. Był dla

mnie dobry i chciałabym mu za to odpłacić, jeśli jest jeszcze wśród żywych i ma jakieś kłopoty. Jestem też pewna, że wielu rzeczy mogłabym się od niego nauczyć.

Illingworth mrugnął wyraźnie w stronę Króla.

- A jaka to zapłata czeka mnie za moje usługi, mademoiselle? Nie poproszę pani o tę drobną rączkę, bo obawiam się, że mógłbym natrafić na królewskie obiekcje, choć jestem pewny, że bylibyśmy tak szczęśliwi - posługując się słowami innego Benjamina, cudownego starego Franklina, który niegdyś odwiedzał Hell-Fire Club - jak dwie pluskwy w pierzynie. Nie, nie poproszę o nią nawet w imieniu mojego syna lub wnuka, choć gdybym to zrobił, byliby największymi szczęściarzami na świecie. Ale co pani powie o buziaku, moja droga? Czy myśli pani, że za taką nagrodę zniósłaby pani pocałowanie pomarszczonego starego policzka?

- Znalazł go pan! - wykrzyknęła czarownica.

- Mój drogi przyjacielu. - Illingworth zwrócił się do Króla. - Jest pan najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, wie pan o tym? Ta pańska poddana jest kobietą tak niezrównanej urody, że jest piękna nawet z otwartymi ustami. W każdym razie wy, królowie, i tak macie z tego wszystko, co najlepsze, rozkoszując się przyjemnościami *droit du seigneur*, napawając się pączkiem, a potem zezwalając nam, nieszczęsnym mężom, pozbierać płatki.

- Gdzie on jest? - Czarownica złapała Illingwortha za rękaw.

- No cóż - rzekł. - No cóż, przypuszczam, że powinienem pani powiedzieć. Nie ma pani nic przeciw temu, bym zapalił?

- Bynajmniej, sama chciałabym jednego. Skończyły mi się moje własne.

Otworzył dużą, staroświecką srebrną papierośnicę.

- To Playersy, niestety. Trudno porzucić kosztowne stare zwyczaje, dawne luksusy, które co dzień stają się coraz bardziej luksusowe i bardziej kosztowne. Na 4th Street jest mały sklep tytoniowy, który je trzyma dla mnie. Ostrzegam panią, są mocne jak na amerykańskie gusta.

- Ja palę cygara, Cas - odezwał się Król. - Spróbuję jednego.

Illingworth pochylił się z papierośnicą.

- To zaszczyt, hm, Wasza Wysokość.

- Po prostu Królu. Mów do mnie Królu.

- I ogień. Ogień dla pani, mademoiselle? A teraz dla mnie, jeśli mi państwo wybaczą.

- Czy on jest bezpieczny?

Illingworth wydmuchnął kłęb dymu niby tłący się w środku stary smok.

- Hm? Aha, pan Free. Cóż, owszem, o ile mi wiadomo. Jak najbardziej. Tak naprawdę nie znam ludzi, którzy go przetrzymują, rozumie pani...

- Przetrzymują go?

- Może powinienem wyjaśnić. Kiedy pani Król skontaktował się ze mną, wymieniając nazwiska pewnych szanowanych wspólnych znajomych i powiadomił mnie o zniknięciu pana Free i o jego własnym zainteresowaniu tą sprawą, nie skłamałbym mówiąc, że uderzyło mnie

prawie natychmiast, że już wcześniej słyszałem to nazwisko. Czy wspomniałem pani, moja droga, że mam zaszczyt być redaktorem naczelnym i wydawcą zarówno *Nauk Tajemnych* jak i *Przyrodzonego Nadprzyrodzonego*?

- Wiem o tym - rzekła niecierpliwie czarownica, lecz Illingworth patrzył w róg sufitu, ewentualnie w twarz potomności i wydawało się, że jej nie słyszy.

- To niewielkie periodyki, jeśli taki opis pani odpowiada. Rzeczywiście rozmiary strony wynoszą tylko pięć cali na siedem i pół, a rzadko któreś wydanie przekracza sto stron. Często grupka moich współpracowników i ja sam jesteśmy zachwyceni, gdy reklama, a także w dużej mierze pomoc kilku starych przyjaciół, którzy pozostali nam wierni przez lata, pozwala doprowadzić liczbę stron do około dziewięćdziesięciu. Każdy z tytułów ukazuje się ledwie sześć razy w roku. Nie dla nas błyszczący papier i okładki robione przez słynnych fotografów, nie dla nas zdjęcia lafirynd za pięć dolarów od godziny. Na półkach sklepowych, tuż obok dzisiejszych wielkich magazynów, nasze wydają się małe i dość obskurne.

Lecz wygląd nie stanowi o wszystkim. I choć mówiąc to uwłaczam bóstwu naszych czasów, nie, nawet Jej Wysokość Mamona nie stanowi o wszystkim. Te małe, a jednak cenne stosy niedrogiemu papieru - niedrogiemu tylko w oczach ludzi, którzy nie muszą za niego płacić - to pisma szanowane przez tych, którzy pragną przebić zasłonę iluzji i osiągnąć Najwyższą Prawdę. A czyż to nie oznacza jedynej klasy ludzi, która posiada jakieś znaczenie w archiwach wieczności? Prowadzę te wydawnictwa od ponad trzydziestu lat i w ten sposób ja - nawet ja, który nie posiadam więcej niż tylko podstawowe zdolności, takie, jakie każdy człowiek na ziemi mógłby rozwinąć w sobie przy odrobinie pracy - nawet ja posiadam pewną, jakby to nazwać, pewną markę? A zatem posiadam pewną markę wśród wielu wiodących jasnowidzów naszych czasów.

- Pan... - zaczęła czarownica.

- Czy powiedziałem „wielu”? Mógłbym całkiem uczciwie powiedzieć „wszystkich”. Tak, moja droga?

- Skontaktował się pan z niektórymi z tych ludzi?

- Jak najbardziej. Z niektórymi osobami, które przywykłem nazywać Tajemnymi Mistrzami. Nie, nie z Tajemnymi Mistrzami, prawdziwymi władcami naszego świata, którzy podobno zamieszkują niedostępne szczyty, ale z pewnymi osobistościami, które jak mi wiadomo, są już czymś więcej niż legendą, osobistościami, które zamieszkują (często w najskromniejszych warunkach) nie dalej niż dziesięć mil od miejsca, w którym siedzimy, z tymi, których nazywam Tajemnymi Mistrzami Miasta.

- Kimś takim nazwałabym Bena Free - powiedziała czarownica. - Albo kogoś, kto stoi ponad nimi.

Illingworth podniósł palec do ust.

- Moja droga, upraszam panią, by nie mówiła pani tutaj o Tych, Którzy Są Ponad. Wystarczy powiedzieć, że dziś wieczór, kiedy zabijaki waszego Króla zgodziły się na powrót

włączyć dynamy, podszedł do mnie pewien osobnik. Podał mi określony adres i wręczył coś, co mógłbym bez większej nieściśłości nazwać kluczem. Zadzwoiłem do waszego Króla z moimi pomyślnymi wieściami i dowiedziałem się, że niebawem spodziewa się tu pani, moja droga. A teraz, jeśli zgodzi się pani na przejażdżkę starym samochodem ze starym człowiekiem...?

- Pan też się tam wybiera? Illingworth znów się uśmiechnął.

- Moja droga, to ja mogę powiedzieć: „Sezamie, otwórz się!” bo mam coś, co szeroko otworzy wrota zaklętej jaskini. Nie zrezygnuję z tego za żadne skarby świata.

ROZDZIAŁ 44

Szpinak

Gdyby Stubb zwracał więcej uwagi na otoczenie, a mniej na Candy lub gdyby Candy w ogóle zwracała uwagę na cokolwiek, wchodząc do baru Consorta zobaczyliby Osgooda Barnes, który stał przed głównym wejściem hotelu.

Gdyby go zobaczyli, zapewne by go nie rozpoznali i to z całkowicie zrozumiałych względów. Miał na sobie płaszcz z gęstym futrzanym kołnierzem jak impresario teatralny. Spod niego wystawały nogawki spodni, które najwyraźniej stanowiły część skrojonego po bankiersku szarego prążkowanego garnituru, nogawki, które niestety kończyły się tym rodzajem czarnych lakierków, jakie nosi się do smokingu. Na jego głowie spoczywał czarny kapelusz, który mógł być ozdobą ambasadora przy angielskim dworze. Dłonie, gustownie obleczone w rękawiczki z najcieńszej i najmiększej wieprzowej skóry, zaplótł za plecami. Czekał pomrukiwał pioseneczkę o tęgiej minie. Jeśli było mu zimno, nie dało się tego po nim poznać.

Pięć minut po tym, jak Stubb i Candy weszli do baru, dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Mały i lekko ubrudzony chłopiec podbiegł chodnikiem do Barnes, a przy krawężniku zatrzymało się wielkie, błyszczące szare auto. Mały Ozzie zawołał: „Tato!”, a Robin Valor zapytała: „Osgood Barnes?” jak aktorzy, którzy nie odbyli należytej ilości prób i wchodzili sobie nawzajem w słowo.

Barnes był człowiekiem, któremu wiele dałoby się zarzucić, ale na pewno nie powolność umysłu. Był hojnie obdarzony tym odruchem, który Ameryka ceni ponad wszystkie inne odruchy - tym, który każe człowiekowi chwytać wszystko, co wpada mu w rękę. Prawie jednocześnie złapał małego Ozzie'ego w ramiona i wsiadł do szarego samochodu.

- Tak - rzekł. - Jestem Osgood Barnes. Do usług, bardzo do usług. Mały Ozzie, co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś z Candy?

- Mama powiedziała, że mam mieszkać z tobą - oznajmił stanowczo Mały Ozzie. - Przyjechałem tu wielkim autobusem.

Barnes żałośnie potrząsnął głową.

- Jestem rozwiedziony - rzekł. - Czy mówiłem pani przez telefon?

Szary samochód oddalił się od krawężnika, miażdżąc lód kołami.

- Tak sądzę - mruknęła Robin. - W każdym razie tak sądziłam.

- Cóż, no więc jestem rozwiedziony. A to jest mój syn, Osgood Myles Barnes junior.

Robin spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Cześć, Osgood.

- Mnie też może pani tak nazywać - rzekł Barnes. - Mały Ozzie, gdzie są ci ludzie, którzy mieli się tobą zająć dziś wieczorem?

- Nie wiem. - Chłopcu było dobrze w cieple samochodu. Już prawie spał.

- Uciekłeś im?
- Uciekłem kłownowi.
- Dlaczego?

- Bo chciałem cię znaleźć.

Barnes uśmiechnął się do niego krzywo i potargał mu włosy.

- Nie możemy zabrać go na naszą randkę, prawda? - zauważyła Robin.

Kiedy szary samochód znowu zatrzymał się przed Consortem, wysiadła z niego razem z dwoma Ozziemi. Na swych czterociałowych obcasach była wyższa od nich obu.

Portier uśmiechnął się do nich.

- Chcą państwo się zameldować?

- Nie - odparła Robin. - Wchodzimy tylko na chwilę. Czy mogę tu zostawić samochód?

Portier przytaknął.

- Boy zaparkuje go dla pani.

Jej dłoń ze złożonym banknotem wsunęła się w jego dłoń.

- Zostawcie go po prostu tam, gdzie jest. Wrócimy za pięć minut. Jeśli będziecie musieli go przestawić, kluczyki są w środku.

Wydawało się, że nikt w holu nie zwrócił uwagi na elegancką parę z niechlujnym dzieckiem. Wielka, cicha winda, udekorowana jak wiktoriański burdel najwyższej klasy, zawiozła ich na siódme piętro. Barnes zapukał do pokoju czarownicy, ale jego pukanie pozostało bez odpowiedzi.

- Musieli gdzieś wyjść - powiedział. - Pewnie dlatego zostawili go z kłownem.

Robin nachyliła się nad małym chłopcem, bardziej imponująca, wyperfumowana i muskularna niż jego matka lub którakolwiek z nauczycielek. Jej potęga sprawiła, że kichnął.

- Gdzie mieszka kłown, Ozzie? - zapytała. - Przyszedłeś stamtąd, więc musisz wiedzieć.

Znow kichnął potrząsając głową i wytarł nos w rękaw.

- Więc musi pójść z nami - powiedziała. - Mnie to nie przeszkadza. A panu, Osgoodzie?

- Są miejsca, dokąd nie możemy go zabrać, a jeśli zostaniemy gdzieś za długo, to zmarznie w samochodzie.

- No, to nie zostaniemy za długo. Najpierw zawiozę pana do małego baru, który bardzo, bardzo lubię. Porozmawiamy sobie po drodze, a pana synek na pewno zaśnie na tylnym siedzeniu. Kiedy przyjedziemy na miejsce, może pan go przykryć swoim płaszczem. Wejdziemy do środka i wypiję sobie sherry, może dwie i posłucham muzyki. Zanim w samochodzie zrobi się za zimno, wyjdziemy stamtąd i pojedziemy do mnie do domu. Mam jedną wolną sypialnię i będzie pan mógł wnieść go po schodach, i położyć do łóżka. Niedaleko jest bardzo miła restauracja, która przyśle nam na górę jedzenie i wino.

Bez jednego słowa i o wiele za szybko, by mogła zaprotestować lub choćby się cofnąć, Barnes objął ją i pocałował. Musiał stanąć na palcach, żeby sięgnąć jej warg, ale przechylił ją

do tyłu, podtrzymując jej tułów prawie poziomo i przygniatając swym torsem jej duże, twarde piersi, a jego usta i język ożywiony namiętnością znalazły się u jej ust.

Początkowo była zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek zrobić, a potem przez moment Mały Ozzie sądził, że zatopi długie, ostre lakierowane na karmazynowo paznokcie kciuków w oczach jego ojca. Następnie wydała jęk, zaskakująco głęboki i pełen niepokoju i złapała go w ramiona, przyciągając ku sobie tak, że wydawało się, że muszą razem upaść na podłogę korytarza ze zgłodniałymi ustami i biodrami ocierającymi się o siebie.

I może tak by się też stało, gdyby w pewnej odległości nie zatrzymała się winda i nie wyszła z niej para starszych ludzi i boy. W ostatniej chwili wyprostowali się miast upaść. Szminka Robin była rozmazana, w dużej części pod wąsami Barnes'a, a jej kapelusik z pawim piórem leżał na dywanie pod ścianą. Para starszych ludzi była zbyt dobrze wychowana, żeby cokolwiek dostrzec. Przeszli obok, gawędząc o czymś, czego żadne z nich nie byłoby w stanie przypomnieć sobie pięć minut później. Ich boy jednak przesłał Barnesowi gratulacyjny uśmiešek i puścił do niego oko.

Kiedy już starsze małżeństwo znikło razem z bagażami w pokoju tuż za pokojem czarownicy, Robin zapytała bez tchu:

- Czy nie powinieneś przynajmniej mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?
- Nie wiem - odparł Barnes.
- Cóż, to było... inaczej.

- Dla mnie też. - Trzymając się pod ramię poszli powoli z powrotem w stronę windy. - Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to dlatego, że powiedziałaś to, co powiedziałaś. Że pójdziemy do twojego mieszkania i zjemy kolację. Całe życie czekałem, aż mi to powiesz, a teraz, kiedy już to powiedziałaś, mam jakieś dziwne przeczucie, że coś mi to odbierze, że to się nigdy nie stanie, nigdy tam nie pójdziemy i nie zjemy tej kolacji. - Nacisnął guzik.

- Przerażasz mnie trochę, Osgood. Wiesz o tym?

- Ozzie. Tak czy owak, chciałem zdobyć kawałek raju, coś w rodzaju próbki, którą mógłbym nosić z sobą przez resztę życia, na pamiątkę chwili, kiedy jeszcze to coś się nie wydarzyło i nie zabrało reszty.

Drzwi windy ustąpiły.

- Przerażasz mnie trochę, w miły sposób. Czuję się... nie wiem, jakbym nagle miała taką oswojoną panterę. Ale, Ozzie, będzie dokładnie tak, jak powiedziałam. Będzie po prostu wspaniale. Możemy w ogóle nie zamawiać jedzenia.

Uśmiechnął się do niej, kiedy wyszli do holu. Obok recepcji czekał mężczyzna w znoszonym garniturze w kratkę. Widząc jego garnitur, Barnes podszedł do niego i poklepał go po ramieniu. Mężczyzna odwrócił się. Był wysoki i chudy i przynajmniej o pół głowy wyższy od niego.

- Cześć, Reeder - rzekł Barnes. - Podnieś ręce, nie chciałbym przyłożyć ci tak zaskoczenia.

- Mój koleżka! Cholera, wszędzie cię szukałem. Chcę ci oddać twoje rzeczy. - Poszukał czegoś w kieszeniach garnituru.

- Podnieś ręce - rzekł znowu Barnes.

Robin Valor i Mały Ozzie przenosili wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Portfel - wymamrotał Reeder. - Klucz do skrytki. Wyciągnął je do Barnesesa, a on uderzył jego dłoń, zrzucając przedmioty na podłogę. Potem uderzył Reedera szybkim forehandem i backhandem, dwoma ciosami, które nastąpiły po sobie tak szybko, że zabrzmiały jak jeden.

- Nie rób tego - rzekł Reeder.

Podniósł pięść, a Barnes od dołu uderzył go w szczękę tak, że aż zatoczył się na kontuar recepcji. Bagażowy, Joe, który właśnie podnosił bagaże jakiegoś gościa, puścił je i rzucił się pomiędzy nich. Barnes uderzył go lewą ręką ponad paskiem, a jego pięść weszła w tani czerwony mundur aż po przegub. Joe zgiął się w pół i przewrócił, jakby jego nogi zmieniły się w szmaty. Reeder lewą ręką uderzył Barnesesa w policzek, a prawą ponad okiem, a jego pięści latały jak tłoki. Barnes schylił się i zaczął pracować nad nim, aż rozchodziły się twarde, szybkie mlaskające dźwięki, jakie wydaje rzeźnik, kiedy bije bitki. Reeder cofnął się, potykając, ale kontuar nie pozwalał mu upaść. Przez moment pięści Barnesesa padały na niego jak deszcz. Wydawało się, że jego twarz topniała pod ciosami, miękła i przybierając barwę coraz głębszej purpury, kiedy rozpływała mu się skóra. Potem osunął się w dół, a dwaj krzepcy mężczyźni w ciemnych garniturach złapali Barnesesa od tyłu.

- Ochrona hotelu - powiedział jeden z nich.

Robin Valor uderzyła go w kark krawędzią dłoni. Odwrócił się powoli, jakby na wpół zaskoczony, a ona kopnęła go w krocze. Barnes przekreślił się w stronę drugiego mężczyzny, ładując mu cios w brzuch i samemu odbierając uderzenie w ucho, które zważyło go na dywan.

Zerwał się na nogi jak sprężysta piłeczka i rzucił się na ochroniarza jak piła elektryczna. Ochroniarz zrobił błąd, sięgając do kieszeni na biodrach po swoją krótką pałkę. Nim ją wy dostał, głowa odskoczyła mu do tyłu i upadł ciężko, jak pada drzewo.

Drugi ochroniarz nadal zgiął się w pół z bólu. Z wzniesionymi pięściami i na wpół przymkniętym dobrym okiem Barnes popatrzył na gości i ich żony, urzędników w recepcji i kilku przyglądających się boyów. Francisco, który był jednym z owych boyów, dotknął czapki uprzejmie imitując salut.

- *Buenas noches, Senor* - rzekł Francisco.

- Dobranoc.

Barnes pozwolił opaść ręką. Palce rękawiczek ze świńskiej skóry lśniły od krwi.

Robin ujęła go za ramię.

- Chodź. Musimy się stąd zbierać.

Pokiwał głową z ociąganiem, patrząc na powalonego ochroniarza.

- Niech mnie kule biją - rzekł. Miał mocne uderzenie.

- Zaraz tu będzie policja.

- Tak jest, panie kapitanie. A gdzie się podział Groszek?

- Ja przecież jestem Olive, nie pamiętasz? Trzymam Groszka za rękę. Chodź wreszcie. Na dworze znów padał śnieg. Miękkie płatki zagłębiały się w futro Barnes'a.

- Zgubiłem moją czapkę.

Mały Ozzie podniósł do góry kapelusz.

- Mam ją.

Szary samochód czekał przy krawężniku kilka kroków od jasnych świateł wejścia. Kiedy Barnes włożył skradziony kapelusz na głowę, usłyszeli dalekie syreny.

- Pospiesz się - rzuciła Robin.

- Całą noc tak jeżdżą z powodu tej awarii - rzekł Barnes. - Wątpię, czy przysłałaby Brygadę Specjalną do zwykłej bijatyki. Mały Ozzie, kiedy brałeś mój kapelusz, dziękuję ci bardzo, czy przypadkiem nie wzięłeś też portfela, który on próbował mi oddać? Albo klucza?

Mały chłopiec potrząsnął głową.

- Zatrzymaj się przed drzwiami - powiedział Barnes do Robin. - Zaraz wracam.

Nim zdołała go zatrzymać, biegł już do wejścia. Przeskoczył ponad stertą bagażu i wpadł do środka przez wewnętrzne drzwi, podczas gdy Francisco wraz z miłośnikiem Agathy Christie dalej obkładali Joe'ego ręcznikami zamoczonymi w wodzie. Ochroniarza, którego kopnęła Robin, nie było w zasięgu wzroku, ale drugi ochroniarz był znów na nogach i trzymał Reedera za ramię.

- Upuściłem brązowy portfel i klucz - powiedział do niego Barnes. - Chcę je mieć z powrotem. Zaraz.

Ochroniarz tylko wpatrywał się w niego. Barnes zaczął rozglądać się po dywanie, kopiąc nierówności, które mogły skrywać klucz od skrytki. Znalazł krótką pałkę ochroniarza, podrzucił ją w powietrze, a potem wrzucił do własnej kieszeni. Jakaś siwa pani znalazła jego portfel i wręczyła mu go ze spojrzeniem, z którego przebijał kult bohatera.

- Poszukujemy pana Jiiima Stubba! - zawołał Francisco.

Syreny ucichły przed drzwiami i do środka weszło dwóch policjantów. Barnes wszedł do baru na parterze, gdzie Candy i Stubb zamawiali ostatniego drinka. Kusilo go, by zatrzymać się na jednego, ale wystarczyłaby chwila, by ktoś powiedział policjantom, co się stało, i wskazał na bar.

Na dworze wciąż czekał szary samochód, który tylnym zderzakiem niemal dotykał przedniego zderzaka wozu patrolowego. Barnes wszedł do środka i zobaczył, że Mały Ozzie już śpi, wyciągnięty na siedzeniu z tyłu.

- Myślałam, że cię dostali - rzekła Robin. - Bóg jeden wie, co bym zrobiła.

Włączyła się do ruchu na ulicy. Barnes wzruszył ramionami.

- Nic byś nie mogła zrobić.

- Mam przyjaciół w tym mieście. Mogłabym zadzwonić do kilku z nich.

- Jasne. - Barnes poklepał się po kieszeni. - Nie dawaj mi papierosa. Próbuję rzucić.

- To dobrze. Ale właśnie ich szukasz.

- To nic, wiem, że ich nie mam.

Zaśmiała się. Miała dobry, gardłowy śmiech dużej dziewczyny, pomyślał Barnes. To sprawiło, że miało się ochotę sprawić, żeby znów się zaśmiała.

- Może zapalę cygaro - powiedział. Teraz zabrzmiało to raczej jak chichot.

- Zajrzyj do mojej torebki.

Torebka leżała na siedzeniu pomiędzy nimi. Zajrzał do środka.

- Po co nosisz w torebce cygara? I to dobre cygara. Każde z nich zamknięte było w aluminiowej tubce. Barnes otworzył jedną z nich, powąchał cygaro i wcisnął zapalniczkę w desce rozdzielczej.

- Zapal jedno dla mnie, dobrze?

- Palisz cygara?

- A skąd twoim zdaniem wzięłam tę ciemną karnację? Jestem na wpół Hiszpanką, *mi amigo*. My, hiszpańskie damy, wszystkie palimy cygara. To coś w rodzaju tradycji rodzinnej.

Barnes pociągnął cygaro, póki nie zaczęło się równo palić, a potem jej podał.

- Powiedziałaś, że pracujesz w Biurze do Spraw Indian. Myślałem, że może jesteś częściowo Indianką.

- Nie, tylko raz miałam romans z pewnym Indianinem. Wódz Połykacz Dymu - przewodził Straży Pożarnej.

Tym razem zaśmiał się Barnes.

- Widzę, że masz tu też mały pistolecik - powiedział.

ROZDZIAŁ 45

Detektywi

- Telefon do Miss Candy Garth!
- Do mnie? - Candy spojrzała na Stubba.
- Tak twierdzi ten facet.
- Czy mam odebrać?

Spróbował sprawić wrażenie, że wcale go to nie obchodzi i całkiem mu się to udało, ponieważ Candy nie była w stanie przyjrzeć mu się zbyt dobrze.

- To zależy od ciebie.
- Pewnie będzie lepiej, jak odbiorę. - Pomachała do boya, kiedy przechodził obok. - Tutaj.

Ja jestem Candy Garth.

- Telefon wewnętrzny numer trzy, proszę pani. - Boy wskazał ręką.
- Dziękuję bardzo - rzekła Candy.

Stubb odprowadził ją do kabiny, a ona zapytała:

- Co mam powiedzieć? - szepcząc tak, jakby ten ktoś już mógł ją usłyszeć.
- Candy Garth - odpowiedział.

- Candy Garth - powtórzyła i podniosła słuchawkę. - Candy Garth przy telefonie.

Stubb słuchał udając, że nie słucha.

- Tak?... Och, cześć! Cześć, John... Jestem tutaj w holu... Czy mogłabym?! Umieram z głodu! Cokolwiek.

Boy, który wezwał Candy, znów się zbliżał.

- Jim Stubb! Pan Jim Stubb! Stubb zatrzymał go.
- Ja też?

- To jest od kogoś innego, proszę pana. Dał mi list do pana.

Stubb wziął list.

- Bardzo to tajemnicze, co?

- Chyba tak, proszę pana. Nie mieliśmy tu jeszcze morderstwa, ale jak będziemy mieli, wezwiemy Scotland Yard.

- Ale tak naprawdę zagadkę rozwikła pewien ekscentryczny lord, który prawie w ogóle nie pracował od drugiej wojny światowej - skończył za niego Stubb.

Boy uśmiechnął się.

- Może otrucie w „Malowniczej”?

- To się zdarza bez przerwy, tylko że wtedy umierają gdzie indziej. Z poczuciem, że szczęście niebawem się odmieni, Stubb dał boyowi piątkę. - Ta gruba dziewczyna nie dała ci napiwku, co?

- Kobiety rzadko dają - rzekł boy. - Dziękuję panu. Kiedy odwrócił się, Candy ujęła Stubba za ramię.

- Jim - beknęła cicho. - Jim, musisz mi pomóc. To był ten facet, którego poznałam po południu. Nazywa się Sweet.

Stubb zachęcająco pokiwał głową.

- On jechał na lotnisko, rozumiesz? Do domu po jakimś kongresie. Zabrałam się z nim, ale okazało się, że on wcale nie wyjechał. Pewnie mają tam więcej śniegu, niż my tu mamy i odwołano niektóre loty. Potem zgasły światła, tak samo jak tutaj i wszystko im się jeszcze gorzej pochrzało. No, więc powiedział do diabła z tym, jak każdy by powiedział. Mówił, że wtedy nie było już żadnych taksówek, ale wrócił z jakimś znajomym, który tu mieszka i ma własny samochód, tak powiedział.

- Czy to ma dokąś doprowadzić? - zapytał Stubb. - Jeśli nie, to chciałbym usiąść.

- Już doprowadziło, chodzi mi o to, że on tu jest. Powiedziałam mu, że tu mieszkam, więc ten facet go tu wysadził, a on wziął sobie pokój i szuka mnie od tamtej pory, mając nadzieję, że ja też nie poleciałam. Za pięć minut będzie na dole. Jim, jak ja mam wytłumaczyć ten strój pielęgniarki? - Głos grubej dziewczyny wspiął się do jęku pełnego niepokoju. - Nie powiedziałam mu, że jestem pielęgniarką!

- Możesz stąd spłynąć, zanim on się zjawi. Chodź, otworzę drzwi pokoju Madame S.

- Jim, to jest kolacja i przynajmniej sto dolców, a ja umieram z głodu i jestem bez grosza. No, więc co mam mu powiedzieć? Mam powiedzieć, że teraz jestem pielęgniarką? Jesteś moim przyjacielem, Jim. Co ja mam mu powiedzieć?

Stubb potarł podbródek namyślając się. W holu było za ciepło. Było mu za gorąco i czuł się zmęczony. Nagle rozszerzyły mu się oczy i dał Candy kuksańca.

- Mój Boże, popatrz! Popatrz! Popatrz!

- To on, prawda?

- Masz rację, to on, ale skąd on, do cholery, wytrzasnął te ubrania?

- Ukradł je, założę się. Tylko skąd wziął tę cizję? Przyglądali się, dopóki Barnes, Robin i Ozzie nie znikli w windzie.

- Masz rację - rzekł Stubb. - Musiał je zdobyć w czasie awarii. Hej, to mi podsunęło pewien pomysł, co zrobić z twoim fartuchem pielęgniarki.

- Ukradłam go?

- Nie. Poszłaś na bal przebierańców. Ten facet myślał, że spieszysz się na samolot, tak? A właściwie po co w ogóle jechałaś na lotnisko?

- Wszystko jedno, jechałam i już. Co to za pomysł?

- Nie mogłaś polecieć tym samolotem, więc wróciłaś tutaj, tyle że przedtem zadzwoniłaś do przyjaciółki i ona powiedziała ci o tym balu. Nie miałaś czasu, żeby wynająć jakieś prawdziwe przebranie, ale ta przyjaciółka jest pielęgniarką i ci to pożyczyła. Byłaś zmęczona, a bal nie był aż taki fajny, więc wypijałaś kilka drinków i wróciłaś tutaj. To również wyjaśni, dlaczego jesteś trochę na gazie, a jesteś.

- Zgoda, to świetne.

- Co znaczy: „A teraz bądź miły i spływaj.”
- Jim, to nie będzie dobrze wyglądało, jeśli on zobaczy, że z tobą rozmawiam.
- Nie martw się, nie jestem dość dobrze ubrany jak na alfonsa - rzekł Stubb - i nie mam odpowiedniego koloru skóry.

Już się jednak odwracał, gubiąc się w tłumie w holu nawet sam przed sobą. List w jego palcach był cienki i suchy. Zastanawiał się, dlaczego nie włożył go do kieszeni płaszcza. W holu Consorta nie było żadnych posągów, żadnych palm czy paprotek, a z dawnego przyzwyczajenia nie chciał otwierać listu gdzieś, gdzie ktoś mógł przeczytać mu go przez ramię. Wolał też nie zostawać w pobliżu, żeby nie widzieć mężczyzny, który przyjdzie po Candy. Z falą innych ludzi wszedł do windy.

Wysiadł na siódmym piętrze. Kiedy zapukał do drzwi pokoju czarownicy, nikt mu nie odpowiedział. Stał przez moment i nasłuchiwał, obawiając się, że Barnes mógł tu przyprowadzić swoją wysoką brunetkę. Zza cienkich desek nie dobiegał jednak żaden szmer i wciąż nie było odpowiedzi, kiedy zapukał ponownie, stając na wprost judasza.

W pokoju nie było nikogo, odkąd przeszukał go rankiem z czarownicą. Wielkie łóżko, na którym spała, było nadal gładko zasłane pikowaną narzutą. Zasłony, które wówczas otworzył, okazały się zaciągnięte - to było coś nowego. Na miejscu drugiego łóżka stał szezlong.

Włączył wszystkie światła i jeszcze raz sprawdził spód stołu, telewizor i wszystkie lampy, a potem zdjął trenz i marynarkę i rzucił je na łóżko. W pokoju było ciepło. Kiedy wszedł, upuścił kopertę na łóżko. Teraz podniósł ją, spojrzał na nią przez swoje grube okulary, obmacał ją palcami i przesunął do tyłu kapelusz.

Powinienem być zadać boyowi kilka pytań, pomyślał. Tak to się kończy, kiedy przestaje się z nią „U Irlandczyka” - sam jestem lekko wstawiony. Miał z czego się śmiać. Męskie pismo, tylko jedna kartka.

Rozdarł kopertę.

Jim, potrzebuję cię w pewnej sprawie. Niełatwa robota, ale świat należy do odważnych. 200 doi, dziennie + wydatki, może potrwać długo, jeśli dobry kontakt z klientem. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Jestem w 877.

Cliff Stubb uśmiechnął się do siebie, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po chwili usłyszał, jak telefon dzwoni w pokoju piętro wyżej.

- Pokój osiemset siedemdziesiąt siedem.
- Tu Stubb, Cliff.
- Jim! To wspaniale. Bałem się, że nie uda mi się ciebie złapać.
- Skąd wiedziałeś, że jestem w hotelu?
- Nie wiedziałem tak na pewno, ale wszędzie o ciebie pytałem i wpadłem na Billa Kramera. Pamiętasz Billa? On jest tu teraz szefem ochrony.
- Wysoki facet, haczykowaty nos.

- Cholera, Jim, dla ciebie każdy jest wysoki. Mojego wzrostu, waży może ze dwieście funtów.

- No, więc wpadłeś na niego. Żona cię z domu wyrzuciła czy co?

- Myślisz, że mieszkałbym tutaj? Słuchaj no, Jim, robisz się cholernie niezależny. Ostatnim razem, gdy do mnie dzwoniłeś, aż błagałeś o pracę.

- Już nie błagam. Mam coś.

- Dzwonisz tylko przez wzgląd na dawne czasy?

- Właśnie.

- Jim, ty nie masz licencji.

- Nie powiedziałem, że mam klienta. To tylko taka mała robota dla starego przyjaciela. Już ci mówiłem. Ale może dokończysz swoją historię? Wpadłeś na Billa Kramera.

- Zapytałem, czy widział Jima, a on powiedział, że tak, dziś rano w kawiarni z jeszcze jednym facetem i z dwoma dziewczuchami.

- Powiedział: „dziewuchami”?

- Zgoda, z Billa nie jest zbyt bystry facet. Gdyby był, pracowałby dla mnie. Tak, powiedział „dziewuchami”. Ty i dwie kobiety, i jakiś facet w kawiarni. Potem powiedział, że sprawdził, czy byłeś zameldowany, i nie byłeś, ale pomyślał sobie, że masz kimasz u jednej z tych kobiet.

- On teraz robi za przyzwoitkę czy co?

- Jim, teraz już nie ma przyzwoitek. Gównu ich to obchodzi, chyba że drzesz prześcieradła albo budzisz małżeństwo w sąsiednim pokoju. Gdzie jesteś?

- W hotelu.

- Cholera, wiem, że jesteś w tym przeklętym hotelu, przed chwilą mi to powiedziałeś. Jaki masz numer pokoju?

- To poufna informacja, Cliff. Wiesz, jak to jest.

- Boże, ale się robisz zadziorny. Dziś po południu błagałeś mnie o robotę.

- Tak, a ty nie chciałeś mi jej dać.

Stubb odłożył słuchawkę. Zostawił cienkonogie krzesło przy stoliku z telefonem, ściągnął buty, wyciągnął się na większym, wygodniejszym fotelu i oparł stopy na łóżku. Wygładził liścik, przeczytał go jeszcze raz i wepchnął do kieszeni koszuli. Uśmiech przebiegł mu po twarzy barwy wosku. Przeciągnął się, poszedł do łazienki, załatwił się, umył ręce, a potem znów usiadł przy telefonie i wykręcił numer.

- Recepcja? Nazywam się Jim Stubb. Czy ktoś mnie wzywa?

- Tak, proszę pana. - Recepcjonista urwał. - Mieliśmy tu właśnie małe zamieszanie, ale wydawało mi się, że tak.

- Co to za wiadomość?

- Nie wiem, proszę pana. Może pan się dowiedzieć dzwoniąc do szefa zmiany boyów, proszę pana. Dziewiętnaście.

- Od pana też mogę się dowiedzieć... - zaczął Stubb, ale pracownik już się wyłączył.

Stubb ze złością cisnął słuchawkę, a potem podniósł ją znowu, wybrał numer dziewiętnaście i przedstawił się.

- Ma pan zadzwonić do pokoju osiemset siedemdziesiąt siedem, proszę pana.

- Tak myślałem. Nie wiem, dlaczego tracę czas z tym Kaczorem Donaldem.

Odłożył słuchawkę drugi raz i uśmiechnął się, a potem wybrał numer.

- Halo? Osiemset siedemdziesiąt siedem.

- To znowu ja, Cliff. Kazałeś temu chłopakowi zdzierać za mną gardło, a ja mam dosyć dawania mu ciągle napiwków.

- Jim, nikt ci nie kazał odkładać słuchawki. Jak byś jej nie odłożył, nie musiałbyś mu niczego dawać.

- Chyba żebym chciał się sobie przyjrzeć w lustrze, kiedy się golę. Chcesz powiedzieć, że nie jestem dość wysoki, żeby bez niczyjej pomocy spojrzeć w lustro? No, dalej, powiedz to. To nieprawda, ale powiedz to.

- Jim, chcesz włożyć jakieś słowa w moje usta. Nigdy nie powiedziałem ci nic podobnego.

- Tylko co, cholera.

- Zgoda, może żartowałem sobie parę razy. Ale Jim, to były tylko żarty. Teraz cię potrzebuję. Co ja, do cholery napisałem w tym liście? Sto pięćdziesiąt dziennie? Dam ci dwieście.

- Napisałeś dwie stówy. Niech będą trzy.

- Teraz to ty sobie żartujesz. Dwieście pięćdziesiąt.

- Do widzenia, Cliff.

- Jim, nie odkładaj słuchawki. Trzysta. Niech będzie.

- I wydatki.

- I wydatki, zgoda.

- Stoi. Co to za robota?

- Przyjdź do mnie do pokoju, Jim. Cholera, wiesz, że nie mogę rozmawiać o tym przez telefon.

- Masz bardzo, bardzo dużego klienta, który ci powiedział, żebyś czuł się, jakbyś był właścicielem mennicy. Wszyscy twoi ludzie już nad tym pracują. Kto to jest, Cliff? CIA? Arabia Saudyjska?

- Teraz pracujesz dla mnie, więc daruj to sobie. Za trzy stówy dziennie możesz ruszyć dupę i przyjść do tego pokoju.

- Zacznę dopiero od jutra, zgoda? Ta robota to coś dla twardzieli?

- Zaczynasz od zaraz, Jim. Płacę ci trzysta za resztę wieczoru. To nic specjalnego, przysięgam na Boga. To dziecinna kołysanka, więc rusz dupę i chodź tu.

- Jak pan sobie życzy, szefie.

- No, tak trzymać.

Stubb odwiesił słuchawkę, kiwnął głową sam do siebie: „Jasne, tak trzymać” i westchnął. Odnalazł swoje buty, wsadził w nie stopy, włożył marynarkę i trencz. Podnosząc lekko materac wsunął pod niego rękę i wyciągnął rewolwer Proudny’ego. Potem wszedł do łazienki i stanął na sedesie, żeby zabrać naboje z wierzchu szafki na kosmetyki.

ROZDZIAŁ 46

Troszeczkę wstawiona

- Mój płaszcz - wymamrotała Candy. - Mój Boże, nie mam płaszcza.

Kobieta koło niej odwróciła się.

- Słucham?

- Powiedziała, że nie mam płaszcza - wyjaśniła jej Candy. - Tak tylko mówiłam do siebie. - Po chwili dodała: - Byłam w barze. Musiałam go tam zostawić.

Kobieta kiwnęła głową. Nie było jasne, czy zgadzała się w ten sposób, że to było najlepsze wytłumaczenie, czy też przyznawała, że Candy musiała być w barze. Być może jedno i drugie. Candy odwróciła się, próbując ze wszystkich sił iść prosto i nieźle jej się to udawało. W wąskim korytarzu, który tworzył przejście pomiędzy barem a holem, znajdował się długi wieszak z płaszczami, a ponad nim półka na kapelusze. Znużona ruda kobieta stała za niewielkim kontuarem, który zamykał wejście.

Candy uśmiechnęła się do niej z całym urokiem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Czy mogę dostać mój płaszcz? Mój narzeczony ma numerki.

Znużona kobieta potrząsnęła głową.

- Musi je pani wziąć od niego. Candy zagryzła wargi.

- Proszę. Chcę iść do domu.

- Po prostu wyjść, tak? Candy pokiwała głową.

- Który to jest?

Candy zerknęła w głąb wąskiego korytarza, próbując sobie wyobrazić, jaki rodzaj płaszcza mogła nosić pielęgniarzka.

- Nie widzę go - rzekła. - Jest ciemnoniebieski i wie pani, duży.

Znużona kobieta pokiwała głową.

- Chyba go sobie przypominam. Trochę tu pani zabawiła, co?

- Chyba tak. Była ta awaria i w ogóle. On jest naprawdę bardzo miły, chyba że za dużo wypije.

- A pani nikt nie pyta o zdanie. Kochanie, wiem, jak to jest. Niech no pani chwilkę poczeka.

Na końcu kontuaru był talerzyk na napiwki. Kiedy znużona kobieta odwróciła się plecami, Candy wzięła trzy dolary.

- Proszę. To ten, prawda? Ładnie obszyty kaptur. Candy przytaknęła.

- Wielkie dzięki.

Płaszcz wyglądał na szeroki i ciepły, jedwabista mieszanka wełny i jakiegoś bardziej miękkiego włókna.

- Ma pani na autobus?

Obawiała się, że znużona kobieta sięgnie po pieniądze z talerzyka z napiwkami i potrząśnie głową.

- Nie ma problemu. Wrócę do domu taksówką.

- Tak, to byłoby lepiej. W autobusie jakiś łajdak mógłby panią wykorzystać.

- Ja się dobrze czuję - odparła Candy. - Tylko nie powinnam była pić tego ostatniego.

- Mówi pani całkiem nieźle, ale ciągle mi się wydaje, że zaraz się pani przewróci. Może powinna pani wyjść do holu i usiąść sobie na chwilę.

- Dobrze, tak zrobię.

Kiedy jednak wyszła z szatni, ogarnęło ją przekonanie, że wstając na pewno zapomni skradzionego płaszcz, więc nim opadła na fotel, który szczęśliwie był pusty, z wysiłkiem wsunęła ramiona do rękawów.

Wydawało jej się, że pamięta twarz Sweeta, ale nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Po minucie czy dwóch uznała, że może zasłaniać go jeden z filarów pokrytych imitacją marmuru. Spróbowała wstać. Ale kiedy już powinna była stać na nogach, odkryła, że nadal siedzi w fotelu. Uznała, że coś jest nie tak. Odpocznie chwilę i spróbuje jeszcze raz.

Otworzyły się drzwi windy i wyszła z niej wysoka brunetka, a za nią Barnes i Mały Ozzie. Barnes podszedł do recepcji i jednym uderzeniem przewrócił wysokiego mężczyznę w garniturze w kratkę. No tak, pomyślała Candy, mam delirium tremens. Dotknęła rękami twarzy, żeby zobaczyć, czy nie poczuje jakichś pełzających stworzeń. Przypomniało jej to, że jej makijaż z pewnością już zniknął. Tłum ludzi otoczył Ozzie'ego i wysokiego mężczyznę. Ponad gwarem słyszała donośne odgłosy ciosów, ale alkohol wzniosł pomiędzy nią a światem przezroczystą zasłonę niemal nie do przebycia. Było jej ciepło, czuła się rozleniwiona i szczęśliwa.

Tłum zniknął, a razem z nim Ozzie, chociaż nie zauważyła, jak odchodził. Z prawej kieszeni niebieskiego płaszczu wyjęła puderniczkę i szminkę, jakby od zawsze wiedziała, że tam będą.

Upudrowała i uróżowała twarz, i kładła właśnie pierwsze muśnięcie szminki, kiedy Sweet usiadł koło niej.

- Cóż, witaj - rzekła. - Jak miło cię znów zobaczyć. Uznała, że zabrzmiało to jak Mae West w bardzo, bardzo starym filmie puszczanym bardzo, bardzo późno w nocy, i zachichotała.

Nie zrozumiał.

- Wiem, że to trochę trwało. Chciałem się odświeżyć, przebrać.

- Ja też, ale mi się nie udało. John, czy ja nie robię tego krzywo?

Spojrzał na nią krytycznie.

- Może być.

- Równie dobrze od razu mogę ci to powiedzieć, bo sam bardzo szybko zgadniesz, jeśli jeszcze nie zgadłeś. Jestem trochę wstawiona. - Obawiając się, że jej nie zrozumiał, dodała: - Trochę na gazie.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, pomyślałem sobie, że może wyprzedziłaś mnie o jeden czy dwa kieliszki. - Uśmiechnął się.

- Jesteś słodki.

Pocałowała go, a potem, kiedy zdała sobie sprawę, co właśnie powiedziała, zachichotała jeszcze raz.

- Zechcesz mi dać szansę, żebym mógł cię dogonić przy kolacji?

- Czy zechcę! Nie pamiętam, żebym coś jadła, odkąd dałeś mi cukierka w taksówce. Po prostu całkowicie, ogromnie, fantastycznie umieram z głodu. Mogłabym zjeść całego koziołka faszerowanego wojskowymi guzikami.

- Nie powinnaś pić na pusty żołądek.

- Właśnie sama się o tym przekonałam. Czy nie chcesz posłuchać, jakie dziś miałam przygody?

Ciągle nie była pewna, czy uda jej się wstać.

- Jasne. Chcę ci też powiedzieć moje, ale zrobmy to przy kolacji. Kazałem podstawić samochód.

Wstał, a ona wyciągnęła do niego rękę.

- Nie sądziłam - urmp! - że masz samochód. Beknięcie zaskoczyło ją w połowie zdania.

- Wynająłem go. Mają biuro tu, w hotelu.

Gdy jego ręce pociągnęły ją do góry i pomogły jej złapać równowagę, podniosła się z fotela łatwiej, niż sądziła.

- Nie mówiłaś mi, że jesteś pielęgniarką.

- Pewnie nie. - Wiedziała, że wymyślili ze Stubbem jakąś historyjkę, ale teraz historyjka zaginęła gdzieś w ciepłej, bursztynowej mgle. - A ty nie mówiłeś mi, że jesteś taki silny - powiedziała. Wydawało jej się, że to było coś, co należało powiedzieć.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale grywałem niegdyś w piłkę nożną. Stan Iowa. Tędy.

Trzymał ją mocno za ramię i była mu za to wdzięczna, opierając się na nim ciężarem, którego nie kontrolowała.

- Poczuję się dobrze, kiedy się trochę przejdę.

- Jestem pewien. Czy dzwoniли po ciebie? Z tego szpitala, gdzie pracujesz?

- Tak. To nie był tak naprawdę żaden nagły wypadek, dobrze to powiedziałam? Nagły wypadek? Cóż, właściwie to był nagły wypadek, ale na początku myśleliśmy inaczej. No więc pojechałam. Pojechałam tam taksówką prawie zaraz po tym, jak się rozstaliśmy. - Postanowiła kłamać. - Powiem ci prawdę, po tym, jak się spotkaliśmy w taki sposób i od razu się rozstaliśmy, John, nie miałam jakoś ochoty jechać w tę podróż. Przestałam się czuć, jakbym w ogóle miała przed sobą wakacje. Boże, od samej Gwiazdki byłam jakaś taka

przygnębiona. Więc ja ci się rzeczywiście spodobałam, prawda, chociaż jestem taka ciężka? - Zapomniała, że to było kłamstwo.

- Bardzo.

- Tak czy owak, pojechałam do szpitala. Było tam mnóstwo problemów i miałam o tym długą rozmowę z jednym z doktorów. A potem zgasły światła i zostałam tam jeszcze trochę, ale jakiś czas później wyszłam, a był tam ten człowiek - jeden z odwiedzających, wiesz - którego znam i spotkałam go już kilka razy i który jest naprawdę całkiem miły, chociaż czasem bywa dosyć nieprzyjemny. Było ciemno i nie mogliśmy złapać taksówki. Byłam taka zmęczona i tak mi było okropnie zimno.

- Nic dziwnego.

- Nie masz czasem papierosa, co? Skończyły mi się wieki temu.

- Proszę.

Zapalił dla niej jednego zapalniczką z deski rozdzielczej. Siedzieli na przednich siedzeniach dużego samochodu, chociaż nie miała pojęcia, jak się tam znaleźli. Paliła papierosa jak skręta z marihuaną, wciągając głęboko powietrze i przytrzymując je w płucach z rozkoszą.

Potem je wypuściła i zaczerpnęła oddechu.

- I wszędzie dookoła były zamieszki. Ten człowiek jest miły, ale bardzo mały, więc się bałam. Wiesz, o czym ciągle myślałam? Myślałam o tych starych westernach, na których Indianie próbują zabić wszystkich ludzi z wozów jadących w konwoju. Z nami jest tak samo, tylko że teraz Indianie są w środku razem z nami, więc nic nie pomoże chowanie się za wozami ustawionymi w kółko. To zabawne, co?

- Dlatego właśnie potrzebujemy silnego rządu - rzekł Sweet. - W całym społeczeństwie dzikusy tylko czekają, aż zgasną światła.

Candy przytaknęła.

- Potem wszystko się skomplikowało, a ja spotkałam tę kobietę, którą ktoś uderzył w głowę. Była z nią jej synowa. Opatrzyłam ją, jak mogłam po ciemku, zahamowałam krwotok, postarałam się, żeby było jej ciepło i tak dalej. Obawiam się, że fartuch mógł mi się trochę zakrwawić.

- Nie za bardzo - rzekł Sweet.

A potem światła znów się zapaliły i poczułam się, jakby nadjechała Kawaleria Stanów Zjednoczonych. Ściągnęliśmy karetkę dla tej kobiety, a ten człowiek i ja - wtedy znów byliśmy razem - poszliśmy do baru i wypiliśmy trzy czy cztery drinki, żeby się trochę rozluźnić. Potem poszłam z powrotem do hotelu i wypijałam ostatniego przed snem. W każdym razie myślałam, że to już ostatni. A potem wyszłam do holu i boy zawołał moje nazwisko. To była najprzyjemniejsza rzecz, jaka mi się zdarzyła przez cały ten cholerny wieczór i może to nie znaczy wiele, ale tak właśnie było. - Przytuliła się do niego. - To było po prostu strasznie cholernie miłe. I ciągle jest.

Sweet przytaknął.

- Cieszę się, że jechaliśmy razem tą taksówką.
- Cieszę się, że nie złapałeś swojego samolotu. Ani ja. Masz żonę, załóżę się?
- Moja żona i ja jesteśmy w separacji.
- Mhm.
- Tak, jesteśmy w separacji, praktycznie rzecz biorąc. Candy westchnęła.
- To dobrze.
- Że jesteśmy bardzo blisko rozstania się?
- Że jeszcze jesteście małżeństwem. Chodzi mi o to, że po tylu latach...
- Dwudziestu dwóch.

- No widzisz? Jestem dziewczyną... - Żołądek podskoczył jej do góry. - O Boże, mam nadzieję, że nie dostaję czkawki. Jestem dziewczyną, której życie bywało czasem, jak by to powiedzieć, niełatwe, chyba rozumiesz.

Sweet pokiwał głową.

- I jedno, na co zwróciłam **hik!** uwagę **hik!** Och, Boże! To, że kiedy faceci mają powyżej trzydziestki, to **hik!** lepiej, jeśli są żonaci. Widzisz, John - położyła rękę na jego ramieniu - faceci, którzy nie są żonaci, zwykle nie są dlatego, że są po prostu cholernie samolubni. **Hik!** Wybacz mi. Wybaczysz mi, proszę?

- Oczywiście.

- Chcą tylko brać, nigdy dawać. Nie wiedzą, jak należy traktować dziewczynę **hik!** i dlatego żadnej nie mają. Na przykład ty zabierasz mnie dzisiaj na kolację. Facet, który nie jest żonaty, nie zrobiłby tego albo zabrałby mnie po prostu do jakiejś taniej restauracji. Tam dokąd właśnie jedziemy, to nie jest **hik!** po prostu jakaś tania restauracja, John? Umieram z głodu. Mogłabym **hik!** zjeść... zjeść...

- To jest zapewne najlepsza restauracja na świecie - powiedział Sweet.

- Cudownie. - Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, duża pierś popychała jego ramię, jej brzuch leżał mu prawie na kolanach. - Teraz **hik!** opowiedz mi o niej albo opowiedz mi o swojej żonie, albo o czymś innym. Chcę wstrzymać oddech.

ROZDZIAŁ 47

Egipskie ciemności

Mogli być, zaiste, księżniczką i czarownikiem, których ścigały białe trolle srogiej zimy. Staromodny Packard, wysoko zawieszony i ledwie posuwający się naprzód, rzeczywiście wydawał się raczej zaczarowaną karocą - a może karawanem - niż samochodem, kiedy tak toczył się pomiędzy zaspami śniegu, pozostawiając za sobą tłumy zgarnionych białych budynków z czarnymi oknami.

Wydawało się, że największe z nich są zarazem najpowolniejsze w pościgu. Ich wysokie jak wieże sylwetki były teraz ledwie dostrzegalne na tle nocnego nieba. Małe budynki wciąż jeszcze tkwiły przy bokach Pacarda z tablicami prawie niewidocznymi spod śniegu. Przed nimi leżały puste pola, gdzie tylko kilka wiejskich domków trzymało straż przy drodze. Z niskich chmur ponad ich głowami wyłonił się z cichym brzęczeniem Boeing 747, a jego światła, zapalone do lądowania, świeciły jak fajerwerki.

Illingworth przyglądał im się z satysfakcją.

- Latają - powiedział. - Obawiałem się, że nie będą latać. Śnieg i tak dalej.

- Czy tam jedziemy? - zapytała czarownica. - Na lotnisko?

Nogi miała przykryte pledem i paliła papierosa. Pokiwał głową.

- Z tego, co pan mówił, sądziłam, że ci ludzie pochodzą stąd.

- Przede wszystkim musi się pani nauczyć... Czy pani sobie życzy, żebym nazywał ją Madame Serpentina? Wasz Król nazywał panią Marie.

- Madame Serpentina.

- Jak pani sobie życzy. Mówiłem pani, Madame Serpentina, że przede wszystkim musi się pani nauczyć nie zadawać pytań. Należy patrzeć. Słuchać. Obserwować. Być może z rzadka poprosić o jakąś przysługę. Ale nie należy zadawać pytań, nigdy.

- Wiem. Pytałam pana, a nie ich.

Po prawej stronie pojawiło się ogrodzenie z siatki. Wydawało się, że strzeże całych mil zwykłych pustych przestrzeni.

- Ale to zwyczaj, który już czas porzucić - odparł Illingworth. - Kto potrafi powiedzieć, co jest blisko, a co daleko? Może polecimy razem samolotem. Może tylko pani, a może żadne z nas. Niech się pani przygląda. Obserwuje i uczy się. Niech pani zostawi pytania sobie, mądrymu ptakowi Minerwy, który zadaje tylko jedno pytanie, to, które jest ważne.

- Bardzo dobrze, nie pytam. Po prostu komentuję. Jeśli naszym celem jest lotnisko, szybciej byśmy tam dotarli autostradą międzystanową.

- Faktycznie, szybciej - zachichotał Illingworth. - Jest pani obyta, przynajmniej w sprawach tego miasta, mademoiselle. Ale czy najkrótsza ścieżka jest zawsze najlepsza? Tym bardziej, jeśli jest zarazem najbardziej oczywista? Pytam tylko, aby mnie pani oświeciła.

Czarownica milczała, dusząc papierosa w zardzewiałej, wąskiej popielnicze Packarda. W ogrodzeniu pojawiła się brama, a obok mała metalowa tablica:

TEREN WOJSKOWY WSTĘP WZBRONIONY

Illingworth przekręcił kierownicę. Wpadając w lekki poślizg, wielki samochód skręcił w stronę bramy i zatrzymał się z hałasem.

- Ja to powinienem zrobić, mademoiselle, a nie pani. Ale może wybaczy pani staremu człowiekowi?

Wyciągnął klucz, który wyglądał, jakby był ogromnie skomplikowany.

Czarownica wzięła go i stanęła na stopniu samochodu, a potem na ziemi. Illingworth wyłączył reflektory Packarda, ale drobiny księżycowego światła, które przesączały się przez chmury, odbijały się od leżącego dokoła śniegu. Nagle przypomniało jej się zdanie „ciemności skryły ziemię”, lecz nie umiała powiedzieć, skąd ono pochodzi.

Otuliła się szczelniej płaszczem, żałując, że nie włożyła rękawiczek. Śnieg skrzypiał pod stopami, ale jej botki na wysokich obcasach nie zapadały się. Odkąd spadł, wcześniej w ciągu dnia, udeptali go już inni goście. Wojskowi, o których mówiła tablica? Ci, którzy ponoć przetrzymywali Bena Free? Wydawało się, że nie ma odpowiedzi na te pytania.

Brama była zamknięta na ciężki łańcuch. Ciągnąc kłódkę ku sobie, poczuła się, jakby znalazła się poza własnym ciałem i patrzyła na to wszystko (staroświecki samochód, wysoka brama z ponurym grzebieniem drutu kolczastego, nieskończony śnieg, niskie zabudowania, które dostrzegała teraz poprzez ogrodzenie i jej własna ciemna postać) jak na rysunek Edwarda Goreya. Ludzie na tych rysunkach zawsze sprawiali wrażenie zaprzątniętych posępną włóczęgą w jakichś niegodziwych celach. Co było jej własnym losem? Szukać Prawdy nie w studni, ale w czarnym tunelu, który wił się w nieskończoność?

Klucz przekręcił się z łatwością, a może to tylko ona przekręciła go z większą siłą, niż jej się wydawało. Kłódka i ciężki łańcuch były bardzo zimne. Puściła je i pchnęła jedno ze skrzydeł bramy. A wtedy, daleko, za jednym z ciemnych okien jednego z ciemnych budynków, zamigotało blade niebieskie światełko. Powinno ją to było podnieść na duchu, ale nie podniosło.

Stary Packard Illingwortha pełznął naprzód, a śnieg kruszył się pod kołami jak kości królików. Gdy czarownica siedziała w samochodzie, uważała, że jest zimno. Teraz we wspomnieniu wydawał się ciepłą, wygodną, może nawet bezpieczną przystanią. Chciała od razu wsiąść do środka, ale wiedziała, że wjazd do takiego miejsca nie powinien pozostać otwarty. Pracowicie zamknęła bramę i zatrzasnęła lodowatą kłódkę. Kiedy znów poszukała wzrokiem niebieskiego światełka, już go nie było. Pomimo rozmiarów Packarda wysokie przednie siedzenie było ciasne. Illingworth pochylił się ponad nim z łatwością, żeby otworzyć jej drzwiczki, a potem wyciągnął ogromnie długą dłoń z plamami starości.

- Dziękuję, mademoiselle.

Ogarnęła ją chęć, by zatrzymać klucz, ale oddała mu go, jakby nic podobnego nigdy nie przyszło jej do głowy, zwracając tylko ukradkiem uwagę, do której kieszeni go chowa - prawej zewnętrznej kieszeni marynarki.

Jego ostre kolano podniosło się, a potem opadło, kiedy nacisnął długi pedał sprzęgła. Ręka, która zabrała klucz, opadła na splekaną kościaną gałkę pionowej dźwigni biegów i odciągnęła ją z głośnym „wrum!”

- Jak traktor - powiedziała, zaskakując samą siebie. Odezwała się zbyt cicho, by ją usłyszał, albo też był zbyt skupiony kierując wielkim samochodem w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma ciemnymi budynkami. Powinien być farmerem, pomyślała. To jest twarz farmera, a to są ręce farmera. Miałby teraz synów i wnuków, rude bydło na szerokich, zielonych pastwiskach, pola żółtej kukurydzy. Coś w jego życiu wiele lat temu potoczyło się na opak.

Potem przypomniała sobie, że już kiedyś przyszła jej do głowy podobna myśl na temat Bena Free, starego człowieka tak wyraźnie związanego ze wsią, zamkniętego w gnijącym domu w slumsach miasta. Próbowwała przypomnieć sobie, jak wyglądał Free w ten deszczowy wieczór, kiedy siedzieli razem wpatrując się w migoczący telewizor, ale twarz, która wyrosła jej przed oczami, nie była twarzą Free, lecz Króla. Pierwszy raz zdała sobie sprawę, że w jego życiu także coś się potoczyło na opak wiele lat temu, podobnie jak w życiu całego smagłego, śpiewającego, pochłoniętego machlojkami ludu.

Rozległ się chrobot i Packard stanął.

- Niech pani chwilę poczeka, mademoiselle, zanim pani wysiądzie - rzekł Illingworth. - Kiedy tu jechaliśmy, bardzo niewiele pani doradzałem, choćby dlatego, że nie mam dla pani wielu rad. Wiem - zawahał się na dłuższą chwilę - wiem niewiele więcej od pani o tym, z czym tej nocy spotka się pani twarzą w twarz.

- Poradził mi pan, żebym nie zadawała pytań - przypomniała mu.

- Tak, rzeczywiście, i to była dobra rada. Wciąż przy tym obstaję. Niech pani nie pyta, tylko obserwuje. Niech pani sobie przyswaja to, co pani widzi, i próbuje czegoś się nauczyć. Mam nadzieję, że jest pani świadoma, że zanim my się pojawiliśmy, na ziemi żyły inne rasy.

- Oczywiście.

- Dobrze, ostatecznie w świetle tylu materialnych dowodów... I chociaż starano się je utrzymywać w tajemnicy, to moim zdaniem, a powtarzałem to wiele razy na łamach *Nauk Tajemnych* i *Przyrodzonego Nadprzyrodzonego*, dowody te nie pozostaną tajne już wiele dłużej, chociażby ze względu na zamierzenia naszego rządu, by zwiększyć wydobycie węgla. Wiadomo pani, mam nadzieję, że ogromną liczbę dowodów odkryto w węglu dewońskim, który stanowi najlepszy *souvenir* - zna pani francuski? - jaki mamy z okresu, kiedy powstawał węgiel. Gdzie to ja byłem?

- Mówił pan o dowodach materialnych.

- Oczywiście. Gwoździe, noże, biżuteria, przeróżne przedmioty, które jesteśmy skłonni uważać za rzeczy wytwarzane jedynie przez istoty ludzkie - głupota, to wszystko. Świat jest znacznie starszy, niż przypuszczamy, i od Dawnych Dni niektóre Moce usiłują z godną podziwu cierpliwością oświecić naszą rasę, naszą czeredę - nie powiem braci, chyba że w takim znaczeniu, w jakim Kain i Abel byli braćmi, ale raczej sprytnych małp.

Czarownica pokiwała głową. Była prawie pewna, że nagła gadatliwość starego człowieka miała dać czas ludziom w ciemnych budynkach, by zdążyli się przygotować i słuchała go tylko jednym uchem.

- Objawiali się nam pod wieloma kształtami. Jeśli coś powtarzało się, to tylko to, że zwykle uważaliśmy ich za okrutnych. Chociaż to Moloch żądał, by palić dzieci, Jehowa jednak był Bogiem Gniewu. Rytuały Izydy określano jako nie do wysłownienia i to być może nie tylko dlatego, że nigdy o nich nie mówiono. A jednak to oni ofiarują nam wszystko - dostatek, potęgę, długowieczność. Przede wszystkim leczenie ran i spokój umysłu. Być może są straszni tylko dlatego, że są dobrzy.

- Ja to wszystko wiem, panie Illingworth - rzekła czarownica. - Właściwie sama mogłabym panu zrobić taki wykład, tylko że mocy, o których pan mówi, tutaj nie ma. Czułabym ich obecność, gdyby tu były. Tu mogą być najwyżej alkoholici akolitów. Nawet jeśli mają w swojej władzy Free, są znacznie dalej od prawdy, od centrum Władzy niż on.

- Moja droga...

- A jeśli już mowa o tych wszystkich rzeczach, które jak pan twierdzi, ofiarowują nam Moce, to nawet nie zbliżył się pan do sedna sprawy. Dostatku i potęgi mamy aż za dużo, dusimy się pod nimi. Długowieczność? Żyjemy dłużej niż lew i słoń. Nie ma prawie dnia, żebyśmy nie spotkali kobiety czy mężczyzny, którzy powinni już nie żyć, a którzy przeżyli swój czas o dziesiątki lat. Sam pan się do nich zalicza, panie Illingworth. Co do leczenia ran, to nie my tego żądamy, ale świat, który uważa nas za ranę i chce się z nas wyleczyć. Spokój umysłu byłby rzeczywiście cenny, ale go nie szukamy. Gdybyśmy go szukali, mogłoby się okazać, że musimy w tym celu porzucić dostatek i potęgę, a zbytnio je kochamy. Nie, to czego oczekujemy od owych Mocy, to jakaś wskazówka, jak daleko możemy się posunąć. Musimy zabijać, żeby żyć, jak tygrysy i musimy niszczyć jak szczury. Ale nie wiemy, co nam właściwie wolno i ta niewiedza paraliżuje tych, którzy mogliby się powstrzymać od złego. Tymczasem najgorsi spośród nas zabijają wszystko, co żyje, i niszczą wszystko, jak popadnie.

- Zostałam natchniona, pomyślała. Sama szukałam władzy i nigdy nic o tym nie wiedziałam.

- Mademoiselle - rzekł cicho Illingworth. - Niech się pani odwróci.

Z boku Packarda stały wysokie postacie, niektóre z nich niemal przy jej łokciu. Odziane były w spływające do kostek peleryny, a ich głowy były głowami szakali.

- Do widzenia - rzekł Illingworth. - Czy muszę dodawać, mademoiselle, że życzę pani jak najlepiej?

Czarownica o mało nie uległa gwałtownej chęci, by zamknąć się w samochodzie.

- Nie idzie pan ze mną? Czy nie słyszałam, jak pan mówił, że za żadne skarby nie pozwoliliby pan, żeby to pana ominęło?

- Być może spotkamy się później w nocy. Jedna z postaci z głową szakala otworzyła drzwi.

- Znam was - oświadczyła czarownica. - Czyż nie jesteście sługami Upuaut, który prostuje ścieżki? Czy też powinnam go tutaj nazywać Khenti Amenti, Władca Zachodu?

Postacie o głowach szakali milczały, wpięrk śmiało patrząc jej w oczy, a potem odwracając wzrok. Ich szczęki poruszyły się i wydawało jej się przez moment, mimo słabego światła odbitego od śniegu, że widziała, jak ich szkarłatne języki pieściły białe zęby i owłosione wargi. Nie była już taka pewna, czy głowy szakali były maskami i zastanawiała się, czy nie została poddana działaniu narkotyków. Nic nie jadła, niczego nie piła. Może jednak w Packardzie był jakiś gaz bez zapachu, może papierosy, które dał jej Illingworth, zawierały jakiś czynnik halucynogenny.

- Wiem, jesteście dobrym omenem - rzekła. - Prowadzicie pochód Ozyrysa.

Na to postacie o głowach szakali odwróciły się od niej i rzędem ruszyły przed siebie pomiędzy ciemnymi budynkami. Były bardzo wysokie, a ich ślady na śniegu wydawały się tropami zwierząt.

Czarownica zawahała się przez moment, a potem zeszła ze stopnia samochodu, by pójść w ślad za ostatnim z nich.

Stojąc bez ruchu przy aucie Illingworth patrzył, jak czarownica odchodzi. Nie mógłbym się z nim rozstać, przeszło mu przez głowę. Stary Packard... Tylko że już niedługo nikt nie będzie umiał go naprawić. Mógłbym kupić Forda. (Wciąż uważał Fordy za małe, tanie, trzy - lub czterodrzwiowe samochody z czasów swojej młodości.) Niech diabli wezmą Forda! Kupię Buicka.

Znów wyjął swoją staroświecką papierośnicę i zapalił Playera zapalniczką, która była wbudowana w jej brzeg. Ktoś mu ją podarował. Próbował sobie przypomnieć kto. Dion Fortune? Kiedy zgasł płomień, noc była zbyt ciemna, żeby mógł podziwiać secesyjne kształty cacka. Bardzo nowoczesne, pomyślał. Bardziej nowoczesne niż to, co robią w dzisiejszych czasach. Ale palenie na mrozie szkodzi na serce. Tak gdzieś czytał.

Rzucił nie dopalonego papierosa w śnieg i wszedł do jednego z ciemnych budynków. Młody człowiek przy biurku skinął do niego głową. Odpowiedział mu i przeszedł obok niego do innego biura, gdzie na haku wisiła kurtka budrysówka, a starszy mężczyzna (choć Illingworth uważał go za młodego) siedział za większym biurkiem.

Illingworth rzucił klucz na biurko.

- Cóż, sir - powiedział. - Zrobiłem to.

ROZDZIAŁ 48

Ozzie i latający dywan

Stary samochód zjechał z autostrady międzystanowej na boczną drogę, a potem na odśnieżony i otoczony zaspami parking. Jak przewidziała Robin, Mały Ozzie spał ciągle na tylnym siedzeniu. Tak jak proponowała, Barnes przykrył go swoim płaszczem z futrzanym kołnierzem.

- Myślisz, że będzie mu dobrze?

Barnes przycisnął bolec zamykający drzwi samochodu. Starał się cicho zamknąć drzwiczki i Mały Ozzie nawet nie drgnął.

- Oczywiście. Pod tym będzie mu ciepło, a zresztą nie będziemy tu siedzieć za długo. No i zawsze możesz wyjść i rzucić okiem, jeśli będziesz się niepokoił. Dam ci klucze, więc będziesz mógł zapuścić na jakiś czas motor.

Nad ich głowami mrugał niebieski neon: LATAJĄCY DYWAN. Tysiąc stóp wyżej nadlatywał wielki odrzutowiec z zapalonymi światłami lądowania i rozświetlonymi oknami.

Wygląda jak całe miasto, pomyślał Barnes. Jak latający talerz na filmie.

Pomógł Robin wysiąść z samochodu i zamknął drzwiczki z jej strony tak cicho, jak przedtem od swojej. Na parkingu było wystarczająco dużo samochodów, żeby można się było zorientować, że „Latający Dywan” robi niezłe interesy. Razem z Robin przeszli po lodzie i twardym, czarnym asfalcie. W środku bar wyglądał jak każdy inny. Robin znalazła stolik koło niewielkiej sceny. Stała na nim tabliczka ZAREZERWOWANE, ale podała ją kelnerowi, który nie protestował. Scena była pogrążona w ciemnościach i przez to cały bar wydawał się bardzo ciemny.

- Dzwoniłaś, żeby zarezerwować stolik? - zapytał Barnes. Robin potrząsnęła głową.

- Nie przyjmują rezerwacji. Ja tu często przychodzę.

- Na tej tabliczce było napisane „Zarezerwowane”.

- Dla właściciela i jego przyjaciół. Ja należę do przyjaciół.

- Rozumiem. - Barnes zdał sobie sprawę, że jest zazdrosny.

- Nie, nie rozumiesz. Buck zna sto kobiet. Ja jestem jedną z tych stu. Jeśli się zjawi, pomasuję mu trochę kark i pocieram się o niego cyckami, to wszystko.

- Banialuki!

Kelner zjawił się znowu.

- Dobrze, proszę pana - rzekł. - Raz Banialuka dla pana. Pink Lady, panno Valor?

- O jakim to nowym koktailu mi mówiłeś, Jack? Screwdriver. Spróbuję tego. Ozzie, nie wściekaj się. Pozwól, że ci opowiem coś zabawnego, co Jack kiedyś widział. Przy barze siedzi mnóstwo ludzi - nie tutaj, gdzieś indziej - i słucha jakiegoś faceta z gitarą, a po chwili jedna kobieta wstaje, zatacza się w stronę barmana i głośno mówi: „Macie Screwdriver?”

Trzech białych muzyków i dwóch Murzynów zajmowało miejsca na scenie: fortepian, perkusja, kontrabas, saksofon i wibrafon. Biali wyglądali zbyt młodo, żeby mogli być bardzo dobrzy.

- No więc barman zrobił jej Screwdriver - zakończyła Robin.

To była *Sophisticated Lady*, rosła i wirowała, wypełniała salę muzyką, która wydawała się jakby bladozielona, muzyką jak perfumowany zielony szalik z szyfonu, jak wirująca zielona szyfonowa spódnica. Kelner przyniósł im drinki. Barnes popijał i słuchał.

Kiedy skończyła się muzyka, Robin odezwała się:

- Dobrze, co?

- Nie ma mikrofonów? Nie ma głośników? Wzruszyła ramionami.

- To nie jest Filharmonia, a oni nie nagrywają. Barnes kiwnął głową.

- Wiesz, jak się poczułam? - zapytała Robin. - Jak Delaguerra. Czytałeś to kiedyś?

Barnes potrząsnął głową.

- Kto to jest Delaguerra?

- Taki twardy gliniarz, dawno temu, w powieści, która nazywała się *Hiszpańska krew*. To się działo w latach trzydziestych. Delaguerra powiedział: „Nigdy w życiu nie zastrzeliłem jelenia. Praca w policji nie zrobiła ze mnie aż takiego twardziela.” - Robin uśmiechnęła się do niego. - Pewnie to mi się przypomniało, bo w samochodzie mówiłam ci, że jestem pół-Hiszpanką. To właśnie dlatego przeczytałam tę książkę, kiedy jeszcze byłam mała, z powodu tytułu.

Barnes uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dziwię się, że nie zamówiłaś Margarity.

- Hiszpanką, nie Meksykanką. Pół Hiszpanką, pół diabolicą. Wiesz, co mówią o Hiszpankach? „Dama na ulicy, anioł w kościele, szatan w łóżku.” Ja nie chodzę do kościoła.

- Ja też nie, ale żałuję, że ty nie chodzisz, bo chciałbym cię tam zabrać.

- Nasza rodzina przysięgła, że nigdy więcej nie pójdzie do kościoła, póki nie będzie nowego papieża Borgii. Jakie są twoje odczucia, jeśli chodzi o striptizerki, Ozzie?

- Zwykle nie siedzę dość blisko, żeby móc coś odczuwać.

- Mogę ci to załatwić.

- Co?

- Powiedziałam, że mogę ci to załatwić. Jestem przyjaciółką Bucka, nie pamiętasz? Popilnuj mi torebki. Popchnęła ją ku niemu po malutkim stoliku, wychyliła do dna swój Screwdriver i zniknęła w ciemnościach. Zespół zaczynał nowy numer, *Now's the Time*. Barnes otworzył jej torebkę, wyjął świeże cygaro i paczkę zapalek. Gdy zapalał cygaro, zostawił torebkę otwartą na stole. W płomieniu zapalniczki zobaczył, że mały automatyczny pistolet zniknął. Przypomniawszy sobie jego błyszczący chrom, czarny uchwyt, na którym widniał koń ze strzałą w pysku. Zapalniczka, taka jak ta, którą on oszukał Proudya? W samochodzie obróciła wszystko w żart i wydawało mu się, że jest za wcześnie, by ją o to

pytać. Poszła do toalety, pomyślała. Mój Boże, ależ ze mnie drań. Musi zrobić siusiu i boi się, że ktoś tam się na nią rzuci. Do diabła, coś takiego się bez przerwy zdarza kobietom, a już w takim miejscu jak to... *Now's the Time* samo się utuliło do snu. Saksofonista oparł instrument o fortepian, wziął mikrofon ze stojaka u boku sceny, włączył go, popukał w niego na wpół żartobliwie paznokciem i powiedział:

- Cóż, teraz, panie i ponowie i wy też, normalni ludzie, jeżeli będziecie tacy mili i dacie mnie i moim chłopcom okazję wypić sobie drinka, kiedy te wszystkie lalunie będą się tu rozbierać dla waszej przyjemności, to w try miga będziemy z powrotem i nie zdążycie nawet zauważyć, że w ogóle nas nie było. A właściwie niby dlaczego sami nie macie wypić sobie jeszcze po kielonku?

Rozległ się śmiech i trochę braw. Saksofonista uśmiechnął się, wyłączył mikrofon, podszedł do stolika Barnes'a i usiadł.

- Pan jesteś Barnes?

Barnes kiwnął głową i wyciągnął rękę.

- Mów mi Ozzie.

Saksofonista potrząsnął ją z namaszczeniem.

- Ty mów do mnie Binko, bo tak się nazywam. To moje nazwisko. Nie powiem ci, jak mi na imię, bo to jedno z tych w rodzaju „Fautleroy”, kapujesz? Nikt go nie używa. Po prostu mów mi Binko. Ozzie to fajne imię. Przypomina mi te latające małpy i tak dalej. Widziałeś *Czarodzieja z Oz*?

- W telewizji.

- Powinieneś go zobaczyć na dużym ekranie, człowieku. Ja poszedłem raz koło siódmej, a wyszedłem po północy. Obejrzałem ostatni seans i wmiotłem trzy torby prażonej kukurydzy. Pomyślałem sobie, że to ty jesteś Barnes, Ozzie, bo mi kazali odszukać takiego przystojnego, eleganckiego kolesia z wąsami. Chodzi o to, że dziś wieczór nie ma konferansjera do naszego małego show. Tego oka prawie nie widać, więc skoro masz w tej pracy doświadczenie, czemu miałbyś się nie zgodzić?

- Binko, może przypadkiem znasz dziewczynę, która nazywa się Robin Valor?

- Jasne. Wszyscy tu znają Robin. Jeszcze przed minutą siedziała tutaj z tobą, a w tej sekundzie palisz jedno z jej cygarek. Robin ma najrówniejsze cygara, jakie tylko widziałem u kobiety, białej czy czarnej, i powiem ci szczerze, człowieku, jak tylko mam okazję, to zaraz od niej sepię. Ona nie ma nic przeciw temu. Zawsze bardzo miło daje mi cygarko.

Barnes wyjął z torebki Robin jedną z aluminiowych tubek i podał ją Binkowi.

- To ona cię do tego namówiła.

- Ona, człowieku? Nie, nie mnie. Nie ma na świecie bystrzejszej laski od Robin, ale ja nie jestem na jej rozkazy. To Buck mi powiedział. Co wieczór Buck wyklada trochę szmalu dla mojego małego kombo, więc on rządzi.

- Nie widziałem, żeby ktoś z tobą rozmawiał.

- Hej, o co ci chodzi, człowieku? Myślisz, że chcemy cię wrobić? Chcemy tylko, żebyś nam nappełnił dziurę. Podali mi kartkę... Może nie zauważyłeś, że miałem długą przerwę, jak stary Sunky czadował na swoim wibrafonie? Powiesiłem saks i zszedłem na bok, odwróciłem się tak trochę plecami i właśnie wtedy ją przeczytałem. Zrobisz to? Czy chcesz tu tylko siedzieć jak jakiś król na swojej nietykalnej dupie albo jak jakiś błazen i szczerzyć do mnie zęby, kiedy próbuję jednocześnie prowadzić moje kombo i opowiadać kawały?

- Zrobię to - odparł Barnes. - Chciałbym tylko wiedzieć, co zamierza Robin.

Przez moment wydawało się, że na twarz saksofonisty opadła maska, a może właśnie maska z niej spadła. Łatwy, pochlebny uśmiech zniknął i Barnes miał wrażenie, że była to twarz zupełnie innego człowieka, człowieka, którego nie chciałby znowu spotkać. Potem powrócił uśmiech, jeszcze szerszy niż przedtem, a białe zęby zaśniły w półmroku.

- O to chodziło! Swój chłop z ciebie!

Zapałka kuchenna otarła się o spód stołu i Binko obrócił w płomieniu cygare Robin Valor, zaciągając się uważnie i z widoczną przyjemnością, a potem zgasił zapałkę delikatnym oddechem dymu.

- Zobaczysz, to żadna harówka. Jak tylko wrócimy, wejdiesz tam i powiesz ludziom parę kawałów. Znasz jakieś kawały? Umiesz je opowiadać?

- Tak, znam parę kawałów.

- To świetnie. Nie powinny być zbyt pieprzne, kapujesz, no nie? Bo inaczej paru tych skurczybyków wyjdzie. Ale to nie powinny też być kawały ze szkółki niedzielnej. Wiesz, o co mi się rozchodzi?

Barnes kiwnął głową.

- Swój chłop z ciebie. Potem powiedz im, jak to Dixie Dukes, czyli my, zagramy *Basin Street*. I złazisz ze sceny, żebyśmy mogli zagrać, ale nie wracaj tu do stolika. Schodzisz tamtędy - Binko pokazał palcem - a kiedy będziesz czekał tam z boku, dostaniesz cynk, jak masz zapowiedzieć następny kawałek. Skapowałeś? Już wraca mój bębniarz i stary Sunky, więc szykuj się.

Stojąc w świetle reflektora, Barnes powiedział:

- Dobry wieczór, witamy w „Latającym Dywanie”. Jeśli właśnie przybyliście do naszego pięknego miasta, cieszymy się, że możemy was tu zobaczyć. Jeśli je opuszczacie, cóż, przykro nam na to patrzeć, ale cieszymy się, że w ogóle się tu zatrzymaliście. Wiecie, że mamy teraz bezpośrednie połączenie z Chinami? Zapytajcie tylko o linie „Spły Waj Stąd Żół Tku”. - Nikt się nie zaśmiał. O ile mógł w ogóle coś zobaczyć, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Spróbował zakreślić swoim cygarem tak, jak robił to Groucho Marx. - Twardziele, co? Jeśli myślicie, że jesteście tacy twardzi, to tylko poczekajcie, aż nad Denver podadzą wam kurczaka.

Słyszeliście kiedyś o stewardesie i o tym przystojnym pilocie? Z tego pilota to był naprawdę przystojny gość i do tego jeszcze zarabiał straszliwe pieniądze, więc stewardesa była cała rozanielona, kiedy kazał jej przynieść sobie drinka do kabiny...

Rozległo się kilka rozszianych po sali chichotów.

- Nie śmieście się, w końcu sami z nim lećcie. Ona przyniosła mu drinka, a on ją poprosił, żeby wyszła za niego za męża. Oczywiście powiedziała: „Tak.” Wtedy on rzekł: „Skoro już mamy być mężem i żoną, chcę, żebyś teraz zrobiła to i tamto.” Tylko że jej matka zawsze mówiła jej, żeby nigdy nie robiła tego i tamtego. Wiecie, co mam na myśli? Nie to, kiedy czekacie, aż dzieci pójdą do łóżka. To, kiedy czekacie, aż pojedą na kolonie. No więc ona była taka zakłopotana, że pobiegła z kokpitu aż do ogona (samoloty mają wspaniałe nazwy na niektóre miejsca) i stała tam, próbując się ogarnąć - pilot już się sam ogarnął - i zobaczyła ojca Rooney, jak siedzi koło przejścia i czyta swój brewiarz. Więc zapytała go o to, chociaż zrobiła się czerwona jak wiśnia - uwielbiam tę historię - kiedy doszła do tego, czego ten pilot chciał od niej. A on powiedział: „Nigdy, przenigdy! Powiedz temu szatańskiemu nasieniu, że chyba prędzej umrzesz. Moja córko, musisz porzucić swoje niegodne zajęcie i nigdy więcej nie spojrzeć na tego zboczeńca!” Ale cóż, to nie przelewki zrezygnować z pracy, a poza tym pilot był bardzo przystojny i zarabiał mnóstwo pieniędzy, więc poszła trochę dalej między fotelami, a tam siedział brat Philbert i odmawiał różaniec. Stewardesa powiedziała mu wszystko o pilocie, ale on tylko zerwał się na nogi i pobiegł zapytać ojca Rooney. No więc ona poszła jeszcze trochę dalej, a tam siedziała siostra Mary Elephant i oceniała klasówki ze szkółki niedzielnej. No więc jej wszystko powiedziała - powoli opowiadanie tej historii zaczynało jej się coraz bardziej podobać - a siostra Mary Elephant zemdląca. No więc poszła jeszcze dalej, prawie do dziobu samolotu, a tam siedział sam kardynał Cogan ze złożonymi rękami, wyglądał przez okno i lekko się uśmiechał. No to jemu też powiedziała. A on na to: „Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko, bądźcie oboje szczęśliwi, tylko nie przed ślubem.” No więc ona zapytała: „To wspaniale, Wasza Ekszelencjo - to był kardynał z St. Louis - ale dlaczego Wasza Ekszelencja tak mówi, skoro ojciec Rooney powiedział mi, żebym rzuciła pracę, a siostra Mary Elephant zemdląca, a brat Philibert...” i tak dalej, i tak dalej. A kardynał na to: „Moje dziecko, co tam oni wszyscy wiedzą o wyrafinowanym seksie? W końcu latają klasą turystyczną.”

Tym razem dobiegło go trochę autentycznego śmiechu od strony stolików i wymuszony śmiech z brzucha saksofonisty, który stał za nim. Śmiech szybko ucichł i pozostały tylko lekko przytłumione rozmowy i pobrzękiwanie szkła. Barnes starał się spojrzeć na swoją publiczność, ale nie widział niczego zza reflektora.

- A teraz - powiedział - *Basin Street!* Zagrane tak, jak tylko Dixie Dukes potrafią!

Reflektor ściemniał i zgasł. Gdy tylko zespół wydał pierwsze łkania, Barnes skierował się w lewo. Kiedy postawił kilka kroków, zobaczył nagą rudą dziewczynę, która uśmiechała się do niego zza kulis. Miała piegi.

Na gołej ceglanej ścianie za nią ktoś napisał sprayem: KILROY BYŁ TUTAJ.

Kiedy mały samochód Sandy Duck wjechał na parking, w jego reflektorach pojawił się mały chłopiec, który stał na śniegu i płakał. Poruszona instynktem macierzyńskim, do którego sama by się nigdy w życiu nie przyznała, Sandy wysiadła i spróbowała go pocieszyć.

- No już, już - powiedziała. - Już, już, już.

Nawet jej samej to się wydawało głupie, ale nie przychodziło jej do głowy nic lepszego.

- Mój... mój... tata...

- Gdzieś zniknął, tak? A ty się zgubiłeś, biedny mały smyku... Dokąd on poszedł?

Niemym gestem chłopiec wskazał mrugający neon na szczycie niskiego, ceglanego budynku na końcu parkingu.

- „Latający Dywan”? - zapytała Sandy. - Właśnie tam idę. Wezmę cię ze sobą i może odzujemy twój tata.

Kiedy to mówiła, otworzyły się boczne drzwi. Na moment wystrzeliła z nich naga postać Ozzie'ego Barnesa, jak szkarłatny diabeł, który wyskakuje z pudełka magika. Dwie nagie kobiety wciągnęły go z powrotem do środka i drzwi znowu się zatrzasnęły.

- Namysliłam się - rzekła Sandy. - Chyba tam w końcu nie pójdę. Nie dzisiaj. Może będzie lepiej, jeśli pójdiesz ze mną.

ROZDZIAŁ 49

W służbie kraju

Pasek pielęgniarskiej spódnicy rozpruł się przed godziną. Jeden z dolnych guzików bluzki urwał się z nitki i niepostrzeżenie ześlizgnął na dywan. Trzy inne odpięły się. Jej brzuch, napięty jak bęben i wypełniony winem, wystawał przez trójkątny otwór, mocno napierając na stół i wylewając się na śnieżny obrus na jakieś trzy cale.

Na stole stała duża taca francuskich ciastek i cukierków, i bardzo duży kieliszek szampana. Powoli sięgnęła po jeden z cukierków i podniosła go, jakby chcąc mu się przyjrzeć w świetle świecy. Był malinowy.

- To... ostatni - powiedziała.

- Oczywiście.

Powoli włożyła go do ust, jakby wypełniała trudny obowiązek i choć odchyłała się do tyłu prawie tak daleko, jak na to pozwalało jej wysokie krzesło, spróbowała odchylić się jeszcze bardziej, aż jej głowa oparła się na jego czerwonej, skórzanej poduszce. Delikatnie i niepewnie podniosła kieliszek do ust i popiła malinowy cukierek szampanem. Gdy odstawiła pusty kieliszek na stół, usłużny kelner napełnił go.

Inny, wyższy kelner nadszedł z białym telefonem, który podłączył do wtyczki w podłodze. Sweet przedstawił się i posłuchał przez jakieś pół minuty.

- Oczywiście, że potrzebuję pomocy - powiedział. - Potrzebuję wszelkiej pomocy, jaką tylko mogę mieć.

Candy milczała. Oczy miała na wpół zamknięte. Jej wiśniowa twarz, podparta i wtulona w trzy podbródki, wyglądała na pogrążoną we śnie, choć jej lewa ręka powoli i z pewnym wahaniem wędrowała po powierzchni tacy.

Sweet kiwnął ręką na wysokiego kelnera, a kiedy ten pochylił się, żeby odłączyć telefon, poklepał go po ramieniu i podał mu słuchawkę.

- To do pana.

- Tak, proszę pana - rzekł kelner. Przedstawił się. Nastąpiła długa cisza.

- Będę musiał porozumieć się z panem kierownikiem, proszę pana. - Oddał słuchawkę Sweetowi. - Niech pan nie odkłada, proszę pana. Przyprowadzę pana kierownika. Chwileczkę.

Sweet odrobinę ponuro pokiwał głową i kelner zniknął w pośpiechu.

Namacła ciastko, malutkie wzgórze z bezy i kolorowego kremu. Przez moment już prawie wydawało się, że je odłoży, a potem nadgryzła brzeg i oblizła wargi.

Biała słuchawka leżała na stole przed Sweetem. Podniósł ją i zakrył dłonią.

- Ja naprawdę jestem wiceprezesem „Mordoklejek Myszki Miki” - powiedział.

Jeśli go słyszała, nie dała tego po sobie poznać.

- Chciałem, żebyś wiedziała. Kazali mi to zrobić. Skontaktowali się ze mną na lotnisku. Wyciągnęli mnie z samolotu.

Ciasto było już prawie zjedzone. Otworzyła usta odrobinę szerzej, wepchnęła do nich to, co pozostało, i wypłała łyk szampana, pozostawiając na brzegu kieliszka odrobinę różowego nadzienia. W oszołomieniu rozejrzała się za swoją serwetką. Serwetka upadła na podłogę tuż obok krzesła. Zamiast niej posłużyła się skrajem obrusu.

- Przykro mi - rzekł Sweet.

Szczupły, wyglądający na cudzoziemca mężczyzna w garniturze podszedł do ich stolika wyprzedzając o dwa kroki wyższego kelnera i podniósł słuchawkę.

- Jestem Paul de Vaux, kierownik tej restauracji - rzekł zdyszany. - Tak, tak, zostaliśmy poinformowani... Wydam instrukcje. - Posłuchał jeszcze przez chwilę, jeszcze raz rzekł: „Tak, tak”, odłożył słuchawkę, a potem odwrócił się do Sweeta. - Będzie pan potrzebował pomocy, monsieur. Walter - lekkim ruchem głowy wskazał wyższego kelnera - panu pomoże. Nie obciążymy pana kosztem tych kolacji.

- Skontaktowano się z panem wcześniej - rzekł Sweet. To nie było pytanie.

- Tak, tak. W sprawie kolacji. Nie w sprawie pomocy. Teraz powiedziano nam, że trzeba pomóc i z przyjemnością będziemy współpracować. Walter, temu panu powiedziano, dokąd masz się udać. Czyż nie tak, monsieur?

Sweet pokiwał głową.

- Masz zrobić to, co pan powie. Jest już późno, nie musisz tu dzisiaj wracać. Ja sam skończę za ciebie i będę cię oczekiwał jutro o zwykłej porze.

Kierownik odwrócił się na pięcie i odszedł. Niższy kelner zniknął już wcześniej. Przez moment wyższy kelner stał przenosząc spojrzenie z Candy na Sweeta.

- Czy chciałby pan, żebym zabrał telefon, proszę pana?

- Czemu nie. Niech pan weźmie swój płaszcz, tam jest zimniej niż w dupie u grabarza. Potem niech pan tu wróci.

- Tak, proszę pana.

- Walterze, dostanie pan dobry napiwek, jak skończymy. Nie od nich. - Sweet kiwnął głową w stronę telefonu. - Ode mnie.

- To nie jest konieczne, proszę pana - rzekł kelner. - Jestem szczęśliwy, że mogę służyć mojemu krajowi.

Kiedy wrócił, miał na stroju kelnera czerwoną kurtkę, jaką noszą drwale. Razem ze Sweetem przesunęli stół na bok i zdołali podnieść ją na nogi. Wcześniej Candy zrzuciła jeden z butów na wysokim obcasie. Posadzili ją znowu, a kelner go odszukał. Zdjął jej ze stopy drugi i oba wcisnął do bocznych kieszeni swej kurtki.

- Tak będzie lepiej, proszę pana, może mi pan wierzyć. Będzie jej łatwiej złapać równowagę i będzie mogła bardziej nam pomóc.

Restauracja była prawie pusta, ale Sweetowi wydawało się, że patrzy na nich tysiąc oczu.

- Pan to już kiedyś robił, co, Walterze? - wymamrotał.

- To się zdarza co jakiś czas, proszę pana. - Z zastanowieniem spojrzął na ich brzemie. - Zazwyczaj panie po prostu piją, rozumie pan. O dwa albo trzy więcej, niż powinna wypić dama. Nie wiem, czy teraz będzie łatwiej czy trudniej. Pewnie trudniej.

- Myślę, że ma pan rację - odparł Sweet.

- No to nie ma na co czekać, proszę pana. Podnieśmy ją z powrotem.

- Mogę... - wypowiedziała Candy.

Jej biodra wysunęły się do przodu. Zaczęła ześlizgiwać się z krzesła.

- Niech pan ją łapie, proszę pana! Obaj mężczyźni złapali jej ramiona.

- Do góry, proszę pana! Niech pan ją podniesie!

- Położyć się - powiedziała głośno. - I miętówkę. Po kolacji chcę miętówkę.

- Zaraz się dobrze poczujesz - rzekł do niej w desperacji Sweet. - Nie będziesz chorować.

Tylko wstań i chodź z nami. Możesz położyć się w moim samochodzie.

Spróbowała objąć swój pękaty brzuch, żeby mu ulżyć, ale nie pozwolił jej uścisk mężczyzn. Popchnęli ją naprzód tak, jak mogliby toczyć beczkę wina, wielką beczkę, którą trudno ruszyć z miejsca, póki się jej nie rozkołysze, a potem trudno ją zawrócić albo zatrzymać. Kiedy się poruszyła, rozpruta spódnica uciekła w dół, zsuwając się powoli z jej monstrualnej talii i na chwilę niepewnie zawisła na jej szerokich biodrach. Sweet spróbował złapać spódnicę, ale gdy tylko przestawał podtrzymywać jej właścicielkę obiema rękami, zaczynała tracić pionową pozycję, którą uzyskali kosztem wielkiej pracy i znów musiał ją podeprzeć. Spódnica wymknęła się, ześlizgując jej się do kolan, a potem na podłogę. Potknęła się o nią, oczywiście, ale ponieważ i tak sama prawie wcale nie trzymała się na nogach, nie miało to znaczenia.

- Jej płaszcz jest w szatni - powiedział kelnerowi.

- Do diabła z jej płaszczem - rzekł zwięźle kelner.

- Mój też tam jest. Zabierzemy ją do samochodu. Potem wrócę po nasze płaszcze.

- Tam jest zimno.

- Wytrzymam.

- Gorąco - oświadczyła. - Mnie. Ciepło. Naprawdę.

- Chyba nie zaczęło znowu padać, co? - zapytał Sweet. Kelner potrząsnął głową, ale Sweet, będąc po drugiej stronie, nie mógł tego zobaczyć.

Kiedy dotarli do westybulu, do środka wchodził właśnie wysoki mężczyzna i szczupła kobieta w pelisie z soboli. Przez moment nowi goście patrzyli w zdumieniu, a potem kobieta wybuchnęła nieopanowanym śmiechem.

- Niech się pani zamknie - powiedział do niej Sweet. - Nie wie pani, o co chodzi.

- Jeż też nie wiem - rzekła Candy. Beknęła, odetchnęła zimnym powietrzem w westybulu i od razu poczuła się lepiej. - Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

- Lubię cię - rzekł Sweet.

- Ciebie też.

Kelner popchnął drzwi nogą. Spadło trochę świeżego śniegu. Samochody, które przejeżdżały ostatnie, zostawiały w nim bliźniacze opalizujące ślady, jak ślady arktycznych pytonów. Mroźne powietrze było cudowne. Jej twarz płonęła, jej brzuch był zbyt ciepły i zbyt pełny. (Nareszcie! Nareszcie! Pełny tak, że mógł pęknąć, śmiertelnie, absolutnie pełny i każdy skrawek głodu został z niego przepędzony.) Kiedy wyszła na śnieg, było jej chłodno w stopy, ale nie zimno.

- Nie musicie mnie trzymać - powiedziała. - Teraz już się dobrze czuję.

- Już ja wolę cię trzymać - odparł Sweet.

- Jesteś słodki. - Zabrała ramię kelnerowi, odwróciła się, objęła Sweeta i go pocałowała.

- Dziękuję - powiedział, kiedy już mógł się znowu odezwać. - Ale teraz musimy pójść do samochodu.

- W porządku. - Candy poślizgnęła się i omal nie upadła. Kelner złapał ją szybko. - Dobrze się czuję - upierała się.

- Jasne - rzekł kelner.

- Hej, ty mi kogoś przypominasz. Mojego chłopaka.

- Ja myślałem, że to on jest twoim chłopakiem.

- Nie, on jest moim... - Nie przychodziło jej do głowy żadne uprzejme słowo i nie była pewna, czy w ogóle takie istnieje. - Mój chłopak, wiesz, on nie miał... - znów beknęła - już więcej pieniędzy. Ten szampan. He wypiliśmy?

- Kilka butelek - podpowiedział kelner. - Gdzie jest pana samochód, proszę pana?

- Czarny Cadillac - burknął Sweet. - Po drugiej stronie autobusu.

Candy opierała się na nim prawie całym ciężarem.

- Ładny samochód.

- Wynajęty.

- Będziemy musieli posadzić ją z tyłu. Sweet kiwnął głową.

- Nie jest zamknięty.

- Dobrze, proszę pana. Niech pan ją tylko chwilę przytrzyma, to ja otworzę drzwi.

Sweet przytrzymał ją przez moment, kiedy postawiła dwa chwiejne kroki w stronę czarnego samochodu. Jedną z bosych stóp poślizgnęła się na śniegu i dziewczyna upadła.

Upadała powoli, lecz było to nie do uniknięcia, tak jak czasem wali się stary magazyn pod nadmiarem bogatych towarów albo wysoki, rozłożysty klon (i rzeczywiście jej czerwonozłote włosy i okrągła, zarumieniona twarz przywodziły go na myśl) pod oszłamiającym ciężarem tysiąca owocujących pnących winogron.

Sweet spróbował ją podtrzymać i o mało nie upadł razem z nią. Starła się czegoś chwycić albo przynajmniej złagodzić upadek ramieniem, które wypuścił kelner. To też zawiodło, a jej dłoń przejechała po śniegu, który nie był jeszcze bardzo ubity. Jej brzuch i twarz zakopały się w sypkim śniegu.

- O Boże - rzekł Sweet.

Wyszarpnął chustkę z kieszeni i otarł spoconą twarz.

- Niech pan chwilę poczeka, pomogę panu, proszę pana.

- Gdyby pan jej nie puścił, nic by się nie stało.

- Zgoda - rzekł kelner. - Zgoda.

Odrzutowiec z płonącymi światłami przeleciał z rykiem tysiąc stóp wyżej. Candy na próżno usiłowała wstać.

ROZDZIAŁ 50

Tajemnicze morderstwo

Pokój nad pokojem czarownicy wcale nie był pokojem. Był apartamentem. Stubb zerknął z uznaniem na biało-złote lustra i dywan w stylu Ludwika XIV, a potem usiadł na pająkowatym krześle z aksamitu i złożonego drewna. Lubił niskie krzesła, a to pachniało pieniędzmi.

- Drinka? - zapytał Cliff.

- Wypiłem już aż za dużo piwa - odparł Stubb. - I to na pusty żołądek. Myślisz, że mógłbyś zamówić dla swojego najbłyskotliwszego agenta jakąś kanapkę? Nie jadłem od lunchu.

- Co tylko zechcesz.

Cliff podniósł słuchawkę telefonu.

- Więc niech będzie z gorącą wołowiną, średnio usmażoną. I kawa. Jak to się stało, że potrzebujesz mnie do tej sprawy?

- Nie wiesz czasem...?

Cliff zerknął na nalepkę przyklejoną koło widełek.

- Dwieście jedenaście.

- Dzięki. - Wykręcił numer. - Kanapka z gorącą wołowiną *au jus*. Włóżcie do niej dużo mięsa. Dwie kawy i mają być gorące, kiedy tutaj dotrą. Pokój osiemset siedemdziesiąt siedem. Pięć minut, jasne?

Kiedy odłożył słuchawkę, Stubb rzekł:

- Pytałem, jak to się stało, że tak mnie do tego potrzebujesz, Cliff.

- Kto powiedział, że ciebie potrzebuję?

- Ty.

- Ale skąd!

- Powiedziałeś trzysta dziennie.

- Mówiłem poważnie, Jim. To stoi.

- Dostyc, żeby wykupić mnie z tej sprawy, którą prowadziłem. Po południu nie chciałeś mnie za pięćdziesiąt.

- Na miłość boską, Jim, znasz ten biznes! Kiedy zadzwoniłeś, nie miałem jeszcze tej roboty.

Stubb podniósł się.

- Jeśli spotkam boya na korytarzu, powiem mu, żeby zabrał z powrotem tę kanapkę.

- Zgoda. - Cliff podniósł ręce. - Zawsze był z ciebie spryciarz. Nigdy do ciebie nie dotarło, że lepiej by ci się powodziło, gdybyś nie był tak cholernie sprytny?

- No i o jedną stopę wyższy. Stubb znowu usiadł.

- Oj, wiem, co chcesz powiedzieć. W porządku. Jest morderstwo, a ty znałeś ofiarę. To wszystko, Jim. To wszystko, przysięgam na Boga.

- Mhm. Nic specjalnego. Tak powiedziałeś. Ben Frre?

- Wiedziałeś, że ktoś go załatwił?

- A więc to on.

- Takie mamy nazwisko, owszem.

Cliff wyjął zdjęcie z kieszeni na piersiach marynarki i podał je Stubbowi.

Stary człowiek leżał na brudnej podłodze, która mogła być betonowa. Plecy jego koszuli przesiąkły krwią, a pod klatką piersiową powstała kałuża. Widoczna była tylko część twarzy, ale i tak wiedział, że to jest Free.

- Dwa razy w plecy - rzekł Cliff. - Duży kaliber. Posłałem je do laboratorium balistyki, ale jeszcze ich nie zrobili. Pewnie czterdziestka piątka albo trzy pięćdziesiąt siedem. Zwaliło go od razu. Pewnie nigdy się nie dowiedział, co mu się stało.

- Stał dosyć długo, żeby ten facet mógł strzelić dwa razy.

- No tak, to też.

- Gdzie?

- Poczekaj no Jim, zaraz ci powiem, ale najpierw chcę ci zadać kilka pytań. Nie chcę, żebyś znowu odstawiał swoją szopkę, ale, cholera, pracujesz dla mnie. Skąd wiedziałeś, kto to był?

- Zgadłem.

- W porządku, jak to zgadłeś?

- Powiedziałeś, że go znałem. Znam mnóstwo różnych typków w całym mieście, ale ty też znasz większość z nich i zatrudniasz facetów, którzy ich znają, więc to nie mógł być żaden z nich. Zostają ludzie, których znałem dawno temu, i ludzie, których znam prywatnie. Ktoś, kto znał jakiegoś faceta dawno temu, nie jest wart trzysta dziennie - jest duża szansa, że nie wie nic, co byłoby warte zachodu. Zostaje moje życie prywatne. Większość moich osobistych znajomych to kobiety, ale napomknąłeś, że chodzi o mężczyznę - powiedziałeś „jego”. Twierdzisz, że jesteś w tym hotelu już od jakiegoś czasu i próbujesz mnie złapać, ale jeszcze nie widziałem niczego w gazecie. Co znaczy, że to pewnie było dzisiaj. No więc zadałem sobie pytanie, jakich to mężczyzn znam prywatnie, i których z nich nie widziałem w ciągu ostatnich ośmiu czy dziesięciu godzin.

- I on był jedyny - prychnął Cliff. - Bzdura.

- Nie, nie był jedyny, ale wydawało mi się, że to najlepszy strzał. Nie sądziłem, żeby ktoś z dużymi pieniędzmi interesował się pozostałymi, więc...

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszła z niej delikatnie zbudowana blondynka. Na ile Stubb był w stanie ocenić, mogła mieć pięć stóp i dwa lub trzy cale na obcasach. Trzymała torebkę niemal tak dużą, jak pudło na kapelusze, a ubrał ją ktoś, kto miał zbędne tysiąc dolarów na śliczną małą bluzeczkę do wkładania na zakupy.

- Okropnie mi przykro, panie Rebic, ale myślę, że już naprawdę czas, by mnie pan przedstawił.

- Pani jest tu szefem, pani Whitten. Jim, to jest... Nie pozwoliła mu skończyć.

- Nazywam się Standbridge Whitten, panie Stubb. Ponieważ z oczywistych względów moi przyjaciele nie mogą do mnie mówić Standbridge, nazywają mnie Kip. Nie mam pojęcia dlaczego, ale dość to lubię. - Wyciągnęła dłoń, a Stubb wstał i ją ścisnął. - Jestem klientką pana Rebica. Czy to nie tak się mówi? Klientka?

- Jasne - rzekł Stubb. - Szczęściarz z tego pana Rebica.

- Chciał pan wcześniej, żeby o wszystkim pana poinformować. Podśluchiwałam całkiem bezwstydnie. Pan Rebic mi pozwolił. Nie chciał panu udzielić instrukcji, bo mu powiedziałam, że chcę osobiście porozmawiać z każdym z ludzi, którzy pomogą mi znaleźć tego, kto stryja...

- Ben był pani stryjem?

- Tak. Wyjaśnię to za moment. Widzi pan, uważam, że jeśli mężczyzna albo kobieta jest zawodowcem, może odczuwać, potrafi odczuwać autentyczną lojalność. Jeśli nie wobec swojego pracodawcy, to wobec sprawiedliwości w ogóle. Tego, co prawe, jeśli tak to mogą ująć. Nie zgadza się pan ze mną, panie Stubb?

- Niech pani do mnie mówi Jim, pani Whitten.

- Tylko jeśli pan mi obieca, że pan będzie mnie nazywał Kip. Mój ojciec, świętej pamięci generał Samuel Whitten, zawsze mawiał, że najlojalniejszymi żołnierzami są żołnierze zawodowi, ci, którzy praktycznie rzecz biorąc są najemnikami. Jego ludzie nazywali go „Buck” Whitten, choć oczywiście nie przy nim. Lubił wierzyć, że to dlatego, że nigdy nie stracił dobrych stosunków ze zwykłymi szeregowcami. Czy uważa się pan za najemnika, panie Stubb?

- Uważam się za człowieka do wynajęcia, Kip. Czy Ben miał pieniądze?

Cliff podniósł rękę.

- Poczekaj no chwilę, Jim. Instrukcje instrukcjami, ale sam powinienesz odpowiedzieć na parę pytań. Czy miałeś wrażenie, że je ma?

Stubb pokiwał głową.

- Ani centa.

Palce blondynki dotknęły jego palców.

- Jest pan całkiem pewien, Jim?

- Jego dom się rozpadł, a on kochał ten dom. Kilka razy próbowałem zrobić nalot na jego lodówkę, ale nie było tam kompletnie nic do jedzenia. Co jakiś czas komuś z nas robiło się go żal i coś mu kupowaliśmy.

- Mieszkał pan z moim stryjem?

- Kilka dni - rzekł Stubb. - Tak.

- Czy kiedyś mówił panu o tym, że ma... Nie wiem co, to mogło być cokolwiek. Że ma coś wartościowego. Coś w ukryciu? - Ścisnęła jego dłoń.

- Był pani stryjem, a pani nie wie, co miał?

- Uważaj, co mówisz, Jim - ostrzegł Cliff.

- Nic nie szkodzi, panie Rebic, to nic nie szkodzi. On ma prawo zadawać te wszystkie pytania, ma prawo zrozumieć. Nie, panie Stubb, Jim, nie wiem. Tylko tata wiedział, a jego już nie ma pośród nas.

- Myślę, że powinna to pani wyjaśnić - odparł Stubb.

- Spróbuję. Wiele lat temu, kiedy byli całkiem młodymi mężczyznami, mój stryj postanowił opuścić naszą rodzinę. Stanąc na własnych nogach. Patrzyli na niego z nieufnością...

- Nie lubili go.

- Był dzikusiem, jak przypuszczam. On i mój ojciec byli bliźniakami, panie Stubb. Jak to się często zdarza, jeden bliźniak próbował przyciągnąć uwagę przez swoje sukcesy, drugi przez bunt. Mój pradziadek był partnerem Rockefellera i mojej rodzinie nadal bardzo dobrze się powodzi.

Stubb pokiwał głową.

- Tego się spodziewałem.

- Mój stryj Benjamin, to było jego prawdziwe imię. Benjamin Whitten, najwidoczniej oświadczył, że ma zamiar sam zrobić fortunę i móc powiedzieć wszystkim innym, żeby wypchali się sianem.

- To ładnie z jego strony.

- Ale gdy odszedł, odkryli, że zniknął pewien niezwykle cenny przedmiot. Proszę nie pytać jaki, bo nie wiem. Mnie jeszcze nie było na świecie, kiedy to się wydarzyło, a kiedy podrosłam na tyle, żeby się tym zainteresować, nie było już nikogo poza tatą, a on nie chciał mi powiedzieć.

- Cokolwiek to było - rzekł Stubb - pewnie dawno już się rozpułyło.

Dziewczyna zacisnęła usta.

- Nie sądzę. Widzi pan, tata przed śmiercią sam prowadził pewne dochodzenia. Powiedział, że gdyby stryj Ben sprzedał to coś, on by o tym wiedział. I że przez te wszystkie lata owo coś nie zostało sprzedane.

Cliff pochylił się do przodu i potarł dłoń.

- To znaczy, że to musi być albo dzieło sztuki, albo kamień, Jim.

- Jeśli był dosyć sprytny, gotów był pojechać do Amsterdamu i wziąć sobie współnika, mógłby kazać pociąć kamień i nikt by się o niczym nie dowiedział.

- Mógłby, zgoda, ale byłoby mu trudno. W każdym razie ja zgaduję, że to dzieło sztuki. Gdyby to był kamień, pewnie byłby gdzieś w sejfie albo w depozycie i nie pozwoliliby, żeby położył na nim rękę jakiś zbuntowany chłopak. Sztuka wisi na ścianie, nawet jeśli wymaga

bardzo wysokiego ubezpieczenia. Mógł to coś po prostu zdjąć i schować pod płaszczem. Ładny mały Rembrandt, na przykład.

Stubb ruszył brwią w stronę dziewczyny.

- Co z ubezpieczeniami, Kip? Czy pani rodzina coś wtedy dostała?

Potrząsnęła głową.

- My... Ja, teraz, kiedy nie ma taty, posiadam pewne cenne obrazy, panie... Jim. Zawsze, odkąd tylko pamiętam, ubezpieczała je ta sama firma i zadzwoniłam do nich po naleganiach pana Rebica. Ani razu nie zażądaliśmy żadnego dużego odszkodowania. Nigdy.

- To oczywiście, prawda? - zauważył Cliff. - Żeby dostać pieniądze, musieliby powiedzieć, że Ben to coś ukradł, a tego nie chcieli zrobić. Cholera, był przecież bratem starego generała Bucka. Trzymali gębę na kłódkę, mając nadzieję, że wróci do domu. Potem reszta poumierła i Buck zaczął go szukać, ale go nie znalazł.

- A potem generał sam umarł - Stubb dokończył za niego. - A Kip w jakiś sposób dowiedziała się, że stryj Ben został zamordowany. Chciałbym coś o tym usłyszeć, Kip.

Blondynka przez moment wyglądała na trochę zmęczoną, choć jej plecy były tak proste jak zawsze.

- Nie dowiedziałam się wcale, że stryj Benjamin został zamordowany, panie Stubb. Zobaczyłam go w telewizji i zaczęłam szukać.

- Jasne. Rozpoznała go pani od razu, chociaż opuścił rodzinę, zanim pani się urodziła.

- Rozpoznałam. Nie rozumie pan, panie Stubb? On i tata byli identycznymi bliźniakami. Tata zmarł dopiero we wrześniu. Ten mężczyzna miał brodę, ale poza tym wyglądał dokładnie tak jak tata.

Stubb kiwnął głową, częściowo sam do siebie.

- Wczoraj wieczorem dwie kobiety przyszły porozmawiać z panią nazwiskiem Baker, szukając Bena Free. Czy pani była jedną z nich?

- Miałam prawo szukać mego stryja!

- Jasne. Zrobiła to pani? Czy jedną z nich była pani? Kip pokiwała głową.

- Kim była ta druga? Jakaś dziewczyna pracująca dla Cliffa?

- Nie. Ja... ja wtedy jeszcze go nie zaangażowałam. To moja przyjaciółka.

- Ona jest detektywem?

- Nie.

- Potem wynajęła nas - wyjaśnił Cliff - a my natychmiast zabraliśmy się do roboty.

- Nie dość szybko, żeby go ocalić - powiedział cicho Stubb.

- Cholera, Jim, nie mogliśmy tego zrobić. Już wtedy nie żył. Ale znaleźliśmy go i zrobiliśmy zdjęcie, które znasz.

- Tak. Zadzwoniliście też po gliniarzy?

- Musieliśmy. W każdym razie pani Whitten nie chciała pozwolić, żeby tam tak leżał. Był jej stryjem, na rany Chrystusa.

- Na rany Chrystusa, mam nadzieję, że nim był. O której to było?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Stubb otworzył je i miłośnik Agathy Christie wtoczył do środka wózek, z którego roztaczał się zapach mięsa.

- Cholera - rzekł Cliff. - Twoja kanapka. Zapomniałem o niej.

- Ja nie.

- Pani Whitten, czy wypije pani tę drugą kawę?

- Nie ma mowy. Zresztą wolę herbatę. Cliff wyciągnął banknot dziesięciodolarowy.

- Kolego, myślisz, że mógłbyś przynieść tej pani dzbanuszek gorącej herbaty, i to szybko?

- Oczywiście - rzekł miłośnik Agathy Christie, biorąc dziesiątkę. - Będę zaszczycony.

Stubb zuł już kęs wołowiny i chleba. Przełknął, kiedy drzwi się zamknęły.

- O której godzinie, Cliff? Kiedy go znaleźliście?

- Dziś po południu, koło drugiej.

- Gdzie?

- W piwnicy jego domu, przy schodach. Wiesz, gdzie stał ten dom, mieszkałeś u niego aż do wczoraj.

- Co więcej, wróciłem tam dziś rano i przeszukałem dom. Nie było go.

- Włącznie z piwnicą?

- Włącznie z piwnicą.

- To warto wiedzieć. Czy robiłeś to dla tego drugiego klienta, Jim?

- Powiedzmy, że robiłem to dla siebie. Martwiłem się o niego. Był starym człowiekiem, lubiliśmy go i myśleliśmy, że nikt nie wie, gdzie on jest.

- Myśleliście?

- Ktoś wiedział. Ktoś zabrał go tam z powrotem i wykończył, gdy stamtąd wyszedłem.

Chcesz wiedzieć, co przypuszczam?

- Cholera, jasne, jeśli coś przypuszczasz.

- Ktoś szukał tego, co miał Free, cokolwiek to było. Nazwijmy to „dynks”. Wczoraj wpadł im w ręce i trochę go poturbowali. Powiedział: „Zgoda, zabierzcie mnie z powrotem do domu, pokażę wam, gdzie on jest.” W piwnicy było ciemno jak diabli. Musiałem zapalić zapałki, a oni pewnie nie pomyśleli, żeby wziąć latarkę. Free dał nogę. Ale kiedy zbliżył się do schodów - tam było trochę jaśniej - ktoś wpadł w panikę i go zastrzelił.

Cliff wyglądał, jakby miał wątpliwości.

- Takiego starego faceta?

- Tak, takiego starego faceta jak on.

- Jim, ja nie mogę tego kupić. - Cliff spojrzał na Kip, ale Kip nie odpowiedziała mu spojrzeniem. Patrzyła na Stubba, a jej przyjemna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Cliff rzekł: - Jasne, że amatorzy wpadają czasem w panikę, ale tak czy owak...

- Nie mówiłem, że to był amator. Nie sądzę, żeby tak było. Powiedziałeś, że to może być czterdziestka piątka, a to nie jest kaliber amatora. Mylisz się, bo sądzisz, że to był ktoś podobny do ciebie.

- Wal dalej.

- Free musiał mieć prawie osiemdziesiąt lat. - Stubb nie mówił już do Cliffa, lecz do Kip.
- To by znaczyło, że pani tata dobijał sześćdziesiątki, kiedy pani się urodziła, pani Whitten. To nie jest niemożliwe, ale jest mało prawdopodobne. W każdym razie on miał koło osiemdziesiątki, ale był duży i domyślałam się, że jak na starego człowieka jeszcze całkiem silny. Taki Cliff na przykład mógłby go związać i położyć na półce. Ja sam bym sobie z nim poradził, gdybym musiał, a nie jestem żadnym olbrzymem. Ale nie sądzę, żeby pani sobie poradziła.

Dłoń Kip przesuwiała się cał po calu w stronę torebki.

Stubb podniósł się, kopnięciem przewracając krzesło i nagle trzymał w dłoni rewolwer sierżanta Proudya'ego.

- Niech pani tego nie rusza - powiedział. Dłoń zamarła.

- Tak lepiej. Teraz niech pani weźmie ją za pasek i bardzo delikatnie rzuci mi prosto pod nogi. Nigdy nie zastrzeliłem kobiety i nie chcę dziś zaczynać.

Torebka z głuchym stuknięciem uderzyła o podłogę.

- Tak lepiej. Przykro mi to pani mówić, ale to była pierwsza rzecz, która panią zdradziła. Taka duża torebka nie pasuje do reszty stroju, więc zacząłem się zastanawiać, co też pani w niej nosi. Poza tym wczoraj rozmawiałem z panią Baker po tym, jak odwiedziła ją pani i pani przyjaciółka. Wypytywały ją dwie profesjonalistki, nie dwie panienki z towarzystwa.

- Jim, mogę to wyjaśnić - powiedziała Kip.

Stubb przykucnął obok torebki, otworzył ją jedną ręką i gwizdnął.

- Musiała pani obrabować biuro taty. Colt New Service. Wygląda, jakby spadł z pokładu okrętu wojennego. Cliff, pakujesz się?

Cliff potrząsnął głową i rozłożył ramiona tak, że jego marynarka wisiała rozpięta.

- Świetnie. Kip, nie będę pani pytał, co się wydarzyło w tej piwnicy. Może panią przewrócił, zanim spróbował ucieczki. Może chciał panią nabrać i zgubił panią w ciemnościach. Ale kim pani jest naprawdę?

Rozległo się pukanie do drzwi i Stubb odwrócił się na moment, żeby spojrzeć. Dywan poleciał mu w twarz. Kiedy upadł, nawet tego nie poczuł.

ROZDZIAŁ 51

Pieniądze splamione krwią

Starszy mężczyzna za biurkiem skinął głową.

- Rzeczywiście, zrobił to pan. To prawda.
- Czy jestem jeszcze panu potrzebny? - zapytał Illingworth.
- Chce pan powiedzieć, że chce pan swoje honorarium.
- Nie ująłbym tego tak mało oględnie. Drugi mężczyzna zachichotał:
- No i wcale tak pan tego nie ujął.
- Ale skoro sam pan już o tym wspomniał...
- Czy ona coś powiedziała?
- Bardzo mało.

Illingworth wyjął z kieszeni płaszcz płaski magnetofon i podał mu.

- Cudowne gadżety - rzekł stary człowiek. - Po prostu zdumiewające. Nie próbował pan czegoś z niej wyciągnąć?

- Poinstruowano mnie, żebym tego nie robił.

- Mhm. - Stary człowiek odchylił się na krześle, składając palce na piersiach w wieżyczkę. (Illingworth zauważył z aprobatą, że nosił zegarek na łańcuszku.) - Obawiam się, że muszę posłuchać tego, zanim pan odejdzie. Ale zgoda, najpierw pańska należność. Jeśli pan zechce, możemy zdeponować pieniądze na każdym koncju, na jakim pan sobie życzy. Niech mi pan tylko poda numer.

- Jeśli to wam nie sprawi różnicy, sir - rzekł Illingworth - wolałbym gotówkę.

Stary człowiek uśmiechnął się nieznacznie.

- No tak, podatek dochodowy.
- Czy gotówka by wam odpowiadała?
- Bardzo.

Stary człowiek otworzył szufladę i rzucił na biurko zwitek pieniędzy.

- Niech pan przeliczy - rzekł. - To powinny być stare banknoty, różne numery.

- Nie ma potrzeby. Mam do pana zaufanie, sir.

- Przyjemnie mi to słyszeć. To znaczy, że mogę dać panu korzystniejsze warunki, jeśli pan zechce. Tu jest pięć tysięcy, tak?

- Taką sumę ustaliliśmy, owszem.

- Niech pan powie słowo, a możemy tę sumę więcej niż podwoić. Posiada pan dwa małe czasopisma. Cóż, okaże się, że ekscentryczny milioner jakiś czas temu ustanowił dla nich darowiznę, pięć tysięcy dolarów na spory procent. Miały zostać wypłacone właśnie w tym roku, jeśli pisma nadal będą się ukazywały. Ot, taki rodzaj subwencji, żeby wspomóc ową dziedzinę nauki, którą pan się zajmuje. Nie będzie objęta podatkiem, oczywiście. Wystarczy,

żeby używał jej pan na swoje cele, a pieniądze, które by pan wydał, gdyby jej nie było, włożył sobie do kieszeni.

- Rozumiem.

- Dla nas to wszystko jedno.

- Rozumiem - rzekł znowu Illingworth. - No to chyba subwencja - westchnął. - Taka subwencja może być bardzo prestiżowa.

- Ma pan do nas zaufanie. Miło mi to słyszeć.

- Niezupełnie. Tylko całe życie szczyciłem się, że jestem cywilizowanym człowiekiem, a wydaje mi się, że to jest właśnie pewna próba.

Stary człowiek (który był znacznie młodszy od Illingwortha) zachichotał.

- Ma pan rację, tak czy owak. Gdybyśmy chcieli pana oskubać, moglibyśmy pana oskubać na tuzin rozmaitych sposobów, czy byśmy panu dali gotówkę, czy nie. Moglibyśmy na przykład urządzić mały napad, kiedy już pan wróci do domu.

- Wolałbym, żeby pan tego nie robił.

- Cóż, *chacon a son gout*, panie Illingworth. Teraz niech pan zaczeka na zewnątrz, a ja przesłucham nagranie. Zadzwoń i zawiadomię kogo trzeba, jak już będzie pan mógł odejść.

Illingworth wyszedł. Młodszy mężczyzna nie było już przy biurku, a z zewnątrz dobiegały hałasy. Okna były białe od szronu, ale światła, które rozbłyły za nimi, znikły, a potem rozbłyły znowu i wydawało się, że to światła reflektorów samochodowych.

Drzwi biura otworzyły się i starszy mężczyzna wyszedł, wkładając swoją budrysówkę. Nawet nie skinąwszy do Illingwortha ani nie spojrzawszy w jego stronę pospieszył w mróz na zewnątrz. Przez moment Illingworth poczuł pokusę, by wejść do jego pokoju i wziąć z biurka zwitek pieniędzy. Powstrzymała go ostrożność i ponad trzydzieści lat przepracowanych w dziennikarstwie. Zamiast tego podszedł do okna i brzegiem dłoni stopił w szronie otwór, przez który wyjrzał.

Stało tam kilka samochodów, a także kilku ludzi z latarkami. Spróbował rozpoznać starszego mężczyznę po jego budrysówce, ale mógł on być prawie każdą z tłoczących się postaci.

Otworzyły się drzwiczki samochodu. Dość nieoczekiwanie, pomyślał Illingworth, wewnątrz samochodu zapaliło się górne światło. Ze środka wypchnięto małego mężczyznę, który upadł w śnieg z rękami wciąż jakby zaplecionymi za plecami. Dwaj ludzie postawili go znowu na nogi. Może coś powiedział - Illingworth nie mógł być pewny. Jeden z mężczyzn uderzył go w głowę dość mocno, by ją odwrócić, zza zamarznętej szyby dobiegł cichy odgłos uderzenia. W budynku naprzeciw otworzyły się drzwi i jakiś człowiek wprowadził małego mężczyznę do środka.

Illingworth na czas usłyszał chrobot przy drzwiach za swoim łokciem i zdążył się cofnąć. Do środka wszedł człowiek w budrysówce, a za nim wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu

przeciwdeszczowym i drobna blondynka w niebieskich norkach. Wszyscy troje skierowali się do wewnętrznego biura i ktoś zamknął drzwi.

Było jasne, że mężczyzna w budrysówce, kimkolwiek był, nie słuchał jego taśmy. Illingworth zastanowił się, co też mogłoby się stać, gdyby spróbował wyjść. Znowu wyrzwał przez okno. Samochody, które przywiozły niskiego mężczyznę, znikły. Może udałoby mu się wrócić do własnego samochodu, wycofać go z alejki pomiędzy budynkami.

Mogło mu się jednak nie udać. Mogliby go zabić, gdyby tego próbował. Prawie na pewno przepadłaby subwencja. Odkrył, że i tak nie wierzy w tę darowiznę. Wierzył w duchy, w istoty przybierające rozmaite kształty i w przeróżne niemożliwe rzeczy, ale nie wierzył w tę darowiznę. Nigdy nie zobaczy z niej ani grosza. Przyszło mu do głowy, żeby wejść tam z powrotem i poprosić starszego mężczyznę o gotówkę, ale upokorzenie byłoby zbyt wielkie. Gdyby tylko uciekł, wy dostał się nie zrujnowany, być może...

Jako młody człowiek miał dobre poczucie czasu, tak dobre, że gdy kiedyś zawiódł jego zegarek, jego piękny złoty zegarek z tarczą z delikatnej porcelany i z podwójną kopertą, i musiał oddać go do naprawy, nie nosił żadnego innego. Teraz miał wrażenie, że czas prześlizguje mu się między palcami. Czas płynął szybciej. „Czas jest, czas był, czas minął.” Przypomniawszy sobie wiele południ, kiedy miał dwadzieścia lat, które były dłuższe niż teraz całe dni. Myślał o nich przez moment, na przykład o tym, kiedy przywiązali airedale terriera do buldoga doktora Coopera, żeby walczyły ze sobą, i przyglądali się im potem siedząc na białej ławce pod więzieniem.

Na dworze znowu rozległy się hałasy. Wstał, żeby spojrzeć, otulając się płaszczem. W pokoju było zimno, tak zimno, że szyba znów zamarzała.

Samochody, jeden czarny, drugi szary, a może zielony - w świetle reflektorów i roztańczonych laterek trudno było powiedzieć. Więźniem był tym razem trochę wyższy mężczyzna, nagi, pomyślał Illingworth, tylko okryty kocem. Jego dłonie były skrupowane z przodu, żeby mógł przytrzymać koc, który go otulał, ale oczy miał zawiązane tak samo jak poprzedni. Illingworth zastanawiał się, czy cygańskiej księżniczce też tak zawiązali oczy, kiedy ją odprowadzali.

Za mężczyznę z zawiązanymi oczyma szła wysoka, przystojna kobieta i niosła jego ubranie, a w każdym razie jakieś rzeczy, które zapewne należały do niego. Przez chwilę rozmawiała z jednym z mężczyzn z latarkami, podczas gdy ich więzień wykonał mały taniec na śniegu, podnosząc to jedną bosą stopę, to drugą. Mężczyzna z latarką wziął od niej ubranie, a ona ruszyła w stronę budynku Illingwortha.

Cofnął się od szyby i zapalił papierosa, ale wydawało się, że wchodząc wcale nie zwróciła na niego uwagi, choć zatrzymała się, żeby tupaniem otrząsnąć śnieg z butów. Pomyślał, że jest niebywale atrakcyjna jak na kobietę jej wzrostu - musiała mieć przynajmniej sześć stóp - pomimo karnacji prawie tak ciemnej jak u Cyganki. Na błyszczących czarnych włosach miała mały futrzany kapelusik z pawim piórem, kapelusik, który pasował do

sięgającego kostek płaszcza. Nawet góra jej botków obszyta była tym samym cętkowanym futrem. Ich obcasy zabębniły jak oddział muszkietierów, kiedy pomaszerowała do biura starszego człowieka.

Kiedy znikła, Illingworth znów podszedł do swojej dziurki. Prawie natychmiast zza pleców dobiegł go odgłos zasuwy. Wychodził wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Illingworth skinął do niego głową tak, by wyglądało to przyjaźnie, choć z dystansem.

Dłoń wysokiego mężczyzny powędrowała do kieszeni koszuli, ale wysunęła się pusta.

- Nie ma pan czasem jeszcze jednego papierosa, co?

- Oczywiście.

Illingworth wyciągnął swoją srebrną papierośnicę.

- Wielkie dzięki. Jadąc tutaj wypaliłem wszystkie. Mężczyzna wziął papierosa i zapalił go swoją zapalniczką Zippo, a potem wyciągnął rękę.

- Jestem Cliff Rebic.

- Cassius Illingworth.

- Bardzo mi przyjemnie pana poznać. Pracuje pan dla rządu?

- Nie - odparł Illingworth. - Jestem wydawcą.

- Aha. Gazeta?

- Czasopisma.

- Aha - powtórzył Cliff. - Ja jestem prywatnym detektywem. Mam własną agencję. - Poszperał pod czarnym płaszczem i wyjął wizytówkę. - Nigdy nie wiadomo, kiedy się panu przyda kompetentny sztab detektywów, panie Illingworth, a jeśli Doyle & Rebic są dość dobrzy dla ludzi generała Whittena - Cliff pokazał głową na biuro - to są dość dobrzy dla wszystkich.

- Rozumiem. Zatrudnili pana.

- Tak, proszę pana. Zrobili to.

- Mnie także zatrudnili. - Illingworth urwał, przyglądając się sufitowi. - Można powiedzieć, że zwerbowali w ten sposób bardzo kompetentny sztab reporterów moich czasopism.

- Bez żartów. Ile panu płacą?

- Obawiam się, że to musi pozostać tajemnicą.

- Jasne. Wiem, jak to jest. Tylko sobie pomyślałem, że to przydałoby się w mojej pracy, rozumie pan? Oni na przykład niebawem mogą znowu chcieć Doyle'a & Rebica, a ja chciałbym wiedzieć, ile mogą zapłacić. Doyle nie żyje, tak przy okazji. Ja jestem prezesem.

- I vice versa - rzekł Illingworth. - Ja chciałbym wiedzieć, ile zapłacili panu. Nie do druku.

- No to nie ma problemu, co? Niech mi pan powie, to ja powiem panu.

- Wierzy pan w moją prawdomówność?

- Jasne.

- I nie dostosuje pan swojej odpowiedzi do mojej własnej?

- Cholera, skądże.

- Oto, co proponuję. - Illingworth wyciągnął kieszonkowy notes i długopis. - Każdy z nas napisze swoją sumę, złożymy nasze kartki i wymienimy je.

- Rozumiem. Proszę, mam własny notes.

Na moment zapadła cisza, którą przerywało tylko skrzypienie długopisów po papierze i cichy odgłos samochodu na drodze za bramą. Zimno wypełniało pusty pokój jak światło gwiazd.

- W porządku, jest pan gotowy?

Illingworth pokiwał głową i Cliff wręczył mu złożony kawałek papieru. Stary człowiek zgniół go nie czytając i upuścił na brudną podłogę, podając Cliffowi własną kartkę.

- Co to ma znaczyć, do diabła? „Trzydzieści srebrników”?

- Nie rozpozna pan tego cytatu - powiedział mu Illingworth. - *Ale quod scripsi, scripsi.*

Odwrócił się i w tym momencie zmienił się dźwięk jadącego samochodu. Śnieg skrzypiał i strzelał spod gumowych kół. Wynajęty Cadillac Johna B. Sweeta wjeżdżał na ogrodzony teren. W pobliżu silniki samolotów poruszanych śmigłami budziły się do życia jeden po drugim.

ROZDZIAŁ 52

Śmiech Bogów

- Nic się panu nie stało? - zapytała czarownica Stubba.
- Jestem prawie ślepy i boli mnie głowa.
- Ślepy?
- Oni zabrali moje okulary. - Mały detektyw o woskowej twarzy przetarł oczy, a potem potarł skronie. - A może po prostu spadły, kiedy Cliff mi przyłożył. Niech no ten skurczybyk tylko poczeka, aż go dopadnę, jak będzie sam.
- Musi mi pan opowiedzieć, co pana spotkało.
- Madame S., mam ochotę rzygać. W tej chwili nic innego nie muszę, do diabła.
- To jest ważne, a przynajmniej mogłoby być ważne. Niech mi pan powie!
- Niech no pani poczeka. - Stubb niepewnie podniósł się na nogi, trzymając rękę przy gardle. - Cóż miałem wszystko.
- Co pan miał, ty głupcze?
- Złoty zegarek, uścisk dłoni, uroczysty bankiet, dyplom podpisany przez prezesa, domek ozdobiony stiukami na Florydzie, pełen asortyment. Niech mnie pani zaprowadzi do toalety.
- Tu jej nie ma. Jeśli ma pan mdłości, musi pan przełknąć.
- Mówiłem o sobie. Rozumie pani, żeby włożyć do środka i pociągnąć za spłuczkę. Co to, do diabła? - Jego przedramię otarło się o przednią kieszeń płaszcza. Sięgnął do środka i wyciągnął swoje okulary. - Skurczybyk. - Wytarł grube szkła o rękaw. - To Cliff musiał je tam wsadzić. Albo ta dziewczyna. Jasne, założę się, że to musiała być ona. - Włożył je z wyrazem satysfakcji i potoczył wzrokiem po pustym pokoju, zardzewiałych blaszanych krzesłach i czarownicy. - Niech mi pani powie, co się stało z pani oczyma? Płakała pani?
- Panie Stubb, jest pan najbardziej irytującym człowiekiem, jakiego spotkałam, a spotkałam wielką liczbę irytujących ludzi. Niech pan da spokój moim oczom. To rośliny, które trzeba podlewać, jeśli mają rosnąć. Czy pan mi powie, proszę, co się panu przytrafiło? Powtarzam, że to może być ważne, i przypominam panu, że jest pan moim pracownikiem.
- Madame S., poza funduszem na wydatki nigdy nie dała mi pani złamanego grosza.
- Mam bardzo mało pieniędzy, ale zapewniam pana, że dostanie pan swoją zapłatę. Choć w tej chwili jest wątpliwe, bardzo wątpliwe, czy będzie pan kiedyś w stanie wyświadczyć mi najmniejszą przysługę.
- To się jeszcze okaże.
- No, więc niech mi pan nie każe słuchać więcej skarg. Niech mi pan powie!
- Już powiedziałem. Dostałem złoty zegarek. Całodniową przejażdżkę za trzydzieści dolców. Wyrolowali mnie. Zrobili ze mnie...
- Tak?

Stubb przyciągnął jedno ze składanych krzeseł po szarej podłodze pełnej drzazg i usiadł na nim.

- Dostałem sprawę, na jaką chyba czekałem całe życie. Wielka chwila. Bogata, śliczna dziewczyna, w dodatku niższa ode mnie. - Nagle jego twarz skrzyła się w grymas małej dzikiej bestii. - Nie sztydź ze mnie, moja droga. Tak było!

- Nie żartowałam z pana - rzekła czarownica. - I wcale nie patrzyłam na pana inaczej, niż teraz patrzę.

- W porządku. - Rozluźnił się, zdjął okulary i przetarł je machinalnie o rękaw. - Tylko że może ona nie była naprawdę bogata. Może ktoś dawał jej szmalec po to, żeby sprawiała dobre wrażenie. Chodziła jednak do jakichś dobrych szkół. Mówiła w taki sposób.

- Pan ją kochał.

- Chciałem ją kochać - rzekł Stubb. - Ale to było... Cholera, nigdy pani nie zrozumie, Madame S.

- Mogłabym spróbować.

- To było jak... Nie wiem. Jak film puszczany bardzo późno w nocy, kiedy się wstaje i ziewa, i opróżnia popielniczkę, bo wiadomo, że za minutę wszystko się skończy. Wszystko było idealne, po prostu idealne, tyle że ja wiedziałem... O, do diabła!

- Co się stało?

- Od razu powinienem był pani powiedzieć. Free nie żyje.

- Jest pan pewien?

Oczy czarownicy otworzyły się tak szeroko, że przez moment Stubbowi wydawało się, że ujrzy ognie, które płonęły za nimi.

- Raczej tak. Powiedzieli mi to i pokazali zdjęcie. Leżał na betonowej podłodze i było dużo krwi.

- Ale nie widział go pan.

- Nie, naprawdę ciała nie widziałem. No więc owszem, cała rzecz mogła być sfingowana. Ale nie sądzę, żeby tak było.

- Może i nie. Ale tacy jak Free często pojawiają się znowu, chociaż już ich zaliczono do grona nieboszczyków. Chyba ktoś pana uderzył.

- Cliff Rebic. Pani go nie zna. Pracowałem dla niego od czasu do czasu. Ogłuszył mnie pałką. Powiedział temu chłopakowi, boyowi, żeby przyniósł herbatę dla tamtej dziewczyny. Zapomniałem o tym. Obejrzałem się, a Cliff mi przyłożył.

- Pech.

- Mało powiedziane. Kiedy wróciłem do siebie, byłem w kajdankach i miałem zawiązane oczy, a on siedział ze mną na tylnym siedzeniu samochodu. Czułem zapach jego wody po goleniu. Dziewczyna prowadziła. Miała wspaniałe perfumy, a zresztą co jakiś czas mówili coś do siebie. On pracował dla niej, a w każdym razie dla ludzi, dla których ona pracowała. W porządku, oto jak mnie załatwili. A co pani się przydarzyło?

- Niewiele to się różni od tego, co pan mi opowiedział. Dziś oszukałam kogoś o tym samym nazwisku co ktoś, kto ma dużą władzę, tam w dole. Zrobiłam to, choć wiedziałam, jak on się nazywa, tylko wcale mi to nie dało do myślenia. Przysłał...

Drzwi otworzyły się z rozmachem. Potykając się w wejściu, wszedł Barnes, wciąż goły, jeśli nie liczyć opaski na oczach. Mężczyzna, który wepchnął go do środka, rzucił za nim kłęb ubrań. Barnes wpadł na jedno z krzeseł i przewrócił się.

- Co ci się stało, do diabła - rzekł Stubb. - Jak cię tak załatwili?

- Czy to ty, Stubb?

- Jasne, że ja. Nie ruszaj się chwilę. - Krótkie, brudne paznokcie Stubba zaczęły grzebać przy taśmie klejącej, zdzierając ją wraz z częścią brwi Barnesesa. Barnes zawył.

- Tak jest najlepiej. Uporać się z tym jak najszybciej. Teraz poczekaj, to wyjmę scyzoryk i cię uwolnię.

- Pozwolili panu zatrzymać coś podobnego? - zapytała czarownica.

- No jasne. Co ja tym mogłem zrobić? Nie przeciąłbym kajdanków, a poza tym i tak sam nie mógłbym po niego sięgnąć.

- A mnie pozwolili odebrać torebkę. Ale biednego Ozzie'ego rozebrali do gołej skóry.

- Wrzucili tu za nim jego rzeczy - zauważył Stubb.

- Ja chyba sam to zrobiłem - rzekł Barnes. - Chciałem powiedzieć, że to głównie ja sam zdjąłem z siebie większą część ubrania. - Pocierał sobie nadgarstki.

- Ty to dopiero musisz mieć historię do opowiadania - odezwała się czarownica.

- Dobra, ale najpierw chcę czymś przykryć fiuta. Jezusie, nie może pani przynajmniej zamknąć oczu?

- Jak sobie życzysz. Patrz, trzymam przed oczami torebkę. Barnes podniósł szorty w kratkę i zaklął.

- Okradli cię?

- Tak bym powiedział. Te są moje.

- Hej, masz rację. To twój stary garnitur. Nie ukradli ci go w tym szpitalu?

Barnes pokiwał głową.

- Zabrał go marynarz nazwiskiem Reeder.

- A ty wyszedłeś, kiedy jeszcze trwała ta awaria i wykołowałeś jakiegoś innego faceta z jego garnitur.

- Nie. Wziąłem go ze sklepu. Hej, patrz - *Fruit of the Loom!* Znaleźli nawet moją starą bieliznę.

- To miło. Mam nadzieję, że ją wyprali. Włóż to. - Stubb potarł podbródek. - Wiesz, Ozzie, oni nie są tacy sprytni, za jakich się uważają, bo inaczej zawiązałyby ci tylko jedno oko.

Barnes obmacał kieszenie swojego płaszcza.

- Tak, straciłem moje szklane oko i tutaj też go nie ma. Zorientowałeś się, co? Kiedy czytałem tę naszywkę?

- Zorientowałem się i tyle. To nie miało znaczenia, czy patrzyłeś na naszywkę, czy nie. Teraz wkładaj to przekłete ubranie. Madame S. ma już dosyć trzymania torebki przed oczami. Musieli położyć łapy na tym Reederze. Albo pracował dla nich od początku. Nie widziałeś go, odkąd uciekliśmy ze szpitala?

- Cholera, owszem, widziałem. Nieźle mu przyłożyłem w holu w Consorcie za to, że zabrał moje ciuchy.

- No, to nie ma problemu. Wiedzieli, że jesteśmy w Consorcie. Ochroniarz zauważył mnie tam dziś rano, kiedy jadłem śniadanie. Powiedział o tym Cliffowi Rebicowi, a Cliff powiedział im. Mogli to wiedzieć jeszcze wcześniej...

- Ależ wiedzieli! - Czarownica przerwała, odzywając się zza swojej torebki. - Ta dziewczyna, ona pracowała dla Illingwortha. To on mnie tu przywiózł.

- Ma pani na myśli Sandy? - zapytał Stubb.

- Tak. Alexandra Duck. - Czarownica zawahała się. - Może ona o niczym nie wiedziała. Myślę, że bym to wyczuła.

- Illingworth to gość, który wydaje te pisma?

- Tak twierdzi, owszem.

- Wątpię, czy pracował dla nich przed dzisiejszym rankiem - zauważył Stubb. - Powiedziała, że właśnie wtedy do niego zadzwonili. Ale wiedzieli, że mają do niego zadzwonić. Do diabła!

- Coś ci przyszło do głowy?

- To tylko pani Baker. Śledzili ją. Może to był nawet któryś z facetów Cliffa. Te dwie dziewczyny poszły ją przepytwać, a on patrzył, dokąd ona pójdzie. Albo może same ją śledziły. Poszła do Consorta, żeby z nami porozmawiać. Może pani teraz odłożyć torebkę. Ozzie ma już na sobie spodnie.

Czarownica opuściła ją.

- Twoja kolej, Ozzie. Dlaczego przyprowadzili cię tu na golasa?

- Nie przypuszczam, żebym to pani powiedział.

- Ach, naprawdę? - Twarz czarownicy wykrzywiła się w grymasie, sugerującym uśmiech.

- Pan Stubb opowiadał już swoją historię.

- Ja jej nie słyszałem.

- Usłyszysz, jeśli sobie tego życzysz, ode mnie, jeśli nie od samego pana Stubba. Ale pewnie od pana Stubba.

- I tak nie mam zamiaru opowiadać, co mi się zdarzyło! To moja sprawa!

- Jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie, nie będę nalegać, przynajmniej na razie. Czy to było coś, czego się teraz wstydzisz?

Barnes pokiwał głową.

- W wypadku pana Stubba również. Dali mu... Czy mogę to nazwać szansą, jaka zdarza się raz w życiu?

Stubb milczał.

- A on zawiódł. Był dzielny, owszem. I inteligentny również, choć on sam nazwałby to sprytem. Ale w kluczowym momencie coś odwróciło jego uwagę. Nie zareagował inaczej niż ja. Ja też...

- Pani też spojrzała w złą stronę? - Stubb poklepał się po kieszeniach. - Czy nikt nie ma papierosa?

- Nie. Ale też mi się nie udało. Pokazano mi bóstwa, najwyższe bóstwa, jak mi powiedziano. I wyglądały tak, jak zawsze wierzyłam, że wyglądają. Phra, Słońce, Kephri, który jest Życiem, Ked, Bóg Ziemi, Nu, Bóg Wód, Wód Chaosu. Ale to wszystko było powietrze.

- Ja sam nie wierzyłem nigdy w żadną religię - rzekł Barnes. - Ale jeśli panią zranili, jest mi bardzo przykro.

- Ty oddajesz ofiary Kuwerze, Panu Skarbu - powiedziała mu czarownica. - A także Izydzie z Erech. A ponieważ nic o nich nie wiesz, sprowadzają na ciebie plagi.

- Wydaje mi się, że pani samej nie poszło za dobrze - oświadczył Stubb.

- Nie. Najgorsze, to nie jest nic nie wiedzieć o bogach. Najgorsze, to uznać za bogów tych, którzy nimi nie są. W chwili, kiedy sądziłam, że zostałam wyniesiona, okazało się, że wyśmiano mnie i odrzucono. Gdyby to był tylko śmiech mężczyzn i kobiet, nie przejęłabym się. Słyszałam go wiele razy i to jest tylko grzechot kamyków w pustym dzbanie. Ale słyszałam głosy bogów - Many i Skarla, i Kiba, i Sisha, Nieszczyciela Godzin. Ale też prawdziwych bogów - niezależnie, kim oni są.

Barnes dotknął palcem ust.

- Ktoś idzie.

Wszyscy troje umilkli, wsłuchani w odgłos kroków. Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w budrysówkę. Wyglądał, jakby był zmarznięty, miał śnieg na butach i biały dotyk zimy na policzkach, a trochę szronu zebrało się na kolbie ręcznego karabinu maszynowego Thompson, który miał na ramieniu.

- Dobry wieczór - powiedział. - Myślałem, że może chcecie się dowiedzieć, co was spotkało i dokąd wyruszacie.

ROZDZIAŁ 53

In vino, incertus

- Najwyższy czas - rzekł Stubb. - Kim był Free? Barnes wybuchnął:

- Gdzie jest mój dzieciak?

- Powiedziałem, że to wyjaśnię - odparł mężczyzna w budrysówce. - Nie powiedziałem wcale, że pozwolę wam się odpytywać, bo nie pozwolę.

Palec wskazujący jego prawej dłoni odnalazł spust Thompsona.

Ignorując to, co właśnie powiedział, czarownica zapytała:

- Macie zamiar nas zabić?

- Zrobimy z wami, co nam każą - odpowiedział mężczyzna w budrysówce z lekkim znużeniem w głosie.

(Stubb przetaił okulary i nałożył je znowu, pochylając się do przodu na krześle.)

- Jeśli dostaniemy rozkaz, żeby was zlikwidować, to was zlikwidujemy, owszem. Jeśli nam każą zrobić z wami coś innego, zrobimy to. - Odchrząknął i splunął w kąt. - Problem z wami jest taki, że nie chcecie robić tego, co się wam każe. Nigdy nie rozumiecie, że jeśli będziecie robić to, co mówi przywódca, wówczas wszystko zawsze dobrze się skończy, a jeśli nie, to wszystko się zawali. Wszystko po kolei.

- Pan jest szaleńcem! - powiedziała czarownica.

- Ja jestem przywódcą - odparł jej mężczyzna w budrysówce.

- On jest tylko trochę nagrany - rzekł Stubb. - Nie czuje pani gorzały? - Do mężczyzny w budrysówce dodał: - Sam nie miałbym nic przeciw jednemu, proszę pana. Co pan na to?

- Myślisz, że chluśniesz mi nim prosto w oczy i zabierzesz mój karabin.

Mężczyzna w budrysówce potrząsnął Thompsonem, aż zagrzechotały ładunki w magazynku.

- Do diabła, nie chcę niczym chlustać, chcę się napić. Barnes wciskał się w swój garnitur w kratkę.

- Powiedział pan, że zamierza wszystko wyjaśnić. Niech pan to robi. Chciałbym to usłyszeć.

Mężczyzna w budrysówce zachichotał.

- Ja też. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć to, co mam zamiar powiedzieć. To Groucho, jak sądzę. Groucho Marx.

- Wiem. Sam występowałem kiedyś na estradzie.

- Oj, występował pan. No to zacznę od pana. - Mężczyzna w budrysówce przeniósł wzrok z Barnes'a na czarownicę, a potem na Stubba, a lufa Thompsona powędrowała w ślad za jego oczami. - Ale myślę, że byłoby najlepiej, gdybyście wszyscy troje sobie najpierw usiedli.

Barnes opadł na krzesło.

- Dobrze. Niech zacznę od tego, w jaki sposób został założony nasz wielki naród...

- Naprawdę pan jest szalony? - Stubb wpatrywał się w niego.

- Nie, jestem przywódcą, jak wam powiedziałem. Nasz kraj był założony na zasadzie niszczenia tego, co dzikie, przez cywilizację. Pozwólcie, bym się cofnął - jeśli pan Stubb mi to wybaczy - trzydzieści tysięcy lat przed Chrystusem, kiedy to przodkowie Indian przekroczyli to, co stanowi obecnie Cieśninę Beringa, by zająć to, co niektórzy określają pustkowiec. Ci Indianie reprezentowali cywilizację. Bobry ścinały drzewa i budowały tamy, ale Indianie zabijali bobry i obdzierali je ze skór.

- A potem nadeszli biali i zaczęli obdzierać ze skór Indian - wtrącił Barnes.

- Właśnie. Ale pionierzy, którzy zniszczyli Indian i ich kulturę, sami zostali zniszczeni wraz ze swoją kulturą przez osadników, którzy przyszli po nich. Ci osadnicy utracili swoje farmy na rzecz banków, a banki sprzedawały je przedsiębiorstwom, które wniosły do rolnictwa korzyści płynące z życia w organizacji - nieśmiertelność i brak moralności.

W miastach wydarzyło się to samo. Pierwotne miasto pełne niezależnych butików i restauracji zastępują powoli wielkie sieci sklepów i fast-foodów, tak że stopniowo wszystko znajduje się pod coraz większą kontrolą. Być może nikt z was nie zrozumiał do tej pory, dlaczego właśnie tak się je nazywa: sieci.

Nikt się nie odezwał.

- Nie widzicie, jaki nastąpił postęp? Dawne sklepy musiały sprzedawać rzeczy, które chcieli kupować ich klienci. Teraz, kiedy je wyeliminowano, wyeliminowano też ową zależność, a sieci mogą sprzedawać, co tylko zechcą. Ich klienci muszą to kupować, bo nie mają innego sklepu do wyboru. Pytam was wszystkich, jak często zdarza się wam wejść do sklepu W.T. Grant i zobaczyć, że nie ma tam żadnej rzeczy, której potrzebujecie?

Wpatrywali się w niego. Stubb powiedział cicho:

- Chwilami się czuję, jakbym był w niewłaściwym filmie. Pan jest Wolfe Barzell i zaraz przekaże nas Mike'owi Mazurki.

- A pan jest Elisha Cook młodszy w okularach - rzucił mężczyzna w budrysówce. - Nie musi pan tak na mnie patrzeć, jestem pewien, że samemu to panu przyszło do głowy. Na czym to ja stanąłem?

- Właśnie zamierzał pan nam opowiedzieć, jak wygląda w tym wszystkim nasza rola - pomogła czarownica.

Zaśmiał się, odrzucając głowę i postawił do tyłu dwa chwiejne kroki, aż oparł się o futrynę drzwi.

- Wasza rola? Ty moja droga, demoniczna, głupia suko, nie mogłem mieć zamiaru wam powiedzieć, jaka jest wasza rola. Nie macie żadnej roli. Jak powiedział ten tu knypek, jesteście w niewłaściwym filmie. Tu nie ma dla was żadnej roli. Taka jest prawda. Byliście tylko statystami i aktorami od epizodów przez całe wasze życie. Teraz nawet to wam nie zostało. - Jedna dłoń oderwała się od Thompsona i zanurkowała w bocznej kieszeni

budrysówki. Po chwili wynurzyła się ze srebrną piersiówką. Przytrzymując Thompsona pod ramieniem, odkręcił korek i napił się. - Kto mówił, że chce trochę tego?

- To ja, sir - powiedział Stubb. - Knypek.

- Łap!

Rzucił otwartą piersiówkę. Na podłodze został wąski strumyczek whisky.

Stubb napił się i podał piersiówkę Barnesowi, który najpierw zaproponował ją czarownicy, a potem sam się napił, kiedy odmówiła.

- Pozwólcie, że tak to ujmę - kontynuował mężczyzna w budrysówce. - Niegdyś Amerykanami byli Indianie. Nie było innych Amerykanów. Traperzy byli Amerykanami, Amerykanami swojej epoki. Potem farmerzy, ze swoimi dwukólkami i swoimi końmi, i białymi domami z desek. Nawet dziś, kiedy patrzysz na Wuję Sama na obrazkach, widzisz, jak tamci farmerzy lubili się ubierać na jarmark w swoim hrabstwie. Tylko że farmerzy nie są już prawdziwymi Amerykanami. Indianie też nie. Te biedne skurczybyki, Indianie, nie są nawet cudzoziemcami, a my bardziej lubimy cudzoziemców niż Amerykanów, bo cudzoziemcy to Amerykanie przyszłości. Traperzy odeszli w niepamięć i wy też niebawem odejdziecie. - Pomacał kieszeń szukając piersiówki, a potem przypomniał sobie, że rzucił ją Stubbowi. - Wy też nie jesteście Amerykanami. - Jego głos zrobił się gniewny i trochę donośniejszy. - Żadne z was, żadne, do diabła, nie posiada nawet prześcieradła z kolekcji któregoś z wielkich projektantów mody. Ani zestawu pasujących do siebie ręczników. Nie nosicie dżinsów znanych firm i nie uprawiacie joggingu. Jesteście gównem. Jesteście po prostu gównem!

- Prędej bym umarła! - Gwałtowny wybuch czarownicy zaskoczył wszystkich trzech mężczyzn. - Prędej bym umarła, niż ktoś by mnie zobaczył w tych waszych niebieskich dżinsach.

- Nie jest pani Amerykanką - powtórzył mężczyzna w budrysówce. - To właśnie chciałem powiedzieć.

- A czy kiedykolwiek mówiłam, że jestem? Albo chciałam być? Jestem Cyganką i księżniczką. I ofiarą własnej głupoty, bo właśnie to ze mnie zrobiliście. Ale będę też mówić w imieniu Indian, bo oni byli koczownikami, kiedy jeszcze robili to, co dyktował im własny rozum, a nie wasz, a my pozostaliśmy koczownikami do dzisiaj i będziemy nimi, choć możecie nas wybić w pień. - Gdy zaczerpnęła oddechu, zabrzmiało to prawie jak łkanie. - Zwyciężyliście nas, ale nie podbiliście. Aby nas podbić, musicie pokonać nas fair, a wy nie pokonaliście nas fair, więc tylko rzuciliście nas na ziemię, ale nie wygraliście z nami.

Aby nas podbić, potrzebna jest godność i właśnie dlatego nas nie podbiliście. Człowiek może uciekać przed osą, osa może go nawet użądlić, ale osa go nie podbiła. Ona pozostaje owadem, on nadal jest człowiekiem. Ubieracie się jak idioci, paplacie i podskakujecie jak małpy, a wasi książęta żenią się z dziwkami. Właśnie dlatego nawet ci, których starliście na

proch, nie będą was nazywać panami. Nikt nie będzie was nazywać swoim panem, póki nie traficie na naród głupszy niż wy sami.

Uśmiechając się do mężczyzny w budrysówce, Stubb zaklaskał. Barnes dołączył się do braw.

Przez moment mężczyzna w budrysówce milczał, przesuwając wylot lufy Thompsona ze Stubba na Barnes'a i z powrotem. Potem powiedział:

- W porządku, starałem się wam wyjaśnić. Myślałem, że może będzie z tego co dobrego. Kazano nam wysłać was na górę, więc właśnie tam jedziecie.

- To brzmi ciekawiej niż ta cała filozofia - rzekł Stubb. - Nigdy mi się za bardzo nie podobała. Chcecie nas wysłać do Waszyngtonu?

Mężczyzna w budrysówce potrząsnął głową.

- Powiedziałem „na górę”. Do ludzi, którzy naprawdę sterują wszystkim, sterują całym światem. Chcą zobaczyć całą waszą czwórkę i niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem dlaczego. Wylecicie zaraz, jak dotrze tutaj tamta... - Zachichotał. - Nie wiem, dlaczego to wszystko, ale macie dużo szczęścia. Za kilka lat nie lecielibyście tam po prostu samolotem. Musielibyście polecieć ponad stratosferę, w przestrzeń kosmiczną. Taka jest prawda.

- Podniebna Kraina - powiedział Stubb.

- No właśnie, Podniebna Kraina. To się zaczęło zaraz po Pearl Harbor, kiedy wszyscy się bali, że hitlerowcy mogą pojawić się w zatoce Chesapeake. Rząd był diabelnie narażony na atak, ale to by zaszkodziło morale narodu, gdyby przenieść go w jakieś inne miejsce, na przykład do Kansas City, chociaż był za tym senator Truman i jeszcze paru innych. No więc postanowili wsadzić najważniejszych ludzi w samolot i wozić ich w kółko.

- Ma pan na myśli prezydenta Roosevelta? - zapytał Barnes. - Mój tata często o nim mówił.

Mężczyzna w budrysówce potrząsnął głową.

- Prezydent nie należy do najważniejszych ludzi. Nigdy nie należał. Stanowi tylko fasadę. To byli ludzie, którzy podejmowali decyzje. „Podniebna Kraina” jest kryptonimem samolotu, rozumiecie. Jego duża część była zrobiona z drewna. To oszczędziło metalu o strategicznym znaczeniu dla bombowców i myśliwców. Nawet w tamtych czasach ciągle nad nim pracowali, powiększając go podczas lotu. Harry Hopkins, myślę, że to był on, powiedział nawet jakiś żart o świerku rosnącym na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Zrozumieliście?

Stubb pokiwał głową.

- Jasne. Czy mamy się śmiać?

- W tamtych czasach musieli lądować i startować ponownie co jakieś osiem godzin. Ale kiedy byli w powietrzu, nic ich nie mogło dopaść, chyba że Goering wymyśliłby jakiś sposób, żeby tam wysłać swoje myśliwce latające na dużych wysokościach. No więc jednym z problemów, nad którymi pracowali, było jak dłużej utrzymywać samolot w powietrzu. Może słyszeliście o *Świerkowej Gęsi* Howarda Hughesa? O tym wielkim samolocie lądującym na

wodzie? To był pomysł, który się nie sprawdził. Teraz w ogóle nie muszą już lądować, i niedługo będą zbyt wysoko, żeby...

Młodszy mężczyzna otworzył drzwi i zajrzał do pokoju.

- Potrzebujemy tam pana, generale. Mężczyzna w budrysówce spojrzął na niego.

- Kłopoty?

- Nic poważnego, sir. - Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami. - Ale może pan coś wymyśli.

- Zostańcie, gdzie jesteście - powiedział do nich mężczyzna w budrysówce. - Nie chciałbym was stracić, a jeśli wyjdziecie z tego pokoju, któryś z patroli pewnie was zastrzeli.

Zamknął za sobą drzwi i usłyszeli szcęk zamka. Barnes odezwał się pierwszy.

- Cóż, co o tym myślisz?

Stubb pogłaskał siniaka z boku głowy.

- A co ty myślisz? - powiedział. - Zmęczyło mnie bycie spryciarzem. Myślę, że powinienem przez chwilę posłuchać pomysłów innych.

Barnes zawahał się.

- Po pierwsze, pan Free przyjechał z tego samolotu. „Podniebna Kraina”, tak powiedział, prawda?

- Albo chciał, byśmy myśleli, że stamtąd przyjechał. Albo oni chcą, żebyśmy tak myśleli. Ale owszem, załóżmy, że tak było. Czy zostało jeszcze trochę szkockiej?

- W tym? - Barnes podniósł piersiówkę, którą zdobiły przeplatające się trójkąty. - Może jeden dobry łyk, jak sądzę.

- Chce go pani, Madame S.? Czarownica potrząsnęła głową.

- To ja się napiję. - Stubb wytarł wierzch piersiówki dłonią. - Pozwólcie, że zadam wam obojgu pytanie, i tym razem nie robię tego tylko dla własnej rozrywki, choć Bóg jeden wie, jak często mi się to zdarzało. Teraz naprawdę chcę wiedzieć. Dlaczego my?

Nikt nie odpowiedział.

Stubb przechylił piersiówkę, przełknął i otrząsnął się.

- Miłe. Ale przypuśćmy teraz, że ten generał nie wtykał nam kitu. Dlaczego jesteśmy tacy cholernie ważni, że ci faceci, którzy cały czas latają tam w kółko, chcą się z nami zobaczyć? Albo przypuśćmy, że kłamał. To jeszcze gorzej. Dlaczego mógłby chcieć, żebyśmy myśleli, że Free pochodził z tego samolotu?

- Ja mam lepsze pytanie - rzuciła czarownica. - Lepsze, bo zna pan odpowiedź. Zanim pan usłyszał, jak ten młody człowiek powiedział „generale”, zwrócił się pan do niego „sir”. Wiedział pan, że jest oficerem, a w każdym razie tak podejrzewał. Tylko skąd?

- To nic wielkiego, Madame S. Miał brązowe buty wyglansowane na wysoki połysk, a ta dziewczyna, o której pani mówiłem, powiedziała, że jej ojciec był generałem. Może on nie jest jej ojcem, ale ona pewnie myśli o nim jak o ojcu lub wuju - powiedziała, że na imię miał

Samuel, więc byłby to wuj Sam - a większość ludzi, kiedy ma wymyślić w pośpiechu jakieś kłamstwa, wykorzystuje to, co im ciągle chodzi po głowie.

- Nie uwierzyłeś mu? - zapytał Barnes.

Stubb wzruszył ramionami i wypił ostatni łyk z piersiówki, a potem chwilę przyglądał się jej zdobionym srebrnym bokom.

- Wyglądało na to, że on tu jest szefem. Czy wybraliby do zarządzania wszystkim faceta, któremu czasem płaczą się nogi i który dobiera się do butelki? Cholera, może by i wybrali, nigdy nie wiadomo. Może on ich finansuje i nie mieli innego wyjścia. Ale jeśli on byłby naprawdę sprytnym facetem, człowiekiem, jakiego można by się spodziewać na odpowiedzialnym stanowisku, i chciał nam wcisnąć jakieś bujdy, to mógł być to niezły sposób. Wie, że zadamy sobie pytanie, dlaczego on nam to wszystko mówi? No więc daje nam gotową odpowiedź - bo jest zalany.

- Bardzo mądrze - powiedziała czarownica. - Tylko dlaczego on chce, żebyśmy uwierzyli w to, co on mówi?

ROZDZIAŁ 54

Załadunek

- W porządku, poruczniku, o co chodzi? - zapytał mężczyzna w budrysówce.

- Ona tu jest, sir. Prom powietrzny już się rozgrzewa.

- Wiem, słyszę.

- Tylko że nie możemy wyciągnąć jej z samochodu, sir.

- Chce pan powiedzieć, że ma broń? Użyjcie gazu.

- Ona już jest nieprzytomna, sir, albo prawie. Po prostu nie możemy jej wyciągnąć.

Kiedy wyszli w mroźną noc, młodszy mężczyzna wyjął chusteczkę i otarł czoło.

Na śniegu stał cichy i ciemny czarny Cadillac, a dwaj mężczyźni i kobieta zaglądali przez okna do środka. Młodszy mężczyzna wskazał na dwóch mężczyzn.

- To oni ją tu przywieźli, sir.

Jeden z nich podszedł bliżej z wyciągniętą ręką.

- Jestem John B. Sweet, generale Whitten. Wiceprezes do spraw sprzedaży „Mordoklejki Myszki Miki Corporation”.

Mężczyzna w budrysówce potrząsnął jego dłonią, pozwalając, by Thompson wisiał mu na lewym ramieniu z lufą wycelowaną w zdeptany śnieg.

- Rozmawialiśmy przez telefon - powiedział mężczyzna w budrysówce.

- Jak najbardziej - zgodził się Sweet. - Chciałem tylko powiedzieć panu osobiście, że my w „Miki” jesteśmy zawsze gotowi wypełnić nasz obowiązek.

- Przekażemy to komu trzeba. Domyślam się, że ten pan jest z restauracji, którą pan rekomendował?

Drugi mężczyzna też podszedł bliżej, ale nie wyciągnął ręki.

- Jestem Walter Pearson - powiedział.

- To pan prowadził?

- Tak, sir. Podałem im też posiłek i pomogłem panu Sweetowi zabrać ją do samochodu.

Młodszy mężczyzna przerwał mu, mówiąc:

- Jak wyście ją tam wpakowali? To właśnie chciałbym wiedzieć.

- Jak każdego innego, sir. Pan Sweet tak jakby ją przytrzymał, a ja otworzyłem drzwi i popchnąłem lekko.

- Należy się panu jakaś nagroda - powiedział mężczyzna w budrysówce. - Co by pan sobie życzył?

- Tylko żeby mnie ktoś odwiózł do domu, sir.

- Jest pan patriotą, Pearson. Żałuję, że nie ma zbyt wielu takich jak pan. Pan Sweet będzie musiał odstawić swój samochód. Jest wypożyczony, jak sądzę?

Sweet pokiwał głową.

- To Avis. Zawsze się nimi posługujemy.

- Ale dziś już nie poleci pan do domu. Niech pan zabierze Pearsona tam, dokąd chce jechać.

Mężczyzna w budrysówce odwrócił się do młodszego mężczyzny.

- No, więc co to za problem?

- Nie możemy jej wydostać, sir. To wszystko. Drzwi są za małe, a ona musi ważyć ponad trzysta funtów.

- Wątpię - powiedział Sweet.

- Ja też - odparł mężczyzna w budrysówce. - W jej aktach jest napisane dwieście pięćdziesiąt.

- Powinien pan ją zobaczyć, sir - zasugerował młodszy mężczyzna.

- Ma pan rację, poruczniku. - Mężczyzna w budrysówce ruszył po śniegu. - Ma pan latarkę?

Robin Valor mruknęła: „Tak już lepiej” i otworzyła prawe tylne drzwiczki Cadillaca, zapalając górne światło.

Candy leżała rozwalona na tylnym siedzeniu. Kiedy zapaliło się światło, jej oczy otworzyły się na moment, a potem znów zamknęły. Podłogę pokrywały pudełeczka od cukierków w kształcie serca i całe zaspas malutkich miseczek z karbowanego papieru.

- Pan ją tym karmił? - mężczyzna w budrysówce zapytał Sweeta.

- Miałem trochę próbek. Asortyment na Świętego Walentego i nasza czterogwiazdkowa kolekcja czekoladek z likierem. Zobaczyła je.

- Mhm - powiedział mężczyzna w budrysówce.

- Nie pomyślałem, że po drodze zje wszystkie.

- Wątpię, czy to coś zmieniło. - Przeniósł wzrok ze Sweeta na kelnera. - Niech dobrze zrozumieć. Pan Sweet zawiózł ją do restauracji tym samochodem? Siedziała z przodu obok pana?

Sweet kiwnął głową.

- Zjedliście kolację. Pearson pomógł ją wyprowadzić z restauracji i posadzić na tylnym siedzeniu. Zgadza się?

Tym razem obaj pokiwali głowami, Sweet i kelner.

- Pan jechał z tyłu razem z nią, dając jej cukierki, żeby siedziała cicho. Nie mam żadnych obiekcji co do tego, w najmniejszym stopniu. Pearson prowadził. Czy tak właśnie było?

Kelner potwierdził, a Sweet powiedział:

- Tak, sir.

Mężczyzna w budrysówce przyjrzał się przez chwilę czarnemu samochodowi i potrząsnął głową.

- Kiedyś Cadillaki to były ogromne, wielkie samochody. Mam takiego. Pamięta pan, jakie one były, Sweet?

- Oczywiście, generale. Te jednak łatwiej zaparkować.

- Chyba ma pan rację. Dziś wieczorem pewien starszy dżentelmen przyjechał tu starym Packardem. Wspaniały samochód. Może pan go widział?

- Tak, sir - przyznał Sweet. - Chyba widziałem - wskazał palcem - tam, pomiędzy tamtymi dwoma budynkami.

- Nie zanotował pan przypadkiem numerów rejestracyjnych? Żaden z was?

Sweet potrząsnął głową. Kelner zrobił to samo.

- Dobrze. Spostrzegawczość to cudowna rzecz, ale to tak, jak z uprzejmością albo z ochotą na dobrą gorzałkę albo z każdym innym apetytem. Trzeba wiedzieć, kiedy przestać. - Podał swojego Thompsona młodszemu mężczyźnie, obszedł przód samochodu dookoła, otworzył drzwi z lewej strony, usiadł na miejscu kierowcy i zamknął drzwiczki za sobą. Jego głowa i ramiona podskoczyły do przodu. Wysiadł znowu. - Spróbujcie teraz - powiedział.

Młodszy mężczyzna podał Thompsona Sweetowi i znów otworzył prawe tylne drzwiczki.

Z drugiej strony Robin Valor zawołała:

- Ja też mam pomysł. Wsiądę tam razem z nią, jeśli tylko możecie się nią zająć, kiedy już stamtąd wyjdzie.

- Wolalbym być z Pattonem w Północnej Afryce - mruknął młodszy mężczyzna. - Niech pan będzie gotowy, Pearson.

W środku Cadillaca Robin szukała czegoś w torebce. Przez moment słabe światło zamigotało błyskiem stali. Jej prawa pięść opadła pod gigantyczne uda Candy i dźgnęła. Candy rzuciła się wprzód ze znacznie większym impetem, niż przedtem zrobił to mężczyzna w budrysówce, a jej niebieskie oczy szeroko się otworzyły. Robin dźgnęła ją jeszcze raz.

Ze zduszonym rykiem Candy odwróciła się w jej stronę i oplótła ją grubymi ramionami. Śniada kobieta wrzasnęła. Młodszy mężczyzna wyciągnął spod płaszcza automatyczną czterdziestkę piątkę i pomachał nią bez większego pożytku.

- Zamknij się!

Mężczyzna w budrysówce pochylił się przed Cadillakiem i spróbował złapać walczącą kobiety, by chwilę potem wyciągnąć stamtąd skrwawioną rękę.

Razem wypadły przez otwarte drzwiczki na śnieg, jakby nagle wypluł je samochód. Robin leżała pod Candy, której palce były zaplątane w jej włosy. Kip wyjęła z torebki swój wielki rewolwer i dwa razy szybko uderzyła Candy w głowę jego kolbą. Uderzenia stali w kość złały się niemal w jedno uderzenie, jak zlewa się lewy i prawy cios, zadany przez dobrego boksera wagi półciężkiej w worek treningowy. Młodszy mężczyzna i kelner ściągnęli Candy z Robin i pomogli Robin wstać.

- Chryste Panie. - Zaczerpnęła oddechu. - Myślałam, że ona mnie zabije.

Machając ramionami próbowała otrzepać płaszcz ze śniegu. Kelner zabrał z wnętrza Cadillaca torebkę i podał Robin.

- Udało ci się! - zawołała Kip. - Co ty w nią wbiłaś, Robie, nóż?

- Pilnik do paznokci. - Robin wciąż ciężko dyszała z ciemnymi policzkami zaróżowionymi pod makijażem od napływu krwi. - Wypadając znalazła się na górze, nie mogłam złapać tchu. Nie miałam więcej do powiedzenia niż małe kociątko. Mężczyzna w budrysówce popatrzył na Candy.

- Dwieście osiemdziesiąt, być może - powiedział. - Podzielone na cztery, to i tak niemal sto funtów na osobę. Macie szczęście, że nie musieliście wynosić jej z tej restauracji.

Sweet ukląkł koło Candy.

- Nic jej się nie stało?

- Nie wiadomo. Kip ma dobry forhand, a to jest duży rewolwer. Gdyby uderzyła ją tym w skroń, mogłaby wyrzucić jej prawdziwą krzywdę.

- Za uchem, tato - powiedziała Kip. Włożyła rewolwer z powrotem do torebki.

- Poruczniku, niech pan złapie jedną nogę, ja złapię drugą. Sweet, niech pan chwyci jedno z ramion i spróbuje włożyć jej rękę pod bark. Pearson, pan zajmie się drugim barkiem.

Cała czwórka natężyła się jak mogła i głowa oraz stopy Candy podniosły się w powietrze.

- Nie podnieśliście jej siedzenia - powiedziała Kip.

- Nie damy rady - stęknął młodszy mężczyzna. Mężczyzna w budrysówce pochylił się na moment, jakby sprawdzał, czy tłumik i rura wydechowa samochodu nie zaczepiają o ziemię.

- Spróbujcie nią poruszyć. Powinno ślizgać się po śniegu. Ślizgało się.

- Dokąd ją zabieramy? - Kelner zaczerpnął oddechu.

- Dookoła tamtego budynku, a potem do samolotu.

Pilot, przetestowawszy silniki, zgasił je. Cichy kanciasty samolot stał z nieruchomymi śmigłami u początku pasa startowego obsypanego śnieżnym pyłem. Długonoga blondynka wymalowana na jego kadłubie wyglądała, jakby była lekko zażenowana składanymi schodkami przyciśniętymi do jego boku. Mężczyzna w budrysówce nakazał gestem, by się zatrzymali.

- Sweet, Pearson, jeszcze raz wam dziękuję w imieniu naszego kraju. Do widzenia i pamiętajcie, że język lepiej trzymać za zębami.

Przytaknęli i odeszli w pośpiechu.

Kip i Robin pilnowały Candy, podczas gdy mężczyzna w budrysówce i młodszy mężczyzna weszli do środka, by wyprowadzić Stubba, Barnes i czarownicę.

- Będziecie musieli wnieść ją do samolotu - powiedział do nich.

- Nie damy rady - zaprotestował Barnes, spoglądając w dół na Candy.

- Jeśli tego nie zrobicie - rzekł mężczyzna w budrysówce - zastrzelimy was tu, gdzie stoicie.

Podniósł Thompsona.

Bez słowa Barnes pochylił się, by ująć kostki nóg Candy.

Stubb klęknął koło niej w śniegu.

- Nie musimy jej nosić - obwieścił. - Ona jest przytomna.

Oczy wciąż miała zamknięte, lecz w ich kącikach lśniły łzy. Powoli jedna mała, pulchna dłoń podniosła się, by dotknąć boku głowy.

- Gdzie jest Mały Ozzie? - zapytał Barnes.

- Jeszcze kilka godzin temu tak się nim nie przejmowałeś - odezwała się Robin.

- Ty też za bardzo się nią nie przejmowałeś - rzuciła Kip do Stubba. - Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Zostawiłbyś ją, gdybym tylko kiwnęła palcem.

- Widzicie - mruknął mężczyzna w budrysówce - jesteście zdrajcami jak my wszyscy, którzy zdradzamy samych siebie. - Jego usta ułożyły się w uśmiech. - Taka jest prawda. Zwykła prawda.

- A ja? - zapytała czarownica. - Czy ja zdradziłam jakąś obietnicę, jakiś cel? Nigdy niczego nie obiecywałam tym trojgu i nikogo z nich nie zdradziłam. Nie musi nam pan robić wykładu o tej biednej dziewczynie. Wiemy, że porzuciłaby pana Stubba albo każdego innego, żeby tylko napełnić swój brzuch. Ale co ze mną?

Mężczyzna w budrysówce wciąż się uśmiechał.

- Pozostała pani wierna, powiada pani? Wierna czemu?

- Wiedzy! Idealowi najwyższej prawdy.

- Wyznawiała pani wszelkie kłamstwa niezależnie od tego, czy były mądre, czy głupie. Kiedy już się pani zbliżała do końca swych poszukiwań, dała się pani nabrać głupiemu staremu mężczyźnie, którego wysłaliśmy do pani Króla, kilku aktorom w kostiumach i paru kolorowym światłom w hangarze. - Urwał. - Staraliśmy się wszystkich z was sprowadzić tak nisko, jak tylko się dało. Ty, Marie, byłaś jedyną osobą, która nie doszła nigdy do tego punktu, w którym nie mogłaby już spaść niżej.

- Dlaczego? - zapytał Stubb.

Candy siedziała na śniegu z wyciągniętymi rozkraczonymi nogami i brzuchem opartym na kolanach.

Stubb klęczał koło niej jak małpa, otaczając ją ramieniem.

- Bo takie były rozkazy z góry. Sprawdzić was, a potem was tam wyekspediować. Myślę, że wszyscy oblaliście egzamin. Teraz już za dużo czasu zmarnowaliśmy. Postawcie ją na nogi.

- Niech no pan poczeka. - Barnes wziął Candy za rękę. - Powiedział pan, że kiedy to zrobimy, powie mi pan o moim synu.

Mężczyzna w budrysówce pokiwał głową.

- Kiedy wprowadzicie ją po tych schodach i do samolotu.

Barnes i Stubb ciągnęli. Czarownica dołączyła do nich, popychając z całych sił. Candy podniosła się i zachwiała. Dwa razy nieomal nie upadła, ale w końcu wdrapała się po wąskiej rampie, jak niegdyś wdrapywała się po schodach domu Free. Na górze stał młody człowiek w kurtce pilota z bronią w ręce.

- Uciekł nam - zawołał do Barnes'a mężczyzna w budrysówce.

ROZDZIAŁ 55

W samolocie

Stubb usadowił Candy na siedzeniu, gdzie zaczęła kołysać się do przodu i do tyłu pocierając bok głowy. Siedzenia były zrobione z metalu, w którym powywiercano dziury. Pomiędzy nimi a przodem samolotu znajdowała się ścianka działowa. Jej drzwi stały otworem, lecz ustawił się tam młody człowiek z karabinem. Stubb uznał, że był on drugim pilotem - jedno z miejsc w kokpicie było puste. Wydawało mu się, że na prostokątnej naszywce na lewym ramieniu kurtki pilota widnieje śmigło i skrzydła, ale ciemności nie pozwalały, by mógł zobaczyć dokładnie. Było zimno i ogłuszały ich ryczące na zewnątrz silniki. Powoli i niemal niezgrabnie samolot przechylił się. Za oknami pokazały się światła czynnych, publicznych części lotniska i wydawało się, że są bardzo daleko. Dalej była tylko ośnieżona ciemność. W tyle samolotu świeciło słabe niebieskawe światło, a z deski rozdzielczej w kokpicie roztaczała się jeszcze słabsza poświata.

- Czy ktoś ma papierosa? - wychrypiała Candy. - Poproszę?

Stubb potrząsnął głową.

- Ozzie, proszę? Papierosa? - Zrobiła ruchy, jakby paliła.

- Skończyły mi się - odparł Barnes.

Czarownica otworzyła torebkę, a potem zatrasnęła ją znowu.

- Ja też nie mam. Teraz pamiętam, że ostatniego dostałam od pana Illingwortha. Pani go nie zna.

- To wydawca *Przyrodzonego Nadprzyrodzonego* i tego drugiego - wyjaśnił Stubb. - Szeef Sandy.

- Patrzcie no! - Candy wskazała za okno. Wydawało się, że miasto wypełnia całe niebo swą chaotyczną konstelacją. - To jest piękne! Mój Boże, czy to nie jest piękne? - Jej głos brzmiał trochę niewyraźnie.

- Jasne - rzekł Stubb. Ścisnął jej dłoń.

- Pan Illingworth palił angielskie papierosy - ciągnęła czarownica. - Playersy. Teraz można je wszędzie kupić w tym kraju, ale on o tym nie wiedział. Ja zawsze wolałam te, które nazywa się rosyjskimi papierosami, chociaż moje robione były w Turcji. Ale teraz, kiedy nie mam ani jednych, ani drugich, zaczynam się zastanawiać czy to, że je wolałam, nie było tylko pozą. Jestem pewna, że on pozował. Wątpię, czy tak jak ja zgodziłby się przyznać, że zachowuje się jak *poseur*, nawet przed samym sobą.

- Czy ktoś nie ma jakiegoś alkoholu? - spytała Candy. Nikt się nie odezwał.

- Albo aspiryny. Alka Seltzera. Boli mnie głowa.

- Mnie też - odparł Stubb. - I nie pamiętam, że bym zakładał ciemne okulary.

Barnes, który siedział pochylony z głową w dłoniach, poklepał ją po ramieniu i wskazał w stronę młodego człowieka, który szperał pod swoją kurtką lotniczą.

- Och, dzięki Bogu!

Młody mężczyzna wyciągnął w jej stronę papierosy, krzyząc tak, żeby go usłyszała:

- Camele mogą być, proszę pani?

- Uwielbiam je! - Candy zachwiała się, wstając z fotela. Stubb złapał ją i podtrzymał, a potem pochylił się, żeby spojrzeć na opakowanie, z którego wyciągnęła papierosa.

- Troszkę za dużo wina do kolacji - rzekła Candy. - Przykro mi.

Młody człowiek pokiwał głową.

- Wiem, jak to jest, proszę pani. Proszę pana, jeśli pan też chce jednego, niech pan się poczęstuje.

- Chętnie - rzekł Stubb. - Dzięki.

Kiedy znów siedzieli w fotelach, Stubb poklepał się po kieszeniach. Barnes powiedział:

- Proszę. - I wyciągnął zapalki.

Stubb zapalił oba papierosy. Candy zapytała:

- Chce pani macha, Madame Serpentina?

- Nie, dziękuję. Poczekam. - Siedziała najbliżej młodego mężczyzny w kurtce lotniczej i mówiła dość głośno, żeby ją usłyszał.

- Chyba że może...

- Jasne - powiedział i jeszcze raz wyciągnął paczkę. Madame Serpentina wzięła papierosa.

- Nie musi pan się fatygować, panie Stubb. Ciągle mam swoją zapalniczkę.

Stubb wpatrywał się w zapalki.

- Mogę je sobie zatrzymać, Ozzie? Skąd je wzięłeś? Barnes zastanowił się przez chwilę.

- Chyba należały do Robin. Kiedy mi oddali stare ubranie, przełożyli rzeczy z kieszeni.

Stubb wpatrywał się w zapalki. Nic mu nie przychodziło do głowy, nic prócz szalonych myśli, i umarłby raczej, niżby je wypowiedział na głos. Myśl, że byli w niewłaściwym filmie, wróciła do niego z nieoczekiwaną siłą, ale teraz wydawało mu się, że nie są aktorami, lecz siedzą na widowni. Kiedyś leciał do Kalifornii i z powrotem, i w obie strony oglądał w samolocie jakiś zły film. Zastanawiał się, kto teraz pilotował samolot. Reagan, pomyślał. Ronald Reagan w *Diabłach z marynarki*. Ale nie, to było w telewizorze starego Bena Free. Free wychodzi z kuchni i włącza telewizor, z ciężkim, staromodnym karabinem maszynowym w ręku.

Być może tego wymagał scenariusz. To był niewłaściwy film, a teraz powoli dobiegał końca, choć Stubb kupił bilet zaledwie przed minutą. Zaraz zapalą się światła i razem z resztą widowni wyjdzie z kina. Na jakie ulice?

Wtedy zdał sobie sprawę, że myślał o śmierci, o swojej własnej śmierci, że jego umysł krążył wokół śmierci, jak stary samolot krążył nad miastem, wspinając się, wspinając się, wciąż nie będąc w stanie przyznać się przed samym sobą, w jakich rejonach przebywa. Dlaczego zawsze myślał, że śmierć to coś ciemnego? Dlaczego nie błysk światła, koniec

filmu na brudnym, opadającym ekranie jego oczu? Kiedy Cliff, ten skurczybyk, przyłożył mu swoją krótką pałką, zobaczył błyski światła, zobaczył gwiazdy, nie ciemność.

Teraz wstanę, pomyślał. Wyjdę, jakbym miał kupić batonik w barze, schowam się w toalecie. Ciekawe, czy wyjścia awaryjne są otwarte? Może one prowadzą prosto do gwiazd i nie trzeba przechodzić przez tamto miejsce. Przez hol. Nie wolno im zamykać wyjść awaryjnych, ale czasami tak robią, owijają łańcuchy wokół klamek, nakładają kłódki.

Chryste, patrzcie na mnie. Miałem być twardym facetem, no a patrzcie na mnie. Boję się śmiertelnie, mam wilgotne dłonie. Tylko że nikt oprócz mnie nigdy nie uważał, że ja jestem twardym facetem. Może Candy. To dlatego, że jestem taki cholernie mały, ale mały i twardy to dwie różne rzeczy. Ciekawe, co też sobie myślał Cliff, ten sukinsyn. Niech tylko poczeka, aż go dopadnę. Już ja go nauczę, co ma myśleć.

Ciekawe, co się stało z kłownem i czy on był gejem? Myślę, że tak, mógł być rodzajem faceta, którego kobiety tak ranią, kiedy jest jeszcze młody, że coś się w nim łamie i zostaje gejem. Przestaje to ukrywać, załóżmy, że przestaje to ukrywać i ma wszystkie babki raz na zawsze z głowy - nic dziwnego że jest gejem. Ja też będę gejem. Zarażę się AIDS i umrę.

Poczekaj no, aż położę łapy na Kip, tej bogatej suce. Zabiję ją. Wiesz, dlaczego tak się stało? Zaczęło się od Candy. Puszczalska, oczywiście że taka była, zrozumiałem to w tej samej chwili, kiedy zobaczyłem ją w salonie starego Free, ale ona jakby mnie lubiła, jakbym jej wpadł w oko, wiem, że tak było.

A ona jakby mnie wpadła w oko.

No więc tak sobie myślałem, cholera, dlaczego przez całe życie mam za to płacić, a nawet jeśli już za to płacę, to lepiej, żebym zapłacił komuś, kto mnie trochę lubi, żeby wszystko zostało tak jakby w rodzinie, jak mawiała niegdyś moja rodzina.

Potem spotkałem Sandy i ona też jakby mnie lubiła i była o jakiś cal niższa ode mnie. Cholera, przynajmniej o cal, gdybyśmy oboje zdjęli buty. I jej też jakbym wpadł w oko. Nie chciała tego pokazać po sobie, bo przejmowała się swoją karierą, ale tak było. Cholera, mogliśmy nawet ze sobą zatańczyć, może i zatańczymy, jeśli wyląduję żywy. A do tego była ładniutka.

A potem spotkałem Kip i ich, Jezu, to było tak, jakbym zobaczył najlepszą część tego wszystkiego, samą końcówkę, kiedy Linda Loring dzwoni do Roberta Mitchuma z Paryża na chwilę, zanim pojawiają się napisy. Tylko że się nie pojawiły. Jezusie, czekajcie no, aż położę na niej łapy, pobiję ją, zedrę z niej ubranie, rozbiore ją do naga. Ale, Jezu, gdyby tylko kiedyś mnie pocałowała i powiedziała: „Jim, przykro mi, tak mi przykro”, przytuliłbym ją, pocałował i wyszlibyśmy stamtąd, i...

Coś. Coś cudownego. Napić się drinka albo pójść i stanąć na moście i popatrzeć na rzekę, albo pojechać moim kabrioletem na wzgórze i popatrzeć na miasto. Bo jeśli Kip kiedyś powie mi, że jej przykro, będę miał kabriolet.

- Mam nadzieję, że nic jej nie jest - rzekł Barnes.

- Jasne, że nic jej nie jest - odparł Stubb ściskając dłonie, żeby Barnes nie zobaczył, jak drżą. - Dlaczego coś by jej miało być? To z nami nie jest dobrze.

- Myślałem, że może znowu straciła przytomność. Może powinienesz zabrać jej papierosa - rzekł Barnes.

- Och, mówisz o Candy.

Stubb wyciągnął papierosa spomiędzy jej palców. Skończył swojego i zgasił go na metalowej podłodze. Udało mu się jeszcze kilka razy zaciągnąć jej papierosem.

Młody człowiek w kurtce zapytał:

- Mogę od pana przypalić, proszę pana?

Znowu wyciągnął paczkę Cameli. Wciąż nie wyglądała całkiem tak, jak powinna.

Stubb podał mu tłący się niedopałek.

- Muszę iść za potrzebą - powiedział.

- To tam z tyłu - odparł młody człowiek.

Stubb ruszył do tyłu w stronę niebieskiego światła. Bolały go uszy, a pochyła rozdygotana podłoga sprawiała, że trudno było stawiać kroki. Po chwili zdał sobie sprawę, do czego służy gumowy lejek i wąż. Kiedy pociągnął nosem, dobiegł go lekki odór zmieszany z zapachem oleju i poczuł zimne powietrze.

Stanął przodem do lejka, odwrócony plecami do wnętrza samolotu, i przyjrzał się pudełku zapalek. Było czarne, drukowane po obu stronach na białym. Przedstawiało bociana w cylindrze zjedną nogą pomiędzy wyrazami STORK CLUB. Znacznie mniejszymi literami na pudełku podano adres: 3, East 53rd Street. New York City. Nie było kodu pocztowego.

Nie spostrzegł, że Candy stanęła za nim, dopóki nie poklepała go po ramieniu.

- Czy jest tu z tyłu jakaś woda?

Wrzucił pudełko zapalek do kieszeni.

- Nie zauważyłem.

- Tamten facet powiedział, że jest.

- Może cię nabrał. Pewnie i tak już nie żyje. Co on, do diabła, może wiedzieć o wodzie? - Nie mógł już cofnąć swoich słów.

- Jestem naprawdę... Tu jest.

Był tam metalowy kanister z zatyczką. Za nim na klamrze przytwierdzono aluminiowy kubek ze składaną rączką. Napełnił dla niej kubek, a gdy go opróżniła, kilka kropel wody zostawiło ślady na resztkach pudru na jej policzkach.

- Piekielnie chce mi się pić - powiedziała. - Pewnie musiałam zjeść dużo słonych rzeczy.

Zrobił ruch w stronę kanistra.

- Tak, jeszcze jeden. Nie chciałem tego mówić, ale mam też jakby lekkie mdłości. Wiesz? Wróć na przód, jeśli chcesz. - Znów wypięła.

- Nie, nie musisz.

- Weź mnie za rękę, dobrze, Jim? Wiesz, to był najlepszy posiłek, jaki jadłam w życiu. Chcę, żeby został tam w środku.

- To tamto uderzenie w głowę. Mnie też przyłożyli i o mało się nie udławilem.

- I tyłek mnie boli. Dlaczego tyłek mnie boli?

- Zabij mnie, nie mam pojęcia.

- Tak czy owak chce mi się rzygać, ale wiem, że jeśli wyrzygam, to za dwadzieścia minut zrobię się taka głodna, że będę ssała palec.

- Oszukali nas - powiedział jej Stubb.

- Co masz na myśli, Jim?

- Wszyscy dostaliśmy to, co chcieliśmy i nie mogliśmy sobie z tym poradzić. Poza tobą, ty jedna byś sobie z tym poradziła, gdyby cię tylko nie uderzyli. To żadna przyjemność oberwać w głowę.

- Wszyscy dostaliśmy to, co chcieliśmy?

- Tak.

- Madame Serpentina?

- Ona woli za dużo o tym nie mówić, ale myślę, że miała pogawędkę z Bogiem. Tylko że okazało się, że towar nie był autentyczny, a ona dała się nabrać.

- Och, coś takiego!

Stubb oparł się, by zrównoważyć ciałem ruchy samolotu.

- Zawsze mnie pytasz, o co mi właściwie chodzi, ale tym razem sama mi powiedz, o co, do diabła, ci chodziło?

- Większość z nas w ogóle nie miałaby na to ochoty. Zawsze wyobrażałam sobie, że będę musiała z Nim rozmawiać, kiedy, wiesz, wejdziesz po schodach. Nie spieszyło mi się do tego za bardzo.

- Zauroczysz Boga tak, że mu spadną spodnie.

- Jim, nie sądzę, żeby on nosił spodnie.

- No, to masz załatwione. A zresztą, jak to było z Marią Magdaleną? Bardzo mu się spodobała. Założę się, że jesteś sympatyczniejsza od niej.

- Kto to taki?

- Taka dziewczyna jak ty.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Nie, wcale.

- Skąd ty miałbyś to wiedzieć, tak czy inaczej? Chodzisz do kościoła?

- Kiedy byłem mały, rodzice kazali mi chodzić do szkoły parafialnej. Czasem o tym rozmawialiśmy. Tylko my, dzieciaki. Myśleliśmy, że to było naprawdę podniecające, bo wtedy nie było wszędzie tylu filmów pornograficznych co teraz.

- Kiedy to było, Jim?

- Zastanówmy się. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu.

- Nie ty. Bóg i Maria jak-jej-tam-było.
 - Ach, tamci. Dwa tysiące lat temu.
 - Tak dawno, a ludzie jeszcze gadają.
 - Bóg to popularna postać.
 - Mhm. A co z Ozzie'em? Czy on też dostał to, na co czekał?
 - Kobiety. Artystki estradowe, tak je nazwał. Był w jakimś barze i powiedzieli mu, żeby wstał i zapowiedział dalsze punkty programu i rzucił kilka kawałów. Potem poszedł za kulisy, a dookoła niego zaczęły się tłoczyć dziewczyny. On tak to opowiadał, jakby była ich tam setka, ale wątpię. Zdjęły mu ubranie. Sądzę, że mu nie stanął.
 - Tak sądzisz?
 - Nie mówił o tym zbyt jasno. Myślę, że uciekł - z powrotem na scenę.
 - To brzmi fajnie. Żałuję, że tego nie widziałam.
 - Ja też.
 - Nie zapytam o ciebie.
 - Dzięki.
- Candy beknęła i zachichotała.
- Chyba czuję się trochę lepiej. Tylko ciągle wydaje mi się, że podłoga się pochyla.
 - Ona jest pochylona - odparł Stubb. - Wciąż lecimy do góry.

ROZDZIAŁ 56

Kwiecień jest najokrutniejszym miesiącem

Ponad śniegowymi chmurami oczekiwał nowy świat. Księżyc świecił tam jasno, a na niebie mrugały wszystkie gwiazdy. Chmury wydawały się teraz powierzchnią Ziemi, jak chmury wokół Wenus są dla nas samą Wenus. Były nieskończonym łańcuchem gór ze srebrnobiałymi szczytami otoczonymi przez zaczarowane doliny, a powietrze ponad nimi wyglądało, jakby nigdy nie zaznało brudnych dymów ludzkiego życia.

Pisał po nim ołówek, jakby Bóg wciąż jeszcze trudił się nad Księgą Rodzaju. Narysował przez niebiosą wąską linię, a w świetle księżyca linia ta również wydawała się srebrna i biała, czysta, tylko nieznacznie zakrzywiona na tle nocnego nieba, nie zakłócona jeszcze przez żadne słowo, które miało stworzyć świat.

Być może ołówek rysował koło. Wielkie koło.

Wznosili się ku niemu. Raz czy dwa razy czarownica dostrzegła nakreśloną linię, ale ani ona, ani też nikt inny nie widział samego ołówka, choć był on o wiele większy od Boeinga 747, choć Boeing 767 mógł wylądować na jednym z jego skrzydeł, a DC 10 na drugim.

Odgłos silnika zmienił się lekko, stał się zduszony, zamierał, brzęczał znowu. Turbulencje sprawiały, że ich samolot spadał i zbaczał z kursu. Candy złapała się obiema rękami za brzuch, jakby bała się, że mogłaby jednak dostać mdłości. Stubb na próżno zmagął się z pasem, który nie dawał się dopiąć wokół niej. Zbielałymi palcami czarownica kurczowo trzymała się boków fotela. Barnes kłął i mruczał do siebie, głaszcząc się po brodzie i ciągnąc za ucho.

Rozległ się łomot, jakby samolot miał się rozlecieć na kawałki w powietrzu. Ryk silników ścichł do szeptu. Za oknami była tylko noc bez księżyca czy gwiazd.

Młody człowiek w kurtce lotniczej zaczerpnął głębokiego oddechu i rzekł:

- Cóż, znów nam się udało.

Cała czwórka spojrzała na niego. Nikt się nie odezwał.

- Mam nadzieję, że was to nie wystraszyło.

- Ja się boję już od tak dawna... - Głos Candy odpłynął.

- Nie zachowywałaś się tak, jakbyś się bała, kochanie - powiedział Stubb.

- A jak się miałam zachowywać? Jakbym była chora. Jakbym była wstawiona. Właśnie tak się zachowywałam, ale zaczęłam się bać, jak tylko wsadzili mnie do tego wariackiego pudła. Nawet jak byłam napchana narkotykami albo na wpół pijana. Ani przez chwilę nie byłam na tyle nieprzytomna, żeby przed tym uciec.

Młody mężczyzna w kurtce lotniczej chrząknął.

- Hej, ludzie, nie chciałbym usłyszeć żadnych tajnych informacji.

- Musi pan być tolerancyjny - odezwała się czarownica. - Wszyscy jesteśmy na skraju...

- Ja też - odparł jej młody człowiek. - Cóż, już po wszystkim.

Wsadził klucz do otworu w kadłubie nad swoją głową. Część kadłuba odchyliła się w dół i pojawiły się wąskie składane schodki z białego metalu. Gdzieś ponad samolotem świeciło słabe światło. Młody człowiek uśmiechnął się.

- Ten samolot to C-Class Fort. Angole go nie chcieli, więc nasi chłopcy wyjęli górą wieżyczkę i wstawili to. Jesteśmy połączeni magnetycznie i kiedy będziecie wchodzić po tych schodach, przejdziecie prosto przez środek pola. Mam obowiązek was ostrzec, że ono rozregulowuje zegarki. Jeśli ktoś z was ma zegarek, na którym mu zależy, lepiej niech mi go zostawi. Oddam go, kiedy po was wrócimy.

- Nie sądzę... - zaczął Stubb.

Czarownica powiedziała: „Ja mam” i zsunęła z ręki delikatną małą tarczę obramowaną brylantami.

Uśmiechnęła się do młodego człowieka w kurtce lotniczej.

- Nie jest już zbyt punktualny, więc może powinnam zabrać go ze sobą, co? Może wasz magnetyzm mi go naprawi?

Odpowiedział jej uśmiechem i udało mu się dotknąć jej ręki, kiedy wziął zegarek.

- Wątpię, proszę pani. Pewnie będzie lepiej, jeśli zostawi go pani u mnie. - Spojrzał na małą tarczę zegarka, a potem na chronometr na swoim przegubie. - Dwudziesta czwarta zero zero. Nie spóźnia się za bardzo, proszę pani.

- A kiedy pan po nas wróci i zabierze nas z powrotem na stały ląd, panie kapitanie? - Czarownica podniosła się ze swojego fotela.

- Jestem pułkownikiem, proszę pani - odpowiedział jej młody człowiek. - Oficerem lotnictwa, a nie pilotem Pan Amu. Przylecimy po was, kiedy nam rozkażą.

- Czy większość ludzi zostaje tu długo? - zapytała Candy.

- Nie, większość nie, proszę pani. Zwykle to tylko kilka godzin. Ale tu, na górę, przylatuje bardzo niewiele osób, a niektórych nigdy już nie zabieramy na dół.

- Aaach! - wyrwało się szeptem czarownicy na nutę zawodzącego wiatru. - Może schodzą na dół bez waszej pomocy? - Wykonała gest, jakby spychała coś ręką.

- Wątpię w to, proszę pani. Czy moglibyście teraz wejść na górę? Straciliśmy już więcej czasu, niż powinniśmy.

Barnes i Stubb spojrzeli po sobie, a potem na ażurowe schodki z metalu.

- Chcę pomóc wejść Candy - rzekł Stubb.

Barnes kiwnął głową, uśmiechnął się do dwóch kobiet i energicznie ruszył na górę.

- Ja pójdę za nim - rzekła czarownica. - Och, ja wcale nie jestem dzielna! Boję się tylko, że w ogóle tam nie wejdem. Candy, czy dasz sobie radę? Jeśli ja będę z przodu, a pan Stubb z tyłu?

- Jestem trzeźwa jak świnia. Oczywiście, że dam sobie radę.

- Chciałabym przedtem buziaka, pułkowniku - rzekła nagle czarownica. - W końcu to może być ostatni. I za to, że nie wiedziałam, jaki ma pan stopień.

Uśmiechnęła się przez moment, a w jej uśmiechu było coś tak czarującego, że wydawało się dziwne, że uśmiecha się tak rzadko. Mogła, pomyślał sobie młody człowiek, podbić cały świat tym uśmiechem. Miał skłonność do myślenia w takich kategoriach.

Potem objęła go ramionami i pocałowała.

- Nie ma pan nic przeciw temu? - zapytała, wciąż przytulając się do niego.

- Cóż, nie, proszę pani.

- Może mój oddech nie jest miły. Jest tak późno i od dawna nic nie jadłam. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz miałam coś w ustach. Jestem bardzo zmęczona, a jednak muszę jeszcze wiele zrobić tej nocy i nie wiem nawet jak dużo.

- Pani oddech jest tak słodki jak... jak wiatr w kwietniu - powiedział młody człowiek.

- Dobrze. - Pocałowała go jeszcze raz. - Widzę, że panu tak samo się to podoba, jak i mnie, ale teraz muszę już iść. Był pan taki miły. Nie chciałabym wplątać pana w kłopoty z przełożonymi.

Rozejrzała się dookoła. Stubb zaczął już wchodzić po schodach, sięgając do tyłu, by podać rękę Candy. Ponieważ był dwa stopnie wyżej niż ona, ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

- Ach, proszę pani, a może chciałaby pani kanapkę? - zapytał młody człowiek. - Mam jedną w kokpicie.

- Och! Bardzo!

- Chwileczkę.

Zanurkował przez wejście. Kanapka, zapakowana w brązowy papier, była zrobiona z ciemnego żytniego chleba z mięsem. Podał ją czarownicy, która znowu go pocałowała, a potem ruszyła za postępującą Candy. Kiedy była już w połowie drogi na górę, odwróciła się, ugryzła mały kęs chleba z mięsem i posłała mu całusa.

Odpowiedział jej całusem i stał tak wpatrując się, aż szczupła postać w ciemnym futrze i czarnej koronce znikła w ciemnościach gigantycznego samolotu ponad nimi. Potem złożył składane schody, z powrotem zamknął właz, przez minutę przyglądał się beczynnie opustoszałemu wnętrzu samolotu, a potem wszedł do kabiny pilota.

Czekał tam oficer marynarki, odchylając się w fotelu z rękami złożonymi pod głową. Zapytał:

- Już po wszystkim, Bob?

- Tak. - Młody człowiek usiadł na fotelu drugiego pilota.

- Dużo czasu ci to zajęło.

- Możliwe.

Oficer marynarki przesunął dźwignię na tablicy rozdzielczej. Natychmiast zaczęli opadać, a potem zsuwać się w dół lekko szybując.

- Gdzie jesteśmy?

- Koło osiemdziesięciu tysięcy stóp. Dość wysoko. Cała czwórka?

- Tak, dwóch mężczyzn, dwie kobiety.
Stara Forteca przeszła w szeroki, łagodny pochył.
- Jak wyglądali?
Młody człowiek zastanowił się.
- Szpiedzy - powiedział.
- Szpiedzy?
- Tak bym powiedział. Wiesz, czasami wyglądają jak dyplomaci, czasami jak milionerzy albo politycy, czy co tam. Prawda, *compadre*? Cóż, ci byli szpiegami. Ale nie z wywiadu wojskowego. Z Biura Służb Strategicznych, jak sędzę.
- Coś takiego. Fałszywe bokobrody?
- Nie wiem. Może. Jeden miał wąsy.
- No, dalej, powiedz, jak wyglądali.
- Dobra. Podejrzanie wyglądający facet z jednym okiem. Pobita twarz, jakby stoczył bójkę. Przeciętnego wzrostu, może trochę niższy, wiek popoborowy. Wyglądał, jakby mógł zajmować się czymkolwiek pod warunkiem, że nie było to zbyt ucziwe zajęcie. Może bukmacher, coś w tym duchu.
- Alfons.
- Może, gdyby miał trochę więcej stylu. Taki przystojniak, świecące czarne włosy, wąsy jak Clark Gable. On pierwszy wszedł po schodach i jeśli się bał, wcale nie pokazał tego po sobie.
- Drugi facet?
- Wzrost dżokeja. Grube okulary, trenaż.
- A twarz?
- Nie pamiętam, tylko okulary. To wszystko, co w nim było. Był jednym z tych facetów, których nikt nie zauważa. Wiesz, o co mi chodzi?
- Domyślam się. Nie widziałem go.
- Ja też nie. Właśnie to chciałem powiedzieć.
- Zgoda, teraz to, co najfajniejsze. A kobiety? Powiedziałeś, że były dwie.
- Tak. Jednej nie dało się nie zauważyć. Gdybyś przelatywał nad jarmarkiem w jakimś miasteczku i zrobił zdjęcie tłumy, a ona się na nim znalazła, to byś ją pierwszą zobaczył.
- Ładna?
- Jakby straciła kilkaset funtów, pewnie mogłaby być ładna. Blondynka, musiała mieć prawie ze sześć stóp.
- To stąd masz tę szminkę, Bob?
- Co takiego? - Młody człowiek przetarł usta wierzchem dłoni. - Żartujesz sobie ze mnie?
- A skąd miałbym wiedzieć? Cały jesteś w szmince. Chcesz pożyczyć moją chusteczkę?
- Mam swoją.

- Wyobraziłeś sobie, że ta gruba dziewczyna nic nie robiła, tylko chowała się za drzwiami i romansowała z generałami? Wysoko ponad zwykłymi pułkownikami, to mam na myśli.

- To nie ona, to ta druga. W każdym razie ta gruba dziewczyna była pielęgniarką i wyglądała, jakby przeszła piekło, zanim tu się znalazła. Większość była zakryta płaszczem, ale góra jej uniformy była podarta, a spódnicy wcale nie miała. Zapomniałem ci powiedzieć, że ten mały facet wszedł drugi po schodach. On byłby dobry w chowaniu się za drzwiami i w takich sprawach. Nigdy byś go nawet nie zauważył. Troszczył się o tę grubą pielęgniarkę i ciągle się odwracał, próbując jej pomóc.

- Przestań kręcić Bob. Przejdź do tej drugiej.

- Przecież chciałeś wszystko wiedzieć, nie? Ciemna i ładna. Kurczę, ładna to złe określenie, ale przy niej ładna dziewczyna wyglądałaby jak towar z taniego sklepu. Była piękna. Jak Smocza Dama - wyglądała na cudzoziemkę, z odrobiną uroczego akcentu. Około pięciu stóp sześciu cali. Mnóstwo wspaniałych małych okrągłości.

- Rosjanka?

- Była zbyt smągła jak na Rosjankę. Może Rumunka albo coś w tym rodzaju.

Pilot marynarki spojrział na wysokościomierz.

- Bob, co ty, do diabła, wiesz o Rumunach?

- Pewnie nic. Hrabia Dracula... czy on nie był rzekomo Rumunem?

- Chyba Węgrem. Ukąsiła cię w szyję czy co?

- Nie, tylko tak jakoś mówiła. Pozwoliła mi zatrzymać zegarek... - Młody człowiek włożył rękę do przedniej kieszeni kurtki, tam, gdzie zwykle trzyma się mapy. - Zniknął.

ROZDZIAŁ 57

Samotny jak obłok

Pokój był duży i dobrze umeblowany, w owym ciężkim, męskim stylu, który, jak to sobie wyobrażał Barnes, musiał dominować w klubie Harvard. Stały tu skórzane fotele, masywny stół z drewna orzechowego i globus. Ściany pokryte były orzechową boazerią, a na nich wisiały czarno-białe zdjęcia okrętów wojennych i wojskowych defilad. Nie docierał tu odgłos silników, jedynie delikatna wibracja, która leciutko poruszała nawet ciężkim stołem, wciąż taka sama, niezmienna jak powietrze w nigdy nie wietrzonym pokoju. Tylko nieliczne słabe żółte światełka w drżącym żyrandolu wydawały się żywe w otoczeniu martwych towarzyszy.

Podszedł do globusa i zakręcił nim. Indie były różowe, tak samo pół Afryki i cały jej dół. Czy był tam naprawdę tak zielony kraj jak Francuska Afryka Zachodnia? Nigdy o nim nie słyszał, a jednak wydawało się, że zajmuje pół kontynentu.

We włazie pojawił się szczyt łysiejącej głowy Stubba, a potem jego czoło i okulary, tak mało przezroczyste, że przypominały Barnesowi jego własne okulary słoneczne, choć nie były tak ciemne. Potem zjawiła się czerwona z wysiłku, zroszona potem mimo zimna twarz Candy i ramiona jej ciemnoniebieskiego płaszcz. Barnes pomyślał sobie, że to niesprawiedliwe, że zabrali mu jego nowe ubranie, a oddali mu stare, podczas gdy pozwolili Candy zatrzymać płaszcz, na pewno skradziony, a także skradziony strój pielęgniarce.

Chciał usiąść w jednym z wielkich skórzanych foteli i powitać Stubba oraz Candy kilkoma celnie dobranymi uwagami, ale chciał też poszukać Małego Ozzie'ego, choć wiedział, że nie może go tu być. Rozdarty pomiędzy dwoma pragnieniami, podszedł do włazu i pomógł Candy wejść na dwa ostatnie stopnie, a potem podał rękę czarownicy, która właśnie poszła w dół pocałunek.

- Dziękuję, Ozzie - powiedziała. - Było mi troszkę trudno na wysokich obcasach. - Trzymała w dłoni kanapkę w taki sposób, jakby za jej pomocą miała zamienić dynię w karekę. Kiedy nią machnęła, właz zamknął się, pozostawiając jedynie gładki parkiet. - Ale co to jest? Jakiś męski klub, prawda?

- Tylko gdzie bar?

Stubb też się rozglądał.

- Za tymi drzwiami, założę się. Ci, co tu mieszkają, woleliby pewnie nie mieszać sobie sami drinków, ale woleliby też, żeby barman nie słyszał, co czym rozmawiają. Przynosi napoje, rozdaje i wychodzi.

Candy zagłębiła się w fotelu niemal dość szerokim, żeby ją pomieścić.

- Nikogo tu nie ma - wysapała.

- Kiedy tu wszedłem, też nikogo nie było - oświadczył Barnes. - Muszą być gdzieś indziej.

Candy potrząsnęła głową, wachlując się lekko jedną ręką.

- Nikogo. W ogóle. Nigdzie.

Czarownica popatrzyła na nią przez chwilę, a potem przycisnęła palce do skroni.

Kiedy znowu pozwoliła im opaść, Stubb zapytał:

- Madame S.?

- Nie wiem. Mam kłopoty, bo jest tutaj was troje. Duchy, owszem. Może też ktoś, kto nie jest duchem, ale jest bardzo, bardzo nie z tego świata.

Barnes zaoponował:

- Ktoś powiedział tym ludziom na dole, żeby nas tu sprowadzili.

Czarownica pokiwała głową.

- Tak przynajmniej twierdzili. Ale do wielu ludzi dzwoniли umarli. Kto wie?

- Ja. - Candy przestała się wachlować i słabo kiwnęła ręką w stronę innych foteli, stołu, globusa.

- To jeszcze nie koniec - powiedział Stubb. - To nie może być już wszystko.

- Ale to tutaj ich przyjmują. - Candy oddychała ciężko. - Kto przyjeżdża tu, na górę? Wielkie szczy. Prezydent, senatorowie. Przyjmują ich tutaj. Zrobiliby coś, żeby nas powitać, stałby tu ktoś z karabinem, tak jak tam na dole i w samolocie. Skoro tutaj nikogo nie ma, to nigdzie nikogo nie ma.

- Ktoś musi sterować tym... tym, cokolwiek to jest - upierał się Barnes.

- One mogą sterować się same, jeśli się tylko zechce, za pomocą komputera czy czegoś tam.

Stubb zaglądał przez wyjście.

- Nie zamknięte - powiedział. - Wąski korytarz z mnóstwem małych drzwi.

Gdy otworzył jedno z nich, Barnes ruszył za nim. W blasku zapalniczki ukazało się biurko i krzesło, mapa Europy przymocowana do ściany z nie malowanej dykty. Kiedy obaj weszli do środka, brakowało tam prawie miejsca, żeby się odwrócić.

- Kiedy byłem dzieckiem - rzekł Barnes - mój tata szedł raz do jakiegoś prawnika i zabrał mnie ze sobą. Tam było takie krzesło.

Stubb zdmuchnął zapalniczkę, zapalił drugą i podniósł list z biurka.

- Biuro Mobilizacji Wojennej - powiedział. - Słyszałeś kiedyś o tym?

Barnes potrząsnął głową.

- Ja też nie. Data to siedemnasty czerwca 1943.

- To wariactwo - odparł Barnes.

- Wiem. - Stubb zdmuchnął zapalniczkę. - Powtarzam to sobie już od kilku godzin.

Candy zajrzała do środka, wypełniając sobą drzwi i zasłaniając odrobinę światła, która przedostawała się z pokoju z boazerią.

- Chłopaki, znaleźliście już bar?

- Jeszcze nie - odparł Stubb.

- Dajcie mi znać, dobra? Ciągłe boli mnie głowa. Kilka szybkich zrobiłoby mi cholernie dobrze.

Z końca korytarza czarownica zawołała:

- Znalazłam coś. Nawet dwa. Chodźcie zobaczyć! Pierwsze to była klatka schodowa, na której szczycie wciąż paliło się jedno ze słabych żółtych świateł. Wąskie schody wiły się przez sufit, by zakończyć się przed drzwiami tak wąskimi jak drzwi do miniaturowego biura, ale znacznie niższymi.

Drugie to było okno szerokie na stopę. Czarownica patrzyła przez nie, gdy nadeszli. Odsunęła się, żeby pozwolić wyjrzeć Stubbowi.

Pozostał przy nim tylko chwilę lub dwie, szepnął: „Jezu Chryste” i odwrócił się. Potem nadeszła kolej Barnes’a.

Nie było księżyc’a ani gwiazd i światło napływało z dołu. Wydawało się, że lecą nad nieskończonym mlecznym morzem. Ponad nimi rozciągała się wielka połać czerni, która przesłaniała niebo. Osłonięte pokrywami silniki wisiały na pylonach zwieszających się z ciemności jak stalaktyty.

Barnes usłyszał, jak Candy mówi za jego plecami:

- Ja na to nie wejdem. Możecie o tym zapomnieć. Wiedział, że ma na myśli schody, ale się nie odwrócił. Rzekł:

- Samolot jest tutaj prawie od pięćdziesięciu lat. I ciągle lata. - Ale nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, dopóki Stubb się nie odezwał.

- Spójrz, tylko na te śmigła.

- Patrę - szepnął Barnes. - Większość z nich się nie porusza.

Wydawało się, że Stubb go nie słyszy.

- Odnawiają zapasy paliwa. Nie mają innego wyjścia. Robią to w taki sam sposób, w jaki nas tu przywieźli. Ktoś to robi, bo ciągle przyjmują tu z góry rozkazy. Wiesz, co to jest nawałnica wysokościowa?

Barnes kiwnął głową, a potem zdał sobie sprawę, że Stubb mówił do Candy.

- Wieje z zachodu na wschód i sprawia, że z Los Angeles do Nowego Jorku leci się szybciej niż w przeciwną stronę, nawet w odrzutowcu. Dmie chyba ze dwieście czy trzysta mil na godzinę. Możesz cholernie daleko poszybować na wietrze, który dmucha dwieście mil na godzinę. Gdybyś jeszcze miała kilka silników do wspomagania, kiedy trzeba, może mogłabyś tak szybować wiecznie.

Niemal równocześnie Barnes powiedział: „Radar...”, a Candy: „Piloci...”

- Wszystko jest z drewna. Nie słyszeliście, co ten facet tam, na ziemi, mówił o *Świerkowej Gęsi*? Byłoby ją równie trudno wykryć radarem jak stado ptaków. A co do pilotów, to nie wiem. Rzeczywiście wydaje się, że zagładają tutaj tylko raz na jakiś czas.

- Piloci samolotów widują różne dziwne rzeczy - zauważyła czarownica. - Nauczyli się nie mówić o tym, co widzieli, jeśli chcą pozostać pilotami.

- To nie jest żaden latający talerz - zaproponował Barnes.

- A kto mówi o latających talerzach? Nazwijmy je „nie zidentyfikowane obiekty latające”. Owszem, niektóre mają kształt soczewki. Niektóre nie mają. Nie wiemy, czym są tak naprawdę. To właśnie znaczy „nie zidentyfikowane”.

Barnes pokiwał głową i odwrócił się w przeciwną stronę, spoglądając znowu przez okno, jakby się spodziewał, że wszystko będzie wyglądało inaczej, jak to bywa we snach. Daleko na chmurach w dole dostrzegł ich własny rozpędzony cień ze skrzydłami rozłożonymi jak u orła, falujący czarny krzyż, malutki, lecz bez wątpienia ogromny.

- W czasach dawnych żaglowców - ciągnęła czarownica - mówiło się, że zobaczenie morskiego węża przynosi nieszczęście. Kapitanom, którzy je widzieli, nie dawano już następnego statku pod komendę. To było wtedy, kiedy kapitanowie byli znacznie bliżej morza i stale obserwowali wodę oraz niebo. Teraz obserwują swoje instrumenty i lepiej im się powodzi.

- Nie wiem jak wy - oznajmił Stubb - ale ja idę na górę. Te drzwi muszą chyba prowadzić do wnętrza skrzydła, a ja chcę je zobaczyć.

Patrzyli, jak wspina się po wąskich schodach, a czubki jego butów na stopniu wydawały głuchy odgłos. Drzwiczki były tak małe, że mężczyzna normalnego wzrostu musiałby pochylić głowę, żeby przez nie przejść. Stubb nie musiał tego robić, ale pochylił się i tak, pochylił się, abyśmy zobaczyli, że się pochyła, pomyślał Barnes. Drzwiczki zamknęły się za nim.

- To co teraz? - zapytała czarownica. - Mamy czekać na niego? Czy zwiedzać dalej?

- Musieli tu mieć jakąś wałówkę - rzuciła Candy. - Może coś zostało.

- Powiedziałałabym, że piętro wyżej. Tutaj, jak już widzieliśmy, przyjmowali goście. Tutaj też mieli swoje biurka i papiery, bo mogli czegoś potrzebować, gdy omawiali ważne sprawy, jakiejś informacji czy dokumentu. Ale tu są przynajmniej dwa piętra. Może trzy. Przypuszczam, że tam wyżej jedli i spali.

- Chce pani powiedzieć, że muszę wejść po tych schodach?

- Nie. Może pani tu zostać, jeśli pani woli. Pan Stubb będzie taki szczęśliwy, jak zobaczy, że pani na niego czeka. Może Ozzie i ja przyniesiemy pani jedzenie, do którego tak pani tęskno, a także troszkę whisky, jeśli nie zapomnimy.

- Nie zostanę sama w takim podejrzanym miejscu.

- Jak pani sobie życzy. Ozzie, proszę, idź pierwszy. Te schody są takie strome, że wolałabym, żebyś mi nie zaglądał pod sukienkę.

Coś w jej tonie powiedziało Barnesowi, że wiedziała o dziurze, którą zrobił w ścianie domu Free. Że wiedziała o niej i pozowała dla niego, ubierając się z powrotem albo gasząc światło, gdy nie chciała, żeby zobaczył więcej. Popatrzył na nią.

- Gdybyśmy byli sami, może byłoby inaczej. Teraz idź na górę.

Potrząsnął głową i ruszył po wąskich schodach, co w powietrzu ubogim w tlen okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Zza pleców dobiegł go stukot obcasów czarownicy, w którym dźwięczał jej śmiech. Na wąskim półpiętrze były drzwiczki, przez które poszedł Stubb, i drugie, większe drzwi, które zasłaniał sufit, kiedy stali piętro niżej.

Za drzwiami znajdowała się rozległa sala, a w niej setka albo więcej krzeseł i sof, a także fontanna bez wody oraz donice i skrzynki pełne martwej, wyschniętej ziemi. Ponad nimi roztaczała się kopuła z kolorowych szybek, które barwiły światło księżyca.

- Tutaj odpoczywali - rzekła czarownica - otoczeni cennymi rzeczami. Ci ludzie byli bardzo inteligentni, bardzo przebiegli, chociaż nie byli mądrzy.

Barnes przyglądał się jednemu z foteli. Materiał, którym był obity, rozdarł się pod naporem sprężyn. Kiedy dotknął go, rozpruł się dalej, przeżarty wiekiem.

- Ta sala jest zachowana znacznie gorzej niż tamta - rzekł Barnes. - I nie widzę tu nic cennego.

- Oni odeszli - odparła czarownica. - A słońca wielu lat dokonały zniszczeń, które widzisz. Ale niegdyś w tej fontannie igrała woda, tryskając z rogu, który trzyma nimfa. Nie będę się kłopotać tłumaczeniem ci symboliki rogów i nimf, lecz w każdym razie tutaj, tak daleko od jezior i mórz Ziemi, woda była cenną rzeczą. Głupcy powiedzieliby: „Musimy ją pić, musimy jej używać, żeby naszym powietrzem dało się oddychać, a więc ukryjemy ją w zbiornikach.” Ci ludzie zaś powiedzieli: „Wlejmy ją w fontannę dla naszej przyjemności. Wtedy sprawi, że naszym powietrzem da się oddychać i będziemy mogli ją pić, kiedy tylko zapagniemy.” Były tu również kwiaty, a kwiaty też są cennymi rzeczami. - Roześmiała się. - Goście widzieli wytworną salę i malutkie biura i myśleli, że ci tutaj żyli spartańskim życiem. A oni wiedzieli, że kiedy konstrukcja jest taka wielka, sama przestrzeń kosztuje bardzo niewiele. To ładunek, a nie pusta przestrzeń ściąga na ziemię samoloty. Czyż tak nie jest? Candy sapiąc weszła za nimi.

- Nie sądziłam, że wytrzymają pode mną - rzekła. - Szkoda, że nie słyszeliście, jak trzeszcza! Czekałam... minutę... na każdym stopniu.

- Oto i żywy dowód.

Ruszyli naprzód przez zwiędły, zniszczony ogród, a czarownica prowadziła, cała z żółci, różu, fioleto, kiedy przechodziła spod jednego promienia księżycowego światła pod drugi.

- Lubię ten film *Czarnoksiężnik z Oz* - sapnęła Candy, wyciągając dłoń, żeby przyjrzeć się światłu. - „Dziwki o różnych kolorach...”, pamiętacie to?

Jeśli czarownica słyszała ją i zrozumiała, nie dała tego po sobie poznać.

Za ogrodem było z pół tuzina ciemnych pokoi z różnymi instrumentami i migoczącym szkłem. Nadal paliło się w nich kilka żółtych żarówek. Kiedy ich światło nie wystarczało, czarownica wznosiła zapalniczkę jak pochodnię.

Za tymi laboratoriami był jeszcze jeden korytarz, a w głębi niego plecy Stubba. Zobaczyli, jak otwiera drzwi na końcu korytarza. Za drzwiami na moment ukazała się

znajoma brodata twarz Bena Free, który odwrócił się w fotelu pilota, żeby zobaczyć, kto wszedł.

Dobiegł ich cichy głos Stubba, niesiony cienkim gwizdem wiatru.

- Dzień dobry, generale Whitten - rzekł Stubb. - Czy może Whitten też był kłamstwem?

Drzwi się zamknęły.

ROZDZIAŁ 58

General Buck Whitten

Czarownica wdarła się do kabiny pilota jak pantera.

- Co to ma znaczyć! Zdradziłeś mnie, zdradziłeś nas wszystkich! - Odwróciła się do Free i upadła na kolana. - A ty, Mistrzu, żyjesz! Ten zdrajca powiedział mi, że umarłeś.

Barnes wszedł za nią do środka, a po nim wtoczyła się Candy.

- Siadajcie - poprosił Free. - Przynajmniej niektórzy z was.

Stubb zajął fotel drugiego pilota. W głębi kabiny były jeszcze dwa siedzenia, najwidoczniej dla nawigatora i mechanika. Usiadły w nich czarownica i Candy.

Czarownica syknęła:

- „Do środka skrzydła”, tak pan mi powiedział, a teraz widzę pana tutaj. Chciał pan rozmówić się z Mistrzem za moimi plecami.

- Jeszcze ani razu nie wykiwałem klienta - odparł jej Stubb. - Kiedy szukaliśmy pana Free, nigdy mi pani nie mówiła, że pani sobie nie życzy, żebym z nim rozmawiał, kiedy pani nie ma. Gdyby mi to pani powiedziała, i tak bym się na to nie zgodził.

- Powiedział mi pan, że idzie do skrzydła!

- Jasne. I poszedłem tam. Było tam ciemno jak diabli, ale dotarłem dość daleko, aby zobaczyć, że w środku tych wież, na których wiszą silniki, są schody, żeby mechanicy mogli zejść i pracować nad nimi w locie. Wtedy skończyły się zapalki, które dostałem od Ozzie'ego, więc wróciłem.

- A nas nie było - rzekł Barnes. Stał za siedzeniem czarownicy.

- No właśnie. Pomyślałem sobie, że pewnie poszliście ku przodowi samolotu i też tam poszedłem. Nie pomyliłem się za bardzo, jak mi się zdaje.

- Rozpoznał mnie pan, kiedy pan tu wszedł, ale nie rozpoznał mnie pan tam na ziemi. To było chyba zaledwie kilka godzin temu.

Stubb pokiwał głową.

- Tak, powinienem był pana rozpoznać, ale był pan młodszy i gładko ogolony i to wszystko było zbyt szalone. Oczywiście ta dziewczyna, Kip, zamydliła mi trochę oczy swoją historią z bliźniakami. Czy ona naprawdę jest pana córką? Jest nieco do pana podobna.

- Tak, to moje jedyne dziecko. Przypuszczam, że w końcu mnie zabije.

Stubb wbił w niego oczy.

- Złożyła mi raport, musiał pan o tym wiedzieć. To już wtedy zacząłem podejrzewać, że Benjamin Free był mną.

- Niech no pan poczeka - powiedział Barnes. - To pan był tym mężczyzną w budrysówce?

Czarownica mruknęła:

- Mistrz wyjawi nam wszystko, jeśli zechce. Może przede wszystkim swoje imię.

- Nie - rzekł Free. - Nie przede wszystkim. Przede wszystkim chcę usłyszeć, jak Stubb domyślił się, kim jestem. Przepraszam, że nazwałem pana knypkiem. Udawałem pijanego - Wiedziałem o tym - powiedział Stubb. - Dlatego nie miałem nic przeciw temu.

- A pańskie dedukcje?

- Do diabła, było tego mnóstwo. Przez długi czas nie wierzyłem w to, ale wszystko wskazywało w tym samym kierunku. Na początek rewolwer Kip. - Umilkł.

- Niech pan mówi dalej - polecił Free. - To mniej boli, kiedy się o tym mówi, niż kiedy się o tym myśli, a ja myślałem o tym bardzo dużo.

- To był colt New Service, jeden z największych, najcięższych rewolwerów, jakie w ogóle powstały. Colt skonstruował je dla wojska w czasie pierwszej wojny światowej, bo nie mogli wyprodukować dosyć automatycznych czterdziestek piątek. Jeszcze ciągle widuje się je od czasu do czasu i pewnie przetrwają wieki - nie dałoby się ich wygiąć młotem kowalskim. Tylko dlaczego taka drobna dziewczyna jak Kip miałyby nosić taki rewolwer?

- Z takiego rewolweru nauczyłem ją strzelać - powiedział Free. - Miałem też Woodsmana, ale dla początkujących rewolwer jest bezpieczniejszy.

- Potem, kiedy pana spotkaliśmy, miał pan Thompsona z okrągłym magazynkiem jak jakiś Al Capone. Takie rzeczy przechowuje się dziś w muzeach. Potem pozwolił mi pan zatrzymać swoją piersiówkę, sądząc, że jeśli wszyscy wypijemy sobie po maluchu, będziemy trochę swobodniejsi, kiedy nas zabiorą na górę. Były na niej zdobienia z początku wieku, a na spodzie było napisane: „Tiffany & Company, Fifth Avenue, New York.” Tylko tyle. Dziś wszyscy dodają nazwę stanu i kod pocztowy. Jasne, że to mógł być antyk, ale wskazywał w tym samym kierunku co i broń.

- To znaczy w jakim kierunku? - zapytała czarownica. - Wy, mężczyźni, zawsze potraficie doprowadzić człowieka do szału.

- Święte słowa! - przytaknęła Candy.

- Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego - odparł Barnes.

- To pan już wiedział, kiedy wsadziliśmy was do samolotu? - zapytał Free.

Stubb potrząsnął głową.

- Myślałem o tym, ale nie mogłem się z tym pogodzić, sama idea była wręcz szalona. Wprawdzie samolot wyglądał mi jakoś dziwnie, ale co ja, do diabła, wiem o samolotach?

- A w samolocie?

- Chyba pierwszą rzeczą były papierosy. Drugi pilot wyjął je i dał każdemu, kto chciał zapalić, co było cholernie miłe z jego strony. To były Camele, które sam zwykle palę i paczka wyglądała prawie tak samo, jak te, do których się przyzwyczaiłem, ale niezupełnie. A potem dostałem zapałki od Ozzie'ego. Zapałki to najstarsza, najbardziej wyświechtana poszlaka jaka jest, wie pani, o co mi chodzi? Na początku filmu Wielki Detektyw patrzy na zapałki i widzi napis „Klub Boom-Boom”. No więc idzie tam i okazuje się, że facet jest stałym bywalcem. Każdy, kto prowadził kiedyś prawdziwe dochodzenie, wie, że nie można na nich polegać.

Gość wchodzi do jakiegoś lokalu, kupuje papierosy i bierze zapalniczki. Był w środku może ze trzy minuty i nikt go za cholere nie pamięta. Potem daje je swojemu kumpłowi, który zostawia je w jakimś barze i zaraz bierze je ktoś inny. Jasne, takie rzeczy się sprawdza, wszystko się sprawdza, ale dziewięć razy na dziesięć to prowadzi donikąd.

- Rozumiem - powiedział Free.

- Ale niech pan spojrz na te. - Stubb sięgnął do kieszeni i wyciągnął zapalniczki. - Są ze Stork Clubu. Zamknęli go w latach sześćdziesiątych, ale papier nie żółkł, a zapalniczki zapalają się znakomicie.

Free pokiwał głową.

- A zatem już pan wiedział.

- Tak dla śmiechu lubię czasem oglądać te stare filmy z Sherlockiem Holmesem - powiedział Stubb. - Wie pan, z Basilem Rathbone'em i z tym, jak on się nazywa...

Free uśmiechnął się.

- Ja też je lubię.

- Iw jednym z nich Sherlock mówi, żeby wyeliminować wszystko, co jest niemożliwe, a wtedy pozostanie tylko rozwiązanie. Oczywiście kłopot z tym, co właściwie jest niemożliwe? Ludzie, którzy przychodzą z jakiejś epoki, kiedy Stork Club był ciągle czynny, kiedy ta piersiówka była nowa, kiedy ludzie, którzy się nie patyczkowali, ciągle posługiwali się taką bronią - czy to jest niemożliwe? Czy też niemożliwe było raczej to, żeby wszystko wskazywało w tym kierunku, ale naprawdę oznaczało coś zupełnie innego?

- Czy on chce powiedzieć to, co ja myślę, że on chce powiedzieć? - zapytała Candy.

Free znowu pokiwał głową, a Barnes powiedział:

- Cóż, niech mnie kule biją!

- To ja powinnam była się domyślić. My wiemy, że takie rzeczy nie są niemożliwe - zauważyła czarownica.

- To właśnie tak wpadliśmy na to na początku - odparł Free. - Proszę, zrozumcie, że będę musiał wam to wytłumaczyć z mojego punktu widzenia. Nie mógłbym zrobić inaczej, nawet gdybym chciał.

- Niech pan zaczyna - rzekł Stubb.

- Pozwólcie, że zacznę od Billa Donovana. Czy to nazwisko wam coś mówi?

Stubb potrząsnął głową.

- Poznałem Billa Donovana, kiedy obaj byliśmy jeszcze prawie chłopcami. Byliśmy razem w oddziale kawalerii Gwardii Narodowej w naszym rodzimym mieście. W prawdziwej konnicy, tak to właśnie było. - Free umilkł, głaszcząc się po brodzie. - Bill był prawnikiem, irlandzkim katolikiem, którego matka pchnęła do college'u, żeby wyszedł na ludzi. Ja byłem zamożnym młodym człowiekiem, który lubił zabawić się na mieście. Tak to wtedy określaliśmy. Miasto oznaczało Buffalo w stanie Nowy York, a zamożny oznaczało bogaty, jak wyobrażaliśmy sobie bogactwo około roku 1914.

Stubb rzucił czarownicy spojrzenie z rodzaju „a nie mówiłem”.

- Kiedy byłem mały, wśród innych przywilejów miałem przydzieloną guwernantkę, miłą, kompletnie zbzikowaną Francuzeczkę, którą nazywałem Madame du Betes. Uczyła mnie francuskiej i niemieckiej konwersacji, a ja popisywałem się czasem w restauracjach i tak dalej. Jak się okazało, Bill nigdy o tym nie zapomniał. Nadeszła Wielka Wojna i obaj zaciągnęliśmy się w randze oficerów. Bill, który miał nieodparty irlandzki urok, dlatego że już wcześniej wybraliśmy go na kapitana naszego oddziału, a ja po prostu dlatego, że prawie każdy, kto posiadał dyplom Princeton, mógł wówczas zostać oficerem. Po wojnie Bill z pełnymi kieszeniami medali wystąpił z armii i powrócił do swojej praktyki adwokackiej. Ja zostałem, ponieważ nie miałem nic lepszego do roboty i ponieważ byłem dość rozsądny, by zrozumieć, że tylko w ten sposób będę mógł dalej latać. W 1937 roku odszedłem na emeryturę jako generał brygady. Umarł mój ojciec, a ja chciałem przejąć rodzinną firmę. Robimy szkło, tak na marginesie, jedne z najwspanialszych kryształów na świecie.

- Ile miał pan lat? - zapytał Stubb.

- Czterdzieści osiem. Niech pan nie pyta, ile mam teraz, bo nie wiem. Coś pomiędzy sześćdziesiąt a siedemdziesiąt, jak sądzę.

W każdym razie, żeby wyjaśnić wam kilka spraw, o których ja sam dowiedziałem się później, Bill miał wspólnika, który znał prezydenta Wilsona i od czasu do czasu dla niego podróżował i zbierał różne informacje. W końcu Bill zaczął robić to samo. Myślę, że Bill musiał osobiście znać Roosevelta - w końcu miał praktykę adwokacką w Buffalo. Na pewno często bywał w Albany, a Roosevelt całe życie był zaangażowany w politykę. W każdym razie, kiedy Roosevelt uznał, że Ameryka potrzebuje czegoś na kształt brytyjskiego Secret Intelligence Service, zgadnijcie, kogo wybrał?

Czarownica kiwnęła głową. Barnes był zbyt zaśluchany, żeby przytaknąć. Candy wpatrywała się w prostokątne szyby, które sprawiały, że wielka kabina wyglądała prawie jak mała szklarnia. Candy mogła na wpół drzemać. Stubb powiedział:

- No a Donovan wybrał pana. Free przytaknął.

- Wśród wielu innych, oczywiście. Ze względu na wojnę firma prawie nie działała, a ja miałem kierownika, który mógł się zająć wszystkim równie dobrze jak ja. Armia bardzo na mnie naciskała, żebym wrócił, ale ja wiedziałem, że jeśli to zrobię, na pewno skończę jako dowódca ośrodka szkoleniowego w Teksasie. To nie było to, co tygrysy lubią najbardziej. Było lato 1942, tak przy okazji. „Podniebna Kraina” była już skonstruowana, a na jej pokładzie znajdowali się najważniejsi ludzie w kraju. Donovan sądził, że Biuro Służb Strategicznych powinno mieć tam swojego człowieka i przydzielił mnie tę robotę, chyba głównie dlatego, że byłem niegdyś zwolennikiem generała Mitchella. Teoretycznie mój pobyt w „Podniebnej Krainie” miał być tylko czasowy, ale tajne rozkazy zakładały, że mam tam pozostać jak najdłużej.

- Nie uwierzyłbym, że coś tak wielkiego może latać - powiedział cicho Barnes.

- Ja też nie mogłem w to uwierzyć - odparł Free. - I gdyby była zrobiona z aluminium i stali, nie mogłaby. Tak naprawdę to tylko kwestia wagi - stosunku wagi do siły nośnej. Sklejka ma na zewnątrz warstwę cedru, a w środku na przemian świerk i drzewo balsa. Kiedy okazało się, że to działa, kazano firmie Hughes Aircraft wybudować taki sam, z samego świerku. Nie można już było sprowadzić drzewa balsa z Ameryki Południowej, rozumiecie. Ale ten samolot nie latał. Był za ciężki.

- Wspomniał pan o nim, kiedy byliśmy na ziemi - przypomniał Stubb.

- Tak? Przepraszam, ale musicie pamiętać, że dla mnie minęło kilka lat.

- Powiedział pan - przerwała czarownica - że to okultyzm doprowadził was do waszego odkrycia. Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób.

- Hitler w niego wierzył - powiedział Free. - A Hitler odnosił ogromne sukcesy. Kiedy wstąpił do Narodowych Socjalistów, dostał legitymację partyjną numer siedem. Mieli ledwie z pół tuzina członków. Kilka lat później był Kanclerzem Niemiec. Jeszcze kilka lat później zdeptał armię francuską, rzekomo najlepszą w Europie. Nikt wtedy nie wiedział, że jego szczęście wyczerpie się w Rosji i w Afryce Północnej.

- Ci, z którymi się sprzymierzył - zauważyła czarownica - zniszczyli go, kiedy zrealizował ich cele. Z nimi tak jest zawsze. Niszczą swoje narzędzia. - Niemal szeptem dodała: - My też szliśmy do obozów śmierci, choć tylko my o tym pamiętamy.

Free powiedział:

- Oni nie byli pewni, czy Hitler nie jest czasem w stanie zaglądać w przyszłość, i myśleli, że może istnieć jakaś metoda, by zrobić to samo w sposób naukowy i niezawodny. Odkryli, że... Cóż, wiecie, co odkryli.

Prace nad nowymi broniąmi odbywały się wówczas kosztem ogromnych wysiłków, więc nie było w tym nic dziwnego, że chcieli wyprzedzić wyniki doświadczeń. To było moje pierwsze prawdziwe zadanie - udać się dziesięć lat naprzód, zabrać, co uznaję za najlepsze i wrócić. Myślę, że wiecie, co zdobyłem.

- Broń jądrową - szepnął Barnes.

- Nie całą, ale dużą część. Dostyc, żeby na tyle przyspieszyć rozwój badań, że w trzy lata mieliśmy bombę atomową. Ale kiedy przyleciałem tu, z powrotem, na pokład „Podniebnej Krainy”, spostrzegłem, że wielu ludzi zniknęło. Nie mogłem zadawać pytań, rozumiecie. Ludzie tego szczebla mogli rozgnieść Billa Donovana jak muchę. Trzymałem język za zębami i miałem oczy otwarte. Wróciłem do własnej epoki.

ROZDZIAŁ 59

Dwoje drzwi

- Kiedy już poleciałem na dół i złożyłem raport - ciągnął Free - jeszcze raz wróciłem tu, na górę, i przeszedłem przez ten dynks, żeby zdobyć coś więcej. Za pierwszym razem byłem sam, praktycznie rzecz biorąc. Miałem z sobą tylko samolot i załogę, której potrzebowałem, żeby móc wrócić na pokład „Podniebnej Krainy” i z powrotem do czterdziestego drugiego. Widzicie, tam był jedyny dynks, jaki posiadaliśmy i gdyby on nie istniał w pięćdziesiątym drugim, musiałbym znaleźć jakiś inny albo zostać tam, gdzie byłem, póki ktoś by mi nie przywiózł nowego dynksa.

Tym razem miało być inaczej. Oprócz załogi samolotu dobrałem sobie ekipę z ludzi, których miałem pod ręką. Zabrałem moją córkę Kip, jej przyjaciółkę i z pół tuzina innych ludzi. Widzicie, Kip zgłosiła się na ochotnika do Donovana, kiedy dowiedziała się, że i ja z nim pracuję, i gdybym jej nie zabrał ze sobą, mogli ją wysłać do Niemiec albo do okupowanej Francji.

Miałem też mniejszą wersję dynksa, składaną, dość dużą, aby mógł przez nią przejść człowiek. W razie gdyby nie było już „Podniebnej Krainy”, moglibyśmy pozbyć się naszego samolotu i wrócić. Z drugiej strony, jeśli „Podniebna Kraina” albo jakiś następca tego samolotu - wtedy myśleliśmy, że coś mogłoby go zastąpić - wciąż tu latał, a my byśmy chcieli zabrać z sobą coś dużego, posłużylibyśmy się samolotem. Był on także wyjściem awaryjnym, gdyby przenośny dynks nie działał.

Tym razem miałem rozkaz dołożyć specjalnych starań, żeby znaleźć przedmioty, które mogłyby okazać się dla nas cenne.

Myszkowaliśmy w sklepach elektrycznych i zdobyliśmy magnetofony i różne gadzety w tym rodzaju. Czy mówiłem już o pieniądzach?

Stubb potrząsnął głową.

- Cóż, za pierwszym razem zobaczyłem, że bez trudu mogę się zaopatrzyć w kapitał operacyjny, którego potrzebowałem. Wystarczyło, że w czterdziestym drugim zrobiłem przyzwoity depozyt, do którego nie miał dostępu nikt poza Kip i mną samym. Co więcej, mogłem sobie zapewnić pomoc FBI i Biura Służb Strategicznych albo też organizacji, które by je zastąpiły. Wystarczyło zostawić informację dla każdego, kto posłuży się określonym hasłem.

Candy otworzyła oczy.

- To właśnie tak wyciągnęliście z samolotu mojego kochasia. Zastanawiałam się nad tym.

- No właśnie. Tylko że nie mogliśmy powiedzieć FBI ani CIA - to była ta nowa organizacja - o naszym dynksie, więc nie mogliśmy im zdradzić, skąd przychodzimy. Ale potrzebowaliśmy ich, bo nie trzeba było wiele czasu, żebym się zorientował, że nie byliśmy już jedyni. Już wcześniej podejrzewałem, że ludzie z „Podniebnej Krainy” sami posługują się

dynksem i że wielu z nich przechodziło do epok, z których nie mogli już powrócić, epok, w których „Podniebna Kraina” nie istniała. Z początku sądziłem nawet, że obecna była jedną z nich.

- Kiedy pan się dowiedział, że to był pan? - spytał Stubb. Przez prawie pół minuty Free wpatrywał się w noc za oknem. Chmury śniegowe rozstępowały się powoli, a przez dziury widać było ciemne, niespokojne wody Atlantyku.

- Nie potrafię dokładnie określić kiedy - powiedział w końcu. - Czułem tę potrzebę, wszyscy ją czuliśmy. Wiedzieliśmy, że alianci wygrają, wszystko było w podręcznikach historii, więc być może poczucie obowiązku nie było tak silne, jak powinno być. Poza tym widziałem przyszłość, którą zbudowaliśmy. - Znowu urwał. - Wiecie, czego chciałem? Dawnego pogranicza. Zobaczyć, jak wyglądał ten kraj, dopóki nie zrabali wszystkich drzew i nie wylali go asfaltem. Ta potrzeba stawała się tak przemożna, że wiedziałem, że prędzej czy później to zrobię. A im więcej informacji mieliśmy o człowieku, który zwał się Free, tym bardziej byłem przekonany, że wyglądał niezwykle podobnie do mnie. Przy okazji, moje pełne nazwisko brzmi Samuel Benjamin Whitten. Buck to tylko przydomek.

- To pan jest Buck - rzekł Barnes. - To pan był właścicielem „Latającego Dywanu”.

Free pokiwał głową.

- Potrzebne nam było miejsce, gdzie moglibyśmy spotykać się z ludźmi poza tym starym terenem wojskowym na lotnisku, na którym trzymaliśmy nasze archiwa i część delikatnego sprzętu, jak na przykład przenośny dynks. Kupiłem „Latający Dywan” i zatrudniłem w nim ludzi, którym mogłem wierzyć, że będą patrzeć w drugą stronę, jeśli czasem przydarzy się coś trochę niezwykłego.

- Czy mogę zadać pytanie, sir? - odezwał się Barnes. - Kiedy byłem w „Latającym Dywanie”, spotkałem muzyka, który nazywał się Binko. Czy on był jednym z ludzi, których pan sprowadził z przeszłości?

Free potrząsnął głową.

- Ozzie wspominał o nim - rzekł Stubb - kiedy opowiadał Madame S. i mnie o tym, co mu się przytrafiło. Zapytałem go o muzykę. Wydawało mi się, że to mogła być kolejna wskazówka.

- Pewnie była - przyznał Free. - Wiedziałem, że będę często słuchał zespołu, który zaangażuję, więc zaangażowałem taki, który mi się podobał.

Candy znów otworzyła oczy.

- Ciągłe pan nie doszedł do puenty. Czy ma pan w ogóle zamiar?

Czarownica postąpiła jej szybko spojrzenie.

- O co pani chodzi? Niech pani nie zarzuca niczego Mistrzowi!

- Akurat. Niech pani posłucha, przecież on nie ściągnął nas tutaj po to, żeby opowiadać pani o Hitlerze albo rozmawiać z Jimem o zapalkach, albo z Ozziem o muzyce. No więc dlaczego to zrobił? I dlaczego kazał tym ludziom na dole - to także on, nie zapominajcie -

robić nam takie rzeczy? Kiedy byliśmy w tamtym samolocie, Jim powiedział mi, że oni próbowali dać nam wszystkim więcej, niż potrafiliśmy wykorzystać, a ja byłam jedyna, która sobie z tym poradziła. Dlaczego on to zrobił i dlaczego nas tutaj wysłał?

- Od początku chciałem odpowiedzieć na te pytania, panno Garth. Czułem, że jestem wam to winny. Teraz pani dotknęła spraw, o których chciałem z wami porozmawiać i przyznam, że się cieszę, że tak się stało. - Urwał. - Pamiętacie, jak wam mówiłem, że powróciłem do czterdziestego drugiego, żeby złożyć raport? Przeniosłem się dziesięć lat do przodu, zebrałem wszelkie informacje o rozszczepianiu atomów, jakie mogłem, a potem wróciłem.

Wszyscy czworo kiwnęli głowami.

- Dynks - ludzie, którzy go faktycznie wymyślili, nazwali go spiralą indukcji osobliwości czasoprzestrzennej, więc rozumiecie, czemu mówię dynks - nie dawał się wtedy kontrolować ze zbyt dużą dokładnością. Kiedy wyruszyłem w rok pięćdziesiąty drugi, był osiemnasty marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Gdy powróciłem, był trzynasty maja.

Candy wyprostowała się z szeroko otwartymi, niebieskimi jak porcelana oczami.

- Święty Boże! To było was dwóch? Free potrząsnął głową.

- Nie, choć początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Oczywiście najpierw musiałem zdać sprawę ludziom z pokładu „Podniebnej Krainy”, zanim wysłali mnie na dół. Kiedy skończyłem składanie raportu, powiedzieli mi... - Free znowu zamilkł. - Powiedzieli mi, a właściwie rozkazali, żebym nie mówił o tym nikomu na ziemi.

Nie odesłano mnie do Waszyngtonu, abym tam dalej składał mój raport, ale do Langley Field, gdzie mnie wypuszczono. Spędziłem tam cały dzień, zastanawiając się, czy odważą się zadzwonić do Buffalo.

- I odważył się pan? - zainteresowała się Candy.

- Tak. Zadzwoniłem do naszej fabryki i poprosiłem, żeby mnie połączono z prezesem firmy, przysięgając sobie, że jeśli ja sam odbiorę telefon, to odłożę słuchawkę. Do telefonu podeszła Kip i w najbardziej oficjalny sposób zapytała, czego chcę. Powiedziałem coś w rodzaju: „Czy to pani zarządza firmą, miss?” Rozpoznała mój głos i powiedziała - to są dokładnie jej słowa, nigdy ich nie zapomnę - powiedziała: „To ty, tato! Wszyscy tak bardzo się martwiliśmy.”

- Mój Boże - powiedziała cicho Candy.

- Wypytywałem ją i dowiedziałem się, że wszedł do mojego biura około godziny przed tą chwilą, kiedy nasz samolot musiał się pojawić na niebie czterdziestego drugiego roku. Nikt mnie nie widział od tamtej pory. Powiedziałem Kip, gdzie jestem, powiedziałem też, że wezwały mnie ważne sprawy państwowe i że niebawem wrócę, ale że za jakiś miesiąc znowu wyjadę, by pracować dla rządu.

- A więc kiedy ten Donovan zwrócił się do pana, zaczął pan dla niego pracować. - Stubb wykonał kolisty gest dłonią. - Wydawałoby mi się, że jeśli pan przeniósł się do pięćdziesiątego drugiego, a potem wrócił, powinien pan ugrzęznąć w pętli.

- Tak myśleliśmy - powiedział Free. - Dlatego więcej już się nie przenosiłem. W końcu nie było już po co. Ludzie z „Podniebnej Krainy” mieli już wszystko, czego się dowiedziałem o bombie. Kiedy nadszedł osiemnasty sierpnia, poleciałem na dół, żeby złożyć raport Rooseveltowi, Hopkinsowi i Donovanowi. Powiedziałem im, że właśnie wróciłem i w pewnym sensie to było prawdą.

- Kip nigdy się nie domyśliła?

- Wiedziała, że coś się stało - powiedział Free. - Kiedy wróciłem z Wirginii, owego drugiego czerwca czterdziestego drugiego roku, powiedziała mi, że świetnie wyglądam. Byłem wówczas dość znany w Buffalo, żeby w archiwum miejscowej gazety mieli całkiem spory zapas moich zdjęć. Poprosiłem ich, żeby pozwolili mi się im przyjrzeć.

- I wyglądał pan tak, jak kilka lat wcześniej? - zapytała Candy.

- Bardzo inteligenta z pani kobieta, panno Garth. Nie. Tego się właśnie spodziewałem, ale zobaczyłem coś jeszcze innego. Młodszy, tak, ale także inny. Silniejszy. Nie wiem. - Zawahał się. - Lepszy. To naprawdę wszystko, co mogę powiedzieć. Kiedy poszedłem do fabryki, niektóre problemy, z którymi się borykaliśmy, sprawy, którymi przejmowałem się miesiącami, wydawały się proste. Zobaczyłem na przykład, gdzie moglibyśmy zdobyć miejscowy substytut piasku krzemowego wysokiej jakości, który przed Pearl Harbor importowaliśmy z Filipin. Teraz myślę, że to, co się wtedy stało, można wytłumaczyć tak, że moje dwie osoby wtopiły się jedna w drugą i że to połączenie stworzyło jedną osobę, która była silniejsza niż każda z nich z osobna. - Tupnął nogą i wszyscy lekko podskoczyli. - Sklejka - powiedział. - Każdy słój drzewa to jeden rok jego wzrostu. Kiedy robi się sklejkę, zdejmuje się warstwę po warstwie, a potem skleja znowu, tak, że włókna się krzyżują. W ten sposób powstaje kawałek drewna, który jest mocniejszy niż dawny pień.

- A co by było, gdyby jedna z warstw okazała się spróchniała? - spytał Stubb. - Czy cała sklejką nie byłaby wtedy spróchniała?

Free pokiwał głową.

- Generale, powiem panu coś, czego wolałby pan nie słyszeć. Kiedy mieszkałem w pana domu, powiedział mi pan, że miał pan bilet, który mógł pana zabrać z powrotem do „Podniebnej Krainy”. Ale powiedział mi pan również, że było już za późno, żeby mógł pan się nim posłużyć. Nie był pan stetryczały, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ale był pan bardzo starym człowiekiem.

Free kiwnął głową.

- Chce mi pan powiedzieć, że umrę, panie Stubb. Wszyscy umrzemy. W przeciwieństwie do innych ludzi ja wiem, jak umrę. Taka jest prawda.

- Niech pan chwilę poczeka! - wykrzyknęła Candy. - Powiedział pan, że Kip złożyła panu raport. Słyszałam, jak pan to mówił. Co znaczy, że było was wtedy dwóch.

Free nie odpowiedział. Upłynęła dłuższa chwila. W końcu Stubb odezwał się.

- Nie, to wcale nie było tak. Ona złożyła raport, kiedy Ben Free, którego znaleźliśmy, już nie żył.

- Panno Garth, myślę, że kiedy przeszedłem do waszej epoki, tej, którą teraz mamy, Bena Free tam nie było. Jak długo pani - wy wszyscy - z nim mieszkaliście?

- Trzy noce, Mistrzu - powiedziała czarownica. - Po trzeciej nocy dom został częściowo zburzony.

- Myślę, że on musiał przejść do jakiejś innej epoki, choć nie mam pojęcia, co to mogła być za epoka. Mam nadzieję, że był to czas wyprawy Lewisa i Clarka. Dziesiątki lat później, stary i schorowany, powrócił i odkrył to, co powiedział panu Stubbowi, że było już za późno.

A kiedy on powrócił, ja zniknąłem, przynajmniej dla Kip i całej reszty. Kip pomyślała, że sprawił to Free i musiała być na krawędzi załamania. Jak możecie sobie wyobrazić, nasi ludzie bez przerwy przeglądali gazety i oglądali telewizję. Kiedy jeden z nich zobaczył Free, Kip do końca wyzbyła się ostrożności. Wyznaczyła agenta, żeby pilnował domu, a sama razem z Robin przepytowała kobietę z sąsiedztwa i zdobyła wasze nazwiska. Sprawiała, że FBI zaczęło kontrolować całą waszą korespondencję, a kiedy odkryło, że pan Barnes odpowiada na ogłoszenia matrymonialne, Kip poprosiła Robin, żeby do niego napisała. W końcu miała na oku całą waszą czwórkę. Potem Free wrócił do domu i tam go dopadła.

Znowu zaległa cisza.

- I zabiła go - cicho powiedział Stubb. Free kiwnął głową.

- Nie powiem wam, co mi opowiedziała. Kłamała, a ja zawsze potrafiłem to rozpoznać. Do diabła, taka jest prawda - w końcu to ja ją wychowałem. Myślę, że zabrała go do tego domu, dlatego że on - ja - powiedziałem jej, że przerośnięty dynks ciągle tam jest, wbudowany w ścianę. A kiedy wszyscy sobie poszli, wyjaśniłem jej wszystko. Potem musiała już wiedzieć, że nigdy nie odzyska z powrotem swego ojca, jeśli ja - Free - nie zgodzę się znowu odejść.

Jeśli zastanowicie się, gdzie teraz jest generał, mogę was zapewnić, że już go nie ma. Nie zniknął, ponieważ ja tutaj jestem, ale przeszedł do lepszej epoki i zabrał z sobą swój przerośnięty dynks. Widzicie, on wydedukował, gdzie może być dynks Free i przeszedł przez niego razem z tym, który zabrał z czterdziestego drugiego roku.

A teraz doszliśmy do miejsca, które panna Garth nazwała puentą. Nie wiem, kim jest wasza czwórka, ale wiem, że pozwolę wam ze mną zamieszkać, kiedy nadejdzie czas. Wiem, że będziecie walczyć, żeby ocalić mój dom, dom, który był moją przystanią przez tyle lat, i to walczyć całkiem dzielnie, z tego, co wiem od Kip. I kiedy pomyślicie, że mogę być w tarapatkach, będziecie próbować mnie odnaleźć, chociaż każdy z was ma dość własnych kłopotów. Zostawiłem zatem wiadomość generałowi, którym niegdyś byłem, a przy okazji

posłałem mu zegar pokazujący datę, który podłącza się do radia, i jeden z tych waszych zgrabnych małych magnetofonów. Chodzi o to, żeby zaspokojono wasze największe pragnienia. Zrobiłem to, bo zrozumiałem, że wszyscy musimy je wpierw zaspokoić, żeby pojąć, czego naprawdę warto pragnąć.

- Nie sądzę, żebyśmy już wiedzieli, czego pragnąć - oświadczył Stubb. - W każdym razie ja nie wiem.

Free pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że zaraz będzie pan wiedział. Widzicie, z „Podniebnej Krainy” wychodzi dwoje drzwi. Jedne z nich to te, przez które tu weszliście. Drugie to dynks. Daję wam okazję, żebyście mogli wrócić, wtopić się w wasze wcześniejsze osoby i przeżyć nowe życie, jeśli tylko chcecie.

- Tak! - krzyknęła Candy.

Czarownica rzuciła się do stóp Free, podczas gdy Stubb pokiwał głową i wstał z miejsca. Barnes powiedział:

- Ale mój Groszek...

EPILOG

Free Live Free

Mężczyzna w łachmanach i chłopiec w łachmanach wolno nadeszli alejką, ostrożnie stawiając kroki pomiędzy kałużami topniejącego śniegu. Powietrze było chłodne, ale słońce świeciło jasno.

- To tam - powiedział mężczyzna, pokazując palcem. - Widzisz, mówiłem ci, że pewnie nie będzie im się chciało ogrodzić od tyłu. Myślisz, że uda ci się przejść przez cały ten złom?

Chłopiec już zaczął się przedzierać, przełaząc po porzuconym piecyku i nurkując poprzez wypatroszone wnętrza rozbitego samochodu. Mężczyzna gramolił się jeszcze z tyłu, kiedy chłopiec już znalazł się na ganku.

- Możemy wejść? - zapytał chłopiec. - Tu jest jakiś napis.

Mężczyzna kiwnął głową, częściowo sam do siebie. Napis, byle jak odręcznie wypisany czarną farbą, głosił: MIESZKAJ ZA DARMO U FREE. Był już trochę zniszczony.

Przez wybite okno zobaczył splądrowaną kuchnię, a za nią zrujnowany salon, jak otwarty pokój dla lalki. Klamka opadła i mężczyzna przeszedł przez próg, biorąc chłopca za rękę.

Na piecyku bulgotała kawa. Obok stał wyższy Stubb i szczuplejsza Candy, ubrana w jakiś błyszczący materiał, jakiego w życiu nie widział, w suknię ze srebrnego światła.

W ścianie, pomyślał mężczyzna w łachmanach. Stary lis. Free powiedział mi, że schował go w ścianie. Drżał ze strachu, z podniecenia i z radości, pełen emocji, które trudno było nazwać.

- Glinda! - zawołała Candy. - Spójrz tylko, kto przyszedł - to Popeye!

Z salonu nadpłynął znajomy głos czarodziejki.

- Ach, pan Barnes! - powiedziała. - Kwatrumwirat jest w komplecie.

Kronika życia Samuela Benjamina Whittena, emerytowanego Generała Brygady Armii Stanów Zjednoczonych, ur. 1889, zm. 1983 w wieku ok. 82 lat

1803 - „Ben Free” dołączył do wyprawy Lewisa i Clarka, posuwającej się w dół rzeki Ohio. Fizjologicznie Whitten ma sześćdziesiąt lat, choć wydaje się młodszy.

1807-1818 - „Free” odwiedza co jakiś czas dom przy South 38th Street numer 808. Aby opuścić pogranicze, posługuje się przenośnym dynksem, który zabrał ze sobą. Aby tam powrócić - dynksem wbudowanym w tylne drzwi domu przy South 38th Street.

1819 - „Free” porzuca pogranicze na dobre, zabierając ze sobą kilka cennych futer, strzelbę i inne pamiątki. Odzyskuje przenośny dynks, który wcześniej ukrył w jaskini w stanie Kentucky i chował go w ścianie domu przy South 38th Street, maskując go tynkiem i tapetą.

1889 - W Buffalo, w stanie Nowy York, przychodzi na świat Samuel Benjamin Whitten, jedyny syn Johna B. Whittena, założyciela Fabryki Kryształów Whittena, i Mary Standbridge Whitten.

1917 - Whitten, będący wcześniej członkiem Gwardii Narodowej Stanu Nowy York, wstępuje do Armii Stanów Zjednoczonych. Mianowany oficerem, zgłasza się na ochotnika do wojsk lotniczych.

11 listopada 1918, godzina 11.00 - Na froncie zachodnim ustają działania wojenne. Kapitan S.B. Whitten z 135 Szwadronu Powietrznego jest pilotem bombowca DH-4.

1924 - Standbridge „Kip” Whitten przychodzi na świat w Manili na Filipinach.

1937 - Generał Brygady S.B. „Buck” Whitten przechodzi na emeryturę. Jego karierę rujnuje poparcie, które okazuje teorii Generała Brygady Williama „Billy” Mitchella, propagującej zrzucanie bomb z dużych wysokości.

30 maja 1942 - Whitten znika ze swojego biura w Zjednoczeniu Kryształów Whittena. Powraca na „Podniebną Krainę” z roku 1952, przywożąc informację o rozszczepieniu jąder atomowych.

2 czerwca 1941 - Whitten powraca do Buffalo z Langley Field w Wirginii.

Lipiec 1942 - Na zaproszenie Williama J. „Dzikiego Billa” Donovana Whitten zaczyna pracować dla Biura Służb Strategicznych (OSS).

18 sierpnia 1942 - Whitten leci na „Podniebną Krainę”. Przechodzi przez spiralę indukcyjną osobliwości czasoprzestrzennej do roku 1952. Powraca do Waszyngtonu, gdzie składa raport prezydentowi Franklinowi D. Rooseveltowi, Harry’emu Hopkinsowi i Donovanowi.

20 sierpnia 1942 - Whitten ponownie przechodzi przez spiralę indukcyjną osobliwości czasoprzestrzennej wraz z Robin Valor, swoją córką (Kip) i innymi. Zabiera ze sobą rozłożony na części dynks.

17 września 1942 - Wszystkie badania nuklearne przechodzą pod nadzór Generała Brygady Leslie'ego R. Grovesa i zostają opatrzone kryptonimem „Manhattan Project”.

2 grudnia 1942 - W laboratorium University of Chicago dokonuje się pierwsza samoistna reakcja jądrowa.

16 lipca 1945 - Na stalowej wieży w Almagordo w stanie Nowy Meksyk zostaje wywołany wybuch bomby atomowej.

6 sierpnia 1945 - Bombowiec B-29 *Enola Gay* zrzuca broń skonstruowaną na zasadzie rozszczepu jądra uranu, opatrzoną kryptonimem „Little Boy”, i niszczy Hiroszimę w Japonii.

5 listopada 1982 - W *Wiadomościach o Piątej* spiker Bryan O'Flynn donosi o bombowcu B-17, który dostrzegło wiele osób i zastanawia się, czy nie leciał on na pokaz lotniczy. (Później gazety będą dowodzić, że pokazów lotniczych zazwyczaj nie organizuje się zimą.)

9 listopada 1982 - Buck Whitten kupuje „Latający Dywan”.

14 stycznia 1983, piątek - „Free” powraca do domu przy South 38th Street numer 808 i odkrywa, że dom został przeznaczony do rozbiórki. Whitten znika ze swojej kwatery na lotnisku.

16 stycznia 1983, niedziela - Ukazuje się ogłoszenie „Free”.

„Free” zgadza się, żeby czarownica zamieszkała w jego domu.

17 stycznia 1983, poniedziałek - Czarownica, Osgood M. Barnes, Jim Stubb i Candy Garth wprowadzają się do domu.

19 stycznia 1983, środa - W czasie deszczu Stubb zapala Candy papierosa. „Free” ogląda telewizję w salonie.

20 stycznia 1983, czwartek - Kip bierze „Free” do niewoli.

Dom zostaje częściowo zniszczony.

21 stycznia 1983, piątek - Stubb przeszukuje dom. Kip i „Free” wracają do domu i „Free” umiera w piwnicy. Whitten, mężczyzna w budrysówce, ponownie pojawia się w swojej kwaterze głównej.

22 stycznia 1983, sobota, przed świtem - Mężczyzna w budrysówce znowu znika. Czarownica, Stubb, Candy i Barnes rozmawiają z Whittenem („Free”) w kabinie „Podniebnej Krainy”. 24 stycznia 1983, poniedziałek - Mężczyzna w budrysówce odchodzi, posługując się w tym celu dynksem w ścianie domu i zabiera dynks, który przyniósł z sobą z 1942 roku.